

Jojo
Moyes

Lakazany
otooc

*Charlesowi Arthurowi
i Cathy Runciman*

*Przeszłość każdego człowieka
jest w nim zamknięta jak karty książki,
którą on zna na pamięć,
a przyjaciele mogą przeczytać tylko tytuł.*

Virginia Woolf

Prolog

Mama powiedziała mi kiedyś, że można poznać imię przyszłego męża, jeśli się obierze jabłko tak, by skórka pozostała w całości, i rzuci ją za siebie przez ramię. Padając, utworzy literę. Przynajmniej czasem. Mama tak bardzo pragnęła, by to się sprawdziło, że nie dopuszczała do siebie myśli, iż skórka przypomina bardziej siódmkę lub dwójkę, i dopatrywała się w niej dziwnych kształtów liter B czy D. Nawet jeśli nie znałam żadnego B. ani D.

Gdy w moim życiu pojawił się Guy, nie potrzebowałam żadnego jabłka. Wiedziałam to od pierwszej chwili. Znałam jego twarz jak własną. To twarz człowieka, który zabierze mnie daleko od rodziny, będzie mnie kochać, uwielbiać i z którym będę mieć cudowne dzieci. Na jego twarz będę spoglądać bez tchu w czasie przysięgi małżeńskiej. Ją pierwszą będę oglądać rankiem i ostatnią w słodkim oddechu nocy.

Czy on o tym wiedział? Oczywiście. Przecież mnie uratował. Jak rycerz, w powalonym błotem ubraniu zamiast lśniącej zbroi. Rycerz, który wyłonił się z mroku i wyprowadził mnie do światła. Choćby tylko w dworcowej poczekalni. Kiedy późnym wieczorem czekałam na pociąg, zaczęli mi się naprzykrzać jacyś żołnierze. Byłam na tańcach z moim szefem i jego żoną i spóźniłam się na pociąg. Pijani żoł-

nierze bez przerwy coś do mnie mówili, nie reagowali na moje stanowcze „nie”. Wiedziałam doskonale, że nie powinnam z nimi rozmawiać, więc usiadłam na ławce w rogu. Oni przysuwali się jednak coraz bliżej, a jeden próbował mnie objąć niby żartem. Bardzo się bałam, bo było już późno, a w pobliżu nie widziałam ani bagażowego, ani nikogo innego. Raz po raz powtarzałam im, żeby zostawili mnie w spokoju, ale nic sobie z tego nie robili. Nic a nic. Nagle najwyższy z nich, o wyglądzie prawdziwego brutala, przysunął się i owiewając mnie cuchnącym oddechem, powiedział, że i tak będzie mnie miał, obojętne czy tego chcę, czy nie. Nawet nie mogłam wydobyć głosu z gardła, tak byłam sparaliżowana strachem.

I nagle pojawił się Guy. Wpadł do poczekalni, zaczął wrzeszczeć na żołnierza i powiedział, że da mu to, na co zasłużył. Potem podszedł do wszystkich trzech i spojrzął na nich wyzywająco. Zaczęli miotać obelgi pod jego adresem, jeden nawet zacisnął pięści, ale po chwili, jak prawdziwi tchórze, wybiegli z poczekalni, przeklinając pod nosem.

Trzęśłam się i płakałam. Guy posadził mnie na krześle i zaproponował, że przyniesie mi szklankę wody, żebym poczuła się lepiej. Był taki miły. Uroczy. Potem powiedział, że poczeka razem ze mną na pociąg. I poczekał.

Właśnie tam, w żółtym świetle dworcowych lamp, spojrzałam po raz pierwszy na jego twarz. I już wiedziałam, że to ten jedyny. Że to naprawdę on.

Kiedy opowiedziałam o wszystkim mamie, obrała jabłko i rzuciła przez moje ramię skórkę. Według mnie ułożyła się w kształt litery D. Mama jednak zaklina się do dziś, że to na pewno było G. Ale teraz nie zawracamy już sobie głowy jabłkami.

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

Freddie znów zwymiotował. Resztki trawy, której się najadł, leżały w zielonej, pokrytej pianą kałuży w rogu pokoju, przy komodzie. Niektóre źdźbła były całe.

- Ile razy mam ci to powtarzać, ty głupku?! - wrzasnęła Celia, która właśnie wdepnęła w kałużę stopą w letnim sandałku. - Nie jesteś koniem.

- Ani krową - dorzuciła Sylvia, która siedząc przy stole, pracowicie wklejała do zeszytu zdjęcia sprzętu gospodarstwa domowego.

- Ani żadnym cholernym zwierzęciem. Powinieneś jeść chleb, a nie trawę. Ciastka. Normalne rzeczy. - Celia zdjęła but z nogi i trzymała go dwoma palcami nad zlewem. - Fuj. Jesteś obrzydliwy. Dlaczego stale to robisz? Mamo, powiedz mu coś. Powinien przynajmniej to posprzątać.

- Frederick, kochanie, posprzątaj proszę.

Pani Holden, siedząc wygodnie przy kominku w fotelu z wysokim oparciem, sprawdzała w gazecie porę emisji następnego odcinka *Dixon of Dock Green**. Po rezygnacji pana Churchilla ze stanowiska mało co mogło ją tak pocieszyć.

* Angielski serial kryminalny, emitowany w latach 1955-1976. (Przypisy pochodzą od tłumaczki).

I po tej ostatniej sprawie z mężem. Chociaż mówiła oczywiście tylko o panu Churchillu. Powiedziała Lottie, że obie z panią Antrobus oglądają wszystkie odcinki i uważają serial za absolutnie cudowny. Na całej Woodbridge Avenue tylko ona i pani Antrobus miały telewizory i z radością opowiadały sąsiadkom, jak wspaniałe są niemal wszystkie programy.

- Freddie, posprzątaj natychmiast. Fuj! Dlaczego muszę mieć brata, który je to co zwierzęta?

Freddie usiadł na podłodze przy kominku i zaczął jeździć małą, niebieską plastikową ciężarówką po dywanie, zaginając przy tym jego rogi.

- To nie jest jedzenie dla zwierząt - mruknął z zadowoleniem. - Bóg nam je dał.

- Mamo, teraz wzywa imienia Bożego nadaremnie.

- Nie powinieneś tego robić - powiedziała zdecydowanie Sylvia, wklejając do zeszytu zdjęcie miksera. - Bóg porazi cię piorunem.

- Jestem pewna, że Pan Bóg nie mówił nic o jedzeniu trawy, kochanie - odparła z roztargnieniem pani Holden. - Celio, moja droga, czy mogłabyś przed wyjściem podać mi okulary? W tych gazetach druk jest coraz mniejszy.

Lottie stała cierpliwie przy drzwiach. Popołudnie ciągnęło się niemiłosiernie i nie mogła się już doczekać, żeby wreszcie wyjść z domu. Pani Holden kazała im pomóc sobie przy pieczeniu bez na kościelny festyn, choć obie z Celią serdecznie tego nie znosiły. Po dziesięciu minutach Celia powiedziała, że bardzo boli ją głowa, i wyrwała się z kuchni. Lottie musiała więc sama wysłuchiwać, jak pani Holden trzęsie się nad białkami i cukrem, i udawać, że nie widzi, jak niespokojnie macha rękami, a do oczu napływają jej łzy. Kiedy te białe okropieństwa były gotowe i spoczywały spokojnie w puszkach owinięte natłuszczonym papierem, ból Celi w cudowny sposób minął. Teraz włożyła sandałki i skinieniem głowy dała Lottie znać, że powinny już wyjść. Narzuciła na ramiona sweter i wygładziła włosy przed lustrem.

- Dokąd się wybieracie, dziewczęta?
- Do kawiarni.
- Do parku.

Celia i Lottie odpowiedziały jednocześnie i natychmiast obrzuciły się pełnym niepokojem, oskarżycielskim spojrzeniem.

- Idziemy najpierw do parku, a potem na kawę - powiedziała z naciskiem Celia.

- Idą się całować z chłopakami - rzuciła Sylvia, wciąż pochylona nad zeszytem. Koniec jednego warkocza wsunęła do ust. Wysuwał się co jakiś czas, miękki i wilgotny.

- Cium, cium. Buziaczki.

- Tylko nie pijcie za dużo kawy. Wiecie, jak na was działa. Lottie, kochanie, przypilnuj, żeby Celia nie wypła więcej niż dwie filiżanki. I wróćcie do domu o wpół do siódmej.

- Na lekcji religii słyszałem, że Bóg dał nam wszystkie dary ziemi - powiedział Freddie, podnosząc wzrok.

- I zobacz, jak się pochorowałeś, kiedy je zjadłeś - odparła Celia. - Nie mogę uwierzyć, że nie każesz Freddiemu posprzątać, mamó. Wszystko uchodzi mu na sucho.

Pani Holden wzięła okulary i spokojnym ruchem wsunęła je na nos. Wyglądała jak osoba, której udaje się utrzymać na powierzchni wzburzonego morza, gdyż wbrew wszelkim okolicznościom twierdzi, że znajduje się na suchym lądzie.

- Freddie, poproś Virginie, żeby przyniosła szmatę. No, bądź grzecznym chłopcem. A ty, Celio, nie bądź taka nieprzyjemna. Lottie, wygładź bluzkę. Dziwnie się ostatnio zachowujecie. Chyba nie wybieracie się gapić na tę nową, prawda? Nie chcemy, żeby uważała mieszkańców Merham za prostaków, którzy wystają przed jej domem z otwartymi ustami.

Zapadła cisza, podczas której Lottie zauważyła, jak Celii lekko różowieją uszy. Jej nawet nie były ciepłe - w ciągu wielu lat praktyki doskonale nauczyła się zaprzeczać, i to wobec znacznie trudniejszych przeciwników.

- Z kawiarni wrócimy prosto do domu, proszę pani - powiedziała zdecydowanie. Co, oczywiście, mogło oznaczać wszystko.

Był to dzień wielkiej zamiany. Pociągami z dworca przy Liverpool Street w Londynie przybywali nowi goście, a inni, odrobinę mniej bladzi, z niechęcią wracali do miasta. W takie dni na chodnikach roiło się od chłopców ciągnących pospiesznie zbite z desek wózki, które ugiwały się od wypakowanych walizek. Za nimi szli zmęczeni mężczyźni w swoich najlepszych garniturach, trzymając pod ramię żony. Byli zadowoleni, że za kilka pensów mogą rozpocząć wakacje jak prawdziwi królowie. No, przynajmniej nie muszą się męczyć i sami taszczyć bagaży do wynajętych kwater.

Mieszkańcy miasteczka przestali już zwracać uwagę na ten wielki ruch i ożywienie. Oczywiście z wyjątkiem Celi Holden i Lottie Swift, które siedziały na ławce w parku miejskim. Stamtąd widać było dokładnie parokilometrowe przylegające do Merham wybrzeże, a przyjaciółki ze szczególną uwagą wpatrywały się w ciężarówkę firmy przewozowej, której ciemnozielona maska lśniła w popołudniowym słońcu pod linią sosen.

Na lewo pod nimi rozciągało się morze. Fale przypląwu zalewały wilgotny piasek, po którym poruszały się niewielkie figurki walczące z silnym wiatrem. Dziewczęta doszły później do wniosku, że przybycie Adeline Armand do miasteczka można porównać tylko z przyjazdem królowej Saby. To znaczy można byłoby porównać, gdyby królowa Saba zdecydowała się przybyć w sobotę, w najbardziej ruchliwym tygodniu sezonu letniego w Merham. W ten dzień bowiem pani Colquhoun, państwo Aldermanowie Elliottowie, właścicielki Parade i im podobni, którzy z pewnością wygłosiliby swoją opinię na temat nowo przybyłych, nie stali w milczeniu przy swoich ogrodzeniach i nie obserwowali, jak cała procesja ludzi znika powoli w do niedawna opustoszałym domu w stylu art deco, wznoszącym się tuż

przy plaży, lecz tłoczyli się w kolejkach u rzeźnika przy Marchant Street albo spieszyli na zebranie Zrzeszenia Właścicielek Pensjonatów. A było co komentować: nowi goście zjechali z całą ciężarówką kufrów, wielkich malowideł, które nie były wcale portretami rodzinnymi ani scenami z polowań, lecz wielkimi, nieregularnymi plamami kolorów, ogromną liczbą książek i dzieł sztuki, które wyraźnie pochodziły z zagranicy.

- Pani Hodges twierdzi, że ona należy do jakiejś rodziny królewskiej. Chyba węgierskiej.

- Bzdura.

Celia spojrzała na przyjaciółkę, otwierając szeroko oczy.

- To prawda. Pani Hodges rozmawiała z panią Ansty, która zna prawnika czy kogoś tam, kto opiekował się domem. Ona na pewno jest jakąś węgierską księżniczką.

Na plaży pod nimi przybyłe na letni wypoczynek rodziny rozsiadały się właśnie na piasku, chowając się przed podmuchami wiatru za pasiastymi wiatrochronami. Kiedy wiało zbyt mocno, kryły się w domkach plażowych.

- Armand to wcale nie jest węgierskie nazwisko. - Lottie podniosła rękę, by odgarnąć włosy z ust.

- Tak? A skąd wiesz?

- To przecież bzdura, nie rozumiesz? Co węgierska księżniczka miałaby robić w Merham? Na pewno siedziałyby w Londynie. Albo w Windsorze. A nie w takiej sennej dziurze jak nasza.

- Ale na pewno nie w twojej dzielnicy Londynu - rzuciła z pogardą Celia.

- Nie - odparła spokojnie Lottie. - W mojej na pewno nie.

Z dzielnicy, w której mieszkała Lottie, nie mogła pochodzić żadna egzotyczna osobistość. Było to bowiem wschodnie przedmieście, pełne pospiesznie wzniesionych fabryk, które z jednej strony graniczyło z gazownią, a z drugiej z rozległymi bagnami. Kiedy więc na początku wojny Lottie ewakuowano do Merham, musiała ukrywać zdziwienie, gdy przejęci współzuciem mieszkańcy miasteczka wypytywali ją, czy

tęskni za Londynem. Równie niewzruszenie odpowiadała na pytania dotyczące rodziny. Później przestali już pytać.

Lottie spędziła w domu jeszcze dwa lata aż do zakończenia wojny, a potem, po serii listów, które gorączkowo wymieniała z Celią, i często wyrażanej przez panią Holden opinii, że nie tylko Celi miło jest mieć przyjaciółkę w swoim wieku, ale przecież Trzeba Coś Zrobić Dla Społeczeństwa, Prawda?, została zaproszona do Merham początkowo tylko na wakacje. Kiedy się skończyły i zaczął się rok szkolny, zamieszkała się na dobre. Została zaakceptowana jako członek rodziny Holdenów, być może nie na prawach pokrewieństwa, nie jako równa im pozycją społeczną (nigdy nie zdołała pozbyć się akcentu z East Endu), lecz jako osoba, której stała obecność w miasteczku przestała być komentowana. Poza tym mieszkańcy Merham przywykli do ludzi, którzy przyjeżdżali tu na jakiś czas i nie wracali już do domu. Wszystko przez to morze.

- Mamy coś wziąć ze sobą? Może kwiaty? Żebyśmy miały usprawiedliwienie, by wejść do środka?

Lottie widziała wyraźnie, że Celia ma do niej żal z powodu wcześniejszych uwag, obdarzyła ją więc uśmiechem Moiry Shearer*, ukazując przy tym dolne zęby.

- Nie mam pieniędzy.

- Nie chodzi mi o takie ze sklepu. Wiesz przecież, gdzie możemy znaleźć bardzo ładne, dziko rosnące. Zbierasz je dla mamy - zakończyła z przekąsem.

Dziewczęta zsunęły się z ławki i ruszyły w stronę barierki z kutego żelaza, która oznaczała początek ścieżki nad klifem. Lottie często spacerowała tutaj w letnie wieczory, kiedy hałas i tłumiona histeria gospodarstwa Holdenów zaczynały działać jej na nerwy. Lubiła słuchać pokrzykiwań mew szybujących nad głową i przypominać sobie, kim tak naprawdę jest. Pani Holden uznałaby takie rozważania za nienaturalne lub co najmniej za zbytne rozczulanie się nad sobą,

* Moira Shearer, urodzona w 1926 r., słynna angielska balerina i aktorka.

więc zbierane dla niej bukiety polnych kwiatów stanowiły wygodne zabezpieczenie. Po blisko dziesięciu latach mieszkania u obcych Lottie stała się wrażliwa na wszelkie domowe wstrząsy i nauczyła się przebiegłości, co mogło czasem dziwić u nastolatki. Ważne jednak, że Celia nigdy nie traktowała jej jako rywalki.

- Widziałas te pudła na kapelusze, które wnosili do środka? Musiało ich być co najmniej siedem - powiedziała Celia, schylając się nad kępą kwiatów. - Co powiesz na te?

- Nie. Zwiędną za parę minut. Zerwij kilka tych fioleto- wych. Tam, przy tej dużej skale.

- Musi mieć mnóstwo pieniędzy. Mama twierdzi, że od- nowienie domu kosztowało fortunę. Rozmawiała z architek- tami. Powiedzieli, że wszystko w środku było zrujnowane. Nikt tam przecież nie mieszkał od czasu, gdy MacPhersono- wie wyprowadzili się do Hampshire. Kiedy to było? Chyba jakieś dziewięć lat temu.

- Nie mam pojęcia. Nigdy nie znałam MacPhersonów.

- Nudni jak flaki z olejem. Oboje. Ona miała wielkie sto- py. Pani Ansty twierdzi, że w domu nie ma ani jednego przy- zwoitego kominka. Wszystkie są zatkane.

- A ogrody całe zachwaszczone.

Celia pochyliła się.

- Skąd wiesz?

- Byłam tam kilka razy. W czasie spacerów.

- Ty przebiegła lisico! Dlaczego **mnie ze sobą nie za- brałaś?**

- Nigdy nie chciałaś iść ze mną na spacer.

Lottie spojrzała przez ramię przyjaciółki na ciężarówkę, czując ogarniające Celię podniecenie. Mieszkańcy zdążyli już przywyknąć do widoku obcych - Merham było w końcu miejscowością wypoczynkową, a pory roku, niczym morskie przypływy i odpływy, odmierzały tu przyjazdy i wyjazdy wczasowiczów -jednak wizja nieznanych przybyszów, zaj- mujących wielki dom, sprawiła, że przez ostatnie dwa tygo- dnie wszyscy żyli w atmosferze wielkiego oczekiwania.

Celia wróciła do zbierania kwiatów. Kiedy układała je w zgrabny bukiet, wiatr uniósł jej włosy niczym złotą kurtynę.

- Chyba nienawidzę mojego ojca - rzuciła nagle, wbijając wzrok w horyzont.

Lottie zamarła. Nie miała ochoty ani prawa komentować kolacji Henry'ego Holdena z jego sekretarką.

- Mama jest taka głupia. Udaje, że nic się nie dzieje. - Zapadło milczenie, przerywane jedynie krzykiem mew szybujących nad ich głowami. - Boże, nie mogę się już doczekać, kiedy stąd wyjadę - powiedziała w końcu Celia.

- Mnie się tu podoba.

- Zgoda, ale ty nie musisz patrzeć, jak twój ojciec robi z siebie idiotę. - Celia odwróciła się do Lottie, wyciągając dłoń z bukietem. - Myślisz, że wystarczy?

Lottie spojrzała na kwiaty.

- Naprawdę chcesz tam iść? Gapić się na jej rzeczy?

- A ty niby nie, Matko Przełożona?

Uśmiechnęły się do siebie, po czym z furkotem spódnic i swetrów popędziły w stronę parku.

Podjazd przed Arcadią miał kiedyś kształt koła. Sąsiedzi nadal pamiętali sznur długich, niskich samochodów, które zatrzymywały się przed frontowymi drzwiami, po czym ruszały dalej zwirowaną alejką. Był to bardzo ważny dom, usytuowany daleko wewnątrz torów kolejowych (rozdzielenie to było tak istotne, że pensjonaty i domy w Merham reklamowano jako leżące „wewnątrz” lub „na zewnątrz” torów). Zbudował go Anthony Gresham, najstarszy syn Waltona Greshama, po powrocie z Ameryki, gdzie dorobił się fortuny na części silnika samochodowego, którą zaprojektował. Jego wynalazek kupiła potem firma General Motors. Gresham zapragnął, by jego nowy dom wyglądał jak rezydencja słynnej gwiazdy kina niemego w Santa Monica. Długi, niski i biały, z wielkimi oknami i dużo mniejszymi, które wyglądały jak iluminatory, był dla niego symbolem przepychu, nowego świata i pełnej wyzwania, malowniczej przyszłości (która jak na ironię nie

stałą się jego udziałem - w wieku czterdziestu dwóch lat zginął potrącony przez samochód. Marki Rover). Kiedy został ukończony, niektórzy w Merham byli zaszokowani jego nowoczesnością i narzekali po cichu, że jakoś „nie pasuje” do otoczenia. Kiedy więc następni właściciele, MacPhersonowie, wyprowadzili się kilka lat później i dom pozostawał niezamieszkały, część starszych mieszkańców poczuła dziwną ulgę, choć oczywiście nigdy się do tego rodzaju odczuć nie przyznawali. Teraz północna część podjazdu zupełnie zarosła, a krzewy jeżyn i czarnego bzu skrywały furtkę prowadzącą do ścieżki nad morze. Sprawiało to sporo trudności kierowcom, którzy po wyładowaniu reszty rzeczy, przeklinając pod nosem, zmieniali biegi i próbowali wycofać ciężarówkę na alejkę zablokowaną po części przez samochód, który wjechał na posesję już po nich.

Lottie i Celia stały przez chwilę, obserwując wysiłki spocynych mężczyzn, w dalszym ciągu wnoszących meble do domu. Nagle ze środka wybiegła wysoka kobieta z długimi kasztanowymi włosami spiętymi w ciasny kok.

- Proszę poczekać! - zawołała błagalnie, wymachując kluczykami do samochodu. - Przystawię go do ogródka przy kuchni.

- Myślisz, że to ona? - szepnęła Celia, która z niewyjaśnionych powodów schowała się za drzewem.

- A skąd mam wiedzieć? - Lottie wstrzymała oddech. Nagłe onieśmienie, które dostrzegła u Celi, sprawiło, że sama poczuła się nieswojo. Przytuliły się mocno do siebie i wyglądając zza drzewa, przytrzymały szerokie spódnice, by nie rozwiewał ich wiatr.

Kobieta wsiadła do samochodu i spojrzała na przyrządy, jakby zastanawiając się, z którego powinna skorzystać. Potem, przygryzając z niepokoju dolną wargę, przekreśliła kluczyk, z trudem wrzuciła bieg, odetchnęła głęboko i z wielkim hukiem wjechała tyłem prosto w kratę na masce ciężarówki.

Zapanowała cisza, którą przerwało głośno rzucone przekleństwo jednego z mężczyzn i przeciągłe wycie klaksonu.

Kiedy kobieta podniosła głowę, dziewczęta zauważyły, że najprawdopodobniej złamała nos. Krew była dosłownie wszędzie - na jasnozielonej bluzce, na rękach, nawet na kierownicy. Kobieta, lekko oszołomiona, siedziała przez chwilę nieruchomo, po czym pochyliła się i zaczęła szukać czegoś do zatamowania krwi.

Lottie ruszyła biegiem przez trawnik, trzymając w wyciągniętej ręce chusteczkę.

- Proszę - powiedziała, stając przed kobietą. W tym samym czasie wokół samochodu zebrała się grupka pokrzykujących mężczyzn. - Proszę to przyłożyć do nosa i odchylić głowę do tyłu.

Celia, która przybiegła za Lottie, spojrzała na pokiereszowaną twarz kobiety.

- Paskudnie to wygląda - oceniła.

Kobieta wzięła chusteczkę.

- Bardzo przepraszam - zwróciła się do kierowcy ciężarówki. - Niezbyt dobrze radzę sobie z biegami.

- Nie powinna pani w ogóle prowadzić - odparł mężczyzna z wyrzutem. Ciemnozielony fartuch z trudem okrywał jego potężną postać, w dłoni ścisnął to, co pozostało z rozbitego przedniego reflektora. - Nawet nie spojrzała pani w lusterko.

- Byłam przekonana, że wrzuciłam jedynkę. Jest tuż obok wstecznego.

- Odpadł pani zderzak - oznajmiła z lekkim podnieceniem Celia.

- To nawet nie jest mój samochód. Boże święty.

- Proszę tylko spojrzeć na mój reflektor! Będę musiał wszystko wymienić. A to kosztuje sporo czasu i pieniędzy.

- Oczywiście. - Zasmucona kobieta skinęła głową.

- Proszę zostawić panią w spokoju. Jest przecież ranna. - Przy drzwiach samochodu stanął ciemnowłosy mężczyzna w jasnym płóciennym garniturze. - Proszę mi powiedzieć, co zostało zniszczone, a ja wszystko załatwię. Frances, jesteście ranna? Mam wezwać lekarza?

- Nie powinna prowadzić - powtórzył kierowca, potrząsając głową.

- A pan nie powinien stać tak blisko - rzuciła Lottie, poirytowana jego bezdusnością. Mężczyzna zupełnie ją zignorował.

- Tak mi przykro - szepnęła kobieta. - O mój Boże. Spójrz tylko na moją spódnicę.

- No to ile? Piętnaście szylingów? Funt? - Młody mężczyzna odliczał banknoty ze zwiłta, który wyjął z kieszeni. - Proszę, to dla pana. I jeszcze pięć dla wyrównania strat.

Kierowca wyglądał na bardzo zadowolonego. Lottie pomyślała, że ciężarówka pewnie nawet nie jest jego.

- No cóż - zaczął - to powinno wystarczyć.

Szybko schował pieniądze do kieszeni. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie należy kusić losu dalszym narzekaniem.

- No, będziemy się zbierać. Chodźcie, chłopaki.

- Spójrz na jej spódnicę - szepnęła Celia, szturchając przyjaciółkę w bok. Spódnica Frances opadała niemal do kostek. Wzorzysta, w gałązki wierzby, wydawała się dziwnie staromodna.

Lottie obrzuciła zaciekawionym spojrzeniem resztę stroju - buty, które wyglądały, jakby pochodziły z epoki edwardiańskiej, i długi sznur okrągłych bursztyńców.

- Bohema! - syknęła radośnie.

- Chodź, Frances. Wejźmy do środka, zanim zalejesz krwią cały samochód. - Mężczyzna przesunął papierosa do kącika ust, delikatnie ujął kobietę za łokieć i pomógł jej wsiąść z samochodu.

Kiedy szli w stronę domu, odwróciła się gwałtownie.

- Och, twoja śliczna chusteczka. Poplamiłam ją krwią. - Zawiesiła głos. - Jesteście stąd? Wejdźcie i napijcie się z nami herbaty. Każę Marnie wyprać chusteczkę. Przynajmniej tyle mogę zrobić. George, wezwij Marnie, proszę. Boję się, że zaraz znów zacznę krwawić.

Lottie i Celia spojrzały na siebie.

- Z radością - powiedziała Celia. Dopiero kiedy zamknęły za sobą drzwi wejściowe, dotarło do Lottie, że zostawiły kwiaty na podjeździe.

Kiedy weszły do głównego holu, Celia nie była już zbyt pewna siebie. Zatrzymała się tak gwałtownie, że Lottie, lekko rozkojarzona, uderzyła mocno nosem o tył głowy przyjaciółki. Przyczyną takiego zachowania Celi nie była wrodzona niezręczność (młodsze rodzeństwo nadało jej przezwisko Kanciasta), lecz ogromne malowidło oparte o poręcz naprzeciwko wejścia. Przedstawiało nagą kobietę. Z ułożenia jej rąk i nóg Lottie wywnioskowała, że nie należy do grona pań najskromniejszych.

- Marnie? Marnie, jesteś tam?! - wołał George, idąc przodem po kamiennej podłodze. Zgrabnie omijał poustawiane wszędzie paczki i pudła. - Marnie, możesz nam przynieść ciepłej wody? Frances miała mały wypadek. I możesz przy okazji zaparzyć herbatę? Mamy gości.

Z sąsiedniego pokoju usłyszały przytłumioną odpowiedź i odgłos zamykanych drzwi. W pozbawionym dywanów i mebli pomieszczeniu każdemu wypowiedzanemu słowu towarzyszyło echo, które odbijało się od ścian i kamiennej podłogi. Celia chwyciła Lottie za rękę.

- Myślisz, że powinnyśmy tu zostać? - szepnęła. - Oni są trochę dziwni. Wszystko dzieje się tak... szybko.

Lottie rozejrzała się dookoła, obrzucając uważnym wzrokiem stojaki pełne wielkich obrazów, oparte o ścianę zwinięte dywany, które pochylały się niczym przygarbieni starsi panowie, afrykańską rzeźbę kobiety z wydatnym brzuchem. Nie przypominało to w niczym domów, które znała: swojej matki - mrocznego, wilgotnego, pełnego ciemnych mebli i tanich porcelanowych bibelotów, przesiąkniętego zapachem pyłu węglowego i gotowanych jarzyn, dudniącego hałasem ruchu ulicznego i krzykami dzieci z sąsiedztwa, bawiących się przed domem; Holdenów - obszernego i wygodnego, wzniesionego w stylu naśladowującym rezydencje Tudorów, który ceniono nie

tylko za to, co mieścił w środku, ale i za to, co sobą wyrażał. Meble odziedziczyli w spadku i należało o nie dbać - chyba nawet bardziej niż o mieszkańców. Nie wolno było stawiać na blatach filiżanek, a dzieciom wpadać na nie podczas zabawy. Pani Holden oświadczyła im pewnego dnia, że wszystko trzeba będzie „przekazać dalej”, zupełnie jakby byli tylko strażnikami tych cennych przedmiotów. Ich dom był nieustannie przygotowywany na przybycie innych ludzi: upiększany „dla pań”, porządkowany dla doktora Holdena, „kiedy wróci z pracy”, a pani Holden niczym drobniutki król Kanut rozpaczliwie usiłowała zetrzeć najmniejsze nawet pyłki.

A teraz miała przed sobą ten dom - biały, jasny, obcy, o dziwnym kanciastym kształcie, z wysokimi przyciemnionymi oknami i tymi malutkimi, przypominającymi iluminatory, przez które widać było morze, i z chaotycznie jak na razie poustawianymi egzotycznymi skarbami. Było to miejsce, w którym każdy przedmiot miał swoją historię i pochodził z dalekich, obcych krajów. Lottie wciągnęła zapach domu - słone powietrze, które przez całe lata przenikało ściany, ustąpiło teraz miejsca zapachowi świeżej farby. Był dziwnie odurzający.

- Herbata chyba nie zaszkodzi, prawda? - Celia zawiesiła głós i spojrzała Lottie prosto w oczy. - Tylko nic nie mów mamie. Zaraz zrobi z tego aferę.

Weszły za zasmuconą Frances do głównego salonu zalanego światłem, które wpadało przez cztery okna wychodzące na zatokę. Dwa z nich były lekko zaokrąglone, gdyż umieszczono je w półokrągłej ścianie. Przy pierwszym oknie z prawej strony dwóch mężczyzn mocowało się z karniszem, z którego zwisała ciężka kotara, a po ich lewej stronie na podłodze kłęzczała młoda kobieta, układając całe stosy książek na półkach oszklonej biblioteczki.

- To nowy samochód. Julian na pewno wpadnie w szal. Powinam ci była pozwolić przestawić auto. - Frances usiadła na krześle i przykładając chusteczkę do nosa, sprawdziła, czy wciąż płynie z niego krew.

George nalewał jej spory kieliszek brandy.

- Juliana zostaw mnie. Jak twój nos? Wyglądasz jak kobieta z obrazu Picassa, moja kochana. Powinniśmy wezwać lekarza? Adeline? Znasz jakiegoś doktora?

- Mój ojciec jest lekarzem - powiedziała Celia. - Mogę po niego zadzwonić.

Dopiero po upływie kilkunastu sekund Lottie zauważyła, że w salonie jest jeszcze jedna kobieta. Siedziała idealnie wyprostowana na samym środku niewielkiej sofy, ze skrzyżowanymi w kostkach nogami i z drobnymi jak u dziecka dłońmi splecionymi na kolanach. Zupełnie jakby panujące wokół zamieszanie w ogóle jej nie dotyczyło. Lśniące kruczoczarne włosy otulały głowę eleganckimi falami. Kobieta miała na sobie czerwoną suknię ze wschodniego jedwabiu, niemodnie długą i obcisłą, a na niej zakiet, na którym pawie pyszniły się bajecznie kolorowymi piórami. Czarne kreski na powiekach sprawiały, że ogromne ciemne oczy wydawały się jeszcze większe. Siedziała całkiem nieruchomo, więc gdy nagle skinęła głową na powitanie, Lottie o mało co nie odskoczyła przerażona.

- Czyż one nie są cudowne? No proszę, George, udało ci się już znaleźć prawdziwe skautki.

Na twarzy kobiety pojawił się ciepły, szeroki uśmiech osoby, która jest nieustannie czymś zauroczona. Trudno było ocenić, z jakim akcentem mówi, na pewno był obcy, może francuski. Głos miała niski, lekko zachrypnięty, pobrzmiwało w nim lekkie rozbawienie. A jej strój i makijaż - były naprawdę niesamowite. Wprawiłyby w osłupienie nawet kogoś, kto widział w życiu coś więcej, a nie tylko okolice Merham i Walton-on-the-Naze. Lottie była porażona tym widokiem. Spojrzała na Celię i ujrzała na twarzy przyjaciółki ten sam wyraz bezbrzeżnego zdumienia.

- Adeline, to... Wielkie nieba, nawet nie spytałam, jak się nazywacie. - Frances podniosła dłoń do ust.

- Celia Holden i Lottie Swift - powiedziała Celia, wyczytniając coś dziwnego ze stopami. - Mieszkamy za parkiem. Przy Woodbridge Avenue.

- Dziewczęta były bardzo miłe i pożyczyły mi chusteczkę - wyjaśniła Frances. - Niestety, całkiem ją poplamiłam.

- Biedactwo. - Adeline ujęła dłoń Frances.

Lottie nie spuszczała z niej wzroku, czekając, by uściśnęła ją współczująco albo czule poklepała. Tymczasem Adeline, głaszcząc delikatnie dłoń przyjaciółki, uniosła ją do pomalowanych na rubinowo ust i w obecności wszystkich, bez cienia wstydu, pocałowała.

- Jakże to musiało być straszne.

- Och, Adeline - powiedziała ze smutkiem Frances i cofnęła dłoń.

Lottie, nie mogąc złapać tchu na widok tak niezwyklej demonstracji uczuć, nawet nie śmiała spojrzeć na Celię.

Po chwili Adeline odwróciła się w ich stronę, a na jej twarzy znów zajaśniał uśmiech.

- George, zupełnie zapomniałam ci powiedzieć. Czyż to nie urocze? Sebastian przysłał nam z Suffolk karczochy i jajka siewki. Możemy je zjeść na kolację.

- Dzięki Bogu. - George już wcześniej podszedł do mężczyzn stojących przy oknie i pomagał im powiesić karnisz. - Jakoś nie miałem ochoty na rybę z frytkami.

- Nie bądź takim snobem, kochanie. Jestem pewna, że ryba z frytkami smakuje tutaj naprawdę wyjątkowo. Mam rację? - zwróciła się do dziewcząt.

- Nie wiemy - odparła pośpiesznie Celia. - Jadamy tylko w dobrych restauracjach.

Lottie ugryzła się w język, przypominając sobie ostatnie sobotnie popołudnie, kiedy siedziały z braćmi Westerhouse na murku nad morzem i jadły płaszczkę z zatłuszczonej gazety.

- Oczywiście. - Adeline miała niski, zmysłowy głos i mówiła z obcym akcentem. - Bardzo słusznie. A teraz, dziewczęta, wymieńcie mi choć jeden powód, dla którego warto mieszkać w Merham.

Celia i Lottie spojrzały na siebie.

- Niewiele tego jest - zaczęła Celia. - Szczerze mówiąc,

jest tu raczej nudno. Mamy klub tenisowy, ale zamykają go na zimę. I kino, ale operator często choruje, a nie ma nikogo innego, kto potrafiłby obsługiwać projektor. Jeśli ktoś chce odwiedzić jakieś naprawdę eleganckie miejsce, musi jechać do Londynu. Tak przynajmniej robi większość z nas. To znaczy, jeśli chcemy spędzić przyjemny wieczór... w teatrze albo modnej restauracji... - Trajkotała, starając się przybrać niedbały wyraz twarzy, ale widać było wyraźnie, że sama nie bardzo wierzy w to, co mówi.

Lottie spojrzała na twarz Adeline. Jej uśmiech nieco przybladł i zaczęła się obawiać, że ta kobieta przestanie się nimi interesować.

- Morze - powiedziała szybko.

Adeline odwróciła się w jej stronę, unosząc lekko brwi.

- Morze - powtórzyła Lottie, próbując zignorować pełne wściekłości spojrzenie, które rzuciła jej Celia. - To znaczy mieszkanie tuż nad morzem. To najlepszy powód. Przez cały czas słyszeć w tle szum morza, czuć jego zapach, spacerować brzegiem i widzieć krzywiznę ziemi... wiedzieć, że pod powierzchnią wody tak wiele się dzieje, choć nie można tego zobaczyć ani poznać. To tak jakby tuż, na naszym progu, leżała wielka tajemnica... I sztormy. Kiedy spieniona woda przelewa się przez falochron, wiatr targa drzewami tak, że zginają się jak źdźbła trawy, a ty siedzisz bezpiecznie w ciepłym domu... - Urwała, spoglądając na pełną oburzenia twarz Celii. - Ja lubię to najbardziej.

W ciszy, która zapanowała w pokoju, jej oddech wydawał się nienaturalnie głośny.

- Brzmi wspaniale - powiedziała Adeline, podkreślając ostatnie słowo. Pod jej uważnym spojrzeniem Lottie się zarumieniła. - Już się cieszę, że tu przyjechaliśmy.

- Bardzo uszkodziła cię ciężarówkę? Myślisz, że przywiozła ją do warsztatu mojego taty? - Joe popatrzył na Lottie poważnym wzrokiem. W jego oczach rzadko pojawiał się inny wyraz. Zawsze spoglądał tak, jakby chciał wyrazić pełną

szacunku troskę, a nacechowane powagą spojrzenie zupełnie nie pasowało do ogorzałej, piegowatej twarzy.

- Nie wiem, Joe. Chyba rozbiła tylko reflektor czy coś takiego.

- Dobrze, ale reflektor też trzeba wymienić.

Gdzieś za nim, zakłócany od czasu do czasu szuraniem krzesel i szcękaniem tanich sztuczków, rozlegał się głos Almy Cogan śpiewającej o marzeniach. Lottie spojrzała z ukosa na twarz towarzysza, w najmniejszym stopniu nieusposabiającą do marzeń, i pożałowała, że w ogóle wspomniała o wizycie w domu Adeline Armand. Joe zawsze zadawał niewłaściwe pytania. I zwykle udawało mu się naprowadzić rozmowę na warsztat ojca. Jako jedyny syn odziedziczył pewnego dnia podupadający interes i świadomość tego spadku ciążyła na nim niczym prawo do tronu na księciu następcy. Lottie miała nadzieję, że kiedy podzieli się z nim opowieścią o tej niezwykłej wizycie, on także znajdzie się pod ogromnym wrażeniem niezwykłych mieszkańców tego przypominającego transatlantyk domu. Że także i on poczuje, jak nagle znikają ograniczenia związane z życiem w Merham. Lecz Joe koncentrował się wyłącznie na sprawach jak najbardziej przyziemnych, a jego wyobraźnię ograniczały problemy życia codziennego (Jak służąca podała herbatę, skoro dopiero co się sprowadzili? Który reflektor ciężarówki rozbiła ta kobieta? Czy zapach świeżej farby nie będzie ich przysparzał o ból głowy?) i Lottie ogarnęła wściekłość, że zdradziła mu swój sekret. Nagle uległa pokusie, by opisać obraz przedstawiający nagą kobietę tylko po to, żeby zobaczyć rumieniec na jego twarzy. Tak łatwo się czerwienił.

Normalnie omówiłyby wszystko z Celią. Ale Celia z nią nie rozmawiała. Nie odezwała się do niej ani słowem od czasu, gdy w drodze do domu powiedziała o wiele za dużo. „Czy rozmyślnie poniżyłaś mnie w obecności tych wszystkich ludzi? Lottie? Nie mogę uwierzyć, że zaczęłaś opowiadać te bzdury o morzu. Jakby rzeczywiście zależało ci na tych wszystkich rybach, które w nim pływają. Przecież ty nawet nie umiesz pływać!”.

Lottie bardzo chciała podyskutować z nią o pochodzeniu węgierskich księżniczek, o tym, jak Adeline pocałowała dłoń Frances, zupełnie jakby się do niej zalecała, i co łączyło George'a z obiema kobietami (nie zachowywał się jak mąż - obu poświęcał za dużo uwagi). Zamierzała porozmawiać o tym, jak w obliczu ogromu pracy i panującym w domu chaosie Adeline siedziała spokojnie na sofie, jakby nie miała do roboty nic innego, niż tylko spędzić przyjemnie dzień.

Celia była jednak pogrążona w rozmowie z Betty Croft, z którą wspólnie zastanawiały się, czy jeszcze przed końcem lata wybrać się do Londynu. Lottie siedziała więc, czekając, aż ta szczególna letnia burza przeminie.

Ale Celia najwyraźniej czuła się o wiele bardziej urażona zachowaniem Lottie, niż dała temu wyraz w słowach. Popołudnie mijało, na niebie gromadziły się ciemne, ciężkie od deszczu chmury, kawiarnia wypełniała się krnąbrnymi dziećmi i ich zmęczonymi rodzicami, ściskającymi w rękach wilgotne ręczniki plażowe, a tymczasem Celia ignorowała wszelkie wysiłki włączenia się Lottie do rozmowy, a nawet proponowane przez nią kanapki. Nawet Betty, która uwielbiała obserwować kłótnie przyjaciółek, poczuła się trochę nieswojo. No tak, pomyślała Lottie z rezygnacją, będę musiała za to słono zapłacić.

- Chyba już czas wracać - powiedziała Lottie, spoglądając na resztki kawy rozpuszczalnej w filiżance. - Pogoda robi się coraz gorsza.

Joe natychmiast podniósł się z krzesła.

- Mogę cię odprowadzić? Mam parasol.

- Jeśli chcesz.

W pokoju, który chyba miał pełnić funkcję pracowni, stał oparty o ścianę portret Adeline Armand. Nie przypominał jednak obrazu z prawdziwego zdarzenia - farba była rozmazana i łuszczyła się, jakby artysta niedowidział i musiał się domyślać, gdzie powinien przyłożyć pędzel. Ale jakimś cudem można było rozpoznać na nim Adeline. Dzięki kruczoczarnym włosom. I temu półuśmiechowi.

- W sobotę była straszna burza w Clacton. W kwietniu padał śnieg. Uwierzysz?

Nie zwracała sobie już głowy samochodem. Nawet nie spojrzała, by sprawdzić, jak poważne są uszkodzenia. A ten mężczyzna - George - wyjął z kieszeni zwitek banknotów, zupełnie jakby to były stare bilety autobusowe.

- Najpierw było ciepło i przyjemnie, a w ciągu kilku godzin zrobiła się prawdziwa zawierucha, grad i tak dalej. Ludzie siedzieli na plaży. Chyba niektórzy nawet pływali w morzu. Zmokniesz, Lottie. Weź mnie pod rękę.

Lottie wsunęła rękę pod łokieć Joego i odwróciła głowę, by zobaczyć fronton Arcadii. Nigdy nie widziała domu takiego jak ten, który zewsząd prezentowałby się równie imponująco. Jakby architekt nie mógł znieść myśli, że któraś strona będzie gorsza.

- Nie chciałbyś mieszkać w takim domu, Joe? - Zatrzymała się, nie zwracając uwagi na deszcz. Po burzliwych wydarzeniach popołudnia trochę kręciło się jej w głowie.

Joe spojrzał najpierw na nią, potem na dom, pochylając się lekko, by osłonić Lottie parasolem.

- Trochę za bardzo przypomina statek.

- Ale przecież właśnie o to chodzi. Stoi nad samym morzem.

Joe zasepił się, jakby umknęło mu coś ważnego.

- Tylko sobie wyobraź. Mógłbyś udawać, że płyniesz wielkim liniowcem. Po bezkresnym oceanie. - Zamknęła oczy, zapominając na krótko o kłótni z Celią, i wyobraziła sobie, jak spaceruje po górnych piętrach domu. Ta kobieta miała naprawdę wielkie szczęście - tyle przestrzeni tylko dla siebie, tyle pokoi, w których można siedzieć i marzyć. - Gdybym miała taki dom, byłabym najszczęśliwszą dziewczyną na świecie.

- Ja chciałbym mieć dom, którego okna wychodziłyby na zatokę.

Lottie spojrzała na niego zaskoczona. Joe nigdy ani jednym słowem nie wspominał o swoich pragnieniach. Dzięki temu był tak przyjemnym, choć niezbyt ekscytującym towarzyszem.

- Naprawdę? Ja chciałabym mieć dom nad zatoką z oknami jak iluminatory i ogromnym ogrodem.

Uśmiechnął się lekko, słysząc podniecenie w jej głosie.

- I z wielkim stawem, po którym pływałyby łabędzie - dodała zachęcająco.

- I araukarię - powiedział.

- O tak! Araukarię! I sześć sypialni z wielką garderobą. - Szli teraz wolniej, z twarzami zarumienionymi od deszczu i wiatru.

Joe zmarszczył brwi, trwając w zamyśleniu.

- I garaż, w którym mogłabyś postawić trzy samochody.

- Ach, ty znów z tymi swoimi samochodami. Ja chciałabym mieć wielki balkon przy sypialni. Czułabym, że stoję tuż nad powierzchnią morza.

- A pod nim basen. Mogłabyś zeskoczyć prosto z balkonu, gdybyś miała ochotę popływać.

Lottie wybuchnęła śmiechem.

- Zaraz rano! Jeszcze w koszuli nocnej! Tak! Tuż obok powinna być kuchnia, żeby pokojówka mogła mi natychmiast podać śniadanie.

- I stół przy basenie, żebym mógł przy nim siedzieć i patrzeć, jak pływasz...

- I taki wielki parasol... Co powie... - Lottie zwolniła. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Spojrzała na Joego kątem oka. Może tylko to sobie wyobraziła, ale poczuła, że jego uścisk na jej ręce słabnie, jakby spodziewał się, że zaraz ją wyrwie. - Och, Joe - westchnęła.

W milczeniu szli ścieżką nad klifem. Tuż przed nimi leciała samotna mewa, przysiadając co chwila na barierce w nadziei na jakiś smakowity kąsek.

Lottie machnęła ręką, by ją odpędzić. Poczuła, że ogarnia ją złość.

- Już ci mówiłam, Joe, nie jestem tobą zainteresowana tak, jak myślisz.

Patrzył prosto przed siebie, a jego policzki jeszcze bardziej poróżniały.

- Lubię cię. I to bardzo. Ale nie tak. Daj już sobie z tym spokój.

- Pomyślałem tylko... kiedy zaczęłaś opowiadać o domu...

- To była tylko zabawa, Joe. Głupia zabawa. Żadne z nas nie będzie nigdy miało domu choćby o połowę mniejszego. No, rozchmurz się. Proszę. Bo inaczej będę musiała iść dalej sama.

Zatrzymał się, zwolnił rękę Lottie i spojrzał jej prosto w oczy. Wyglądał bardzo młodo, a na jego twarzy malowało się zdecydowanie.

- Obiecuję, że nie będę już więcej o tym wspominał. Ale gdybyś wyszła za mnie za męża, Lottie, nigdy nie musiałabyś wracać do Londynu.

Podniosła wzrok na parasol, a potem mocno nim potrząsnęła. Krople deszczu opadły na jej głowę jak delikatna mgiełka.

- Nie wyjdę za męża. I mówiłam ci już, że ja tam nigdy nie wrócę. Nigdy.

Rozdział drugi

Pani Colquhoun wzięła głęboki oddech, wygładziła przód spódnicy i skinęła głową w stronę pianistki. W zatłoczonym salonie jej piskliwy sopran wzbił się w powietrze niczym młodziutki szpak do pierwszego, niepewnego jeszcze lotu, po czym nagle opadł jak tłusty bażant. Sylvia i Freddie, którzy schowali się za drzwiami prowadzącymi do kuchni, osunęli się na podłogę, zasłaniając sobie dłońmi usta, by powstrzymać się od śmiechu.

Lottie też próbowała ukryć uśmiech.

- Na waszym miejscu nie śmiałabym się tak bardzo - szepnęła nie bez przyjemności. - Macie z nią śpiewać podczas festynu na rzecz wdów i sierot.

Sześć miesięcy po pierwszej takiej imprezie „salony” pani Holden cieszyły się pewną „sławą” (lub niesławą - jak kto woli) wśród elity towarzyskiej Merham. Niemal każda z pań, która uważała się za osobę wpływową, uczestniczyła w odbywających się co drugą sobotę spotkaniach, które pani Holden zainicjowała, żywiąc nadzieję, że wniesie, jak to określiła, „powiew kultury” w atmosferę tego nadmorskiego miasteczka. Panie czytały fragmenty swoich ulubionych książek (w tym miesiącu były to *Dzieła zebrane* George'a Herberta), grały na pianinie lub -jeśli miały dość śmia-

łości - próbowały się zmierzyć z ulubioną pieśnią. Dlaczego ich przyjaciele z miasta mieliby przypuszczać, że żyją tutaj jak na kulturalnej pustyni, prawda?

Głos pani Holden, gdy zadawała to pytanie - a zadawała je często - brzmiał nieco płaczliwie, czemu winna była kuzynka Angela, mieszkająca w Kensington. Angela powiedziała kiedyś, śmiejąc się, że życie kulturalne Merham zyskałoby najwięcej, gdyby zbudowano tam molo. Na te słowa kąciki ust pani Holden opadły i minęło sporo czasu, zanim znów zdecydowała się zaprosić Angelę.

Liczba uczestniczek nie gwarantowała jednak wysokiego poziomu tych spotkań, czego najlepszym dowodem był wokalny popis pani Colquhoun. Niektóre siedzące w salonie kobiety zamrugały gwałtownie powiekami, przełknęły głośno ślinę i zaczęły skwapliwie sączyć herbatę z filiżanek, choć nie musiały się z tym wcale spieszyć. Kiedy pani Colquhoun nareszcie zbliżała się do końca, panie spojrzały po sobie ukradkiem. W takich wypadkach trudno było jasno wytyczyć granice szczerości.

- Ja jej co prawda nie poznałam, ale twierdzi, że jest aktorką - powiedziała pani Ansty, gdy ucichły zdawkowe brawa. - Wczoraj rozmawiała z moim Arturem, kiedy przyszła po krem do rąk. Była bardzo... rozmowna. - W ostatnim słowie udało się jej zawrzeć sporą dozę dezaprobaty.

Prawdę mówiąc, panie zjawiały się na spotkaniach głównie po to, by poplotkować. W pokoju zapadła cisza, a one pochyliły się nad swoimi filiżankami.

- Czy ona jest Węgierką?

- Nic o tym nie wspominała - odparła pani Ansty, dumna z pozycji najlepiej poinformowanej damy w tym gronie. - Szczerze mówiąc, Artur zauważył, że jak na kobietę, która tak dużo mówi, o sobie powiedziała niewiele.

Panie spojrzały na siebie, unosząc brwi, jakby już samo to było trochę podejrzanę.

- Podobno jest jakiś mąż, ale nigdy go nie widziałam - oznajmiła pani Chilton.

- Często bywa tam jakiś mężczyzna - dodała pani Colquhoun, jeszcze zarumieniona po emocjach popisu wokalnego. Ale faktem jest, że rumieniła się często. Po powrocie męża z Korei nie była już tą samą osobą co kiedyś. - Moja Judy spytała ich służącą, kto to taki, a ona odparła: „Och, to pan George”, jakby to wszystko tłumaczyło.

- Nosi płócienne ubrania. Przez cały czas. - W oczach pani Chilton była to prawdziwa ekstrawagancja.

Pani Chilton, wdowa, była właścicielką Uplands, jednego z największych pensjonatów przy Promenadzie. W normalnych okolicznościach nie miałyby wstępu na takie spotkanie, ale, jak pani Holden wyjaśniła Lottie, wszyscy wiedzieli, że Sarah Chilton popełniła mezalians, a po śmierci męża z trudem odzyskała jaką taką pozycję. Poza tym prowadziła cieszący się szacunkiem i bardzo porządnym pensjonat.

- Czy mogę zaproponować paniom jeszcze filiżankę herbaty? - Pani Holden pochyliła się w stronę drzwi prowadzących do kuchni. Starła się jednak nie poruszać zbyt gwałtownie z powodu gorsetu. Celia wyjawiała Lottie z nutką pogardy w głosie, że matka kupiła o numer za mały. Teraz zostawiał purpurowe ślady na biodrach.

- Gdzie się podziewa ta dziewczyna? Kręciła się tu przez cały ranek.

- Ich służąca powiedziała mojej Judy, że wcale nie chciała tutaj przyjeżdżać. Wcześniej byli w Londynie. Wydaje mi się, że wyjechali stamtąd w wielkim pośpiechu.

- Nie dziwi mnie wcale, że występuje na scenie. Ubiera się bardzo ekstrawagancko.

- To świetne określenie - prychnęła pani Chilton. - Wygląda, jakby wygrzebała ubrania z kufra ze strojami na bal maskowy.

W pokoju rozległ się cichy śmiech.

- Widzieliście ją? Jedwab i koronki o jedenastej rano! Kiedy w zeszłym tygodniu przyszła do piekarni, miała na głowie męski kapelusz filcowy. Męski! Pani Hatton z Promenady by-

ła tak zaskoczona tym widokiem, że wyszła ze sklepu z półtuzinem rożków z kremem, których wcale nie zamawiała.

- Drogie panie... - przerwała im pani Holden, która bardzo nie lubiła plotek. Lottie podejrzewała, że przyczyną tej niechęci była obawa, że sama może stać się ich tematem. - Kto następny? Sarah, moja droga, czy nie miałaś nam przeczytać tego pięknego wiersza Wordswortha? A może pana Herberta?

Pani Ansty ostrożnie postawiła filiżankę na spodeczku.

- No cóż, mogę tylko powiedzieć, że jak na mój gust wypowiada się nieco... niekonwencjonalnie. Możecie uznać, że jestem staroświecka, ale lubię, by wszystko odbywało się zgodnie z zasadami. Jeden mąż. Dzieci. Unikanie pośpiesznych wyjazdów skądkolwiek.

Panie siedzące na miękkich krzesłach pokiwaly z uznaniem głowami.

- Poczytajmy George'a Herberta. „W stół uderzyłem, krzycząc: Dostyć!”*. Czy to ten wiersz? - Pani Holden szukała książki na niskim stoliku. - Nie pamiętam dokładnie. Deirdre, masz może książkę?

- Nie zaprosiła nikogo do obejrzenia domu. Ale słyszałam, że towarzyszy jej tam dość dziwne grono.

- Można się było spodziewać, że wyda niewielkie przyjęcie. Nawet MacPhersonowie wydali. Tak przecież wypada.

- A może coś Byrona? - spytała z desperacją w głosie pani Holden. - Shelleya? Nie pamiętam już, o którego chodziło. Gdzież się podziewa ta dziewczyna? Virginia? Virginia?

Lottie wysunęła się cicho zza drzwi. Starała się nie rzucić w oczy pani Holden, gdyż ta kilkakrotnie zbeształa ją, że jest „nieustannie czujna”. Niedawno powiedziała jej, że bardzo dziwnie patrzy na ludzi. Że to przyprawia ich o dyskomfort. Lottie odparła, że nic na to nie poradzi - równie dobrze można ją oskarżyć o to, że jej włosy są zbyt proste lub dłonie mają zły kształt. W głębi duszy pomyślała, że prawdopodobnie

* George Herbert, *Jarzmo*, przeł. Stanisław Barańczak.

tylko panią Holden przyprawia o dyskomfort. Ale, jak się zdaje, ostatnio wszystko przyprawia panią Holden o dyskomfort.

Teraz pani Holden próbowała przerwać rozmowy o aktorce, gdyż, jak Lottie doskonale wiedziała, sama myśl o Adeline Armand przyprawia ją o dyskomfort. Kiedy się dowiedziała, że doktor Holden wpadł do Arcadii, by obejrzeć nos Frances, jej szczeka zaczęła drżeć nerwowo. Tym samym nerwowym drżeniem kwitowała oświadczenia doktora, że „spóźni się trochę” na kolację.

Do pokoju weszła Virginia i zabrała tacę, a jej obecność na chwilę uciszyła rozmowy. Pani Holden niemal niezauważalnie odetchnęła z ulgą i zaczęła się krzątać, wydając polecenia służącej.

- Jutro odbędzie się zebranie Zrzeszenia Właścielek Pensjonatów - oznajmiła pani Chilton, wycierając niewidzialne okruszki z kącików ust, gdy służąca wyszła. - Panuje powszechna opinia, że wszyscy powinniśmy podnieść ceny.

Na chwilę zapomniano o Adeline Armand. Rodziny pań uczęszczających na spotkania nie utrzymywały się co prawda z obsługi wczasowiczów - pani Chilton była jedyną, która pracowała - ale dochody wielu z nich były zasilane przez regularnych letnich gości. Drogeria pana Ansty'ego, zakład krawiecki pana Burtona tuż za Promenadą, nawet pan Colquhoun, który wynajmował część pola turystom z przyczepami kempingowymi - wszyscy latem osiągali znacznie wyższe dochody i w związku z tym zwracali uwagę na opinie i decyzje złożonego wyłącznie z pań bardzo wpływowego Zrzeszenia Właścielek Pensjonatów.

- Niektórzy uważają, że powinniśmy podnieść do dziesięciu funtów tygodniowo. Tyle liczą sobie we Frinton.

- Dziesięć funtów! - Gorączkowe szepty odbiły się echem od ścian salonu.

- Wtedy wszyscy z pewnością wybiorą się do Walton. - Pani Colquhoun wyraźnie pobladła. - Tam jest jednak sporo rozrywek.

- W pełni się z tobą zgadzam, Deirdre - powiedziała Sarah Chilton. - Ale nie sędzę, żeby posunęli się aż tak daleko. Poza tym, przy tak chłodnej i wietrznej wiośnie, jaką na razie mamy, nie powinniśmy kusić losu. W zrzeczeniu jestem jednak w wyraźnej mniejszości.

- Ale dziesięć funtów.

- Ludzie, którzy tu przyjeżdżają, nie szukają rozrywek. Pragną spędzić wakacje w... spokoju.

- I mogą sobie na to pozwolić.

- W tej chwili nikt nie może sobie na to pozwolić, Alice. Znasz kogoś, kogo stać na szastanie pieniędzmi?

- Dajmy sobie spokój z pieniędzmi - powiedziała pani Holden, gdy do salonu weszła Virginia z dzbankiem świeżo zaparzonej herbaty. - To trochę... wulgarne. Zostawmy tę sprawę paniom ze zrzeczenia. Jestem pewna, że one wiedzą najlepiej. Deirdre, co zrobiłaś z kartkami żywnościowymi? Sarah, z pewnością ulżyło ci teraz, kiedy twoi goście nie muszą ich już przywozić. Ja chciałam nasze wyrzucić do śmieci, ale moja córka oświadczyła, że powinniśmy je oprawić. Oprawić! Wyobrażacie sobie?

Lottie Swift miała ciemne, niemal czarne oczy i gładkie, ciemnobrązowe włosy, typowe dla osób pochodzących z subkontynentu azjatyckiego. Latem jej skóra opalała się zbyt szybko, a zimą z reguły przybierała ziemisty odcień. Gdyby matka Lottie i Susan Holden znały się, z pewnością zgodnie doszłyby do wniosku, że taka ciemna, choć delikatna karnacja nie jest szczególnie pożądana. Tam, gdzie Celia w swojej wielkoduszności dostrzegała smagłą Vivien Leigh czy Jean Simmons, matka Lottie widziała wyłącznie „maźnięciem ciemnym pędzlem” lub wszechobecne wspomnienie portugalskiego marynarza, z którym spotkała się na krótko, choć z długotrwałymi konsekwencjami, świętując swoje osiemnaste urodziny nieopodal doków we wschodnim Tilbury. „Masz w sobie krew ojca - mruzczała oskarżycielsko, gdy Lottie dorastała. - Byłoby dla mnie o wiele lepiej, gdybyś

zniknęła razem z nim". Po tych słowach gwałtownie przyciągała córkę do siebie i zamykała w mocnym uścisku, po czym równie szybko odpychała, jakby tak bliski kontakt był wskazany wyłącznie w małych dawkach.

Pani Holden, trochę delikatniejsza, zastanawiała się, czy Lottie nie powinna bardziej wyskubać brwi. I czy powinna spędzać tyle czasu na słońcu, bo „przecież tak szybko się opalasz. Chyba nie chcesz, żeby ludzie brali cię za... Cygankę albo kogoś takiego". Milkła, jakby w obawie, że powiedziała za dużo, a w jej głosie pobrzmiwała nuta współczucia. Lottie nie czuła się jednak dotknięta. Trudno obrażać się na osobę, która nie mniej zasłużyła na współczucie.

Według Adeline Armand karnacja Lottie nie była wcale dowodem jej niższej pozycji społecznej ani braku wychowania, tylko oznaką egzotyki, której nie umiała jeszcze docenić, i dziwnej, oryginalnej urody. „Frances powinna cię namalować. Frances, musisz ją koniecznie namalować. Ale nie w tych okropnych ubraniach, nie w tej serzy i bawełnie. Nie, w czymś jasnym. Jedwabnym. Co podkreśli twoją urodę i nie da się przyćmić. Bo ty - płoniesz, *non?*”. Mówiła z tak mocnym akcentem, że Lottie z niepokojem pomyślała, czy to nie jest dla niej obraźliwe.

- Chyba zionie - odparła Celia, daleka od zachwyty z powodu uwag Adeline. Zdążyła się już przyzwyczaić, że to nie na niej koncentruje się cała uwaga. Jej wygląd Adeline podsumowała krótko: „Urocza, tak typowo angielska”. Ubodło ją szczególnie to „typowo”.

- Wygląda zupełnie jak Frida Kahlo. Nie uważasz, Frances. Te oczy? Pozowałaś już kiedyś?

Zaskoczona Lottie spojrzała na Adeline. Ona miałaby pozować? Komu? Adeline czekała.

- Nie - wyręczyła ją Celia. - Ale ja tak. Kiedy byliśmy młodszy, rodzice zamówili portret rodzinny. Wisi w salonie.

- Ach tak. Portret rodzinny. To bardzo... stosowne, jak sądzę. A ty, Lottie? Czy twoja rodzina pozowała do portretu?

Lottie spojrzała na Celię, a przed oczami stanął jej wizerunek matki z palcami zniszczonymi od zszywania skóry, spoglądającej jak Susan Holden z obrazu nad kominkiem. Zamiast siedzieć elegancko z rękami splecionymi na kolanach, nachmurzyłyby się gniewnie, ściągając usta w cienką linię. Rzadkie farbowane włosy upięłyby z tyłu bardzo nietwarzowymi spinkami. Lottie siedziałyby obok niej z obojętną twarzą, z wyrazem czujności w ciemnych oczach. Tam, gdzie za swoją rodziną stał doktor Holden, na ich portrecie widniałoby puste miejsce.

- Lottie od dawna nie widziała rodziny, prawda, Lots? - wyjaśniła w imieniu przyjaciółki Celia. - Pewnie nawet nie pamięta, czy mają portret, czy nie.

Celia wiedziała doskonale, że jedynym „portretem”, jaki miała matka Lottie, było zdjęcie w lokalnej gazecie, na którym stała w rzędzie robotnic. Zrobiono je, kiedy fabryka Leather Emporium wznowiła pracę po wojnie. Matka wycięła zdjęcie z gazety, a Lottie przechowywała je, nawet gdy już pożółkło i postrzępiło się na brzegach, choć twarz matki była tak malutka, że trudno było ją rozpoznać.

- Nie jeżdżę już do Londynu - powiedziała powoli.

Adeline pochyliła się w jej stronę.

- Portret musi więc powstać tutaj, żebyś mogła go wręczyć rodzinie, kiedy znów się zobaczycie. - Dotknęła lekko dłoni Lottie, wpatrzonyj w jej niezwykły makijaż, a Lottie zerwała się z miejsca, jakby w obawie, że Adeline zechce pocałować jej rękę.

Była to piąta wizyta dziewcząt w Arcadii. Rezerwa, którą odczuwały początkowo w stosunku do wszystkich dziwnych mieszkańców, stopniowo zniknęła. Ustąpiła miejsca zaciekawieniu i poczuciu, że bez względu na to, co się tam dzieje, pomimo obrazów przedstawiających nagie kobiety i dość skomplikowanych układów dom i panująca w nim atmosfera są o wiele ciekawsze od spacerów po mieście, sędziowania meczów rozgrywanych przez dzieci lub przesiadywania w kawiarni przy kawie czy lodach.

W tym domu zawsze coś się działo, jakby odbywał się tam niekończący się spektakl teatralny. Wokół drzwi i nad piecem biegły dziwne malowane fryzy. Do ścian przyczepiano kartki z notatkami, najczęściej dotyczącymi prac artystów lub aktorów. Na stół wjeżdżały egzotyczne potrawy, przyrządzane z produktów przysyłanych przez ludzi z wielkich posiadłości w całym kraju. Pojawiali się i znikali nowi goście, rzadko jednak - oprócz grupy mieszkającej na stałe - przebywali tak długo, by dziewczęta zdążyły ich poznać.

Celia i Lottie były zawsze mile widziane. Pewnego dnia zjawiły się, gdy Adeline przebierała Frances za hinduską księżniczkę, owijając ją ciemnym jedwabiem przetykanym złotą nicią i malując wyszukane wzory na jej dłoniach i twarzy. Ona przebrała się za księcia. Nakrycie głowy, wykonane z delikatnych tkanin, przybrane pięknymi pawimi piórami, wyglądało jak prawdziwe. Marnie, pokojówka, stała z wyrazem buntu na twarzy, kiedy Adeline malowała skórę Frances zimną herbatą, i zniknęła w piwnicy, gdy kazano jej przynieść mąkę, żeby posypać nią włosy Adeline, by wyglądały na siwe. Dziewczęta patrzyły w milczeniu, kiedy dwie kobiety przybierały najróżniejsze pozy, a szczupły młody człowiek, który przedstawił się pompatycznie jako reprezentant „szkoły Modotti”, robił im zdjęcia.

- Musimy się gdzieś wybrać w tym przebraniu. Może do Londynu - oświadczyła Adeline, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze. - Będzie zabawnie.

- Jak na „Dreadnought”.

- Na czym? - Celia zapomniała na chwilę o manierach. W Arcadii często się jej to zdarzało.

- To świetny figiel, który spłatała Virginia Woolf. Wiele lat temu. - George wszystko dokładnie obserwował. Wyglądało na to, że nie miał w Arcadii innych zajęć. - Razem z przyjaciółmi pomalowała się na czarno i pojechała do Weymouth jako cesarz Abisynii i jego „dwór”. Jakiś porucznik oddał im królewski salut i wprowadził po pokładzie

pancernika „Dreadnought”. Wynikło z tego wielkie zamieszanie.

- Ale ile było zabawy! - wykrzyknęła Adeline, klaskając w dłonie. - Tak! Mogłybyśmy udawać radzę Radżastanu. I odwiedzić Walton-on-the-Naze.

Wybuchnęła śmiechem i okręciła się dookoła, aż zafurkotał jej niezwykły płaszcz. Potrafiła się zachowywać jak rozbawione dziecko, jakby nie była dorosłą kobietą, przytłoczoną brzemieniem trosk i odpowiedzialności, których zazwyczaj oczekuje się po kobiecie, lecz kimś w rodzaju Frediego lub Sylvii.

- Och, Adeline. Nie wymyślaj tylko niczego zbyt dramatycznego - napomniała znużonym głosem Frances. - Pamiętaj, co się zaczęło przy Calthorpe Street*.

Ale taka była Adeline. Celia wyznała później, że często nie rozumie nawet połowy tego, o czym się tu mówi. I nie tylko z powodu akcentu. Tam nikt nie rozmawiał o normalnych sprawach - o tym, co się dzieje w miasteczku, o cenach i pogodzie. W takich sytuacjach natychmiast zmieniano temat i zaczynało gawędzić o pisarzach i osobach, o których Celia i Lottie nigdy nie słyszały, przyjmując pozy, jakie pani Holden uznałaby za skandaliczne. Dziewczęta doskonale o tym wiedziały. I kłócili się. I to jak! O Bertranda Russella i jego żądanie zakazu produkcji broni atomowej. O poezję. O wszystko. Kiedy Lottie po raz pierwszy usłyszała „dyskusję” Frances i George’a o jakimś Giacomettim, wymiana zdań była tak namiętna, że Lottie przestraszyła się o Frances, żeby nie oberwała. Tak stałoby się z pewnością u niej w domu, gdy matka wykłócała się ze swoimi amantami. W domu Holdenów nikt się nigdy nie kłócił. Ale Frances, zazwyczaj wyciszona, melancholijna, odpierała każdy atak na Giacomettiego, po czym oświadczyła, że George ma prawdziwe problemy, gdyż powinien „reagować instynktem, a nie inte-

* Przy Calthorpe Street 28 w Edgbaston w 1919 r. brytyjski fizyk Ernest Rutherford przeprowadził pierwszą reakcję jądrową.

lektem", i wyszła z pokoju. Wróciła po półgodzinie, jakby nigdy nic, i spytała George'a, czy zabierze ją samochodem do miasta.

Mieszkańcy domu nie hołdowali żadnej z przyjętych zasad społecznych i towarzyskich. Pewnego razu Lottie zajrzała tam sama i Adeline oprowadziła ją po domu, pokazując wszystkie cudowne zakamarki. Nie zwracała najmniejszej uwagi na stopy książek i zakurzone dywany, nadal stojące pod ścianami. Pani Holden nigdy nie dopuściłaby do tego, by ktoś oglądał jej dom w takim stanie. Lecz Adeline zdawała się wcale tego nie zauważać. Kiedy Lottie wskazała na brakującą tralkę przy schodach, Adeline wyglądała na lekko zaskoczoną, po czym odparła, że każe się tym zająć Marnie. A twój mąż? - chciała spytać Lottie, lecz Adeline już weszła do pokoju.

No i to jej zachowanie w stosunku do Frances: razem nie tyle przypominały siostry (nie kłóciły się wcale jak siostry), ile stare małżeństwo. Kończyły nawzajem swoje wypowiedzi, śmiały się z sobie tylko znanych żarcików, opowiadały anegdoty o miejscach, które razem odwiedzały. Adeline mówiła o wszystkim, nie wyjawiając niczego. Kiedy Lottie wracała myślami do każdej wizyty, a robiła to często, gdyż każda z nich była tak barwna i pełna emocji, że musiała ją potem spokojnie przetrwać, uświadamiała sobie, że wie o aktorce niewiele więcej niż podczas pierwszej bytności w Arcadii. Jej mąż, którego imienia jeszcze nigdy nie wymieniła, „pracował za granicą”. „Kochany George” zajmował się ekonomią i miał tak „błyskotliwy umysł”. (Założę się, że jest „błyskotliwym adoratorem”, zauważyła Celia, której odziany w płóciennie garnitury młody mężczyzna zaczynał się coraz bardziej podobać). Nikt nigdy nie powiedział, co w tym domu robi Frances, choć dziewczęta zauważyły, że w przeciwieństwie do Adeline nie nosi obrączki. Adeline nie wypytywała też o nic Lottie: poznawszy kilka szczegółów - czy maluje, czy interesuje się pewnymi rzeczami - nie przejawiała żadnego zaciekawienia jej przeszłością, rodzicami, pozycją.

Lottie nie mogła się temu nadziwić, gdyż dorastała w dwóch domach, w których - choć bardzo się od siebie różniły - uważano, że przeszłość człowieka stanowi najlepszą wskazówkę co do jego przyszłości. W Merham przeszłość Lottie oznaczała, że otrzyma to, co prawnie należało się Celi: wykształcenie, wychowanie, ubrania i jedzenie, choć obie strony zdawały sobie sprawę, że wszystkie te dary nie są do końca bezinteresowne, zwłaszcza teraz, gdy Lottie niebawem miała stać się pełnoletnia. Osoby pokroju pani Ansty, Chilton i Colquhoun oceniały ludzi na podstawie ich przeszłości oraz zajmowanej pozycji i z ich powodu przypisywały im najróżniejsze cechy, na przykład: „To Thompson. Oni wszyscy są leniwi” albo: „Od początku było wiadomo, że ona wyjedzie. Jej ciotka uciekła dwa dni po połogu”. Nie interesowało ich zupełnie, na czym komu zależy ani jakie ma przekonania. Celia mogła do końca swoich dni liczyć na ciepłe miejsce na tym zbiorowym łonie - była przecież córką lekarza, pochodziła z jednej z najlepszych rodzin w Merham, mimo że oficjalnie została uznana za „niesforną”. Gdyby jednak Lottie zwróciła się do pani Chilton, jak zrobiła to kiedyś Adeline: „Gdybyś mogła obudzić się pewnego dnia w ciele innej osoby i pozostać nią na jeden dzień, kogo byś wybrała?” - gdyby więc Lottie spytała panią Chilton, kogo jej przeznacza, ta zapewne odpowiedziałaby, że powinna trafić do sympatycznej instytucji w Braintree, gdzie takimi jak ona zajmują się lekarze... tak jak biedną panią McGrath, która przebywa tam od czasu, gdy z powodu comiesięcznych przypadłości zaczęła się dość dziwnie zachowywać.

To z pewnością bohema, uznała Lottie, która niedawno odkryła znaczenie tego słowa. Tego właśnie należy oczekiwać po bohemie.

- Nie obchodzi mnie, kim są - powiedziała Celia. - Ale są o całe niebo bardziej interesujący niż ta nudna zgraja, która nas tu otacza.

Joe Bernard niezwykle rzadko wzbudzał tak wielkie zainteresowanie nie jednej, ale dwóch atrakcyjnych młodych miesz-

kanek Merham. Im dłużej jednak Adeline Armand mieszkała w miasteczku, tym częściej wyrażano zaniepokojenie z powodu jej niekonwencjonalnego stylu życia, toteż Lottie i Celia musiały wykazywać coraz większą inwencję w ukrywaniu swoich wizyt w Arcadii. W sobotnie popołudnie, kiedy Adeline wydawała przyjęcie w ogrodzie, nie miały już innego wyjścia i musiały zadzwonić do Joego. Większość matek ich przyjaciółek zjawiała się z wizytą u pani Holden, więc wymówka w postaci odwiedzin u jednej z nich nie wchodziła w grę. Na dodatek Sylvia, wściekła, że Celia nie dotrzymała obietnicy i nie pozwoliła jej nawet dotknąć swojego nowego gramofonu, zagroziła, że będzie je śledzić i natychmiast poskarży mamie, jeśli tylko zrobią coś zakazanego. Joe, który nie musiał tego popołudnia pracować w warsztacie, zgodził się przyjechać i udawać, że zabiera je na piknik w Bardness Point. Nie można powiedzieć, żeby zbytnio się do tego palił (nie lubił kłamać - czerwienił się wtedy jeszcze bardziej niż zazwyczaj), lecz Lottie postanowiła wykorzystać swoje „pałace spojrzenie”, jak sarkastycznie określała to Celia, i Joe musiał się zgodzić.

Salon pani Holden zalewał wpadający przez okna blask pięknego popołudnia. Była to jedna z tych majowych sobót, które zapowiadają mający nadejść lada dzień cudowny letni czas. W takie dni na ulice Merham wychodziły całe rodziny, by pospacerować, a wystawy sklepów pełne były piątek plażowych i kolorowych widokówek. W powietrzu unosiły się radosne okrzyki podnieconych dzieci oraz zapachy waty cukrowej i olejku do opalania. Porywiste wiatry, które prześladowały wschodnie wybrzeże, ustały przynajmniej na kilka dni, a temperatura i nastroje znacznie się poprawiły, co - być może nieco przedwcześnie - zwiastowało pierwszy prawdziwy dzień lata. Lottie wychyliła się przez okno i wystawiła twarz do słońca. Nawet po tylu spędzonych tu latach nadal ogarniało ją lekkie podniecenie na myśl, że jest nad morzem.

- Joe, co zamierzasz robić, kiedy my tam będziemy? -
Siedząca na tylnym siedzeniu Celia malowała właśnie usta szminką.

Joe przejechał skrzyżowanie, które dzieliło miasto na dwie części. Choć Arcadia w linii prostej znajdowała się kilometr od Woodbridge Avenue, aby tam dotrzeć samochodem, trzeba było wjechać do miasta, minąć park i wyjechać znów na krętą drogę ciągnącą się wzdłuż wybrzeża.

- Pojadę do Bardness Point.

- Sam? - Celia z trzaskiem zamknęła puderniczkę. Miała na sobie jasnoczerwoną sukienkę szeroką u dołu, ściskając ją niemal boleśnie w talu, i białe rękawiczki. Nie potrzebowała gorsetu, choć matka stale próbowała ją namówić, by go nosiła. W nim będzie wyglądać „przyzwoicie”.

- Pojadę tam na wypadek, gdyby twoja matka po powrocie pytała nas o pogodę. Muszę wiedzieć, jak tam było, żeby nie zaczął się niepotrzebnie płatać.

Lottie nagle poczuła wyrzuty sumienia na myśl, że tak paskudnie go wykorzystują.

- Jestem pewna, że nie musisz tego robić - powiedziała. - Możesz nas wysadzić przed domem. Pani Holden nie będzie miała okazji, żeby o cokolwiek cię zapytać.

Joe zacisnął usta i włączył prawy migacz, sygnalizując zamiar skrętu w główną ulicę.

- Zgoda, ale jeśli tak zrobię, to moja matka będzie chciała koniecznie wiedzieć, dlaczego nie przekazałem pozdrowień pani Holden, i wpadnie w złość.

- Słusznie, Joe - odparła Celia. - Moja mama z pewnością też będzie chciała pozdrowić twoją.

Lottie była przekonana, że pani Holden nie będzie miała najmniejszego zamiaru nikogo pozdrawiać.

- Co w ogóle będzie się działo w tym domu? O której mam po was przyjechać?

- Wydają przyjęcie w ogrodzie. Na pewno podadzą podwieczorek, nie sądzisz, Lots?

Lottie z trudem mogła sobie wyobrazić biszkopty i ciasteczka maślane podawane w Arcadii. Nie miała pojęcia, jak inaczej mogłoby wyglądać przyjęcie w ogrodzie.

- Chyba tak - powiedziała.

- Wpół do szóstej? Szósta?

- Lepiej o wpół - odparła Celia, machając do kogoś przez okno. Po chwili przypomniała sobie, że siedzi w samochodzie Joego, i opadła z powrotem na siedzenie. - Zdażymy wrócić do domu, zanim mama zacznie szaleć.

- Nie zapomnimy ci tego, Joe.

Kiedy przyjechali na miejsce, na podjeździe stały tylko dwa samochody, co nie wyglądało zbyt imponująco. Gdy Joe właśnie tak to podsumował, Celia, już lekko podniecona, burknęła złośliwie:

- Całe szczęście, że nie zostałeś zaproszony.

Joe nic nie odpowiedział, nie miał w zwyczaju niegrzecznie odburkiwać. Ale się też nie uśmiechnął, nawet gdy Lottie przepraszającym gestem ścisnęła go za ramię. I odjechał, nie machając im na pożegnanie.

- Nienawidzę ludzi, którzy się dają - rzuciła radośnie Celia, naciskając guzik dzwonka. - Mam nadzieję, że nie podadzą ciastek kokosowych. Nie znoszę kokosu.

Lottie czuła, że robi się jej trochę niedobrze. Nie przepadała za spotkaniami towarzyskimi tak jak Celia, być może dlatego, że czuła się nieswojo, gdy musiała opowiadać o sobie ludziom, którzy jeszcze jej nie znali. Nigdy nie wystarczała im informacja, że mieszka u Holdenów. Od razu chcieli wiedzieć dlaczego, potem jak długo tam jeszcze zostanie i czy tęskni za matką. Na ostatnim przyjęciu wydanym przez panią Holden w ogrodzie (na rzecz biednych dzieci w Afryce) popełniła błąd, wyznając, że nie widziały się już od ponad roku, i ku swej wielkiej rozpaczycy poczuła, że wszyscy spoglądają na nią z litością.

- Są na zewnątrz - powiedziała Marnie, otwierając drzwi. Wyglądała jeszcze bardziej posępnie niż zazwyczaj, jeśli to w ogóle było możliwe. - Nie będziesz potrzebowała rękawiczek - mruknęła, idąc za nimi korytarzem i wskazując dłonią ogród na tyłach domu.

- Mam je zdjąć czy nie? - szepnęła Celia, gdy szły w stronę światła.

Lottie, która już zaczęła nasłuchiwać głosów dobiegających z ogrodu, nie odpowiedziała.

Od pierwszej chwili dało się zauważyć, że przyjęcie nie ma nic wspólnego z tradycyjnym tego typu zebraniem towarzyskim. W ogrodzie nie było dużego namiotu (pani Holden zawsze go rozstawiała na wypadek deszczu) ani wiklinowych stolików. Gdzie postawią jedzenie? - pomyślała Lottie, błędząc roztargnionym wzrokiem, i natychmiast skarciła się w duchu, że zachowuje się jak Joe.

Kiedy przeszły przez patio, Marnie wskazała im schody prowadzące na niewielką prywatną plażę. Tam właśnie na kilku kocach usadowili się goście, niektórzy wyciągnięci wygodnie, z bosymi stopami, pogrążeni w rozmowie.

Adeline Armand siedziała na jaskrawozielonym szalu z lśniącego materiału. Miała na sobie różową letnią sukienkę z krepdeszynu i miękki biały kapelusz z szerokim rondem. Lottie jeszcze nigdy nie widziała jej w tak konwencjonalnym stroju. Otaczało ją trzech mężczyzn, w tym George, który ukryty w cieniu wielkiego parasola, obrywał liście z bardzo dziwnie wyglądającej rośliny (karczocha, wyjaśniła później Adeline) i podawał jej jeden po drugim. Frances włożyła kostium kąpielowy, który podkreślał jej zaskakująco szczupłą, wysportowaną sylwetkę. Widać było, że czuje się w nim znacznie swobodniej niż w ubraniu, kiedy wybuchnęła radosnym śmiechem w odpowiedzi na słowa swojego sąsiada. Otwarto już co najmniej cztery butelki czerwonego wina. Poza mieszkańcami Arcadii Lottie nie знаła nikogo. Stała nieruchomo, czując się straszliwie głupio w białych rękawiczkach. Za jej plecami Celia próbowała ściągnąć swoje.

Nagle George podniósł wzrok i zauważył je.

- Witajcie na naszym małym *dejeuner sur l'herbe**, dziewczęta! - zawołał. - Siadajcie.

* Śniadanie na trawie - zapewne aluzja do słynnego obrazu **Ćdouarda Maneta**.

Celia zdążyła już zrzucić buty. Szła ostrożnie po piasku w stronę George'a, kołysząc biodrami w sposób, który pracowicie ćwiczyła w domu, kiedy sądziła, że nikt jej nie widzi. Nie umknęło to jednak uwadze Lottie.

- Jesteście głodne? - spytała Frances, która wyglądała na niezwykle radosną i ożywioną. - Mamy pstrągi i wspaniałą sałatkę ziołową. I jeszcze kaczkę na zimno. Chyba trochę zostało.

- Już jadłyśmy, dziękujemy - powiedziała Celia, siadając. Lottie usadowiła się trochę z tyłu, żałując, że tak niewiele osób stoi. Była przekonana, że wtedy znacznie mniej rzucałyby się w oczy.

- Macie może ochotę na owoce? Mamy przepyszne truskawki. Czy Marnie zabrała je już do domu?

- One nie chcą nic jeść. Chcą się napić - oświadczył George, który zdążył już nalać dwa duże kieliszki czerwonego wina. - Proszę - powiedział, unosząc jeden z nich do światła. - Jeden dla Czerwonego Kapturka.

Celia spojrzała na swoją sukienkę, po czym podniosła wzrok zachwycona, że zwrócono na nią uwagę.

- Za delikatny kwiat młodości.

- Och, George. - Blondynka w ogromnych okularach słonecznych pochyliła się i poklepała go po ramieniu. Na widok tego gestu Celia od razu się najeżyła.

- Powinny się nim cieszyć, dopóki go mają. - Widać było po nim, że popijał przez cały dzień. Dało się to również słyszeć w jego głosie, gdy lekko przeciągał samogłoski. - Bóg jeden wie, że długo nie będą tak wyglądać.

Lottie nie spuszczała z niego wzroku.

- Frances już wie. Minie pięć lat, a staną się matronami o szerokich biodrach, z kilkoma dzieciakami czepiającymi się spódnicy. Będą filarami moralnej większości mieszkańców Merham.

- Nic o tym nie wiem - odparła z uśmiechem Frances, opierając długie nogi o kosz piknikowy.

Coś w tonie głosu George'a sprawiło, że Lottie poczuła się

nieswojo. Jednak Celia wzięła od niego kieliszek i wypić połowę zawartości, jakby przyjmowała wyzwanie.

- Ja na pewno nie - powiedziała, uśmiechając się od ucha do ucha. - Za pięć lat już mnie tu nie znajdziecie.

- *Non?* A gdzie będziesz? - Pod szerokim rondem trudno było dojrzeć wyraz twarzy Adeline. Widać było tylko jej drobne usta rozciągnięte w uprzejmym, badawczym uśmiechu.

- Nie wiem. Może w Londynie. Albo w Cambridge. Może nawet w Paryżu.

- Na pewno nie, jeśli twoja matka postawi na swoim. - Coś w pełnym determinacji luzie, który zawsze cechował zachowanie Celi w tym towarzystwie, zirytowało Lottie. - Chce, żebyś tu została.

- W końcu się opamięta.

- To ty tak myślisz.

- O co chodzi? - spytał George, pochylając przystojną twarz w stronę Celi. - Czy Mater martwi się o twoje dobro moralne?

Widząc, jak na siebie patrzą, Lottie poczuła ucisk w piersi.

- No cóż... - zaczęła chytrze Celia. W jej oczach pojawił się nagle błysk obietnicy. - Przecież dookoła aż się roi od wielkich złych wilków.

Lottie przysiadła w końcu na brzegu szala Adeline, walcząc z przemożnym pragnieniem odgarnięcia piasku, który ukrył się w jego zwojach. Czuła się jak prowincjonalna gaska, zbyt wystrójona na tę okazję. Z trudem nadażała za toczącym się tuż obok dialogiem, tak że zrobiło się jej głupio. Adeline, która zwykle bardzo dbała o to, by nie była skrepowana, skupiła się na rozmowie z mężczyzną, którego Lottie nigdy wcześniej tam nie widziała. Popijała wino, próbując się nie krzywić, i sięgnęła do miski z wiśniami.

- Cudowny dom, Adeline. Ale jest bardziej modernę niż deco, nie sądzisz?

- Jasne, że Russell jest głupcem. Jeśli sądzi, że Eden zwróci najmniejszą choćby uwagę na niego i jego naukowców, to jest w dodatku naiwnym głupcem.

- Czy mówiłam ci, że Archiemu udało się wreszcie umieścić jedną pracę na Letniej Wystawie? Powiesili ją tak, że wygląda jak znaczek pocztowy, ale przecież nie można mieć wszystkiego...

To było długie popołudnie. Nie podano ciastek kokosowych. Lottie otuliła ramiona swetrem, by zbyt nie opały, i obserwowała, jak przypływ powoli się cofa. Plaża stała się coraz szersza, a piękny zamek, który najwyraźniej powstał tego ranka, zamieniał się powoli w smutną kupkę piasku. Słyszała, jak gdzieś za nią Celia chichocze podekscytowana, i wiedziała, że przyjaciółka pije. Dziewczęta piły wino jedynie podczas Bożego Narodzenia. Nawet maleńki kieliszek sherry, na który pozwolono im w zeszłym roku przed lunchem, sprawił, że Celia zarumieniła się, a jej głos brzmiał bardzo piskliwie. Lottie, opróżniwszy kieliszek do połowy, wylewała po kryjomu resztę na piasek za sobą. Mimo to bolała ją głowa i była lekko oszołomiona.

Kiedy Marnie sprzątnęła ostatnie talerze, Lottie przesunęła się trochę, by móc widzieć Celię. Przyjaciółka opowiadała właśnie z przejęciem George'owi o „ostatnim pobycie w Paryżu”. Fakt, że nigdy w tym mieście nie była, jakoś nie zbijał jej z tropu. Lottie zauważyła, że pomiędzy Celią a wysoką blondynką rodzi się pewne współzawodnictwo, doszła więc do wniosku, że nie należy teraz demaskować przyjaciółki. Pod wielkimi okularami uśmiech blondynki zaczął powoli przechodzić w grymas i czując smak zwycięstwa, Celia rozkręcała się coraz bardziej.

- Kiedy będę tam następnym razem, zjem kolację w La Coupole. Byłeś kiedyś w La Coupole? Słyszałam, że podają wyśmienitego homara.

Wyciągnęła nogi przed siebie, pozwalając, by szeroka spódnica uniosła się w okolice kolan.

- Jest mi okropnie gorąco, George - oznajmiła nagle blondynka. - Wejdzmy do domu?

Och, Celio, pomyślała Lottie, trafiłaś na godną siebie przeciwniczkę.

Celia spojrzała na George'a, który z twarzą wystawioną do słońca palił cygaro.

- Rzeczywiście jest dość ciepło - powiedział. Usiadł, otrzepując piasek z rękawów.

Frances podniosła się z koca.

- Mnie też jest gorąco. Chyba pora popływać - uznała. - Idziesz, Adeline? Ktoś jeszcze?

- Jestem zbyt senna, kochanie - odparła Adeline. - Popatrzę tylko.

George, potrząsając ciemnymi włosami niczym wielki kudłaty pies, zaczął rozpinąć koszulę.

- Tego nam trzeba - oświadczył, gasząc cygaro. - Miłej, odświeżającej kąpieli. Irene?

Blondynka zmarszczyła nos.

- Nie mam kostiumu.

- Nie potrzebujesz go, kobieto. Możesz pływać w bieliznie.

- Nie, George. Popatrzę na was z brzegu.

Pozostali mężczyźni rozbierali się już do spodenek. Lottie, która jeszcze przed chwilą obawiała się, że zaraz zaśnie, wyprostowała się gwałtownie i z przerażeniem obserwowała to gremialne obnażanie się.

- Chodźcie dziewczęta. Lottie? Na pewno umiesz pływać.

- Ona nigdy nie wchodzi do wody. Boi się.

Teraz Lottie miała już pewność, że Celia za dużo wypiła. Gdyby była trzeźwa, nie potraktowałaby przyjaciółki tak obcesowo i nie dała wszystkim do zrozumienia, że nie umie pływać (dla mieszkanki wybrzeża to po prostu wstyd). Lottie rzuciła jej pełne wściekłości spojrzenie, lecz Celia, zajęta zamkiem od sukienki, nie zwracała na nią uwagi.

- Co ty wyprawiasz?

- Idę popływać. - Celia uśmiechnęła się promiennie. - Nie patrz tak na mnie, Lots. Mam na sobie bieliznę. Przecież nie różni się tak bardzo od kostiumu.

Pobiegła z piskiem za George'em i innymi amatorami kąpieli w stronę brzegu. Frances weszła pierwsza, zmagając się

z falami, aż woda sięgnęła jej do talii. Zaraz potem zanurkowała jak morświn, mocząc kostium, który przypominał teraz lśniąca skórę fokii.

Celia weszła po kolana i zawahała się. Stała przez chwilę nieruchomo, dopóki George nie chwycił jej za ramię i nie okręcił dookoła, aż w końcu wpadła po szyję. Wokół nich pozostali goście walczyli z falami, pryskając wodą na siebie nawzajem; mężczyźni nadzy do pasa, kobiety w koronkowej bieliźnie. Lottie zauważyła, że żadna z nich nie ma na sobie gorsetu.

Kiedy Celia się odwróciła, by do niej pomachać, Lottie pożałowała, że wysiłki pani Holden, która chciała przekonać córkę do noszenia gorsetu, nie okazały się bardziej owocne - mokra halka i bielizna skrywały naprawdę niewiele. Schowaj się pod wodę, próbowała pokazać na migi przyjaciółce, lecz roześmiana Celia nie zwracała na nią uwagi.

- Nie martw się, kochanie - rozległ się za nią niski, spokojny głos Adeline. - Nikt nie będzie na nią patrzył. We Francji zwykle paradujemy nago od pasa w górę.

Lottie starała się nie zastanawiać nad tym, co jeszcze mogło się wydarzyć na wakacjach we Francji. Uśmiechnęła się blade i sięgnęła po butelkę z winem. Nagle poczuła, że koniecznie musi się czymś wzmocnić.

- Tu chodzi tylko o panią Holden - powiedziała cicho. - Chyba nie będzie zachwycona.

- Proszę. - Adeline podała jej duży wzorzysty szal. - Daj jej to. Powiedz, że to sarong i że noszą go największe elegantki.

Lottie o mało co jej nie ucałowała. Wzięła szal i ruszyła w stronę wody, zawiązując sweter w talii. Było już późne popołudnie i nie musiała się bać słońca.

- Masz! - krzyknęła. Fale raz po raz oblewały jej stopy. - Weź to, Celio.

Jednak przyjaciółka jej nie słyszała. A może nie chciała słyszeć. Piszcząca, gdy George chwycił ją w pasie, podnosił wysoko w powietrze, a potem rzucał do wody.

- Celia!

Sprawa była beznadziejna. Czuła się jak stara, pruderyjna ciotka.

Wreszcie zauważył ją George. Przeszedł przez fale - mokre włosy przykleiły mu się do głowy, a podwinięte spodnie oblepiały uda.

Lottie starała się patrzeć mu prosto w twarz.

- Możesz to dać Celii? Adeline powiedziała, że to sarong czy coś takiego.

- Sarong, tak? - George wziął szal i zerknął na Celię, która w tej właśnie chwili rzuciła się plecami na fale. - Sądzisz, że trzeba ją trochę zakryć, tak?

Lottie spojrzała na niego z wyrazem powagi na twarzy.

- Ona chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo jest odkryta.

- Och, Lottie, Lottie, poważna strażniczko moralności... Spójrz tylko na siebie, jesteś cała spocona i przejęta przyjaściółką. - Popatrzył na szal, a na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiech. - Mam lepszy pomysł - powiedział i dodał - ty chyba potrzebujesz ochłody. - Bez słowa ostrzeżenia chwycił ją w pasie i zarzucił sobie na mokre ramię.

Lottie podskakiwała lekko, kiedy zaczął biec, i w panice wyciągała ręce do tyłu, by sprawdzić, czy sukienka zakrywa majtki. Nagle poleciała w dół, a wielka fala słonej wody zalała jej twarz. Kaszłąc i plując, próbowała odnaleźć stopami dno. Gdzieś nad głową słyszała tłumiony przez morze śmiech, a potem, chwytając z trudem powietrze, wyłoniła się spod powierzchni. Wreszcie udało się jej pewnie stanąć. Oczy piekły ją od soli, a gardło płonęło. Zwalczyła kilka skurczów żołądka i na oślep ruszyła w stronę plaży. Kiedy tam w końcu dotarła, pochyliła się i zaczęła ciężko oddychać. Mokra sukienka skleiła się z halką i oblepiła jej nogi. Góra z jasnej bawełny stała się niemal przezroczysta, ukazując zarys stanika. Podnosząc rękę do głowy, uświadomiła sobie, że ma rozpuszczone włosy. Spinający je szylkretowy grzebień zniknął w falach.

Podniosła wzrok i ujrzała roześmianego George'a stojącego z rękami opartymi na biodrach, a tuż za nim Celię z wyrazem rozbawienia na twarzy.

- Ty wstrętna świnió. - Słowa padły z jej ust, zanim zdążyła się zorientować, że je wypowie. - Jak mogłeś? To wcale nie było śmieszne.

George na chwilę oniemiał. Wśród gości nadal siedzących na kocach zapanowała cisza.

- No tak, dla ciebie to jest cholernie zabawne! - wrzasnęła, czując w gardle ucisk, zwiastujący łzy. - Dla ciebie z tymi twoimi pieniędzmi i płóciennymi garniturami! Nie obchodzi cię, jeśli zniszczysz ubranie. Spójrz tylko na moją sukienkę! No spójrz! To moja najlepsza! Pani Holden chyba mnie zabije! I przez ciebie zgubiłam ten cholerny grzebień. - Ku swemu przerażeniu poczuła, że po jej twarzy płyną łzy, gorące łzy złości i upokorzenia.

- Uspokój się, Lots - rzuciła Celia nachmurzona. Lottie wiedziała, że przynosi jej wstyd, ale niewiele ją to obchodziło.

- Daj spokój, Lottie. To był tylko żart. - George ruszył w jej stronę. Na jego twarzy malowały się jednocześnie irytacja i prośba o wybaczenie.

- Bardzo głupi żart. - Lottie obejrzała się i ujrzała za sobą Adeline. Trzymała w rękach szal, którym chciała ją okryć. W jej oczach widać było naganę. Kiedy stanęła tuż obok, Lottie poczuła ostry zapach jaśminu.

- George, musisz ją przeprosić. Lottie jest naszym gościem i nie miałeś prawa tak postąpić. Lottie, jest mi bardzo przykro. Marnie wypierze twoją śliczną sukienkę i z pewnością będzie wyglądać jak nowa.

Ale jak wrócę do domu? - pomyślała z rozpaczą Lottie. Przed oczami stanęła jej wizja siebie wędrującej drogą w należącym do Adeline boa z piór i chińskich pantofelkach. Rozmyślenia przerwał ostry głos, dobiegający ze ścieżki nad klifem.

- Celio Jane Holden. Co ty wyprawiasz?

Lottie odwróciła się gwałtownie i ujrzała nad sobą przerażone twarze pani Chilton i Colquhoun, które tym malowniczym szlakiem wracały z Woodbridge Avenue do domu.

- Natychmiast wyjdź z wody i włóż ubranie. Gdzie twoje poczucie przyzwoitości i dobre wychowanie?

Celia zbladła jak ściana. Podniosła ręce do piersi, jakby nagle zdała sobie sprawę ze swojego wyglądu. George uniósł dłonie w uspokajającym geście, lecz pani Chilton wyprostowała się dumnie, wypinając pierś do przodu, i wcale nie zamierzała dać się ułagodzić.

- Nie mam pojęcia, kim jesteś, młody człowieku, ale jesteś już na tyle dorosły, żeby wiedzieć, jak należy się zachować. Namawiasz przyzwoite dziewczęta, żeby w biały dzień się rozbierały... Nie masz za grosz wstydu. - Ujrzała leżące na piasku butelki po winie. - Celio Holden, mam nadzieję, że nie piłaś. Wielkie nieba! Chcesz zniszczyć sobie reputację? Twoja matka na pewno nie będzie tym wszystkim zachwycona.

Tymczasem pani Colquhoun przyłożyła dłonie do ust. Była tak wstrząśnięta, jakby przed chwilą stała się świadkiem składania ofiary z człowieka.

- Pani Chilton... ja...

- Lottie? To ty? - Pani Chilton opuściła podbródek, tak że zlał się z szyją, tworząc jeden wielki pień dezaprobaty. - Wychodźcie stąd natychmiast. Obie, zanim ktoś was zobaczy. - Podniosła torebkę do piersi, ściskając mocno rączkę. - Nie patrz tak na mnie, Celio. Nie zostawię was tutaj z tymi bezwstydnikami. Sama zaprowadzę was do domu. Wielkie nieba, nie mam pojęcia, co na to powie twoja biedna matka.

Trzy tygodnie później Celia wyjechała do Londynu, by zacząć naukę w szkole dla sekretarek. Pani Holden uważała, że to bardzo surowa kara, i nie mogła pojąć, dlaczego jej córka wygląda na zadowoloną z takiego obrotu sprawy. Celia miała zamieszkać z kuzynką pani Holden w Kensington, a jeśli będzie sobie dobrze radzić w szkole, rozpocznie pracę w biurze jej męża w Bayswater.

- Londyn, Lots! Tylko sobie wyobraź: życie bez dobroczynnych herbatk i rodzeństwa. - Przez całe trzy tygodnie przed wyjazdem Celia była w niezwykle dobrym nastroju.

Lottie wysłuchiwała kazań, jakie wygłaszał Celi ojciec, i w bezpiecznej ciszy ich wspólnego pokoju zastanawiała się, co to oznacza dla niej. Nikt nie wspominał ani słowem o jej wyjeździe do Londynu. Nie chciała wyjeżdżać. Kiedy jednak usłyszała, jak mówią przytłumionym głosem o „złym wpływie”, wiedziała, że nie mają na myśli Celi.

Rozdział trzeci

Trzeba to powiedzieć: nie należała do dziewcząt, które budzą sympatię, nawet jeśli bardzo się starała. Chociaż właściwie nikt nie miał do niej zastrzeżeń - zawsze chętnie pomagała, była porządna i zazwyczaj bardzo uprzejma i grzeczna (w przeciwieństwie do Celii nie miała skłonności do zachowania, jakie jej mąż określał mianem „histerii”) - ale potrafiła być straszliwie szorstka. I tak szczerza w swoich wypowiedziach, że można to było uznać za brak dobrego wychowania.

Kiedy pani Chilton przyprowadziła je do domu w to feralne sobotnie popołudnie (ciagle jeszcze śniło jej się to po nocach), Celia miała przynajmniej na tyle przyzwoitości, by się zawstydić. Objęła matkę i mówiła błagalnym tonem: „Och, mamusiu, wiem, że zachowałam się okropnie. Jest mi strasznie przykro z tego powodu. Naprawdę”. Choć była wściekła, córka zupełnie ją zaskoczyła. Nawet kamienna twarz pani Chilton nieco się rozchmurzyła. Kiedy Celia rozpoczynała przedstawienie, trudno było się jej oprzeć.

Lottie za nic nie przepraszała. Wyglądała nawet na zagniewaną, gdy kazano jej przeprosić za niestosowne zachowanie, i rzuciła, że ona nie tylko się nie rozebrała, ale też nigdy z własnej woli nie weszłaby do wody, o czym wszyscy dobrze wiedzieli. Tyle tylko że powiedziała „cholernie do-

brze". Na dźwięk tego słowa pani Holden natychmiast się wyprostowała. W tej dziewczynie nadal było coś z przekupki, mimo jej największych wysiłków.

Nie, powiedziała Lottie. Nie będzie przeproszać za swoje zachowanie. Owszem, jest jej bardzo przykro, że skłamały, mówiąc, iż wybierają się na piknik. Owszem, była na plaży, kiedy Celia rozebrała się do bielizny, i nie próbowała jej powstrzymać. Ale sama była raczej ofiarą niż winowajcą.

W tym momencie pani Holden rozgniewała się na dobre i kazała jej iść do swojego pokoju. Nie znosiła wpadać w złość i przez to poczuła jeszcze większą niechęć do Lottie. Zaraz potem do pokoju weszła Sylvia i - w obecności pani Chilton - powiedziała, że podglądała, jak Celia ćwiczy pocałunki na wierzchu dłoni. Celia wyznała jej też, że całowała się z „całym tłumem” uroczych mężczyzn i wie, jak to robić, nie zachodząc przy tym w ciążę. Choć pani Holden zdawała sobie doskonale sprawę, że Sylię ponosi i zaczyna opowiadać niestworzone historie, wiedziała też, że Sarah Chilton nie zechce zatrzymać uwagi dziecka dla siebie, a to jeszcze pogłębiło jej złość na Lottie. Nikogo innego nie było pod ręką.

- Nie życzę sobie, żebyście się zbliżyły do tamtego domu, słyszysz, Lottie? - powiedziała, wspinając się na schody po wyjściu Sarah. - Jestem zła na was obie. I to bardzo. Nie pozwolę wam więcej kompromitować rodziny. Nawet sobie nie wyobrażam, co powie doktor Holden, kiedy wróci do domu.

- Więc proszę mu o niczym nie mówić - odparła Lottie, wychodząc z pokoju, a na jej twarzy malował się wyraz powagi. - On nie interesuje się plotkami.

- Plotkami? Tak to nazywasz? - Susan Holden stała na schodach, ściskając mocno barierkę. - Upokorzyłyście mnie w obecności pań z towarzystwa, a ty uważasz to za plotki?

Z głębi pokoju dobiegło ich mruknięcie Celii.

- Co to było? Co powiedziałaś?

Po chwili Celia wysunęła głowę zza drzwi.

- Mówiłam, że bardzo nam przykro, mamusiu, i oczywi-

ście będziemy się trzymać z daleka od tych „bezwstydników”, jak barwnie określiła ich pani Chilton.

Pani Holden obrzuciła dziewczęta długim, surowym spojrzeniem. Mogła jednak przysiąc, że w kącikach ust Lottie dostrzegła cień uśmiechu. Kiedy uświadomiła sobie, że nie wyciągnie już nic więcej z żadnej z nich, przywołała resztki godności i powoli zeszła na dół, gdzie Freddie budował sobie klatkę ze starych skrzynek. W reprezentacyjnym salonie. Żeby w niej zamieszkać.

Teraz Celia wyjechała. A Lottie, choć starannie wykonywała wszystkie zlecane jej prace, była niezmiennie uprzejma i grzeczna i pomagała Sylvii w zadaniach domowych, kiedy sądziła, że nikt jej nie widzi, całymi tygodniami snuła się po pokojach jak chory szczeniak. Wszystko to było dość męczące. A Susan Holden już nie tak łatwo jak dawniej znosiła obecność Lottie. Oczywiście nikomu o tym nie powiedziała. Nie mogła tego zrobić po całej tej ciężkiej pracy, jaką włożyła w jej wychowanie. Kiedy dziewczynki były razem, kiedy je karmiła, kupowała im ubrania, beształa, jakoś łatwiej było traktować Lottie jako członka rodziny. Po wyjeździe Celi nie potrafiła się już do tego zmusić. Choć ciężko się jej było do tego przyznać nawet przed samą sobą, czuła wobec niej rosnącą niechęć. Lottie jakoś to wyczuwała i zachowywała się bez zarzutu, co oczywiście jeszcze bardziej irytowało panią Holden.

Co gorsza, podejrzewała, że wbrew jej zakazom Lottie nadal odwiedza dom tej aktorki. Proponowała, że pomoże Virginii w zakupach, czego nigdy dotąd nie robiła, a potem wracała po paru godzinach z kilkoma makrelami. Odebranie gazety dla doktora Holdena zajmowało jej nieraz nawet pół dnia. Dwa razy wróciła do domu owiana zapachem, którego próżno by szukać w sklepie pana Ansty'ego. Kiedy ją pytano, obrzucała rozmówcę tym swoim spojrzeniem i odpowiadała tonem, który pani Holden uważała za agresywny, że Oczywiście Nie Była w Domu Aktorki, Ponieważ Pani Holden Wyraźnie Jej Tego Zabroniła. Czasami naprawdę przesadzała.

A mogła przecież przewidzieć, że tak będzie. Mnóstwo osób ostrzegało ją przed przyjęciem do domu ewakuowanego dziecka. Nie zważała na głosy tych, którzy utrzymywali, że wszystkie dzieci z Londynu mają wszy - choć tuż po jej przyjeździe przyjrzała się uważnie włosom Lottie - i tych, którzy twierdzili, że dziewczynka będzie kraść albo że zjawią się jej rodzice, osiadą tutaj na dobre i nigdy się ich już nie pozbędzie.

Ale Lottie miała tylko matkę, która odwiedziła ją raz. Napisała do Susan Holden dwa listy: jeden po pierwszym długim pobycie Lottie, w którym dziękowała tym swoim okropnym charakterem pisma; drugi - rok później, kiedy Susan zaprosiła Lottie ponownie. Wyglądało na to, że z ulgą pozbyła się córki.

Lottie nigdy nic nie ukradła, nie uciekła ani nie spoufalala się z chłopcami. Nie, musiała przyznać uczciwie, że na tym polu zdecydowanie prym wiodła Celia. Lottie robiła to, co jej kazano, pomagała w opiece nad młodszymi dziećmi i starała się zawsze schludnie wyglądać.

Susan Holden poczuła nagle wyrzuty sumienia, gdy przypomniała sobie ośmioletnią Lottie, stojącą na dworcu w Merham. Obronnym gestem tuliła do siebie zapakowane w brązowy papier ubrania. W całym tym zamieszaniu spojrzała na panią Holden w milczeniu tymi swoimi wielkimi ciemnymi oczami, a kiedy Susan zaczęła mamrotać słowa powitania - już jako dziecko Lottie budziła sprzeczne uczucia - uniosła powoli prawą rękę i ujęła jej dłoń. Był to dziwnie wzruszający gest. I dość niepokojący, gdyż zapowiadał cechy, które później odkryła w Lottie: była uprzejma, skryta, czujna i serdeczna, lecz do wszystkiego podchodziła ze sporą dozą rezerwy. Może niesłusznie traktuje ją tak ostro. Przecież w gruncie rzeczy nie zrobiła nic złego. Musi się po prostu przyzwyczaić do nieobecności Celii. Poza tym Lottie też ich przecież niebawem opuści, kiedy tylko znajdzie dobrą pracę. Susan Holden była dumna ze swojego chrześcijańskiego miłosierdzia. Potem jednak przypomniała sobie, jak spojrzeł na

Lottie jej mąż, kiedy kilka tygodni temu podwinęła spódnicę, by wejść do stawu razem z Frederickiem. I znów owładnęły nią mieszane uczucia wobec gościa.

Celia miała chłopaka. Znalezienie go nie zajęło jej zbyt wiele czasu, pomyślała Lottie cierpko. W ich korespondencji najpierw zapanowała długa przerwa, a potem Celia przysłała niesamowitą relację ze strasznych tarapatów, w które wpadła na stacji kolejowej. Na szczęście mężczyzna, z którym teraz regularnie się spotyka, „ocalił” ją. Początkowo Lottie nie zwróciła na to wszystko szczególnej uwagi, wiedziała, że przyjaciółka lubi przesadzać. Poza tym to nie pierwszy mężczyzna, który -jak zaklinała się Celia - był tym „jedynym”. Nawet w tym krótkim czasie, który spędziła w Londynie, pojawił się już przecież jeden, którego poznała w pociągu pomiędzy Bishops Stortford i Broxbourne; kolejny podawał jej kawę w kawiarni przy Baker Street i zawsze kiedy szef nie widział, przynosił dodatkową filiżankę. No i jeszcze pan Grisham, nauczyciel stenografii, który przyglądał się jej pętelkom i skrótom ze znacznie większym niż tylko nauczycielskie zainteresowaniem. W przychodzących później listach mniej już było informacji o mężczyznach, o niekończących się wieczorach u ciotki Angeli, spędzanych z jej okropną rodziną, i dziewczętach ze szkoły sekretarek, a coraz więcej o kolacjach w modnych restauracjach, wspólnych spacerach po Hampstead Heath i ogólnej wyższości Guya we wszystkim - od umiejętności prowadzenia rozmowy począwszy, a na sztuce całowania skończywszy („Na miłość boską, spał ten list, zanim wpadnie w ręce mamy”).

Lottie czytała te listy bardzo uważnie i próbowała odszyfrować ich prawdziwą treść. Zrozumiała w końcu, że „zamożną rodzinę” należy traktować jako „posiadającą dom z toaletą w środku”; „absolutnie zniewalający” oznacza mężczyznę, który nie przypomina wściekłego buldoga, a pisząc „ma zupełnego bzika na moim punkcie”, Celia miała prawdopodobnie na myśli fakt, że Guy kilkakrotnie pojawił się

punktualnie tam, gdzie się umówili. Nic nie mogła poradzić na tę odrobinę cynizmu - przeżyła już z Celią wiele lat i na własnej skórze odczuła, że często mija się z prawdą. Jedna z jej przyjaciółek opowiadała, że Lottie wyniesiono z płonącego budynku podczas nalotu, inna - że jest tajemniczą emigrantką z Europy Środkowej i sierotą, której rodzice zginęli zabici przez pocisk podczas kolacji z wędzonym łososiem i czarnorynkową wódką, gdy świętowali swoją rocznicę ślubu. Nigdy jednak nie zwróciła Celi uwagi, choć coraz częściej zdawała sobie sprawę, kto jest autorem tych fantastycznych historii. Nikt nie zwracał Celi uwagi: tego Lottie nauczyła się w domu Holdenów. W rodzinie panowało bowiem powszechne przekonanie, że byłoby to jak otwarcie puszek Pandory. Nikt też nigdy nie wspominał ani słowem, że Celia zmyśla. Kiedy jeden jedyny raz napomknęła o tym pani Holden, ta od razu wpadła w złość i oświadczyła, że to na pewno jakaś pomyłka i nie powinna opowiadać takich rzeczy, bo to bardzo niegrzeczne. Może Celia wcale nie ma chłopaka, pomyślała Lottie. Może wszyscy ci mężczyźni są tylko wytworem jej wyobraźni, a tak naprawdę spędza wieczory, szyjąc i ćwicząc gry z dziećmi ciotki Angeli. Na samą myśl o tym uśmiechnęła się. Pragnąc trochę podrażnić przyjaciółkę, w następnym liście nie wspomniała ani słowem o Guyu, za to wypytywała ją dokładnie o dzieci ciotki.

Minęło kilka dziwnych tygodni. Lottie już się prawie przyzwyczaiła do życia bez Celi. Kiedy jednak stopniowo zaczęła się czuć coraz lepiej, zdała sobie sprawę z panującego w rodzinie napięcia, zupełnie jakby wraz z Celią zniknął jakiś niewidzialny klej, który wszystko spajał. Doktor Holden coraz rzadziej bywał w domu, co potęgowało tylko niepokój jego żony, która i tak z trudem radziła sobie z codziennymi obowiązkami. Freddie i Sylvia, jak na komendę, stawali się jeszcze bardziej krnąbrni i rozkrzyczani, wystawiając matkę na ciężką próbę i dając ojcu doskonałą wymówkę, by jak najpóźniej wracać. „Czy w tym domu naprawdę nie można mieć chwili spokoju?”- pytał swoim

niskim głosem, a pani Holden wzdrygała się, jak pies, którego zaraz wyrzucą w środek zimnej nocy.

Lottie obserwowała w milczeniu, jak doktor kryje się w swoim gabinecie albo wybiera na niezapowiedzianą późną wizytę, i równie uprzejmie odpowiadała na jego „Dobranoc, Lottie”. On nigdy nie był dla niej niegrzeczny, nigdy nie dał jej odczuć, że w tym domu jest obca. Ale, prawdę mówiąc, na ogół zdawał się w ogóle jej nie dostrzegać.

Kiedy się tu zjawiła, nie zachowywał się z tak wielką rezerwą. Był bardzo miły, często się uśmiechał. A może to ona tak właśnie go zapamiętała. Gdy pierwszej nocy w nowym domu leżała i cicho płakała, nie bardzo zresztą wiedząc dlaczego, ale zarazem bała się, że gospodarze usłyszą i odeślą ją z powrotem, wszedł cicho do pokoju i usiadł na łóżku. „Niczego się nie bój, Lottie”, powiedział, kładąc ciepłą, suchą dłoń na jej głowie. „Wyobrażam sobie, że w Londynie nie miałaś lekkiego życia. Teraz jesteś bezpieczna”.

Lottie oniemiała. Nigdy wcześniej żaden dorosły nie zwracał się do niej w ten sposób. Z taką powagą. I troską. Bez cienia groźby czy wyrzutu w głosie. Większość z nich nawet nie pamiętała, jak ma na imię.

„Dopóki będziesz u nas, Lottie, zrobimy wszystko, żebyś była szczęśliwa. A kiedy już rozpoczniesz życie na własny rachunek, mam nadzieję, że z przyjemnością wspomnisz pobyt w naszym domu. Bo nam na pewno będzie ciebie brakować”.

Mówiąc te słowa, poklepał ją delikatnie i wyszedł, zabierając ze sobą jej dozgonną wdzięczność i uczucie, które w swoim ośmioletnim sercu uważała za oddanie. Gdyby doktor Holden wiedział, że nigdy wcześniej nie miała nikogo, kogo mogłaby traktować jak ojca, i żaden mężczyzna nie powiedział jej tak czułych słów, być może nie próbowałyby okazać aż tak wielkiej sympatii. Lecz doktor uśmiechnął się tylko, poklepał ją, a mała Lottie przestała płakać i leżąc w miękkim łóżku, myślała o magii, sprawiającej, że istnieli mężczyźni, którzy nie przeklinali, nie posyłali jej raz po raz do sklepu na rogu ani nie cuchnęli tytoniem Old Holborn.

Z upływem lat zaczęła postrzegać doktora Holdena w znacznie mniej różowych barwach. Trudno żeby było inaczej, jeśli co dnia miało się okazję obserwować z bliska okrucieństwo, z jakim ten mężczyzna odmawia wszelkich kontaktów z własną żoną. Rankami chował się za gazetą, a potem wyłaniał spoza jej pachnącej farbą drukarską płachty tylko po to, by skarcić Freddiego albo Sylwię za jakieś przewinienie, o którym mu doniesiono, lub by wziąć filiżankę ze stołu. Wieczorami wracał bardzo późno, utrzymywał, że nie jest w stanie rozmawiać, dopóki nie wypije drinka i nie „posiedzi paru minut w spokoju”, co najczęściej trwało aż do kolacji. Pani Holden, która nie potrafiła odczytać tych znaków, kręciła się wokół niego niespokojnie, próbując przewidzieć jego potrzeby, wciągając go do rozmowy, zwrócić uwagę na nowe uczesanie, lakier do paznokci czy sweter. Nigdy jednak nie zniżała się aż tak, by powiedzieć o tym wprost.

W takich chwilach Lottie była na niego zła. Wiedziała doskonale, że życie u boku osoby pokroju pani Holden może działać na nerwy. Ale takie ignorowanie jej było dla niej niepotrzebnym okrucieństwem, zwłaszcza że ona bardzo starała się ułatwić mu życie. A on, o ile Lottie mogła się zorientować, on nie robił niczego, by ulżyć w życiu żonie. Z upływem lat pani Holden stała się jeszcze bardziej niespokojna i rozedrgana, a Lottie patrzyła, jak doktor coraz rzadziej próbuje ukryć irytację wywołaną poczynaniami żony i coraz później wraca do domu. Obserwując życie swojej matki i doktorostwa Holdenów, doszła do wniosku, że małżeństwo to nic dobrego i należy go unikać, podobnie jak studzienek ściekowych i ospy wietrznej.

- Wydaje mi się, że tutaj, prawda? Na razie jest jeszcze zbyt biała. Pusta. I mdła.

Lottie zmrużyła oczy, próbując dojrzeć to, co najwyraźniej widziała Adeline. Tymczasem to wyglądało jak ściana. Nie miała pojęcia, jakim cudem ściana może być mdła. Ale

kiwnęła głową i próbowała przybrać inteligentny wyraz twarzy, unosząc w górę brew, jakby doskonale wiedziała, co Adeline może mieć na myśli, mówiąc, że Frances planuje zrobić „coś figuratywnego”.

- Mam pomysł - oświadczyła Adeline. - Na fresk. I nie chcę tu lasów ani jezior...

- Ani palladiańskich pejzaży - dodała Frances, która stanęła tuż za nimi. - Nie mogę już znieść świątyń i kolumn. Ani jeleni. Naprawdę mam serdecznie dość tych okropnych jeleni.

- Nie. Mam pomysł. - Adeline urwała i przesunęła palcem po ścianie. - To będzie pejzaż z ludźmi. Pojawimy się na nim wszyscy. My wszyscy z Arcadii.

- Coś jak *Ostatnia Wieczera*. Ale bez motywów religijnych.

- I symbolizmu.

- Och, nie. Na dobrym obrazie odrobina symbolizmu jest niezbędna.

Lottie zupełnie się pogubiła. Patrzyła na białą ścianę, niemal oślepiającą swym blaskiem w popołudniowym słońcu. Pod nimi rozciągała się plaża, pomimo nadciągającej jesieni zapełniona wczasowiczami. Gdyby to od niej zależało, pewnie ustawiłaby pod ścianą kilka doniczek z kwiatami. Albo obsadziła ją jakimś pnączem.

- ...i ty, Lottie. Wspominałyśmy kiedyś, że namalujemy twój portret, prawda? Pojawisz się więc na fresku. I Celia, chociaż wyjechała.

Próbowała sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać. Ale przed oczami stawały jej tylko pociski, które w czasie wojny ktoś wymalował na wszystkich murach, z napisem: „Co, nie...?”.

- Czy będę musiała pozować? - spytała.

- Nie - odparła Frances z uśmiechem. Ostatnio często się uśmiechała. Kąciki jej ust unosiły się wówczas jak stare pantalony na gumce. - Teraz już cię znamy. Wolę namalować coś bardziej... impresjonistycznego.

- Jej włosy. Musisz koniecznie pokazać jej włosy. Nigdy

ich nie rozpuszczasz? - Adeline wyciągnęła szczupłą dłoń i pogładziła Lottie po głowie.

Lottie się wzdrygnęła. Mimo woli.

- Trochę się płaczą. Są za gęste. - Podniosła rękę, by je wygładzić, nieświadomie odsuwając się nieco od Adeline.

- Przestań się tak zachowywać, Lottie. Mężczyźni tego nie lubią. Nudzi ich to.

Mężczyźni? Lottie spojrzała na siebie zupełnie inaczej: jak na kogoś, kim mogą interesować się mężczyźni. Do tej pory zawsze chodziło o chłopców. A dokładnie rzecz ujmując, o Joego, który raczej się nie liczył.

- Zawsze powinno się podkreślać swoje dobre strony. Jeśli będziesz uwydatniać to, co dobre, ludzie nie zauważą tego, co złe.

W ustach Adeline taka wypowiedź brzmiała prawie jak objawienie, ale umknęło to uwadze Lottie.

- Może Lottie powinna zacząć malować?

- Och, tak! Świetny pomysł, Frances. Chciałabyś, Lottie? Frances jest cudowną nauczycielką.

Lottie przestąpiła z nogi na nogę.

- Nie jestem w tym zbyt dobra. Moje misy z owocami zwykle wyglądają tak, jakby zaraz miały się przewrócić.

- Misy z owocami... - Frances pokręciła głową. - Jak można obudzić w kimś zamiłowanie do sztuki, każąc mu malować misy z owocami? No, Lottie, narysuj coś, co masz w głowie, w sercu.

Lottie cofnęła się onieśmielona. Adeline popchnęła ją delikatnie do przodu.

- Musisz się nauczyć marzyć. Wyrażać siebie.

- Ale po skończeniu szkoły nie mam już ze sztuką nic wspólnego. Pani Holden twierdzi, że powinnam zająć się księgowością, bo wtedy będę mogła dostać dobrą pracę w sklepie.

- Och, zapomnij o sklepach, Lottie. To nie musi niczego przedstawiać. Pobaw się tylko pastelami, poczuj je. Pastelami cudownie się rysuje. Spójrz... - Frances zaczęła rysować linie na ścianie, rozsmazując kolory poplamionymi farbą pal-

cami. Jej ruchy były zdecydowane, pewne. Lottie obserwowała ją, zapominając na chwilę o sobie.

- Nie zapomnij umieścić tam siebie, Frances. - Adeline położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki. - Zawsze o sobie zapominasz.

Frances wpatrywała się w ścianę.

- Nie umiem malować siebie.

W drzwiach stanęła Marnie w poplamionym krwią fartuchu, który oblepiały białe pióra. W lewej ręce trzymała za szyję na wpół oskubaną gęś.

- Przepraszam panią - powiedziała. - Ale przyjechał pan Armand.

Lottie oderwała wzrok od namalowanych na ścianie linii i spojrzała na Adeline, która uśmiechnęła się lekko i skinieniem głowy odprawiła Marnie. Lottie czekała, by Adeline popędziła do drzwi, żeby trochę się ogarnąć albo poprawić makijaż, co zawsze robiła pani Holden, i aż zarumieniła się z podniecenia na myśl, że nareszcie pozna tajemniczego męża Adeline.

Ale ona wróciła spojrzeniem do białej ściany.

- To będzie cię musiał namalować ktoś inny - oświadczyła, wyraźnie nieprzejęta perspektywą spotkania z mężem. - Stanowisz przecież ważną część naszego obrazu, *non*?

W drzwiach ponownie pojawiła się twarz Marnie.

- Pan jest w salonie.

Frances odsunęła się od ściany i spojrzała na Adeline w taki sposób, że Lottie poczuła się, jakby podglądała.

- Wydaje mi się, że znacznie lepiej wypadam w roli niewidzialnego ducha - powiedziała powoli Frances.

Adeline wzruszyła ramionami, jakby nie chciała się wdrażać w dobrze znany spór, uniosła rękę, po czym odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

Lottie nigdy nie potrafiła sobie wyobrazić męża Adeline. Kiedy stanął przed nią, dopiero po długiej chwili dotarło do niej, że to Julian Armand.

- Jestem oczarowany - powiedział, ujmując jej dłoń i składając na niej pocałunek. - Adeline dużo mi o tobie opowiadała.

Lottie nie odezwała się ani słowem, tylko przyglądała się niskiemu, wytwornemu mężczyźnie z gładkimi włosami i wymyślnie zakreconymi wąsami, które wyglądały jak wykute z żelaza. Pani Holden bez wątpienia uznałaby jej zachowanie za naganne.

- Lottie - szepnęła. A on skinął głową, jakby to mu w zupełności wystarczyło.

Nietrudno było zauważyć, skąd pochodzą ekstrawagancie gusta Adeline. Jej mąż był ubrany zgodnie z modą, która panowała przed dobrymi paroma dziesięcioleciem i tylko w pewnych osobliwych kręgach. Miał na sobie tweedowe pumpy oraz pasujące do nich kamizelkę i marynarkę. Strój uzupełniał szmaragdowozielony krawat i idealnie okrągłe okulary w szylkretowej oprawce. Z górnej kieszonki marynarki zwiisał wytworny zegarek, a lewa ręka Juliana spoczywała na laseczce ze srebrną główką. Jedyną konwencjonalną częścią stroju były wypolerowane półbuty, choć one też w niczym nie przypominały butów, które można było kupić za dziesięć szylingów na głównej ulicy.

- A więc to jest Merham - powiedział, wyglądając przez duże okno. - To właśnie tutaj, zgodnie z twoim życzeniem, osiadziemy.

- Nic nie mów, Julianie, dopóki nie pomieszkas tu przez tydzień. - Adeline z uśmiechem ujęła dłoń męża.

- Dlaczego? Masz wobec mnie jakieś plany?

- Zawsze je mam wobec ciebie, najdroższy. Ale nie chcę, żebyś podejmował decyzję, dopóki nie obudzi cię szum morza i nie wypijesz kieliszka dobrego wina, podziwiając przy tym cudowny zachód słońca. Nasz nowy dom jest małym rajem, ale jego ukryte uroki trzeba smakować powoli.

- Ach tak. Wiesz doskonale, że jestem w tym ekspertem.

- Wiem też, mój drogi Julianie, że przepadasz za nowinkami. A ja i ten dom nowinkami z pewnością nie jesteśmy.

Musimy więc zadbać o to, żebyś ocenił nas we właściwym świetle. Prawda, Lottie?

Lottie mogła tylko skinąć głową. Miała problemy z koncentracją - nigdy jeszcze nie widziała, aby kobieta podchodziła do męża z tak niezwykłą atencją.

- Obiecuję więc, że nie powiem ani słowa. Kto mnie oprowadzi? Frances? Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakby morskie powietrze świetnie ci służyło.

- Czuję się doskonale, Julianie, dziękuję.

- Kto tu jeszcze jest?

- George. Irenę. Minette właśnie wyjechała. Znów pisze. A Stephen przyjedzie pod koniec tygodnia. Powiedziałam mu, że wracasz.

- Cudownie. - Julian poklepał żonę po dłoni. - Nareszcie mamy dom. Muszę tylko usiąść spokojnie i udawać, że nigdzie się stąd nie ruszałem. - Obrócił się powoli, oparty na lasce, i rozejrzał uważnie po pokoju. - A ten dom? Jaką ma historię?

- Wiemy co nieco dzięki Lottie i jej przyjaciółce. Zbudował go młody człowiek z tutejszej rodziny, a kiedy zmarł, dom przeszedł na własność państwa... Jak oni się nazywali?

- MacPhersonowie - powiedziała Lottie.

Na małym palcu Julian nosił duży pierścionek. Wyglądał zupełnie jak damski.

- Tak, MacPhersonowie. Ale jak widzisz, zbudowano go w stylu art modernę. Moim zdaniem jest zupełnie niezwykły. I ma cudowne światło, *non*? Frances twierdzi, że ma cudowne światło.

Julian odwrócił się w jej stronę.

- Masz absolutną rację, moja droga. Twój gust i osąd jak zwykle są bez zarzutu.

Frances rzuciła mu błady, niemal bolesny uśmiech.

- Czy wrócisz niebawem do Cadogan Gardens?

Julian westchnął.

- Nie. Obawiam się, że spaliliśmy tam za sobą mosty. Chodzi o jakieś małe nieporozumienie wokół pieniędzy. Tu-

taj z pewnością spędzimy urocze chwile, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Zostanę w Merham aż do biennale. Jeśli oczywiście nie sprawię wam kłopotu - mówiąc to, uśmiechnął się, jakby wiedział doskonale, że swoją obecnością nigdy nie sprawia kłopotu.

- To musisz koniecznie poczuć się jak w domu - oświadczyła Adeline. - Oprowadzę cię.

Lottie drgnęła nagle i przypomniała sobie o dobrych manierach.

- Pójdę już. - Ruszyła w stronę drzwi. - Robi się późno, a powiedziałam, że wychodzę tylko po mleko. Miło... miło było pana poznać.

Pomachała im ręką i skierowała się do wyjścia. Adeline, machając jej na pożegnanie, już stała na tarasie, drugą ręką obejmując tweedową talię męża. Kiedy Lottie odwróciła się, by zamknąć za sobą drzwi, dostrzegła Frances. Nie zdając sobie sprawy z obecności dziewczyny, stała nieruchomo, jak jedna ze swoich kompozycji, i długo patrzyła na oddalającą się parę.

Lottie współczuła Frances - wyglądała na osobę, o której zapomniano i pozostawiono gdzieś z boku. Po powrocie Juliana z pewnością jest jej ciężko; Lottie wiedziała doskonale, co to znaczy być piątym kołem u wozu. George też najwyraźniej za nią nie przepadał. Gdyby było inaczej, nie flirtowałyby tak otwarcie z Celią czy tą okropną Irenę. Dwa dni później zobaczyła ją jednak znowu.

Było już prawie wpół do dziesiątej i Lottie zaoferowała się wyjść na spacer z Panem Beansem, starym, nieznośnym terrierem Holdenów. Należało to do obowiązków doktora Holdena, ale tego wieczoru coś go zatrzymało w pracy, a pani Holden, która roztrzęsała się na tę wiadomość, miała kłopoty z zapędzeniem Freddiego i Sylvii do łóżek. Freddie oznajmił, że zjadł jej begonię, i raz po raz biegał do łazienki, udając, że wymiotuje, a Sylvia, stając u szczytu schodów w pantoflach i starej masce gazowej, domagała się jedenastej już

chyba szklanki wody. Wcześniej odwiedził ją Joe, grali razem w scrabble i kiedy Lottie zaproponowała, że weźmie psa na wieczorny spacer, pani Holden spojrzała na nią z wdzięcznością i powiedziała, że jeśli będzie towarzyszyć jej Joe, to ona nie ma nic przeciwko temu. Nie powinni jednak spacerować zbyt długo. I powinni trzymać się drogi. Lottie i Joe przeszli przez park, obserwując ostatnie promienie słońca, chowające się za hotelem Riviera, i zapalające się powoli latarnie, które wkrótce zalały wszystko sodowym blaskiem. Kilka metrów od nich Pan Beans węszył zawzięcie, klucząc wśród wysokiej trawy w poszukiwaniu nowych zapachów. Lottie nie wzięła Joego pod rękę, a on cały czas delikatnie trącał ją w łokieć, jakby chciał jej o tym przypomnieć.

- Miałaś jakieś wiadomości od mamy?
- Nie. Chyba napisze dopiero w okolicy świąt.
- Czy to nie dziwne, że nigdy ze sobą nie rozmawiacie?

Ja tęskniłbym za moją.

- Twoja matka i moja to dwie zupełnie różne bestie, Joe.
- Ja raczej nie nazwałbym mojej bestią. - Próbował się roześmiać, tak na wszelki wypadek, gdyby Lottie żartowała.

Dalej szli w milczeniu, obserwując rysujące się w mroku sylwetki innych spacerowiczów, zmierzające w stronę niewidzialnych łazienek i łóżek.

- Kiedy Celia wraca do domu? Wspominałaś, że w sobotę.

No właśnie. Pani Holden zamierzała poinformować o tym męża osobiście. Chciała stać się zwiastunem dobrych wieści - niezmiennie starała się ze wszystkich sił wywołać uśmiech na jego twarzy.

- Przyjeżdża popołudniowym pociągiem. Rano muszę zaprowadzić Freddiego do fryzjera.

- Minęło już osiem tygodni, prawda? Jeśli chcesz, pójde z Freddiem. Ja też muszę się ostrzec. Tato mówi, że powoli zaczynam przypominać chłopaków z zespołów rockandrolowych.

- Posłuchaj - powiedziała nagle Lottie, zatrzymując się.

Joe podniósł głowę, jakby próbował powąchać powietrze. Pod nimi szum morza zwiastował nadciągający przypływ. Gdzieś zaszczekał pies, zakłócając Panu Beansowi obwąchiwanie kolejnej kępy traw. Po chwili usłyszała to jeszcze raz. Muzykę jazzową: dziwną, arytmiczną, brzmiącą niemal fałszywie. Dźwięk rożka, a w tle coś jeszcze. I śmiech.

- Słyszysz? - Zapominając się zupełnie, chwyciła Joego za ramię. Dźwięki dobiegały z Arcadii.

- Co to jest? Ktoś dusi kota?

- Posłuchaj, Joe. - Zatrzymała się, próbując jeszcze raz wychwycić melancholijne brzmienie, które uniosło się na chwilę w powietrze, po czym umilkło. - Zbliźmy się trochę.

- Will Buford ma w domu trzy nowe płyty z amerykańskim rock and roilem. Wybieram się do niego w tygodniu, żeby posłuchać. Chcesz iść ze mną?

Ale Lottie, otulając ramiona swetrem, już biegła w dół, potykając się na stopniach. Pan Beans podążył radośnie za nią, skrobiąc pazurkami po betonie.

- Pani Holden mówiła, że mamy trzymać się drogi! - zawołał Joe za znikającą postacią. A po chwili ruszył jej śladem.

Lottie opierała się o poręcz nad Arcadią. W niemal całkowitych ciemnościach duże okna lśniły ciepłym blaskiem, a padające z nich światło rozjaśniało także część tarasu. Siedziała tam grupka osób. Kiedy Lottie zmrużyła oczy, udało się jej dostrzec Juliana Armanda. Usadowił się na starej żelaznej ławeczce, opierając stopy o stolik. Po drugiej stronie stał nieco wyższy mężczyzna, który palił papierosa. To prawdopodobnie George. Rozmawiał z jeszcze jednym mężczyzną, którego Lottie nie rozpoznała.

W najjaśniejszym punkcie zauważyła po chwili Frances i Adeline. Tańczyły, opierając sobie ręce na ramionach. Nagle Adeline odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się z czegoś, co powiedziała Frances. Kołysały się razem rytmicznie, przerywając taniec tylko na chwilę, by wziąć kieliszek z winem lub powiedzieć coś do towarzyszących im panów.

Lottie poczuła, że przebiega ją dreszcz. Frances nie wyglądała już na zasmuconą. Nawet z tej odległości widać było, że promienieje i emanuje pewnością siebie. Zupełnie jakby odzyskała nad czymś władzę. Lottie nie miała jednak pojęcia, co to może być. Co może aż tak bardzo zmienić człowieka? - zastanawiała się. Czy to na pewno Frances? Kiedy widziała ją po raz ostatni, przypominała tapetę, była bladym, bezbarwnym tłem dla promieniejącej Adeline. A teraz zupełnie ją przytłaczała: wyglądała na znacznie wyższą, pełną życia.

Oszołomiona Lottie z trudem łapała oddech. Arcadia nadal tak na nią działała. Czuła, jak dom ją przyciąga, wzywa delikatnymi dźwiękami muzyki niesionymi przez morską bryzę. Akordy szeptały jej swoje sekrety, snuły opowieści o nowych miejscach, które powinna zobaczyć. „Musisz nauczyć się marzyć”, powiedziała jej Adeline.

- Pan Beans chyba już załatwił swoje potrzeby - rozległ się głos Joego w ciemnościach. - Powinniśmy wracać.

Najdroższa Lots! (tak zaczynał się ostatni list)

To wstrętne, że nie zarzuciłaś mnie toną pytań dotyczących Guya. Wiem jednak, że powodowała Tobą szaleńcza zazdrość, więc Ci wybaczam. Mężczyźni z Merham to jednak nie ta sama liga co mieszkańcy Londynu!!! Ale już poważnie, Lots, bardzo za Tobą tęsknię. Dziewczyny na moim kursie są beznadziejne. Zdążyły się podzielić na grupki, zanim znalazłam się w szkole, i teraz podczas przerw stale coś sobie po kryjomu szepczą. Początkowo trochę mnie to złościło, ale odkąd mam Guya, uważam je po prostu za głupie. Muszą wieść okropnie nudne i puste życie, jeśli czują potrzebę angażowania się w takie gierki (Guy tak twierdzi). Zabiera mnie dziś na kolację do Mirabel, żeby oblać zakończenie moich egzaminów ze stenografii i pisania na maszynie. Nie mów nic Mamie, ale to będzie prawdziwy cud, jeśli zdam stenografię. Moje znaczki przypominają chiński alfabet. Przynajmniej Guy tak uważa - podróżował po całym

świecie i widział co nieco. Zamierzałam wysłać Ci nasze zdjęcie z wyścigów w Kempton Park, ale mam tylko jedno i bardzo boję się je stracić, więc na razie musisz go sobie wyobrazić. Wyobraź sobie Montgomery'ego Clifta z nieco jaśniejszymi włosami, opalonego. Mniej więcej w połowie to jest to...

Był to już trzeci list, do którego Celi „jakoś” nie udało się dołączyć zdjęcia Guya. Lottie „jakoś” nie była tym specjalnie zaskoczona.

Stała w milczeniu, podczas gdy pani Holden atakowała ją szczotką do ubrania, usuwając niewidoczne pyłki z dopasowanego żakietu.

- Chyba powinnaś włożyć opaskę na włosy. Gdzie ona jest?

- Na górze. Mam ją przynieść?

Pani Holden zmarszczyła brwi i spojrzała na włosy Lottie.

- To chyba dobry pomysł. Są trochę potargane. Frederick, co ty zrobiłeś ze swoimi butami?

- Wypastował je czarną pastą zamiast brązowej - oznajmiła nie bez satysfakcji w głosie Sylvia. - Twierdzi, że przez to wyglądają bardziej prawdziwie.

- Bardziej prawdziwie niż co?

- Stopy. Bo to są kopyta - odparł Freddie, z dumą ruszając noskami butów. - Krowie kopyta.

- No wiesz, Fredericku. Czy naprawdę nie można cię zostawić samego nawet na minutę?

- Krowy nie mają kopyt. Mają racice. •

- Nieprawda.

- Prawda. Krowy mają racice.

- Ty masz racice. Jak wielka tłusta krowa. Au!

- Sylvio, Fredericku, przestańcie się kopać. To nieładnie. Lottie, idź proszę po Virginie. Mamy tylko pięć minut do wyjścia, ale może razem uda nam się doprowadzić ich do porządku. Sylvio, gdzie jest twój płaszcz? Prosiłam cię dziesięć minut temu, żebyś go włożyła. Dziś jest dość chłodno. A co

się stało z twoimi paznokciami? Wyglądają, jakbyś sadziła ziemniaki.

- To dlatego, że dłubała w nosie. Au! Masz racice! Wielkie tłuste racice!

- Sylvio, mówiłam ci już, żebyś nie kopała brata. Zaraz znajdę szczoneczkę do paznokci. Gdzie ona jest? Co powie wasza siostra, gdy zobaczy was w takim stanie?

- Och, na miłość Boską, przestań robić takie zamieszanie, kobieto. To tylko Celia. Równie dobrze moglibyśmy wyjść po nią w kostiumach kąpielowych. I tak niewiele by ją to obeszło.

Pani Holden wzdygnęła się, nie patrząc na męża, który siedział na schodach i zawiązywał buty. Tylko Lottie zauważyła, że jej oczy wypełniają się łzami i że ukradkiem próbuje obetrzeć je rękawem. Potem pobiegła po Virginie.

Zawsze pełna współczucia Lottie miała teraz inne kłopoty. Nie odzywali się do siebie z Joem. Kiedy wracali ze spaceru z Panem Beanssem, powiedział, że chyba nie powinna spędzać tyle czasu w Arcadii. Mieszkańcy tego domu mają nieciekawą reputację. A jeśli Lottie będzie się tam zbyt często pokazywać, o niej też mogą zacząć plotkować w miasteczku. A ponieważ bardzo mu na niej zależy i jest jej przyjacielem, doszedł do wniosku, że powinien ją uprzedzić. Lottie, już mocno podenerwowana jego wtykaniem nosa w nie swoje sprawy, szyderczym tonem spytała, co go obchodzi, z kim spędza czas. Może równie dobrze spędzać go z cholernym Dickiem Valentine'em*, a jemu nic do tego.

Joe się zaczerwienił. Widziała to nawet w ciemności. Ogarnęły ją jednocześnie poczucie winy i złość. Po chwili milczenia Joe powiedział poważnym tonem, że jeśli Lottie nie wie o tym do tej pory, to pewnie już nigdy się nie dowie, ale nikt nie będzie jej kochał tak jak on i nawet jeśli ona go nie kocha, to on i tak będzie się nią opiekował.

Lottie wpadła we wściekłość.

* Dickie Valentine, właśc. Richard Bryce, popularny w latach pięćdziesiątych piosenkarz. Zginął w wypadku samochodowym w 1971 r.

- Mówiłam ci już, Joe, że nie chcę tego słuchać. Wszystko zniszczyłeś. Wszystko. Koniec z przyjaźnią. Jeśli nie potrafisz ukrywać swoich uczuć, to nie możemy być przyjaciółmi. Lepiej wróć teraz do domu, do mamy, i przestań się martwić o moją reputację.

Szarpnęła ostro smycz biednego Pana Beansa i ruszyła przed siebie, zostawiając Joego przy bramie parku.

W normalnych okolicznościach Joe już by do niej przyszedł. Stałaby w drzwiach, pytając, czy ma ochotę na kawę albo zagrać w jakąś grę, i żartem nawiązałyby do ich kłótni. A Lottie, ciesząc się w duchu z jego wizyty, z radością by się z nim pogodziła i znów byłiby przyjaciółmi. Po wyjeździe Celi Joe stał się dla niej jeszcze ważniejszy. I choć czasami irytujący, był jej jedynym przyjacielem. Zawsze wiedziała, że jest zbyt śniada, zbyt niezgrabna dla Betty Crofts i innych dziewcząt ze szkoły, że tolerowały ją w swoim towarzystwie tylko ze względu na Celię.

Lecz tym razem Joe najwyraźniej obraził się na dobre. Minęły cztery dni, a on się nie pokazał. Lottie, wracając myślni do ich rozmowy, podczas której obeszała się z nim tak ostro, zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna go przeprosić. Ale jeśli to zrobi, czy Joe nie potraktuje tego jako przyzwolenia, by znów mógł ją kochać?

W holu rozległ się głos pani Holden.

- Lottie, pospiesz się. Pociąg przyjeżdża o czwartej piętnaście. Nie chcemy się przecież spóźnić.

- Uspokój ją trochę, Lottie - powiedział doktor Holden, mijając ją w korytarzu. - Bo kiedy Celia zobaczy nas na peronie w takim stanie, natychmiast wróci do Londynu. - W jego uśmiechu krył się cień irytacji, ale i zrozumienia. Lottie odwzajemniła uśmiech i natychmiast poczuła, że ogarnia ją uczucie wstydu.

Być może w obawie przed kolejną naganą podczas dziesięciminutowej podróży na dworzec pani Holden nie odezwała się ani słowem. Jej mąż też milczał, lecz to akurat nie było niczym niezwykłym. Za to Sylvia i Freddie, podniece-

ni jazdą samochodem, podskakiwali jak szaleni i przyklejając nosy do szyb, pokrzykiwali na przechodniów. Lottie, której kazano usiąść między nimi, od czasu do czasu ściągała jedno z powrotem na siedzenie lub upominała drugie, ale w gruncie rzeczy głowę miała nadal zaprzątniętą problemami z Joem. Postanowiła, że wpadnie do niego wieczorem. Przeprosi go. Potrafi to zrobić w taki sposób, by dać mu do zrozumienia, że nie ma ochoty na żadne romanse. I Joe się opamięta. Zawsze przecież tak było.

Pociąg wjechał na stację szesnaście minut i trzydzieści osiem sekund po czwartej. Freddie, który uważnie obserwował dworcowy zegar, głośno poinformował wszystkich o spóźnieniu. Tym razem jednak pani Holden nie zwróciła mu uwagi - wyciągała szyję, próbując dojrzeć córkę wśród innych podróżnych, a jej głos unosił się nad hałasem trzaskających drzwi wagonów.

- Jest tam! W trzecim wagonie! - SyWia wyrwała się z uścisku matki i ruszyła pędem przed siebie. Lottie przez chwilę patrzyła na nią, a potem zaczęła pód iść, pód bieć za nią. Tuż za nimi podążali państwo Holdenowie, którzy na chwilę zapomnieli o swojej powściągliwości.

- Celi! Celi! - SyWia rzuciła się na starszą siostrę, niemal ją przewracając, gdy ta wysiadła z pociągu. - Mam nowe buty! Spójrz tylko!

- Ja też mam nowe buty - zaczął zmyślać Freddie, ciągnąc Celię za rękę. - Czy pociąg jechał bardzo szybko? Czy w Londynie są szpiedzy? Jechałaś piętrowym autobusem?

Lottie zrobiła krok do tyłu, czując się bardzo nieswojo, gdy pani Holden, z twarzą rozjaśnioną matczyną dumą, czule obejmowała córkę.

- Och, tak za tobą tęskniłam! Wszyscy za tobą tęskniliśmy! - powtarzała raz po raz.

- Oczywiście - powiedział doktor Holden. Czekał, aż żona wypuści Celię, by zamknąć ją w swoim potężnym uścisku. - Wspaniale, że wróciłaś, kochanie.

Lottie czuła się nieswojo nie tylko dlatego, że w zasadzie była tu obca, ale także z powodu Celii. Minęło zaledwie parę miesięcy, a jednak przyjaciółka wyglądała zupełnie inaczej. Miała modnie obcięte włosy, które otaczały jej twarz lśniącymi falami, a usta pomalowała odważną czerwoną szminką. Ubrana była w zielony płaszcz z paskiem, którego Lottie wcześniej nie widziała, i lakierki z pasującą do nich torebką. Obcasy bucików mierzyły ponad siedem centymetrów. Wyglądała jak żywcem wyjęta ze zdjęć w modnych magazynach. Pięknie.

Lottie przyglądała swoje niesforne, przytrzymywane opaską włosy i spojrzała na solidne buty na grubych podszwach. Na nogach miała bawełniane skarpetki, Celia - nylonowe pończochy.

- Boże, jak cudownie was wszystkich widzieć! - wykrzyknęła głośno Celia, obrzucając ich czułym spojrzeniem. Pani Holden była tak zachwycona, że nawet nie zwróciła jej uwagi. - Lots? Lottie, nie chowaj się, prawie cię nie widzę.

Lottie wysunęła się do przodu i pozwoliła się pocałować. Kiedy Celia się cofnęła, w powietrzu nadal unosił się delikatny zapach perfum. Lottie walczyła z przemożnym pragnieniem wytarcia śladu szminki z policzka.

- Przywiozłam wam mnóstwo rzeczy z Londynu. Nie mogę się doczekać, żeby je pokazać. Trochę zaszalałam z pieniędzmi, które dała mi ciocia Angela. Och, Lots, dla ciebie też znalazłam piękny prezent. Podobał mi się tak bardzo, że o mało co nie zatrzymałam go dla siebie.

- Nie będziemy tu przecież stać przez cały dzień - powiedział doktor Holden, który zaczął już spoglądać na zegarek. - Chodź, kochanie - zwrócił się do Celii.

- Tak, musisz być zmęczona. Szczerze mówiąc, nie bardzo podobał mi się pomysł, żebyś podróżowała sama. Mówiłam twojemu ojcu, że powinien po ciebie pojechać.

- Nie byłam sama, mamusiu.

Doktor Holden, który wziął walizkę i zmierzał już w kierunku wyjścia, zatrzymał się i odwrócił.

Pochylając się lekko, z pociągu wysiadł młody mężczyzna i stanął za Celią. Pod pachą trzymał dwa ogromne ananasy.

Celia uśmiechnęła się olśniewająco.

- Mamo, tato, poznajcie Guya. I nigdy nie zgadniecie... jesteśmy zaręczeni.

Pani Holden siedziała przed toaletką i wyjmowała szpilki z włosów, patrząc niewidzącym wzrokiem na swoje odbicie w lustrze. Zawsze wiedziała, że Lottie nie będzie łatwo, gdy Celia zacznie rozkwitać. To było nieuniknione, że pewnego dnia jej córka pokaże klasę, z którą dziewczęta urodzone w takiej rodzinie po prostu przychodzą na świat. Musiała przyznać, że w Londynie Celia wypiękniała ponad wszelkie wyobrażenia. Jej mała córeczka wróciła do domu jako niezwykle elegancka dama.

Susan Holden włożyła szpilki do porcelanowego pojemniczka i nałożyła pokrywkę. Nie chciała się przyznawać, jak wielką ulgę poczuła na wieść o zaręczynach córki. I to z mężczyzną zajmującym wysoką pozycję. Nie wiadomo, czy ze względu na szczęście Celii, czy też z wdzięczności, że teraz „ktoś się nią zajmie”, cała rodzina na swój sposób zapragnęła to uczcić (nawet Henry cmoknął ją w policzek. Na myśl o tym nadal czuła przyjemne ciepło).

Lottie dziwnie zareagowała na nowinę Celii. Kiedy Guy wysiadł z pociągu, patrzyła na niego, można by powiedzieć, niegrzecznie. Och, oczywiście, wszyscy na niego patrzyli - Celia przecież zupełnie ich zaskoczyła. Pani Holden musiała przyznać w duchu, że sama wpatrywała się w młodego mężczyznę zbyt długo. Poza tym od lat nie widziała ananasa. Ale Lottie dosłownie nie spuszczała z niego oczu. Pani Holden zauważyła to, bo Lottie stała dokładnie na linii jej wzroku. To było dość irytujące. A kiedy Celia powiedziała o zaręczynach, Lottie zbladła nagle jak ściana, jakby wszystka krew odpłynęła z jej twarzy. Dosłownie. A potem wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć.

Celia nic nie zauważyła. Była zbyt zajęta pokazywaniem pierścionka i paplaniem o ślubie. Ale nawet mimo tego całego zamieszania pani Holden zwróciła uwagę na dziwną reakcję Lottie i poczuła nagle ukłucie niepokoju. Wieść o zaręczynach Celii napełniła ją jednocześnie przerażeniem i radością, a teraz z troską obserwowała swoją przybraną córkę.

Może to zresztą wcale nie było takie dziwne. W końcu nie zainteresuje się nią żaden mężczyzna poza Joem, pomyślała z mieszaniną litości i dumy z własnej córki. Z taką karnacją. I taką przeszłością.

Sięgnęła po słoiczek z kremem i zaczęła metodycznie ścierać warstwę różu z policzków. Może niepotrzebnie zabieraliśmy ją do siebie, pomyślała. Może trzeba ją było zostawić w Londynie z jej rodziną.

Możliwe, że rozbudziliśmy w niej zbyt wielkie nadzieje.

Rozdział czwarty

- Byli zupełnie nadzy. Mówię wam, moje panie, zrobiło mi się słabo. - Pani Colauhoun podniosła dłoń do ust, jakby samo wspomnienie sprawiło jej ból. - Tuż przy ścieżce nad morzem. Każdy mógł ich zobaczyć.

Zebrane w salonie panie zgodziły się, że to całkiem możliwe, lecz w duchu powątpiewały trochę, czy ktokolwiek poza Deirdre Colquhoun natknąłby się na George'a Berna i Juliana Armanda zażywających porannej kąpieli. Prawdę mówiąc, większość z nich zdawała sobie doskonale sprawę, że w ciągu minionych miesięcy pani Colauhoun niezwykle często spacerowała nadmorską ścieżką, nawet przy bardzo niesprzyjającej pogodzie. Nikt jednak nie wątpił, że kierowała się jedynie troską, by panujące w Merham normy nie zostały naruszone.

- Czy to nie było trochę głupie, w tak zimnej wodzie?

- Wyobrażam sobie, że byli cali sini - skomentowała pani Ansty z uśmiechem, który szybko zniknął jednak z jej ust, gdy zauważyła, że żadna z pań nie uznała tej uwagi za zabawną.

- I wiecie, że do mnie pomachał? Ten młody? Stał tam i machał... jakbym... jakbym mogła dostrzec... - Pani Colauhoun urwała, wciąż przyciskając dłoń do ust, jakby wspominała jakieś wyjątkowo przerażające wydarzenie.

- W zeszłym tygodniu śpiewał. Ten pan Armand. Stał na tarasie i wyśpiewywał jakąś arię operową. W biały dzień.

Panie zacmokały z przejęcia.

- Chyba po niemiecku - powiedziała Margaret Carew, która wielbiła Gilberta i Sullivana.

Na chwilę zapanowała cisza.

- No cóż, drogie panie, jestem przekonana, że mieszkańcy tego domu zaczynają obniżyć obowiązujący w naszym mieście poziom.

Pani Chilton odstawiła filiżankę.

- Zaczynam się coraz bardziej martwić o gości, którzy zechcą nas odwiedzić przyszłego lata. Co będzie, jeśli roznie się wieść o tych wybrykach? Mamy przecież reputację, której musimy sprostać. Poza tym nie chcemy, żeby ich wpływ rozszerzył się na naszą młodzież, prawda? Bóg jeden wie, co się wtedy może zdarzyć.

Rozmowy na chwilę ucichły. Nikt nie chciał wspominać o incydencie z Celią i Lottie na plaży. Lecz Susan Holden, zbyt rozradowana zaręczynami córki, nie czuła się już przytłoczona tym wspomnieniem.

- Czy któraś z pań ma jeszcze ochotę na kawałek ananasa? A może melona? - Zakręciła się po pokoju, podsuwając paniom kawałki owoców, które przebiła koktajlowymi patyczkami i ułożyła malowniczo na talerzu (w magazynie „Good Housekeeping” kładziono szczególny nacisk na atrakcyjne podawanie potraw). - Wiecie, moje drogie panie, zdumiewa mnie, jak długą drogę przebyły te owoce, by tutaj dotrzeć. Wczoraj wieczorem powiedziałam do Henry’ego: „W dzisiejszych czasach samolotami lata chyba więcej owoców niż ludzi!” - Roześmiała się zadowolona ze swego małego żartu. - Bardzo proszę, częstujcie się.

- Jest zupełnie inny niż ananas z puszki - powiedziała pani Ansty, żując owoc. - Jak na mój gust może nawet zbyt ostry.

- To zjedz kawałek melona, moja droga - zaproponowała pani Holden. - Ma taki przyjemny, łagodny smak. Ojciec Guya importuje owoce z najbardziej niezwykłych miejsc

na świecie. Z Hondurasu, Gwatemali, Jerozolimy. Wczoraj wieczorem Guy opowiadał nam o owocach, o których jeszcze nigdy nie słyszałam. Czy wiecie, że jest taki jeden w kształcie gwiazdy? - Aż pokraśniała z dumy.

Pani Ansty przełknęła owoc i uśmiechnęła się zadowolona.

- Och, ten melon jest naprawdę pyszny.

- Musisz koniecznie wziąć kawałek dla Artura. Guy powiedział, że poprosi ojca, by przysłał nam jeszcze parę z Londynu. Ma wielką firmę. A Guy jest jego jedynym dzieckiem, więc kiedyś odziedziczy bardzo obiecujący interes. Jeszcze kawałek ananasa, Sarah? Proszę, tu są serwetki.

Pani Chilton uśmiechnęła się blado i odmówiła. Wszystkie bardzo się cieszyły z powodu zaręczyn Celi, ale Susan nie powinna się aż tak bardzo tym szczycić.

- Z pewnością poczułaś ogromną ulgę - powiedziała ostrożnie.

Susan Holden podniosła gwałtownie wzrok.

- Z dziewczętami jest tyle kłopotu, prawda? Wszystkie bardzo się cieszymy, że Celia ma zapewnioną przyszłość. I będziemy trzymać kciuki za Lottie. Choć trzeba przyznać, że nią nigdy się aż tak nie przejmowałaś. - Wzięła herbatnik z tacy, którą podsunęła jej Virginia.

Uśmiech pani Holden nieco przybladł.

Pani Chilton usiadła wygodnie i uśmiechnęła się pokrępiąco do gospodyni.

- Co zrobimy z tą Arcadią, drogie panie? Zastanawiałam się... może ktoś powinien z nimi delikatnie porozmawiać? Ktoś znaczący, może burmistrz Elliott. Ale sądzę, że należy przywołać tę bohemę, czy jak się tam nazywają, do porządku. Chyba nie do końca zrozumieli, jak żyje się tu, w Merham.

Lottie leżała na łóżku i udawała, że czyta, próbując nie nasłuchiwać głośnych wybuchów śmiechu, dobiegających zza okna. Celia i Guy grali na trawniku w tenisa, nie zwracając uwagi na silny wiatr ani na Freddiego, przejętego rolą chłopca do podawania piłek.

Spojrzała oskarżycielsko na otwartą książkę, zdając sobie sprawę, że od blisko czterdziestu minut wpatruje się w ten sam akapit. Gdyby ktoś ją zapytał o jego treść, nie wiedziałyby, co powiedzieć. Nie potrafiłaby też udzielić odpowiedzi na pytanie, o co w tym wszystkim chodzi. Bo nic nie miało sensu. Całym wszechświatem wstrząsnął wielki wybuch i podzielił go na małe kawałeczki, które potem opadły na niewłaściwe miejsca. Ale tylko Lottie to zauważyła. Nagle doleciał do niej pełen wyrzutu okrzyk Celi, który zaraz przeszedł w radosny chichot, a w tle spokojny głos Guya, który udzielał jej jakichś instrukcji. W jego głosie też słychać było śmiech, ale udało mu się nad nim zapanować.

Lottie zamknęła oczy i próbowała spokojnie oddychać. Wiedziała, że lada chwila Celia przyśle kogoś na górę, by spytał, czy nie ma ochoty się do nich przyłączyć. Może zagrają we czwórkę, jeśli Freddie za nic nie zechce odpuścić. Jak wytłumaczy swoją nagłą awersję do tenisa? I do wychodzenia z domu? Ile jeszcze czasu upłynie, zanim ktoś zorientuje się, że Lottie nie jest po prostu „nietowarzyska”, jak ze śmiechem podsumowała jej zachowanie Celia? Że niechęć do spędzania czasu z przyjaciółką nie jest tylko jednym z kaprysów?

Spojrzała na nową bluzkę wiszącą na klamce. Pani Holden rzuciła jej jedno ze swoich „spojrzeń”, kiedy dziękowała za nią Celi. Wiedziała, że uznawała to za przejaw niewdzięczności. Lottie powinna bardziej się cieszyć. Bluzka była przecież bardzo ładna.

Ale Lottie w ogóle mało się odzywała. Bo niewiele mogła powiedzieć. Jak mogła wytłumaczyć, że w chwili gdy po raz pierwszy zobaczyła Guya, wszystko, co wiedziała, w co wierzyła, usunęło się jej spod stóp, jakby ktoś pociągnął leżący na podłodze dywan? Jak mogła wytłumaczyć ból, który ogarnął ją w chwili, gdy spojrzała w jego twarz, gorzką radość poznania, głębokie przekonanie, że każda cząsteczka jej ciała zna tego mężczyznę? Jak miała powiedzieć Celi, że nie może wyjść za mąż za człowieka, którego przywiozła do domu jako swojego narzeczonego?

Bo on należy do Lottie.

- Lottie! Lots! - Głos uniósł się wysoko, niesiony czystym powietrzem. Dokładnie tak jak przewidywała.

Poczekwała na drugie wezwanie i otworzyła okno. Spojrzała w dół. Próbowwała się skoncentrować na uniesionej twarzy Celi.

- Lots, daj spokój! Chyba nie uczysz się teraz do egzaminów.

- Trochę boli mnie giowa. Później do was dołączę.

Nawet jej głos brzmiał inaczej.

- Siedzi tam cały dzień - oznajmił Freddie, który odbijał piłeczki o ścianę domu.

- No chodźże. Wybieramy się do Bardness Point. Mogłabyś zaprosić Joego. Pojechalibyśmy we czwórkę. No, Lots. Prawie cię nie widuję.

Ciekawe, czy Celia zorientowała się, jak fałszywy jest jej uśmiech. Aż bolały ją kąciki ust.

- Jedźcie sami. Poczekam, aż przestanie mnie boleć głowa. Wybierzemy się gdzieś razem jutro.

- Ależ jesteś nudna. A ja opowiadałam Guyowi, że masz na mnie zły wpływ... Jeszcze pomyśli, że bujałam, prawda, kochanie?

- Jutro. Obiecuję.

Lottie cofnęła głowę do pokoju. Nie chciała oglądać ich uścisku. Schowała twarz w poduszkę. Próbowwała sobie przypomnieć, jak się oddycha.

Guy Parnell Olivier Bancroft urodził się w Winchester, przez co formalnie był Anglikiem. Na tym jednak jego związki z Anglią się kończyły. Wszystko inne - począwszy od opalanej skóry, tak mocno odcinającej się na tle bladej karnacji rodaków, na spokojnym, luźnym sposobie bycia skończywszy - różniło go zdecydowanie od młodych mężczyzn znanych Celi i Lottie. A przynajmniej mężczyzn z Merham. Był niezależnym, uprzejmym, niezwykle opanowanym młodym człowiekiem, lecz mimo to otaczała go nie-

mai magiczna aura, typowa dla dziedziców fortun i następców tronu. Niewiele mogło go zaskoczyć i cały czas był przekonany, że wydarzy się coś dobrego. Nie robi! nieustannie rachunku sumienia jak Joe ani nie kierował się w życiu zasadą współzawodnictwa jak inni chłopcy. Patrzył na świat szeroko otwartymi oczami, jakby nieustannie rozbawiony jakimś nieoczekiwanym żartem, od czasu do czasu wybuchając niepohamowanym, radosnym śmiechem („to człowiek, do którego nie sposób się nie uśmiechać”, zwierzyła się pani Holden mężowi. Ale też i ona sama dzięki Guyowi często się uśmiechała; kiedy już doszła do siebie po wstrząsie, jakim były szybkie zaręczyny córki, traktowała go tak czule jak pierworodnego syna). Guy z równą swobodą podchodził do rozmowy z człowiekiem czekającym na postoju taksówek jak do perspektywy oficjalnego poproszenia doktora Holden o rękę jego córki. (Jeszcze tego nie zrobił. Ale przebywał z nimi dopiero od paru dni, a doktor był bardzo zajęty). Jeśli nawet można było uznać, że jest odrobinę mniej otwarty i rozmowny, niż życzyliby sobie Holdenowie, to przecież nie zamierzali go wcale osądzać - darowanemu koniowi i tak dalej.

Żadna z tych cech nie powinna jednak nikogo dziwić. Guy Bancroft spędził bowiem większość życia z dala od surowych zasad typowych dla prywatnych szkół czy podmiejskich kręgów towarzyskich. Jako jedyne dziecko był oczkiem w głowie ojca i po krótkim, niefortunnym pobycie w brytyjskiej szkole dla chłopców wrócił na łono rodziny, i razem z rodzicami i całym dobytkiem podróżował po tropikach. Guy Bertrand Bancroft senior szybko bowiem zorientował się, jakim powodzeniem cieszą się wśród Brytyjczyków egzotyczne owoce i stworzył firmę importową, by zaspokoić ich apetyt.

W rezultacie Guy spędził dzieciństwo, podróżując po ogromnych plantacjach owoców na Karaibach, gdzie początkowo rozwijał działalność jego ojciec. Wędrował po opuszczonych plażach i nawiązywał przyjaźnie z dziećmi czarnych robotników, edukowany sporadycznie przez guverne-

rów, kiedy jego ojciec przypominał sobie, by ich zatrudnić. „Guyowi nie jest potrzebna żadna nadęta edukacja!” - wykrzykiwał (Bardzo lubił wykrzykiwać. Może dlatego Guy był opanowany i cichy). Czy to takie ważne, co się stało w 1066* i co z tego wynikło? Kogo obchodzi, ile żon miał Henryk VIII? (Sam król miał problemy, żeby się w nich połapać). Jego wiedza pochodziła z Ostrej Szkoły Codzienności. Otrzymał dyplom (słyszając to, jego matka unosiła komicznie brwi) Uniwersytetu Życia. Nie, chłopiec nauczy się znacznie więcej, jeśli zostawi mu się dużo swobody. A z pewnością zyska rozległą wiedzę geograficzną (porównując tarasowe pola w środkowych Chinach z rozległymi obszarami upraw w Hondurasie) i polityczną, dowie się więcej o ludziach, ich kulturze i wierzeniach. Matematyki może się uczyć z ksiąg rachunkowych. A biologii - obserwując życie owadów!

Wszyscy znali jednak rzeczywisty powód takiej postawy. Guy senior po prostu lubił mieć syna przy sobie. Urodzony późno, długo oczekiwany, był wszystkim, czego kiedykolwiek pragnął. Nie rozumiał rodziców, którzy marzyli tylko o tym, by wysłać swoje pociechy do sztywnych, starych szkół z internatem, gdzie nauczą się tylko, co to snobizm i duma, a potem będą się opieprzać. „Tak, kochanie - przeżywała w tym miejscu matka Guya. - Chyba już wiem, o co ci chodzi”.

Guy opowiedział im o tym wszystkim podczas paru wspólnych posiłków. Nie wspominał co prawda nic o „opieprzaniu”, ale Celia wyznała to Lottie, kiedy leżały razem w łóżku i gadały w ciemności. No, przynajmniej Celia gadała. Lottie udawała bez powodzenia, że śpi, wierząc święcie, iż uda się jej pozostać przy zdrowych zmysłach tylko wtedy, gdy nie ubierze wizji Guya w żaden ludzki kształt.

Nie były zresztą jedynymi osobami w rodzinie, które rozmawiały o Guyu. Pani Holden była bardzo zaniepokojona

* W 1066 r. książę normandzki Wilhelm Zdobywca wyruszył na podbój Anglii, zwyciężył w bitwie pod Hastings i ogłosił się królem.

wzmianką o czarnych przyjaciółach i kilkakrotnie spytała potem doktora Holdena, czy jego zdaniem nie ma w tym nic złego.

- Czym się tak przejmujesz, kobieto? - odparł z irytacją w głosie doktor. - Że się przy tym pobrudził? Sam stanie się czarny? Tam wszystko wygląda inaczej - powiedział, kiedy jego żona o wiele dłużej niż zazwyczaj w takich wypadkach patrzyła na niego z bólem w oczach. - Chłopak z pewnością nie miał zbyt wielu okazji, by bawić się z dziećmi równymi sobie pozycją. A poza tym, Susan, czasy się zmieniają. Spójrz tylko na problem imigracji. - Bardzo chciał poczytać w spokoju gazetę.

- No cóż... zastanawiam się tylko, czy nie jest to dowodem zbytnej... bez troski ze strony jego rodziców. Jak można nauczyć dziecko, co jest w życiu ważne, jeśli kontaktuje się wyłącznie ze... służbą?

- Przypomnij mi, żebym zwolnił Virginie.

- Co takiego?

- Nie możemy pozwolić, żeby Freddie i Sylvia z nią rozmawiali, prawda?

- Henry, celowo mi dokuczasz. Jestem pewna, że rodzina Guya jest na poziomie. Myślę tylko, że... jego wychowanie... wydaje się nieco... niezwykle, to wszystko.

- Susan, to bardzo sympatyczny młody człowiek. Nie ma żadnych nerwowych tików, żadnych widocznych defektów, jego ojciec jest bardzo bogaty, a on chce nas uwolnić od naszej trzpiotowatej córki. Jeśli o mnie chodzi, mógł w dzieciństwie uczyć się gry na bębnach i jeść ludzkie głowy.

Pani Holden nie wiedziała, czy wybuchnąć śmiechem, czy okazać przerażenie. Czasami tak trudno było ocenić poczucie humoru Henry'ego.

Lottie nic jednak o tym wszystkim nie wiedziała. Podczas posiłków wpatrywała się w talerz z zupą lub modliła w duchu, by nikt nie wciągnął jej do rozmowy. Ale tak naprawdę nie miała się czym martwić. Pani Holden była zbyt zajęta wypytywaniem Guya o jego rodzinę i o to, jak jego matka

odnalazła się po powrocie do Wielkiej Brytanii. Doktor Holden natomiast chciał się dowiedzieć, czy reformy rolne w Gwatemali zaważą na interesach ojca Guya i czy zimna wojna będzie miała wpływ na handel.

Zbyt trudno było siedzieć obok niego, słuchać jego głosu (Gdzie ona go wcześniej słyszała? Bo musiała słyszeć. Ten ton był zapisany głęboko w jej duszy). W obecności Guya czuła zamęt w głowie i bała się, że może się zdradzić. Jego zapach, ta ledwo wyczuwalna słodycz, jakby nadal był prześląknięty wonią tropików, sprawiała, że jąkała się, wypowiadając najprostsze słowa. Bezpieczniej więc w ogóle na niego nie patrzeć. Nie oglądać jego pięknej twarzy. Nie patrzeć, jak Celia władczy gestem kładzie mu dłoń na ramieniu albo w roztargnieniu gładzi po włosach. Bezpieczniej trzymać się od niego z daleka. Z daleka.

- Lottie? Lottie? Trzy razy pytam cię, czy masz ochotę na fasolkę. Trzeba przepłukać ci uszy?

- Nie, dziękuję - szepnęła i próbowała powstrzymać wyrywające się z piersi serce. Spojrzał na nią tylko raz. Raz, kiedy stała oniemiała na peronie, niemal porażona swoją reakcją na jego widok. Kiedy oczy Guya napotkały jej wzrok, wbiły się w nią niczym pociski.

- T o D .

- Nie, patrzysz pod złym kątem. To z pewnością G.

- Och, mamó. Daj spokój. Nie można tak oszukiwać.

- Spójrz tylko, kochanie. To naprawdę G. Czyż to nie urocze?

Lottie weszła do kuchni po szklankę mleka. Nie jadła za wiele od kilku dni i było jej niedobrze. Miała nadzieję, że mleko uspokoi szalejący żołądek. Nie spodziewała się, że znajdzie tam Celię, która razem z matką spoglądała przez ramię na podłogę. Pani Holden, o dziwo, była bardzo radosna. Na dźwięk kroków Lottie podniosła wzrok i rzuciła jej promienny uśmiech.

- Ja... przyszłam po mleko.

- Spójrz tutaj, Lottie. Z tej strony wygląda zupełnie jak G, prawda?

- Och, mammo. - Celia wybuchnęła śmiechem. Pasma jasnych włosów rozsypały się, a jedno z nich przyłgnęło do policzka.

Lottie popatrzyła na podłogę. Leżała tam skórka z jabłka, obrana starannie w jednym długim kawałku.

- To na pewno G.

- Nic nie rozumiem - powiedziała Lottie, marszcząc brwi. Pani Holden zawsze krzyczała na Virginie, gdy zostawiała resztki jedzenia na podłodze. Mogły załęgnać się zarazki.

- G jak Guy. Nigdy nie widziałam, by ułożyła się wyraźniej - oświadczyła z determinacją w głosie pani Holden i pochyliła się, by podnieść skórkę. Skrzywiła się przy tym trochę; nadal kupowała gorsety o rozmiar za małe.

- Powiem Guyowi, że wyszło D. Będzie straszliwie zazdrosny. Znamy kogoś na D, Lotts?

Tak rzadko widziała, by śmiały się razem. Celia twierdziła, że matka jest najbardziej irytującą kobietą świata. Poczuli się nagle tak, jakby Celia wstąpiła do jakiegoś nowego klubu, jakby obie ruszyły do przodu, zostawiając ją daleko za sobą.

- Wezmę mleko.

- Elvis the Pelvis* - oświadczył Freddie, wchodząc do kuchni. Trzymał w ręce resztki mechanizmu starego zegarka.

- Powiedziałam D, a nie E, ty mały głuptasie - rzuciła Celia z czułością.

Nic dziwnego, że jest dla wszystkich taka miła, pomyślała Lottie. Ja bym też była.

- Wiesz co, mammo? Guy powiedział, że moje usta przypominają płatki.

* Żartobliwe określenie Elvisa Presleya, nawiązujące do jego charakterystycznego ruchu bioder (łac. *pelvis* - miednica).

- Kratki - przekręcił Freddie, wybuchając śmiechem.
- D jak Dreamboat. Łódź marzeń. On czasami jest taki rozmarzony, prawda, mamó? Ciekawe, dokąd wędruje myślami. Obrąć dla ciebie jabłko, Lottie? Może wyjdzie nam J... nigdy nic nie wiadomo...

- Nie mam pojęcia, co ją napadło - powiedziała pani Holden, gdy Lottie szybko wyszła z kuchni.

- Och, ta Lottie. Nic jej nie będzie. Coś ją tylko ugryzło. - Celia przygładziła włosy i spojrzała na swoje odbicie w wiszącym na ścianie lustrze. - Wiesz co? Obierz mi jeszcze jedno jabłko. To zielone. I tym razem weź ostrzejszy nóż.

Zaproponowano jej pracę w sklepie z butami Sheldford's Shoes na samym końcu Promenady. Przyjęła ją, nie dlatego że musiała - doktor Holden powiedział, że może jeszcze poczekać i zastanowić się, czego naprawdę chce - lecz przebywanie w sklepie trzy dni w tygodniu było o wiele łatwiejsze niż siedzenie w domu. A wypadki do Arcadii stały się prawie niemożliwe. W całym mieście aż roiło się od szpiegów, czyhających tylko, by przyłapać każdego, kto choćby tylko zbliżył się do Jaskini Zła.

Guy wyjechał na prawie tydzień i wtedy znów mogła oddychać i w miarę normalnie funkcjonować (Na szczęście Celia tkwiła na dobre w swojej małej bańce miłości i nie wypytywała o „epizody” Lottie, jak określała jej zachowanie pani Holden). Potem jednak wrócił i powiedział, że przed rozpoczęciem pracy w firmie ojciec kazał mu „zrobić sobie wakacje i trochę się zabawić”. Lottie, którą ciężar tęsknoty dosłownie przygniatał do ziemi, musiała się przygotować na dalsze cierpienie.

Co gorsza, teraz zamieszkał z nimi. Chciał poszukać sobie jakiejś kwatery, pytał Holdenów, czy mogą mu coś zarekomendować, na przykład pensjonat pani Chilton, ale pani Holden nawet nie chciała o tym słyszeć. Przygotowała mu pokój przy Woodbridge Avenue. W drugim końcu domu, oczywi-

ście. Z oddzielną toaletą. Nie będzie więc musiał nocą wędrować po domu, prawda? („Bardzo roztropnie z twojej strony, moja droga - oświadczyła pani Chilton. - Z hormonami nigdy nic nie wiadomo”). Niemniej szukanie pokoju w jakimś pensjonacie w ogóle nie wchodziło w grę. Pan Bancroft przekona się, że są sympatyczną rodziną. Z dużym domem. Rodziną, w którą warto się wżenić. A spora skrzynka egzotycznych owoców przysyłana co tydzień jako gratyfikacja też była nie do pogardzenia. Dlaczego mieliby rezygnować z niej na rzecz Sarah Chilton.

Trzy razy w tygodniu Lottie wędrowała w dół wzgórza, a potem przez park, przygotowując się w duchu na cały dzień wciskania stóp o rozmiarze osiem w lakierki o rozmiarze siedem i zastanawiając się, jak długo zdoła żyć z tak wielkim bólem i tęsknotą. Joe dalej się nie pokazywał.

Zauważyła to dopiero po dziesięciu dniach.

Postanowiono napisać list. Zaproszenie. Pani Holden oświadczyła, że są sposoby, by osiągnąć cel bez konfrontacji. A bardzo pragnęła jej uniknąć. Panie zbierające się u niej w salonie napisały więc niezwykle uprzejmy list do pani Julianowej Armand. Zapraszały ją, by zechciała wziąć udział w kolejnym spotkaniu, dzięki czemu będą mogły się poznać, zjeść coś smacznego i porozmawiać. Chętnie zobaczą w swoim gronie miłośniczkę sztuki. Tradycyjnie mieszkańcy Arcadii odgrywają ważną rolę w społecznym i kulturalnym życiu miasteczka (nie było to zgodne z prawdą, jak stwierdziła pani Chilton, ale kobieta z klasą nie będzie mogła odmówić takiemu zaproszeniu).

- Zgrabnie ujęte - pochwaliła pani Colquhoun.
- Weźmiemy ją pod włos - ucieszyła się pani Chilton.

Lottie wychodziła właśnie z domu, gdy zatrzymała ją pani Holden. Postanowiła wpaść do Joego. Minęło już tyle czasu. Uwięziona w swoim czyścucu, doszła do wniosku, że każda odmiana będzie miła, nawet jeśli sprowadzi się do nieustan-

nych zapewniení Joego o jego oddaniu. Ostatnio czuła do niego znacznie większą sympatię. Miała przecież okazję poznać na własnej skórze, czym jest ból nieodwzajemnionej miłości.

- Toty, Lottie?

Zatrzymała się w holu i ciężko westchnęła. Teraz już nic nie mogła zrobić, by uniknąć spotkania z paniami zebranymi w salonie. Nienawidziła wyrazu litościwego zrozumienia malującego się na ich twarzach, kiedy w milczeniu zastanawiały się nad jej coraz bardziej niepewnym miejscem w rodzinie Holdenów. Może będzie chciała sobie znaleźć coś stałego, mawiała pani Holden. Może pracę w eleganckim domu towarowym. Jest taki w Colchester.

- Słucham?

- Możesz tu przyjść, moja droga? Mam do ciebie prośbę.

Lottie weszła powoli do salonu, uśmiechając się niepewnie na widok wpatrzonych w nią z oczekiwaniem oczu. W pokoju, w którym dzięki zainstalowanemu niedawno ogrzewaniu gazowemu panował nieznośny upał, unosił się nieco stęchły zapach pudru i perfum w kremie marki Coty.

- Wybierałam się właśnie do miasta - powiedziała.

- Dobrze, moja droga. Chciałabym, żebyś po drodze dostarczyła pewien list.

A więc o to chodziło. Odetchnęła z ulgą.

- Do domu tej aktorki.

Lottie odwróciła się gwałtownie.

- Do Arcadii?

- Tak. To zaproszenie.

- Ale mówiła pani, że nie wolno nam tam chodzić. Że dom jest pełen... - Zawiesiła głos, próbując sobie dokładnie przypomnieć słowa pani Holden.

- Tak, tak. Doskonale pamiętam, co mówiłam. Ale sytuacja uległa zmianie. Postanowiłyśmy odwołać się do poczucia rozsądku pani Armand.

- Dobrze - odparła Lottie, biorąc kopertę. - Do zobaczenia.

- Chyba nie każesz jej iść tam samej - powiedziała nagle pani Colahoun.

Susan Holden rozejrzała się po pokoju. Panie w milczeniu spoglądały na siebie.

- Nie może tam iść sama.

- Racja, moja droga. Po... tym wszystkim. Powinna pójść z kimś.

- Nic mi się nie stanie - oświadczyła Lottie nie bez cienia irytacji w głosie.

- Masz rację. Ale musisz przyjąć do wiadomości, że dorosli czasami wiedzą lepiej. Gdzie jest Celia, Susan?

- U fryzjera - odparła pani Holden lekko zmieszana. - A potem ma przejrzeć ślubne magazyny. Trzeba wszystko przemyśleć z góry...

- Sama nie może tam iść - nie ustępowała pani Colquhoun.

- Jest jeszcze Guy - powiedziała niepewnie pani Holden.

- To wyślij go z nią. Z nim będzie bezpieczna. - Pani Chilton wyglądała na w pełni usatysfakcjonowaną takim rozwiązaniem.

- G... Guy? - wyjąkała Lottie, rumieniąc się.

- Jest w gabinecie. Idź po niego, moja droga. Im szybciej wyjdiesz, tym szybciej wrócisz. Poza tym spacer dobrze mu zrobi. Przez cały ranek siedział w domu z Freddie. Ten chłopak ma naprawdę anielską cierpliwość.

- Ale ja świetnie dam sobie radę sama.

- Zachowujesz się teraz okropnie nietowarzystwo - powiedziała pani Holden. - Naprawdę ciężko jest ją ostatnio wyciągnąć z pokoju. Nie widuje się w ogóle z Joem, biedna Celia też nie ma szczęścia... No, Lottie. Odrobina uprzejmości nie zawadzi. - Pani Holden wyszła, by poszukać Guya.

- Jak tam praca, moja droga? Dobrze sobie radzisz?

Pani Chilton musiała zadać to pytanie dwa razy.

- Dobrze - odparła Lottie, próbując się skoncentrować. Wiedziała, że jeśli jej się to nie uda, znowu uznają ją za niegrzeczną i opryskliwą.

- Muszę koniecznie kupić nowe buty na zimę. Macie już jakieś ładne? Z ciepłą wyściółką?

O Boże, on zaraz wejdzie do pokoju. I będzie musiała z nim rozmawiać.

- Lottie?

- Chyba na razie mamy tylko letnie - szepnęła.

Pani Chilton spojrzała znacząco na panią Ansty.

- Wpadnę pod koniec tygodnia.

Udało się jej wyjść z pokoju, nie patrząc na niego. Skinęła tylko głową w odpowiedzi na krótkie „Cześć”, po czym wbiła wzrok w podłogę, nie zwracając uwagi na wymowne spojrzenia pań zebranych w salonie. Ale teraz, kiedy szli razem drogą, Lottie czuła się boleśnie rozdarta między pragnieniem rozpaczliwej ucieczki a świadomością, że on uznaje ją za ciemną i nieokrzesaną.

Wsuwając ręce głęboko do kieszeni, schyliła głowę, by uchronić się przed silnym wiatrem, a całą uwagę skupiła na w miarę normalnym oddychaniu. Na nic więcej nie mogła się zdobyć. On niedługo wyjedzie, powtarzała sobie w duchu jak mantrę. A potem znów wszystko wróci do normy.

Była tak pochłonięta myślami, że usłyszała go dopiero po kilku minutach.

- Lottie? Lottie, zwolnij trochę...

Zatrzymała się i obejrzała, mając nadzieję, że rozwiane przez wiatr włosy ukryją rumieniec, który wypłynął jej na twarz.

Wyciągnął rękę, jakby chciał ją zatrzymać.

- Czy bardzo się nam spieszy?

W jego głosie słychać było cień obcego akcentu, jakby wszystkie te ciepłe kraje, które w młodości odwiedził, pozostawiły w nim swój ślad. Poruszał się z gracją, jakby sam ruch sprawiał mu przyjemność, jakby nic nie mogło go zatrzymać.

Lottie przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Nie - powiedziała wreszcie. - Przepraszam.

Ruszyli dalej w milczeniu, tym razem trochę wolniej. Lottie skinęła głową na powitanie jednemu z sąsiadów, który uniósł lekko kapelusz i rzucił: „Wieje, prawda?”.

- Kto to był?
- Pan Hillguard.
- To ten, który ma psa?
- Nie, to pan Atkinson. - Od wiatru piekły ją policzki. -
Z wąsami.

Wąsy, skarciła się w duchu. Kto w ogóle zauważa wąsy? Kiedy wspinali się na wzgórze prowadzące do Arcadii, przyspieszyła kroku. Błagam, niech to się skończy jak najszybciej, modliła się w duchu. Błagam, niech on sobie przypomni, że ma coś w mieście do załatwienia. Niech zostawi mnie samą.

- Lottie?

Zatrzymała się, walcząc z łzami. Poczowała, że zaczyna powoli wpadać w histerię.

- Lottie, poczekaj proszę.

Odrzuciła się. Spojrzała na niego po raz drugi. Stał, patrząc na nią orzechowymi oczami osadzonymi w zdecydowanie zbyt przystojnej twarzy. Zdziwiony. Z lekkim uśmiechem błąkającym się w kącikach ust.

- Czy ja cię czymś uraziłem?

- Co takiego?

- Nie jestem pewny, co takiego zrobiłem, ale chciałbym się koniecznie dowiedzieć.

Jak możesz nie wiedzieć? - pomyślała. Jak możesz tego nie dostrzegać? Nie widzisz we mnie tego, co ja widzę w tobie? Czekwała przez chwilę w nadziei, że może usłyszy odpowiedź.

Miała ochotę rozpłakać się z rozpacz, gdy nie usłyszała.

- Nic nie zrobiłeś - powiedziała w końcu i ruszyła przed siebie, by nie zauważył, jak mocno zagryza wargi.

- Hej. Hej! - Chwycił ją za rękaw.

Wyrwała rękę, jakby jego dotyk ją parzył.

- Odkąd tu przyjechałem, unikasz mnie. Czy czujesz się nieswojo z powodu mnie i Celii? Wiem, że zawsze byliście sobie bliskie.

- Ależ skąd - rzuciła ostro. - Chodźmy już. Jestem dziś bardzo zajęta.

- Nie bardzo wiem czym - usłyszała za sobą głos. - Większość czasu spędzasz w swoim pokoju.

Lottie poczuła, jak w jej gardle tworzy się wielka kula. Zaczynają dusić. Oczy wypełniły się łzami. Boże, spraw, żeby on sobie poszedł. Proszę. To niesprawiedliwe. Nie dręcz mnie tak.

Guy znów ją dogonił.

- Wiesz, przypominasz mi kogoś. - Tym razem na nią nie patrzył, tylko szedł obok niej. - Jeszcze nie wiem kogo. Ale na pewno sobie przypomnę. Czy to ten dom?

Nagle wśród ostrych podmuchów wiatru poczuła na plecach ciepło słońca. Już znacznie wolniej ruszyła przez podjazd. Pod jej stopami zgrzytał żwir. Była już w połowie drogi, gdy nagle dotarło do niej, że nie słyszy obok siebie kroków Guya.

- Ach! - Stał nieruchomo z dłonią uniesioną do czoła, mrużąc oczy w blasku słońca. - Kto tu mieszka?

- Adeline. I jej mąż Julian. I jeszcze kilkoro przyjaciół.

- Nie wygląda wcale jak angielski dom. Przypomina te, wśród których dorastałem. No, no, no. - Uśmiechał się teraz od ucha do ucha, idąc w stronę domu. Przyglądał się niezwykłym oknom i bielutkiej fasadzie. - Wiesz, nie przepadam za angielskimi domami. Tymi tradycyjnymi, zbudowanymi w stylu wiktoriańskim albo naśladowającymi rezydencje z czasów Tudorów. Wszystkie są dla mnie zbyt ciemne i ponure. Nawet dom rodziców Celi. Ten jest w moim stylu.

- Mnie też się podoba.

- Nie przypuszczałem, że można tu znaleźć takie domy.

- Jak długo cię nie było?

Zmarszczył brwi w zamyśleniu.

- Jakies dwadzieścia lat. Miałem sześć, kiedy po raz pierwszy wyjechaliśmy z Anglii. Wchodzimy?

Lottie spojrzała na trzymaną w dłoni kopertę.

- Nie jestem pewna - odparła. - Chyba wystarczy wrzucić ją tylko do skrzynki...

Popatrzyła tęsknie na drzwi. Minęły już prawie dwa tygodnie od jej ostatniej wizyty. Celia nie chciała wybrać się ra-

zem z nią. „Ach, znów ta nudna zgraja rozczarowanych życiem typów - powiedziała lekceważąco. - Musisz przyjechać do Londynu, Lots. Tam się dopiero zabawisz. Może kogoś poznasz”.

- Nie wolno mi ich lubić - zaczęła. - Mieszkańców tego domu. Ale i tak ich lubię.

Guy spojrział na nią.

- No to wchodzimy.

Drzwi otworzyła im Frances, nie Marnie.

- Odeszła - wyjaśniła, cofając się w głąb korytarza. Wytarła oblepione rybimi łuskami dłonie w krzywo zawiązany fartuch. - Zostawiła nas. To przykre, naprawdę. Żadne z nas nie radzi sobie zbyt dobrze z domowymi obowiązkami. Ja mam przygotować ryby na kolację, ale tylko narobiłam w kuchni okropnego bałaganu.

- To jest Guy - powiedziała Lottie, ale Frances tylko machnęła ręką. Przez Arcadię przewijało się zbyt wielu gości, by zwracać uwagę na oficjalne prezentacje.

- Adeline jest na tarasie. Zastanawia się nad naszym frezkiem.

Kiedy Guy rozglądał się po domu, Lottie ukradkiem obserwowала jego profil. Powiedz coś okropnego, namawiała go w duchu. Zlekceważ zupełnie Frances. Zrób coś, żeby mnie do siebie zniechęcić. Proszę.

- Co to za ryby? - spytał.

- Pstrągi. Okropnie śliskie. Fruwają po całej kuchni.

- Mogę spróbować? Nieźle sobie radzę z oprawianiem ryb.

Ulga Frances była niemal namacalna.

- Zrobiłbyś to? - upewniła się i wprowadziła go do kuchni, gdzie dwa tęczowe pstrągi krwawiły na jasnym blacie drewnianego stołu.

- Nie mam pojęcia, dlaczego Marnie odeszła. Ale zawsze była na nas o coś zła. Pod koniec nawet zaczęłam się jej bać. Ponure babsko.

- Nie pochwałała naszego stylu życia. I naszego domu. -

W drzwiach stanęła Adeline. Miała na sobie długą czarną plisowaną spódnicę, białą bluzkę i czarną muszkę. Uśmiechnęła się, patrząc na Guya. - Myślę, że czułaby się znacznie lepiej w bardziej... tradycyjnym domu. Przyprowadziłaś nam nowego gościa, Lottie?

- To jest Guy - odparła. A potem zmusiła się, by dodać: - Narzeczonej Celii.

Adeline obrzuciła ich uważnym spojrzeniem. Przez chwilę jakby się nad czymś zastanawiała, a potem uniosła dłoń w pozdrowieniu.

- Miło cię poznać, Guy. I należą ci się serdeczne gratulacje. Na chwilę zapadło milczenie.

- Nigdy nie udaje nam się zatrzymać służby na długo. Czy ten będzie dobry? Nie jest zbyt ostry. - Frances podniosła zakrwawiony nóż.

Guy sprawdził ostrze kciukiem.

- Nic dziwnego, że masz problemy. To jest chyba nóż do masła. Masz osełkę? Naostrzę go.

- Chyba powinniśmy kogoś zatrudnić - oświadczyła Frances. - Nigdy nie przychodzi nam nawet do głowy, że trzeba naostrzyć noże. - Potarła ręką policzek, bezwiednie pozostawiając na nim ślad krwi.

- Zatrudnianie służby jest takie nudne. - Adeline przez chwilę wyglądała na zirytowaną. Teatralnym gestem podniosła dłoń do czoła. - Nigdy nie przychodzi mi do głowy właściwe pytania. I nie sprawdzam, czy robią to, co należy. Nawet nie wiem, co powinni robić.

- I zawsze kończy się na tym, że to oni są na nas źli - powiedziała Frances.

- Potrzebujecie służby, żeby kierowała waszą służbą - stwierdził Guy, który szybkimi zgrabnymi ruchami przesunął ostrze noża po osełce.

- Wiesz, masz absolutną rację - zgodziła się Adeline.

Musiał się jej spodobać, zauważyła Lottie, takim uśmiechem obdarzała tylko te osoby, w których towarzystwie czuła się swobodnie. Znała już Adeline na tyle długo, by rozpoznać jej

inny uśmiech - kiedy kąciki ust unosiły się lekko, ale wyraz oczu pozostawał niezmienny. Tymczasem Lottie nie spuszczała wzroku z Guya, zahipnotyzowana regularnym zgrzytem metalu i poruszającym się rytmicznie opalonym ramieniem. Był taki piękny: jego skóra sprawiała wrażenie wypolerowanej, a wpadające przez okno światło odbijało się od kości policzkowych. Włosy, niemodnie długie, opadały ciemnozłotymi falami na kołnierzyk koszuli, jakby chciały tam ukryć jakiś wielki sekret. Kilka włosków w lewej brwi było całkiem białych, pewnie wynik jakiegoś wypadku. Założę się, że Celia nawet tego nie zauważyła, pomyślała z roztargnieniem Lottie. Założę się, że nie dostrzega nawet połowy tego, co widzę ja.

Adeline widziała.

Lottie, pogrążona w marzeniach, poczuła na sobie palący wzrok i odwróciła głowę. Pod uważnym spojrzeniem Adeline zarumieniła się, jakby przyłapaną na jakiejś psocie.

- Gdzie jest Celia?

- U fryzjera. Pani Holden poprosiła Guya, żeby przyszedł tutaj ze mną. - Nie chciała, by zabrzmiało to jak obrona. Ale Adeline tylko skinęła głową.

- Proszę! - Guy podniósł wysoko jednego pstrąga: opłukany i wypatroszony zwiisał smutno w jego dłoni. - Chcesz, żebym ci pokazał, jak sprawić drugiego?

- Wolałabym, żebyś sam to zrobił - odparła Frances. - Zajmie ci to o wiele mniej czasu.

- Z przyjemnością - powiedział Guy.

Kiedy Lottie patrzyła, jak ostrożnie rozcina lśniący brzuch od głowy do ogona, poczuła, że po jej twarzy płyną Izzy.

Przygotowaną przez Lottie herbatę wypili na tarasie. Frances rzeczywiście zupełnie nie radziła sobie z tego typu pracami. Pierwszą herbatę, którą zaparzyła, zapomniała przecedzić, więc po chwili w mleku zaczęły pływać czarne listki. Do drugiego dzbanka w ogóle nie dodała herbaty i wyglądała, jakby miała się zaraz rozpłakać, kiedy zwrócono jej uwagę. Adeline uznała to jednak za bardzo zabawne i zapropono-

nowała im kieliszek wina. Lottie nie chciała jednak, by Guy źle sobie pomyślał o mieszkańcach Arcadii. Odmówiła więc i sama zajęła się parzeniem herbaty. Poza tym cieszyła się, że może spędzić choć chwilę w samotności. Czuła się trochę jak naelektryzowana, niezdolna panować nad kierunkiem, w którym popłynie prąd.

Kiedy wyszła na taras z dużą tacą pełną najdziwniejszych filiżanek, Adeline pokazywała Guyowi zarysy fresku. Od czasu ostatniej wizyty Lottie na białej powierzchni pojawiły się dziwne linie, tworzące wsparte o siebie sylwetki. Guy, stojąc do niej tyłem, przesuwał palcem po jednej z nich. Pod rozpiętym kołnierzykiem koszuli widać było opalony kark.

- Jesteś nareszcie, Lottie. Spójrz, ustawiłam cię daleko od George'a, bo nie chciałam, żeby znów cię obraził. Jest zupełnie bezmyślny - powiedziała Adeline. - Głowę ma zaprzętą rosyjską ekonomią i temu podobnymi sprawami. Nie pozostaje tam już zbyt wiele miejsca na wrażliwość.

Na jego przedramieniu widniały drobne złote włoski, tak delikatne jak meszek na skrzydłach motyla. Lottie widziała dokładnie każdy z nich.

- Chciałabym, żebyś trzymała coś w ręce. Może koszyk. Bo jeśli trochę się pochylisz, uda nam się pokazać, jak płynnie i zgrabnie się poruszasz. I koniecznie musisz mieć rozpuszczone włosy. Powinny opadać jak fala. - Frances patrzyła na szkic, jakby tak naprawdę nie miał nic wspólnego z prawdziwą Lottie.

- I ubierzemy cię w bardzo egzotyczne kolory. Coś jasnego, zdecydowanie mało angielskiego.

- Może w sari - zaproponowała Frances.

- Dziewczęta w Anglii wybierają o wiele ciemniejsze kolory niż te, wśród których dorastałem - powiedział Guy, odwracając się, by wciągnąć Lottie do rozmowy. - Tutaj wszyscy noszą brąz albo czerń. Kiedy mieszkaliśmy na Karaibach, wszędzie dookoła widać było czerwone, błękitne albo żółte ubrania. Nawet ja takie nosiłem. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Moja ulubiona koszula miała na plecach

wielkie żółte słońce, z promieniami sięgającymi ramion. - Wyciągnął ręce w bok, by zilustrować swoje słowa.

Lottie ostrożnie postawiła tacę na stole, próbując powstrzymać drżenie rąk.

- Wydaje mi się, że powinniśmy ubrać Lottie na czerwono. A może w coś szmaragdowego? - zastanawiała się Adeline. - Nasza mała Lottie jest naprawdę niezwykła, ale zawsze się chowa. Zawsze próbuje być niewidzialna. Mam do spełnienia pewną misję - zwierzyła się Guyowi. - Chcę pokazać temu miastu, że Lottie jest jednym z jego najcenniejszych klejnotów.

Lottie poczuła, że ogarniają gniew. Zaczęła podejrzewać, że Adeline się z niej naśmiewa.

Jednak nikt się nie roześmiał.

Guy nawet nie wydawał się zaniepokojony zachowaniem Adeline. Uśmiechnął się do niej promiennie, a potem odwrócił do Lottie. Popatrzył uważnie, jakby zobaczył ją po raz pierwszy.

Dwa utkwione w niej spojrzenia, Guy a i Adeline, wstrząsnęły Lottie tak, że nie była już w stanie dłużej nad sobą panować.

- Nic dziwnego, że nie możecie znaleźć służby. Ten dom przypomina chlew! Musicie tu zrobić porządek! Nikt tu nie przyjdzie, jeśli nie posprzątaacie. - Zerwała się i zaczęła zbierać walające się po tarasie puste butelki po winie, stare gazety i brudne kieliszki. Nie miała odwagi spojrzeć nikomu w oczy.

- Lottie! - usłyszała ciche wołanie Adeline.

- Nie musisz tego robić - powiedziała Frances. - Usiądź, kochanie. Przecież dopiero co zaparzyłaś herbatę.

Lottie minęła ją, odtrącając wyciągniętą dłoń.

- Ale tu jest brudno. Tak, w niektórych miejscach jest naprawdę brudno. Przydałoby się trochę lizolu. Albo jakiegoś innego środka. - Słowa same płynęły jej z ust. Weszła do domu i zaczęła jak szalona zrzucać stosy gazet ze stołów, zaciągać zasłony. - Jeśli nie zrobicie porządku, nigdy nie znaj-

dziecię nowej służącej. Nikt tu nie będzie chciał pracować. Nie możecie tak żyć. Nie możecie tak żyć!

Kiedy wypowiadała ostatnie słowa, głos się jej załamał. Nagle ruszyła przed siebie korytarzem i wypadła przez frontowe drzwi prosto w blask popołudniowego słońca, nie zwracając uwagi na rozlegające się za nią pełne zdumienia okrzyki.

Guy znalazł ją w ogrodzie. Siedziała nad niewielkim stawem, tyłem do domu, wrzucając smętnie do ciemnej wody kawałki chleba. Kiedy się zbliżył, rozejrzała się, jęknęła cicho i ukryła twarz w zbyt mocno opalonych ramionach. Ale on nie odezwał się ani słowem. Usiadł tylko obok i podał jej talerzyk. Kiedy zaczęła na niego ukradkiem spoglądać, zauważyła, że trzyma duży, lśniący owoc. Patrzyła na nieznanym kształt z ciekawością, która zwyciężyła zakłopotanie. Tymczasem Guy wyjął z kieszeni szczyryki i rozciął owoc na cztery części. Potem starannie obrał każdą z nich ze skórki i wyjął dużą pestkę.

- To mango - powiedział, podając jej jedną ćwiartkę. - Przyszły dzisiaj. Spróbuj.

Spojrzała na wilgotny, lśniący miąższ.

- Gdzie jest Celia?

- Wciąż u fryzjera.

Na górze rozległ się płacz Freddiego. Słyszeli jego pełen wściekłości dziecinny szloch, przerywany stłumionymi protestami.

Spojrzała mu prosto w twarz.

- Jak smakuje? - Czuła zapach owocu na jego palcach.

- Jest pyszny. - Podniósł cząstkę z talerzyka. - Spróbuj.

Zawahała się. Uświadomiła sobie, że już ma otwarte usta. Miąższ był gładki i słodki. Smakował zupełnie jak poperfumowany. Pozwoliła, by topił się powoli na języku, i rozkoszowała się soczystością. Zamknęła oczy, żeby lepiej wyobrazić sobie ciepłe, obce kraje, miejsca, gdzie ludzie ubierali się na czerwono, żółto i niebiesko i gdzie nosili na plecach słońce.

Kiedy otworzyła oczy, on nadal na nią patrzył. Ale przestał się uśmiechać.

- Spodobali mi się - powiedział.

Lottie pierwsza odwróciła wzrok. Zrobiła to jednak dopiero po długiej chwili. Wstała i otrzepała niewidzialny pył ze spódnicy. Potem odwróciła się i ruszyła w stronę domu, czując gdzieś głęboko cień ulgi po długo przeżywanej burzy.

Tuż przed drzwiami się odwróciła.

- Wiedziałam, że ich polubisz - odparła.

Rozdział piąty

Może to był tylko sposób na zachowanie przynajmniej pozorów normalności, lecz Lottie wolała wierzyć, że wszystko, co działo się potem, było w pewnym sensie nieuniknione. Wiedziała więc, znalazłszy w kieszeni nieotwarte zaproszenie do „salonu”, że Guy zaproponuje, by wrócili do Arcadii pod pretekstem, że zjawił się tam dżentelmen, który chce porozmawiać o firmie jego ojca (pani Holden nigdy nie odważyłaby się sprzeciwić czemukolwiek, co miało związek z firmą). Wiedziała, że Guy w pewien sposób wybierze porę, kiedy Celia wyruszy na kolejną upiększającą misję - obejrzeć buty w Colchester lub nowe pończochy w Manningtree - czyli na wyprawę, w której mężczyzna, nawet narzeczony, nie powinien uczestniczyć. Wiedziała, że teraz patrzy na nią zupełnie inaczej. Choć nie nosiła szmaragdowych szat, nabrała pewnych cech bezcennego klejnotu, jaki widziała w niej Adeline. W efekcie lśniła wewnętrznym blaskiem i przyciągała jego wzrok niczym migający w świetle brylant.

Oczywiście ani słowem o tym nie wspominali. Tak jak wcześniej szukała sposobów, by unikać Guya, tak teraz znajdowała go u swego boku, gdy szli przez park. Lub trzymającego kosz, gdy wieszała pranie na sznurze w ogrodzie. Albo

gdy zaoferował się wyprowadzić Pana Beansa, kiedy ona wyszła załatwić coś na Promenadzie.

Szybciej niż mogła przewidzieć, przestała czuć się w jego obecności nieswojo; ból, który pojawiał się zawsze, gdy on był blisko, ustąpił miejsca drżącemu oczekiwaniu i niezwykle mu pragnieniu rozmawiania. Coraz częściej towarzyszyła jej pewność, że znalazła się dokładnie w tym miejscu, w którym powinna („Przestała miewać te swoje humory. I nie jest już tak zacięta”, zauważyła pani Holden. „To dziecinnie, Susan - odparła pani Chilton. - Jestem gotowa założyć się o dużą sumę, że jej matka to wyjątkowa ponuraczka”). Próbowwała nie myśleć o Celi. Udawało się, gdy była z nim: w takich chwilach jakby otaczały ją niewidzialne mury, osłaniało ją przekonanie, że ma prawo tam być. Kiedy przebywała z Celią, czuła się naga, a jej postępowanie nie wydawało się już tak szlachetne i czyste.

Bo nie potrafiła już traktować Celi tak samo jak dawniej. Tam gdzie kiedyś widziała sojusznika, teraz dostrzegała rywalkę. Celia nie była już tą samą Celią, ale zbiorem elementów, z którymi Lottie nieustannie się porównywała: stylowa blond fryzura przeciwko jej prostemu, ciemnemu warkoczowi uczennicy; lśniąca brzoskwiniowa cera przeciwko jej smagłej karnacji; długie nogi dziewczyny z rewii przeciwko jej własnym. Czy były krótsze? Grubsze? Mniej zgrabne?

No i to nieznośne poczucie winy: nocami zatykała uszy, by nie słyszeć oddechu Celi, płakała cicho z powodu rozpaczliwego pragnienia zdradzenia dziewczyny, którą uważała za siostrę. Nikt nie był jej bliższy. Nikt nie był dla niej lepszy i bardziej troskliwy. I to poczucie obrzydliwej dwulicowości sprawiało, że jeszcze bardziej nienawidziła Celi.

Od czasu do czasu powracała do niej wizja ich dawnej przyjaźni, zupełnie jakby na niebie rozsuwały się chmury, by odsłonić skrawek błękitu. Lecz potem znów się gromadziły i Lottie nie potrafiła patrzeć na nią, nie myśląc jednocześnie o Guyu. Kiedy Celia przesyłała mu dłonią pocałunek, musiała walczyć z pragnieniem irracjonalnego rzucenia się między

nich, by pocałunek nie dotarł do celu; ręka oparta niedbale na jego ramieniu budziła w niej niemal instynkt mordercy. Tkwiła w zawieszaniu między wyrzutami sumienia a szaleńczą zazdrością, popadając często w depresję.

Celia zdawała się niczego nie zauważać. Pani Holden, w gorączce przygotowań do zbliżającego się ślubu, doszła do wniosku, że zawartość szafy córki nie pasuje zupełnie do nowej pozycji, jaką zajmie w życiu, i postanowiła wymienić całą jej garderobę. Celia, wyznawszy Lottie w tajemnicy, że z pewnością uda się też przemycić coś ładnego dla niej, zabrała się do tego zadania z zapałem, nie oglądając się na swoją znacznie gorzej ubraną przyjaciółkę. „Dziś po południu wezmę kilka broszur z propozycjami na miesiąc miodowy - powiedziała. - Rejs będzie chyba idealny. Nie sądzisz, Lottie? Możesz sobie wyobrazić, jak to jest opalać się na pokładzie w jednym z tych nowych bikini? Guy marzy, by zobaczyć mnie w bikini - uważa, że będę wyglądać rewelacyjnie. Wszystkie gwiazdy z Hollywood wybierają się teraz w rejs, słyszałam o tym w Londynie... Lots? Och, przepraszam cię. Co za bezmyślność z mojej strony. Wiesz co? Jestem pewna, że kiedy ty wyjdiesz za mąż, też wybierzesz się w taki rejs. Zatrzymam nawet dla ciebie te broszury, jeśli zechcesz”.

Lottie jednak nie zazdrościła przyjaciółce: była wdzięczna za dodatkowy czas, który może spędzić z Guyem. I starała się wierzyć, kiedy znów spotkali się przypadkiem i szli razem do Arcadii, że on też odczuwa coś na kształt wdzięczności.

Dzieci dostrzegły Joego, zanim on je zauważył. Nie było to zresztą trudne: pochylał się głęboko nad otwartą maską austina healeya, walcząc z rozdzielaczem. Freddie, razem z Sylvią i Virginią, wracał właśnie z zakupów. Podbiegł do Joego, stanął za nim i wsunął mu pod koszulę dłoń upačkaną jakąś niezidentyfikowaną słodką substancją.

- Celia będzie miała dziecko!

Joe wyprostował się i pocierał głowę tam, gdzie uderzył się o wnętrze pokrywy silnika.

- Freddie! - Virginia rozejrzała się z niepokojem na boki, wpadła do warsztatu i zaczęła odciągać swojego małego podopiecznego.

- Będzie miała! Wczoraj wieczorem słyszałem, jak rozmawiała z mamą o tym, jak się robi dzieci. Mama powiedziała, że Guy powinien się o to zatroszczyć. Wtedy Celia nie będzie miała co roku nowego dziecka.

- Freddie, powiem twojej mamie, że opowiadasz bzdury! Przepraszam - szepnęła do Joego, podczas gdy Freddie próbował się uwolnić z jej jak zwykle silnego uchwytu.

- Dlaczego już do nas nie przychodzisz? - Sylvia stanęła tuż przed nim, przekrzywiając głowę na bok. - Miałeś mi pokazać, jak się gra w monopol, i nie przyszedłeś następnego dnia, jak obiecałeś.

Joe wytarł dłonie w szmatę.

- Przepraszam. Ostatnio miałem dużo pracy.

- Lottie mówi, że nie przychodzisz do nas, bo jesteś na nią zły.

Joe przestał wycierać ręce.

- Naprawdę?

- Mówi, że przestałeś przychodzić, bo powiedziała ci, że umówi się z Dickiem Valentine'em.

Joe zaśmiał się cicho, choć nie było mu do śmiechu.

- Czy Lottie też będzie miała dziecko? - Freddie pochylił się i wsunął pod maskę pulchną różową rączkę.

- Syh/io, Freddie, uspokójcie się.

- Jeśli Lottie będzie miała dziecko, nauczysz je grać w monopol?

- Jeśli masz gumkę, to będziesz mieć tylko jedno dziecko.

Joe wyciągnął rękę Freddiego i zaczął kręcić z niedowierzaniem głową. Stojąca obok niego Virginia wybuchnęła śmiechem.

Widząc to, Freddie zaczął się rozkręcać.

- Lottie będzie miała dziecko z Dickiem Valentine'em. Będzie o tym śpiewał w telewizji.

- Uważaj, co mówisz, Freddie. Jeszcze ktoś ci uwierzy. -

Odwróciła się ze śmiechem do Joego. Lubiła go. Najwyraźniej tracił czas, robiąc maślane oczy do Lotcie. Ta głupia dziewczyna sądzi, że jest dla niego za dobra. Mieszkając z Holdenami, zachowuje się jak jedna z nich i zadziera nosa. Ale wcale nie jest lepsza od Virginii. Po prostu miała szczęście.

- Jeśli wierzyć tej dwójce, następnym kandydatem na chłopaka Lottie będzie Elvis Presley. - Wygładziła włosy, żałując, że nie umalowała dziś rano ust.

Ale Joe zdawał się niczego nie zauważać. Nawet nie roześmiał się z Elvisa. Znów spoważniał.

- Jeździłeś gdzieś ostatnio, Joe? Byłeś może w Clacton? - Virginia przysunęła się bliżej, stając tak, by mógł widzieć jej smukłe łydki.

Joe spuścił wzrok i przestąpił z nogi na nogę.

- Nie. Miałem dużo pracy.

- Freddie ma rację. Rzadko cię ostatnio widzujemy.

- Tak. No cóż.

- Mam podartą skórę. Spójrz. - Freddie wyciągnął rękę.

- Rozdarta, Freddie. Mówiłam ci. I niedługo się zagoi.

Przestań ją wszystkim pokazywać.

- Potrafię zrobić bombę wodorową. Można kupić wodór w drogerii. Słyszałem, jak pan Ansty tak mówił.

Joe spojrział na zegarek, jakby chciał, żeby już sobie poszli. Ale Virginia nie dawała za wygraną.

- Chodzi mu o wodę utlenioną. Joe, wybieramy się małą grupką w sobotę do nowej sali tanecznej przy Colchester Road. Gdybyś chciał, moglibyśmy załatwić ci bilet. - Zawiesiła głos. - Ma grać zespół z Londynu. Są naprawdę dobrzy. Znają wszystkie rockandrollowe kawałki. Zabawimy się, pośmiejemy.

Joe spojrział na nią i raz jeszcze wytarł dłonie w szmatę.

- Zastanów się.

- Dzięki, Virginio. Dziękuję. Dam... dam ci znać.

W 1870 roku amerykański kapitan Lorenzo Dow Baker zarzucił kotwicę swego statku w Port Antonio i podczas

przechadzki po jednym z targów odkrył, że tubylcy przepadają za żółtym owocem o dziwnym kształcie. Kapitan Baker, człowiek niezwykle przedsiębiorczy, pomyślał, że owoce wyglądają i pachną bardzo obiecująco. Kupił sto sześćdziesiąt kiści, po szylingu każda, i złożył w ładowni statku. Kiedy jedenaście dni później zawinął do portu w New Jersey, lokalni handlarze rzucili się na jego owoce i zapłacili mu oszałamiającą sumę dwóch dolarów za kiść.

- Całkiem niezły zysk - powiedział Julian Armand.

- Za kilka bananów. Wszyscy oszaleli na ich punkcie. Ci, którym nie przeszkadzał dziwny wygląd, poznali ich słodczy... Ci zostali nagrodzeni. Tak wyglądał początek importu owoców na dużą skalę. Stary Baker niebawem stał się Bostońską Spółką Owocową. A firma, która z niej wyrosła, należy dziś do największych eksporterów na świecie. Tato opowiadał mi tę historię na dobranoc. - Uśmiechnął się do Lottie. - Ale potem przestał mi opowiadać, bo ta firma jest znacznie większa niż jego.

- Ambitny człowiek - zauważył Julian, który siedział, opierając boscie stopy na stosie książek. Na kolanach trzymał stos litografii, które rozkładał na dwie kupki. Obok niego Stephen, błądy, piegowaty młody mężczyzna, który nigdy się nie odzywał, zbierał odrzucone przez Juliana litografie i uważnie się im przyglądał, jakby wyświadczał wielką grzeczną. Był podobno dramaturgiem. Lottie dodała słowo „podobno”, idąc w ślady pani Holden, gdyż ostatnio przyszło jej do głowy, że żaden z mieszkańców Arcadii, z wyjątkiem Frances, tak naprawdę nic nie robi.

- Odnosi sukcesy?

- Teraz tak. Nie wiem, jakie ma dochody, ale kiedy byłem chłopcem, każdy nasz następny dom był większy od poprzedniego. Samochód też.

- Realizacja ambitnych planów może przynieść sporo satysfakcji. A twój ojciec sprawia wrażenie bardzo zdeternowanego.

- Nie znosi przegrywać. Nawet ze mną.

- Grasz w szachy, Guy?
- Już dawno nie grałem. Ma pan ochotę na partyjkę?
- Nie, ja nie. Myślenie taktyczne nie jest moją mocną stroną. Jeśli jesteś w tym dobry, powinieneś zagrać z **George'em**.

- Umysł George'a to czysta matematyka. I logika. Czasami nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jest pół człowiekiem, pół maszyną - powiedziała Adeline.

- Chcesz przez to powiedzieć, że jest zimny.

- Nie. Czasami potrafi być niezwykle ciepły i miły. Ale nie jest człowiekiem, którego można by kochać.

Mimo że rozmowa toczyła się spokojnie, trudno było ukryć unoszące się w powietrzu napięcie, które nie miało nic wspólnego z nadciągającą jesienią. Lottie początkowo nic poważnego nie wyczuła: pomiędzy zebranymi w pokoju osobami przebiegały tylko lekkie wibracje. Adeline ujęła pasmo jej włosów.

- Nie, nie jest to człowiek, w którym można by się zakochać.

Lottie siedziała w milczeniu u stóp Adeline. Przebudzona z marzeń o statkach handlowych i egzotycznych owocach, próbowała powstrzymać rumieniec, wypełzający jej na policzki na dźwięk tych słów.

Adeline przystrajała jej włosy małą sztucznymi różyczkami, które znalazła w wykładanym aksamitem pudełku.

- Były naszyte na moją suknię ślubną - powiedziała.

Lottie oniemiała.

- To była tylko suknia, Lottie. Z przeszłości zatrzymuję wyłącznie to, co najlepsze.

Nalegała, by powpinać różyczki we włosy Lottie, „żeby tylko zobaczyć”. Lottie początkowo nie chciała się zgodzić. Co takiego „zobaczy” Adeline, kiedy ona będzie miała we włosach całą tonę sztucznych kwiatków? Guy oświadczył jednak, że powinna spróbować. Powinna pozwolić Adeline rozpleść długi warkocz, a potem siedzieć spokojnie, gdy będzie szcztokować i przyozdabiać jej włosy. Myśl o utkwio-

nym w niej spojrzeniu Guya była tak rozkoszna, że Lottie, krygując się nieco, w końcu wyraziła zgodę.

- Ale będę musiała je wyjąć przed wyjściem. Na ich widok pani Holden dostałaby palpacji serca.

Kiedy z tarasu weszła Frances, Adeline przerwała pracę. Lottie czuła jednak nadal dotyk jej dłoni na głowie i usłyszała, jak wciąga powietrze, gdy Frances je mijają. Przez półtorej godziny, które spędzili w Arcadii, Frances nie odezwała się ani słowem. Lottie początkowo wcale tego nie zauważyła - wszystkie jej zmysły były nastawione na Guya, poza tym Frances ostatnio przebywała głównie na tarasie, pracując nad freskiem. Ale potem dotarło do niej, że coś jest nie tak. Frances nie odpowiadała na pytania Adeline, czy ma ochotę na drinka, przyniesione przez Guya pyszne owoce lub też czy przynieść jej nowy pędzel.

Lottie podniosła wzrok, gdy Frances przechodziła obok. Od razu zauważyła, jak zaciska szczęki, z trudem powstrzymując się przed wypowiedzeniem ostrych słów. Pochylała się nad tacą z farbami, jakby nie życzyła sobie, by ktokolwiek stanął jej na drodze. Wyglądałaby niemal agresywnie, gdyby nie delikatna mgiełka, zasnuwająca jej oczy, i wilgotne rzęsy, na których lśniły migotliwe kropelki.

Pewnie Julian ją zdenerwował, pomyślała Lottie. Przed jego przyjazdem nigdy się tak nie zachowywała. Widać było wyraźnie, że jest bardzo niezadowolona z samej obecności Juliana w domu.

- Czy pomóc ci w malowaniu, Frances? - spytała Adeline. Frances zniknęła jednak w kuchni bez słowa.

Pozostały jeszcze cztery dni do przyjazdu rodziców Guya i Lottie, świadoma, że wraz z tą wizytą wspólnie spędzany czas dobiegnie końca, starała się zapamiętać każdą chwilę w Arcadii, zupełnie jak małe dziecko chowające słodycze „na potem”. Nie było to łatwe, gdyż często z takim zapałem zapisywała w pamięci wszystkie szczegóły, że wydawała się nieobecna.

- Lottie znów nas opuściła - mawiała Adeline. A Lottie

kilka minut później zrywała się jak oparzona, zdając sobie sprawę, że koncentruje na sobie uwagę wszystkich.

Guy nie reagował. Wyglądało na to, że zaakceptował te cechy jej charakteru, które inni musieli jakoś skomentować. On nie wspominał o nich ani słowem, a Lottie, która miała już dość komentarzy na swój temat, była mu bezgranicznie wdzięczna.

Państwo Bancroftowie mieli przyjechać w sobotę i zatrzymać się w hotelu Riviera, gdzie zarezerwowali najlepszy pokój, z olbrzymim tarasem wychodzącym na zatokę („To chyba przesada - zauważyła pani Chilton rozczarowana, że na czas pobytu nie wybrali pokoju w Uplands. - Ale to przecież właściwie cudzoziemcy”). Gdy Guy poinformował o przyjeździe rodziców, pani Holden wpadła w szał domowych porządków, doprowadzając tym do rozpacz i tak przepracowaną Virginie.

- Chciałbym poznać twoich rodziców, Guy. Twój ojciec wydaje się być bardzo interesującym człowiekiem.

- On... powiedziałbym, że trzeba go polubić - odparł Guy. - Jest o wiele bardziej bezpośredni niż większość Brytyjczyków. I nie wszystkim to się podoba. Dla niektórych osób jest zbyt amerykański. Nieco szorstki. Poza tym interesuje się wyłącznie firmą i jej sprawami. Wszystko inne jest dla niego nudne.

- A twoja matka? Jak sobie radzi, żyjąc u boku takiego żywiołu?

- Często się z niego śmieje. Prawdę mówiąc, jest chyba jedyną osobą, która sobie na to pozwala. On ma bardzo wybuchowy charakter. Łatwo można się go... wystraszyć.

- Ale ty się go nie boisz.

- Nie. - Spojrzał ukradkiem na Lottie. - Ale też nigdy nie zrobiłem nic takiego, żeby go zdenerwować.

Niewypowiedziane „jeszcze nie” zawisło w powietrzu. Lottie jednak wyczuła to i zadrżała lekko. Spuściła wzrok na buty, zniszczone w czasie spacerów po plaży z Panem Beansem. Doktor Holden zauważył, że nigdy jeszcze nie widział

psa, który by tak dużo spacerował. Tymczasem Adeline wstała i wyszła, najwyraźniej w poszukiwaniu Frances. W pokoju zapadła cisza. Julian nadal sortował swoje litografie, od czasu do czasu podnosząc jedną z nich do światła i dając wyraz uznaniu lub dezaprobacie znaczącym „hm”. Siedzący obok niego Stephen przeciągnął się. Jego cienka bawełniana koszula uniosła się, odsłaniając biały brzuch.

Lottie spojrzała na Guya i zarumieniła się, gdy napotkała jego wzrok. Kiedy tylko był w pokoju (a czasem poza nim), czuła jego obecność, jakby w powietrzu przebiegały delikatne wibracje, które przyprawiały ją o drżenie. Opuściła głowę, a obciążone drobnymi kwiatkami włosy zasłoniły jej twarz ciemną falą. Czuła jednak, że Guy nie odwrócił wzroku.

Oboje drgnęli gwałtownie, słysząc krzyk. Był to głos Frances, ale dobiegał z daleka, więc nie można było odróżnić słów. Nikt jednak nie mógł mieć wątpliwości, do kogo należy. W tle słychać było głos Adeline, przemawiający łagodnie i rozsądnie. Po chwili Frances znów wybuchła, krzycząc, że coś jest „niemożliwe!”, a potem rozległ się głośny brzęk przedmiotu padającego na podłogę w kuchni.

Lottie spojrzała ukradkiem na Juliana, ale on nie przejął się tym zbytnio - uniosł na chwilę głowę, jakby potwierdziło się to, co przewidywał, a potem wrócił do swoich litografii, mrużąc pod nosem coś o jakości druku. Stephen zajrzał mu przez ramię, wskazał jakiś punkt na papierze i obaj zgodnie skinęli głowami.

- Nie, nie robisz tego, bo nie chcesz. A masz wybór, Adeline. Nawet jeśli łatwiej ci udawać, że nie masz.

Nie zwracały uwagi na to, że w salonie wszystko słychać. Lottie była zażenowana. Nienawidziła kłótni, wszystkie jej nerwy były napięte, czuła się, jakby znów miała pięć lat - bezbronna i bezsilna.

- Nie pozwolę na to, Adeline. Nie pozwolę. Tyle razy już ci mówiłam. Nie, błagałam cię...

Niech ktoś je powstrzyma, modliła się w duchu Lottie. Proszę. Ale Julian nawet nie podniósł wzroku.

- Chcesz już iść? - szepnął Guy, kiedy odważyła się spojrzeć mu w oczy.

Kiedy wychodzili, Julian pomachał im na pożegnanie. Śmiał się cicho z czegoś, co powiedział Stephen. W kuchni panowała cisza.

Kiedy szli po zwirowanym podjeździe, wziął ją za rękę. Lottie, czując jego palący dotyk aż do końca Woodbridge Avenue, zapomniała o podniesionych głosach. We włosach wciąż miała wplecione małe pączki róż.

- Coś ty ze sobą zrobiła, Lottie?! - wykrzyknęła na jej widok pani Holden. - Wyglądasz, jakby cię opadło stado mew!

Lottie niewiele jednak obeszła ta uwaga. Kiedy Guy puszczał jej dłoń, sięgnął do jednego z pączków. „Moc natury”, szepnął.

W pewnych sprawach należy trzymać się obowiązujących norm. Wyglądało na to, że odpowiedź Adeline na zaproszenie pań z salonu żadnej z przyjętych norm nie spełniła.

- Przykro jej, że w obecnej chwili nie może przyjąć zaproszenia? Dlaczego? Jest zbyt zajęta? Opiekuje się dziećmi? Może stara się o posadę premiera? - Pani Chilton przyjęła odmowę ze szczególnym rozczarowaniem.

- Ale ma nadzieję, że znajdzie czas, by kiedyś nas odwiedzić - powiedziała pani Colquhoun, czytając odpowiedź wypisaną na papierze koloru kości słoniowej. - „Kiedyś” nie brzmi zbyt przekonująco, prawda?

- Raczej nie - odparła pani Chilton, gestem odmawiając, gdy pani Holden podsunęła jej kawałek melona. - Nie, dziękuję, Susan. W zeszłym tygodniu po zjedzeniu tego owocu mój żołądek wyprawiał prawdziwe harce. Nie, uznaję jej odpowiedź za wysoce niewłaściwą. Wysoce.

- Ale zaprosiła was do siebie - powiedziała Celia, która siedziała na sofie z podwiniętymi nogami i przerzucała magazyn.

- Nie o to chodzi, moja droga. To my wystosowałyśmy zaproszenie, więc powinna je przyjąć. A nie wykręcać kota ogonem i zapraszać nas do siebie.

- Czemu nie? - dopytywała się Celia.

Pani Chilton spojrzała na panią Holden.

- Tak się przecież nie robi, prawda?

- Ale nie zachowała się niegrzecznie. Skoro zaprosiła was do siebie?

Panie były wyraźnie porytowane. Lottie, która siedziała na podłodze i układała z Sylwią puzzle, pomyślała, że Adeline postąpiła bardzo mądrze. Nie chciała odwiedzać pań z „salonu” na ich warunkach, wiedząc jednocześnie, że panie nie poczują się na tyle pewnie, by złożyć wizytę w Arcadii. Udało się jej uniknąć spotkania, zrzucając zarazem winę na nie.

- Nie rozumiem, dlaczego uważacie jej odpowiedź za niegrzeczną - rzuciła lekko Celia. - W ogóle nie rozumiem, dlaczego postanowiłyście ją zaprosić. Poświęcacie przecież sporo czasu, by przekonać wszystkich dookoła, żeby trzymali się od niej z daleka.

- O to właśnie chodzi - odparła gniewnie pani Holden.

- Tak - poparła ją pani Colquhoun, spuszczając wzrok. - Właśnie o to.

Pani Chilton doczytała list do końca, mrużąc oczy za okularami.

- Życzy nam powodzenia w naszych artystycznych przedsięwzięciach. I ma nadzieję, że cytat z wielkiego poety Rainera Marii Rilkego, stanie się dla nas źródłem inspiracji: „Także i sztuka jest sposobem na życie; bez względu na to, jaki więdziemy żywot, możemy, bezwiednie, przygotować się na spotkanie ze sztuką; jesteśmy jej bliżsi we wszystkim, co prawdziwe”. - Opuściła list i rozejrzała się po pokoju. - A co to w ogóle znaczy?

Od kilku dni jest zamyślony i smutny, pomyślała pani Holden. Stale czymś zaprątnięty i poważny. Nie wiedziała więc, czy się ma cieszyć, czy nie, kiedy zauważyła, że Guy,

siedzący przy gazowym kominku na fotelu doktora, śmieje się cicho, chowając twarz za gazetą.

Pierwsze zimowe burze dotarły do Walton. Z parapetów pospadały wszystkie niezabezpieczone skrzynki, a ich zawartość rozsypała się na ulicach razem z kawałkami potłuczonej terakoty.

- W ciągu godziny burza dotrze do Merham - oświadczyła pani Holden, odkładając słuchawkę telefonu.

- Trzeba zamknąć okiennice. Virginio!

- Wezmę Pana Beansa na spacer, zanim zacznie padać - powiedziała Lottie, a pani Holden spojrzała na nią z wyrzutem. Nie po raz pierwszy zdumiała ją zmienność nastrojów dziewczyny, która raz była nachmurzona, a raz bardzo chętna do pomocy. Celia brała kąpiel na górze i Guy zaproponował, że też pójdzie, chętnie zaczerpnie świeżego powietrza. Szli już od dziesięciu minut, gdy uświadomiła sobie, że nie odezwał się do niej ani słowem. Przez cały dzień w ogóle mało się odzywał i Lottie, wiedząc, że to ich ostatni wspólny spacer przed przyjazdem jego rodziców, rozpaczliwie pragnęła nawiązać jakąś nić porozumienia.

Kiedy doszli do końca parku, deszcz zaczął padać wielkimi kroplami. Lottie smagana wiatrem ruszyła biegiem w stronę domków na plaży, kolorowych pod ołowianym niebem, machając na Guya, by pobiegł za nią. Minęła numery od osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu. Przypomniała sobie, że dalej jest kilka już nieużywanych, których zamki zardzewiały i można je bez trudu otworzyć. Wpadła do jednego z nich w chwili, gdy zaczął się prawdziwy potop. Guy wsunął się za nią, sapiąc i śmiejąc się jednocześnie. Otrzeptywał mokrą już koszulę, a Lottie boleśnie świadoma, że znajduje się tak blisko niego w tak małej przestrzeni, zaczęła wycierać Pana Beansa, który przyjmował jej zabiegi z największą obojętnością.

Domek był nieużywany od dawna - przez szpary w dachu widać było gnane wiatrem chmury, a poza wyszczerbioną filizanką i starą drewnianą ławką nic nie wskazywało na to, by

gościli tu jacyś szczęśliwi wczasowicze. Większość domków miała swoje nazwy - Kennora (lub inne równie niepiękne wariacje na temat nazwisk ich właścicieli), Ahoj!, Morska Bryza. Przez całe lato na tarasach stały leżaki i walały się wilgotne poduszki, a oblepione piaskiem rodziny wypijały całe dzbanki herbaty. W czasie wojny wszystkie domki zasypano piaskiem, tworząc w ten sposób część umocnień wybrzeża. Kiedy znów pojawiły się w całej swojej kolorowej krasie, Lottie, która nigdy jeszcze nie widziała takiego domku, natychmiast się w nich zakochała i spędziła wiele godzin, chodząc wzdłuż ich linii, odczytując nazwy i wyobrażając sobie, że należy do jakiejś rodziny.

Pan Beans bez wątplenia był już suchy. Lottie przysiadła na ławeczce, odgarniając z twarzy pasma mokrych włosów.

- Niezła zawierucha - powiedział Guy, spoglądając przez otwarte drzwi na czarne chmury galopujące po horyzoncie. Na podmuchach wiatru unosiły się mewy, nawołując się wzajemnie poprzez szum deszczu. Lottie niespodziewanie pomyślała o Joem, który na pewno zaraz zacząłby narzekać, że powinni byli wziąć parasol.

- Wiesz, burze w tropikach są naprawdę niesamowite. W jednej chwili siedzisz sobie w słońcu, a już w następnej widzisz czarne chmury pędzące po niebie jak pociąg. - Przesunął dłonią w powietrzu. - A potem nagle bum! Deszcz, jakiego w życiu nie widziałś, zalewa ci stopy i płynie ulicą jak rzeka. A te błyskawice! Rozświetlają całe niebo, przecinając je jak nóż.

Lottie, która chciała tylko słuchać jego głosu, skinęła głową.

- Widziałem kiedyś, jak piorun zabił osła. Kiedy nadciągnęła burza, zostawili zwierzaka na polu. Nikt nie pomyślał o tym, żeby go zabrać. Wchodziłem właśnie do domu i odwróciłem się, bo usłyszałem przeraźliwy huk. Osioł nawet się nie poruszył. Podskakiwał przez chwilę, jakby coś zwaliło go z nóg, po czym wylądował na boku ze sztywnymi nogami. Wciąż był przypięty do wózka. Chyba nawet nie wiedział, co go tak uderzyło.

Lottie nie była pewna, czy ma to coś wspólnego z nie-

szczęsnym zwierzakiem, ale poczuła, że jest bliska łez. Pochyliła się i pogłaskała Pana Beansa, gwałtownie mrugając powiekami. Kiedy się wyprostowała, Guy wpatrywał się w morze. Daleko po lewej stronie Lottie dostrzegła skrawek błękitu - tam kończyła się burza.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Zauważyła, że Guy ani razu nie spojrzął na zegarek.

- Co będzie, gdy zostaniesz powołany do wojska?

Kopnął nogą w podłogę.

- Nie zostaną powołani.

Lottie zmarszczyła brwi.

- Wydaje mi się, że nikt nie może **się od tego wykreć**.

A już na pewno nie z powodu jedynactwa.

- Z powodów zdrowotnych.

- Nie jesteś chyba chory, co? - Nie **potrafiła ukryć niepokoju** w głosie.

Zarumienił się lekko.

- Nie... ja... mam płaskostopie. Mama mówi, że to przez ciągle bieganie boso.

Lottie spojrzała na stopy Guya, odczuwając jakąś perwersyjną przyjemność z powodu jego fizycznej niedoskonałości. Dzięki temu stał się bardziej ludzki, dostępny.

- Nie jest to tak malownicze jak „stara rana od szrapnela”, prawda? - Uśmiechnął się smutno i znów kopnął nogą w zasypaną piaskiem podłogę, jakby przeciwdziałając poczuciu zażenowania.

Lottie nie wiedziała, co powiedzieć. Jedynym znanym jej mężczyzną, który służył w wojsku, był Joe, a jego dwuletni, mało chlubny pobyt w oddziałach kwatermistrzowskich stanowił dla rodziny źródło tak wielkiego zakłopotania, że nikt w mieście nawet o tym nie wspominał. Przynajmniej w ich obecności. Patrzyła na zasłonę deszczu i spienione morze, grożące przelaniem się przez wał.

- Nie śmiesz się - stwierdził z uśmiechem.

- Przepraszam - odparła z powagą. - Poczucie humoru nie jest moją mocną stroną.

Uniósł brew, a ona wbrew sobie uśmiechnęła się.

- Co jeszcze nie jest twoją mocną stroną? Czego ci brakuje, Lottie?

Spojrzała na niego.

- Płaskich stóp?

Wybuchnęli nerwowym śmiechem. Lottie czuła, że zaraz zacznie historycznie chichotać. Ale to nie byłoby zbyt mądre - od hysterii już tylko krok do łez.

- A rodzina? Masz rodzinę?

- Jeśli nawet tak, to jej nie znam. Mam matkę. Choć przypuszczam, że nawet ona nie byłaby skłonna tak określić swojej roli w moim życiu.

Spojrzał na nią poważnie.

- Biedactwo.

- Żadne biedactwo. Mam szczęście, że zamieszkałam u Holdenów.

Tak często to mówiła.

- Rodzina doskonała?

- Matka doskonała.

- Boże. Nie mam pojęcia, jak udało ci się znosić ją przez dziesięć lat.

- Nie znasz mojej matki.

Z jakiegoś powodu oboje uznali to za niezwykle zabawne.

- Powinniśmy się wykazać większym zrozumieniem. Ona musi dźwigać ciężki krzyż.

Guy obserwował tankowiec przesuający się na horyzoncie, gdzie morze stykało się z niebem. Odetchnął głęboko i oparł nogi na ławce. Swobodnie wyciągnięte, sięgały aż do drzwi. Zerknęła na jego kostkę - była brązowa, miała dokładnie taki sam odcień jak nadgarstki.

- Jak ją poznałeś? - spytała w końcu.

- Celię?

- Tak.

Poruszył stopami i pochylił się, by potrzebę wilgotną plamkę na spodniach.

- Przypadkiem. Mamy w Londynie mieszkanie. Zostałem tam z mamą, kiedy ojciec wyjechał na Karaiby, by obejrzeć kilka farm. Mama lubi czasem pobyc w Londynie, żeby narzeczcie nagadać się z ciotką, zrobić zakupy. Wiesz, co mam na myśli.

Lottie skinęła głową, jakby rzeczywiście wiedziała. Obok jej nóg Pan Beans szarpał smycz, pragnąc kontynuować spacer.

- Nie przepadam za tym miastem, więc pojechałem na parę dni do kuzyna do Sussex. Na farmę wuja. Często tam jeżdżę, bo kuzyn i ja... no, jesteśmy prawie w tym samym wieku i to chyba mój najbliższy przyjaciel. Miałem właśnie wracać, ale poszliśmy z Robem do pubu, no i nagle zrobiło się bardzo późno. Siedzę więc na dworcu, czekam, bo został już tylko jeden, ostatni pociąg do Londynu, gdy nagle widzę, że obok mnie przechodzi dziewczyna.

Lottie poczuła ucisk w piersi. Nie była przekonana, czy chce słuchać dalej. Ale już nie mogła mu „bez powodu” przerwać.

- I pomyślałaś, że jest piękna.

Guy spojrzął na swoje stopy i zaśmiał się.

- Piękna. Tak. Pomyślałem, że wygląda bardzo pięknie. Ale przede wszystkim, że jest pijana.

Lottie gwałtownie podniosła głowę. Guy położył palec na ustach.

- Przrzekłem, że nikomu nie powiem... Musisz mi obiecać, Lottie... Była zupełnie zalana. Widziałem, jak przechodzi chwiejnym krokiem obok kasy, gdzie stałem, i chichocze. Zorientowałem się, że wraca z jakiegoś przyjęcia, bo była bardzo elegancko ubrana. Ale zgubiła jeden but, a drugi trzymała w ręce razem z małą torebką czy czymś tam.

Nad nimi deszcz walił niemiłosiernie o drewniany dach. Kiedy krople trafiały na szczelinę, wpadały do środka i rozpryskiwały się na podłodze, denerwując tym okropnie Pana Beansa.

- Stwierdziłem, że będzie bezpieczniej, jeśli będę miał na nią oko. Ale ona weszła już do poczekalni, gdzie było kilku żołnierzy. Usiadła obok nich i wdała się w rozmowę. Im oczywiście bardzo się to spodobało, a ja pomyślałem, że być może się znają. Przynajmniej sprawiali takie wrażenie. Pomyślałem, że może byli razem na tańcach.

Lottie nie dawała spokoju myśl, co powiedziałyby pani Holden, gdyby dowiedziała się, że jej pijana córka z radością wdaje się na dworcu w pogawędkę z żołnierzami. Tłumaczyło to również, dlaczego nie przywiozła do domu satynowych czółenek: powiedziała pani Holden, że ukradła je jakaś dziewczyna z kursu.

- W pewnej chwili usiadła jednemu z nich na kolanach. Śmiała się wesoło, więc pomyślałem, że go zna, i odszedłem do kasy. Jakies pięć minut później usłyszałem krzyk, potem krzyk kobiety. Doszedłem do wniosku, że lepiej będzie sprawdzić, co się dzieje i...

- Oni ją zaatakowali - powiedziała Lottie, której ta historia zaczęła wydawać się znajoma.

- Zaatakowali? - Guy wyglądał na zaskoczonego. - Nie. Zabrali jej but.

- Co takiego?

- Zabrali jej but. Wzięli ten jej różowy pantofelek i rzucałi nim do siebie tak, żeby ona nie mogła go złapać.

- Jej but?

- Tak. A ona była tak pijana, że stale na coś wpadała i przewracała się. Patrzyłem na to przez chwilę, a potem pomyślałem, że to nie jest w porządku, bo przecież ona najwyraźniej nie ma pojęcia, co robi. Podeszedłem więc i kazałem im oddać but.

Lottie spojrzała na niego.

- I co zrobili?

- Na początku poczynali sobie dość ostro. Jeden z nich zapytał mnie, czy się stawiam. Tak między nami, Lottie, zachowywałem się bardzo uprzejmie, bo nie miałem ochoty

„stawiać się” całej trójce. No, ale w końcu się opamiętali. Rzucili jej but i wyszli na peron.

- Nie próbowali się do niej dobierać?

- Dobierać? Nie. Może trochę ją pomacali, gdy siedziała jednemu na kolanach. Ale to wcale jej nie zdenerwowało ani nie przestraszyło.

- I co się stało potem?

- Pomyślałem, że ktoś powinien odprowadzić ją do domu. Była w takim stanie, że mogła zasnąć w pociągu. Uważałem, że nie powinna zostać sama...

- Nie...

Wzruszył ramionami.

- Zawiozłem ją więc do domu jej ciotki. Początkowo traktowała mnie bardzo podejrzliwie, ale zostawiłem swoje nazwisko i numer telefonu, żeby mogła zadzwonić do mojej mamy i przekonać się, że nie jestem... No wiesz. Następnego dnia Celia zadzwoniła do mnie z przeprosinami i podziękowaniem, umówiliśmy się na kawę... i... no cóż...

Lottie była tak zaskoczona tą wersją wydarzeń, że nie miała czasu zastanowić się nad ukrytym znaczeniem jego ostatnich słów. Pokręciła głową.

- Była pijana? Zająłeś się nią, bo była pijana?

- Tak. Ale opowiedziała mi, jak to było naprawdę. Myślała, że pije tylko piwo korzenne, ale ktoś na tych tańcach najwyraźniej dolewał jej do piwa wódki, więc zanim się zorientowała, była już zalana w pestkę. Jak można tak traktować dziewczynę...

- Tak ci powiedziała.

Guy zmarszczył brwi.

- Tak. I szczerze mówiąc, zrobiło mi się jej żal.

Milczeli przez długą chwilę. Niebo było teraz wyraźnie podzielone na dwie połowy: błękitną i czarną, a w mokrej drodze odbijało się już słońce.

Ciszę przerwała Lottie. Wstała, a Pan Beans wyskoczył radośnie na ścieżkę, nasłuchując odgłosów oddalającej się burzy.

- To bardzo miła dziewczyna - usłyszała za sobą głos Guya.

Odwróciła się z napiętą, pełną złości twarzą.

- Nie musisz mi mówić.

Pozostałe panie patrzyły na nią z wyższością, kiedy wspominała o porannych spacerach, więc Deirdre Colquhoun nie zamierzała opowiadać im o swoim ostatnim odkryciu, choć miała na to wielką ochotę.

Tak, Sarah Chilton potraktowała ją dość obcesowo, gdy w ostatni wtorek napomknęła o panu Armandzie, nie widziała więc powodu, by mówić im, że przez dwa ranki z rzędu była świadkiem równie dramatycznego wydarzenia. Mężczyźni nie przychodzili już na plażę, więc była wstrząśnięta, gdy ją zobaczyła, i musiała wyjąć z torebki teatralną lornetkę, by się upewnić, czy to ta sama kobieta. Brnęła przez fale, nie zważając na zimno, w tym swoim obcisłym czarnym kostiumie, z włosami ściągniętymi w niemodny kok. A kiedy wchodziła do wody w sposób, jaki Deirdre Colquhoun, szczerze mówiąc, uznała za zbyt męski, widać było wyraźnie, że płacze. Tak, szlocha na cały głos w biały dzień, jakby serce miało jej zaraz pęknąć.

Rozdział szósty

Nie takie powitanie wymarzyła sobie pani Holden. W jej wersji miała stać w progu elegancka w odświętnej wełnianej sukni z pasującym do niej paskiem, z dwójką młodszych dzieci u boku, by powitać gości - bogatą, kosmopolityczną rodzinę, z którą mieli się połączyć przez ślub swoich dzieci. W tej wersji Bancroftowie podjeżdżali pod dom lśniącym czterodrzwiowym roverem 90 (wiedziała, że to ten model, bo pani Ansty słyszała o nim od Jima Farrelly'ego, który pracował w recepcji hotelu Riviera), a ona wdzięcznie obchodziła wypieszczony trawnik i witała ich oboje jak długo niewidzianych przyjaciół - może nawet w tej chwili obok jej domu będzie przechodzić Sarah Chilton lub inna z pań.

W tej wymarzonej wersji mąż stał za nią, być może nawet opierając władczy gestem dłoń na jej ramieniu, gestem, który tyle mówi o małżeństwie. Dzieci uśmiechały się słodko, nie zabrudziły swoich najlepszych ubrań i bardzo uprzejmie podały państwu Bancroftom rękę na powitanie, po czym zaproponowały, że wprowadzą ich do środka.

Do czasu przyjazdu gości pozostały jeszcze dwie minuty, kiedy okazało się, że dzieci nie tylko znalazły zdechłego lisa, którego ktoś przejechał przed kościołem metodystów, ale też zabrały go do wiaderka plażowego, położyły na podłodze

w salonie i za pomocą najlepszych nożyczek pani Holden planowały zrobić z niego futro.

W wymarzonej wersji doktor Holden nie oświadczał, że został wezwany do pacjenta i z pewnością nie wróci przed podwieczorkiem, mimo że była sobota i całe Merham wiedziało, że jego sekretarka, ta ruda dziewczyna, która zawsze przemawiała z taką wyższością w głosie, gdy odbierała telefon od pani Holden, wyjeżdża z miasta następnego dnia, by objąć nową posadę w Colchester. Susan Holden zamknęła oczy i przywołała obraz swojego ogrodu różanego. Zawsze to robiła, gdy nie chciała zbyt intensywnie myśleć o tamtej kobiecie. W takich chwilach ważne było, by myśleć o czymś przyjemnym.

Najważniejsze jednak było to, że w tamtej wymarzonej wersji pani Holden nie musiała oglądać trójki najbardziej nieszczęśliwych młodych ludzi, jakich miała okazję w życiu spotkać. Celia i Guy bynajmniej nie pławili się w blasku, jaki powinien otaczać świeżo zaręczonych. Przez cały ranek chodzili naburmuszeni i prawie się do siebie nie odzywali. Lottie kryła się gdzieś w tle, zamyślona i posępna, jak to miała w zwyczaju; wyglądała przez to wyjątkowo niekorzystnie. Żadnego z nich najwyraźniej nie obchodziły jej wysiłki, by popołudnie przebiegło gładko i sympatycznie. Za każdym razem, kiedy próbowała ich trochę rozweselić, przekonąć, by dzielnie stawili temu czoło, lub prosiła, aby przynajmniej pomogli jej trochę z dziećmi, wzruszali tylko ramionami i wbijali wzrok w podłogę. Tylko Celia ze Izami w oczach spoglądała wymownie na Guya, tłumacząc, że nie może codziennie tryskać humorem.

- Mam tego dość, moi drodzy. W tym domu jest dziś ponuro jak w grobie. Lottie, każ dzieciom sprzątnąć to przekłete zwierzę. Virginia im pomoże. Guy, ty wyjdź przed dom i czekaj na samochód. A ty, Celio, idź na górę i trochę się odśwież. Nałóż delikatny makijaż. Na miłość boską, przecież masz się spotkać z przyszłymi teściami. To twój ślub.

- Jeśli w ogóle będzie jakiś ślub - oświadczyła Celia tak grobowym tonem, że Lottie natychmiast odwróciła głowę.

- Nie bądź śmieszna. Oczywiście, że będzie. Idź się trochę umalować. Możesz pożyczyć moje perfumy, jeśli to ci poprawi humor.

- Chanel?

- Jeśli chcesz.

Celia, rozradowana, popędziła na górę. Zbuntowana Lottie powlokła się do salonu, gdzie Virginia nadal trzęsła się po odkryciu martwego lisa, a Freddie leżał na brzuchu na kanapie, teatralnym gestem ściskając się za pośladki, i narzekał, że przez swoje mamę już nigdy, przenigdy nie będzie mógł usiąść.

Lottie wiedziała doskonale, dlaczego Celia jest tak niešťczęśliwa, i na myśl o tym czuła jednocześnie zachwyt i nienawiść do samej siebie. Minionego wieczoru, kiedy burza ucichła, Celia poprosiła Lottie, by przyszła na górę do ich pokoju, i tam, siedząc na brzegu łóżka, oświadczyła, że musi z nią porozmawiać. Lottie poczuła wypływający na twarz rumieniec. Siedziała sztywno. Znieruchomiła, gdy Celia powiedziała:

- To przez Guya. Ostatnio traktuje mnie bardzo chłodno, Lots. Jakby nie był sobą.

Lottie nie była w stanie wydusić ani słowa. Zupełnie jakby spuchł jej język, wypełniając całe wnętrze ust.

Celia oglądała swoje dłonie, potem nagle podniosła jedną do ust i zaczęła obgryzać paznokiec.

- Kiedy tu przyjechał, początkowo był taki sam jak w Londynie. Miły, stale mnie pytał, czy wszystko w porządku, czy czegoś nie potrzebuję. I taki czuły. Zabierał mnie na werandę na tyłach domu, kiedy sprzątałście po podwieczorku, i całował, aż kręciło mi się w głowie...

Lottie zakaszła. Przestała oddychać.

Celia, niczego nie dostrzegając, wpatrywała się w swoją dłoń, po czym podniosła wzrok. W jej błękitnych oczach lśniły łzy.

- Nie całowaliśmy się tak już od czterech dni. Próbowaliśmy go do tego nakłonić wczoraj wieczorem, ale on mnie

zbył, mówiąc, że potem będziemy mieli na to mnóstwo czasu. Ale jak on może tak postępować, Lots? Jak może mu być obojętne, czy mnie całuje, czy nie? Takiego zachowania można się spodziewać po żonatych mężczyznach.

Lottie siłą powstrzymywała wybuch czegoś, co na własny użytek zdefiniowała jako podniecenie. Potem wzdrygnęła się, kiedy Celia się odwróciła, jednym szybkim ruchem zarzuciła jej ręce na szyję i zaczęła płakać.

- Nie mam pojęcia, co ja takiego zrobiłam, Lots. Może powiedziałam coś nie tak. Wiesz, jak lubię paplać o niczym i często nie zastanawiam się nawet nad tym, co mówię. A może ostatnio nie wyglądam zbyt ładnie. Ale przecież się staram. Noszę wszystkie te piękne stroje, które kupiła mi mama, ale chyba nie podobam mu się już tak bardzo jak kiedyś.

Przytuliła się mocno do Lottie, ciężko oddychając. Lottie mechanicznie pogładziła ją po plecach, czując ulgę, że Celia nie widzi jej twarzy.

- Już nic nie rozumiem. O co w tym wszystkim chodzi, Lots? Spędziłaś z nim trochę czasu. Wiesz, jaki jest.

Lottie próbowała powstrzymać drżenie głosu.

- To z pewnością tylko twoja wyobraźnia.

- Och, nie zbywaj mnie tak! Wiesz, że gdybyś mnie poprosiła, na pewno bym ci pomogła. No, powiedz, jak myślisz, co on sobie wyobraża?

- Chyba nie mnie powinnaś o to pytać.

- Ale musisz coś myśleć. Co ja mam zrobić?

Lottie zamknęła oczy.

- Może to tylko nerwy - powiedziała w końcu. - Może mężczyźni denerwują się tak samo jak my. No wiesz, chodzi mi o ten przyjazd jego rodziców. To przecież wielka sprawa, przedstawić swoich rodziców, nie sądzisz?

Celia odsunęła się i spojrzała z powagą na przyjaciółkę.

- Pewnie jest z tego powodu bardziej spięty, niż sądzisz.

- Chyba masz rację. W ogóle o tym nie pomyślałam. Może rzeczywiście bardzo się denerwuje. - Wygładziła włosy, spoglądając na swoje odbicie w oknie. - Żaden mężczyzna

nie przyzna się raczej, że jest zdenerwowany, prawda? To przecież bardzo niemęskie.

Lottie z całych sił pragnęła, żeby Celia wreszcie sobie poszła. Powie i zrobi wszystko, żeby tylko opuściła ten pokój.

Ale Celia znów się do niej przytuliła i uściskała ją.

- Jesteś taka mądra, Lots. Na pewno masz rację. I bardzo cię przepraszam, jeśli ostatnio stałam się trochę... daleka. Byłam tak bardzo pochłonięta Guyem, ślubem i tym całym zamieszaniem. Dla ciebie to chyba niezbyt przyjemne.

Lottie się skrzywiła.

- Nic się nie stało - powiedziała chrapliwym głosem.

- To świetnie. No, pójdę teraz na dół i sprawdzę, czy uda mi się zmusić tego łobuza do okazania mi odrobiny uczucia. - Roześmiała się. Ale wciąż brzmiało to jak szloch.

Lottie popatrzyła na jej plecy, po czym opadła na łóżko.

I tak wszystko stało się rzeczywistością. Guy i Celia mieli się pobrać. Była zakochana w mężczyźnie, którego nie mogła mieć, mężczyźnie, który - co najważniejsze - nie zrobił nic, co mogłoby sugerować, że uczucie Lottie jest odwzajemnione, poza towarzyszeniem jej w czasie kilku spacerów do domu, który bardzo mu się podobał, i podziwianiem głupich dzieciennych kwiatków, które miała wplecione we włosy. Kiedy się nad tym głębiej zastanowić, nie było żadnych dowodów na to, że Guy lubi ją bardziej niż, powiedzmy, Freddiego. Bo z nim też spędzał sporo czasu. A nawet jeśli ją lubił, nic nie mogli z tym zrobić. Wystarczyło spojrzeć na Celię i star[^] w jakim się znalazła, gdy w ciągu ostatnich paru dni poświęcał jej nieco mniej uwagi.

O Boże, dlaczego musiałeś tu przyjechać? -jęknęła Lottie, opierając czoło na kolanach. Przed twoim przyjazdem było mi tu bardzo dobrze. Po chwili pani Holden zawołała ją na dół, by pomogła Virginii w czyszczeniu najcenniejszego srebra.

Celia, mimo najlepszych intencji, nie była w stanie otrząsnąć się z poczucia odrzucenia. Być może miała ku temu powody.

Lottie przyglądała się, jak paraduje przed Guyem w swojej najładniejszej sukience, jak szczypie go dla żartu w ramię i kokieteryjnym gestem kładzie głowę na ramieniu. Obserwowała, jak Guy poklepuje ją z roztargnieniem człowieka, który klepie swojego psa, a na twarzy Celii zastyga uśmiech. Lottie walczyła, by zapanować nad emocjami, które kipiały w jej wnętrzu. I poszła pomóc Sylvii zasnuwać najlepsze buciki.

Jak na człowieka, który od blisko miesiąca nie widział rodziców i który twierdził, że uwielbia swoją matkę, a ojca uważa za jednego z najlepszych ludzi, jakich zna, Guy nie wyglądał na zachwyconego perspektywą ich zbliżającego się przyjazdu. Początkowo Lottie potraktowała jego chodzenie w kółko przed domem jako dowód zniecierpliwienia. Potem przyjrzała mu się uważniej i dostrzegła, że mówi coś do siebie, zupełnie jak szalona kobieta w parku, która groziła nożyczkami każdemu, kto odważył się zbliżyć do trawy, którą traktowała jako swoje prywatne pole do gry w krykieta. Na twarzy Guya nie malowało się wcale radosne oczekiwanie - była spięta i poirytowana, a kiedy ostro odmówił Freddiemu, naprzykrzającemu się o partię gry w tenisa, obserwująca go z okna salonu Lottie modliła się do jakiegokolwiek boga zasiadającego w niebiosach, by to ona była przyczyną a zarazem lekiem na jego smutek.

Susan Holden spojrzała na trójkę nieszczęśliwych młodych ludzi i ciężko westchnęła. Nie potrafią trzymać fasonu za grosz. Skoro ona, ze wszystkimi swoimi problemami - nieobecnością Henry'ego, obsesjami Freddiego i Sarah Chilton stale rzucającą kaśliwe uwagi na temat zaręczyn Celii, do których doszło mimo wszystko - potrafiła pokazywać światu uśmiech, to te dzieciaki też powinny wziąć się w garść i trochę rozchmurzyć.

Sięgnęła do torebki i wyjęła szminkę. Jak na nią była dość odważna. Nigdy nie użyłaby jej na spotkanie z paniami z salonu, ale teraz, malując starannie usta, powtarzała sobie

w duchu, że są takie dni, kiedy trzeba korzystać ze wszystkich dostępnych środków.

Ta rudowłosa dziewczyna używała szminki koloru świec na Boże Narodzenie. Kiedy pierwszy raz przyszła do gabinetu Henry'ego i zobaczyła jego nową sekretarkę, nie mogła oderwać oczu od jej ust.

Może właśnie o to chodziło.

Na dole rozległ się głos Virginii.

- Proszę pani, goście już tu są.

Pani Holden poprawiła włosy przed lustrem i głęboko odetchnęła. Proszę, niech Henry wróci do domu w dobrym nastroju, modliła się.

- Wpuść ich, moja droga. Już schodzę.

- A Freddie za nic nie chce oddać tego... tego zwierzaka. Powiedział, że chce go trzymać w sypialni. Cały dywan będzie śmierdział.

Pani Holden, z bólem serca, pomyślała o różach.

- Jaki piękny ogród. Jak cudownie potrafisz o niego dbać. - Miłe słowa do zdenerwowanej, niedocenianej przyszłej teściowej. Susan Holden, wciąż nie mogąc się przyzwycząić do amerykańskiego akcentu Dee Dee Bancroft (Guy nic o tym nie wspomina!), z drżeniem przyjmowała komplementy. - Czy to albertynki? Wiesz, że to moje ulubione róże? Ale nie potrafię ich wyhodować w tej żalostnej namiastce ogrodu, jaki mamy w Port Antonio. Najwyraźniej nie odpowiada im gleba. Albo posadziłam je zbyt blisko innych roślin. Róże potrafią być bardzo wybredne, prawda?

- Och, tak - odparła Susan Holden, starając się nie patrzeć na długie brązowe nogi Dee Dee. Mogłaby przysiąc, że nie nosi pończoch.

- Nie masz pojęcia, jak zazdroszczę ci tego ogrodu. Spójrz, Guykochanie, mają tu funkcie. I ani jednego ślimaka. Nie mam pojęcia, jak to robisz.

„Guykochanie”, jak zwracała się żona do Guya Bancrofta seniora, odwrócił się od furtki na tyłach domu, która prowa-

dziła na tereny sportowe, i ruszył w stronę pań. Popijały herbatę, siedząc pod targanym wiatrem parasolem.

- Gdzie jest morze?

Guy, który dotąd siedział na trawie, wstał i podszedł do ojca. Wskazał na wschód, a jego słowa stłumił porywisty wiatr.

- Nie mają państwo chyba nic przeciwko temu, że siedzimy na zewnątrz. Wiem, że jest trochę wietrznie, ale być może to ostatnie ładne popołudnie w tym roku i chciałabym nacieszyć się różami. - Pani Holden za plecami dawała Virginii gorączkowe znaki, by przyniosła więcej krzeseł.

- Och nie, uwielbiamy siedzieć przed domem. - Pani Bancroft odgarnęła rozwiane przez wiatr włosy i wypija łyk herbaty.

- Tak. Zimą bardzo tego brakuje.

- A Freddie położył na dywanie w salonie zdechłego lisa! - oznajmiła Sylvia.

- Sylvio!

- Naprawdę. To nie ja. A teraz mamusia mówi, że już nigdy nas tam nie wpuści. Dlatego musimy tu siedzieć na tym zimnie.

- SyWio, to nieprawda. Bardzo panią przepraszam. Mieliśmy... taki mały incydent tuż przed państwa przyjazdem, ale już przedtem chcieliśmy wypić z państwem herbatę w ogrodzie.

- Mówmy sobie po imieniu, proszę. Dee Dee. I się nie przejmuj. Tutaj jest bardzo miło. I jestem pewna, że Freddie nie dorównuje naszemu synowi. Guy junior był okropnym dzieckiem. - Dee Dee rozpromieniła się, widząc wyraz przeżycia na twarzy pani Holden. - Straszny. Stale przynosił do domu jakieś owady, chował je w słojach i puszkach, a potem o nich zapominał. W puszcze z mąką znajdowałam pająki wielkości mojej pięści. Faj!

- Nie mam pojęcia, jak radziłaś sobie z tymi owadami. Mnie by to na pewno przerażało.

- Mnie by się podobało - oświadczył Freddie, który przez ostatnie dziesięć minut podziwiał wyłożone skórą i drewnem

orzechowym wnętrze rovera pana Bancrofta. - Chciałbym mieć pająka wielkości pięści. Nazwałbym go Harold.

Pani Holden wzdygnęła się. I jak tu myśleć o ogrodach różanych wśród rozmów o pająkach.

- Naprawdę. Byłby moim przyjacielem.

- Twoim jedynym przyjacielem - powiedziała Celia, która, jak zauważyła matka, znów stała się po swojemu złośliwa. Usadowała się na kocu z nogami wyciągniętymi w stronę Lottie i skubała leżące na talerzyku biszkopty.

Lottie siedziała, obejmując kolana. Wpatrywała się w bramę, jakby czekała na sygnał, że może już sobie iść. Nie poczęstowała gości babeczkami, o co prosiła ją pani Holden przed przyjazdem Bancroftów. Nie przebrała się nawet.

- Gdzie jest ten dom, o którym nam opowiadałeś? Założę się, że nie jest w połowie tak ładny jak dom Susan.

Pan Bancroft podszedł do stołu, wymachując dla podkreślenia swoich słów trzymanym w ręce papierosem. Choć mówił po angielsku, w jego głosie słychać było wyraźny śpiewny akcent, który Susan Holden uznała za zdecydowanie niekonwencjonalny. Szczerze mówiąc, w osobie Guya Bancrofta seniora trudno było znaleźć cokolwiek konwencjonalnego. Jego potężną sylwetkę opinała jasnoczerwona koszula, której kolor pasował raczej do kabaretu. Mówił bardzo głośno, jakby wszyscy znajdowali się jakieś dwadzieścia metrów od niego. Kiedy wysiadł z samochodu, pocałował Susan w oba policzki, w bardzo francuskim stylu. Choć z pewnością nie był Francuzem.

- Jest tam. Za parkiem. - Guy odwrócił ojca w stronę wybrzeża i pokazał mu kierunek ręką.

W normalnych okolicznościach można by go uznać za dość... pospolitego. W jego manierach próżno by doszukiwać się wyrafinowania. Strój, donośny głos i sposób bycia wskazywały na brak dobrego wychowania. Dwa razy siarczyście zaklął, a Dee Dee tylko się roześmiała. Ale miał pewien szlif - ten, który zdobywało się dzięki pieniądзом. Jego oznaką był zegarek, lśniące, robione na miarę buty,

piękna torebka z krokodylej skóry, którą przywieźli Susan z Londynu. Kiedy wyjęła ją z bibułki, poczuła nieodparte pragnienie, by schylić głowę i wdychać jej cudowny, drogi zapach.

Oderwała myśli od torebki, by spojrzeć na zegarek. Była prawie za piętnaście czwarta. Henry powinien już zadzwonić, by powiedzieć, czy wróci do domu na kolację. Nie wiedziała, dla ilu osób mają szykować. Czy Bancroftowie zostaną? Na myśl o przyrządzeniu kurczaków dla siedmiu osób poczuła przyspieszone bicie serca.

- Co? W stronę naszego hotelu?

- Tak. Ale stoi samotnie na cyplu. Nie widać go z drogi biegnącej wzdłuż wybrzeża.

Powinna wysłać Virginie po mięso na pieczeń wieprzową. Tak na wszelki wypadek. Jeśli nie zostaną, mięso się nie zmarnuje - zrobi dzieciom sznycle.

Dee Dee pochyliła się, przytrzymując ręką włosy na czubku głowy.

- Mój syn dużo nam opowiadał o waszych fascynujących sąsiadach. Cudownie jest mieszkać tak blisko artystów.

Susan Holden wyprostowała się i skinęła przez okno na Virginie.

- Tak, to dość miłe. Wiele osób sądzi, że takie nadmorskie miasteczka jak nasze mają zbyt ubogą ofertę kulturalną. Ale staramy się.

- Tego też ci zazdroszczę. Na plantacjach owoców o żadnej kulturze nie ma mowy. Pozostaje tylko radio. Kilka książek. I od czasu do czasu jakaś gazeta.

- No cóż, my lubimy sami zajmować się sztuką.

- A ten dom jest fantastyczny.

- Dom?

Susan Holden spojrzała na nią zaskoczona.

- Tak, proszę pani? - Virginia stanęła przed nią z tacą w rękach.

- Przepraszam, powiedziała pani „dom”?

- Ten w stylu art deco. Guy junior twierdzi, że to jeden

z najpiękniejszych domów, jakie widział. Muszę przyznać, że zafascynowały nas opisy w jego listach.

Virginia nie spuszczała z niej oka.

Pani Holden pokręciła głową.

- Eee... Virginio, zaraz przyjdę zamienić z tobą słówko. .. Przepraszam panią, czy mogłaby pani powtórzyć?

- Ależ mów mi po imieniu, bardzo proszę. Tak, jesteśmy wielkimi miłośnikami nowoczesnej architektury. Ale przecież na Środkowym Zachodzie, gdzie dorastałam, wszystko jest nowoczesne, prawda? Mówimy, że dom jest stary, jeśli zbudowano go przed wojną! - Zaśmiała się perliście.

Pan Bancroft strzepnął popiół z papierosa na klomb.

- Powinniśmy się tam wybrać na spacer dziś po południu. Obejrzyć go dokładnie.

- Arcadię? - Lottie aż zakręciło się w głowie.

- Tak się nazywa? Cudownie. - Dee Dee pozwoliła nalać sobie jeszcze jedną filiżankę herbaty.

- Chcecie iść do Arcadii? - spytała pani Holden lekko podniesionym głosem.

Lottie i Celia wymieniły spojrzenia.

- Wydaje mi się, że to cudowne miejsce, pełne egzotycznych postaci.

- To racja - odparła Celia i uśmiechnęła się pierwszy raz tego popołudnia.

Dee Dee spojrzała na Celię, a potem na jej matkę.

- Może jednak nie wypada. Z pewnością nie lubią, jak ludzie się na nich gapią. Guy kochanie, zostawmy to sobie na inny dzień.

- Ale to tylko pięć minut stąd.

- Kochanie...

Pani Holden zauważyła spojrzenie, jakie Dee Dee posłała mężowi. Wyprostowała się na krześle, starając się nie patrzeć na dzieci.

- No cóż, pani Armand zaprosiła mnie do siebie... nie dalej jak w zeszłym tygodniu dostałam od niej list...

Pan Bancroft zgasił papierosa i jednym łykiem dopił herbatę.

- No to chodźmy do nich z wizytą. Guy, potpiesz nam, czym się tak zachwycałeś. •

Pozałuje, że włożyła te buty. Lottie patrzyła, jak idąca przed nią pani Holden piętnasty raz podczas krótkiego spaceru wykręca stopę na nierównej drodze, rozglądając się dookoła, czy zauważył to któryś z jej gości. Jednak martwiła się zupełnie niepotrzebnie: państwo Bancroftowie szli, trzymając się pod ramię i nie zwracając na nic uwagi, miło gawędzili, wskazując przesuwające się na horyzoncie statki lub oglądając późno kwitnące rośliny. Guy i Celia szli na przedzie. Celia wsunęła rękę pod ramię narzeczonego, lecz nie rozmawiali tak swobodnie jak jego rodzice. To znaczy Celia przez cały czas coś mówiła, a Guy szedł ze spuszczoną głową i zaciśniętymi ustami. Trudno było stwierdzić, czy w ogóle jej słucha. Mały pochód zamykała Lottie, niemal żałując, że mimo ostrych protestów z ich strony Freddiemu i Sylvii nie pozwolono się z nimi wybrać. Mogłaby wtedy skoncentrować się na czymś innym niż dwie jasne głowy przed nią, a obecność dzieci podziałałaby jak piorunochron zbierający napięcie, które coraz wyraźniej emanowało z ich matki.

Lottie nie miała pojęcia, dlaczego pani Holden zgodziła się na tę wizytę. Wiedziała, że już żałuje swojej decyzji, nawet bardziej niż tego, że włożyła buty na wysokich obcasach. Kiedy znajdowali się już blisko Arcadii, zaczęła rozglądać się nerwowo, jakby w obawie, że natkną się na kogoś znajomego. Zachowywała się jak niewprawy złodziej i wszelkimi sposobami unikała spojrzenia Lottie, jakby miało ją sprowokować do zawrócenia. Ale Lottie miała większe zmartwienia: będzie musiała spędzić jeszcze jedną godzinę w towarzystwie rodziców dumnych z przyszłej pary małżeńskiej i oglądać twarz mężczyzny, którego nie mogła mieć. W dodatku zwała się na głowę Adeline, która nie ma pojęcia, jak podać herba-

tę, nawet gdyby ta sama wsypała się do dzbanka i zalała wrzątkiem.

Przysłała teściowa znów zawołała coś do Celi, której humor znacznie się poprawił - po części dzięki uwadze, jaką nieustannie obdarzała ją Dee Dee, a po części dlatego, że sama myśl o matce w domu aktorki napełniała ją złośliwą radością. Lottie z jednej strony cieszyła się, że przyjaciółka jest szczęśliwa, ale z drugiej miała ochotę gwałtownie to szczęście zniszczyć.

Rodzice Guya zdawali się jej w ogóle nie zauważać.

Wszyscy niedługo sobie pojada, powtarzała sobie w duchu, zamykając oczy. Wezmę więcej zmian w sklepie. Pogodzę się z Joem. I stale będę czymś zajęta. Nie będę miała czasu, żeby o nim myśleć. W tej właśnie chwili Guy, skracając w podjazd, spojrział na nią, jakby samo jego istnienie sztywnoło z jej prób zapanowania nad uczuciami.

- To ten? - spytał pan Bancroft, stając gwałtownie, zupełnie jak jego syn przed kilkoma tygodniami.

Guy zatrzymał się i spojrział na niski biały dom.

- Tak.

- Ładny.

- Mieszanka art deco i art modernę. Ten styl zapoczątkowała Międzynarodowa Wystawa Sztuki Dekoracyjnej w 1925 roku. W Paryżu. Stąd wywodzi się nazwa art deco. Geometryczne wzory na budynkach są echem wieku masywnego.

Zapanowała cisza. Wszyscy zwrócili oczy na Guya.

- To najdłuższa wypowiedź, jaką słyszałem z twoich ust od przyjazdu.

Guy spuścił wzrok.

- Zainteresowało mnie to, więc sprawdziłem w bibliotece.

- Sprawdziłeś w bibliotece? Doskonale, synu. - Pan Bancroft zapalił kolejnego papierosa, osłaniając płomień zapalniczki szeroką dłońią. - Widzisz, Dee Dee? - powiedział, zaciągawszy się głęboko. - Mówiłem ci, że nasz chłopiec świetnie sobie poradzi bez nauczycieli i różnych takich. Jeśli

będzie chciał się czegoś dowiedzieć, sam sprawdzi. I to w bibliotece.

- To fascynujące, kochanie. Opowiedz mi coś więcej o tym domu.

- Sądzę, że Adeline zrobi to znacznie lepiej ode mnie.

Lottie dostrzegła, że na dźwięk imienia Adeline pani Holden wzdrygnęła się lekko. Dziś wieczór nie obędzie się bez pytań.

Widziała też, że pani Holden jest bardzo zakłopotana faktem, że nikt długo nie otwiera drzwi. Mocno poirytowana, stała na progu, przyciskając do siebie torebkę. Podnosiła i opuszczała rękę, wahając się, czy zapukać jeszcze raz, na wypadek gdyby nikt wcześniej nie usłyszał pukania. W domu z pewnością ktoś był - na podjeździe stały samochody. Ale nadal nikt nie otwierał.

- Może są na tarasie - powiedział Guy. - Mógłbym przeskoczyć przez boczną furtkę i sprawdzić.

- Nie - odparły jednocześnie pani Holden i Dee Dee.

- Nie chcemy się narzucać - wyjaśniła Susan Holden. - Może... może pracują w ogrodzie.

Lottie zmilczała, że jedyna zieleń na tarasie Adeline to pleśniejący chleb porzucony gdzieś obok wielkich doniczek.

- Może trzeba było wcześniej zadzwonić - zastanawiała się Dee Dee.

Kiedy cisza stawała się już nie do zniesienia, drzwi otworzyły się szeroko. Stanął w nich George, który przez chwilę spoglądał na wszystkich zebranych, a potem, uśmiechając się szeroko do Celii, uczynił dłonią teatralny gest.

- No proszę! Czyż to nie Celia i Lottie z wesołą kompanią? Wchodźcie i dołączcie do zabawy.

- Guy Bancroft senior - przedstawił się ojciec Guya, wyciągając dużą dłoń.

George spojrzął na nią i przełożył papierosa do ust.

- George Bern. Bardzo mi miło. Nie mam pojęcia, kim pan jest, ale jest mi niezmiernie miło.

Lottie zauważyła, że jest niezłe wstawiony.

Pani Holden stała na progu, wahając się, czy wejść do środka, podczas gdy na panu Bancrofcie dziwne powitanie George'a nie zrobiło żadnego wrażenia.

- To moja żona Dee Dee i mój syn Guy junior.

- Och, słynny książę ananasów. Słyszałem, że zrobiłeś tu spore wrażenie.

Lottie poczuła, że się rumieni, i szybko weszła do środka.

- Czy pani Armand jest w domu?

- Oczywiście, proszę pani. Pani jest na pewno siostrą Celi. Matką? Nie wierzę. Celio, dlaczego mi nie powiedziałaś?

W głosie George'a dało się wyczuć subtelny nutkę szyderstwa i Lottie nie miała odwagi spojrzeć na twarz pani Holden. Bezszelестnie weszła do salonu, skąd dobiegały ciche tony koncertu fortepianowego. Wiatr wiał coraz mocniej, w odległej części domu drzwi raz po raz skrzypiały i trzaskały.

Za sobą słyszała okrzyki Dee Dee, zachwycającej się jakimś cennym przedmiotem, i niespokojny głos pani Holden, pytającej, czy pani Armand nie będzie miała nic przeciwko tej niezapowiedzianej wizycie, ale Adeline powiedziała:

- Ależ skąd. Wchodźcie koniecznie i dołączcie do cyrku.

Lottie wpatrywała się w Adeline. Siedziała na środku kanapy, dokładnie w tym samym miejscu, w którym zobaczyła ją pierwszy raz. Tym razem jednak nie wyglądała tak egzotycznie, najwyraźniej wcześniej płakała, a teraz tkwiła tu z pobladłymi policzkami i wzrokiem wbitym w splecione dłonie.

Obok niej siedział Julian, a na fotelu Stephen pochłonięty lekturą gazety. Kiedy weszli do środka, Julian wstał i podszedł do drzwi.

- Lottie, jak miło znów cię tu widzieć. Co za niespodzianka. Kogo ze sobą przyprowadziłaś?

- To państwo Bancroftowie, rodzice Guy a - mruknęła. - A to pani Holden, matka Celi.

Julian nie zwrócił zupełnie uwagi na panią Holden. Niemal rzucił się na dłoń pana Bancrofta, tak bardzo pragnął ją uściskać.

- Pan Bancroft! Guy tyle nam o panu opowiadał! (Lottie zauważyła spojrzenie, jakie spod zmarszczonych brwi rzuciła Guyowi Celia - dziś wieczór nie tylko pani Holden będzie zadawać pytania). Siadajcie. Zaraz zorganizujemy jakąś herbatę.

- Nie chcemy sprawiać kłopotu - powiedziała pani Holden, która aż zbladła na widok aktów wiszących na ścianach.

- Ależ to żaden kłopot. Siadajcie! Napijemy się razem herbaty. - Spojrzał na Adeline, która nie poruszyła się na kanapie i tylko obdarzyła gości bladym uśmiechem. - Bardzo się cieszę, że mogę was wszystkich poznać. To błąd tak zaniedbywać sąsiadów. Wybaczcie nam, jeśli nie poradzimy sobie z obowiązkami gospodarzy jak należy, ale właśnie opuściła nas służąca.

- Och, jakże mi was żal - powiedziała Dee Dee, siadając na stylowym krześle. - Nie ma nic gorszego, niż zostać bez pomocy. Często powtarzam Guyowi, że czasami posiadanie służby to większy kłopot niż korzyść.

- Tak właśnie jest na Karaibach - kontynuował temat pan Bancroft. - Trzeba mieć dwadzieścia osób służby, żeby wykonały pracę dziesięciu.

- Dwadzieścia osób! - wykrzyknął Julian. - Jestem pewien, że Adeline byłaby zadowolona, mając jedną. Ale, niestety, mamy problemy z utrzymaniem służby.

- Spróbuj im czasem zapłacić - skwitował George, nalewając sobie kolejny kieliszek wina.

Adeline znów uśmiechnęła się blado. Lottie uświadomiła sobie, że pod nieobecność Frances, której nigdzie nie było widać, nie ma kto zaparzyć herbaty.

- Zrobię herbatę - zaproponowała.

- Naprawdę? Wspaniale. Cudowna z ciebie dziewczyna, Lottie.

- Zachwycająca - dodał, uśmiechając się znacząco, George.

Lottie wyszła do kuchni, zadowolona, że może uciec od napiętej atmosfery w salonie. Kiedy szukała czystych filiżanek i spodeczków, słyszała, jak Julian wypytuje pana Ban-

crofta o jego interesy i, chyba z jeszcze większym entuzjazmem, opowiada o swoich. Poinformował pana Bancrofta, że sprzedaje dzieła sztuki. Ma galerię w centrum Londynu i specjalizuje się w płótnach współczesnych malarzy.

- Cieszą się popularnością? - Słyszała, jak pan Bancroft chodzi po pokoju.

- Coraz większą. Ceny, jakie osiągają dzieła niektórych artystów na aukcjach w Sotheby's czy Christie's, rosną z roku na rok.

- Słyszałaś, Dee Dee? Całkiem niezła inwestycja, co?

- Jeśli wiesz, co kupować.

- I tu ma pani absolutną rację. Jeśli ktoś źle państwu doradzi, możecie nabyć coś, co ma być może wartość estetyczną, ale materialną - niewielką.

- Nie kupowaliśmy dotąd zbyt wielu obrazów, prawda, Guykochanie? Te, które mamy, kupiłam, bo były ładne.

- Świetny powód, by coś nabyć. Jeśli dzieło nie podoba się właścicielowi, wartość przestaje odgrywać jakąkolwiek rolę.

Na stole w kuchni leżały rachunki, kilka sporych za ogrzewanie i elektryczność, inne za naprawy dachu. Lottie, która nie mogła się powstrzymać, by nie rzucić na nie okiem, zaskoczyły sumy, na jakie opiewały. I wszystkie były ostatnimi wezwaniami do zapłaty.

- A ten?

- To Kline. W jego pracach płótno jest równie ważne jak pociągnięcia pędzla.

- Chyba niezły sposób, by trochę oszczędzić na farbie. Mnie przypomina obrazek namalowany przez dziecko.

- Jest prawdopodobnie wart kilkanaście tysięcy funtów.

- Kilkanaście tysięcy? Dee Dee? Nie sądzisz, że moglibyśmy malować takie w domu? Miałabyś przyjemne hobby.

Dee Dee wybuchnęła perlстым śmiechem.

- Ale już poważnie, panie Armand. To jest warte aż tyle? Coś takiego?

- Sztuka, jak zresztą wszystko, jest warta tyle, ile ktoś jest gotowy za nią zapłacić.

- Amen.

Lottie weszła do salonu z tacą. Adeline wstała z kanapy i wyglądała przez duże okno. Na zewnątrz porywisty wiatr zyskał tylko na sile. Wysoka trawa i krzewy pochylały się ku ziemi w geście pokornej prośby. Na dole, na plaży, Lottie dostrzegła kilka małych figurek, walczących z podmuchami. Uznały wreszcie swoją porażkę w zmaganiach z pogarszającą się pogodą.

- Herbata. Komu? - spytała.

- Ja się tym zajmę, moja droga - powiedziała Adeline, zwalniając Lottie z domowych obowiązków. Lottie, nie wiedząc, co ze sobą począć, tkwiła przy stole. Celia i Guy stali niepewnie przy drzwiach, dopóki pan Bancroft nie zbeształ syna i nie kazał mu usiąść. Powiedział, że wygląda, jakby miał kij w tyłku. Słyszając to, Celia prychnęła cicho, a Lottie, która na moment zapomniała o poczuciu kłębki i zagrożenia, znów bala się spojrzeć na twarz pani Holden.

- Długo tu mieszkacie? - spytała Dee Dee Adeline. Podobnie jak mąż nie zwracała wcale uwagi na dziwne zachowanie gospodarzy.

- Przyjechaliśmy na początku lata.

- Gdzie mieszkaliście wcześniej?

- W Londynie. W centrum. Nieopodal Sloane Square.

- Naprawdę? Gdzie? Moja przyjaciółka mieszka przy Cliveden Place.

- Cadogan Gardens - powiedziała Adeline. - Mieliśmy tam bardzo przyjemny dom.

- Dlaczego więc zdecydowaliście się przyjechać aż tutaj?

- No, no - wtrącił się do rozmowy Julian. - Państwo Bancroftowie z pewnością nie mają ochoty wysłuchiwać szczegółowej historii naszej rodziny. A teraz, panie Bancroft, albo Guy, jeśli mogą się tak do ciebie zwracać, opowiedz mi o swoich interesach. Kiedy wpadłeś na pomysł, by importować owoce?

Lottie obserwowała Adeline, która zacisnęła usta i pozbyła twarz wszelkich emocji. Potrafiła to robić, gdy była nie-

zadowolona: wyglądała wówczas jak wschodnia maska - uroczą, łagodną, lecz nie zdradzającą absolutnie nic.

Dlaczego on nie pozwala jej mówić, zastanowiła się Lottie i ogarnęło ją złe przeczucie, które nie miało nic wspólnego z pogarszającą się pogodą. Wielkie okna zwiastowały wszystko zawczasu, ukazywały wspaniałe piękno ciemniejszego nieba, nadciągające zza horyzontu chmury. Od czasu do czasu przelatywały unoszone wiatrem papierowa torba lub liść. Na górze drzwi trzaskały bez końca, napinając nerwy Lottie do granic możliwości. Muzyka już dawno ucichła.

Julian i pan Bancroft nadal rozmawiali.

- Jak długo zostaniesz w Rivierze, Guy? Czy zdążę zebrać kilka dzieł, które moim zdaniem na pewno ci się spodoba?

- Planowałem powrót do domu za dzień lub dwa. Ale Dee Dee zawsze udaje się namówić mnie na krótkie wakacje, więc chyba przedłużymy naszą wizytę u państwa Holdenów, a potem ruszymy wzdłuż wybrzeża. Może nawet wpadniemy do Francji.

- Nigdy nie widziałam Paryża - powiedziała Dee Dee.

- Za to ty jesteś jego wielką admiratorką, prawda, Celio? - George, wyciągnięty wygodnie na bujaku, uśmiechnął się do Celi.

- Co?

- Uwielbiasz Paryż. Paryż. Francja, wiesz.

On wie, pomyślała Lottie. Wiedział od samego początku.

- Tak, tak. Paryż... - odparła Celia, rumieniąc się.

- Cudownie jest móc w młodości podróżować. - George zapalił kolejnego papierosa i leniwie wypuścił dym. - Mało kto może sobie na to pozwolić.

Robił to z rozmysłem. Lottie obserwowała, jak Celia zaczyna się jąkać w odpowiedzi i nie mogąc znieść jej zażenowania, wtrącała się do rozmowy.

- Guy podróżował o wiele więcej niż jakakolwiek znana mi osoba. Opowiadał nam, że mieszkał dosłownie wszędzie. Na Karaibach, w Gwatemali, Hondurasie. W miejscach,

o których nigdy nawet nie słyszałam. Wspaniale było słuchać tych historii. To takie ekscytujące. Maluje słowami cudowne obrazy... pięknie opisuje ludzi i krajobrazy. - Lottie uświadomiła sobie, że zaczyna paplać bez sensu i urwała.

- Tak, to prawda - odparła z wdzięcznością Celia. - Obie z Lots byliśmy po prostu oczarowane. Mama i tato też. Chyba zaraził całą rodzinę zamięłowaniem do podróży.

- A pani - Dee Dee zwróciła się do Adeline - mówi z lekkim obcym akcentem. Skąd pani pochodzi?

Drzwi, które trzaskały na górze, nagle zatrzasnęły się ze zdecydowanie większym hukiem. Lottie aż podskoczyła, a wszyscy zebrani podnieśli wzrok. W drzwiach stanęła Frances. Miała na sobie długi aksamitny płaszcz i szalik w paski, a jej twarz była blada jak ściana. Stała nieruchomo, jakby nie spodziewała się, że zastanie kogoś w salonie. Potem zwróciła się w stronę Adeline.

- Przepraszam - powiedziała. - Właśnie wychodziłam.

- Frances... - Adeline wstała i wyciągnęła rękę. - Proszę...

- Nie. Przestań. George, będziesz tak miły i zawieszysz mnie na dworzec?

George zgasił papierosa i wstał.

- Siadaj, George - zatrzymała go Adeline. Jej policzki zaróżowiły się nieco. Niemal władcym gestem wskazała mu miejsce na fotelu.

- Adeline...

- Frances, nie możesz tak wyjechać.

Frances ścisnęła torbę, aż pobieleły jej knykcie.

- George, proszę...

W pokoju zapadła cisza.

George, z którego twarzy zniknął typowy dla niego drwiący uśmieszek, spojrzął na obie kobiety, a potem na Juliana. Wzruszył lekko ramionami i powoli wstał.

Lottie rozejrzała się po zebranych w salonie. Pani Holden i Dee Dee siedziały obok siebie i ścisnęły w dłoniach filiżanki z herbatą. Obie były tak zaferowane, że pani Holden nie

udawała nawet, że nie słucha. Pan Bancroft natychmiast stał się obiektem zainteresowania Juliana, który z okrzykiem, że ma mu do pokazania coś niezwykle ciekawego, wyprowadził go z salonu. Celia i Guy, siedzący przy drzwiach, nieco pobledli i nieświadomie wykonywali te same gesty. Jedynie Stephen nie zwracał na nic uwagi i nadal czytał gazetę. Lottie zauważyła, że egzemplarz pochodzi sprzed tygodnia.

- Chodź, George. Chciałabym złapać pociąg piętnaście po.

- Nie! - wykrzyknęła Adeline nienaturalnie podniesionym głosem. - Frances, nie możesz tak wyjechać! To śmieszne! Śmieszne!

- Śmieszne, tak? Dla ciebie wszystko jest śmieszne, Adeline. Wszystko, co jest szczere, prawdziwe i realne. Jest śmieszne, bo czujesz się z tym nieswojo.

- Nieprawda!

- Jesteś żałosna, wiesz? Sądzisz, że jesteś bardzo dzielna i oryginalna. Ale jesteś jedynie sztuczna. Nic więcej. - Frances z twarzą wykrzywioną jak u skrzywdzonego dziecka walczyła z łzami.

- No cóż. - Pani Holden podniosła się z fotela. - Chyba powinniśmy... - Rozejrzała się i stwierdziła, że jedyne wyjście z pokoju jest zablokowane przez George'a i obie kobiety. - Wygląda na to, że...

- Mówiłam ci to tysiąc razy, Frances... żądasz zbyt wiele... Nie mogę... - Głos Adeline się załamał.

Stojący między nimi George pochylił głowę.

- Nie. Wiem, że nie możesz. Dlatego właśnie wyjeżdżam. - Frances odwróciła się, a Adeline z twarzą ściągniętą smutkiem zrobiła krok w jej stronę.

George objął ją ramieniem. Trudno było ocenić, czy chce ją pocieszyć, czy powstrzymać.

- Tak mi przykro, Frances! - krzyknęła za nią Adeline. - Naprawdę! Proszę...

Lottie poczuła ucisk w żołądku. Świat wymknął się zupełnie spod kontroli, jakby ktoś rozerwał jego granice. Dźwięk trzaskających na górze drzwi stawał się coraz głośniejszy.

Wydawało się, że w pokoju słychać już tylko nieregularny oddech Adeline i stukot drzwi objających się o futrynę.

Nagle na środku pokoju stanął Guy.

- Wyjdźmy na zewnątrz. Czy ktoś widział fresk? Chyba jest już gotowy. Bardzo chciałbym go zobaczyć. Mamo? Obejrzyj go ze mną? Pani Holden?

Dee Dee zerwała się z miejsca, kładąc dłoń na ramieniu pani Holden.

- To wspaniały pomysł, kochanie. Świetny. Z wielką chęcią obejrzymy ten fresk, prawda, Susan?

- Tak, tak - odparła z wdzięcznością pani Holden. - Fresk.

Lottie i Celia ruszyły za nimi, na chwilę poczuły się połączone widokiem tej burzliwej sceny. Nie mogąc wydusić ani słowa, uniosły w górę brwi i pokręciły głowami. Kiedy wyszły na taras, wiatr potargał im włosy.

- Co to było? - szepnęła Celia, pochylając się do Lottie, by ją usłyszała.

- Nie mam pojęcia.

- Bóg jeden wie, co pomyślą sobie rodzice Guya. Nie mogę w to uwierzyć, Lots. Dwie dorosłe kobiety szlochające na oczach świata.

Lottie zadrżała. Morze szalało pod nimi, zalewając pianą brzeg. Łagodny letni wietrzyk w ciągu paru godzin zamienił się w zawieruchę. Bez wątpienia wieczorem rozpęta się burza.

- Powinniśmy już iść - zasugerowała, czując na twarzy pierwsze krople deszczu. Lecz Celia jej nie słyszała. Szła w stronę Guya, który razem z obiema paniami podziwiał dzieło Frances. Wszyscy wpatrywali się w centralną postać, wymieniając ciche uwagi.

O Boże, to Julian, pomyślała Lottie. Na pewno zrobiła z nim coś strasznego.

Ale to nie Julian stanowił obiekt tak wielkiego zainteresowania.

- Fascynujące - powiedziała Dee Dee, próbując przekrzywić wiatr. - To przecież ona. Widać to po włosach.

- Co? Kto? - dopytywała się Celia, przytrzymując targa-
ną wiatrem spódnicę.

- To Laodamia. Laodamia. Znasz mnie i moje zamiłowa-
nie do greckich mitów, Guy. Tam, gdzie mieszkamy, nie ma-
my zbyt wielkiego dostępu do dobrej literatury - wyjaśniła
Dee Dee pani Holden. - Zainteresowałam się więc Grekami.
Mają cudowne historie.

- Tak. Podczas naszych spotkań w salonie też czytaliśmy
Homera - odparła pani Holden.

- Ten malarz namalował ją jako...

- Malarka, mamó. Fresk jest dziełem kobiety, która...
wyjechała.

- Ach tak. Czyż to nie dziwne? Namalowała panią Ar-
mand jako jedną z ofiar wojny trojańskiej. Laodamia żywiła
szaleńczą miłość do woskowej figury swojego męża, który
został zabity pod Troją. Jak on się nazywał? Już wiem, Pro-
tesilaos. Spójrzcie, on też tu jest.

Lottie spojrzała na fresk. Adeline, nie zwracając uwagi na
stojące obok niej osoby, wpatrywała się w ogromną wosko-
wą figurę.

- Nieźle, pani Bancroft. Całkiem nieźle. Niełatwo to od-
gadnąć. - George stanął za nimi z kieliszkiem wina w ręce.
Włosy sterczały mu na głowie, jakby mu je uniósł jakiś szok.

- Adeline jako Laodamia, no proszę. *Crede miki, plus est,
quam quod videatur, imago.* - Zawiesił głos jakby dla uzy-
skania większego efektu. - „Wiercie mi, wizerunek to coś
więcej, niż widać”.

- Ależ tu jest mąż pani Armand... - Pani Holden zmrzy-
ła oczy, mocniej ściskając torebkę. - Tu jest Julian Armand -
zwróciła się do Dee Dee.

George spojrzał na malowidło, po czym odwrócił wzrok.

- Są wszak małżeństwem - powiedział i lekko chwiejnym
krokiem wszedł do środka.

Dee Dee uniosła jedną brew.

- Guy junior ostrzegął nas przed tymi artystami... - Zaj-
rzała do pokoju przez drzwi tarasu, przytrzymując dłonią

włosy, jakby miał je zaraz porwać wiatr. - Myślisz, że możemy tam wrócić? - spytała panią Holden.

Celia, która miała tylko cienki sweter, obejmowała się ciasno ramionami i stojąc przy drzwiach, lekko przytupywała.

- Ten deszcz jest bardzo zimny. A ja nie mam płaszcza.

- Nikt z nas nie ma, kochanie. Chodź, Dee Dee. Sprawdźmy, co zrobili z twoim mężem.

Tylko Lottie nie ruszyła się z miejsca. Wpatrywała się w malowidło i pragnąc ukryć nagłe drżenie rąk, wsunęła je do kieszeni.

Guy stał kilka metrów od niej. Kiedy oderwała w końcu wzrok od fresku, uświadomiła sobie, że ze swojego miejsca też musiał to zauważyć. Daleko po lewej stronie, w pewnej odległości od pozostałych czternastu postaci - tu i tam brakowało jeszcze kilku pociągnięć pędzla - widniała dziewczyna w długiej szmaragdowej sukni z małymi różyczkami we włosach. Pochylając się, z tajemniczym wyrazem twarzy, przyjmowała jabłko od mężczyzny, który miał słońce na plecach.

Lottie spojrzała na fresk, a potem na Guya.

Na jego pobladałą nagle twarz.

Lottie popędziła do domu przodem. Powiedziała, że chce pomóc Virginii przygotować kolację, lecz tak naprawdę marzyła o tym, by uciec. Nie potrafiła już dłużej zmuszać się do uprzejmej rozmowy, nie potrafiła już dłużej patrzeć na Celię i ukrywać czającej się w jej wzroku zazdrości, nie potrafiła już dłużej być blisko niego. Słuchać jego głosu. Oglądać go. Całą drogę do domu przebyła biegiem, czując pieczenie w piersiach. Nie zważała na zimny wiatr i deszcz, smagające jej twarz, nie zauważyła, że warkocz rozplótł się i włosy powiewają za nią wilgotnymi, słonymi pasmami.

Nie zniosę tego ani chwili dłużej, powtarzała sobie w duchu. Nie zniosę.

Kiedy wszyscy wrócili, była na górze, gdzie w bezpiecznym ciepłe łazienki przygotowywała kąpiel dla Freddiego

i Sylvii. Słyszała, jak Virginia, zadowolona, bo ktoś ją wyręczył, odbiera płaszcze, a pani Holden opowiada, że jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak zażenowana. Dee Dee śmiała się głośno - dzięki niezwykłym mieszkańcom Arcadii obie panie najwyraźniej poczuły do siebie sympatię. Kiedy w powietrzu zaczęła unosić się para, Lottie ukryła twarz w dłoniach. Czuła suchość w gardle, wstrząsały nią dreszcze. Chyba umieram, pomyślała melodramatycznie. Może śmierć okaże się łatwiejsza.

- Czy mogę wziąć do kąpieli krówkę?

W drzwiach łazienki stanął rozebrany już Freddie, ściskając w dłoni zabawkę. Ręce miał poplamione zaschniętą krwią martwego lisa.

Lottie skinęła głową. Była zbyt zmęczona, by z nim walczyć.

- Muszę najpierw zrobić siusiu. Sylvia mówi, że nie będzie się dziś kapać.

- Będzie - odparła znużonym tonem Lottie. - Sylvio, chodź tu natychmiast.

- Nie mogę dosięgnąć myjki. Podasz mija?

Musi wyjechać. Od początku wiedziała, że nie może tu zostać na zawsze, lecz obecność Guya przyspieszyła tylko jej decyzję. Za nic nie może tu przebywać, zwłaszcza gdy już się pobiorą - stale będą odwiedzać rodziców, a oglądanie ich razem stanie się dla niej zbyt okrutne. Na razie powinna znaleźć jakąś sprytną wymówkę, żeby nie iść na ślub.

O Boże, ślub.

- Muszę mieć czystą myjkę. Ta śmierdzi.

- Och, Freddie...

- Naprawdę. Śmierdzi. Oj, woda jest za gorąca. Popatrz, moja krówka już zdechła. Puściłaś za gorącą wodę i krówka zdechła.

- Sylvio! - Lottie puściła do wanny zimną wodę.

- Mogę sam umyć włosy? Virginia mi pozwala.

- Nie, nie pozwala. Sylvio.

- Ładnie wyglądam? - Sylvia wypróbowała zawartość kosmetyczki pani Holden. Miała mocno pomalowane różem

policzki, zupełnie jakby dochodziła do siebie po ciężkiej chorobie, a nad oczami lśniły dwa grube paski błękitu.

- Wielkie nieba! Mama z pewnością ci przyłoży. Zmywaj to natychmiast.

Sylvia splotła ręce na piersiach, przyjmując buntowniczą postawę.

- Ale mnie się podoba.

- Chcesz, żeby mama jutro zamknęła cię na cały dzień w pokoju? Bo wiesz doskonale, że jeśli zobaczy cię w tym stanie, zrobi to na pewno. - Lottie z trudem panowała nad sobą.

Sylvia skrzywiła się i podniosła do twarzy ubrudzoną szminką rękę.

- Ale ja chcę...

- Mogę wejść?

Lottie, która walczyła z bucikami Sylvii, podniosła wzrok i zamarła. Stał w drzwiach, wahając się, jakby nie wiedział, czy wejść do środka. Pod kłębami pary i aromatem mydła czuła czyste, słone powietrze, którym wciąż pachniał.

- Guy, zabiłem dziś niedźwiedzia. Spójrz! Spójrz tylko na tę krew!

- Lottie, muszę z tobą porozmawiać.

- Zaduśnięciem go gołymi rękami. Próbowałem obronić krowkę. Widziałeś moją krowkę?

- Guy, ładnie wyglądam?

Lottie nie śmiała się poruszyć. Pomyślała, że jeśli to zrobi, rozpadnie się na tysiąc kawałeczków.

Było jej straszliwie gorąco.

- To Frances - powiedział, a serce Lottie, które przez moment było jak szalone, zamarło. Przyszedł, żeby poinformować ją o jakiejś kłótni, do której doszło na dole. Może ma zamiar zabrać Frances z dworca. Może pan Bancroft chce /
kupić jej obrazy.

Spuściła wzrok na dłonie, które niemal niezauważalnie drżały.

- Och.

- Pomalowałam usta szminką. Spójrz, Guy!

- Tak - odparł z roztargnieniem. - Wspaniała krowa, Freddie. Naprawdę.

Nie palił się, żeby wejść do środka. Spojrzał na sufit, po czym spuścił wzrok, jakby z czymś się zmagając. Zapadła cisza, w czasie której Sylvia, niezauważona, starta makijaż czystą myjką pani Holden.

- Och, to niemożliwe. Posłuchaj, chciałem ci powiedzieć. .. - przesunął dłonią po włosach - .. że Frances ma rację. Namalowała to właściwie. Na fresku.

Lottie podniosła na niego wzrok.

- Frances zrozumiała to. Zrozumiała to wcześniej niż ja.

- Co zrozumiała? - Freddie upuścił krówkę. Wypadła z wanny, a on wychylał się teraz niebezpiecznie, by ją podnieść.

- Ja zrozumiałem to chyba ostatni. - Był wyraźnie poruszony, spoglądał poirytowany na dzieci. - Ale ona ma rację, prawda?

Lottie nie było już gorąco, przestała czuć drżenie rąk. Wypuściła powietrze, po czym się uśmiechnęła. Po raz pierwszy pozwoliła sobie na luksus spojrzenia na niego, nie bojąc się tego, co może wyczytać z jej twarzy.

- Powiedz, że ona ma rację, Lottie - jego szept brzmiał dziwnie przepaszająco.

Podążyła Freddiemu czystą myjkę. W jednym spojrzeniu starała się zawrzeć wszystko.

- Ja zrozumiałam to na długo przed tym, nim powstał fresk - odparła.

Rozdział siódmy

Kiedy tego ranka pani Holden spojrzała na swoje odbicie w lustrze, stwierdziła, że jej twarz jest wyraźnie rozpromieniona. Pochylając się, by nałożyć tusz do rzęs (tylko odrobinię, w końcu szła do kościoła), pomyślała nawet, że wygląda młodziej niż zazwyczaj. Na czole i wokół oczu widniało zdecydowanie mniej zmarszczek. Efekt ten należało po części przypisać sukcesowi wizyty Bancroftów. Pomimo tej okropnej kłótni między aktorką i jej przyjaciółką Dee Dee (ci Amerykanie nadają sobie naprawdę osobliwe imiona) uznała całą wizytę w Arcadii za niezwykle zabawną, jakby była atrakcją turystyczną, którą przygotowali specjalnie na ich przyjazd. Guy senior cieszył się ogromnie z obrazów, które kupił od pana Armanda. „Z pewnością okażą się świetną inwestycją”, oznajmił, gdy po kolacji ostrożnie pakował je do samochodu. Doszedł do wniosku, że nowoczesna sztuka nawet mu się podoba. Pani Holden prędej by umarła, niż powiesiła coś takiego na ścianie - wyglądały jak kupka czegoś, co zwrócił Pan Beans. Ale na twarzy Dee Dee pojawił się tylko uśmiech spod znaku: „My, dziewczęta, musimy trzymać się razem”, i powiedziała: „Jeśli tylko jesteś zadowolony, Guykochanie”, i odjechali, obiecując dalsze dostawy owoców i kolejną wizytę przed ślubem.

No i jeszcze Celia - nie miewała już tak zmiennych nastrojów jak ostatnio. Wyraźnie starała się wziąć w garść. Pani Holden zastanawiała się (na głos), czy Celia przypadkiem nie zaniedbuje trochę Guya; może była zbyt zaprzątnięta ślubem i zapomniała o panu młodym (poczuła nawet wyrzuty sumienia, że może ona sama trochę się do tego przyczyniła; trudno zachować zimną krew, przygotowując wesele). Guy okazywał teraz jej córce więcej uwagi, a Celia ze swej strony robiła wszystko, by wyglądać ślicznie i wydać mu się jak najbardziej pociągająca. Pragnąc się zabezpieczyć ze wszystkich stron, pani Holden wręczyła córce kilka kobiecych magazynów, w których podkreślano, jak ważne jest, by stale dbać o zainteresowanie męża swoją osobą... wspomniano też o innych sprawach, o których pani Holden ciągle wstydziała się rozmawiać.

Teraz czuła się też o wiele bardziej władna, by udzielać małżeńskich rad - ostatnio Henry był dla niej niezwykle miły. Przez dwa dni z rzędu wracał do domu prosto z pracy i udawało mu się unikać niespodziewanych wezwań do chorych. Zaproponował, że zabierze całą rodzinę na lunch do Rivieri, pragnąc im w ten sposób wynagrodzić swoją nieobecność podczas pobytu Bancroftów. Co ważniejsze jednak, wczoraj wieczorem (pani Holden poczuła, że się rumieni) złożył jej nawet wizytę w sypialni: po raz pierwszy od powrotu Celi z Londynu przed sześcioma tygodniami. Henry nie należał do mężczyzn, którzy wiedzieli, co to romantyczne porwy. Ale miło było czuć się przez niego dostrzeganą.

Pani Holden obejrzała się na dwie kołdry wciąż jeszcze skrywające sekrety minionej nocy. Najdroższy Henry. I jeszcze to okropne rude babsko wyjechało z miasta.

Odłożyła szminkę i delikatnie poklepała orzechowy blat toaletki. Tak, teraz wszystko układa się jak najlepiej.

Na górze Lottie leżała w łóżku, słuchając, jak na dole Celia i dzieci wkładają płaszcz przed wyjściem do kościoła. Dla Freddiego oznaczało to krzyki i rzucone pod nosem

groźby, po których następowały głośne zapewnienia o niewinności i trzaskanie drzwiami. Nareszcie, przy wtórze podniesionego głosu pani Holden, drzwi frontowe zatrzasnęły się z hukiem, obwieszczając, że z wyjątkiem Lottie nikogo nie ma w domu. Leżała nieruchomo, nasłuchując dźwięków, jakże często tłumionych przez krzyki i nawoływania dzieci: tykania zegara w holu, łagodnego syczenia instalacji doprowadzającej ciepłą wodę, trzaskania drzwi samochodów na ulicy. Czuła, jak te odgłosy powoli wsączają się jej do głowy, i pragnęła cieszyć się jak najdłużej rzadkimi chwilami samotności.

Była chora od prawie tygodnia. Potrafiła dokładnie określić, kiedy to się stało - Dzień Po Wielkim Wyznaniu lub w Dzień Kiedy Widziała Go Po Raz Ostatni. Wydarzenia te były tak doniosłe, że wymagały użycia dużych liter. W nocy po tym, jak Guy wyznał jej swoje uczucia, leżała bezsennie aż do świtu, cała rozgorączkowana i drżąca. Początkowo sądziła, że ma to związek ze strasliwym poczuciem winy. Rankiem jednak po zbadaniu gardła doktor Holden przypisał gorączkę prozaicznemu przeziębieniu i przepisał tydzień leżenia w łóżku oraz picie dużej ilości płynów.

Celia, choć było jej żal przyjaciółki, przeniosła się do pokoju Sylvii („Przepraszam, Lots, ale nie mam ochoty zachorować, kiedy trwają przygotowania do ślubu”) i Lottie została sama. Odwiedzała ją tylko Virginia, która z kwaśną miną przynosiła jej zupy i soki, oraz Freddie, który sprawdzał od czasu do czasu, „czy już umarła”.

Czasami Lottie marzyła o śmierci. Nocą słyszała, jak bredzi w gorączce, i bała się, że wszystko się wyda. Nie mogła znieść myśli, że Guy teraz, gdy okazało się, że odwzajemnia jej uczucia, zniknął na dobre, jakby była zamknięta w wieży Raszpunka* z nową fryzurą. Normalnie mogliby

* Tytułowa bohaterka baśni braci Grimm. Miała piękne, bardzo długie włosy, które spuszczała przez okno, by królewicz mógł się wspiąć do wieży, gdzie uwięziła ją czarownica.

przecież wynaleźć mnóstwo przyczyn, by wpadać na siebie tu i tam lub wyjść razem z psem na spacer, ale nie było przecież żadnego powodu, by młody mężczyzna zaręczony z córką gospodarzy wchodził do sypialni jej przyjaciółki.

Po dwóch dniach, nie mogąc już dłużej znieść jego nieobecności, zeszła na dół po szklankę wody, by choć przez moment na niego spojrzeć. Omal jednak nie zemdłała w korytarzu, a pani Holden i Virginia, pomstując na czym świat stoi, zaniósł ją z powrotem do sypialni, zarzucając sobie na ramiona jej szczupłe białe ręce. Uchwyciła jego spojrzenie zaledwie na ułamek sekundy, ale to wystarczyło, by się przekonać, że łączy ich tajemne porozumienie, które pomogło jej przetrwać kolejny długi dzień i noc.

Stale czuła jego obecność - sprowadził dla niej afrykańskie winogrona, słodkie, jędrne, pachnące, hiszpańskie cytryny, by dodawać je do gorącej wody z miodem, która przynosiła ulgę bolącemu gardłu, i mięsiste figi, które miały pobudzić jej apetyt. Pani Holden pełnym podziwu tonem wychwalała hojność jego rodziny - i bez wątpienia zatrzymała kilka fig dla siebie.

Ale to nie wystarczyło. Jak ktoś umierający z pragnienia, komu podano naparstek wody, Lottie doszła do wniosku, że te drobne przejawy troski z jego strony tylko wszystko pogorszyły. Bo teraz stale się dręczyła, wyobrażając sobie, jak pod jej nieobecność Guy na nowo odkrywa uroki Celi. Jakże mogłoby być inaczej, kiedy Celia przez cały czas zastanawiała się, jak go odzyskać? „Co sądzisz o tej sukience, Lots?” - pytała, paradowując przed nią w nowej kreacji. „Czy mój biust wygląda w niej na większy?” - Lottie uśmiechała się słabo i przeproszała ją, mówiąc, że musi się chwilę zdrzemnąć.

Drzwi na dole się otworzyły. Lottie leżała, nasłuchując kroków na schodach. W drzwiach stanęła pani Holden.

- Lottie, zapomniałam powiedzieć, że zostawiłam ci w lodówce kanapki. My prawdopodobnie prosto z kościoła pójdziemy do hotelu na lunch. Masz tam też jajka, trochę szyn-

ki i dzbanek napoju z jęczmienia z sokiem cytrynowym. Henry mówi, że powinnaś wypić dziś wszystko. Stanowczo za mało pijesz.

Lottie zmusiła się do pełnego wdzięczności uśmiechu.

Pani Holden wsunęła rękawiczki i spojrzała na łóżko, jakby się nad czymś zastanawiała. Potem zrobiła kilka szybkich kroków i poprawiła koce, wsuwając je pod materac. Wyciągnęła dłoń i przyłożyła do czoła Lottie.

- Jeszcze jesteś trochę ciepła - powiedziała. - Moje biedactwo. Masz za sobą ciężki tydzień, prawda?

Lottie nieczęsto słyszała, by przemawiała do niej tak łagodnym tonem. Kiedy więc pani Holden wygładziła jej brudne włosy i ścisnęła za rękę, odpowiedziała równie serdecznym uściskiem.

- Na pewno dasz sobie radę sama?

- Na pewno - wychrypiała Lottie. - Chyba trochę się przeziębię.

- Dobry pomysł. - Pani Holden odwróciła się, by wyjść, poprawiając przy tym włosy. - Powinniśmy wrócić koło drugiej. Zjemy wczesny lunch ze względu na dzieci. Nie mam pojęcia, jak Freddie zachowa się w eleganckiej restauracji. Wyobrażam sobie, że jeszcze przed deserem nie odważę się podnieść głowy ze wstydu... - Zajrzała do torebki. - Masz przy łóżku dwie aspiryny. Nie zapominaj, co mówił Henry. Musisz dużo pić.

Lottie czuła ogarniającą ją senność.

Na dole lekko trzasnęły drzwi.

Spała może kilka minut albo kilka godzin. Nagle uświadomiła sobie, że delikatne stukanie, które słyszała we śnie, rozlega się na jawie, a kiedy zaczęła wpatrywać się w drzwi, stało się jeszcze bardziej natarczywe.

- Lottie?

Chyba znów ma gorączkę. Jak wtedy, gdy była przekonana, że na wszystkich parapetach aż roi się od pstrągów.

Zamknęła oczy. Była cała rozpalona.

- Mogę wejść?

Spojrzała. I on tam stał z koszulą poznaczoną małymi kropkami deszczu. Na zewnątrz usłyszała nagły grzmot. W pokoju pociemniało. Chmury zakryły niebo i wydawało się, że już zapadł zmierzch. Uniosła się na łóżku, z zaspianą jeszcze twarzą, nie wiedząc, czy przypadkiem nadal nie śni.

- Myślałam, że pojechałeś na dworzec.

Powiedział, że wybiera się tam po skrzynkę owoców.

- To pierwsze kłamstwo, jakie przyszło mi do głowy.

W pokoju robiło się coraz ciemniej. Z trudem dostrzegała jego twarz. Rozświetlone w niej były tylko oczy, wpatrzone w nią tak przenikliwie, że pomyślała, iż podobnie jak ona jest bardzo chory. Zamknęła swoje na chwilę, by przekonać się, czy on nadal tam będzie, gdy je otworzy.

- To wszystko jest zbyt trudne, Lottie. Chyba... chyba oszaleję.

Radość. Radość, że on tak właśnie czuje. Opadła na poduszki i wyciągnęła rękę. Lśniła bielą w półmroku.

- Lottie...

- Chodź.

Przeskoczył przez pokój i klęknął obok łóżka, składając głowę na jej piersi. Czuła jej ciężar na wilgotnej koszuli. Podniosła rękę i dotknęła jego włosów. Były bardziej miękkie, niż się spodziewała, bardziej miękkie niż włosy Freddiego.

- Wszystko mi przesłaniaasz. Nie widzę nic poza tobą.

Podniósł głowę, żeby mogła zobaczyć jego oczy, lśniące jak bursztyń nawet w półmroku. Nie mogła myśleć przytomnie, wszystko wokół wirowało. Po prostu przykuwał ją do łóżka. Pomyślała, że gdyby nie to, wzbiłaby się w powietrze i wypłynęła przez okno w wilgotny, nieskończony mrok.

- O Boże, masz zupełnie mokrą koszulę... jesteś chora. Chora. Przepraszam, Lottie. Nie powinienem...

Wyciągnęła rękę, gdy próbował wstać, i przyciągnęła go do siebie. Przez myśl jej nie przeszło, by wytłumaczyć jakoś swój załosny wygląd, wilgotne, brudne włosy, stęchły za-

pach choroby. Zmysły Lottie poddały się tylko tej jednej potrzebie. Ujęła jego twarz w dłonie. Usta Guya były teraz tak blisko, że czuła jego oddech. Zawahała się na ułamek sekundy, świadoma nawet w swoim braku doświadczenia, że ta wspaniała chwila przed spełnieniem też ma swoją wartość. A potem z jękiem, przypominającym jęk rozpaczy, Guy wsunął się na nią, słodki jak zakazany owoc...

Richard Newsome znów jadł słodczyce - widziała to doskonale. Nawet nie starał się cicho odwijać papierków, gdy wsuwał do buzi jeden cukierek po drugim, zupełnie jakby siedział w ostatnim rzędzie w kinie. Okazywał tym samym zupełny brak szacunku. Matka, siedząca obok niego, zachowywała się tak, jakby nie miała z nim nic wspólnego. Ale przecież Sarah Chilton często powtarzała, że wszyscy Newsome'owie są tacy - nigdy nie przejmują się zasadami, dopóki im nie dzieje się krzywda.

Pani Holden rzuciła mu potępiające spojrzenie podczas Psalmu 109, ale on zupełnie nie zwrócił na nią uwagi. Odwinął tylko metodycznie różowy cukierek, przyjrzał mu się spokojnym wzrokiem krowy przeżuwejacej świeżą trawę i wsunął go do ust.

Pani Holden była mocno zirytowana faktem, że ten mały Newsome i jego cukierki tak skutecznie odwracają jej uwagę. Chciała spokojnie zastanowić się nad Lottie i tym, co się z nią stanie po ślubie Celii. A był to spory problem: Lottie musi wiedzieć, że nie może ciągle u nich mieszkać, że w końcu będzie musiała postanowić, co zrobić ze swoim życiem. Zaproponowała jej ukończenie szkolenia dla sekretarek, ale Lottie uparcie twierdziła, że nie zamierza wracać do Londynu. Kiedyś rozmawiała z nią także o karierze nauczycielki - przecież świetnie radziła sobie z dziećmi - lecz dziewczyna spoglądała na nią z takim oburzeniem, jakby chciała ją wysłać na ulicę, by tam zarabiała na życie. Idealnym wyjściem byłoby wydanie jej za męża za Joego: według Celii Joe był dla niej niezwykle miły, ale Lottie miewała

tak zmienne nastroje, że ich ostatnia kłótnia wcale jej nie zdziwiła.

Henry też nie pomagał pani Holden w rozwiązaniu tego dylematu. Kiedy kilka razy zwierzyła mu się ze swoich obaw, wyraźnie się zirytował. Oświadczył, że Lottie ma dość zmartwień, że nie stanowi dla nich żadnego problemu i sama znajdzie sobie odpowiednią pracę, kiedy poczuje, że jest na to gotowa. Pani Holden nie wiedziała, czym niby Lottie ma się tak martwić - przez ostatnie dziesięć lat nie musiała się niepokoić ani o jedzenie, ani o ubranie - ale nie chciała kłócić się z Henrym (zwłaszcza w tej chwili), więc postanowiła dać spokój.

„Oczywiście zostanie z nami tak długo, jak tylko będzie chciała - powiedziała do Deirdre Colquhoun. - Kochamy ją, jakby była naszym dzieckiem”. Kiedy patrzyła, jak leży w łóżku chora i bezbronna, szczerze w to wierzyła. O wiele łatwiej było kochać Lottie, gdy kolce zamieniały się w pot i łzy. Ale jakaś głęboko ukryta część pani Holden powtarzała, że nie jest to cała prawda.

Zobaczywszy koszyczek na ofiarę, szturchnęła Henry'ego. Z westchnieniem sięgnął do kieszeni, wyjął banknot nieokreślonej wartości i wrzucił do koszyka. Susan Holden, trzymając z dumą przed sobą nową torebkę, wzięła koszyczek od męża i podała go dalej, zadowolona, że na oczach wszystkich zrobili to, co należy.

- Joe? Hej, Joe! - Chwyliła go za ramię, gdy wychodził z kościoła. Niebo już pojaśniało, silny wiatr rozpedził ciemne chmury i przegonił je aż na horyzont. Chodniki nadal były wilgotne od deszczu i Celia zakłęła cicho pod nosem, gdy weszła w kałużę i brudna woda obryzgała jej łydkę.

Joe odwrócił się zdumiony charakterem tego powitania. Miał na sobie jasnoniebieską koszulę i kamizelkę, a jego włosy, zwykle poplamione olejem silnikowym, były teraz elegancko zaczesane do tyłu.

- Witaj, Celio.

- Widziałeś Lottie?

- Wiesz, że nie.
- Niezbyt dobrze się czuje. - Ruszyła razem z nim, czując na sobie spojrzenie matki, stojącej przy wejściu na dziedziniec. „Miło byłoby znów ich połączyć - powiedziała kiedyś pani Holden. - Po wyjeździe Celi Lottie będzie bardzo samotna”.
- Naprawdę jest chora. Ma gorączkę i bredzi. Widziała, jak ze ścian wychodzą najróżniejsze potwory. f
- To go nareszcie zatrzymało. t
- Co jej jest? -;
- Tato powiedział, że jest poważnie przeziębiona. **Bardzo** poważnie. Mogła nawet umrzeć.
- Joe pobladł nagle. Zatrzymał się i spojrzał na Celię.
- Umrzeć?
- Teraz czuje się już lepiej, ale było bardzo źle. Tato okropnie się o nią martwił. To takie smutne... - Celia zawiesiła głos.
- Co jest smutne? - spytał po chwili Joe.
- Ta kłótnia. Z tobą. I te jej wołania... - Urwała gwałtownie, jakby powiedziała za dużo.
- Joe zmarszczył brwi.
- Jakie wołania?
- Och, nieważne. Zapomnij, że coś mówiłam.
- Daj spokój, Celio. Co chciałaś powiedzieć?
- Nie mogę, Joe. To nie byłoby w porządku.
- Dlaczego, skoro oboje jesteście jej przyjaciółmi?
- Celia zastanowiła się przez chwilę, przekrzywiając głowę na bok.
- No dobrze. Ale nie wolno ci się zdradzić. Wołała ciebie. Kiedy było najgorzej. Wycierałam jej właśnie czoło, kiedy szepnęła: „Joe... och, Joe...”, a ja nie mogłam jej pocieszyć. Bo przecież się pokłóciliście.
- Joe spojrzał na nią podejrzliwie.
- Wołała mnie?
- Bez końca. No, przynajmniej **bardzo często**. **Kiedy była** naprawdę chora.

Zapadło milczenie.

- Nie... okłamywałabyś mnie chyba?

Oczy Celi błysnęły gniewnie. Urażona spłótła ręce na piersi.

- Miałabym kłamać? Przecież to moja siostra. Albo ktoś tak bliski jak siostra. Joe Bernardzie, to niegodziwe. Nie chcę tego słuchać. Mówię ci, że biedna Lottie wypłakiwała sobie za tobą oczy, a ty zarzucasz mi kłamstwo. Żałuję, że w ogóle ci o tym powiedziałam. - Odwróciła się na szpilce i zaczęła szybko odchodzić.

Teraz Joe chwycił ją za ramię.

- Celio, przepraszam. Zatrzymaj się. - Nie mógł złapać tchu. - Jakoś trudno mi w to wszystko uwierzyć... że Lottie mnie wołała i tak dalej... ale jeśli jest naprawdę chora, to straszne. Przykro mi, że mnie tam nie było. - Wyglądał na szczerze przygnębionego.

- Nic jej nie powiedziałam. - Celia spojrzała na niego poważnie.

- O czym?

- Że umawiałeś się z Virginią.

Zarumienił się. Rumieniec wędrował od szyi w górę, jak-
by Joe był różową gąbką chłonącą wodę.

- Nie spodziewałeś się chyba, że uda ci się to na długo zachować w tajemnicy, prawda? Przecież ona u nas pracuje.

Joe spuścił wzrok i kopnął krawężnik.

- My wcale ze sobą nie chodzimy. Byliśmy tylko parę razy na tańcach i tyle. To... to nie jest nic poważnego.

Celia milczała.

- To nie jest tak jak z Lottie. Gdybym tylko wiedział, że mam u niej jakieś szanse... - Urwał, przygryzł wargę i odwrócił wzrok.

Celia położyła mu dłoń na ramieniu przyjacielskim gestem.

- No cóż, Joe, znam ją dłużej niż wszyscy i muszę przyznać, że zabawna z niej osóbką. Czasami sama nie wie, czego chce. Ale wiem, że kiedy mówiła prosto z serca, kiedy stała na progu śmierci, wołała ciebie. Naprawdę. Teraz od ciebie zależy, co zrobisz.

Joe najwyraźniej głęboko się zastanawiał. Z wysiłku zaczął szybciej oddychać.

- Myślisz, że powinienem ją odwiedzić? - W jego oczach błysnął wyraz bolesnej nadziei.

- Powinieneś? Będzie zachwycona.

- Kiedy mam przyjść?

Celia spojrzała na matkę, która stukała palcem w zegarek.

- Posłuchaj, nie ma czego odkładać. Pobiegnę i powiem mamie, że spóźnię się trochę na lunch, a potem odprowadzę cię do domu. Mógłbyś oczywiście pójść sam - zaśmiała się - ale Lottie nie byłaby zachwycona, gdybym pozwoliła ci stać ją w koszuli nocnej.

Drobnym kroczkiem ruszyła do matki.

Lottie nie czuła ręki, tak jej ścierpła. Ale co tam. Woląaby, żeby jej odpadła, niż żeby miała go od siebie odsunąć, poruszyć piękną twarz o brzoskwińowej cerze. Spojrzała na jego oczy zamknięte we śnie, na cieniutką warstewkę potu wysychającą na skórze i pomyślała, że jeszcze nigdy nie czuła się tak bardzo spokojna jak w tej chwili. Opadło z niej wszelkie napięcie, opuścił niepokój: czuła w sobie miękkość i słodycz.

Guy poruszył się we śnie, a ona przekrzywiła głowę, by pocałować go w czoło. Odpowiedział cichym pomrukiem, a serce Lottie ścisnęło się wdzięcznością. Dziękuję, szepnęła w duchu do swojego boga. Dziękuję, że mi to dałeś. Gdybym teraz umarła, nie czułabym nic poza wdzięcznością.

Choroba nie maciła już myśli, gorączka ustąpiła równie gwałtownie jak niespełnione pragnienie. A może to on mnie uleczył, pomyślała. Może umierałam z tęsknoty za nim. Zaśmiała się bezgłośnie. Zupełnie zgłupiałam przez tę miłość, skarciła się w duchu. Ale nie żałowała. Niczego nie żałowała.

Podniosła wzrok. Deszcz zalewał okno strumieniami wody, a szyby stukały na wietrze w miejscach, gdzie pani Holden zapomniiała wsunąć w ramy kawałki filcu. Tutaj na wy-

brzeżu prawdziwym panem jest pogoda. To ona dyktuje, jaki będzie dzień, jego nastrój i drzemiące w nim możliwości; roztaczała przed wczasowiczami obietnice, które potem bez serca łamała. Teraz Lottie patrzyła na nią z obojętnością. Jakie to ma znaczenie? Ziemia może się rozstać i wypłuć z siebie wulkaniczny płomień. Nawet tego nie zauważy, dopóki będzie czuła jego dotyk na swoim ciele, jego usta na swoich ustach, nieodwołalne zjednoczenie ich ciał. Kiedy pani Holden opowiadała im o tajemnicach małżeńskiego życia, nigdy o czymś takim nie wspominała.

Kocham cię, powtarzała mu bez słów. Przez całe życie będę kochać tylko ciebie. Patrząc na padający deszcz, poczuła pod powiekami łzy.

Guy poruszył się i otworzył oczy. Przez ułamek sekundy błysnęło w nich niedowierzenie, a potem, gdy wszystko sobie przypomniał, zalał je ciepły blask.

- Witaj.

- Witaj. - Spojrzał na nią uważniej. - Płaczesz?

Lottie pokręciła głową, uśmiechając się.

- Chodź. - Przyciągnął ją do siebie i obsypał jej szyć po całunkami. Poddała się temu cudownemu uczuciu i poczuła, jak drży jej serce. - Och, Lottie.

Uciszyła go, kładąc mu palec na ustach. Spojrzała prosto w oczy ukochanego, jakby mogła przeniknąć do jego wnętrza. Nie potrzebowali słów. Chciała wchłonąć go w siebie, poczuć pod skórą. Po chwili położył głowę w zagłębieniu jej ramienia. Leżeli w milczeniu, słuchając świszczącego wciąż jeszcze wiatru i oddalającej się burzy.

- Pada.

- Pada od wieków.

- Zasnąłem?

- To nic, jest jeszcze wcześniej.

Zawahał się.

- Przepraszam.

- Za co? - Przesunęła dłonią po jego twarzy.

- Jesteś chora. A ja rzuciłem się na ciebie.

Zachichotała cicho.

- To był niezły rzut.

- Ale wszystko dobrze, **prawda?...** Nie **zrobiłem ci** krzywdy...

Zamknęła oczy.

- Och, nie.

- Nadal jesteś chora? Jesteś taka chłodna.

- Czuję się świetnie. - Odwróciła się w jego stronę. - Naprawdę czuję się o wiele lepiej.

Uśmiechnął się.

- A więc tego potrzebowałaś. To nie miało **nic** wspólnego z przeziębieniem.

- Zastosowałaś cudowne lekarstwo.

- Czuję, że moja krew śpiewa. Myślisz, że powinniśmy powiedzieć doktorowi?

Lottie roześmiała się. Przypominało to trochę czkawkę, jakby śmiech czał się gdzieś tuż pod powierzchnią.

- Och, wydaje mi się, że doktor ma własną, szczególną odmianę tego lekarstwa.

Guy uniósł brew.

- Czyżby? Doktor Mąż Doskonały Holden?

Lottie skinęła głową.

- Naprawdę? - Guy wyjrzał przez okno. - No, no, no. Biedna pani H.

Na dźwięk jej nazwiska oboje umilkli. Lottie poruszyła ścierpniętą ręką, czując ukłucia niezliczonych igiełek w ko-niuszkach palców. Guy ułożył wygodnie głowę i leżeli oboje, wpatrując się w sufit.

- Co my teraz zrobimy, Lottie?

To pytanie pograżyło ją zupełnie. I tylko on znał na nie odpowiedź.

- Nie możemy się już cofnąć, prawda? - Szukał u niej potwierdzenia.

- Ja na pewno nie mogę.

Uniósł się na łokciu i potarł oczy.

- Nie... Ale się porobiło.

Lottie przygryzła wargę.

- Będę jej musiał powiedzieć, i to jak najszybciej.

Lottie wypuściła powietrze. Chciała to usłyszeć, pragnęła, by wyznał to sam, bez pomocy z jej strony. Potem jednak pomyślała o konsekwencjach jego słów i poczuła nagły ucisk w żołądku.

- To będzie straszne - wyszeptwała, drżąc na całym ciele. - Naprawdę straszne. - Usiadła. - Ja też będę musiała wyjechać.

- Co takiego?

- Przecież nie mogę tutaj zostać. Nie sędzę, żeby Celia miała ochotę mnie oglądać.

- Raczej nie. Dokąd wyjedziesz?

Spojrzała na niego.

- Nie wiem. Nie myślałam o tym.

- Pojedziesz ze mną. Wrócimy do moich rodziców.

- Ale oni mnie znienawidzą.

- Nie. Będą się musieli przyzwyczaić do nowej sytuacji, ale potem cię pokochają.

- Nawet nie wiem, gdzie mieszkają. Nie wiem, gdzie ty mieszkasz. W ogóle niewiele wiem.

- Wiemy wystarczająco dużo. - Czułym gestem położył jej dłoń na policzku. - Najdroższa Lottie. Ja nie muszę wiedzieć o tobie już nic więcej. Wystarczy, że jesteś mi przeznaczona. Bo pasujemy do siebie jak nikt, prawda? Jak ręka-wiczka do dłoni.

Poczuła, że do oczu napływają jej piekące łzy. Spuściła wzrok, bojąc się spojrzeć na niego z tak wielkim uczuciem, wypełniającym ją po brzegi.

- Dobrze się czujesz?

Skinęła głową.

- Chcesz chusteczkę?

- Chce mi się pić. Pani Holden zostawiła mi na dole dzbanek soku. Pójdę po niego. - Opuściła stopy na podłogę i sięgnęła po koszulę.

- Zostań. Ja pójdę. - Pozbierał rozrzucone na podłodze ubranie. Lottie obserwowała go, nie mogąc się nadziwić je-

go urodzie, mięśniom drgającym pod skórą. - Nie ruszaj się - rzucił i naciągając koszulę przez głowę, wyszedł.

Lottie leżała, wdychając jego słony zapach na wilgotnej koszuli, nasłuchując dźwięku otwieranej na dole lodówki, szczęk szklanek i kostek lodu. Ile razy można słuchać odgłosów ukochanego, poruszającego się po domu, zanim się do nich przywyknie? Zanim przestanie się wstrzymywać oddech, czuć drżenie serca?

Usłyszała na schodach jego kroki. Przy drzwiach zawahał się na chwilę, ustawiając się tak, by móc je otworzyć biodrem.

- Już jestem - powiedział, uśmiechając się. - Wyobrażałem sobie, jak robię to dla ciebie na Karaibach. Tam wyciskamy świeży sok prosto z...

Zamarli, słysząc szczęk klucza we frontowych drzwiach.

Spojrzeni na siebie przerażeni. Guy jednym szybkim ruchem włożył buty i wsunął skarpetki do kieszeni. Lottie, przerażona, otuliła się tylko szczelnie kołdrą.

- Halo? Lots?

Trzasnęły frontowe drzwi, na schodach rozległ się odgłos kroków więcej niż jednej osoby.

Guy, rumieniąc się, sięgnął po tacę.

- Jesteś ubrana? - spytała śpiewnie Celia.

- Celia? - wychrypiała Lottie.

- Przyproceedziłam ci goś... - Uśmiech zniknął z twarzy Celii, gdy otworzyła drzwi. Patrzyła na nich zdumiona. - Co ty tutaj robisz?

O Boże, za nią stał Joe. Widziała zarys jego opuszczonej głowy.

Guy podsunał Celii tacę.

- Przyniosłem Lottie coś do picia. Skoro już tu jesteś, to możesz się tym zająć. Nigdy nie sprawdzałem się dobrze w roli pielęgniarki.

Celia spojrzała na tacę. Na dwie szklanki.

- Przyproceedziłam Joego - powiedziała, nadal mocno zbity z tropu. - Przyszedł odwiedzić Lottie. - Stojący za nią Joe lekko zakaszłał, zasłaniając usta dłonią.

- Jak... miło - odparła Lottie. - Ale ja nie... muszę się trochę odświeżyć.

- Lepiej już pójde - zdecydował Joe.

- Nie musisz wcale iść! - zawołała Lottie. - Daj mi tylko chwilę.

- Nie. Naprawdę. Nie chcę sprawiać kłopotu. Przyjde, kiedy już wstaniesz z łóżka.

- Eee... będzie mi bardzo miło, Joe.

Celia postawiła ostrożnie tacę na stoliku przy łóżku. Potem spojrzała na Guy a. Bezwiednie przygładziła włosy.

- Jesteś cały zarumieniony.

Guy, udając zaskoczenie, podniósł dłoń do policzka. Chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie i tylko w milczeniu pokręcił głową.

Na długą chwilę zapanowała niezręczna cisza, w czasie której Lottie podciągnęła kołdrę pod samą brodę.

- Chyba będzie lepiej, jeśli zostawimy cię teraz w spokoju - uznała Celia, otwierając drzwi, by Guy mógł wyjść. Nie patrzyła na Lottie. - Na pewno nie chcesz zostać, Joe?

Lottie usłyszała stłumioną odpowiedź.

Guy przeszedł obok niej. Zauważyła, że na plecach jego koszula nie była wsunięta w spodnie.

- Na razie, Lottie. Mam nadzieję, że niebawem poczujesz się lepiej. - Udawana radość w głosie zazgrzytała ostro.

- Dziękuję. I dziękuję za sok.

Celia, która przytrzymała drzwi, odwróciła się nagle.

- Gdzie są owoce?

- Co?

- Owoce. Miałeś je odebrać z dworca. Nie widziałam ich w holu.

Guy zawahał się, a potem skinął głową.

- Nie przyjechały. Czekałem ponad pół godziny, ale nie było ich w pociągu. Pewnie przyjadą tym o drugiej trzydzieści.

- Słyszałem, że macie świeże kokosy - powiedział Joe, stojąc u szczytu schodów. - Dziwnie wyglądają. Jak ludzkie głowy. Tylko bez oczu...

Celia przez chwilę stała nieruchomo. Potem minęła Guya i zaczęła schodzić po schodach.

Blisko czterdzieści osiem godzin później Lottie, trzęsąc się z zimna, stała w domku numer osiemdziesiąt siedem, który, jeśli wierzyć przymocowanej nad drzwiami tabliczce, nosił nazwę Saranda. Otuliła się szczelnie płaszczem i trzymała mocno smycz, na której końcu szarpał się niespokojnie Pan Beans. Było już prawie ciemno i w pozbawionym prądu domku robiło się coraz mniej przytulnie.

Czekała już prawie piętnaście minut. Jeszcze tylko kilka i będzie musiała wracać. Pani Holden i tak nie była zachwycona, że wychodzi z domu. Dwa razy przyłożyła jej dłoń do czoła, zanim w końcu niechętnie pozwoliła pójść na spacer z psem. Lottie była przekonana, że gdyby nie chciała zostać na chwilę sama z doktorem, nigdy nie wyraziłaby zgody na tę eskapadę.

Usłyszała pisk opon na ścieżce. Drzwi uchyliły się lekko i do środka zajrzał Guy. Zsiadł szybko z roweru, który opadł z trzaskiem na drzwi. Objęli się, a ich wargi spotkały się na chwilę.

- Nie mam dużo czasu. Celia dosłownie się do mnie przykleiła. Udało mi się wyrwać tylko dlatego, że bierze kąpiel.

- Czy coś podejrzewa?

- Nie sądzę. Nigdy nie wspomniała ani słowem o... no wiesz. - Pochylił się i poklepał Pana Beansa, który obwąchał jego stopy. - Boże, to jest straszne. Nienawidzę kłamać. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek głowy. Objęła go mocno, wdychając jego zapach i próbując na zawsze zapamiętać uścisk ramion. - Właściwie nie musimy im niczego wyjaśniać. Możemy po prostu wyjechać. Zostawić list — mówił do jej włosów, jakby i on pragnął sycić się jej zapachem i zapamiętać go na zawsze.

- Nie. Nie mogę tego zrobić. Oni byli dla mnie bardzo do brzy. Muszę im przynajmniej wytłumaczyć.

- Nie jestem pewien, czy to się da wytłumaczyć.

Lottie cofnęła się i spojrzała na niego.

- Oni rozumieją, prawda? Będą musieli. Że nie chcieliśmy ich skrzywdzić? Że to nie nasza wina? Bo nie mogliśmy nic na to poradzić, prawda? - Zaczęła płakać.

- To niczyja wina. Czasami po prostu tak musi być. Nie można z tym walczyć.

- Nie potrafię znieść myśli, że zbudujemy swoje szczęście na ich krzywdzie. Biedna Celia. - Mogła sobie pozwolić na taką wielkoduszność teraz, gdy należał już do niej. Jednak współczucie, jakie odczuwała w stosunku do Celi, zaskoczyło nawet ją samą. Wytarła nos w rękaw.

- Jakoś to przeżyje. Znajdzie sobie kogoś innego. - Lottie poczuła lekki ból na dźwięk obojętności w jego głosie. - Czasami myślałem nawet, że ona nie jest zakochana we mnie, podobał się jej sam fakt bycia zakochaną.

Lottie nie spuszczała z niego wzroku.

- Czasem odnosiłem wrażenie, że to niekoniecznie musiałem być ja, rozumiesz?

Lottie pomyślała o George'u Bernie. Skarciła się jednak szybko w duchu za tę nielojalność.

- Jestem pewna, że ona cię kocha - powiedziała cicho.

- Nie rozmawiajmy teraz o tym. Lots, musimy wszystko zaplanować. Musimy się zastanowić, kiedy im o wszystkim powiemy. Nie mogę stale wszystkich okłamywać, źle się z tym czuję.

- Daj mi czas do weekendu. Zobaczę, czy Adeline mnie przyjmie. Może teraz, kiedy Frances wyjechała, będą potrzebowali kogoś do pomocy w domu. Nie miałabym nic przeciwko temu.

- Naprawdę? Nie trwałoby to zresztą długo. Ja muszę tylko wszystko ułożyć z moimi rodzicami.

Lottie wtuliła twarz w jego pierś.

- Tak bardzo chciałabym mieć to wszystko za sobą. Żeby już było trzy miesiące później. - Zamknęła oczy. - Czuję się trochę tak, jakbym czekała na wykonanie wyroku śmierci.

Guy wyrzął przez drzwi.

- Lepiej już wracajmy. Ja pojedę pierwszy.

Pochylił się i pocałował ją w usta. Nie zamknęła oczu, pragnąc zapamiętać każdą chwilę. Za nim, daleko w porcie, zamigotały światła statku.

- Bądź dzielna, kochana. To już nie potrwa długo.

Pogładził ją po włosach, a po chwili pedałował zawzięcie ciemną ścieżką w stronę domu.

Celia wprowadziła się z powrotem do ich wspólnego pokoju. Lottie jęknęła w duchu, gdy zobaczyła na łóżku koszulę nocną. Kiedyś kłamstwa nie sprawiały jej żadnych trudności, teraz nie mogąc ukryć emocji - zupełnie jakby ktoś wyrócił ją na drugą stronę - odkryła, że nie radzi sobie z tym tak dobrze, gdyż rumieni się niemal przy każdym wypowiedzianym słowie.

Kiedy tylko mogła, trzymała się od niej z daleka. Celia ułatwiała jej zresztą to zadanie, gdyż stale była czymś zaabsorbowana. Jeśli nie wydawała pieniędzy ojca z niemal religijnym zapałem („Spójrz tylko na te buty! Muszę je mieć!”), przeglądała swoje rzeczy, odrzucając wszystko, co uznała za „zbyt dziewczęce” albo „nienadające się do Londynu”. Przy kolacji, czując się bezpieczniej w większym towarzystwie, Lottie znów mogła zamykać się w sobie. Jak dawniej koncentrowała się niemal wyłącznie na jedzeniu. Od czasu do czasu była wciągana do rozmowy przez doktora Holdena, który sprawiał wrażenie dziwnie roztargnionego i zamyślnego. Pani Holden za wszelką cenę próbowała rozruszać Guya, bombardując go pytaniami o rodziców i życie za granicą. Uśmiechała się przy tym kokieteryjnie i trzepotała rzęsami, jakby to ona była szczęśliwą narzeczoną. Lottie i Celia rozmawiały ze sobą dłużej tylko raz, poprzedniego wieczoru, kiedy Lottie podziwiała nową modną fryzurę Celii, po czym powiedziały, że też chciałyby wziąć długą kąpiel.

Kiedy wróciła zdyszana ze spaceru z psem, ku swemu przerażeniu odkryła, że Celia leży na jej łóżku owinięta w ręcznik, pochłonięta lekturą kolejnego ślubnego magazynu.

Lottie odniosła wrażenie, że sypialnia dziwnie się skurczyła.

- Cześć - powiedziała, zdejmując buty. - Właśnie... miałam wziąć kąpiel.

- Mama jest teraz w łazience - odparła Celia, przewracając kartkę. - Musisz poczekać. Będzie za mało ciepłej wody. - Paznokcie u długich, zgrabnych nóg miała pomalowane na różowo.

- Och. - Lottie usiadła na łóżku, zastanawiając się gorączkowo, gdzie może uciec.

Niegdyś spędzały całe godziny, leżąc obok siebie i rozmawiając o wszystkim. Teraz Lottie nie mogła znieść myśli, że zostanie z nią sama choćby na parę minut. Freddie i Sylvia byli już w łóżkach. Doktor na pewno nie miał ochoty na rozmowę. Mogłabym pójść i zadzwonić do Joego, pomyślała. Zapytam doktora, czy mogę skorzystać z telefonu.

Usłyszała za sobą szelest zamykanego magazynu. Celia odwróciła się w jej stronę.

- Lots, muszę z tobą porozmawiać.

Lottie zamknęła oczy. Boże, proszę, nie, pomyślała.

- Lots?

Odwróciła się i zmusiła do uśmiechu. Postawiła buty na podłodze przy łóżku.

- Tak?

Celia wpatrywała się w nią intensywnie. Lottie zauważyła, że jej oczy są niemal nienaturalnie niebieskie.

- To... to nie jest łatwe.

Zapanowała cisza, w czasie której Lottie wsunęła dłonie pod siedzenie. Zaczęły lekko drżeć. Proszę, nie pytaj mnie, błagała w duchu. Nie potrafię cię okłamać. Boże, proszę, nie pozwól jej mnie o to spytać.

- O co chodzi?

- Nie wiem, jak to powiedzieć... posłuchaj... To, co ci teraz powiem, musi pozostać między nami.

Lottie wstrzymała oddech. Przebiegło jej przez myśl, że zaraz zemdleje.

- Co się stało? - szepnęła.

Celia nie spuszczała z niej wzroku.

- Jestem w ciąży.

Rozdział ósmy

Butelka była schowana na nagłe wypadki. Jak choćby to popołudnie, gdy wyłowili z portu w okolicy Mer Point zaginioną pięcioletnią dziewczynkę. Lub kiedy musiał przekazać wiadomość, przed której wysłuchaniem lepiej było usiąść. Czasami szklaneczka whisky pomagała to lepiej znieść. Spoglądając jednak na butelkę piętnastoletniej whisky, doktor Holden wierzył, że w niektóre dni szklaneczce lub dwóm można przypisać właściwości czysto lecznicze. Nie tylko zresztą lecznicze, ale wręcz cudotwórcze. Bo jeśli się nad tym dłużej zastanowić, nie dręczył go wyłącznie niepokój związany z poprowadzeniem ukochanej córki do ołtarza. Poczucie niepokoju i osamotnienia budziło w nim to, co mu zostanie - pozbawiony miłości i sensu związek z nudną, wiecznie roztrzęsioną żoną. Życie pozbawione nawet tej odrobiny radości, którą wносиła z sobą Gillian. Teraz i ona wyjechała do Colchester. Była może zbyt szczerą i nigdy nie ukrywała, że nie jest dla niej niczym więcej jak tylko przystankiem na drodze do dalszego życia. Ale była zabawna, pozbawiona zahamowań i miała skórę jak alabaster na fre-skach: gładką, idealną, lecz ciepłą. Boże, jak ciepłą. Ale wyjechała. A zaraz wyjedzie Celia, jedyna piękna istota w jego życiu. Na co mógł jeszcze liczyć? Powolne staczanie się ku

starości, z niekończącymi się narzekaniami, z popołudniami spędzonymi od czasu do czasu w klubie golfowym w towarzystwie burmistrza Elliotta i jemu podobnych, którzy będą poklepywali go po plecach i radośnie zapewniali, że najlepsze lata ma już za sobą.

Henry Holden sięgnął po miarkę do lekarstw stojącą na półce za nim, po czym usiadł i ostrożnie nalał do niej whisky. Było dopiero kilka minut po dziesiątej rano i poczuł, jak alkohol pali mu przełyk i żołądek. Ale dzięki temu aktowi buntu poczuł się nieco lepiej.

Ona zauważyła, to jasne. Sięgnie, by poprawić mu krawat, lub wykona jakikolwiek inny władczy gest, a potem, czując zapach alkoholu, cofnie się o krok i spojrzy na niego z niesmakiem. Ale nie powie ani słowa. Przywołała tylko na twarz ten wyraz bóleści, którego nie mógł znieść, ten, który krył w sobie świadomość krzyża i niekończących się dni męczeństwa. A potem, niczego oczywiście nie mówiąc wprost, znajdzie jakiś subtelny sposób, by dać mu do zrozumienia, że ją rozczarował, że znów ją zawiódł.

Napełnił miarkę i wypił kolejną porcję. Tym razem było łatwiej - mógł już cieszyć się smakiem żółtobrazowego płynu.

Głowy domu, tak ich nazywano. Królowie zamków. Co za bzdura. Potrzeby, pragnienia i nieszczęścia Susan Holden panowały w ich małżeństwie tak niepodzielnie, jakby wypisała je czarnym atramentem, a potem wbiła mu je w skórę płonącym pejczem. Nic nigdy nie umykało jej uwadze, nic nie budziło w niej spontanicznej radości. Nic nie pozostało z tej pięknej, beztroskiej, poznanej przed laty córki prawnika - z talia, którą mógł bez trudu objąć dłońmi, i błyskiem w oku, na którego widok czuł radosny ucisk w żołądku. Nie, tę Susan pożarła powoli ta nieszczęsna matrona, ta niespokojna, rozedrgana baba opętana myślą o tym, co jak wygląda, a nie jakie jest.

Spójrz tylko na nas! - miał ochotę czasem zawołać. Spójrz na to, czym się staliśmy! Nie chcę pantofli! Nie obchodzi

mnie, że Virginia kupiła złą rybę! Chcę odzyskać moje dawne życie - życie, w którym mogliśmy zniknąć na całe dni, kiedy mogliśmy się kochać aż do świtu, rozmawiać, naprawdę rozmawiać, a nie paplać bez sensu o niczym. Raz czy dwa o mało co tego nie zrobił. Ale wiedział doskonale, że ona nic nie zrozumie: będzie tylko patrzeć na niego rozszerzonymi z przerażenia oczami, a potem zadrży, opanuje się i zaproponuje filiżankę herbaty. Albo herbatnika. Coś, co „poprawi mu humor”.

Innym razem sądził, że życie być może nigdy takie nie było. Prawdopodobnie tak jak pamięta się lata z dzieciństwa jako słoneczne i nigdy niemające końca, tak też wspomina się miłość, której nigdy nie było, nieskomplikowaną namiętność, nigdy tak naprawdę nieodczuwaną. I tak Henry Holden zamykał się w sobie jeszcze bardziej. Nie rozmyślał o tym, czego nigdy nie doznał. Jak mysz kręcąca się na swoim kółku parł tylko do przodu, nie rozglądając się na boki. Zazwyczaj mu się udawało.

Zazwyczaj.

Ale dziś pod koniec dnia odejdzie Celia, uroczo głupiotka, ze zmiennymi nastrojami i perlistym śmiechem. Boże, proszę Cię, nie pozwól, by stała się taka jak jej matka. Niech razem z Guyem unikną losu, jaki nam przypadł w udziale. Początkowo nie mógł zrozumieć, co ją tak gna, dlaczego dąży do ślubu z tą determinacją. Nie wierzył, kiedy przekonywała go, że październikowe śluby są w modzie. Potem patrzył jednak na jej panikę i irytację, kiedy Susan zaczęła nalegać, by ślub odbył się latem następnego roku, i zrozumiał - ona po prostu nie mogła się doczekać, żeby stąd wyjechać. Uciec od tego pełnego ograniczeń, przytłaczającego wszystkich domu. Któż mógł ją za to winić? W głębi ducha sam o tym marzył.

No i była jeszcze Lottie, której melancholia spowodowana zbliżającym się wyjazdem Celi sprawiła, że zrobiło mu się jej żal. Dziwna, nieprzenikniona, czujna Lottie, która od czasu do czasu rozgrzewała go swoim szczerym uśmiechem.

Zawsze miała dla niego specjalny uśmiech, nawet jeśli sama nie zdawała sobie z tego sprawy. Ufała mu, kochała, gdy była małą dziewczynką, bardziej niż kogokolwiek innego. Chodziła za nim jak cień, wsuwając w jego dłoń swoją małą rączkę. Wiedział, że istnieje między nimi jakaś więź. Domyślała się, co czuje do Susan. Widział to po sposobie, w jaki na nich patrzyła. Ona też wiedziała, że on widzi.

Ale Lottie nie zostanie z nimi długo. Susan już czyniła gorączkowe uwagi na temat planów na przyszłość i tego, co będzie dla niej najlepsze. A potem, gdy odejdzie Lottie i dwójka młodszych dzieci, zostaną tylko we dwoje. Zamknęci w swoim nieszczęściu, każde z osobna.

Muszę się wziąć w garść, powiedział sobie w duchu. Nie wolno się nad tym wszystkim zbyt długo zastanawiać. Zatrzasnął szufladę.

Siedział przez chwilę, wyglądając przez okno gabinetu. Nie patrzył na schemat układu krążenia i ulotki medyczne, które zostawił tu poprzedniego ranka przedstawiciel jakiejś firmy. Na zdjęcie szanowanego lekarza z Merham z piękną żoną i dziećmi. A potem, nie zdając sobie do końca sprawy z tego, co robi, znów otworzył szufladę.

Zamaszystym ruchem Joe przetarł po raz ostatni maskę granatowego deimlera kawałkiem irchy i cofnął się, nie mogąc powstrzymać uśmiechu satysfakcji rozjaśniającego mu twarz.

- Można się przejrzeć - oświadczył z dumą.

Lottie siedziała w milczeniu z tyłu, czekając, aż skończy. Bez powodzenia próbowała się uśmiechnąć. Patrzyła na jasne skórzane siedzenia, wiedząc doskonale, kto niedługo na nich zasiądzie. Tylko nie myśl, powtarzała sobie w duchu. Nie myśl.

- Na pewno martwiła się, że nie zdążę na czas, prawda? Znaczą się pani Holden.

Lottie ochoczo zgodziła się tu przyjść, wdzięczna, że może się wymknąć z ogarniętego histerią domu Holdenów.

- Wiesz, jaka ona jest.

Joe wytarł ręce w czystą szmatę.

- Założę się, że Celia jest bardzo podekscytowana wyjazdem.

Lottie skinęła głową, starając się zachować obojętny wyraz twarzy.

- Wyjeżdżają zaraz po ślubie, prawda? Dokąd, do Londynu?

- Na początku tak.

- A potem na pewno do jakiegoś egzotycznego kraju. Gdzieś, gdzie jest bardzo ciepło. Celii na pewno się spodoba. Nie mogę powiedzieć, żebym jej nie zazdrościł. A ty?

Teraz potrafiła przebrnąć przez niemal każdą rozmowę. Po miesiącu praktyki miała twarz zawodowego pokerzysty - nic nie zdradzała, niczego nie oznaczała. Pomyślała o masce, jaką przywdziała Adeline - nic niemówiące łagodne oblicze. Jeszcze tylko kilka godzin. Kilka godzin.

- Co takiego?

Musiała to chyba powiedzieć na głos. Czasami jej się zdarzało.

- Och, nic.

- Jak sobie radzi Freddie ze strojem pazia? Czy pani H. udało się zmusić dzieciaka, żeby go włożył? W sobotę spotkałem małego na ulicy; powiedział, że utnie sobie nogi, żeby nie mogli włożyć mu tych okropnych spodni.

- Włoży je.

- O, cholera. Przepraszam, Lottie.

- Doktor Holden obiecał mu dwa szylingi, jeśli zostanie w nich aż do końca przyjęcia.

- A Sylvia?

- Uważa się niemal za członka rodziny królewskiej. Czekaj, aż zjawi się królowa Elżbieta i uznają za swoją zaginioną siostrę.

- Ona już się nie zmieni.

Zmieni się, pomyślała Lottie. Będzie szczęśliwa, wesoła i beztroska, aż nagle zjawi się jakiś mężczyzna i rozbije jej życie na drobniutkie kawałeczki. Jak ojciec Lottie rozbił ży-

cie jej matki. Jak doktor Holden życie swojej żony. Nie ma co marzyć o długotrwałym szczęściu.

Pomyślała o Adeline, którą widziała wczoraj po raz pierwszy od czasu wizyty Bancroftów. Była przygaszona, pozbawiona dawnej energii, snuła się po dużych, jasnych pokojach, jakby nic jej już nie interesowało, jakby nie widziała już odważnych płócien, dziwnych rzeźb, stosów książek. Julian pojechał ze Stephenem do Wenecji. George dostał grant w Oksfordzie, gdzie miał pisać rozprawę z dziedziny ekonomii. Lottie nie chciała pytać o Frances. Niebawem Adeline też wyjedzie. Powtarzała raz po raz, że nie może znieść Anglii zimą, jakby chciała przekonać o tym samą siebie. Wybierała się na południe Francji, do willi przyjaciół w Prowansji. Będzie tam siedziała, popijała tanie wino i obserwowała świat. „To będą cudowne wakacje”, zapewniała. Ale sposób, w jaki wypowiadała te słowa, sprawiał, że nie brzmiały ani cudownie, ani wakacyjnie.

- Musisz do mnie przyjechać - powiedziała do Lottie, która starała się wyglądać tak, jakby niewiele ją to wszystko obchodziło. - Będę tam sama. Koniecznie musisz mnie odwiedzić.

Wyszły powoli na taras. Kiedy podeszły do fresku, delikatnie ujęła dłoń Lottie. Tym razem dziewczyna nie cofnęła jej gwałtownie.

Dzwonienie w uszach ogłuszyło ją tak mocno, że prawie nie dosłyszała następnych słów Adeline.

- Wszystko będzie dobrze, moja kochana. Musisz tylko mieć w sobie wiarę.

- Nie wierzę w Boga. - Nie chciała, by zabrzmiało to tak gorzko.

- Nie mam na myśli Boga. Przypuszczam, że czasami przeznaczenie szykuje dla nas przyszłość, której nie potrafimy sobie wyobrazić. A żeby pomóc losowi, musimy gorąco wierzyć, że kiedyś coś dobrego w naszym życiu się wydarzy.

Lottie, dotychczas opanowana, przełknęła głośno ślinę i odwróciła wzrok, by uniknąć spojrzenia Adeline. Ale to

sprawiło, że popatrzyła na fresk i dwie namalowane tam postacie. Jej twarz pociemniała od frustracji i gniewu.

- Nie wierzę w przeznaczenie. W nic już nie wierzę. Jak przeznaczenie może o nas dbać, kiedy tak umyślnie wszystko wykrzywia? To bzdury, Adeline. Wymyślne bzdury. Ludzie i wydarzenia po prostu wpadają na siebie przypadkiem, a potem wszystko gna do przodu i pozostawia nas z całym tym bałaganem.

Adeline stała przez chwilę nieruchomo. Potem przechyliła lekko głowę i delikatnie pogładziła ją po włosach. Zawahała się, jakby zastanawiając się, czy powinna coś powiedzieć.

- Jeśli on jest ci przeznaczony, wróci do ciebie.

Lottie cofnęła się i wzruszyła ramionami.

- Mówisz jak pani Holden, która wierzy w skórki od jabłek.

- Musisz być wierna swoim uczuciom.

- A jeśli moje uczucia są w tym wszystkim najmniej ważne?

Adeline, zdezorientowana, zmarszczyła brwi.

- Twoje uczucia nigdy nie są najmniej ważne, Lottie.

- Och, muszę już iść. Muszę iść. - Walcząc ze łzami, chwyciła płaszcz i nie żegnając się ze stojącą za nią kobietą, wyszła przed dom na podjazd.

Następnego dnia, kiedy gorąco żałowała swojego wybuchu, dostała list. Adeline nie wspominała w nim ani słowem o zachowaniu Lottie, ale podawała swój adres we Francji. Prosiła, by Lottie pozostała z nią w kontakcie, i stwierdziła, że jedynym prawdziwym grzechem jest udawanie kogoś, kim się nie jest. „Można znaleźć dużą pociechę w poczuciu, że byłaś wierna sobie. Wierz mi, Lottie”. List podpisała, o dziwo, „przyjaciół”.

Obserwując, jak Joe przybiera maskę deimlera białymi wstążkami, Lottie dotknęła schowanego w kieszeni listu. Nie wiedziała, dlaczego nadal nosi go przy sobie. Może świadomość, że ma sojuszniczkę, była dla niej źródłem dodatkowej pociechy. Po wyjeździe Adeline nie pozostał już nikt, z kim

mogłaby porozmawiać. Słuchała Joego jak natrętnej muchy bzyczącej w pokoju - z obojętnością, a czasem z lekką irytacją. Celia była dla niej dość miła, ale obie unikały kontaktu.

No i był jeszcze Guy, którego zamyślona, nieszczęśliwa twarz nie dawała jej spokoju, a dłonie, skóra, oddech nawiedzały ją w snach. Nie mogła znieść jego obecności, nie rozmawiała z nim od czasu spotkania w domku na plaży przed kilkoma tygodniami. Nie dlatego, że była na niego zła, choć czuła gniew, lecz dlatego, że gdyby się do niej odezwał, zaczęła ją błagać, osłabiłoby to moc jej postanowienia. A gdyby nadal chciał z nią być, nawet po tym wszystkim, wiedziała, że nie potrafiłaby kochać go tak jak dawniej. Jakże mogłaby kochać mężczyznę gotowego porzucić Celię w takim stanie?

Kiedy Celia wyznała jej swój sekret, Guy jeszcze nie wiedział, ale teraz na pewno już wie. Przestał za nią chodzić, przestał zostawiać liściki w znanych jej miejscach, nabazgrał niepospiesznie rozpaczliwe „POROZMAWIAJ ZE MNĄ!”. Najlepiej było trzymać się pani Holden, by mieć pewność, że nigdy nie zostaną sami. Początkowo niczego nie rozumiał, ale teraz wszystko się wyjaśniło. Celia zamierzała powiedzieć mu całą prawdę; nawet nie patrzył na Lottie, tylko odwracał lekko głowę z twarzą pozbawioną wyrazu, by żadne nie musiało oglądać nieszczęścia drugiego.

Próbowała nie myśleć o tym, co mogłoby być. Bo choć przyniosłoby to wszystkim dużo bólu, była gotowa postąpić okrutnie wobec Celi, kiedy ta nadal miała szansę znaleźć sobie kogoś innego. Ale jak mogła zostawić ją teraz w takim położeniu? Jak mogła ściągnąć wstyd na rodzinę, która ją przed wstydem uchroniła? Kiedy indziej wpadała we wściekłość - nie mogła uwierzyć, że Guy i Celia tak bardzo zbliżyli się do siebie. Przecież oni byli jedyni na świecie, jedyni, którym dane było poznać ten wielki sekret. Pasowali do siebie jak dłoń do rękawiczki - sam to powiedział. Teraz czuła się zdradzona.

- Dlaczego? - szepnął, kiedy na chwilę zostali sami w kuchni. - Co ja takiego zrobiłem?

- Nie ja powinnam ci to tłumaczyć - odparła, odsuwając

się od niego gwałtownie, kuląc się w duchu na widok wściekłości i rozpaczy malujących się na jego twarzy. Ale musiała być zimna. Tylko w ten sposób mogła przez to wszystko przejść. Tylko w ten sposób.

- Podwożę cię, dobrze, Lottie? - Joe zaglądał przez okno do środka, opierając jedną rękę na dachu. Był radosny i ożywiony, na swoim terenie czuł się swobodnie. - Ale będziesz musiała wysiąść wcześniej. Pani Holden na pewno życzyła-by sobie, żeby samochód podjechał pusty.

Lottie zmusiła się do uśmiechu, po czym zamknęła oczy, słuchając trzasku zamykanych drzwi i szumu dobrze nasmarowanego silnika, gdy Joe przekręcił kluczyk w stacyjce.

Jeszcze tylko kilka godzin, powtarzała sobie w duchu, ścis-kając mocniej list.

Kilka godzin.

Wiadomo nie od dziś, że wszystkie panny młode wyglądają pięknie, lecz Susan Holden była przekonana, że jej Celia jest najpiękniejszą panną młodą, jaką Merham miało okazję oglądać od bardzo dawna. Z długim welonem i w idealnie dopasowanej atłasowej sukni usunęła w cień Miriam Ansty i Lucindę Perry, które wyszły za mąż przed rokiem. Przyznała to nawet pani Chilton, która zachwycała się wówczas dość odważnym fioletowo-kremowym strojem podróznym Lucindy Perry. „Widok twojej Celi naprawdę cieszy oko - powiedziała po ceremonii, przyciskając mocno do bujnego łona małą torebkę. Kapelusz z piórami przechylił się niebezpiecznie na jej głowie. - Wygląda przepięknie”.

Bo w istocie tworzyli uroczą parę: Celia z lśnącymi od łez oczami ścisnęła ramię swego przystojnego młodego męża, który wyglądał poważnie i był trochę zdenerwowany jak oni wszyscy w takim dniu. Nawet jeśli nie uśmiechał się tak często, jakby życzyła sobie tego pani Holden, nie była tym wcale zaskoczona: na ich ślubie Henry uśmiechnął się dopiero wtedy, gdy znaleźli się sami w sypialni na górze, a i to dopiero po kilku kieliszkach szampana.

Freddiemu i Sylvii udało się przebrnąć przez całą ceremonię bez kłótni. No, doszło co prawda do lekkiego kopnięcia podczas hymnu *Nieśmiertelny, niewidzialny*, lecz dzięki rozłożystej sukience SyWii na szczęście niewiele było widać.

Pani Holden pozwoliła sobie na pierwszy łyk sherry, gdy przycupnęła ostrożnie na złożonym krześle przy głównym stole i spojrzała na pozostałe; cieszyła ją myśl, że zasiedli przy nich najznakomitsi mieszkańcy miasteczka. Zważywszy, że mieli niewiele czasu na przygotowanie ślubu i przyjęcia, wszystko przebiegało nadspodziewanie dobrze.

- Wszystko w porządku, Susan? - Guy Bancroft senior pochylił się konspiracyjnie. Jego twarz rozjaśniał szeroki uśmiech. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że matka panny młodej wygląda dziś wyjątkowo pięknie.

Pani Holden zachnęła się elegancko. To wszystko dzięki tej szmince Jesienne Jagody. Już od jakiegoś czasu przynosi jej szczęście.

- Ty i pani Bancroft też wyglądacie niezwykle wytwornie.

W odniesieniu do Dee Dee była to bez wątpienia prawda - miała na sobie kostium z jedwabiu w kolorze turkusu i jedwabne szpilki dokładnie w tym samym odcieniu. Pani Holden przez całe popołudnie zbierała się na odwagę, by spytać ją, czy zamówiła je specjalnie na tę okazję.

- Ach tak... Dee Dee zawsze prezentuje się świetnie, kiedy jest taka odstawiona.

- Jaka?

- Ale równie pięknie wygląda w szortach i z bosymi stopami. Plenerowa dziewczyna z tej mojej żony, nie ma co. Mój syn ma to po niej. Nie, powinienem raczej powiedzieć „twój zięć”... - Roześmiał się. - Trzeba się będzie powoli do tego wszystkiego przyzwyczaić, prawda?

- Och, my już traktujemy was jako część rodziny.

Gdyby tylko Henry był trochę bardziej pogodny. Wpatrywał się pustym wzrokiem w morze przyjaciół, skubiąc jedzenie i niekiedy szepcząc coś do córki. I o wiele częściej niż tylko od czasu do czasu napełniał swój kieliszek. Błagam,

niech tylko się nie upije, modliła się w duchu. Nie w obecności tych wszystkich ludzi. Nie dzisiaj.

- Muszę pogratulować panu Bancroftowi wspaniałych deserów. - Deirdre Colquhoun, zdyszana i olśniewająca w sukni z różowego adamaszku w stylu empire (Freddie na cały głos obwieścił, że zna starą kanapę, z której zdarła ten materiał. Susan Holden rozejrzała się niespokojnie dookoła, czy nikt przypadkiem nie usłyszał jego komentarza), wskazała gestem pieczołowicie ułożone piramidy egzotycznych owoców i kryształowe misy pełne sałatki owocowej. Próżno tam było szukać jabłek, czereśni czy ananasa z puszki. W misach pyszniły się pokrojone na plastry kumkwaty, papaje i mango, kawałki karamboli i matowe śliwki liczi; o barwach i smakach nieznanych zupełnie angielskim gościom (którzy rzadko kiedy decydowali się ich skosztować, przedkładając nad nie to, co od dawna znali. Śliwki. Pomarańcze. „Prawdziwe owoce”, mruknęła ukradkiem Sarah Chilton do pani Ansty).

- Co za cudowna dekoracja - szepnęła z podziwem pani Colquhoun.

- Wszystkie świeże, przywiezione tu specjalnie samolotem wczoraj rano. - Pan Bancroft oparł się wygodnie o krzesło i zamasztył ruchem zapalił papierosa. - Mógłbym dodać, że obierały je i kroїły dziewice z Hondurasu.

Pani Colquhoun się zarumieniła.

- Co ty wygadujesz, Guykochanie? Mam nadzieję, że zachowujesz się jak grzeczny chłopiec. - Dee Dee rozsiadła się wygodnie, by go zobaczyć, obnażając przy tym sporą część opalonego uda.

- Nigdy mi na nic nie pozwala - powiedział pan Bancroft, lecz uśmiechnął się przy tym uroczo.

- Bo ty sam pozwalasz sobie stanowczo na zbyt wiele.

- Kiedy tak pięknie wyglądasz, kochanie, czy możesz mi się dziwić? - Posłał jej dłonią głośnego całusa.

- No cóż... dekoracja jest naprawdę piękna. - Pani Colquhoun przygładziła włosy ręką, odwróciła się niepewnie i ruszyła w stronę swojego stolika.

Pani Holden zerknęła na męża. To z pewnością jego trzeci koniak. Patrzyła, jak kręci w dłoni kieliszkiem i połyka trunek z posępną determinacją. Dlaczego właśnie dzisiaj musiał wpaść w ten swój nastrój?

Lottie, usadzona niczym sędzia pomiędzy Freddiem i Sylvia, uświadomiła sobie, że znów zaczyna się czuć nie najlepiej. Od kilku dni nie była sobą, czemu trudno się dziwić, zważywszy, że pragnęła tylko skulić się w jakimś zacisznym miejscu i umrzeć. Przez ostatni miesiąc poruszała się jakby we mgle, słysząc i widząc innych z daleka. Czuła niemal ulgę, kiedy od czasu do czasu widziała, jak Celia obejmuje Guya za szyję lub chichocze konspiracyjnie z matką z czegoś, co on powiedział lub zrobił - a jednak ból, który ją wówczas przenikał, był prawie nie do zniesienia. Ale jednocześnie tak bardzo prawdziwy: ostry, przenikliwy, karzący.

Dziś jednak było inaczej. Czuła, że traci równowagę, jakby krew odpływała z jej żył za każdym razem, kiedy się poruszyła. Spoglądała podejrzliwie najedzenie. Nie miało dla niej żadnego smaku. Nie mogła patrzeć na kolorowe piramidy owoców: były zbyt jasne i radosne, jakby z niej szczydziły.

- Spójrz, Freddie, spójrz.

Sylvia otworzyła szeroko usta, odsłaniając ich przeżutą zawartość.

- Sylvio. - Lottie odwróciła wzrok. Usłyszała pełen zachwyty chichot Freddiego, a potem donośne „Aaa”, kiedy on z kolei zaprezentował zawartość swoich ust.

- Uspokójcie się.

Joe siedział po drugiej stronie Freddiego. Nie był członkiem rodziny, ale pani Holden postanowiła posadzić go przy ich stoliku. Lottie nie miała w sobie dość energii, by mieć jej to za złe. Podczas ciągnącego się niemiłosiernie popołudnia zaczęła nawet odczuwać coś na kształt wdzięczności.

- Wszystko w porządku, Lottie? Jesteś trochę blada.

- Nic mi nie jest, Joe.

Marzyła o tym, żeby pójść do domu, położyć się na łóżku i pozostać tam przez długi, długi czas. Tyle tylko że dom nie był już domem. Może nawet nigdy nim nie był. Lottie rozejrzała się po sali, a typowe dla niej poczucie zagubienia przybierało na sile, grożąc, że całkiem ją pochłonie.

- Nalałem ci trochę wody. Wypij.
- Sylvio. Sylvio! Ile winogron możesz włożyć do buzi?
- Nie wyglądasz zbyt dobrze. Mam nadzieję, że nie dopadnie cię znów jakiś wirus.
- Spójrz, ja włożę dużo więcej. Popatrz tylko. No spójrz!
- Prawie nie tknęłaś jedzenia. Napij się wody. Poczujesz się znacznie lepiej. A może przyniosę ci ciepłego mleka? Dobrze robi na żołądek.

- Daj spokój, Joe. Nic mi nie jest. Naprawdę.

Jego mowa była bardzo krótka. Podziękował państwu Holdenom za gościnność i za tak wspaniałe przyjęcie; rodzicom za znakomite desery i za to, że znosili go przez dwadzieścia sześć lat. Podziękował też Celi. Za to, że została jego żoną. Fakt, że powiedział to bez większego entuzjazmu i nuty romantyzmu w głosie, stanowił niewielką pociechę. Ona nadal była jego żoną.

Celia. Siedziała tam z cudownym uśmiechem, z welonem spływającym na smukłą szyję. Lottie nie mogła na nią patrzeć, wstrząśnięta głębią nienawiści, jaką do niej czuła. Świadomość, że postąpiła słusznie, nie była żadną pociechą. Nie była nią też wypowiedziana przez Adeline rada, by zawsze pozostała wierna sobie. Gdyby tylko potrafiła przekonać samą siebie, że to, co czuje, nie jest prawdą, mogłaby żyć spokojnie dalej.

Ale to było prawdą.

O Boże, jak bardzo chciała się położyć. W jakimś ciemnym miejscu.

- Masz ochotę na biszkopt z bitą śmietaną? - spytał Joe.

Wśród gości zapanowało lekkie poruszenie. Pani Holden doszła do wniosku, że pora już, by nowożeńcy opuścili przy-

jęcie, tak by niektóre starsze panie mogły wrócić do domu, zanim zrobi się zbyt późno. Panie Charteris i Godwin wyglądały na zmęczone, a siedzący przy stole na tyłach wkładali już płaszcze.

Szczerze mówiąc, powinien się tym zająć Henry. Podczas całego przyjęcia niewiele zrobił - nawet jego mowa pozostawiała wiele do życzenia - i nie chciała, by ktokolwiek zaczął to potem komentować. Przeprosiła siedzących obok gości, wstała i ruszyła w stronę męża. Wpatrywał się w blat stołu, nie zwracając uwagi na toczącą się obok niego wesołą rozmowę. Pani Holden poczuła zapach alkoholu, jeszcze zanim zbliżyła się na długość ramienia.

- Henry, kochanie, czy mogę zamienić z tobą słówko?

Kiedy podniósł głowę, skuliła się lekko, widząc jego lodowate spojrzenie: z rodzaju tych, które potrafią wytrącić każdego z równowagi i pozbawić resztek pewności siebie.

- Co takiego zrobiłem, najdroższa? - spytał. Słowo „najdroższa” rzucił takim tonem, jakby wypływał z ust coś o wyjątkowo nieprzyjemnym smaku.

Susan rozejrzała się dookoła, by sprawdzić, czy zauważył to jeszcze ktoś oprócz niej.

- Nic nie zrobiłeś, mój drogi. Chciałam tylko poprosić cię na minutkę. - Położyła mu dłoń na ramieniu, spoglądając na pogrążonych w rozmowie Bancroftów.

- Nic nie zrobiłem. - Spuścił wzrok i oparł obie dłonie na stole, jakby chciał się od niego odepchnąć. - No, to coś zupełnie nowego, nieprawdaż, kochana Susan?

Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie. Jej mózg pracował gorączkowo, próbując znaleźć sposób, by wyprowadzić go z sali, nie wywołując kłótni przy wszystkich gościach.

- To wielka odmiana, bo wygląda, że ten jeden jedyny raz jesteś z wszystkiego zadowolona.

- Henry - rzuciła cicho błagalnym tonem.

- Nieczęsto udaje nam się zachowywać na odpowiednim poziomie, prawda? Sprostać wysokim wymaganiom najlep-

szej pani domu w Merham i jej najlepszych przyjaciółek? - Stał przy stole i wybuchnął ostrym, gorzkim śmiechem.

- Kochanie, proszę cię...

Odwrócił się do niej z udanym zaskoczeniem.

- A więc teraz jestem „kochanie”? Czyż to nie urocze? Teraz jestem twoim kochaniem, no proszę. Wielkie nieba, Susan, niedługo zostanę kochasiem.

- Henry!

- Mamo? - Celia stanęła u jej boku. Spojrzała najpierw na ojca, potem na matkę. - Wszystko w porządku?

- Tak, kochanie - odparła pani Holden uspokajająco. - Idźcie się z Guyem przygotować. Niedługo powinniście jechać.

- Wszystko w porządku. Tak, moja najdroższa Celio. Wszystko jest w porządku. - Doktor Holden położył dłonie na ramionach córki. - Jedź i zacznij szczęśliwe życie ze swoim uroczym młodym mężem.

- Tatusiu... - Celia spojrzała na niego niepewnie.

- Jedź i pozostań piękna, zabawna i słodka. Postaraj się nie zatruwać mu życia z powodu drobiazków, które nie mają najmniejszego znaczenia. Staraj się nie patrzeć na niego, jakby był parszywym psem, kiedy chce zrobić coś, na co ma ochotę... coś, co nie jest tylko siedzeniem w salonie, popijaniem herbaty i zamartwianiem się, co inni sobie pomyślą.

- Henry! - Oczy Susan Holden wypełniły się łzami. Podniosła dłoń do ust.

Guy stanął przy Celi, próbując wy badać sytuację.

- Och, oszczędź mi łez, Susan. Oszczędź mi kolejnej cholernej dawki swoich łez. Jeśli ktokolwiek powinien tu płakać, to z pewnością ja.

Celia zaczęła głośno szlochać. Przy stolikach obok nich rozległy się głośne szepty. Goście obserwowali ich, spoglądali niepewnie na siebie, trzymając drinki w znieruchomionych dłoniach.

- Tatusiu, dlaczego jesteś taki okropny? Proszę cię, to mój wyjątkowy dzień. - Celia próbowała odciągnąć go od stołu.

- Ale tu nie chodzi o ten jeden dzień, najdroższa Celio. Nie o ten cholerny ślub, ale o każdy cholerny dzień, który następuje potem. Każdy cholerny, ciągnący się w nieskończoność dzień, dopóki śmierć was nie rozłączy! - Ostatnie zdanie wykrzyczał.

Susan Holden dostrzegła z przerażeniem, że skupiają na sobie uwagę wszystkich.

- Wszystko w porządku?! - zawołał pan Bancroft.

Guy objął ją ramieniem.

- Tak, tato. Może pani usiądzie?

- Och, nie przejmuj się tak - odparł doktor Holden. - Już idę. Możecie dokończyć to wasze idealne przyjęcie beze mnie. Przepraszam, panie i panowie, koniec przedstawienia. Wasz dobry doktor właśnie wychodzi.

- Jesteś okropny, tato - wyszlochała Celia, kiedy szedł niepewnym krokiem między stolikami w sali jadalnej hotelu Riviera. - Nigdy ci tego nie wybaczę.

- To koniak - oświadczył pan Bancroft. - Czasami tak działa na ludzi.

- Celio, opanuj się, proszę - powiedziała pani Holden, popijając sherry dla ukojenia nerwów. Jedynie drżące dłonie zdradzały, że jej także daleko było do opanowania. - Ludzie na nas patrzą.

U wejścia do portu migotały światełka. Kutry rybackie, doszła do wniosku Lottie. Były zbyt małe, by oznaczać cokolwiek innego. Wydobywały swoje skarby z dna morza, z czarnej jak atrament głębin, i wyciągały je w parną noc. Otuliła się ciaśniej swetrem, czując chłód jesiennego powietrza. Nasłuchiwała szumu przypływu, ciągnącego w swoim mocnym uścisku drobne kamyki. Podobno śmierć przez utonięcie jest najprzyjemniejsza. Powiedział jej o tym jeden z rybaków: „Gdy przestanie się już walczyć i otworzy usta, panika ustępuje, a woda powoli cię pochłania, otaczając miękką, przyjazną ciemnością”. Nazwał to bardzo spokojnym sposobem na pożegnanie się z tym światem. O dziwo,

on też nie umiał pływać. Kiedy o tym powiedział, wybuchnęła śmiechem. To było jeszcze w czasach, gdy śmiech przychodził jej z łatwością.

Lottie poprawiła się na krześle, wdychając słone powietrze. Była ciekawa, czy smakiem różni się bardzo od wody. Odetchnęła głęboko kilka razy, jakby chciała sprawdzić, ale niewiele to dało. Kiedy kilka razy połknęła słoną wodę, spaliła jej gardło - długo się potem dusiła i było jej niedobrze. Na myśl o tym znów poczuła mdłości.

Aby się przekonać, trzeba spróbować. Połknąć ją świadomie, poddać się dobrowolnie jej mrocznemu uściskowi. Lottie skrzywiła się i zamknęła oczy, słuchając swoich rozbieganych myśli. Przytłacza mnie nie ból dzisiejszego dnia, pomyślała z twarzą ukrytą w dłoniach. To ból wszystkich dni, które dopiero nadejdą: niekończący się ciąg bólu i dręczących nowin. Bo będę o nich wiedziała wszystko: o ich domu, dziecku, szczęściu. Nawet jeśli wyjadę daleko stąd, nadal będę wiedziała. Będę musiała patrzeć, jak zapomina, że byliśmy sobie tak bliscy, że był mój. I myśląc o tym, będę umierać co dnia.

Czym jest jedna śmierć w porównaniu z tysiącem?

Lottie wstała, poddając się wiatrowi, który targał jej włosy. Z tarasu Rivieri niedaleko na plażę. Nikt nawet nie zauważy, że zniknęła.

Spojrzała na swoje stopy zupełnie suchymi oczami. Poruszyły się niepewnie, jedna po drugiej, jakby nad nimi też straciła kontrolę.

Prawie przestała istnieć - pozostały tylko te maleńkie kroczi.

U wejścia do portu zamigotały ostro trzy małe światełka.

- Kto tu jest?

Lottie wzdrygnęła się i odwróciła.

W jej stronę ruszył duży, chwiejący się na nogach cień, próbując po drodze zapalić zapałkę.

- Och, to ty. Dzięki Bogu. Myślałem, że to jedna z przyjaciółek Susan.

Doktor Holden usiadł ciężko na końcu ławki. Nareszcie udało mu się zapalić zapałkę. Podniósł ją do trzymanego w ustach papierosa, zaciągnął się głęboko i czekał, aż wiatr zgasi płomień.

- Ty też uciekasz?

Lottie spojrzała na światła, po czym odwróciła się w jego stronę.

- Nie.

W świetle padającym z pokoiów na piętrze widziała teraz jego twarz. Nawet siedząc z wiatrem, wyczuła zapach alkoholu.

- Cholerna rzecz, te śluby.

- Tak.

- Budzą we mnie najgorsze myśli. Przepraszam, Lottie. Chyba za dużo wypłem.

Dziewczyna splotła ręce na piersi, zastanawiając się, czy chce, by usiadła. W końcu przycupnęła niepewnie na drugim końcu ławki.

- Chcesz? - Podsunął jej paczkę papierosów.

To chyba miał być żart. Pokręciła głową i uśmiechnęła się blado.

- Niby czemu nie? Nie jesteś już dzieckiem. Choć moja żona stale nalega, by traktować cię jak dziecko.

Lottie znów spojrzała na swoje stopy.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, słuchając przytłumionych dźwięków muzyki i śmiechu.

- Co my teraz zrobimy, Lottie? Ty zostaniesz niebawem wepchnięta w szeroki świat, a ja rozpaczliwie pragnę znów do niego uciec.

Zamarła, słysząc zupełnie nowy ton w jego głosie.

- Jedno jest pewne, paskudnie się porobiło.

- Tak.

Przesunął się nieco w jej stronę. Z hotelu dobiegały radosne okrzyki na tle piosenki Ruby Murray śpiewającej o szczęśliwych dniach i samotnych nocach.

- Biedna Lottie, musisz słuchać bredzenia pijanego starego głupca.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Tak, jestem starym głupcem. Nie mam złudzeń. Zepsułem wesele własnej córki, obraziłem żonę, a teraz siedzę tutaj i zanudzam cię.

- Nie zanudza mnie pan.

Zaciągnął się papierosem.

- Nie?

- Nigdy tak nie myślałam. Pan... był zawsze dla mnie bardzo dobry.

- Dobry? A czyż mogłem postępować inaczej? Nie miałaś lekkiego życia, Lottie. Przyjechałaś tu i na przekór wszystkiemu rozkwitłaś jak kwiat. Zawsze byłem z ciebie dumny tak samo jak z Celi.

Lottie poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Trudniej znosiła okazywaną jej dobroć.

- Pod pewnymi względami byłaś dla mnie bardziej córką niż Celia. Jesteś od niej mądrzejsza, to pewne. Nie dałaś sobie zawrócić w głowie tymi romantycznymi głupstwami, o których piszą w magazynach.

Lottie przełknęła ślinę. Spojrzała na morze.

- Och, z pewnością mam takie same romantyczne marzenia jak wszyscy.

- Naprawdę? - W jego głosie zabrzmiała czułość.

- Tak - szepnęła. - Ale źle się to dla mnie skończyło.

- Och, Lottie...

Nagle, bez słowa ostrzeżenia, zaczęła płakać.

Natychmiast znalazł się obok niej i mocno ją przytulił. Poczuli na jego marynarce woń dymu z fajki, ciepły znajomy zapach z dzieciństwa. Poddała mu się. Wtuliła twarz w jego ramię i wyrzuciła z siebie cały smutek i rozpacz, które tak długo starała się ukryć. Poczuli, że gładzi ją po plecach jak małe dziecko. I słyszała, jak szepcze łagodnie: „Och, Lottie, moje biedactwo, rozumiem. Wszystko rozumiem”. Kiedy przesunął się trochę, podniosła wzrok i w bladym świetle dostrzegła malujący się w jego twarzy bezbrzeżny smutek, ciężar nieszczęścia znoszonego od tak dawna. Zadrżała, bo dostrzegła w nim siebie.

- Biedna, kochana Lottie - szepnął.

Kiedy pochylił głowę w jej stronę, wzdrygnęła się. Trzymając jej twarz w dłoniach, pocałował ją nagle, mocno i rozpaczliwie, ich łyzy zmieszały się na policzkach. Poczowała na jego ustach smak alkoholu. Oniemiała, próbowała się wyrwać, lecz on tylko jęknął i przytrzymał ją mocniej.

- Doktorze... proszę...

Trwało to nie dłużej niż minutę. Kiedy wreszcie Lottie udało się uwolnić z jego uścisku, odwróciła się i w drzwiach prowadzących do hotelu ujrzała wstrząśniętą panią Holden. Wiedziała, że była to najdłuższa minuta w jej życiu.

- Henry... - zaczęła pani Holden cichym, drżącym głosem. A kiedy oparła się ręką o mur, Lottie pognała w ciemność.

Zważywszy na okoliczności, wszystko odbyło się bardzo kulturalnie. Doktor Holden wrócił do domu, zanim skończyła pakować walizkę, i zapewnił ją, że nie musi wcale wyjeżdżać mimo tego, co powiedziała Susan. W końcu doszli jednak zgodnie do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli wyjedzie, kiedy tylko uda się coś dla niej załatwić. Doktor miał w Cambridge przyjaciela, który potrzebował pomocy do dzieci. Był pewien, że Lottie będzie tam szczęśliwa. Ale widać było, że poczuł ulgę, gdy powiedziała mu, że ma własne plany.

Nie zapytał jakie.

Wyjechała tuż po jedenastej następnego ranka, ściskając w kieszeni adres Adeline we Francji razem z krótkim listem do Joego. Celii i Guya już nie było. Na Virginii jej wyjazd nie zrobił najmniejszego wrażenia. Ani Freddie, ani Sylvia nie płakali - nie powiedziano im, że wyjeżdża na zawsze. Doktor Holden, zawstydzony i skacowany, wręczył jej w tajemnicy trzydzieści funtów, mówiąc, że to zaliczka na przyszłość. Pani Holden, blada i surowa, prawie na nią nie patrzyła, gdy żegnała się i wychodziła z domu.

Doktor Holden nie powiedział „przepraszam”. Nikt nie wydawał się zasmucony odejściem Lottie, po dziesięciu latach, które spędziła z nimi jako członek rodziny.

Pocałunek doktora nie był jednak największą niesprawiedliwością, jaka ją spotkała. Na pewno nie, myślała, siedząc w jadącym do Londynu pociągu. Wpatrywała się w kalendarzyk kieszonkowy, licząc i licząc bez końca. Nie, przeznaczenie Adeline miało o wiele bardziej okrutne poczucie humoru, niż mogła sobie wyobrazić.

Część druga

Rozdział dziewiąty

„Na autostradzie M11 otwarto już wszystkie trzy pasma, ale należy zachować szczególną ostrożność przy zbiegu z M25. Dotarły też do nas informacje o korkach przy Hammersmith Broadway. Trudne chwile przeżyją kierowcy zbliżający się do zjazdu na M4 i Fulham Palace Road. Chyba zepsuł się tam jakiś samochód. Więcej szczegółów podamy później. Zbliża się dziewiąta trzynaście. Żegnam się i zostawiam was z Chrisem.

Łabędzie łączą się w pary na całe życie. Była niemal pewna, że chodzi o łabędzie. A może o kaczkę? Może nawet o pawie. Daisy Parsons siedziała nieruchomo i patrzyła przez okno, jak ptaki przepływają dostojnie pod mostem. Otaczająca je woda lśniła w świetle wiosennego słońca. To na pewno łabędzie. Na sto procent. Inne ptaki mało kogo obchodzą, a już na pewno nikt nie dba o to, czy łączą się w pary na całe życie.

Spojrzała na zegarek. Siedzi tu już od blisko siedemnastu minut. Nie oznacza to wcale, że czas miał dla niej ostatnio jakieś szczególne znaczenie. Albo pędził, jakby dostała czkawki i połykała naraz całe godziny, albo ciągnął się jak tania guma - minuty przechodziły w godziny, godziny w dni.

A Daisy siedziała w samym środku tego wszystkiego, nie-
pewna, w jakim kierunku powinna ruszyć.

Leżąc w foteliku obok niej Ellie ziewnęła szeroko przez
sen, wymachując maleńkimi paluszkami, jakby salutowała.
Daisy poczuła znajome ukłucie niepokoju, że może się zaraz
obudzić, i pochyliła się, by przyciszyć radio. Nie mogła do
tego dopuścić. To było najważniejsze.

Szybko oceniła w myślach natężenie ruchu ulicznego. Je-
śli będzie zbyt duże, mała znów się obudzi. Jeśli zapadnie
nagła cisza, obudzi ją odgłos spadającej szpilki. Dlatego też
krzyki na zewnątrz zaczęły ją denerwować.

Daisy oparła głowę o kierownicę. Kiedy pukanie do okna
stało się zbyt głośne, podniosła wzrok, westchnęła i otworzy-
ła drzwi.

Policjant zdjął kask motocyklowy, żeby z nią porozmawiać.
Za nim dostrzegła kilka mocno zdenerwowanych osób. Nie-
którzy zostawili samochody z otwartymi drzwiami. Nie wolno
tak robić. Nie w Londynie. To jedna z podstawowych zasad.

- Czy coś się zepsuło?

Niechby tak nie krzyczał. Obudzi dziecko.

Policjant spojrział na kolegę, który podszedł z drugiej stro-
ny. Wszyscy patrzyli na nią.

- Zepsuł się pani samochód? Musimy zepchnąć panią
z drogi. Blokują pani cały most.

Łabędzie znów przypląnęły. Potem z dostojną powagą
skierowały się w stronę Richmond.

- Słyszysz mnie pani?

- Czy nie może pan po prostu jej zepchnąć? Nie mam cza-
su, żeby stać tu cały dzień! - Nawet w normalnych okolicz-
nościach mężczyzna wyglądałby wojowniczo. Wielkie czer-
wone policzki, potężny brzuch, drogi garnitur i pasujący do
niego wóz. - Proszę na nią spojrzeć. Widać wyraźnie, że ma
nie po kolei w głowie.

- Proszę wrócić do swojego samochodu. Za minutę wszy-
scy ruszymy. Proszę pani?

Były ich już setki. Tysiące. Daisy obejrzała się na stojące za nią auta, rozciągające się niczym kolorowy wachlarz. Wszystkie próbowały wjechać na most. I nie mogły, bo blokowała drogę swoim czerwonym fordem fiesta.

- Co się stało? - zapytał już o to dwa razy. Nie powinien krzyczeć. Zaraz na pewno obudzi Ellie.

- Nie mogę...

- Czy chce pani, żebym zajrzał pod maskę? Ale najpierw musimy zepchnąć samochód. Tutaj, Jason. Proszę zwolnić hamulec ręczny. Musimy usunąć samochód z drogi.

- Obudzicie dziecko! - Spięła się cała, widząc tego mężczyznę w swoim aucie. Spojrzała na buzię Ellie, tak bezbronną we śnie. Nagle poczuła, że drży, a całe jej ciało ogarnia dobrze znana panika.

- Zepchniemy auto na pobocze. A potem znów pani ruszy.

- Nie. Proszę. Zostawcie mnie...

- Proszę zwolnić hamulec ręczny. Jeśli pani chce, sam to zrobię i...

- Jechałam do mojej siostry. Ale nie mogę...

- Słucham?

- Nie mogę przejechać przez ten most.

Policjant się zatrzymał. Widziała, jak wymienia znaczące spojrzenie ze swoim kolegą.

- Ruszaj!

- Głupia krowa!

Ktoś naciskał raz po raz klakson.

Próbowała spokojnie oddychać. Usunąć z głowy **ten hałas**.

- Na czym polega problem, proszę pani?

Nie widziała już łabędzi. Zniknęły za zakrętem, kiedy nie patrzyła.

- Proszę, ja... po prostu nie mogę. Nie mogę przejechać przez ten most. - Spojrzała na obu mężczyzn rozszerzonymi oczami. Tak bardzo chciała, by wszystko zrozumieli. Kiedy słowa spłynęły z jej ust, uświadomiła sobie jednak, że oni ni-

gdy tego nie pojmą. - Tam po raz pierwszy powiedział, że mnie kocha.

Jej siostra miała na sobie swój londyński płaszcz. Sztwywny, granatowy, ze złotymi marynarskimi guzikami. Patrząc na niego, można się było od razu zorientować, że jego właścicielka to kobieta dobrze sytuowana, a płaszcz jest rodzajem zbroi mającej ją chronić przed tym ruchliwym, niebezpiecznym miastem. Daisy zauważyła ten płaszcz wcześniej, a dopiero potem siostrę. Dojrzała go przez uchylone drzwi, przez które wcześniej wchodziła i wychodziła policjantka. Patrzyła na nią z zawodowym zrozumieniem i proponowała kubek paskudnej kawy z automatu. Wypiła ją, nie czując wcale smaku, zanim przypomniała sobie, że kofeina jest zabroniona. Przecież karmi piersią.

- Jest tutaj - powiedział stłumiony głos.
- Wszystko z nią w porządku?
- Nic jej nie jest. Ani dziecku.

Ellie spała spokojnie w samochodowym foteliku u jej stóp. Rzadko kiedy była pogrążona we śnie tak długo, ale przecież bardzo lubiła swój fotelik. Zamknięta w jego niewielkiej przestrzeni, czuła się bezpieczna. Tak przynajmniej mówiła położna, która ją odwiedzała. Daisy spojrzała na fotelik podejrzliwym wzrokiem.

- Daisy?
- Podniosła wzrok.

Jej siostra nie sprawiała wrażenia zbyt pewnej siebie. Zupełnie jakby miała podejść do czegoś, co może ugryźć.

- Mogę... wejść?

Spojrzała na Ellie, po czym obejrzała się za siebie, jakby chciała się upewnić, że wszystko jest w porządku. Usiadła na krześle obok Daisy i położyła jej dłoń na ramieniu.

- Co się stało, kochanie?

Daisy jakby przebudziła się ze snu. Twarz siostry. Hełm rudych włosów, które jakimś cudem nie wymagały przycinania. Pełne niepokoju oczy. Dłoń. Od blisko czterech tygo-

dni nie dotykał jej żaden dorosły. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie spłynęły z nich żadne słowa.

- Daisy? Kochanie?
- On odszedł, Julio - szepnęła.
- Kto?
- Daniel. Odszedł.

Julia zmarszczyła brwi, po czym spojrzała **na Ellie**.

- Dokąd?
- Zostawił mnie. I małą. Nie wiem, co robić...

Julia tuliła ją przez długą chwilę. Daisy szlochała w jej wełniany płaszcz, próbując w uścisku siostry jak najdłużej odsuwać od siebie moment, kiedy znów będzie musiała stać się dorosła. Za drzwiami usłyszała szuranie stóp na linoleum, poczuła ostry zapach środka odkażającego. Ellie zakwiliła cicho przez sen.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - szepnęła Julia, gładząc ją po głowie.

Daisy zamknęła oczy.

- Pomyślałam, że jeśli nikomu o tym nie powiem, może on wróci.

- Och, Daisy...

Policjantka wsunęła głowę przez drzwi.

- Kluczyki są w recepcji. Nie zatrzymamy samochodu. Jeśli odwiezie pani córkę do domu, nie wyciągniemy dalszych konsekwencji. - Żadna z kobiet nawet nie drgnęła, zdążyły się do tego przyzwyczaić. Dzieliła je różnica dwudziestu lat - od czasu śmierci ich matki ludzie często popełniali ten błąd, lecz i one same zachowywały się bardziej jak matka i córka niż jak siostry.

- To bardzo miło z waszej strony. - Julia chciała podnieść się z krzesła. - Przepraszamy za kłopot.

- Proszę się nie spieszyć. Nie potrzebujemy na razie tego pokoju. Kiedy będą panie chciały już wyjść, ktoś z recepcji zaprowadzi panie do samochodu. To niedaleko.

Rzuciła im pełen zrozumienia uśmiech i zniknęła.

Julia odwróciła się do siostry.

- Och, kochanie. Ale dlaczego? Dokąd on odszedł?
- Nie mam pojęcia. Stwierdził tylko, że nie może sobie z tym wszystkim poradzić. Nie tego się spodziewał, a teraz nie jest nawet pewny, czy tego chce. - Znów zaczęła szlochać.

- Daniel tak powiedział?

- Tak. Cholerny Daniel. Powiedziałam mu, że ja też nie tego się spodziewałam, ale moje uczucia jakoś się nie liczą. Odparł na to, że przeżywa załamanie i potrzebuje trochę przestrzeni. I tyle. Od trzech tygodni nie miałam od niego żadnych wiadomości. Nie zabrał nawet swojej komórki. - Daisy odzyskała głos.

Siostra pokręciła głową, wpatrując się w przestrzeń.

- Co powiedział?

- Że nie może sobie z tym wszystkim poradzić. Nie podoba mu się cały ten bałagan. Chaos w naszym życiu.

- Ale przy pierwszym dziecku zawsze jest trudno. A ona ma przecież dopiero... ile?... cztery miesiące?

- Mnie nie musisz tego mówić.

- Ale potem będzie coraz lepiej. I łatwiej. Wszyscy o tym wiedzą.

- Daniel najwyraźniej nie wie.

Julia zmarszczyła brwi i spojrzała na swoje nieskazitelne czółenka.

- Czy wy nadal... Chodzi mi o to, że niektóre kobiety po przyjściu na świat dziecka nie poświęcają swoim partnerom uwagi. Czy wy...?

Daisy spojrzała na nią z niedowierzaniem.

Na chwilę zapanowała cisza. Julia poprawiła leżącą na kolanach torebkę i wyrzała przez niewielkie okno.

- Wiedziałam, że powinniście byli wziąć ślub.

- Co takiego?

- Powinniście byli się pobrać.

- To by go nie powstrzymało. Istnieje coś takiego jak rozwód.

- Zgoda, Daise, ale przynajmniej miałyby wobec ciebie ja-

kies zobowiązania finansowe. A tak mógł sobie spokojnie odjechać w siną dal.

- Och, Julio, na miłość boską. Zostawił mnie w naszym mieszkaniu. Nie podjął ani grosza z naszego wspólnego konta. Nie skazał mnie na poniewierkę niczym wiktoriańskiej służącej.

- Bardzo mi przykro, ale skoro już cię zostawił, to musisz myśleć praktycznie. Z czego będziesz się utrzymywać? Płacić czynsz?

Daisy, wściekła, pokręciła głową.

- Nie mogę uwierzyć, że mi to robisz. Porzuciła mnie miłość mojego życia, jestem w epicentrum cholernego załamania nerwowego, a ty potrafisz myśleć tylko o tym cholernym czynszu!

Jej krzyk obudził dziecko, które zaczęło płakać, zaciskając mocno oczy, by powstrzymać to, co przerwało słodki sen.

- Widzisz, co narobiłaś? - Wypięta malutką z fotelika i przytuliła do piersi.

- Nie ma potrzeby wpadać w histerię, kochanie. Ktoś musi myśleć praktycznie. Czy zgodził się opłacać czynsz?

- Nie doszliśmy do tego - odparła lodowatym tonem Daisy.

- A co z firmą? Co z tym wielkim projektem, który przyjęliście?

Daisy przystawiła Ellie do piersi, odwracając się od drzwi. Zupełnie zapomniała o hotelu.

- Nie wiem. Nie mogę teraz o tym myśleć, Ju. Teraz zależy mi tylko na tym, żeby przebrnąć przez każdy kolejny dzień w całości.

- No, chyba pora, żebym pojechała z tobą do domu i doprowadziła cię do porządku. Potem usiądziemy spokojnie i zastanowimy się nad przyszłością twoją i mojej maleńkiej siostrzenicy. W wolnym czasie zadzwonię do Marjorie Wiener i powiem bez ogródek, co myślę o jej synalku.

Daisy przytuliła córeczkę, czując, że ogarnia ją wielkie zmęczenie. Kiedy Ellie skończyła jeść, wypluwając zdecydowanie sutek z ust, Daisy wstała i obciągnęła sweter.

Siostra nie spuszczała z niej wzroku.

- Widzę, że masz problemy z odzyskaniem figury. Wiesz co? Kiedy już wszystko ustalimy i uporządkujemy, zapiszę cię na wyszczuplający kurs. Ja stawiam. Kiedy wrócisz do dawnej wagi, od razu poczujesz się lepiej, zobaczysz.

Daniel Wiener i Daisy Parsons mieszkali w dwupokojowym mieszkaniu w Primrose Hill od blisko pięciu lat. W tym czasie okolica stała się niesamowicie modna, co oczywiście natychmiast znalazło odbicie w wysokości czynszu. Daisy wyprowadziłaby się stamtąd z radością. Kiedy działalność ich firmy, zajmującej się wystrojem wnętrz, nabierała rozmachu, zaczęła marzyć o wysokich sufitach, dużych oknach, pomieszczeniach gospodarczych i spiżarniach. I ogrodzie na tyłach domu. Daniel nalegał jednak, żeby zostali w Primrose Hill - adres ten robił większe wrażenie na potencjalnych klientach niż przestronne domy w Hackney czy Islington. „Spójrz tylko na jakość życia tutaj - argumentował. - Eleganckie domy w stylu georgiańskim, puby i restauracje, no i samo Primrose Hill - latem doskonałe na pikniki". Ich mieszkanie było naprawdę piękne: usytuowane nad eleganckim sklepem z butami znanego projektanta, miało ogromny salon w stylu regencji i sypialnię z niewielkim balkonikiem, zawieszonym nad należącymi do innych mieszkańców ogródkami, w których aż roiło się od ślimaków. Dokonali tam też kilku przeróbek - wcisnęli pralkę do szafki i zainstalowali prysznic w rogu niszy. Mieli małąkłą elegancką kuchnię z miniaturowym piecykiem i ogromnym pochłaniaczem. Latem wystawiali na balkon dwa krzesła i popijali wino, gratulując sobie wzajemnie miejsca, w jakim się znaleźli, i drogi, jaką razem przebyli. Pławili się w blasku zachodzącego słońca i przyjemnej świadomości, że ich mieszkanie i okolica, w jakiej się znajduje, jest wiernym odbiciem ich samych.

Potem zjawiła się Ellie i cały urok powoli zniknął, bo mieszkanie stopniowo się kurczyło, jakby ściany się zsuwa-

ły, a pozostałą przestrzeń wypełniły stopy mokrych śpioszków, na wpół zużytych opakowań wilgotnych ściereczek i miękkich różnokolorowych zabawek. Problem pojawił się wraz z bukietami: przychodziły jeden po drugim, niekończącym się strumieniem, zajmując wszystkie wolne miejsca na półkach, aż skończyły im się wazony i musieli wrzucać je do wanny. Kwiaty zaczęły ją przytłaczać, a w powietrzu stale unosił się przykry zapach stęchłej wody. Daisy była zbyt zmęczona i zajęta, by coś z nimi zrobić. A potem stopniowo ubywało wolnego miejsca, poruszali się po mieszkaniu, omijając stopy niewyprasowanych ubrań i pieluszek. Wysokie krzesło, które dostała od kuzynów, leżało nadal nierozpakowane w wielkim pudle, zajmując kąt pokoju, który do tej pory służył jako biblioteka, a plastikowa wanienska była oparta o ścianę w holu tuż obok wózka, którego nigdy nie udało im się złożyć jak należy. Łóżeczko Ellie stało wciśnięte przy ścianie obok ich łóżka. Jeśli Daisy chciała w nocy skorzystać z łazienki, musiała albo przejść przez Daniela, albo zsunąć się w dół. Potem dźwięk spuszczonej wody zaczął budzić Ellie, a Daniel chował głowę pod poduszkę i jęczał, że życie jest bardzo niesprawiedliwe.

Od czasu jego odejścia w ogóle nie sprzątała. Chciała, to prawda, ale jakoś dni zwały się w jedno z nocami i większość czasu spędzała wyciągnięta na niegdyś jasnej kanapie z Ellie przyssaną do piersi. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w ekran telewizora, na którym migały poranne programy, lub płakała, spoglądając na zdjęcie, na którym byli wszyscy troje w czułej pozie. I tak, powoli, bez Daniela, który zmywał wieczorami i wynosił śmieci (jak miała znosić jednocześnie worek i dziecko dwa piętra w dół?), bałagan zaczął ją przytłaczać, a stopy brudnych śpioszków i poplamionych jedzeniem białych kaftaników zrobiły się zbyt wielkie, by odważyła się z nimi zmierzyć. Wszystko powoli stało się częścią umeblowania i Daisy przestała w ogóle dostrzegać, w jakim bałaganie żyje. W obliczu tak wielkiego chaosu codziennie nosiła ten sam dres, bo wisiał przewieszony przez oparcie krzesła i przez to

był stale pod ręką, zajadała się chipsami i czekoladowymi herbatnikami poprawiającymi trawienie, które kupowała w sklepiku na dole, bo chęć ugotowania czegokolwiek oznaczała, że najpierw będzie musiała pozmywać.

- No, teraz naprawdę się zaniepokoiłam. - Jej siostra pokręciła z niedowierzaniem głową. Świeży zapach jej perfum zginął w ostrej woni brudnych pieluch, które leżały porozrzucone po podłodze razem z ich cuchnącą zawartością.

- Wielkie nieba, Daisy, co ty wyprawiasz? Jak mogłaś do czegoś takiego doprowadzić?

Daisy nie miała pojęcia. Odniosła wrażenie, że to wcale nie jest jej dom.

- O mój Boże!

Stały we trójkę w drzwiach frontowych. Ellie wierciła się w ramionach matki, wyspana i bardzo ciekawa świata.

- Muszę zadzwonić do Dona. Powiem mu, że będę tu nocować. Nie mogę cię tak zostawić. - Julia zaczęła szybko chodzić po pokoju, zbierając brudne naczynia i rzucając brudne ubranka na stos przy stoliku do kawy. - Uprzedzałam go, że wybieram się tylko po kilka nowych kołder do pensjonatu.

- Nic mu nie mów, Ju.

Siostra zatrzymała się i spojrzała jej prosto w oczy.

- To nic nie pomoże. Nawet jeśli Don o niczym się nie dowie, twoje problemy nie znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wydaje mi się, że ostatnimi czasy było tu stanowczo za dużo uników.

W końcu wysłała ją do parku, by pospacerowała z Ellie. Kiedy powiedziała, że Daisy płacze się jej pod nogami, nie była to tylko metafora. W parku odetchnęła swobodnie, jakby pierwszy raz od wielu tygodni uświadomiła sobie, co się dzieje. Niewiele jej to zresztą pomogło, ból stał się jeszcze bardziej dotkliwy. „Proszę, niech on wróci do domu - błagała, mrużąc pod nosem i nie zważając na to, że przechodnie przyglądają się jej podejrzliwie. - Niech tylko wróci”. Kiedy

pojawiła się w progu, siostrze udało się już jakimś cudem doprowadzić mieszkanie do porządku. Ułożyła nawet świeże kwiaty w wazonie i postawiła go na półce nad kominkiem.

- Jeśli on w końcu się opamięta - wyjaśniła - powinien pomyśleć, że świetnie sobie sama radzisz. Jakby wszystko było w największym porządku. Zawiesiła głos. - Bez łez i rozczulania się nad sobą.

Ale nic nie jest w porządku, miała ochotę wrzasnąć Daisy. Nie mogę jeść ani spać. Nie mogę nawet oglądać telewizji, bo cały czas wyglądam przez okno, by sprawdzić, czy on przypadkiem nie przechodzi ulicą. Bez niego nie wiem, kim mam być. Ale Julii Warren niewiele można było na ten temat powiedzieć. Kiedy zmarł jej pierwszy mąż, po okresie przepisowej żałoby zapisała się do paru klubów samotnych serc (ich specjalnością były intymne kolacje we dwoje) i po kilku falstartach poznała i zdobyła Dona Warrena, biznesmena z Weybridge, z własnym wolno stojącym domem i świetnie prosperującą firmą, z gęstą czarną czupryną i szczupłą talią. Julia od początku uznała go za świetną partię („W tym wieku, kochanie, oni wszyscy są już łysi. Albo mają wielkie brzuchy, które przelewają im się nad paskiem. Nie mogłabym czegoś takiego znieść”)- Julia, wówczas jeszcze Bartlett, sama była świetną partią: niezależna, miała własne dochody, zadbana i elegancka (nikt nigdy nie widział jej bez makijażu, wstawała dwadzieścia minut przed każdym ze swoich mężów, by nie mieli okazji oglądać jej „niezrobionej”). W dawnej stajni prowadziła liczący kilka pokoi pensjonat i mimo że nie potrzebowała pieniędzy, nie chciała z niego zrezygnować, bo przecież nigdy nic nie wiadomo. Nigdy nic nie wiadomo.

Czego najlepszym dowodem była jej siostra.

- Przejrzałam twoje wyciągi bankowe, Daise, i wygląda na to, że będziesz musiała coś z tym zrobić.

- Co takiego? Nie miałas prawa. Są poufne.

- Gdyby były poufne, schowałabyś je, a nie trzymała na stoliku, gdzie każdy może je zobaczyć. Ale nieważne. Przy

swoich wydatkach masz jeszcze trzy tygodnie, zanim zaczniesz naruszać oszczędności. Pozwoliłam sobie otworzyć kilka listów i obawiam się, że twój gospodarz, który wygląda na chciwego drania, zamierza podnieść ci od maja czynsz. Będziesz musiała się zastanowić, czy stać cię na utrzymanie tego mieszkania. Muszę przyznać, że jak na coś takiego czynsz jest przerażająco wysoki.

Daisy podała Ellie siostrze. Nie miała już ochoty walczyć.

- To przecież Primrose Hill.

- Powinnaś to przemyśleć. Może trzeba zacząć żyć oszczędniej. Bo inaczej będziesz musiała zwrócić się do agencji, która załatwia alimenty.

- Nie sądzę, by do tego doszło, Ju.

- To z czego zamierzasz żyć? Wienerowie są nieźle nadziani. Parę tysięcy nie powinno zrobić im różnicy, prawda?

Usiadła, strzepnęła kilka niewidzialnych okruszyn z kanały i spojrzała z uwielbieniem na swoją siostrzenicę.

- Posłuchaj, kochanie. Kiedy byłaś na spacerze, trochę to wszystko przemyślałam. Jeśli Daniel nie wróci w ciągu najbliższego tygodnia, powinniśmy zabrać cię do siebie. Oddam ci małe samodzielne mieszkanie w pensjonacie za darmo, dopóki nie staniesz na nogi. Zachowasz więc niezależność. Ale Don i ja będziemy dosłownie po drugiej stronie ogrodu. W Weybridge pracuje też mnóstwo architektów wnętrz. Don na pewno popyta znajomych, czy ktoś nie znajdzie dla ciebie wolnego miejsca.

Weybridge. Daisy wyobraziła sobie, jak do końca życia projektuje lambrekinę i urządza rezydencje naśladowujące styl Tudorów dla komików z telewizji weekendowej noszących stale buty do golfa.

- To nie dla mnie, Ju. Ja szukam inspiracji raczej... w mieście.

- Teraz powinnaś szukać inspiracji w wyrzucaniu śmieci i sprzątaniu, Daisy. Pamiętaj o mojej propozycji. No, chyba zdążę jeszcze na pociąg powrotny, bo przypomniałam sobie, że wydajemy dziś kolację. Ale wrócę jutro rano i zajmę się

Ellie przez kilka godzin. Bardzo miły fryzjer z przeciwka zgodził się wcisnąć cię na jutro na strzyżenie i modelowanie. Zaraz będziesz inaczej wyglądać.

Odwróciła się do Daisy, zawiązując szalik, gotowa do wyjścia.

- Musisz się z tym pogodzić, kochanie. Wiem, że to boli, ale teraz nie chodzi już tylko o ciebie.

Jedna z jej przyjaciółek powiedziała kiedyś, że po porodzie czujesz się tak, jakbyś obudziła się w ciele matki. Oglądając swoją figurę w dużym lustrze, Daisy pomyślała z tęsknotą o smukłej sylwetce matki. Tyję na potęgę, stwierdziła z rozpaczą, przyglądając się wątkom tłuszczu na biodrach i brzuchu. Poszłam spać i obudziłam się w ciele własnej babki.

Powiedział jej kiedyś, że w chwili kiedy ją zobaczył, miał pewność, że nie zazna spokoju, dopóki nie będzie jej miał. Bardzo spodobało jej się to „miał” z ukrytym podtekstem seksualnym. Ale było to w czasach, gdy ubierała swoją figurę rozmiar trzydzieści sześć w obcisłą skórę i dopasowane topy, które podkreślały jej szczupłą talię i jędrne piersi. W czasach, kiedy była beztroską blondynką, kiedy pogardzała każdą kobietą noszącą rozmiar większy niż czterdzieści za brak samokontroli. Teraz jej piękne piersi zrobiły się wielkie i ciężkie, poznaczone niebieskimi żyłkami, a od czasu do czasu kapało z nich mleko. Oczy były niewielkimi różowymi punkcikami rysującymi się na tle wielkich sińców. Nie mogła spać - od czasu narodzin Ellie nie zmrzyła oka na dłużej niż dwie godziny, a teraz nie mogła zasnąć, nawet kiedy jej córeczka smacznie spała. Tłuste włosy ściagała z tyłu głowy zwykłą gumką, a odrosty miały już ponad dwa centymetry. Pory w skórze miała rozszerzone, aż dziw, że nie hula w nich ze świstem wiatr.

Spojrzała na siebie chłodno okiem swojej siostry. Nic dziwnego, że jej nie chciał. Daisy poczuła, jak po policzku spływa gorąca łza, pozostawiając słony ślad. Po urodzeniu dziecka należy szybko wrócić do dawnej formy. Ćwiczyć

miednicę, stojąc w samochodzie na światłach, biegać po schodach, by wzmocnić uda. Po raz tysięczny wróciła myślami do kilku komentarzy, które usłyszała od Daniela po narodzinach Ellie i swojej na nie reakcji. Była taka zmęczona. „Przez ciebie czuję się jak kawał mięsa”, rzuciła wściekła pewnego razu. Ellie domagała się jej uwagi przez cały dzień, a teraz on chce tego samego. Przypomniała sobie szok i ból malujące się na jego twarzy i żałowała, że nie może cofnąć czasu. „Ja chcę tylko odzyskać moją dawną Daisy”, powiedział ze smutkiem. Ona też tego chciała. Nadal gorąco tego pragnęła, rozdarta pomiędzy żarliwą miłością do dziecka a rozpaczliwą tęsknotą za dziewczyną, którą kiedyś była, za życiem, które kiedyś wiodła.

Za Danielem.

Wzdrygnęła się, gdy w salonie zadzwonił telefon. Była wyculona na każdy najmniejszy dźwięk, który mógł obudzić malutką. Chwyciła sweter i zarzuciła go na ramiona. Zdażyła podnieść słuchawkę, zanim zgłosiła się automatycznie sekretarka.

- Pan Wiener?

To nie on. Westchnęła, rozczarowana, i zebrała siły na kolejną rozmowę.

- Nie. Nie ma go w domu.

- Czy to Daisy Parsons? Mówi Jones. Z Red Rooms. Spotkaliśmy się kilka tygodni temu w sprawie mojego hotelu. A raczej spotkałem się z pani partnerem.

- Tak.

- Mielicie mi przysłać na piśmie oficjalną datę rozpoczęcia prac. Ale nic nie dostałem.

- Och.

Chwila milczenia.

- Czy zadzwoniłem nie w porę? - mówił lekko ochrypłym głosem, zniszczonym przez tytoń lub alkohol.

- Przepraszam... - Odetchnęła głęboko. - Miałam ciężki dzień.

- No tak. Czy może mi pani przesłać tę datę?

- Rozpoczęcia prac w hotelu?

Zniecierpliwiał się.

- Tak. W tym, który zgodziliście się wyremontować.

- Chodzi o to... od czasu naszej ostatniej rozmowy zaszyły pewne zmiany.

- Mówiłem wam. Ustalona cena jest ostateczna.

- Nie, nie chodzi o koszty. Eee... - Zastanawiała się, czy zdoła, mówiąc to, powstrzymać się od płaczu. Wzięła głęboki oddech. - Chodzi o to, że mój partner... odszedł.

W słuchawce zapadła cisza.

- Rozumiem. Co to oznacza? Czy pani nadal pozostaje w grze? Będzie pani honorować kontrakty?

- Tak - odparła odruchowo. Nie wiedział, że jest ich jedynym klientem.

Zastanowił się przez chwilę.

- No cóż, jeśli jest pani w stanie zagwarantować ten sam poziom wykonania, nie widzę problemu. Przedstawione przez was plany były bardzo rozsądne... - Zawiesił głos. - Kiedy zaczynałem działalność, też odszedł ode mnie partner. Dopiero potem uświadomiłem sobie, że właśnie dzięki temu stanąłem na nogi.

Zamilkł na chwilę, jakby zawstydział się wyjawieniem tak osobistych szczegółów.

- Jeśli jest pani zdecydowana, ma pani tę pracę. Podobało mi się to, co zaplanowaliście.

Daisy chciała mu przerwać, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Rozejrzała się po mieszkaniu, w którym nie czuła się już jak w domu. W domu, w którym i tak nie będzie już mogła długo zostać.

- Panno Parsons?

- Tak - odparła powoli. - Wezmę tę pracę.

- Świetnie.

- Jeszcze jedno.

- Tak?

- My... to znaczy ja... lubię mieszkać na miejscu podczas remontu. Nie będzie to panu przeszkadzać?

- Tam panują dość spartańskie warunki... Ale nie. Niedawno urodziła pani dziecko, prawda?

- Tak.

- Proszę się najpierw upewnić, czy działa tam ogrzewanie. Mogą być z tym kłopoty jeszcze przez jakiś miesiąc lub dwa.

- Będę również potrzebowała zaliczki. Czy zgodzi się pan na pięć procent?

- Przeżyję.

- Wyślę panu wiadomość dziś wieczór, panie Jones.

- Jones. Wystarczy samo Jones. Do zobaczenia na miejscu.

Daisy nie mogła się nadziwić szaleństwu, jakiego się przed chwilą dopuściła. Pomyślała o Hammersmith Bridge, Weybridge, o przyjaciółach Dona traktujących ją protekcyjnie. Biedna Daisy. Trudno się jednak dziwić, kiedy się na nią spojrzy. Wyobrażała sobie swoją siostrę „wpadającą tylko” do pensjonatu, by sprawdzić, czy nie poprawia sobie nastroju kolejną paczką ciastek. Dumała o nieznanym miasteczku nad morzem, słonym powietrzu i czystym niebie. Tam przynajmniej nie będzie musiała budzić się co rano w ich wspólnym łóżku. Będzie miała okazję swobodnie odechnąć, z dala od tego całego bałaganu i wspomnień. Nie miała pojęcia, jak sama upora się z remontem. Ale odniosła wrażenie, że to najmniej z jej problemów.

Ellie znów zaczęła płakać. Ciche kwilenie powoli przeszło w przenikliwy krzyk. Daisy podeszła jednak do niej bez strachu. Po raz pierwszy od paru tygodni poczuła coś na kształt ulgi.

Rozdział dziesiąty

- Wiesz, nigdy w życiu nie widziałam takiej bielizny. Same cieniutkie paseczki z koronki. Pomyślałam, że gdybym ją włożyła, nie wyglądałabym jak baran przebrany za jagnię, lecz jak baran owinięty sznurkiem. - Evie Newcomb wybuchnęła śmiechem. Camille się zawahała. Nie chciała, by krem dostał się jej do oczu. - Powinnaś zobaczyć to, co oferują w tych katalogach. Wiesz, Camille, nie chciałabyś nosić czegoś takiego w chłodny dzień. I nie chodzi nawet o materiał, choć pracowałam w tej branży i wiem, że jego jakość pozostawia wiele do życzenia, lecz o te dziury, które są wszędzie! Nie przyszłoby ci nawet do głowy gdzie. Oglądałam parę dessous i muszę przyznać, że nie wiedziałabym, gdzie włożyć nogi!

Camille wsunęła pasma włosów Evie pod białą bawełnianą opaskę i zaczęła delikatnie przesuwając dłońmi po jej czole.

- Co się zaś tyczy akcesoriów, jak je nazywają, to patrzyłam i patrzyłam, ale nie miałam pojęcia, do czego połowa z nich służy. Na pewno nie chciałabym użyć ich w niewłaściwy sposób. Nie byłoby miło wylądować w szpitalu i tłumaczyć lekarzowi, co się stało, prawda? Nie, dałam sobie z tym spokój.

- Nic więc z tego nie wyszło? - spytała Camille, gdy nałożyła już maseczkę.

- Och, nie. Skorzystałam z twojej rady, kochanie. Kupiłam dwa zestawy - zniżyła głos. - W ciągu trzydziestu dwóch lat małżeństwa nie widziałam takiego wyrazu na twarzy Leonarda. Pomyślałam, że nareszcie nadszedł jego szczęśliwy dzień - zachichotała. - Później myślałam, że go zabiję.

- Ale nie wspomina już o konieczności zainstalowania telewizji kablowej, prawda? Z holenderskimi kanałami?

- Nie. I nie chce już grać w kręgle. Wyświadczyłaś mi więc wielką przysługę. Naprawdę. Możesz mi jeszcze nałożyć te płatki na oczy? Ostatnio sprawdziły się wspaniale.

Camille Hatton podeszła do szafki i sięgnęła na czwartą półkę, gdzie trzymała chłodzące płatki na oczy. Dziś rano była bardzo zajęta: normalnie nie miała aż tylu klientek, chyba że w hotelu Riviera szykowało się wesele albo tańce. Teraz zbliżał się jednak letni sezon i wszystkie mieszkanki miasta chciały się przygotować i wyglądać jak najpiękniej na przyjęcie gości.

- Życzy sobie pani herbaciane czy ogórkowe? - spytała, szukając dłońmi pudełek.

- Poproszę herbaciane. A skoro już przy tym jesteśmy, to czy Tess nie mogłaby mi zaparzyć filiżanki herbaty? Strasznie chce mi się pić.

- Nie ma problemu - odparła Camille i zawołała swoją młodą asystentkę.

- Jedna rzecz naprawdę mnie rozbawiła. Powiem ci, ale podejdź bliżej. Nie chcę krzyczeć na cały salon. Opowiadałam ci o piórach?

Nadejście wiosny zawsze budziło we wszystkich chęć do rozmowy. Zupełnie jakby marcowe wiatry wiejące od morza wymiały resztki zimy, przypominając ludziom, że czekają ich wielkie zmiany. A dla pań pojawiały się również nowe magazyny.

Kiedy jej szefowa, Kay, otworzyła salon przed dziewięcioma laty, kobiety podchodziły do niego bardzo nieśmiało. Niechętnie poddawały się zabiegom, jakby w obawie, że inni pomyślą, iż zbyt sobie pobbłażają. Siedziały sztywne

i milczące, kiedy smarowała i masowała im twarze, jakby czekały, że zaraz ktoś je wyśmiejże albo ona popełni jakiś straszliwy błąd. Stopniowo zaczęły przychodzić coraz częściej. A kiedy adwentyści dnia siódmego przejęli kościół metodystów, zaczęły mówić. Teraz opowiadały Camille o wszystkim: o niewiernych mężach, niesfornych dzieciach, bólu związanym z poronieniem i o radości z przyjścia na świat nowych pociech. Mówiły o tym, o czym nigdy nie powiedziałyby pastorowi. Żartowały, śmiejąc się, dyskutowały o pożądaniu, miłości i obudzonym na nowo, jak u Leonarda, libido. A ona nie zdradzała powierzanych jej sekretów. Nigdy nikogo nie osądzała, nie wyśmiewała ani nie potępiała. Pracując, bez przerwy słuchała, od czasu do czasu pozwalając sobie na jakąś uwagę lub radę, dzięki której mogły poczuć się lepiej. „To twoja trzódka”, żartował Hal. Ale to było jeszcze w czasach, gdy Hal żartował.

Pochyliła się nad twarzą Evie i poczuła, jak maseczka nawilżająca zastyga jej pod palcami. Powietrze w nadmorskim miasteczku nie służyło skórze. Sól i wiatr wywoływały przedwczesne zmarszczki, bezlitośnie niszcząc efekty kremów i maseczek nawilżających. Camille nosiła krem w torbie i nakładała go kilka razy w ciągu dnia. Miała obsesję na punkcie wysuszonej skóry - sama myśl o tym przyprawiała ją o drżenie.

- Zaraz ją zdejmę - powiedziała, poklepując lekko Evie po policzku. - Najpierw proszę wypić herbatę. Tess już idzie.

- Och, już czuję się lepiej. - Evie wyciągnęła się wygodnie w fotelu, a skórzane obicie zatrzeszczało pod sporym ciężarem. - Kiedy stąd wychodzę, jestem zupełnie jak nowa.

- Wygląda na to, że pani mąż podziela tę opinię.

- Jest już pani herbata. Nie słodzi pani, prawda? - Jeśli chodzi o wymagania klientek dotyczące kawy i herbaty, Tess miała niezawodną pamięć. W salonie piękności cecha ta okazywała się bezcenna.

- Bardzo dziękuję.

- Telefon, Camille. Ze szkoły córki.

Dzwoniła sekretarka. Mówiła zdecydowanym, lecz przy-
milnym tonem osoby świadomej, że dzięki niezwykłemu
urokowi zawsze postawi na swoim.

- Pani Hatton? Dzień dobry, tu Margaret Way. Mieliliśmy
maty problem z Katie. Mogłaby pani po nią przyjść?

- Czy coś się jej stało?

- Nie. Tylko nie czuje się najlepiej.

Nic tak nie ściska serca jak niespodziewany telefon ze
szkoły, pomyślała Camille. Dla pracującej matki oznaczał on
mieszaniec ulgi, kiedy okazywało się, że dziecku nic nie jest,
oraz irytacji, że ktoś zakłóca jej dzień.

- Mówi, że od kilku dni nie czuje się najlepiej. - W luźnej
uwadze sekretarki słychać było lekki wyrzut. Nie przysy-
łajcie chorych dzieci do szkoły, dawała wyraźnie do zrozu-
mienia.

Camille pomyślała o umówionych wizytach.

- Nie dzwoniście do jej ojca, prawda?

- Nie, z reguły najpierw dzwonimy do matki. Dzieci za-
wsze o to proszą.

- Dobrze - powiedziała. - Zjawię się najszybciej jak bę-
dę mogła. Tess - zawołała, odkładając słuchawkę - muszę
odebrać Katie ze szkoły. Nie czuje się najlepiej. Spróbuję coś
wymyślić, ale chyba trzeba będzie odwołać kilka popołu-
dniowych wizyt. Bardzo mi przykro.

Niewiele pań chętnie oddawało się w ręce Tess. Zwierzyły
się Camille, że nie mogą jej tyle opowiedzieć. Jest za młoda.
Za... Ale Camille wiedziała, o co naprawdę im chodzi.

- Sporo ludzi choruje - zagadnęła Evie spod maseczki. -
Sheila z kawiarni leczy się już od dziesięciu dni. Chyba zima
była zbyt ciepła i zarazki mnożą się jak najęte.

- No, już prawie skończyłyśmy. Nie będzie pani miała nic
przeciwko temu, jeśli teraz wyjdę? Tess nałoży pani krem
nawilżający.

- Biegnij, kochana. Ja też zaraz będę się zbierać. Obieca-
łam Leonardowi rybę na kolację, a skończyły mi się frytki.

* * *

Katie zasnęła pod kocem. Z nietypową jak na ośmiolatkę dojrzałością przeprosiła matkę, że przerwała jej pracę, a potem stwierdziła, że ma ochotę się przespać. Camille posiedziała więc przy niej przez chwilę, kładąc dłoń na przykrytej kocem sylwetce córki. Czuła się jednocześnie bezsilna, niepokojna i lekko poirytowana. Pielęgniarka szkolna powiedziała, że Katie jest bardzo blada, i spytała, czy cienie pod oczami są wynikiem późnego kładzenia się spać. Camille poczuła się urażona jej tonem, niewypowiedzianą sugestią, że „sytuacja” Camille, jak to łagodnie w mieście określano, oznacza, że nie zawsze wie, o której córka kładzie się spać.

- Nie ma w pokoju telewizora, jeśli o to pani chodzi - odparła ostro. - Kładzie się o wpół do dziewiątej, a ja czytam jej jeszcze przed snem.

Pielęgniarka poinformowała ją jednak, że w tym tygodniu Katie dwa razy zasnęła na lekcjach i sprawia wrażenie oświeżonej. Przypomniała też, że dwa tygodnie temu chorowała.

- Może ma lekką anemię - zasugerowała, a jej uprzejmość sprawiła, że Camille poczuła się jeszcze gorzej.

Idąc powoli do domu, Camille spytała córkę, czy ma to coś wspólnego z nią i tatą, lecz Katie odparła tylko, że „źle się czuje”, tonem, który wykluczał dalszą rozmowę. Camille nie naciskała. Wszyscy mówili, że Katie świetnie sobie z tym radzi. Może nawet zbyt dobrze.

Pochyliła się i pocałowała śpiącą córkę, po czym pogładziła aksamitny pysk Rolla, labradora. Ułożył się z westchnieniem u jej stóp, dotykając wilgotnym nosem gołej nogi. Siedziała przez chwilę, nasłuchując tykania zegara stojącego na kominku i szumu samochodów. Będzie musiała zadzwonić. Odetchnęła głęboko.

- Ha!?

- Camille? - Nigdy nie dzwoniła do niego do pracy.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam. Muszę jednak porozmawiać o dzisiejszym wieczorze. Mógłbyś przyjść trochę wcześniej?

- Dlaczego?

- Katie wróciła wcześniej ze szkoły, a ja muszę iść do pracy i przełożyć kilka wizyt, które odwołałam dziś po południu.

- Co się stało Katie?

W tle słyszała tylko radio. Brakowało stukania i podnieconych głosów, które wypełniały niegdyś świetnie prosperujący warsztat.

- To chyba jakiś wirus. Nie czuje się najlepiej, ale nie sądzę, by to było coś poważnego.

- To dobrze.

- Pielęgniarka w szkole uważa, że może mieć anemię. Mam w domu tabletki z żelazem.

- Rzeczywiście, ostatnio była trochę błada - przemawiał tak lekko, obojętnie. - Kogo masz zamiar przyjąć?

Wiedziała, że nie pójdzie jej tak łatwo.

- Jeszcze nie wiem. Najpierw chciałam sprawdzić, czy to w ogóle jest możliwe.

Czuła, jak zмага się ze sobą.

- Nie powinno być problemu.

- Masz dużo pracy?

- Nie. Nic przez cały tydzień. Właśnie zastanawiałem się, jak zaoszczędzić na papierze toaletowym i żarówkach.

- Nic jeszcze nie ustaliłam. Jeśli żadna z pań nie zmieni terminu, nie będziesz musiał wcześniej wracać.

Byli tacy uprzejmi. Grzeczni.

- Nie ma problemu - odparł. - Nie chciałbym zdenerwować twoich klientek. Nie wolno nam lekceważyć naszego jedynego źródła utrzymania. Zadzwoń do mnie, jeśli trzeba cię będzie skądś odebrać. Zawsze mogę poprosić twoją mamę, żeby posiedziała chwilę z Katie.

- Dziękuję, kochanie, bardzo miło z twojej strony.

- Nie ma sprawy. Leć już.

Camille i Hal Hatton byli małżeństwem dokładnie od jedenastu lat i jednego dnia, kiedy wyjawiała mu, że jego podejrzenia dotyczące Michaela, agenta w handlu nieruchomościami z Londynu, są jak najbardziej uzasadnione. Wybrała

jednak najgorszą porę, by mu to wyznać. Obudzili się właśnie rankiem po uroczystej kolacji, którą świętowali rocznicę ślubu. Camille była bardzo szczerą i bezpośrednią osobą - albo przynajmniej za taką się uważała do czasu epizodu z Michaeliem - i jej talent do zachowywania tajemnic najwyraźniej nie obejmował osobistych sekretów.

Byli bardzo szczęśliwym małżeństwem: wszyscy tak twierdzili. Ona sama również, kiedy już zdecydowała się cokolwiek na ten temat powiedzieć. Nie należała do zbyt romantycznych osób. Ale kochała Hala z żarliwą namiętnością, która w przeciwieństwie do małżeństw ich przyjaciół, wraz z upływem czasu nie zamieniała się w coś bardziej swobodnego (jej matka twierdziła, że przyjaciółki w ten eufemistyczny sposób określają małżeństwa, w których brakuje seksu). Stanowili bardzo urodziwą parę. Hal, jak powszechnie uważano, był „w porządku”, ona natomiast - wysoka i silna, z gęstymi jasnymi włosami i piersiami jak barmanka z kreskówki. On, ze swoim uniwersyteckim wykształceniem, widokami na przyszłość i talentem do odnawiania antycznych mebli, gotów był wziąć ją za żonę. Bo nie każdy by się na to zdobył, mimo jej urody. Być może właśnie dlatego ich namiętność i pożądanie stały się tak silne, że zaczęło to prowokować przyjaciół do żartów (Camille zawsze jednak słyszała w ich głosie cień zazdrości). To był ich najlepszy sposób na porozumiewanie się. Kiedy on stawał się milczący i zamknięty w sobie, a ona nie potrafiła przebić niewidzialnego muru, kiedy się kłócili, a ona nie wiedziała, jak ściągnąć go z powrotem do domu, seks zawsze okazywał się najlepszym ratunkiem. Głęboki, radosny, pełen znaczenia. Nie zmieniły tego nawet narodziny Katie. Wraz z upływem lat Camille pragnęła męża coraz bardziej.

I na tym właśnie polegał cały problem. Kiedy Hal założył własną firmę i przeniósł się do nowego warsztatu w Harwich, interesy zaczęły pochłaniać większość jego czasu. „Muszę zostać dłużej w pracy - tłumaczył podczas coraz częstszych późnych rozmów telefonicznych. - Pierwszy rok w działalno-

ści każdej firmy jest najważniejszy". Próbowwała to zrozumieć, ale jej fizyczna tęsknota za nim, jak i problemy czysto praktyczne związane z jego nieobecnością w domu rosły.

Potem nadeszła recesja i ludzie przestali sobie zawracać głowę odnawianiem mebli. Hal stawał się coraz bardziej spięty i czasami w ogóle nie wracał do domu. Zapach potu na jego ubraniu i cień zarostu na twarzy oznaczały kolejną noc spędzoną na kanapie w biurze, a posępna mina - konieczność zwolnienia następnych pracowników i stos niezapłaconych rachunków. Nie chciał już z nią sypiać. Był za bardzo zmęczony. Zbyt przybity. Nie potrafił pogodzić się z porażką. A Camille, która przez trzydzieści pięć lat swojego życia nie zaznała nigdy odrzucenia, wpadła w panikę.

Wtedy właśnie pojawił się Michael Bryant. Przyjechał do miasta z Londynu, by sprostac rosnącemu zapotrzebowaniu na domki na plaży i bungalowy nad morzem. Od samego początku pragnął jej gorąco i natychmiast o tym powiedział. W końcu przyłoczona smutkiem z powodu utraty męża, pozbawiona fizycznej miłości, która utrzymywała ją przy życiu, uległa.

I natychmiast tego pożałowała.

I popełniła błąd, wyznając wszystko Halowi.

Początkowo wpadł w szal, potem zaczął płakać. A ona pomyślała, pełna nadziei, że taki wybuch uczuć jest dobrym znakiem, bo oznacza, że nadal mu na niej zależy. Potem jednak Hal stał się zimny, przeniósł się do pokoju gościnnego, a w końcu do Kirby-le-Soken.

Wrócił trzy miesiące później. Powiedział, że nadal ją kocha. Nigdy nie przestanie. Ale sporo czasu upłynie, zanim znów zaczniesz jej ufać.

Skinęła głową w milczeniu, wdzięczna, że daje jej drugą szansę. Wdzięczna, że ich Katie nie powiększy grona dzieci ze smutnych statystyk. Pełna nadziei, że uda im się odzyskać dawną miłość.

Minał rok, a oni nadal czuli, że poruszają się po polu minowym.

* * *

- Lepiej się czuje?

Katie siedziała w pokoju od frontu, wpatrując się z przejęciem w migające na ekranie telewizora kreskówki.

- Mówi, że tak. Faszujemy ją tabletkami z żelazem. Aż boję się pomyśleć ojej żołądku.

Matka Camille prychnęła cicho i włożyła kolejny stos talerzy do szafki.

- No, przynajmniej trochę się zaróżowiła. Ostatnio rzeczywiście była trochę blada.

- Ty też! Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Wiesz, że nie lubię się wtrącać.

Camille uśmiechnęła się cierpko.

- Co zrobisz z jutrzejszym dniem? Myślałam, że Hal jedzie na weekend do Derby.

- Jedzie tylko na jeden dzień na giełdę antyków. Wróci do domu ostatnim pociągiem. Ale jeśli Katie nie pójdzie do szkoły, będę znów musiała odwołać wizyty. Możesz sprawdzić, czy jajko dla Katie jest już gotowe? Mam mokre ręce.

- Chyba jeszcze minutę... To daleka podróż jak na jeden dzień.

- Wiem.

Krótką chwilą milczenia. Camille wiedziała, że jej matka doskonale zdaje sobie sprawę, dlaczego Hal nie chce nigdzie zostać na noc. Wsunęła ręce głębiej do wody, szukając sztućców.

- Nie powinnaś jej posyłać do szkoły tylko na jeden dzień. Niech lepiej wydobrzeje przez długi weekend. Jeśli chcesz, żebym ją do siebie zabrała, to jestem wolna od późnego ranka. I mogę ją zatrzymać na sobotę wieczór, jeśli chcecie gdzieś wyjść.

Camille skończyła zmywać i ostrożnie postawiła ostatni talerz na suszarce. Zmarszczyła brwi i odwróciła się.

- Nie wybierasz się do Doreen?

- Nie. Muszę się spotkać z tą projektantką. Przekazać klucz. I zabrać resztę moich rzeczy.

Camille zamarła.

- Naprawdę go sprzedałaś?

- Oczywiście - odparła matka beztroskim tonem. - Już dawno.

- Ale... to takie niespodziewane.

- Wcale nie. Powiedziałam ci, że zamierzam to zrobić. Ten człowiek nie musiał obciążać hipoteki, więc nie było sensu odwlekać sprawy.

- Ale to był twój dom.

- A teraz należy do niego. Będzie miała ochotę na keczup?

Camille wiedziała, że kiedy matka przemawia takim tonem, nie należy się z nią spierać. Zdjęła gumowe rękawiczki i zaczęła smarować dłonie kremem, myśląc o domu, który na swój sposób zdominował jej dzieciństwo.

- Co on z nim zrobi?

- Zmieni w luksusowy hotel. Elegancką przystań dla twórczych typów. Mają już w Londynie klub, schodzą się tam pisarze, artyści i aktorzy. Chciał mieć coś podobnego nad morzem, gdzie podobni mu ludzie mogą się zaszyć na jakiś czas. Powiedział, że będzie bardzo nowoczesny. I niezwykły.

- W mieście będą zachwyceni.

- Do diabła z miastem. On nie zamierza zmieniać otoczenia domu, więc co ich to obchodzi?

- Czy ktoś kiedykolwiek potrafił ich powstrzymać od komentarzy, nawet jeśli nie miało ich to niby obchodzić? W Rivierze wpadną w szal. Zabierze im gości.

Pani Bernard ominęła córkę i włączyła czajnik.

- W Rivierze nie mają dość gości, żeby wyjść na swoje. Nie widzę powodu, żeby hotel dla elity z Londynu miał tu cokolwiek zmienić. Nie, to wyjdzie temu miastu na dobre. Ono przecież umiera. Ten hotel może je przywrócić do życia.

- Katie będzie za nim tęsknić.

- Katie nadal będzie mogła tam wpadać. Nowy właściciel powiedział, że chce podtrzymywać związki domu z przeszłością. To mu się w nim od samego początku spodobało, jego historia - dodała z cieniem satysfakcji w głosie. - Poprosił mnie, żebym udzieliła paru rad dotyczących remontu.

- Co takiego?

- Wiem, jak dom dawniej wyglądał. Mam zdjęcia, listy i mnóstwo drobiazgów. To nie jest jakiś początkujący inwestor. Powiedział, że chce zachować charakter tego miejsca.

- Wygląda na to, że ci się spodobał.

- Bardzo mi się spodobał. Dla niego czarne jest czarne. I wszystko go interesuje. Niewielu mężczyzn tego typu jest aż tak ciekawych.

- Jak choćby tato. - Camille nie mogła się powstrzymać.

- On jest młodszy od twojego ojca. Ale tak. Wiesz, że ojciec nigdy nie interesował się tym domem.

Camille pokręciła głową.

- Nie rozumiem, mamo. Naprawdę nie rozumiem dlaczego, po tych wszystkich latach. Zawsze byłeś w tej sprawie bardzo stanowczy, nawet kiedy tato miał już dość...

- Och, wy dzieci - przerwała jej matka. - Myślicie, że świat powinien się wam ze wszystkiego tłumaczyć. To moja sprawa. Mój dom, moja sprawa. Jego sprzedaż nie dotknie żadnego z was, więc dajmy już sobie z tym spokój.

Camille, trwając w zamyśleniu, popijała herbatę.

- Co zrobisz z pieniędzmi? Musiałaś sporo za niego dostać.

- Nie twoja sprawa.

- Powiedziałaś tacie?

- Tak. Prychał tak samo jak ty.

- I powiedział ci, że ma wspaniały pomysł, co zrobić z pieniędzmi.

Matka zaśmiała się cicho.

- Nie darujesz sobie, co?

Camille spuściła głowę. Lepiej wspomnieć o tym mimochodem, jakby nigdy nic.

- Mogłabyś zabrać tatę w rejs. Popłynęlibyście tylko we dwoje.

- I mogłabym przekazać całą sumę NASA, żeby sprawdzili, czy na Marsie mieszkają małe zielone ludziki. No, wypiję herbatę i zajrzę do sklepu. Potrzebujesz czegoś? Zabiorę przy okazji tego twojego psa na spacer. Zaczyna tyć.

* * *

- Ślicznie wyglądasz. Lubię cię w tej fryzurze.
- Dziękuję.
- Czesłaś się tak, kiedy pracowałaś w banku.

Camille podniosła rękę i przesunęła dłonią po eleganckim koku, który przed wyjściem z pracy upięła jej Tess. Ta dziewczyna ma prawdziwy talent, pomyślała. Podejrzewała, że nie minie rok, a Tess odejdzie - jest zbyt dobra jak na salon piękności w sennym nadmorskim miasteczku.

- Rzeczywiście. Masz rację.

Teraz była to ich mała tradycja - w sobotnie wieczory wychodzili gdzieś razem, nie zważając na to, czy ich stać lub czy są zbyt zmęczeni. Matka Camille opiekowała się wówczas Katie - co uwielbiała - a oni oboje bardzo się starali. Ubierali się elegancko, jakby nadal się do siebie zalecali. Tak przynajmniej określiła to pracująca w poradni małżeńskiej pani psycholog. I rozmawiali ze sobą, z dala od telewizora, domowego zamętu. Czasami Camille podejrzewała, że żadne z nich nie ma na to siły, że Hal walczy ze sobą, by wymyślić jakiś elegancki komplement, dzięki czemu udowodni, że podziwia jej wygląd. Trudno było znaleźć temat konwersacji na dwie godziny, jeśli rozmawiało się ze sobą stale przez cały tydzień. Zwłaszcza kiedy nie wolno było ciągle mówić o dziecku lub psie. Ale czasami, jak na przykład dziś wieczór, słyszała szczerłość w jego głosie i czuła się znacznie lepiej po całym tym obrządku, począwszy od długiej kąpieli w wannie po sposób, w jaki Hal odsuwał jej krzesło, gdy siadała przy stole. Od czasu do czasu po powrocie do domu kochali się. „Musicie znaleźć dla siebie trochę czasu - powiedziała psycholog. - Ustalić nowy porządek”. A mieli jeszcze dużo do odbudowania.

Hal zamówił wino. Wiedziała jakie, zanim jeszcze wymówił nazwę: Shiraz. Prawdopodobnie australijskie. Pod stołem oparła swoją nogę o jego udo i poczuła w odpowiedzi lekki nacisk.

- Mama w końcu sprzedała dom.
- Białe?

- Tak. Nie dom taty.
- Czyli doprowadziła rzecz do końca. **Ciekawe dlaczego.**
- Nie wiem. Nie chce mi powiedzieć.
- Jakoś mnie to nie dziwi.

Jej wewnętrzne anteny nastawiły się na wychwycenie złośliwości, ale uznała w duchu, że Hal nawiązał tylko do bardzo skrytej natury jej matki.

- Komu go sprzedała?
- Jakiemuś hotelarzowi. Zmieni go w luksusowe ustronie dla bogaczy.

Hal gwizdnął cicho.

- No to będzie musiał przygotować sporo kasy. Twoja matka od lat nic tam nie robiła.

- Kilka lat temu naprawiła część dachu. Ale nie sądzę, by brak pieniędzy stanął mu na przeszkodzie.

- Nie? Jest bogaty?
- Takie odniosłam wrażenie.
- Ciekawe, ile za niego dostała.
- To piękne miejsce. Z cudownym widokiem. Wydaje mi się, że fakt, iż dom pozostał od lat niezmieniony, przemówi na jego korzyść. Teraz wszędzie reklamują „pierwotny stan”, prawda? Mama sprzedała też chyba część mebli.

- Chciałbym mieszkać w tym domu.

- Ja nie. Zbyt blisko do krawędzi klifu.

- Tak, chyba masz rację.

Czasami udawało im się prowadzić rozmowę bardzo długo, nie czyniąc żadnych aluzji do trudnej sytuacji lub nawet nie myśląc o niej w skrytości ducha. Camille poczuła nagle chęć powiedzenia czegoś jeszcze o domu, żeby przedłużyć tę rozmowę. Właśnie o tej stronie rozstań nigdy nie mówiono: o utracie osoby, z którą wymieniało się wiele bieżących obserwacji nagromadzonych w ciągu dnia. Uwag nie na tyle ważnych, by zasługiwały na telefon do przyjaciółki lub znajomej, ale którymi chciało się z kimś podzielić. Hal zawsze był w tym dobry. Nigdy nie brakowało im tematów do rozmowy. I była mu za to bardzo wdzięczna.

Poczuła zapach kaczki, jeszcze zanim postawiono ją przed nią na stole: gorąca, soczysta, z nutą czegoś cytrynowego w sosie. Nie jadła nic od śniadania - w soboty często tak bywało.

- Wybierasz się jutro do mamy?

- Nie.

- To dokąd jedziesz? - spytała Camille. Gdy tylko wypowiedziała te słowa, uświadomiła sobie, że nie zabrzmiały dobrze. Pojawiła się w nich niezamierzona ostra nuta. Szybko naprawiła swój błąd. - Byłam tylko ciekawa, czy planujesz coś specjalnego.

Hal westchnął, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Nie wiem, czy można to uznać za „coś specjalnego”, ale jeden z moich sąsiadów w Kirby wydaje jutro w południe przyjęcie i zaprosił mnie z Katie. Ma córkę rok młodszą od niej - dodał. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, moglibyśmy się tam wybrać. Dziewczynki świetnie się dogadują.

Camille uśmiechnęła się, próbując ukryć niepokój, który ją ogarnął. Myśl, że ktoś zaprosił ich razem bez niej, sprawiała jej ból. I ta świadomość, że Katie poznaje nowych przyjaciół, zapuszcza korzenie w miejscu, w którym on mieszkał...

- Nie masz nic przeciwko temu?

- Ależ skąd. Byłam tylko ciekawa.

- Możesz z nami pojechać, jeśli masz ochotę. Na pewno ich polubisz. Miałem cię o to poprosić, ale wiem, że w niedzielę lubisz mieć trochę spokoju.

- Jedźcie koniecznie. Ja... tak niewiele wiem o twoim życiu tam, w Kirby. Bardzo trudno jest mi wyobrazić sobie ciebie... ja...

Hal odłożył sztucce i zamyślił się.

- Masz rację - powiedział w końcu. - Chcesz, żebym cię tam kiedyś zawiózł? Miałabyś jakieś pojęcie.

Nie chciała.

- Nie. Nie jestem pewna, czy...

- Posłuchaj, nigdzie nie pojedziemy. Nie czujesz się z tym zbyt dobrze. A nie chcę, żeby tak było.

- Mylisz się. Naprawdę. Jedźcie. To już przeszłość i dobrze, że wynikło z niej coś dobrego. Musicie koniecznie jechać.

„Trzeba mówić otwarcie o tym, co się wydarzyło, stanąć twarzą w twarz z przeszłością, by móc ruszyć dalej”. Tak powiedziała im pani psycholog.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Po jej prawej stronie jakaś para zaczęła się kłócić. Szeptali coś nagłym tonem. Camille nasłuchiwała napięcia wyraźnie słyszalnego w głosie kobiety. Do ich stolika podszedł kelner i napełnił kieliszki.

- Kaczka wygląda bardzo smakowicie - powiedział Hal. Poprawił się na krześle tak, by jego noga mocniej naciskała jej udo. Delikatnie, ale jednak...

- Tak - potwierdziła. - Bardzo.

Kiedy ojciec zjrzał do jej pokoju, Katie nie spała. Czytała książkę z pozaginanymi rogami. Hal wiedział, że przeczytała ją już wcześniej co najmniej dwa razy. Nie chciała sięgać po nic nowego, wracała po kolei do swoich ulubionych czterech czy pięciu książek, mimo że znała ich zakończenie, a niektóre fragmenty nawet na pamięć.

- Cześć - powiedział cicho.

Podniosła buzię, którą oświetlał blask lampki. Na widok jej ślicznej ośmioletniej twarzyczki poczuł ból, kiedy pomyślał o rozczarowaniach, jakie czekają ją w przyszłości.

- Powinnaś już spać.

- Dobrze się bawiliście?

- Wspaniale.

Uspokojona, zamknęła książkę i pozwoliła, by otulił ją kołdra.

- Jedziemy jutro do Kirby?

- Tak. Jeśli nadal masz ochotę.

- A mama?

- Nie. Chce, żebyśmy pobyli razem.

- Ale nie będzie jej przykro?

- Jasne, że nie. Bardzo lubi, gdy poznajesz nowych przyjaciół.

Katie leżała w milczeniu, a ojciec gładził ją po włosach. Ostatnio robił tak bardzo często, wdzięczny, że może powtarzać to każdego wieczoru, kiedy tylko zapragnie.

Katie odwróciła się do niego, marszcząc brwi. ;

- Tatusiu...

- Tak.

- Kiedy odszedłeś...

Poczuł nagły ucisk w piersi. *

- Tak. i

- Czy miałeś dość mamy, bo ona nie widzi?

Hal wpatrywał się w jej kolorową kołderkę z wzorem w różowe kotki. Położył dłoń na małej rączce córki. Odwróciła ją, by móc ścisnąć go za rękę.

- W pewnym sensie, kochanie. Zawiesił głos i głośno wypuścił powietrze. - Ale nie chodziło mi o oczy mamy. Wcale nie ojej oczy.

Rozdział jedenasty

Tradycyjne nadmorskie miasteczka znów były w modzie. Przeczytała o tym w jednym z kolorowych dodatków, w kilku magazynach dla dekoratorów wnętrz i dużym artykule w „Independent”. Po kilku długich dekadach, podczas których proste przyjemności, płynące z rozstawiania parawanów chroniących przed wiatrem, jedzenia zasypanych piaskiem kanapek i nóg posiniałych od zimnej wody, przytłoczyły opalenizna i tanie wycieczki do ciepłych krajów, nastąpił nagły zwrot i przede wszystkim młode rodziny znów zaczęły odwiedzać wybrzeże, próbując powrócić do mitycznej niewinności czasów dzieciństwa. Bardziej zamożni kupili rozpadające się domy i bungalowy, podczas gdy reszta nabywała gremialnie domki na plaży, co niemiłosiernie podniosło ich ceny. Sidmouth zastąpiło St. Tropez, Alicante musiało ustąpić miejsca Alderburgh. Każdy, kto się liczył, spacerował teraz po rzekomo zachowanym w naturalnym stanie nadmorskim miasteczku, jadał w małych restauracyjkach serwujących rybę z frytkami i wychwalał pod niebiosa radość płynącą z zabawy w piasku.

Wyglądało jednak na to, że w Merham nikt o tym nie wiedział. Daisy przejeżdżała powoli przez miasteczko. Choć widoczność utrudniały łóżeczko podróżne, wysokie krzesółko

i worki ubrań, które jakimś cudem udało się wcisnąć do bagażnika i na tył samochodu, obrzucała zaciekawionym spojrzeniem zakurzony sklep z przyborami do dziergania, supermarket oferujący klientom najniższe ceny i kościół adwentystów dnia siódmego. Nagle ogarnęło ją złe przeczucie. Z pewnością nie było to Primrose Hill. Nawet zalane ciepłym blaskiem wiosennego popołudnia miasteczko wyglądało na wyblakłe i zmęczone, tkwiące jeszcze głęboko w czasach, kiedy wszystko, co odważne i piękne, uważano za „wyzywające” i w związku z tym wielce niepożądane.

Zatrzymała się przed skrzyżowaniem, przez które przechodziły powoli dwie starsze kobiety. Jedna z nich opierała się ciężko o wózek do zakupów, a druga wycierała nos w kolorową chusteczkę.

Jeździła już blisko piętnaście minut, próbując znaleźć dom, i w tym czasie dostrzegła zaledwie dwie osoby w wieku przedemerytalnym. Nad salonem samochodowym wisiał transparent reklamujący specjalne oferty dla osób niepełnosprawnych, a jedyna restauracja wciśnięta była między sklep z aparatami słuchowymi a trzy sklepy charytatywne, których smutne wystawy ugięły się od niemodnej porcelany, wielkich męskich spodni i zabawek przytulanek, których nikt nie chciał przytulać. Jediną zaletą, którą broniło się miasteczko, była piękna, szeroka plaża ograniczona po jednej stronie ciemną wodą, a po drugiej wypieszczonym parkiem.

Kiedy zauważyła mężczyznę z małą dziewczynką, opuściła szybko szybę.

- Przepraszam! - zawołała.

Mężczyzna podniósł wzrok. Miał ubranie typowe dla młodego człowieka, lecz twarz za okularami w cienkich oprawkach była zmęczona, przedwcześnie postarzała, pokryta siecią drobnych zmarszczek.

- Mieszka pan tutaj?

Spojrzał na małą, która ścisnęła zawzięcie opakowanie baterii, próbując wydobyć jedną ze środka.

- Tak.

- Czy może mi pan powiedzieć, jak dojechać do Arcadii? W jego oczach pojawił się błysk rozpoznania.
- Pani jest tą projektantką, prawda?
- O Boże, wszystko, co mówili o tych miasteczkach, to prawda. Zmusiła się do uśmiechu.
- Tak. A przynajmniej będę, jeśli uda mi się znaleźć ten dom.
- To niedaleko. Musi pani skręcić w prawo, dojechać do ronda, a potem jechać cały czas wzdłuż parku. Dom stoi na klifie. Ostatni na tej drodze.
- Dzięki.
- Dziewczynka szarpnęła dłoń mężczyzny.
- Tato... - powiedziała z niecierpliwością.
- Znajdzie tam pani chyba poprzednią właścicielkę. Cze-ka na panią. Powodzenia - dodał i się uśmiechnął. Odwrócił się, zanim zdążyła go zapytać, skąd o tym wie.

Dom wszystko jej wynagrodził. Wiedziała to od pierwszej chwili. Kiedy zobaczyła go w całej okazałości - wielki, biały, rozciągający się przed nią na końcu podjazdu - poczuła dreszcz podniecenia. Był większy, niż się spodziewała, dłuższy i niższy, z wielkimi oknami i iluminatorami, wychodzącymi na migoczące w dole morze. Ellie nadal spała w swoim foteliku, więc Daisy otworzyła drzwi, odkleiła się od wilgotnego siedzenia i stanęła na zwirowanym podjeździe. Zmęczenie i ból zeszywniałych mięśni ustąpiły natychmiast, kiedy zaczęła chłonać wzrokiem nowoczesną linię budynku i odważne rozwiązania. Wdychała słone, morskie powietrze. Nie musiała nawet zaglądać do środka - wiedziała, że pokoje w tym wielkim, przypominającym nadmorską skałę domu będą przestronne i jasne. Daniel zrobił sporo zdjęć i przywiózł je, kiedy siedziała z małą Ellie. Nocami opracowywała pomysły, rysowała szkice. Ale zdjęcia nie potrafiły powiedzieć wszystkiego, nie oddawały minimalistycznego piękna domu, jego surowego uroku, a projekty, które wtedy przygotowali, teraz wydawały się zbyt proste i przyziemne.

Spojrzała za siebie, by sprawdzić, czy Ellie jeszcze śpi, po czym podbiegła, by otworzyć furtkę prowadzącą do ogrodu. Znalazła tam taras z łuszczącą się, pokrytą mchem białą farbą. Obrosnięte bzem wąskie schodki biegnące wzdłuż murku prowadziły prosto na plażę. Lekki wietrzyk poruszał gałęziami dwóch wysokich sosen, a cała gromada podekscytowanych wróbli szalała na zaniedbanym żywopłocie.

Daisy rozejrzała się dookoła. Głowę miała pełną nowych pomysłów, które powoli odrzucała, odkrywając kolejne zaskakujące rozwiązania. Przez chwilę pomyślała o Danielu, o tym, że to miał być ich wspólny projekt, lecz szybko odsunęła od siebie tę myśl. Będzie w stanie temu podołać tylko wtedy, jeśli potraktuje to jako początek zupełnie nowego życia, jeśli, jak określiła to Julia, zbierze się w kupę. Dom na pewno jej w tym pomoże. Zbiegła po paru stopniach, zajrzała do okien, oglądała go z różnych kątów, odkrywając drzemiące w nim możliwości. O Boże, zrobi z niego prawdziwe cacko. Krył w sobie więcej obietnic niż cokolwiek, z czym miała dotąd do czynienia. Zmieni go w coś, co uświetni strony najmodniejszych magazynów - magiczne ustronie, które przyciągnie wszystkich mających pojęcie, co oznacza styl. On sam się zaprojektuje, pomyślała. Już zaczyna do mnie przemawiać.

- Ćwiczysz jej pani płuca?

Daisy odwróciła się gwałtownie i ujrzała zalaną łzami buzię Ellie, którą trzymała w ramionach niewysoka, starsza kobieta ze szpakowatymi włosami ostrzyżonymi na pazia.

- Słucham? - Weszła na stopnie.

Kobieta podała jej Ellie. Na ręce nieznamomej zadzwęczało kilka metalowych kółeczek.

- Pomyślałam, że chce ją pani wychować na śpiewaczkę operową, bo pozwala jej pani tak krzyczeć.

Daisy przesunęła delikatnie dłonią po mokrej twarzyczce córki. Ellie pochyliła się i oparła głowę na piersi matki.

- Nic nie słyszałam - odparła niepewnie. - Nic.

Kobieta zrobiła parę kroków i spojrzała na morze.

- Myślałam, że wy, młode matki, wpadacie w paranoję z powodu grasujących porywaczy. Boicie się zostawić dzieci same choćby na minutę. - Spojrzała obojętnie na Ellie, która się do niej uśmiechnęła. - Ile ona ma? Cztery, pięć miesięcy? Wygląda na to, że wszystko się wam pomieszało. Najpierw zamartwiacie się, czy jedzą zdrowe produkty, wypchacie je do samochodu, by przejechać pięć metrów, a potem zostawiacie same, żeby wrzeszczały gdzieś na pustkowiu. To bez sensu.

- Przecież nie jesteśmy na żadnym pustkowiu.

- Wynajmujecie niańki, a potem narzekacie, że się do nich przywiązują.

- Nie mam niańki. I nie zostawiłam jej świadomie. Spała. - Daisy poczuła, że głos zaczyna jej drżeć od powstrzymywanych łez. Ostatnio stała się gdzieś czaiły, czekając na stosowną chwilę, by wypłynąć na powierzchnię.

- Nieważne. Na pewno chce pani klucze. Jones, czy jak tam on się nazywa, przyjedzie tutaj dopiero w połowie tygodnia, więc prosił, żebym pomogła się pani zainstalować. Zostawiłam stare łóżeczko mojej wnuczki, odrobinę obgryzione na górze, ale poza tym w dobrym stanie. Jest tu też trochę mebli i naczynia w kuchni. Zostawiłam też pościel i ręczniki, bo nie powiedział, co pani ze sobą weźmie. W kuchni stoi pudło z zakupami. Pomyślałam, że pewnie niewiele pani przywiezie. - Spojrzała jej przez ramię. - Mój mąż dostarczy pani później kuchenkę mikrofalową, bo nie mogliśmy uruchomić pieca, więc będzie pani miała coś do podgrzewania butelek. Powinien tu być koło wpół do siódmej.

Daisy nie wiedziała, jak zareagować na tak gwałtowną zmianę frontu.

- Dziękuję.

- Będę tu zaglądać. Ale na pewno nie będę wchodzić pani w drogę. Mam tutaj jeszcze parę rzeczy, które chciałabym zabrać. Jones powiedział, że nie muszę się spieszyć.

- Tak. Oczywiście. Przepraszam, ale nie dosłyszałam pani nazwiska.

- Bo go pani nie podałam. Nazywam się Bernard.
- A ja jestem Daisy. Daisy Parsons.
- Wiem.

Kiedy Daisy wyciągnęła rękę, poprawiając trzymaną na biodrze Ellie, zauważyła, że kobieta spojrzała szybko na jej palce.

- Będzie tu pani mieszkać sama?
- Daisy spojrzała na swoją dłoń.
- Tak.

Pani Bernard skinęła głową, jakby właśnie tego należało się spodziewać.

- Pójdę sprawdzić, czy działa ogrzewanie, a potem zostawię panią samą. Teraz nie trzeba go włączać, ale w nocy ma być przymrozek. - Kiedy dotarła do furki, odwróciła się. - To miejsce bardzo denerwuje wiele osób. Na pewno zaraz tu przylecą, żeby zacząć panią pouczać.

- No to mam na co czekać - odparła cicho Daisy.
- Na pani miejscu nie zwracałabym na nich uwagi. Ten dom zawsze budził niepokój. Nie widzę powodu, dlaczego teraz miałyby być inaczej.

Dopiero kiedy Ellie zasnęła na dużym łóżku, obłożona dla bezpieczeństwa poduszkami, po twarzy Daisy popłynęły łzy. Siedziała w pustym domu, zmęczona, samotna i bez córeczki domagającej się bezustannej uwagi. Nie potrafiła uciec myślami od gigantycznego przedsięwzięcia, z którym postanowiła się zmierzyć, i faktu, że zdecydowała się tego podjąć zupełnie sama.

Zjadła podgrzany w mikrofalówce posiłek, zapaliła papierosa (znów wróciła do nałogu) i wędrowała po zniszczonych pokojach, w których unosił się zapach stęchłego materiału i wosku. Powoli wizje stron w modnych magazynach i surowych modernistycznych ścian ustąpiły miejsca innym obrazom: jej samej, z wrzeszczącym niemowlęciem w ramionach, użerającej się z leniwymi robotnikami i wściekłym właścicielem, podczas gdy na zewnątrz tłum rozgniewanych

mieszkańców miasteczka domaga się, by zabierała się stąd jak najszybciej.

Co ja narobiłam? - pomyślała, pogrążając się w rozpacz. Dom jest za duży; mogłabym spędzić cały miesiąc tylko w jednym pokoju. Ale nie miała odwrotu: mieszkanie w Primrose Hill było puste, meble zawiozła do siostry, zostawiła kilkanaście wiadomości do Daniela na automatycznej sekretarce jego matki (przejęta i skruszona wyjaśniła już wcześniej, że ona też nie ma pojęcia, dokąd pojechał jej syn). Jeśli Daniel nie odbierze wiadomości, nie dowie się, gdzie ich szukać. Rzecz jasna jeśli będzie chciał szukać.

Pomyślała o śpiącej spokojnie Ellie. Nie miała pojęcia, że ojciec ją porzucił. Jak poradzi sobie ze świadomością, że nie kochał jej dość mocno, by zostać? Jak mógł jej nie kochać dość mocno?

Płakała przez dwadzieścia minut, cichutko, wciąż bojąc się obudzić małą, nawet w tej ogromnej przestrzeni. W końcu zmęczenie i szum morza ją także ukołysały do snu.

Kiedy się obudziła, znalazła na werandzie jeszcze jedno pudło, a w nim dwa kartony pełnotłustego mleka, mapę Merham i okolic oraz kilka używanych, ale czyściutkich zabawek.

Jak na dziecko, które zaczynało płakać, kiedy położyło się je nie na tym końcu kanapy co trzeba, Ellie przystosowała się do nowych warunków nadspodziewanie dobrze. Leżała na swoim małym kocyku, wyglądając przez ogromne okno i gruchając do mew, które z krzykiem szybowały po niebie, lub z fotelika obserwowała, jak matka porusza się po pokoju, i próbowała wsunąć do buzi każdy przedmiot, jaki tylko znalazł się w zasięgu małych rączek. W nocy często spała nieprzerwanie po pięć, sześć godzin - po raz pierwszy w swoim krótkim życiu.

Jej wyraźny zachwyt nowym otoczeniem sprawiał, że w ciągu pierwszych kilku dni Daisy mogła opracować sporo nowych planów, zainspirowana wciąż widocznymi szkicami

na ścianach i napisanymi odręcznie wskazówkami, które przetrwały tam kilka dekad. Zapytała o nie panią Bernard, ciekawa, kto jest ich autorem, lecz ta powiedziała, że były tam zawsze. Kiedy Daisy pokazała, o co konkretnie chodzi, wyjaśniła, że kolega jej córki pisał w dzieciństwie po ścianach i kiedy to zobaczyła, przepędziła go miotłą.

Pani Bernard przychodziła codziennie. Daisy nadal nie wiedziała, dlaczego to robi - nie szukała jej towarzystwa i zbywała prychnięciem większość uwag.

- Nie mam pojęcia, po co mi pani to mówi - odparta, gdy Daisy wyglądała na mocno rozczarowaną jej reakcją.

- Bo dom należał kiedyś do pani? - powiedziała zmęczona jej głosem.

- A teraz nie należy. Nie ma sensu wracać do przeszłości. Jeśli wie pani już, co chce tu zrobić, to proszę się do tego zabrać. Nie potrzebuje pani mojej aprobaty.

Daisy podejrzewała, że zabrzmiało to bardziej ostro, niż zamierzała.

Doszła do wniosku, że panią Bernard przyciąga do domu Ellie. Podchodziła do niej nieśmiało, ostrożnie, jakby obawiając się, że Daisy zabroni jej się mieszać w nie swoje sprawy. Po chwili jednak, spoglądając ukradkiem na Daisy, brała malutką na ręce i nabierając pewności siebie, nosiła po pokojach, pokazywała najróżniejsze rzeczy i przemawiała, jakby Ellie była co najmniej dziesięć lat starsza. Potem oznajmiała lekko wyzywającym tonem: „Lubi patrzeć na sosny” lub „Jego ulubionym kolorem jest niebieski”. Daisy nie miała nic przeciwko temu: była wdzięczna, że ktoś zajmuje się dzieckiem, bo dzięki temu mogła się skoncentrować na projektach. Zdążyła już bowiem zrozumieć, że przeprowadzenie remontu z domagającym się jej niepodzielnej uwagi pięciomiesięcznym niemowlęciem w ramionach jest prawie niemożliwe.

Pani Bernard niewiele mówiła o swojej roli w historii domu i choć Daisy była coraz bardziej ciekawa, coś w zachowaniu starszej kobiety powstrzymywało ją przed zadawaniem dalszych pytań. W rozmowie wspomniała, że miała go

„od zawsze”, że jej mąż nigdy tu nie przychodził i że powodem, dla którego w drugiej, większej sypialni nadal stoi łóżko i komoda, jest fakt, iż traktowała ją jako azyl przez większą część swego małżeństwa. Nie mówiła jednak nic więcej o rodzinie. Daisy też nie wspominała nic o swojej. Egzystowały razem w kłopotliwej symbiozie; Daisy była wdzięczna pani Bernard za opiekę nad dzieckiem, lecz jednocześnie świadoma pewnej ukrytej dezaprobaty, z jaką podchodziła zarówno do jej sytuacji, jak i do jej planów dotyczących hotelu. Czuła się przez to trochę jak potencjalna synowa, która z niewyjaśnionych do końca powodów nie spełnia pokładanych w niej oczekiwań.

We środę okres niezwyklej grzeczności Ellie dobiegł końca. Obudziła się za kwadrans piąta i za nic nie chciała zasnąć, więc o dziewiątej Daisy ledwo patrzyła na oczy ze zmęczenia i nie miała pojęcia, jak uspokoić swoje marudne dziecko. Padał deszcz, po niebie sunęły ciężkie czarne chmury, zmuszając do pozostania w domu, a rosnące wokół Arcadii krzewy ugięły się w podmuchach wiatru. W dole szumiało morze, szare i niespokojne, jakby chciało rozwiać wszelkie romantyczne wizje związane z brytyjskim wybrzeżem. W dodatku tego dnia pani Bernard postanowiła się nie pokazywać. Daisy chodziła tam i z powrotem po pokoju i kołyszac małą w ramionach, próbowała znaleźć dość miejsca w swoim udręczonym umyśle na regenerację drewnianych podłóg i mosiężnych gałek do drzwi.

- No, Ellie, proszę cię, kochana - mruzczała zupełnie bezskutecznie, a dziecko płakało coraz głośniej, jakby urażone prośbami matki.

Za kwadrans jedenasta, dokładnie dwie i pół minuty po tym, jak Daisy zdołała wreszcie uśpić małą, oraz trzydzieści sekund po tym, jak zapaliła swojego pierwszego papierosa, zjawił się Jones. Patrzyła na bałagan, który panował w pokoju, na wpół puste kubki po kawie, resztki posiłku z mikrofalówki, który zjadła wieczorem, i zastanawiała się, na co wy-

starczy jej energii. Jones oczywiście zatrzasnął za sobą drzwi, co spowodowało, że na górze rozległ się natychmiast przeraźliwy płacz Ellie. W efekcie Daisy obrzuciła swego szefa jadowitym spojrzeniem, a on rozglądał się z niedowierzaniem po swoim zdecydowanie nieminimalistycznym salonie.

- Jones - powiedział, spoglądając na sufit, skąd dobiegały stłumione krzyki Ellie. - Zapomniałaś chyba, że mam dziś przyjechać.

Był młodszy, niż się spodziewała, zbliżał się dopiero do wieku średniego i wyglądał groźnie z czarnymi brwiami zmarszczonymi nad złamanym kiedyś nosem. Poza tym był wysoki i miał lekką nadwagę. Nadawało mu to wygląd rugbisty, ale nosił stonowane ubranie, typowe dla bardzo bogatych - ciemne wełniane spodnie i drogą szarą koszulę.

Daisy próbowała zignorować płacz dziecka. Wyciągnęła rękę, walcząc z pragnieniem skarcenia go za tak hałaśliwe zachowanie.

- Daisy. Wiesz, że... Dziś rano jest niespokojna. Ale normalnie jest bardzo grzeczna. Zrobić ci kawę?

Spojrzał na kubki leżące na podłodze.

- Nie, dziękuję. Śmierdzi tu dymem.

- Miałam właśnie otworzyć okno.

- Wolałbym, żebyś nie paliła w domu. Jeśli to w ogóle możliwe. Pamiętasz, dlaczego tu jestem?

Daisy rozpaczliwie szukała w myślach powodu jego wizyty, jakby próbując zobaczyć coś przez warstwę gazy.

- Ma dziś przyjść pani architekt z biura planowania miasta, by rzucić okiem na plany łązienek. I przeróbkę garażu? Na mieszkania dla obsługi?

Daisy przypomniała sobie mgliście list, w którym coś o tym wspomniano. Wrzuciła go do torby razem z innymi dokumentami.

- Tak - odparła. - Oczywiście.

On jednak nie dał się zwieść.

- Może przyniosę z samochodu moje kopie planów, żeby wyglądało, że jesteśmy przygotowani do tego spotkania.

Na górze Ellie płakała coraz rozpaczliwiej.

- Ależ ja jestem przygotowana. Wiem, że wszystko wygląda trochę chaotycznie, ale nie miałam dziś rano okazji, żeby to ogarnąć.

Przed trzema tygodniami Daisy przestała karmić piersią, lecz na dźwięk płaczu dziecka poczuła, że z sutków zaczyna wyciekać mleko.

- Zaraz przyniosę teczkę - rzuciła szybko. - Jest na górze.

- A ja zabiorę się do sprzątanía. Powinna przynajmniej pomyśleć, że podchodzimy do sprawy profesjonalnie, prawda?

Zmusiła się do uśmiechu i mijając go, popędziła na górę, miotając pod nosem przekleństwa. Kiedy już znalazła się w sypialni, uspokoiła dziecko, po czym zaczęła gorączkowo grzebać w torbie, szukając bardziej odpowiedniego stroju. A przynajmniej czegoś, co nie było dressem, poplamionym jedzeniem i wymiocinami niemowlęcia. Znalazła czarną koszulkę polo i długą spódnice, przebrała się szybko i wsunęła za stanik chusteczki higieniczne, by zapobiec dalszym żenującym wpadkom. W końcu, zebrawszy włosy w koński ogon (na szczęście siostra zmusiła ją do zlikwidowania odrostów), zeszła po schodach, trzymając na biodrze spokojną już Ellie. Pod drugie ramię wsunęła teczkę z planami łazienek.

- Co to jest? - Trzymał w ręce kartki z nowymi projektami.

- To tylko kilka nowych pomysłów. Miałam właśnie z tobą porozmawiać...

- Myślałem, że wszystko już ustaliliśmy. Wystrój każdego pokoju. I kosztorysy.

- Wiem. Ale kiedy tu przyjechałam, dom okazał się tak niesamowity... przyszły mi do głowy zupełnie nowe rozwiązania. ..

- Trzymaj się planów, dobrze? Już i tak mamy bardzo napięty harmonogram. Nie mogę sobie pozwolić na żadne opóźnienia. - Rzucił papiery na starą sofę.

Kiedy spłynęły z szelestem na podłogę, Daisy poczuła, że ogarniają złość.

- Nie myślałam o żadnych dodatkowych kosztach - powiedziała z naciskiem. - Odniosłam wrażenie, że zależy ci na jak najlepszych projektach.

- A ja odniosłam wrażenie, że już je zamówiłem.

Daisy wytrzymała jego przenikliwe spojrzenie. Postanowiła, że nie da sobą pomiatać. Sądził, że nie zdoła sprostać temu zadaniu. Widać to było po jego zachowaniu, sposobie, w jaki wzdychał, przechadzając się po pokoju, w jaki jej przerywał, w jaki obrzucał ją spojrzeniem od stóp do głów, jakby była intruzem i wdarała się tu siłą.

Pomyślała przez chwilę o Weybridge. A potem Ellie kichnęła, spięła się cała i zalała czyste śpioszki brzydko pachnącą zawartością swego pęcherza.

Wyjechał, częściowo uspokojony, po lunchu. Plany zostały zaaprobowane przez panią architekt, która była tak zauroczona czyściutką już i uśmiechniętą Ellie, że prawdopodobnie wyraziłaby zgodę na wybudowanie trzypasmowej autostrady ciągnącej się od pomieszczeń gospodarczych do ogrodu.

- Miło zobaczyć, że ten dom ożywa po latach - powiedziała, gdy skończyli obchód. - A dla mnie to bardzo przyjemna odmiana po podwójnych garażach i oranżeriach. Będzie tu bardzo pięknie, a jeśli zrobicie wszystko według planów, nie powinniście mieć żadnych problemów z radą miasta.

- Powiedziano mi, że mieszkańcy miasteczka nie są zachwyceni remontem domu. - Daisy dostrzegła spojrzenie, jakim obrzucił ją Jones, gdy wypowiadała te słowa.

Kobieta wzruszyła tylko ramionami.

- Szczerze mówiąc, mieszkańcy miasteczka są bardzo zafocani. I sami za to płacą. Inne małe uzdrowiska zgodziły się na otwarcie pubu lub restauracji nad morzem i teraz świetnie prosperują przez cały rok. Biedne stare Merham tak bardzo dba o to, by wszystko pozostało jak dawniej, że traci jedną szansę po drugiej. - Machnęła ręką w stronę okna. - Wszystko zaczyna się tu rozpadać. Nie ma żadnych atrakcji dla młodych ludzi. Osobiście uważam, że nowi goście wniosą ze so-

bą trochę świeżej krwi. Ale zachowajcie moją opinię dla siebie.

Pogłaskała czule Ellie po policzku i wyszła, obiecując, że pozostanie w kontakcie.

- No, chyba nieźle nam poszło. - Idąc korytarzem, Daisy uznała, że zasługuje na pochwałę.

- Tak jak mówiła, miastu potrzebne są nowe inwestycje.

- Cieszę się, że zaaprobowała plany.

- Skoro wykonałaś je jak należy, nie widzę powodu, dlaczego miałyby być inaczej. Muszę już wracać do Londynu na spotkanie o piątej. Kiedy wchodzi robotnicy?

Miał potężną sylwetkę i wyglądał naprawdę groźnie. Daisy poczuła, że się kuli, kiedy idąc w stronę drzwi, minął ją w korytarzu.

- Hydraulicy przyjdą we wtorek, a dwa dni później zaczną rozbierać ścianę w kuchni.

- Dobrze. Bądź ze mną w kontakcie. Przyjadę w przyszłym tygodniu. W tym czasie znajdź sobie opiekunkę do dziecka. Nie możesz się nim zajmować, kiedy powinnaś nadzorować prace. Och - spuścił wzrok - papier toaletowy przyczepił ci się do swetra.

Nie pożegnał się. Ale wychodząc, nie trzasnął drzwiami.

W Weybridge zawsze będzie czekać na nią wolne łóżko. Nie wolno jej o tym zapominać, powiedziała jej przez telefon siostra. Już trzy razy. Najwyraźniej myślała, że Daisy zupełnie oszalała, ciągnąc swoją maleńką córeczkę do jakiejś pełnej przeciągów ruiny nad morzem, kiedy mogłaby mieszkać w najlepszym, wyposażonym w centralne ogrzewanie pokoju w pensjonacie Julii, mając do dyspozycji darmową opiekę nad dzieckiem. Ale ona musiała wszystko zrobić po swojemu. Julia przynajmniej to rozumiała.

- Chcę tylko, żebyś wiedziała, że jestem. Kiedy będziesz potrzebowała, żeby pozbiierać cię w kupę.

- Już się nie rozsypuję. Wszystko jest w największym porządku. - Daisy mówiła bardziej przekonująco, niż się czuła.

- Liczysz kalorie?
- Nie. I nie ćwiczę. Ani nie układam włosów na szczotce. Jestem zbyt zajęta.
- To dobrze. Przynajmniej masz o czym myśleć. A Szkarłatny Kwiat*? Miałaś od niego jakieś wiadomości?
- Nie. - Przestała już dzwonić do jego matki. To stało się żenujące.
- Wiem, że nie chcesz o tym słyszeć, ale zdobyłam numer agencji załatwiającej alimenty. Kiedy będziesz gotowa, daj mi znać.
- Julio...
- Jeśli chciał się bawić w dorosłego, powinien być przygotowany na to, że poniesie konsekwencje jak dorosły. Posłuchaj, do niczego cię nie zmuszam. Chcę ci tylko powiedzieć, że go mam. Kiedy będziesz gotowa. Tak jak pokój. Czeka na ciebie.

Daisy, pchając przed sobą wózek z Ellie, szła ścieżką nad wybrzeżem. Paliła czwartego papierosa tego ranka. Julia uważała, że jej się nie uda. Była przekonana, że zacznie prace w Arcadii, potem przyzna, że to ją przerasta, spakuje się i wróci. Nie mogła jej mieć tego za złe, zważywszy na stan, w jakim ją znalazła. A przez ostatnie kilka dni wizja powrotu do Weybridge stawała się coraz bardziej atrakcyjna. Hydraulicy nie zjawili się we wtorek, jak obiecali, gdyż musieli się zająć jakimiś nagłymi naprawami. Ekipa budowlana zaczęła rozbierać ścianę w kuchni, lecz nie dostarczono potrzebnej stalowej belki stropowej, więc zatrzymali się na niewielkim otworze, „dla bezpieczeństwa”. Teraz siedzieli na tarasie, ciesząc się wiosennym słońcem i robiąc zakłady na gonitwy w Cheltenham. Kiedy spytała, czy nie mogliby się zająć czymś innym, zaczęli wykrzykiwać coś na temat zasad bezpieczeństwa. Zacisnęła zęby, by powstrzymać napływają-

* Tytułowy bohater powieści „płaszczka i szpady”, której autorką jest baronowa Emmuska Orczy (1865-1947), angielska pisarka pochodzenia węgierskiego.

jące do oczu łzy, i próbowała nie myśleć, że wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby porozmawiał z nimi Daniel. Wreszcie, spędziwszy większą część ranka na rozmowach telefonicznych z różnymi dostawcami, wyszła, by zaczerpnąć trochę powietrza.

Źle się stało, bo gdyby nie stres związany z remontem Arcadii, byłaby tego ranka niemal radosna. Całe otoczenie jakby się zmówiło, by poczuła się lepiej: morze i niebo były pocztówkowo niebieskie, wiosenne żonkile wyrastały wśród trawy, a lekki wietrzyk przynosił ze sobą zapowiedź lata. Ellie piszczała i gruchała do mew, które śmigały w powietrzu nad nimi, licząc na to, że uda im się wyrwać z wózka jakiś smakowity kęs. Po częstych spacerach na świeżym powietrzu jej policzki wyglądały jak lśniące jabłka („Są spierzchnięte”, rzuciła z dezaprobatą pani Bernard). Samo miasto też wyglądało bardziej radośnie, głównie dzięki straganom rozstawionym na niewielkim rynku. Pasiaste parasole i bogactwo oferowanych towarów dodawały tak bardzo potrzebnych tutaj kolorów.

- Hej, Ellie - powiedziała Daisy do córeczki - mama dziś zaszaleje i zrobi sobie na kolację pieczone ziemniaki.

Zrezygnowała już z podgrzewanych w mikrofalówce posiłków i ostatnio odżywiała się głównie kanapkami i resztkami ze słoiczków Ellie. Często była zbyt zmęczona, by zjeść nawet i to, i zasypiała, siedząc na kanapie. W efekcie budziła się o piątej rano z żołądkiem ściśniętym z głodu.

Zatrzymała się na chwilę przy straganie, by kupić marchewkę do utarcia dla Ellie i owoce dla siebie. Przynajmniej nie trzeba ich gotować. Kiedy odbierała resztę, poczuła, że ktoś lekko stukają w ramię.

- Czy ty jesteś tą dziewczyną z domu aktorki?

- Słucham? - Daisy otrząsnęła się ze swego owocowo-warzywnego zamyślenia. Odwróciła się i ujrzała kobietę w średnim wieku w zielonym żakiecie w kratę, z gatunku ulubionych przez koniarzy, i wiśniowym miękkim kapeluszu nasuniętym nisko na czoło. Na łydkach miała czerwone ge-

try, a na nogach solidne półbuty. Podobnie jak jej zapchlony wilczur, stała zdecydowanie zbyt blisko.

- Ty jesteś tą dziewczyną z Arcadii? Tą, która rozbiera dom na kawałki?

Jej ton był na tyle agresywny, że zwrócił uwagę kilku stojących w pobliżu osób. Odwróciły się zaciekawione, z zakupami w rękach.

- Nie „rozbieram go na kawałki”, ale rzeczywiście jestem projektantką, która pracuje w Arcadii.

- Czy to prawda, że zamierzacie tam otworzyć publiczny bar? Aby przyciągnąć najróżniejsze typy z Londynu?

- Tak, będzie tam bar. Nie potrafię jednak powiedzieć, kim będą jego klienci, bo pracuję tylko nad wystrojem.

Twarz kobiety czerwieniała coraz bardziej. Przemawiała głosem osoby, która lubi, by jej zdanie zostało wysłuchane. Tymczasem pies, czego zdawała się nie zauważać, natarczywie obwąchiwał Daisy. Machnęła ręką, żeby go odstraszyć, lecz on spojrzał tylko na nią żółtymi ślepiami i przesunął nos jeszcze wyżej.

- Nazywam się Sylvia Rowan. Jestem właścicielką Rivie-ry. I czuję się zobowiązana poinformować cię, że nie chcemy tu kolejnego hotelu. A już na pewno takiego, który przyciągnie całą zgraję niepożądanych typów.

- Nie uważam...

- To nie jest pierwsze lepsze miasto. Nie możesz tego wiedzieć, ale ciężko pracowaliśmy, by uczynić z niego wyjątkowe miejsce.

- Może i jest wyjątkowe, ale nie wydaje mi się, by graniczyło z Watykanem.

Zbliżyły się do nich jeszcze co najmniej cztery osoby, czekając na kolejną wymianę zdań. Daisy czuła się bezbronna z córeczką w wózku, co z kolei wyzwoliło w niej agresję.

- Mamy pozwolenie na wszystkie przeróbki. A każdy otwarty tam bar bez wątpienia otrzyma licencję od stosownych władz. A teraz przepraszam panią...

- Ty nic nie rozumiesz, prawda? - Sylvia Rowan stanęła

tuż przed wózkiem Ellie, tak że Daisy musiała albo ją ominąć, wjeżdżając w tłumek gapiów, albo przejechać. Pies obserwował ją z wyrazem oczu, który można by potraktować jako entuzjazm lub złośliwość. Trudno było to stwierdzić na pewno. - Mieszkam w tym mieście przez całe życie i zawsze staraliśmy się utrzymać tu pewien poziom - rzuciła Sylvia, wymierzając portfel prosto w pierś Daisy. - A to oznacza protest przeciwko otwieraniu niezliczonych barów i kafejek wzdłuż wybrzeża, jak stało się w wielu innych nadmorskich miasteczkach. Dzięki temu przyjemnie się tu mieszka, a nasi goście chętnie tutaj przyjeżdżają.

- Nie ma to oczywiście nic wspólnego z faktem, że jeden z barów działa w pani hotelu.

- To nieistotne. Ja mieszkam tu przez całe życie.

- Dlatego nie zauważyła pani pewnie, że miasto podupada.

- Posłuchaj, panno jak ci tam. Nie chcemy tu żadnych szumowin. I nie życzymy sobie, by opadły nas pijane typy z Soho. To miasto nie jest dla nich.

- Arcadia nie będzie hotelem dla szumowin. Jego goście będą ludźmi na poziomie, gotowymi zapłacić dwieście lub trzysta funtów za noc. A tacy ludzie oczekują dobrego smaku, ciszy i cholernego spokoju. Proszę to przyjąć do wiadomości i pozwolić mi pracować.

Daisy ominęła ją, nie zwracając uwagi na wysypujące się z torby ziemniaki, i ruszyła szybkim krokiem przez rynek, mrugając wściekle oczami. Po paru krokach odwróciła się.

- I powinna pani lepiej wychować swojego psa! - zawołała. - Zachowuje się okropnie.

- A ty poinformuj swojego szefa, młoda damo, że nie powiedziałam jeszcze ostatniego słowa - dobiegł ją ostry głos Sylvii Rowan. - „My lud Anglii... jeszcze nie przemówiliśmy”.

- Och, odczep się, ty stara krowo - mruknęła Daisy i z dala od gapiów zapaliła piątego papierosa, zaciągnęła się głęboko i się rozpłakała.

Rozdział dwunasty

Daisy Parsons wyrosła na młodą kobietę, na której widok starsi mruczą z aprobatą: „Urocza”. I rzeczywiście taka była już jako dziecko, ze złotymi loczkami, stale uśmiechniętą buzią i pragnieniem sprawiania wszystkim przyjemności. Uczęszczała do szkoły prywatnej, gdzie była powszechnie lubiana i ciężko pracowała, by zdać egzaminy z architektury, historii sztuki i projektowania, do czego, jak twierdzili jej nauczyciele, miała dobre oko. Jako nastolatka, poza nieudanym eksperymentem z roślinną farbą do włosów, nie przysparzała rodzicom żadnych problemów - nigdy nie musieli czuwać, zdenerwowani, do bladego świtu. Miała niewielu chłopaków, starannie wybranych i z gruntu sympatycznych. Rzuciła ich z żalem, zwykle roniąc przy tym łzę, tak że niemal wszyscy myśleli o niej bez nienawiści, jako o tej, która „się im urwała”.

Aż nagle pojawił się Daniel: wysoki, ciemnowłosy, przystojny, z godnymi szacunku rodzicami księgowymi, protestanckim etosem pracy i nienagannym stylem. Był mężczyzną, na którego widok dziewczęta natychmiast czuły, że z ich partnerami coś jest nie tak. Daniel zjawił się, by ją chronić, w czasie gdy miała już dość samotności, i oboje wskoczyli w swoje role z gracją kurczaka, który szykuje się, żeby wy-

rosnąc na dumnego koguta. W ich wspólnej firmie to Daniel stanowił siłę napędową. Był zdecydowany i przebojowy. Był jej tarczą. Dzięki temu Daisy mogła stać się doskonałą wersją samej siebie: piękną, słodką, seksowną, pewną jego uwielbienia. Uroczą dziewczyną. Podobało im się, że tworzą idealną parę. Rzadko się kłócili - nie było takiej potrzeby. Poza tym żadne z nich nie lubiło emocjonalnego zamętu kłótni, chyba że miała ona stanowić część gry wstępnej.

Dlatego też nie przygotowało Daisy do nowego życia, w którym stale spotykała się z dezaprobatą i musiała wieść nieustanne spory - z robotnikami na budowie, mieszkańcami miasta, rodzicami Daniela. I to na dodatek w czasie, kiedy czuła się najbardziej bezbronna i nie mogła liczyć na niezawodną do tej pory urodę. Hydraulicy, nie zwracając uwagi na jej błagania, poszli pracować gdzie indziej, bo nie mogli zacząć instalować urządzeń w łazienkach, zanim murarze nie położą warstwy ochronnej na nowym zbiorniku. Ci z kolei nie mogli tego zrobić, bo czekali na materiały. A dostawcy najwyraźniej udali się na emigrację. Doszły ją plotki, że Sylvia Rowan planuje zorganizować zebranie, by zapobiec zbezczeszczeniu Arcadii. Jeśli prace będą kontynuowane, panujący w miasteczku poziom i zasady moralne mogą zostać poważnie zagrożone.

Jones zadzwonił wściekły dzień po konfrontacji na rynku i bez owijania w bawełnę w kilku mocnych słowach skomentował jej postępy. Nie mógł uwierzyć, że już mają opóźnienie. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego belka stropowa, kiedy wreszcie ją dostarczono, miała niewłaściwą szerokość. Nie wierzył już, że uda im się otworzyć hotel zgodnie z planem w sierpniu. I szczerze mówiąc, zaczynał wątpić, czy Daisy poradzi sobie z tym zadaniem tak, by był zadowolony z efektów.

- Nie dajesz mi szansy - powiedziała, tłumiąc łzy.
- Daję i nawet nie masz pojęcia jak wielką - warknął i odłożył słuchawkę.

W drzwiach stanęła pani Bernard z Ellie w ramionach.

- Chyba nie zamierzasz się rozpłakać? - zapytała, skinieniem głowy wskazując taras. - Już i tak nie traktują cię poważnie. Jeśli będziesz co chwila ryczeć, wezmą cię za babę opętaną przez hormony.

- Bardzo pani dziękuję. Ogromnie mi pani pomogła.

- Chyba nie chcesz, żeby wszyscy mieli cię za nic.

- Kiedy będę chciała poznać pani cholerne zdanie, sama o nie zapytam.

Daisy chwyciła leżącą na stoliku teczkę i wypadła na taras, by wyrzucić się na robotników. Coś takiego zrobiła dopiero drugi raz w życiu (po raz pierwszy straciła panowanie nad sobą, kiedy Daniel wyznał, że wyrzucił Pana Królika do śmieci, bo nie pasował do wystroju sypialni). Tym razem wrzeszczała tak głośno, że słyhać ją było aż przy kościele, a powietrze, w którym zazwyczaj unosiły się krzyki mew, przesywały najgorsze epitety. Radio przeleciało z hukiem nad klifem i rozbiło się na skałach. Po tym wszystkim nastąpiła głucha cisza, którą po chwili przerwało pomrukiwanie i szuranie stóp sześciu robotników, którzy postanowili znaleźć dla siebie bardziej produktywne zajęcie.

Daisy wmaszerowała do pokoju, trzymając ręce na biodrach, jakby sięgała do niewidocznej kabury, gotowa wypalić raz jeszcze z równie wielkim hukiem.

Przywitała ją cisza. Pani Bernard i Ellie, z uśmiechem na ustach, wycofały się do kuchni.

- No i jak tam remont?

Camille zamknęła słoiczek z pachnącym kremem, po czym wsunęła dłonie matki w ciepłe rękawiczki. Był to jedyny zabieg, na jaki wyrażała zgodę - cotygodniowy manikiur. Maseczki i okłady na ciało uważała za stratę czasu, lecz o dłonie dbała zawsze. Już dawno temu postanowiła, że skoro może się porozumiewać z córką przede wszystkim przez dotyk, to niech on zawsze będzie przyjemny.

- Jakoś leci.

- Nie przykro ci?

- Mnie? - prychnęła matka. - Nie. Jest mi zupełnie obojętne, co tam robią. Ale ta biedna dziewczyna trochę się miota.

- Dlaczego? - Camille podeszła do drzwi, by poprosić o filiżankę herbaty. - Tess mówiła mi, że jest tam sama z dzieckiem.

- To prawda. I stale płacze. Robotnicy uważają, że zaszła jakaś pomyłka.

- Myślisz, że da sobie radę?

- Przy obecnej kondycji? Raczej nie. Nie potrafiłaby odpędzić nawet syczącej gęsi. Nie mam pojęcia, jak uda się jej przeprowadzić ten remont i otworzyć hotel na czas. A ma to być w sierpniu.

- Biedna dziewczyna. - Camille usiadła twarzą do matki. - Powinniśmy ją odwiedzić. Czuje się pewnie bardzo samotna. - Sięgnęła ręką za siebie i bezbłędnie odnalazła krem, który zaczęła wcierać w dłonie.

- Ja stale do niej zaglądam.

- Chodzisz tam dla dziecka. Wiem.

- Na pewno nie potrzebuje żadnych intruzów. Zorientuje się, że o niej opowiadam.

- Ale opowiadasz. Daj spokój, zrobimy sobie rodzinny wypad. Katie będzie zachwycona. Tak długo tam nie była.

- Czy Hal nie powinien pracować?

- Hal ma prawo zrobić sobie wolny weekend, mamó, tak jak my wszyscy.

Matka prychnęła cicho.

- Nie chcesz chyba, żeby była nieszczęśliwa. Jeśli ona się stąd zabierze, zastąpi ją jakiś idiota, który każe zainstalować złocone podesty, jacuzzi i Bóg jeden wie co jeszcze. O, jesteś, Tess. Z mlekiem, bez cukru, bardzo proszę. Na całym domu rozkwitną anteny satelitarne, a co tydzień będą się tam odbywać konferencje dla biznesmenów.

- Wszystko w porządku, proszę pani?

- Tak, dziękuję, Tess. Moja córka próbuje wcisnąć się do Arcadii.

Tess uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Och, Camille, chyba nie chcesz się w to mieszać. Z powodu tego hotelu dojdzie do prawdziwej bitwy. Sylvia Rowan przez cały ranek nie dawała nam tu spokoju. „Nigdy by do tego nie doszło w czasach Zrzeszenia Właścielek Pensjonatów”. - Tess doskonale naśladowała wojowniczy ton Sylvii.

Camille odstawiła krem na półkę i zamknęła drzwi szafki.

- Tym bardziej musimy pokazać tej biednej dziewczynie, że nie jest sama. Na pewno myśli, że nieźle się wpakowała.

Pani Bernard, poirytowana, pokręciła głową.

- No, dobrze. Pójdziemy tam w niedzielę. Powiem jej, że by przygotowała się na prawdziwą inwazję.

- Świetnie. Ale musisz też zabrać tatę. Bardzo go ten remont interesuje.

- Nie wątpię.

- A co?

- Myśli, że po sprzedaży **Arcadii będą stale siedzieć z nim w domu.**

W końcu zjawili się wszyscy. Rodzinny wypad Bernardów, jak określił to żartobliwie ojciec Camille, wysadzając wszystkich na podjeździe ze swego ukochanego jaguara.

- Wiecie co? Nie pamiętam, kiedy ostatni raz wybraliśmy się gdzieś razem.

Daisy, stojąc w drzwiach w swojej jedynej porządnej bluzce, z Ellie opartą na biodrze, przyglądała się panu Bernardowi z zainteresowaniem. Pani Bernard sprawiała wrażenie samotnicy, więc trudno było teraz połączyć ją z tym sympatycznym mężczyzną o łagodnych oczach i z dłońmi wielkości szynek. Miał na sobie koszulę i krawat, jak zawsze w weekend, i wypolerowane na wysoki połysk buty. „Można dużo powiedzieć o mężczyźnie na podstawie jego butów”, powiedział jej później. Kiedy zobaczył po raz pierwszy Hala w jego brązowych zamszowych trzewikach, pomyślał, że jest komunistą. Albo kocha inaczej.

- Na chrzest Katie - zawołała Camille, przytrzymując tylne drzwi, aby przepuścić córkę i psa. Pomachała w kierunku domu. - Cześć. Jestem Camille Hatton.

- To się nie liczy - oświadczył Hal. - Trudno uznać to za wypad.

- Ja nic nie pamiętam - poparła go Katie.

- Dzień Matki trzy lata temu, kiedy zabraliśmy was do tej restauracji w Halstead... Jak się nazywała?

- Przereklamowana.

- Dziękuję ci, kochana teściowo. To była francuska restauracja, prawda?

- Jedyną francuską rzeczą był smród. Przywiozłam ciasto. Nie chciałam, żebyś robiła sobie kłopot. - Pani Bernard podała Daisy pudełko, które trzymała w samochodzie na kolanach, po czym zabrała od niej uśmiechniętą Ellie.

- To miło z pani strony - odparła Daisy, która zaczynała czuć się niewidzialna. - Dziękuję.

- Świetnie się bawiliśmy - podsumował pan Bernard, ujmując dłoń Daisy. - Jadłem stek *au poivre**. Wciąż to pamiętam. A Katie owoce morza, prawda, kochanie?

- Nie wiem. Naprawdę nie ma pani telewizora?

- Nie. Już nie. To ty pokazałeś mi drogę - powiedziała Daisy, gdy Hal podszedł bliżej.

- Hal Hatton. Poznałeś już Katie. - Wyglądał na młodszego i bardziej odprężonego niż podczas ich pierwszego spotkania. - Miło, że zgodziłaś się nas tu przyjąć. Słyszałem, że czas cię goni. - Cofnął się o krok. - Boże, nie byłem tutaj od lat.

- Wyburzono kilka ścian i część mniejszych sypialni zamieniono na łazienki - powiedziała pani Bernard, podążając za jego spojrzeniem. - W dzisiejszych czasach wszyscy chcą mieć wszystko pod ręką.

- Chcecie się rozejrzeć? - spytała Daisy. - Znalazłam kilka krzeseł i wystawiłam je na taras, bo mamy taki ładny

* Stek obtoczony w tłuczonych ziarnach pieprzu.

dzień. Ale jeśli macie ochotę, możemy wrócić do środka. Uważajcie tylko na gruz.

Dopiero kiedy przytrzymała im drzwi, zorientowała się, że młoda kobieta nie widzi. Jej pies nie wyglądał jednak na przewodnika: nie miał specjalnych szelek ani uprząży, ale oglądał się za siebie, jakby był przyzwyczajony do dostosowywania tempa. Kiedy Camille ruszyła w stronę drzwi, ręka męża natychmiast pojawiła się u jej łokcia i cofnęła dyskretnie, gdy kobieta minęła próg.

- Trzeba iść prosto, ale podejrzewam, że doskonale o tym wiecie - powiedziała, by ukryć zmieszanie.

- Wręcz przeciwnie - odparła Camille, odwracając się do niej twarzą. Miała przejrzyste niebieskie oczy, może tylko głębiej osadzone. - To zawsze był dom mamy. Nas niewiele z nim łączyło.

Nie wyglądała na osobę niewidomą. Nie znaczy to, że Daisy wiedziała, jak powinna wyglądać taka osoba, bo nigdy nie miała kontaktu z niewidomymi. Wyobrażała sobie na przykład, że może być trochę zaniedbana czy z nadwagą. Z pewnością nie w markowych dzinsach, z makijażem i talią o połowę węższą od obwodu w biuście.

- Hal?! - zawołała Camille. - Czy Katie jest z tobą? - Zawiesiła głos. - Przychodziliśmy tu bardzo rzadko. Mama bała się chyba, że znaję się tak blisko urwiska.

- Och. - Daisy nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

Camille się zatrzymała.

- Nie powiedziała ci, że nie widzę, prawda?

- Nie.

- Moja matka, jak zawodowy pokerzysta, zawsze trzyma karty przy piersi. Chyba zdążyłaś to zauważyć.

Daisy stała przez chwilę nieruchomo, patrząc na gładką skórę w kolorze karmelu i gęste jasne włosy. Bezwiednie podniosła dłoń do swoich.

- Czy chcesz... to znaczy, chciałybyś dotknąć mojej twarzy lub coś takiego?

Camille roześmiała się.

- Wielkie nieba, nie. Nie lubię dotykać twarzy innych ludzi. Chyba że w pracy. - Wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Daisy. - Jesteś bezpieczna. Nie marzę o tym, by przesuwać dłońmi po twarzach. A już na pewno nie po brodach. Są straszne, przyprawiają mnie o drżenie. Zawsze wydaje mi się, że między włosami znajdę resztki jedzenia. Czy mojemu ojcu udało się odkleić od samochodu choćby na dwie minuty? Od czasu przejścia na emeryturę ma na jego punkcie obsesję - zwierzyła się. - A także na punkcie brydża i golfa. Mój tato celebruje swoje hobby.

Wyszli na taras. Hal podprowadził żonę do krzesła, a Daisy patrzyła na ten niemal intymny gest z zazdrością. Brakowało jej osoby, która by ją chroniała.

- Kiedyś to był piękny dom, prawda, kochanie? - Pan Bernard wsunął kluczyki od samochodu do kieszeni i spojrział na żonę. Na jego twarzy malowała się dziwna mieszanina emocji.

- Nie wszyscy tak myśleli. - Pani Bernard wzruszyła ramionami. - Dopóki nie zaczął się zmieniać.

- Zawsze uważałem, że araukaria doda mu urody.

Uwagę Daisy zwróciły szybkie spojrzenia, jakie wymienił małżonkowie, i niezręczna cisza, która po nich zapadła.

- No i jak ci się podoba w Merham? - spytał Hal.

Pochodząc z rodziny nie tyle rozbitej, ile na zawsze naznaczonej tragiczną stratą, Daisy automatycznie założyła, że wszystkie inne przypominają Walterów*. Daniel powtarzał to nieraz, kiedy wracała ze spotkań rodzinnych Wienerów wstrząśnięta hałaśliwymi kłótniami i urazami, które tliły się wśród nich niczym węgiel w grillu. Trudno jednak jej było zachować dystans i obojętność, nieświadomie próbowała się jakoś wpasować, stać się częścią rodzinnej historii. Nie

* Rodzina Waltonów, bohaterowie jednego z najpopularniejszych w połowie lat siedemdziesiątych seriali amerykańskich.

chciała wierzyć, że fakt posiadania licznej rodziny to nie tylko przyjemność i poczucie bezpieczeństwa.

Bernardów i Hattonów cechowała jakaś wymuszona wesołość, jakby nieustannie musieli się zapewniać o tym, że tworzą rodzinę, i zgodnie postanowili wspominać tylko o miłych rzeczach. Kończyło się więc na tym, że wychwalali piękną pogodę, miłe otoczenie, zachwycali się swoimi ubraniami i robili sobie czułe przytyki, nawiązując do rodzinnych żartów i anegdot. Z wyjątkiem pani Bernard, która mroziła wszelkie sentymenty jak higienistka walcząca z muchami. Tak jak wypad w Dniu Matki zapisał się w jej pamięci tylko dzięki przykremu zapachowi, tak każdą inną uwagę podsumowywała jakimś kąśliwym komentarzem, tylko częściowo złagodzonym dowcipem. Tak więc urok plaży przyćmiewał fakt, że turyści wcale nie mieli ochoty tu przyjeżdżać, czemu się wcale nie dziwiła; nowy samochód lśnił tak mocno, że robiło się jej niedobrze; szefowa Camille w salonie piękności była „baranem przebranym za barana”. Jedyny wyjątek stanowiły uwagi dotyczące Katie, z której babka była wyraźnie bardzo dumna, i domu, o którym pan Bernard, o dziwo, wcale nie chciał rozmawiać.

Daisy, która cieszyła się na tę wizytę bardziej, niż była gotowa przyznać, poczuła, że to wszystko zaczyna ją dziwnie męczyć. Poza tym, nie mając nigdy wcześniej do czynienia z osobą niewidomą, czuła się bardzo niezręcznie. Nie wiedziała, czy ma patrzeć na Camille, kiedy się do niej zwraca, zastanawiała się, czy ma jej nakładać jedzenie na talerzyk, czy pozwolić, by zrobił to Hal, który siedział tuż obok żony. Dwukrotnie potknęła się o psa, który za drugim razem zaprotestował w niezwykle uprzejmy jak na psa sposób.

- Nie musisz wkładać jej kanapek do ust - powiedziała nagle pani Bernard. - Jest tylko niewidomą, a nie jakąś cholerną inwalidką.

- Kochanie... - zaprotestował pan Bernard.

Rumieniąc się, Daisy przeprosiła i cofnęła się o kilka kroków.

- Nie bądź taka nieuprzejma, mamó. Daisy tylko stara się pomóc.

- Nie bądź taka nieuprzejma, babciu - odezwała się niczym echo Katie, wsuwając do buzi czekoladowego ptysia. Kołysała stopą fotelik samochodowy Ellie.

- Pozwól, że cię przeproszę za zachowanie mojej matki - powiedziała Camille. - Nie powinna tego robić.

- Nie lubię, jak się nad tobą trzęsą.

- A ja nie lubię, jak włazisz mi na głowę. Dopiero wtedy czuję się jak inwalidka.

Na tarasie zapanowało milczenie. Camille, najwyraźniej nieporuszona całym tym zamieszaniem, sięgnęła po szklanekę.

- Przepraszam - zaczęła Daisy - nie wiedziałam, jak uda ci się odróżnić kraby od *marmite**.

- Och, po prostu biorę wszystkiego po trochu. W ten sposób udaje mi się trafić na to, na co mam ochotę. - Camille się roześmiała. - Albo proszę Hala, żeby mi czegoś nałożył.

- Świetnie sobie radzisz sama.

- Wiem, mamó. - Tym razem głos Camille zabrzmiał ostrzej.

- Nie mam pojęcia, jak znosisz jej towarzystwo przez cały dzień - powiedział Hal. - Ma najostrzejszy język na Wschodnim Wybrzeżu.

- Mama mówi, że babcia może przecinać językiem papier - oświadczyła Katie, wywołując powszechną wesołość.

Pani Bernard nagle ucichła. Przez chwilę wpatrywała się w talerzyk, a potem spojrzała na Hala.

- Jak idą interesy?

- Niezbyt dobrze. Ale handlarz antyków w Wix obiecał mi coś podesłać.

- Ze mną jest podobnie - wtrąciła się Daisy. - Kiedy przychodzi trudny okres, ludzie nie wydają pieniędzy na remonty.

* Brunatna, słona i gęsta pasta, naturalny półprodukt uboczny drożdży browarniczych.

- Opowiadasz o tym handlarzu od tygodni. Nie możesz czekać bez końca. Nie powinieneś przypadkiem zwinąć tego interesu? Poszukać pracy gdzie indziej?

- Kochanie... nie tutaj. - Pan Bernard wyciągnął rękę do żony.

- Na pewno są takie miejsca, gdzie potrzebują stolarzy. W magazynach mebli i tym podobnych.

- Nie zajmuję się meblami wytwarzanymi fabrycznie, mammo. - Hal z trudem utrzymywał uśmiech na twarzy. - Odnawiam wyjątkowe, często bardzo stare egzemplarze. Do tego trzeba specjalnych umiejętności.

- W ciągu kilku pierwszych lat mieliśmy wielkie problemy ze znalezieniem pracy - wtrąciła szybko Daisy.

- Hal ma coś na widoku - powiedziała Camille, wsuwając rękę pod stół, by dotknąć dłoni męża. - Dla wszystkich jest to dość trudny okres.

- Nie taki znów trudny - odparła jej matka.

- Wszystko idzie powoli, mammo, ale naprawdę znam się na tym, co robię. To niezły biznes. Nie jestem jeszcze gotowy z niego zrezygnować.

- Żebyś tylko nie zbankrutował. I nie pociągnął wszystkich za sobą. Camille i Katie też.

- Nie mam zamiaru zbankrutować. - Twarz Hala stężała.

- Nikt nigdy nie miał takiego zamiaru.

- Daj spokój, kochanie.

Pani Bernard odwróciła się do męża, a na jej twarzy malował się dziecinny niemal bunt.

Znów zapadło milczenie.

- Czy ktoś ma jeszcze na coś ochotę? - spytała Daisy, próbując przerwać krępującą ciszę. W jednej z szafek na dole znalazła ręcznie malowaną miskę i wypełniła ją po brzegi sałatką owocową.

- Masz lody? - zainteresowała się Katie.

- Nie jadam owoców - powiedziała pani Bernard, wstając, by pozbierać naczynia ze stołu. - Zaparzę dla wszystkich herbatę.

* * *

- Nie bierz sobie zbyt do serca uwag mamy - poradziła Camille, stając przy niej w kuchni, gdy myła talerze. - Naprawdę nie jest taka zła. To tylko poza.

- Bardzo niewygodna - zażartował Hal, który też pojawił się w kuchni. Daisy zauważyła, że chodzi za żoną krok w krok. Nie wiedziała jednak, czy chce jej pomagać, czy jedynie stale być blisko niej.

- W głębi serca jest bardzo dobrą osobą. Tylko zawsze była dość... ostra. Jak myślisz, Hal, to właściwe określenie?

- W porównaniu z twoją matką stalowe ostrze jest łagodne.

Camille odwróciła się do Daisy, która całą swoją uwagę skoncentrowała na jej ustach.

- Jesteś w porządku. Ona cię lubi.

- Naprawdę? Powiedziała ci?

- Ależ skąd. Ale to widać.

- Nie domaga się twojej krwi o **północy, a z kłów nie** cieknie jej ślina.

Daisy zmarszczyła brwi.

- Nie czuję tego... Zaskoczyłaś mnie.

Camille uśmiechnęła się promiennie do męża.

- To był jej pomysł, żeby przyjść tu dzisiaj. Pomyślała, że czujesz się samotna.

Daisy też się uśmiechnęła. Radość płynąca z faktu, że pani Bernard mimo wszystko ją lubi, przyćmiła nieco świadomość, że stała się obiektem współczucia. Dwadzieścia osiem lat przeżyła jako dziewczyna, której wszyscy zazdrościli. Współczucie trochę ją uwierało.

- Miło, że przyszlście tu wszyscy.

- Cała przyjemność po naszej stronie - odparł Hal. - Szczerze mówiąc, bardzo chcieliśmy zobaczyć dom.

Słyszając jego słowa, Daisy wzdrygnęła się lekko, lecz Camille nie dostrzegła w nich nic niestosownego.

- Mama nigdy nie przyjmowała tu gości - powiedziała, gładząc Rolla po głowie. - To zawsze był jej mały azyl.

- Nie taki znowu mały.

- Przychodziliśmy tu tylko od czasu do czasu. Zresztą ta-

to nigdy nie lubił tego domu, więc trudno go uznać za rodzinną siedzibę.

- Nie będzie ci go brakować?

- Nie. Większość nieznanymi domów to dla mnie tylko tor przeszkód.

- Nie mieliście nic przeciwko temu? Że tak często was zostawiała?

Camille odwróciła się do Hala. Wzruszyła ramionami.

- Zawsze o tym wiedzieliśmy. Mama musiała mieć przestrzeń tylko dla siebie.

- Chyba wszystkie rodziny mają swoje dziwactwa - powiedziała Daisy, której rodzina nie miała żadnych dziwactw.

- Jedne mniej, drugie więcej.

Kilka godzin później szli przez Merham, Hal trzymał Camille pod rękę. Rollo biegł kilka kroków przed nimi, a Katie podskakiwała, wybiegając przed nich i wracając, najwyraźniej tocząc jakiś spór z płytami chodnikowymi. Od czasu do czasu podbiegała do rodziców, by się przytulić, i domagała się, by ją pohuścili, choć była już na to za duża i zbyt ciężka. Wieczory zrobiły się już dłuższe, właściciele psów i miłośnicy późnych spacerów nie byli zziębnięci i szli z podniesionymi głowami, zamiast kulić się w podmuchach zimnego wiatru. Hal pozdrowił skinieniem głowy właściciela kiosku z gazetami, który właśnie zamykał interes, i skręcili w swoją ulicę. Katie pobiegła przodem, krzycząc coś do koleżanki, którą właśnie wypatrzyła.

- Przepraszam cię za mamę.

Hal objął żonę ramieniem.

- Nic się nie stało.

- Nie. Stało się. Wie, że ciężko pracujesz.

- Daj spokój. Martwi się o ciebie. Jak każda matka.

- Nie, nie każda. I nie wszystkie są tak niegrzeczne.

- To prawda. - Hal zatrzymał się, by poprawić szalik Camille. Jeden koniec sięgał już jej stóp. - Wiesz, może ona ma rację - powiedział, gdy zapinała guzik przy kołnierzu. - Ten

handlarz prawdopodobnie tylko mnie zwodzi. - Westchnął głośno, by usłyszała go Camille.

- Jest aż tak źle?

- Teraz musimy być ze sobą całkowicie szczerzy, prawda? - Uśmiechnął się smutno, naśladowując ton głosu psychologa. - Nie jest dobrze. Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, czy nie zacząć pracować w garażu. Głupio płacić czynsz za warsztat, kiedy... kiedy nic się w nim nie dzieje.

- Ale Daisy powiedziała, że może uda się jej...

- Jeśli nie, to zwinę interes.

- Nie chcę, żebyś go związał. To dla ciebie bardzo ważne.

- Ty jesteś dla mnie ważna. Ty i Katie.

Ale nie czujesz się przy mnie jak mężczyzna, pomyślała Camille. Nadal czujesz się przegrany. Trzymasz się tylko dzięki swojej pracy.

- Myślę, że powinieneś jeszcze trochę poczekać - powiedziała.

Szykując się na wieczór w otoczeniu próbek materiałów, Daisy czuła się o wiele lepiej. Camille zaprosiła ją na wizytę w salonie. „Na mój koszt”, powiedziała. Pod warunkiem że zdecyduje się na jakiś odważny zabieg. Pani Bernard zgodziła się regularnie opiekować Ellie, ukrywając zadowolenie z takiego obrotu sprawy pod całą litanią warunków i zastrzeżeń. Pan Bernard poradził jej, żeby nie dała się zastraszyć tym draniom, puszczając oko w stronę żony. A Ellie, o dziwo, zasnęła bez szemrania, zmęczona uwagą, jaką wszyscy jej poświęcali. Daisy siedziała na tarasie, otulona swetrem, patrzyła na morze i paliła powoli papierosa. Przez chwilę nie czuła się już samotna. Albo nie tak bardzo samotna. Czy nie mogło tak pozostać przez parę dni? Nie. Los postanowił potraktować ją mało sprawiedliwie i odezwał się za pośrednictwem milczącego wcześniej od wielu dni telefonu komórkowego, jakby chciał celowo zniszczyć równowagę, którą z takim trudem osiągnęła.

Najpierw zadzwonił Jones i powiedział (nie poprosił, za-uważała od razu), że chce się z nią spotkać wieczorem na-

stępnego dnia, żeby Porozmawiać. Na dźwięk tych słów poczuła, jak na jej szyi zaciskają się niewidzialne palce. Siedem tygodni i trzy dni temu Daniel też powiedział jej, że chce Porozmawiać.

- Wybierzemy się gdzieś. Żeby nam nikt... nie przeszkadzał - zdecydował Jones. Wiedziała, że ma na myśli Ellie.

- Zajmę się małą - zaferowała się pani Bernard następnego dnia rano, kiwając z aprobatą głową. - Dobrze ci zrobi, jeśli trochę się ruszysz.

- Powiedział kat do skazańca - mruknęła Daisy.

W poniedziałek, na krótko przed przyjazdem Jonesa, telefon znów zadzwieczał. Tym razem była to Marjorie Wiener. Dzwoniła, by poinformować Daisy, że jej syn nareszcie się odezwał. „Mieszka u jednego ze swoich kolegów z uniwersytetu. Powiedział, że przeżywa załamanie”. Była wzburzona. Ale prawdę mówiąc, zawsze sprawiała takie wrażenie.

Początkowo Daisy poczuła, że serce bije jej mocniej, lecz po chwili stopniowo ogarniał ją coraz większy gniew. Załamanie? Jasne, jeśli ktoś przeżywa załamanie nerwowe, nie jest na tyle przytomny, by to zauważyć. Czy nie o tym właśnie jest *Paragraf 221* Łatwo przeżywać załamanie, gdy nie ma się pod opieką niemowlęcia. Bo dla niej załamanie było luksusem - nie miała na to ani czasu, ani energii.

- I co, wraca? - Z trudem panowała nad tonem głosu.

- Potrzebuje trochę czasu, żeby sobie wszystko poukładać. Naprawdę nie jest w najlepszym stanie. Bardzo się o niego martwię.

- No to możesz mu powiedzieć, że znajdzie się w jeszcze gorszym stanie, jeśli spróbuje się do nas zbliżyć. Czy nie zastanawia się przypadkiem, jak udało nam się przeżyć? Bo nie przysłał nam nawet pięciu funtów.

- Och, Daisy, powinnaś była powiedzieć, że nie masz pieniędzy. Wysłałabym ci...

- Tu nie o to, do cholery, chodzi, Marjorie. To nie twój obowiązek, ale Daniela. To on miał nam zapewnić pieprzoną opiekę.

- Doprawdy, Daisy, nie musisz używać aż tak wulgarnych słów...

- Czy zamierza do mnie zadzwonić?

- Nie wiem.

- Co takiego? Prosił, żebyś to ty do mnie zadzwoniła? Przeżyliśmy razem sześć lat, mamy dziecko i nagle okazuje się, że on nawet nie może ze mną osobiście porozmawiać?

- Posłuchaj, nie jestem teraz z niego dumna, ale on nie jest sobą. On...

- Nie jest sobą. Jasne, że nie. Jest teraz ojcem, Marjorie. Albo powinien nim być. Ma kogoś? O to chodzi? Spotyka się z kimś?

- Nie sądzę, by była jakaś inna kobieta.

- Nie sądzisz?

- Wiem. Nie zrobiłby ci tego.

- No cóż, wygląda na to, że nie miał większych problemów, by zrobić mi wszystko inne.

- Proszę, nie denerwuj się, Daisy. Wiem, że to trudne...

- Nie, Marjorie. To nie jest trudne, do cholery. To jest niebываłe. Bez jednego choćby słowa wyjaśnienia porzuciła mnie osoba, która teraz nie może się zdobyć nawet na to, żeby ze mną porozmawiać. Musiałam opuścić dom, bo nie przyszło mu do głowy, że ja i nasze dziecko nie mamy środków do życia. Utknęłam na budowie gdzieś na końcu świata, bo Daniel przyjął cholerne zlecenie, którego nie zamierzał wykonać...

- Teraz jesteś niesprawiedliwa.

- Niesprawiedliwa? Ty mi mówisz o sprawiedliwości? Bez urazy, Marjorie, ale zaraz odłożę słuchawkę. Zaraz odłożę... Nie, nie słucham. Odkładałam słuchawkę la la la la la...

- Daisy, Daisy kochanie, bardzo chcielibyśmy zobaczyć malutką...

Siedziała z telefonem w dłoni, trzęsąc się jak w gorączce. Prośba Marjorie utonąła w powodzi wściekłości. Nie przyszło mu do głowy, żeby zapytać, jak się miewa jego córka.

Nie widział jej od ponad siedmiu tygodni i nawet nie chciał się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Kim był ten człowiek, którego kochała? Co się stało z Danielem? Skrzywiła się i opuściła głowę na piersi, dziwiąc się niepomniernie, że ból może się wyrażać w aż tak fizyczny sposób.

Kiedy próbowała zapanować nad gniewem i poczuciem niesprawiedliwości, jakiś głos w jej głowie zapytał cicho, czy w ogóle powinna była tracić panowanie nad sobą. Nie chciała przecież zrobić nic, co mogłoby go powstrzymać przed powrotem, prawda? Co teraz powie mu Marjorie?

Nagle zorientowała się, że oprócz niej w pokoju jest ktoś jeszcze. Odwróciła się i ujrzała panią Bernard. Stała nieruchomo w drzwiach z naręczem brudnych ciuszków Ellie.

- Zabiorę je do domu dziś wieczór i wrzucę do pralki. Oszczędzę ci drogi do pralni.

- Dziękuję - powiedziała Daisy, starając się nie pociągać nosem.

Pani Bernard nadal nie spuszczała z niej wzroku. Daisy walczyła z pragnieniem, by kazać jej odejść.

- Wiesz, czasami trzeba po prostu ruszyć dalej przed siebie - stwierdziła starsza kobieta.

Daisy podniosła gwałtownie głowę.

- Żeby przeżyć. Czasami trzeba po prostu ruszyć dalej. To jedyny sposób.

Daisy otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć.

- Zabiorę te ubranka - powtórzyła. - Malutka zasnęła. Przykryłam ją jeszcze jednym kocykiem, bo wieje wiatr i zrobiło się chłodno.

Nie wiadomo, czy sprawił to wiatr, czy rodzina Wienerów, ale Daisy odkryła, że staje się coraz odważniejsza i bardziej zdecydowana. Wbiegła na górę i wciągnęła czarne spodnie - zdołała to zrobić po raz pierwszy od czasu narodzin Ellie - i czerwoną szyfonową bluzkę, którą dostała od Daniela na urodziny, jeszcze zanim zaszła w ciążę i musiała zacząć nosić namioty. Połączenie stresu i złamanego serca

może bez reszty zburzyć spokój ducha, pomyślała, zaciskając zęby, ale na figurę działa rewelacyjnie. Uzupełniła strój wysokimi szpilkami i mocnym makijażem. Szminka potrafi zdziałać cuda dla poczucia własnej wartości, powiedziała kiedyś jej siostra. Ale też Julii nigdy nikt bez szminki nie widział, nawet kiedy złożona grypą leżała w łóżku.

- Przez bluzkę prześwituje ci stanik - zauważyła pani Bernard, gdy schodziła po schodach.

- To świetnie - odparła zaczepnie Daisy. Nie zamierzała dać się zbić z tropu także i jej.

- Ale może wsuń sobie metkę za kołnierz. - Pani Bernard uśmiechnęła się do siebie. - Ludzie zaczną gadać.

Kiedy Jones skręcił swoim saabem w główną ulicę Merham i ruszył w stronę parku, potarł dłonią czoło. Głowa zaczęła mu ciężać chwilę po tym, jak minął Canary Wharf, a kiedy był w połowie autostrady A12, lekkie pulsowanie nad oczami zamieniło się w ostry ból. Postanowił zajrzeć do schowka i znalazł proszki, które zostawiła tam dla niego Sandra, jego sekretarka. Ta kobieta to prawdziwy cud. Da jej podwyżkę. Jeśli już nie dal trzy miesiące temu.

Odkrycie paracetamolu w schowku było jedynym jaśniejszym punktem ostatnich kilku tygodni. To wiele mówiło o miesiącu, jaki miał za sobą. Alex, jego była żona, oświadczyła, że wychodzi za męża. Jeden z jego najlepszych barmanów o mało co nie pobił się z dwoma wpływowymi dziennikarzami, którzy postanowili grać nago w bilard. Nie chodziło mu wcale o nagość, wyjaśnił później Jonesowi, lecz o to, że nie chcieli zdjąć drinków z sukna. W efekcie nie było dnia, żeby o Red Rooms nie wspomniano w kronikach towarzyskich jako o „podupadającym” lub „niemodnym” lokalu, a próba odzyskania sympatii dziennikarzy za pomocą skrzynki whisky spełzła na niczym, kiedy opisali to w gazecie, określając jego gest jako „desperacki”.

A za miesiąc dwie ulice dalej otworzy swoje podwoje konkurencyjny klub Opium Rooms. Jego oferta dla stałych

członków, nastrój i etos były podejrzanie podobne do tych proponowanych przez Red Rooms, a otwarcie już wywoływało dreszczyk emocji w kręgach, które Jones uważał za swoje. Dlatego hotel w Merham stał się taki ważny - trzeba zawsze wyprzedzać konkurencję i znaleźć sposoby, by utrzymać przy sobie stałych członków.

A teraz ta cholerna dziewczyna chce wszystko spieprzyć. Podejrzewał, że porywa się z motyką na słońce, kiedy prawie płacząc, przyznała, że dzwoni nie w porę. Powinien posłuchać intuicji: w biznesie nic się nie dzieje „nie w porę”. Jeśli jesteś zawodowcem, zbierasz się w sobie i robisz to, co do ciebie należy. Nie ma mowy o żadnych wymówkach ani unikach. Dlatego nie lubił pracować z kobietami - zawsze cierpiały z powodu okresu albo chłopaka, co oznaczało, że nie potrafią w pełni skoncentrować się na pracy. A jeśli czyniło im się z tego powodu zarzuty, zwykle reagowały płaczem. Prawdę mówiąc, poza swoją sekretarką czuł się zupełnie swobodnie w towarzystwie tylko dwóch kobiet - Carol, długoletniej specjalistki od public relations, która potrafiła okazać dezaprobatę, unosząc jedną starannie wydepilowaną brew, miała głowę mocniejszą nawet od niego i której lojalność była niekwestionowana, oraz Alex, na której nie robił specjalnego wrażenia i która nigdy się go nie bała. Lecz Alex właśnie wychodzi za mąż.

Kiedy mu o tym powiedziała, poczuł nagle dziecinny impuls, by poprosić ją, żeby wyszła jeszcze raz za niego. Wybuchnęła śmiechem. „Jesteś niepoprawny, Jones. To było najgorsze osiemnaście miesięcy w życiu nas obojga. A chcesz się ze mną ożenić tylko dlatego, że pragnie tego także ktoś inny”. Co, musiał szczerze przyznać, było po części prawdą. Po rozwodzie czasem czynił jej propozycje, które z wdziękiem odrzucała (a on był w duchu zadowolony), ale oboje bardzo cenili sobie swoją przyjaźń (wiedział, że doprowadza to do szału partnera Alex). Teraz jednak postanowiła zrobić następny krok i wszystko się zmieni. A ich przeszłość zostanie zamknięta na zawsze.

Nie oznacza to wcale, że żył w celibacie. Nietrudno sobie kogoś znaleźć, kiedy prowadzi się klub. Na początku działalności często sypiał z kelnerkami, wysokimi i smukłymi, które pragnęły zostać aktorkami lub piosenkarkami i pracowały w klubie, żywiąc nadzieję, że podczas podawania drinków wpadną w oko jakiemuś reżyserowi lub producentowi. Niebawem odkrył jednak, że prowadzi to do niezdrowej rywalizacji, płaczących próśb o podwyżkę i w efekcie - utraty dobrego personelu. Przez ostatnie półtora roku żył więc jak mnich. No, nieco rozwiązywał mnich. Od czasu do czasu umawiał się z dziewczyną i zabierał ją potem do siebie, ale sprawiało mu to coraz mniej satysfakcji, a one zawsze czuły się urażone, bo następnego dnia nie pamiętał, jak miały na imię. Nierzadko dziwił się nawet, dlaczego zadał sobie aż tyle trudu.

- Jones, tu Sandra. Przepraszam, że przeszkadzam, kiedy prowadzisz, ale znam już datę rozprawy w sprawie licencji.

- I? - Mocował się ze słuchaweczką, którą próbował włożyć do ucha.

- Odbędzie się w tym samym dniu, w którym wybierasz się do Paryża.

Zaklął pod nosem.

- No to musisz do nich zadzwonić. Poproś ich, żeby zmienili termin.

- Gdzie? W Paryżu?

- Nie, w sądzie. Powiedz im, że w tym dniu nie dam rady.

- Oddzwonię - obiecała Sandra.

Jones wjechał na wzgórze i skręcił w żwirowany podjazd Arcadii. Problemy, problemy, problemy. Czasami odnosił wrażenie, że poświęca cały swój czas na rozwiązywanie problemów innych ludzi, a nie na robienie tego, w czym jest najlepszy.

Wyłączył silnik i siedział w samochodzie jeszcze przez chwilę. Głowa nadal bolała i nie mógł się uwolnić od dręczących myśli, by w pełni docenić panującą wokoło ciszę. Teraz czeka go kolejny problem. Ta dziewczyna musi odejść. Tak będzie najlepiej. Wierzył gorąco, że trudne sytuacje należy

rozwiązywać z marszu, zanim sprawy zajdą za daleko. Wynajmę tę drugą firmę, z Battersea. Tylko błagam, niech ona nie zacznie płakać.

Jones sięgnął do schowka i wsunął do ust parę pastylek przeciwbólowych. Skrzywił się, połykając je bez wody. Westchnął ciężko, wysiadł z samochodu i podszedł do drzwi. Zanim zdążył nacisnąć dzwonek, otworzyła je pani Bernard. Stała, mierząc go uważnym spojrzeniem z gatunku tych, które dają do zrozumienia, że wie dokładnie, co knuje druga strona.

- Dzień dobry, panie Jones.

Nigdy nie potrafił się zdobyć na to, by ją poprawić.

- Nie spodziewałem się, że panią tu zastanę. - Pochylił się, by pocałować ją w policzek.

- Dlatego, że nigdy nie miał pan dzieci.

- Słucham?

- Ktoś musi zostać z małą.

- Och.

Wszedł do środka, obrzucił spojrzeniem **na wpół rozebrane** ściany i kupy gruzu.

- Prace powoli nabierają rozpędu.

- Widzę.

Odwróciła się i ruszyła w dół holu, zgrabnie omijając puste wiadra z farbą.

- Powiem jej, że pan już przyjechał. Rozmawia przez telefon z hydraulikami.

Jones przysiadł na brzeжку krzesła i rozejrzał się po na wpół ukończonym salonie. Wdychał wilgotny zapach gipsu i naprawionej podłogi. W rogu stała piramida wiader z farbą, a przez oparcie kanapy niczym kolorowe strumienie spływały próbki materiałów. Ściany przecinały rowki, odślaniające miejsca, w których wymieniono instalację elektryczną. Rozrzucone na podłodze katalogi oferowały oświetlenie w stylu „Miami”, „Austen” i „Blink”.

- To był McCarthy i jego chłopcy. Jutro zaczną prace w dwóch łazienkach od frontu.

Jones podniósł wzrok. Przez pokój, z telefonem komórkowym w ręce, szła kobieta, której nie poznał.

- Ostrzegłam go, że jeśli spóźni się choćby tylko o jeden dzień, zaczniemy odliczać należne mu pieniądze. Powiedziałam, że drobnym drukiem zapisaliśmy w umowie klauzulę umożliwiającą nam odliczenie jednego procenta za każdy dzień spóźnienia.

- A zapisaliśmy?

- Nie. Ale doszłam do wniosku, że jest zbyt leniwy, żeby to sprawdzić, i najwyraźniej trochę się przestraszył. Powiedział, że zrezygnuje z innej pracy, którą właśnie przyjął, i będzie u nas jutro o dziewiątej rano. Idziemy? - Z leżącej na podłodze torby wyjęła portfel, klucze i dużą teczkę.

Jones walczył z pragnieniem przeszukania domu, by znaleźć dziewczynę, którą zapamiętał: zanedbaną, ubraną w jakieś stare ciuchy, z dzieckiem przyklejonym do biodra. Ta wcale nie wyglądała na zapłakaną i zanedbaną. Pasowała by idealnie do jego klubu. Miała na sobie przezroczystą bluzkę, pod którą widać było czarny stanik, a w nim bardzo ładne piersi.

- Jakiś problem? - spytała, czekając na niego. Jej oczy lśniły, a widoczny w nich błysk można było uznać za wyzwanie lub agresję. Bez względu na to, co to było, poczuł nagły ucisk gdzieś w okolicy krocza.

- Nie - odparł i ruszył za nią przez podjazd.

Poszli do Rivieri. Jones miał nadzieję, że uciszy to trochę opozycję, a poza tym w Merham nie było żadnych innych pubów ani barów. Ci, którzy chcieli wypić coś w towarzystwie, wybierali się do hotelu lub do jednej z dwóch restauracji albo jechali jeszcze dalej. W normalnych okolicznościach - czyli w takich, jakie w jej obecnej sytuacji można by ewentualnie uznać za normalne - Daisy czułaby się bardzo nieswojo, przekraczając próg hotelu. Ale ten szczególny wieczór, szyfonowa bluzka i świadomość, iż udało jej się wytrącić Jonesa z równowagi, sprawiły, że Daisy spoj-

rzała na świat z optymizmem i lekkim krokiem weszła do środka.

- Czy mogę zobaczyć kartę win? - spytał Jones, opierając swą potężną postać o bar. Stał za nim blady mężczyzna z pryszczatą twarzą, który z wyraźną irytacją oderwał się od rozmowy z rozchichotaną kelnerką. W barze siedziały jeszcze dwie pary - starsza, spoglądająca z zadowoleniem na morze, i druga, najpewniej partnerzy w interesach, którzy kłócili się, stukając palcami w rzędy cyfr wypisane na kartce bloku.

Kiedy Jones wertował kartę, Daisy rozglądała się po sali. Za dużymi oknami zachodziło słońce, lecz nic nie było w stanie zamienić baru w przytulne miejsce, w którym chętnie zbierają się ludzie, by popatrzeć, jak szumiące morze powoli nabiera barwy atramentu. Bar mógłby być piękny, gdyby ktoś zatroszczył się o jego wystrój. Wszędzie dookoła widać było ten sam morelowy materiał w kwiatki: uszyto z niego zasłony, lambrekiny, pokryto nim fotele, a nawet przybrano doniczki. Stoliki były białe, z kutego żelaza. Wnętrze bardziej przypominało herbaciarnię niż bar. Daisy doszła jednak do wniosku, że, sądząc po gustach klienteli, na pewno sprzedawano tu więcej herbaty niż alkoholu.

- Siedemnaście funtów za odpowiednik blue nun - mruknął Jones, gdy odwróciła się w jego stronę. - Nic dziwnego, że nie ma tu ruchu. Przepraszam, masz ochotę na wino?

- Nie - skłamała Daisy. - Ale może być. - Zwalczyła chęć zapalenia papierosa. Dałoby mu to moralną przewagę.

Usiedli przy stoliku w rogu. Jones zajął miejsce obok niej, nalał wina, a potem spoglądał na nią od czasu do czasu kątem oka, jakby nad czymś się zastanawiał.

- To miejsce jest okropne - powiedziała.

- Przyszedłem tu, gdy przyjechałem oglądać dom. Chciałem sprawdzić, co proponują. Ludzi, którzy zaprojektowali ten bar, powinno się rozstrzelać.

- Pokryć tynkiem kamyczkowym, żeby nie mogli się ruszyć.

Uniósł w górę brew.

Daisy spuściła wzrok na kieliszek. Jones najwyraźniej nie był w nastroju do żartów. Chrzanić go. Pomyślała przez chwilę o Ellie, ciekawa, czy szybko zasnęła przy pani Bernard. Postanowiła jednak nie zastanawiać się nad tym i wypiła duży łyk wina.

- Chyba wiesz, dlaczego tu przyjechałem - zaczął w końcu Jones.

- Nie - skłamała.

Westchnął ciężko i spojrzał na swoją dłoń.

- Nie jestem zadowolony z postępów prac.

- Ja też nie - przerwała mu. - Prawdę mówiąc, dopiero przed kilkoma dniami udało nam się wszystko ustawić jak należy. Wydaje mi się, że pod koniec tygodnia nadrobimy opóźnienie.

- Ale to nie wystarczy...

- Nie. Masz rację. Powiedziałam ekipie budowlanej, że nie jestem z nich zadowolona.

- Nie chodzi tylko o ekipę...

- Wiem. Także o hydraulików. Ale już ci mówiłam, że wszystko ustaliliśmy. I chyba uda mi się coś urwać z ich rachunku, więc obniżymy trochę koszty.

Milczał przez chwilę, obserwując ją spod czarnych, ściągniętych brwi.

- Nie zamierzasz mi tego ułatwić, prawda?

- Nie.

Patrzyli na siebie przez długą minutę. Daisy siedziała nieruchomo. Jeszcze nigdy nie udało się jej wytrzymać tak długo czyjegoś spojrzenia, nawet Daniela. Zawsze to ona kapitulowała pierwsza, to ona postanawiała wszystko załagodzić. Taką już miała naturę.

- Nie mogę sobie pozwolić na żadne opóźnienia, Daisy. Sporo od tego zależy.

- Dla mnie to też jest ważne.

Potarł czoło, popadając w zamyślenie.

- Nie wiem... - mruknął. - Sam już nie wiem.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, unióśł kieliszek.

- A, do diabła. Skoro ty najwyraźniej od czasu naszego ostatniego spotkania pokazałaś, że masz jaja, ja też muszę udowodnić, że mi ich nie brakuje. - Poczekał, by uniosła swój kieliszek, i stuknęli się delikatnie. - No dobra. Niech Bóg ma nas w swojej opiece. Tylko mnie nie zawieź.

Choć Jones określił wino mianem „sików komara”, uporali się z butelką zaskakująco szybko. Dla Daisy, która od czasu narodzin Ellie nie piła nic mocniejszego od irn bru, ostry smak alkoholu stał się miłym symbolem powrotu do dawnej formy, wskazówką, że niebawem pojawi się inna Daisy.

Zakręciło się jej też lekko w głowie, więc zapomniała, że należy się bać siedzącego obok mężczyzny, i zaczęła go traktować tak, jak przed narodzinami Ellie traktowałyby każdego faceta - próbowała z nim flirtować.

- Jak naprawdę masz na imię? - spytała, gdy zamówił drugą butelkę.

- Jones.

- Chodzi mi o imię, nie nazwisko.

- Nie używam go.

- To... bardzo nowoczesne.

- Chcesz powiedzieć: pretensjonalne.

- Nie. No, może rzeczywiście. Bo używanie tylko jednego imienia lub nazwiska jest trochę pretensjonalne. Jak Madonna?

- Spróbuj dorastać w południowej Walii, mając na imię Inigo, a zobaczysz, jak to jest.

Daisy o mało co nie zakrzuszyła się winem.

- Żartujesz. Inigo Jones*?

- Moja matka pasjonowała się architekturą. Powiedziała, że zostałem poczęty w Wilton House w West Country... Niestety, specjaliści doszli do wniosku, że Inigo Jones wcale

* Inigo Jones (1573-1652), angielski architekt, malarz i scenograf, który zrewolucjonizował architekturę angielską, zrywając ze stylem elżbietańskim. Zaprojektował m.in. Queen's House w Greenwich.

nie zaprojektował tej cholерnej budowli. To projekt jego siostrzeńca.

- Jak się nazywał?

- Webb. James Webb.

- Webb - powtórzyła. - Webby. Nie, to nie to samo.

- Nie.

- No, ale przynajmniej tłumaczy twój świetny gust, jeśli chodzi o budynki. - Była bezwstydna. Ale ktoś musi ją polubić, do cholery. Nawet jeśli miałyby ją to zabić.

Spojrzał na nią spod ściągniętych brwi. Jedna nawet lekko się uniosła.

- Hotel będzie bajeczny - powiedziała z determinacją.

- Lepiej, żeby tak było. - Jones opróżnił kieliszek. - A nie będzie, jeśli zaczniesz się upierać przy tych nowych, ręcznie robionych oknach. Wczoraj raz jeszcze przeczytałem dokładnie kosztorys. Okna w łazienkach za dużo kosztują.

Daisy gwałtownie podniosła wzrok.

- Ale one muszą być ręcznie robione.

- Dlaczego? Kto będzie oglądał okna w łazience?

- Nie o to chodzi. To kwestia stylu. Ten dom jest wyjątkowy. Nie można kupić okien w Magnet and Southern.

- Nie zapłacę za ręcznie robione.

- Zaakceptowałeś kosztorys. Kilka tygodni temu.

- Zgoda, ale może nie miałem czasu przeczytać informacji zapisanych drobnym drukiem.

- Zachowujesz się tak, jakbym chciała cię oszukać.

- Nie bądź taka melodramatyczna. Przyjrzałem się temu uważnie i nie widzę powodu, dla którego miałbym płacić za ręcznie robione okna w miejscu, gdzie i tak nikt nie będzie na nie patrzył.

Nić sympatii, która zaczęła się pojawiać w ich stosunkach, została gwałtownie przerwana. Daisy wiedziała o tym. Wiedziała też, że powinna się wycofać, żeby ją ocalić. Ale nie mogła się powstrzymać. Okna były naprawdę ważne.

- Zaakceptowałeś je.

- Daj spokój, Daisy. Zmień plany. Mamy współpracować

jak partnerzy. Nic z tego nie wyjdzie, jeśli zaczniesz się upierać przy wszystkich szczegółach.

- Nie, nic z tego nie wyjdzie, jeśli zaczniesz się wycofywać z tego, co już uzgodniliśmy.

Jones sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął pudełko tabletek i wsunął dwie do ust.

- Rozumiem, że w waszej spółce nie byłeś odpowiedzialna za kontakty z klientami.

Daisy była urażona do głębi.

- Racja - odparła lodowato. - Ale przecież nie zatrudniłeś mnie dla moich towarzyskich walorów.

Zapadło milczenie.

- No, koniec z tym. Nie możemy się tak kłócić. Chodźmy coś zjeść. Jeszcze nigdy nie spotkałem kobiety, z którą mógłbym się kłócić z pełnym żołądkiem.

Daisy ugryzła się w język.

- No dobra. Znasz okolicę. Zabierz mnie w jakieś miłe miejsce. Takie, które twoim zdaniem spodoba mi się.

Tarasy Arcadii opadały łagodnymi stopniami, których brzegi obrastały krzewy, a pokrywające je kamienie zalewało światło padające z dużych okien. Pod nimi, nadmorską ścieżką szli ludzie zmierzający na plażę lub do domu. Nie zwracali uwagi na wielką bryłę rysującą się majestatycznie na tle nieba.

- Dom pięknie stąd wygląda - powiedział Jones, wsuwając do ust garść frytek. - Dobrze jest zobaczyć go z innej perspektywy.

- Tak.

- Ale nie jest to perspektywa, której oczekiwałem.

Kiedy tak siedzieli na nadmorskim murku, Jones bynajmniej nie tryskał humorem. Ale nakarmiony i napojony nie zmierzał już tak ostro do konfrontacji, tym bardziej że przestała go boleć głowa. Daisy zorientowała się nagle, że bardzo pragnie go rozśmieszyć, zmusić, by ją podziwiał. Mężczyźni, którzy nie chcieli się poddać jej urokowi, zawsze tak na nią działali.

Daniel stanowił jego zdecydowane przeciwieństwo - miał niezwykle wybuchowy temperament i okazywał wszystkie swoje uczucia. W ich związku zawsze ona ustępowała pierwsza. To znaczy do czasu narodzin Ellie. Jej przyjście na świat było granicą, która oddzielała w jej życiu wszystko. Daisy spojrzała na migające po drugiej stronie zatoki światło, na dom, w którym (miała przynajmniej taką nadzieję) spała jej córeczka, i nie po raz pierwszy zastanowiła się, co by było, gdyby Ellie nie przyszła na świat. Czy Daniel zostałby z nią? A może znalazłby inny pretekst, by odejść?

Poruszyła się. Przez materiał spodni poczuła, że murek jest jednak bardzo zimny. Uświadomiła sobie, że jest pijana i zaczyna się rozklejać. Siedziała sztywno, próbując się pozbierać.

- Masz dzieci?

Skończył jeść frytki, zwinął papier w kulkę i położył go za sobą.

- Ja? Nie.

- Nigdy nie byłeś żonaty?

- Byłem, ale dzięki Bogu nie miałem dzieci. I bez nich moje małżeństwo okazało się klapą. Ta ryba z frytkami była pyszna. Od lat nie jadłem płaszczy.

Daisy milczała. Patrzyła na morze, nasłuchując łagodnego szumu fal.

- A tobie co się przydarzyło? - spytał Jones kilka chwil później.

- Słucham?

- Zakładam, że nie było to niepokalane...

- Nie, skąd. To historia stara jak świat. Chłopak poznaje dziewczynę, dziewczyna rodzi dziecko, chłopak dochodzi do wniosku, że przeżywa przedwczesny kryzys wieku średniego, i znika w oddali.

Roześmiał się. Daisy nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy skarcić siebie w duchu za sprowadzenie swojej tragedii życiowej do komicznej anegdotki.

- To było niesprawiedliwe - powiedziała nagle. - On przeżywa teraz bardzo trudny okres. Nie chcę... Chodzi mi o to,

że on jest z gruntu bardzo dobrym człowiekiem. Chyba trochę się zagubił w życiu. Mnóstwo mężczyzn ma z tym problemy, prawda? Z przystosowaniem się do nowych okoliczności?

Z mroku wyłonił się pies i zaczął obwąchiwać pozostawiony przez Jonesa na murku papier. Po chwili zawołał go właściciel spacerujący ścieżką za nimi.

- Z nim prowadziłaś firmę? To Daniel, prawda?

- Tak.

Jones wzruszył ramionami i spojrzał na morze.

- Trudna sprawa.

- Bardziej niż trudna. - Gorycz, która zabrzmiała w jej głosie, zaskoczyła nawet ją samą.

Milczeli przez długą chwilę.

Daisy zadrzała w chłodnym powietrzu i objęła się ramionami. Szyfonowa bluzka nie chroniła przed wieczornym chłodem.

- Mimo wszystko... - Na twarzy Jonesa pojawił się łagodny uśmiech, ledwo widoczny w świetle księżyca.

Serce Daisy zabiło mocniej, gdy wyciągnął rękę. I wziął jedną z nietkniętych przez nią frytek.

- ...świetnie sobie radzisz. Naprawdę świetnie.

Wstał i pomógł jej zeskoczyć z murku.

- Chodź, Daisy Parsons, wypijemy jeszcze po jednym.

Kiedy wrócili do domu, zastali w holu ubraną już w płaszczyk panią Bernard. Jones potknął się o dwie kupki gruzu.

- Słyszałam, jak szliście przez podjazd - zaczęła, unosząc brew. - Spędziliście miły wieczór?

- Okazał się bardzo... produktywny - odparł Jones. - Prawda, Daisy?

- Założę się, że podczas spotkań w Londynie nie jadasz ryby z frytkami i nie przesiadujesz na murku - powiedziała Daisy. Druga butelka wina, która początkowo wydawała się bardzo złym pomysłem, doskonale spełniła swoje zadanie.

- I nie pije pan alkoholu - dodała pani Bernard, przyglądając im się uważnie.

- Wręcz przeciwnie - stwierdził Jones. - Zawsze piję wi-

no. Ale... - spojrzeli z Daisy na siebie i zaczęli chichotać - ..może niekoniecznie ten rocznik.

- Jak na kogoś, kto uznał je za beznadziejne, wypiłeś całkiem sporo.

Jones pokręcił głową, jakby próbował odzyskać równowagę.

- Wiesz, jak na takie parszywe wino, zawierało dużo alkoholu. Prawdę mówiąc, jestem trochę pijany.

- Wygląda pan na pijanego - oświadczyła pani Bernard. Może miało to zabrzmieć jak wyrzut, ale Daisy się nie przejęła.

- Ale ja się nie upijam. Nigdy.

- Ach tak - powiedziała Daisy, unosząc palec. - Nie upijasz się... chyba że zażywasz jednocześnie strasznie dużo pastylek przeciwbólowych.

- Jezu... - Jones poszperał w kieszeni spodni i wyjął pudełko. - „Nie łączyc z alkoholem”.

Pani Bernard zniknęła. Daisy usiadła ciężko na krzesło, zastanawiając się, czy poszła do Ellie. Miała nadzieję, że mała nie płacze: nie była pewna, czy uda się jej wejść na schody.

- Zrobię ci kawy - zaproponowała, próbując podnieść się z krzesła.

- Ja znikam - powiedziała pani Bernard, stając w drzwiach. - Do zobaczenia, panie Jones. Dobranoc, Daisy.

- Eee... tak... Dziękuję, pani Bernard. Odprowadzę panią.

Drzwi zamknęły się cichutko. Po chwili wrócił Jones. Daisy uświadomiła sobie nagle, że nie była sama z mężczyzną od czasu... gdy policjant zgarnął ją z Hammersmith Bridge. Jej oczy wezbrały łzami.

W salonie nadal unosił się zapach schnącego gipsu, stojąca na środku kanapę pokrywała folia ochronna, a jedynym źródłem światła była wisząca u sufitu żarówka. Jak na miejsce budowy, pokój stał się nagle przytulny. Poczowała się nieswojo.

- Wszystko w porządku? - spytał cicho Jones.

- Tak. Już robię kawę - powiedziała i za trzecim podejściem udało jej się wstać z krzesła.

* * *

W drodze z kuchni do salonu rozlała na spodeczek niemal jedną trzecią zawartości filiżanki. Jones zdawał się nie zauważać, że kawa smakuje nieszczególnie.

- Nie mogę znaleźć kluczyków - stwierdził, chwiejąc się na nogach i poklepując po kieszeniach, jakby mogły się tam nagle w cudowny sposób pojawić. - Mógłbym przysiąc, że położyłem je na tym stoliku, kiedy weszliśmy do domu.

Daisy rozejrzała się po pokoju, próbując zachować równowagę. Kiedy wyszła do kuchni, zaczęło się jej potężnie kręcić w głowie i początkowy niepokój związany z faktem, że Jones wydawał się coraz bardziej atrakcyjny, zastąpiła obawa, że nie udaje jej się utrzymać na nogach.

- Nigdzie ich nie widzę. - Postawiła filiżankę na poplamionej farbą skrzynce.

- Nie braliśmy samochodu, prawda?

- Wiesz, że nie. Kiedy wróciliśmy do domu, stał na podjeździe. Pogadziłeś go, pamiętasz?

- To oznaka wieku średniego - mruknął. - Zaczynasz dostrzegać piękno swojego samochodu. Potem przyjdzie kolej na skórzane kurtki.

- I farbowanie włosów. A potem na nastoletnie przyjaciółki.

Po tych słowach zamilkł.

Daisy zostawiła go w pokoju, a sama zaczęła szukać komórki, która nagle zabrzęczała w jej kieszeni. Nikt nie dzwoniłby tak późno. Chyba że był to Daniel. Odszukała gwałtownie prawą kieszeń żakietu. Co będzie, jeśli Daniel zorientuje się, że jest w domu sama z mężczyzną?

- Halo?

- To ja.

Twarz Daisy zastygła.

- Możesz poinformować pana Jonesa, że przyniosę mu kluczyki jutro rano. Nie powinien prowadzić w takim stanie, a tobie nie wypadało o tym powiedzieć. Przecież jest twoim szefem.

Zsunęła się po ścianie.

- Będę około ósmej. Butelki Ellie stoją przygotowane w lodówce.

- Ale gdzie on będzie spał?

- Może iść do Rivier. Albo zdrzemnąć się na kanapie.

Jest przecież dużym chłopcem.

Daisy wyłączyła telefon, podniosła się i weszła do salonu. Jones zakończył już poszukiwania i leżał wyciągnięty na pokrytej folią kanapie.

- Pani Bernard zabrała twoje kluczyki.

Dopiero po kilku sekundach zrozumiał, co do niego mówi.

- Nie przez pomyłkę - dodała.

- Cholerna baba. Jezu - jęknął, pocierając twarz. - Mam jutro spotkanie za piętnaście ósma. Jak teraz wrócę do Londynu?

Daisy poczuła się nagle bardzo zmęczona. Od tygodni nie chodziła spać później niż o dziesiątej, a teraz zbliżała się północ. Radosny nastrój wyparował.

- Pani Bernard zasugerowała, żebyś wynajął pokój w Rivierze. - Daisy przysiadła na brzeжку krzesła. - Albo możesz zostać tutaj. Chętnie prześpię się na kanapie.

Spojrzał na nią.

- Dla ciebie jest chyba za mała - dodała po chwili. - Ellie wstaje wcześniej, więc mogłybyśmy cię obudzić. - Ziewnęła.

Obrzucił ją poważnym, trzeźwym spojrzeniem.

- Nie zamierzam stukać teraz do drzwi Rivier. Ale nie chcę też wyrzucać cię z łóżka.

- Nie mogę pozwolić, żebyś spał na kanapie. Jesteś od niej dwa razy dłuższy.

- Czy ty nigdy nie przestajesz się kłócić? Jeśli będziesz spała na kanapie, a ja w twoim pokoju, co będzie, jeśli mała obudzi się w nocy?

O tym nie pomyślała.

Pochylił się i schował twarz w dłoniach. Kiedy ją podniósł, malował się na niej szeroki, piracki uśmiech.

- Jezu, Daisy. Ależ z nas para pijanych głupców. - Uśmiech odmieniał całą jego twarz: wyglądał jak skory do

figli wujek. Poczwała, że znów się odpręża. - Przyjechałem tutaj, żeby cię zwolnić. A teraz spójrz. Upiliśmy się...

- To ty jesteś szefem. Ja tylko wykonywałam twoje polecenia.

- Tylko polecenia. Tak... - Wstał i chwiejnym krokiem ruszył w stronę schodów. - Posłuchaj - powiedział, odwracając się. - O ile wiem, łóżko na górze jest podwójne.

- Tak.

- Ty będziesz spała z jednej strony, ja z drugiej. Żadnych wygłupów, będziemy spać w ubraniu, a jutro rano nie wspomnimy o tym ani słowem. W ten sposób oboje zdołamy się wyspać.

- Świetnie - odparła Daisy i ziewnęła tak przeciągle, że aż oczy zaszyły jej łzami. Była tak zmęczona, że zgodziłaby się spać w łóżeczku Ellie.

- Jeszcze jedno - powiedział Jones, opadając na łóżko. Zdjął buty i rozluźnił krawat.

Daisy leżała po swojej stronie. W jego obecności powinna czuć się niezręcznie, ale była zbyt zmęczona i pijana, by o tym myśleć.

- Co takiego? - mruknęła w ciemność. Przypomniała sobie, że nie zmyła makijażu, ale to też niewiele ją obeszło.

- Jako mój pracownik zrobisz rano kawę.

- Tylko wtedy, jeśli zgodzisz się na ręcznie robione okna. Usłyszała stłumione przekleństwo.

Uśmiechnęła się, wsunęła ręce pod poduszkę i natychmiast zasnęła.

Jeszcze niedawno wydawało się jej, że kiedy Daniel do niej wróci, poczuje tak wielką ulgę i radość, że rozbłyśnie i będzie tryskać iskrami jak rakietą. Teraz zdawała sobie sprawę z tego, że wcale tak nie będzie: ponowna obecność Daniela w jej życiu wniesie ze sobą spokój, ukoji ból, który przepełniał całe jej ciało. To będzie jak powrót do domu. Podobno tak czuje się człowiek, który odnajduje swoją prawdziwą miłość. Daisy, spoczywając teraz w jego ramionach,

wiedziała już, co to znaczy. Poruszyła się, a ręka, która obejmowała ją tak mocno, że splotły się ich palce, przesunęła się delikatnie. Jakże pragnęła znów poczuć na sobie jej ciężar. Kiedy była w ciąży, ręka stała się zbyt ciężka i Daisy musiała spać po swojej stronie łóżka, obłożona poduszkami. Po narodzinach Ellie przypominała jej, że Daniel nadal jest przy niej. Że nadal tu jest.

Ale Daniela nie było.

Daisy otworzyła oczy. Zamazany obraz powoli stawał się coraz wyraźniejszy. Czuła piasek pod powiekami, a spuchnięty język wypełniał całe usta. Przełknęła głośno ślinę i rozejrzała się. Leżała w swoim pokoju. O kilka kroków od niej Ellie poruszyła się, szybko przebywając zdecydowanie za krótką podróż od głębokiego snu do przebudzenia. Światło sączące się przez szczeliny w zasłonach padało na jej kocyk. Na zewnątrz trzasnęły drzwi od samochodu, a na ścieżce na dole ktoś krzyknął. Pewnie jeden z robotników. Daisy podniosła głowę i spojrzała na zegarek. Było piętnaście po siódmej. Ręka przesunęła się po jej boku i opadła.

Nie było przy niej Daniela.

Daisy usiadła na łóżku, ale wciąż była lekko nieprzytomna. Obok na poduszce leżała jakaś głowa, z ciemnymi, zmierzwionymi od snu włosami. Siedziała nieruchomo, przyglądając się. Patrzyła na zmiętą koszulę i próbowała połączyć w jedną logiczną całość bezładną mieszaninę obrazów. Powoli wszystko do niej dotarło. To nie był Daniel. Ręka nie należała do niego. Nie wrócił.

Nie znajdzie spokoju.

Wybuchnęła głośnym, niepoohamowanym płaczem.

Widać wyraźnie, co się tu wydarzyło, pomyślała pani Bernard, kiedy saab z piskiem opon ruszył z podjazdu i zniknął za zakrętem. Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić. Kiedy przyszła, ta dwójka skutecznie omijała się wzrokiem. Daisy, z zażawioną twarzą, blada, ścisła przed sobą dziec-

ko jak tarczę. On czekał niecierpliwie, kiedy wreszcie będzie się mógł wynieść. I wyglądał na człowieka, który cierpi na gigantycznego kaca, czemu trudno się dziwić po tych wszystkich pigułkach popijanych alkoholem.

Poprzedniego wieczoru widać było, że coś między nimi zaskoczyło; szeptali konspiracyjnie, jakby znali się od kilku lat, nie dni. A kiedy weszła do salonu, zauważyła, że na kanapie nikt tej nocy nie spał.

- Taka jest cena za mieszanie interesów z przyjemnością - powiedziała do niego, podając mu kluczyki. Miała na myśli alkohol, lecz on rzucił jej ostre spojrzenie, z gatunku tych, którymi prawdopodobnie osadza na miejscu swój personel. Pani Bernard tylko się uśmiechnęła. Była zbyt twarda i niezależna, by obawiać się jemu podobnych ludzi.

- Do zobaczenia niebawem, panie Jones - dodała.

- Wątpię, czy niebawem - rzucił i nie oglądając się na Daisy, wszedł do samochodu i odjechał. Kiedy przekręcał kluczyk w stacyjce, mruknął jeszcze pod nosem „Kobiety!”.

- Ależ masz głupią mamę - szepnęła pani Bernard do Elsie, kiedy wracały przez ogród do domu. - Chyba potraktowała moją radę zbyt dosłownie, nie sądzisz? Nic dziwnego, że jest w takim stanie.

Wielka szkoda, naprawdę. Bo kiedy Jones odprowadzał ją w nocy do drzwi, zwierzył się, że Daisy objawiła mu się jako zupełnie inna osoba, nie kupka nieszczęścia, za jaką ją uważał, czy nawet modliszka, za jaką chciała uchodzić. Kręcąc głową, powiedział, że jest „urocza”.

Rozdział trzynasty

Camille nałożyła okład z alg na ciało pani Martigny, przesuwając dłońmi po jej brzuchu i plecach, by rozłożył się równomiernie. W niektórych miejscach algi zaczęły już wysychać, więc dodała świeżą warstwę, jakby smarowała pizzę sosem pomidorowym. Potem szybko oderwała kawał folii, owinęła nią brzuch i biodra pani Martigny i przykryła ją dwoma ciepłymi ręcznikami, wciąż pachnącymi płynem do płukania. Jej dłonie poruszały się zgrabnie i płynnie. Mogła wykonywać tę pracę we śnie. I bardzo dobrze, bo teraz myślami była bardzo daleko, wciąż wracając do rozmowy, którą odbyła przed paroma godzinami.

- Potrzebujesz pomocy? - Tess wsunęła głowę przez drzwi. Uchyliła je lekko, by do środka płynęła muzyka relaksacyjna. - Mam jeszcze dziesięć minut do zmycia pasemek pani Forster.

- Nie, dziękuję. Może napijesz się kawy albo herbaty. Coś dla pani?

- Dziękuję bardzo, Camille. Jest mi tak ciepło i przyjemnie, że chyba się zdrzemnę.

Camille nie potrzebowała pomocy. Za to niebawem będzie potrzebowała pracy. Zamknęła drzwi do pokoju, gdzie przez dwadzieścia minut zamierzała drzemać pani Martigny,

i raz jeszcze przypomniła sobie przepaszające słowa Kay, które usłyszała dziś rano. Wydało się jej, że czarne chmury, które tak długo udawało się odganiać, zebrały się dokładnie nad jej głową.

- Jest mi naprawdę bardzo przykro, Camille. Wiem, że kochasz tę pracę i jesteś jedną z najlepszych kosmetyczek, z jakimi pracowałam. Ale John zawsze chciał wrócić do Chester, a teraz, kiedy przeszedł na emeryturę, nie mam serca, żeby mu odmówić. Szczerze mówiąc, uważam, że ta zmiana wyjdzie nam na dobre.

- Kiedy zamierzasz sprzedać salon? - Camille próbowała zachować spokój i nie okazywać przerażenia.

- Nie powiedziałam jeszcze nic Tess ani nikomu innemu, ale chcę dać ogłoszenie jeszcze w tym tygodniu. Mam nadzieję, że uda nam się sprzedać nie tylko pomieszczenia, ale całą firmę. Świetnie przecież funkcjonuje. Ale między nami mówiąc, nie sądzę, by Tess pozostała tu długo. Nosi ją, jak pewnie widzisz.

- Tak. - Camille zmusiła się do uśmiechu. Żadna z nich nie wspomniła ani słowem o perspektywach dalszej pracy dla niej.

- Bardzo mi przykro, kochanie. Tak bałam się powiedzieć ci o tym. - Kay wyciągnęła rękę i przepaszającym gestem dotknęła ramienia Camille.

- Nie bądź głupia. Musisz robić to, co uważasz za stosowne. Nie ma sensu tkwić tutaj, kiedy wolisz mieszkać gdzie indziej.

- Wiesz, że mój syn tam mieszka.

- Dobrze jest być blisko rodziny.

- Bardzo za nim tęsknię. A teraz Deborah spodziewa się dziecka. Mówiłam ci?

Camille wydała z siebie typowe w takich okolicznościach okrzyki zachwyty. Słyszała swój głos jakby z oddali, jakby należał do kogoś innego, przez cały czas zastanawiając się gorączkowo, co to dla niej może oznaczać.

Nie mogła się o tym dowiedzieć w gorszym momencie. Hal powiedział jej poprzedniego wieczoru, że jeśli nie dosta-

nie jakiegoś zamówienia w ciągu najbliższych dziesięciu dni, będzie musiał przyznać się do porażki i zwinąć interes. Oznajmił to dziwnie bezbarwnym, obojętnym tonem, ale kiedy już w łóżku przytuliła się do niego, by go pocieszyć, odsunął ją lekko i odwrócił się do niej plecami. Nie nalegała. Nigdy już tego nie robiła. „Niech wróci do ciebie, kiedy sam zechce”, radziła psycholog. Nie powiedziała, co ma zrobić, jeśli w ogóle nie wróci.

Camille siedziała nieruchomo przed pokojem, w którym odbywały się zabiegi, niemal nie słysząc dźwięków, które do tej pory zawsze przynosiły jej ukojenie: szumu suszarki do włosów, butów na miękkich podszwach przesuwających się po podłodze, przerywanego rytmu rozmowy.

Utrata pracy nie będzie jego winą, ale on potraktuje to jako kolejny wyrzut, który pogłębi tylko dzielącą ich przepaść. Nie mogą mu teraz powiedzieć, pomyślała. Nie mogą mu tego zrobić.

- Wszystko w porządku, Camille?

- Tak, dziękuję, Tess.

- Zapisałam właśnie panią Green na zabieg aromaterapii w przyszły wtorek. Wiem, że jesteś bardzo zajęta, więc zaoferowałam się, że to ja ją przyjmę, ale nie... Powiedziała, że chce z tobą o czymś porozmawiać - roześmiała się. - Bardzo chciałabym wiedzieć, co te panie ci opowiadają. Pewnego dnia staniesz się niesamowitym źródłem informacji dla „News of the World”.

- Słucham?

- Te wszystkie ich romanse i tak dalej. Wiem, że jesteś bardzo dyskretna, ale założę się, że to miasteczko aż kipi od głęboko skrywanych brudnych sekretów.

Jakieś pół kilometra dalej, nad morzem, Daisy siedziała na niewielkim pieńku ze śpiącą obok niej w wózekku Ellie. Niebo było czyste, fale szumiały monotonicznie, zalewając plażę pianą. Daisy trzymała w ręce list.

Jesteś prawdopodobnie na mnie wściekła. I wcale Ci się nie dziwię. Ale, Daise, odkąd tutaj jestem, sporo myślałem i uświadomiłem sobie, że nigdy nie miałem okazji, by zapragnąć dziecka. Postawiono mnie przed faktem dokonanym. I chociaż bardzo ją kocham, nie podoba mi się sposób, w jaki wpłynęła na nas i nasze życie...

Nie płakała. Było jej zbyt zimno.

Tęsknię za Tobą. Naprawdę. Ale jestem też zupełnie skołowany. Nie wiem nawet, gdzie mam głowę. Nie mogę spać, zązywam środki antydepresyjne przepisane przez lekarza, który radził mi, żebym z kimś porozmawiał o swoich problemach, ale czuję, że byłoby to zbyt bolesne. Bardzo chciałbym się z Tobą zobaczyć, ale nie jestem teraz pewien, czy spotkanie cokolwiek by pomogło.

Załączył czek na pięćset funtów. Z konta jego matki.

Daj mi, proszę, trochę czasu. Obiecuję, że pozostanę w kontakcie. Ale potrzebuję jeszcze czasu. Jest mi naprawdę bardzo przykro, Daise. Czuję się parszywie, wiedząc, że Cię skrzywdziłem. Czasami po prostu nienawidzę samego siebie...

Pisał tylko o sobie. O swoim cierpieniu i walce. Nie zadał w liście ani jednego pytania-jak się miewa jego córka? Czyje już pokarmy stale? Czy śpi całą noc? Czy trzyma przedmioty w swoich małych różowych paluszkach? Jak ona sobie radzi? O Ellie wspominał tylko w kontekście swoich problemów. Jego egoizm, pomyślała Daisy, może dorównać tylko brakowi samokrytyki. „Chciałam, żebyś miała ojca - szepnęła do córeczki. - Chciałam, żeby cię kochał, bo masz do tego prawo. A tymczasem dostałaś meduzę z obsesją na własnym punkcie”.

A jednak w słowach, które napisał, pobrzmiwało echo sposobu, w jaki przemawiał, upiorne echo emocjonalnej za-

palczywości, którą tak długo kochała. I uczciwości, której chyba nie potrafiła odnaleźć u siebie. Nie wiedział, czy jest gotowy na przyjęcie dziecka. Na początku był w tej kwestii bardzo otwarty. Mówił na przykład: „Kiedy rozkręcimy interes, malutka”. Albo: „Kiedy odłożymy trochę pieniędzy”. Podejrzewała, że był wściekły, kiedy mu powiedziała, że jest w ciąży, ale ukrywał to bardzo starannie. Wspierał ją przez cały czas, chodził z nią do szkoły rodzenia i na badania, mówił to, co należało powiedzieć. To przecież nie jej wina, powtarzał nieraz. Przejdą przez to razem. „Do tanga trzeba dwojga”, dodawała Julia.

Ale jednak nie zawsze trzeba było dwojga, czyż nie?

Daisy usiadła na trawie i po raz pierwszy z poczuciem winy spojrzała wstecz. Nie na Ellie. Na listek z pigułkami, który obrzuciła przelotnym spojrzeniem i zostawiła. Czternaście miesięcy temu.

- Skończyli dwa pokoje od frontu. Chcesz zobaczyć?

Pani Bernard wyjęła obudzoną Ellie z wózka i zamknęła za sobą wielkie białe drzwi.

- Jutro przywiozą łóżka, więc będą niemal gotowe. Był też telefon w sprawie żaluzji. Zadzwoń jeszcze raz po południu.

Daisy, zmarznięta i zmęczona, zdjęła płaszcz i położyła go na blacie przyszłej recepcji. Mebel pochodził z lat trzydziestych dwudziestego wieku. Znalazła go w Camden i trzymała nadal owinięty bąbelkową folią, w której przyjechała. Chciała go pokazać Jonesowi, ale w ciągu dziesięciu dni, które minęły od ich ostatniego spotkania, w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Pani Bernard, która tego dnia była wyjątkowo radosna, przywołała ją skinieniem dłoni.

- Spójrz, zaczęli prace w ogrodzie. Miałam do ciebie zadzwonić, ale pomyślałam, że niedługo wrócisz.

Daisy spojrzała na schody tarasowe, wokół których w świeżo zaprawionej kompostem ziemi sadzono nowe drzewka i krzewy. Niektóre zbyt rozrośnięte krzewy bzów i wistarii

przycięto umiejętnie, tak by zachować ślad dzikości i magii. Tarasy zostały wyszorowane i naprawione, mocne i czyste kontrastowały teraz z naturalnymi formami otoczenia; wokół unosił się zapach tymianku i szaławii z nowo założonego ogródka z ziołami, zmieszany z wonią obsypanej kwiatami budlei.

- Wygląda zupełnie inaczej, prawda? - Pani Bernard rozpromieniła się, pokazując wszystko Ellie.

Daisy zauważyła, że bardzo lubi to robić. Z bólem pomyślała, że nie mogła nic pokazać Camille, gdy była malutka.

- No, wszystko zaczyna nabierać kształtów - powiedziała, rozglądając się dookoła, z rzadkim poczuciem dumy i zadowolenia z własnych osiągnięć. Zastępowało powoli wielką czarną dziurę, która wsysała wszystko co dobre. Nadal mieli opóźnienie, ale wyglądało na to, że niebawem wyjdą na prostą.

Pokoje, które powstały w wyniku zburzenia ścianek działowych, były przestronne i jasne, także dzięki ogromnemu świetlikowi. Zamontowane na nim elektroniczne żaluzje chroniły wnętrze, gdy upał dokuczał zbyt mocno. Trzy sypialnie czekały tylko na meble. Ściany pachniały świeżą farbą, a wywoskowane podłogi z ułożonego w jodełkę parkietu pokrywała warstwa pyłu, która zniknie na dobre dopiero po wyjściu ekipy remontowej. W pomieszczeniach kuchennych zainstalowano cały arsenał lśniącego stałą sprzętu, razem z ogromnymi lodówkami i zamrażarkami, i jeszcze tylko jedna łazienka nie była wyposażona w urządzenia sanitarne. Mając z głowy brudną robotę, Daisy zastanawiała się teraz nad szczegółami. To zawsze wychodziło jej najlepiej - z radością spędzała całe godziny, szukając odpowiedniego starego materiału lub przeglądając fachowe książki, by sprawdzić, jak w tamtych czasach wieszano obrazy lub ustawiano książki. W przyszłym tygodniu, obiecywała sobie, obejrzy dokładnie albumy pani Bernard przedstawiające dawną Arcadię. Były dla niej skarbem, którego nie chciała otwierać, zanim upora się z „działką Daniela”, bo tak określała w myślach najgrubsze prace.

- Och, zapomniałam ci powiedzieć. Rozbiorą ławeczkę w rogu. Drewno zupełnie przegniło. Stolarz powiedział, że może ci zrobić dokładnie taką samą. Ale chyba nie warto zawracać sobie tym głowy. A jaśmin, który rośnie tam z boku, trzeba trochę przyciąć, bo załoni zupełnie rynny. Powiedziałam im, że nie ma sprawy. Zasadziłam go, gdy Camille była mała. Chodziło mi o zapach - wyjaśniła. - Lubiła wszystko, co ładnie pachnie.

Daisy zmarszczyła brwi i spojrzała na panią Bernard.

- Nie ma pani nic przeciwko temu?

- Czemu?

- Temu rozbieraniu i niszczeniu. Ten dom przez całe lata należał do pani, a teraz ja przerabiam go zgodnie z moją wizją. Nie będzie już taki jak dawniej.

- Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko temu? - rzuciła lekko poirytowanym tonem, wzruszając przy tym przesadnie ramionami. - Nie ma sensu oglądać się za siebie. Po co wracać do przeszłości, której już dawno nie ma?

- Ale to pani historia.

- Wolałabyś, żebym była zła? Kręciła się tu ze skwaszoną miną i stale mówiła: „W moich czasach było inaczej”?

- Jasne, że nie. Tylko...

- Tylko że starzy ludzie bezustannie wracają do przeszłości. Ja nie stosuję płukanek na włosy, nie mam darmowego biletu na autobus i nie obesłoby mnie wcale, gdybyś pomalowała ściany na żółto w niebieskie kropki... Rób, co chcesz, stale ci to powtarzam. I przestań szukać aprobaty u wszystkich dookoła.

Daisy wiedziała, kiedy rozmowę należy uznać za skończoną. Przygryzła wargę i weszła do domu, by zaparzyć herbatę. Aidan, brygadzysta, był już w kuchni. Gdzieś za nim cichutko brzęczało radio.

- Powiedziała ci o zebraniu? - Wyciskał palcami torebkę herbaty, a jego blada twarz usiana była kropkami turkusowej farby.

- Jakim zebraniu?

- Ta kobieta z hotelu zwołała zebranie. Chce, żeby rada wstrzymała remont.

- Żartujesz, prawda?

- Nie. - Wrzucił torebkę do plastikowej siatki, która służyła za kosz na śmieci, i oparł się o stalową ladę. - Lepiej tam idź. Szef też powinien się pojawić. Wiesz, jacy są ludzie w takich miasteczkach. Te baby potrafią być przerażające.

- Mnie wystraszyła na śmierć. - Trevor, hydraulik, wsunął głowę przez drzwi, szukając herbatników. - Po pięćdziesiątce, z wielkim psiskiem, zgadza się? Dopadła mnie w kiosku, kiedy kupowałem papierosy, i zaczęła nawijać. Powiedziała mi, że nie wiem, co robię, że otwieram puszkę Pandory. Niby dlaczego?

- Chodzi o bar - wytłumaczył Aidan. - Za nic go tutaj nie chcą.

- Jak może być hotel bez baru?

- Nie mnie o to pytaj, kochana. Mówię ci tylko, na co oni się skarżą.

- O, cholera. I co teraz zrobimy? - Opanowanie Daisy, nad którym tak ciężko pracowała, znów pierchło.

- Co masz na myśli, mówiąc: „zrobimy”? - Pani Bernard stanęła w drzwiach, trzymając Ellie na biodrze. - Tu nie ma nic do zrobienia. Pójdiesz na zebranie, wysłuchasz, co ona ma do powiedzenia, potem wstaniesz i powiesz im, że są zgrają zacofanych głupców.

- To im się na pewno spodoba - oświadczył Trevor.

- No to powiedz im, o co tu naprawdę chodzi. Postaraj się ich przeciągnąć na swoją stronę.

- Miałabym przemawiać publicznie? - Daisy szeroko otworzyła oczy. - O, nie.

- No to zadzwoń do pana Jonesa. Niech on się tym zajmie.

Daisy wróciła myślami do dwóch rozmów, które odbyli od czasu jego wyjazdu. Czują wyraźnie, że wrócił do swojej dawnej opinii o niej - miał ją za zwariowaną, rozchwianą emocjonalnie osobę, której nie można ufać. Rozmawiając z nią, był bardzo ostrożny i chłodny. Szybko odkładał słuchawkę. A gdy

Daisy, wciąż wstydząc się swojego wybuchu, zapytała go pojedynawczym tonem, kiedy znów przyjedzie, spytał: Po co? Czy nie może sobie sama poradzić?

- Nie - odparła wściekła. - Nie chcę, żeby on tu przyjeżdżał.

- Wygląda na to, że poradziłby sobie z tym lepiej od ciebie.

- Nigdzie nie pójdziemy. Niech hotel sam przemówi w swoim imieniu.

- O, to bardzo odważne z twojej strony. Dajesz Sylvii Rowan wolną rękę; będzie mogła obgadywać cię na prawo i lewo.

Pogardliwy ton pani Bernard straszliwie ją denerwował. Daisy odnosiła wrażenie, że słyszy go zbyt często.

- Nie przemawiam publicznie.

- To głupie.

- Słucham?

- Nie chcesz bronić swojej pracy. Nie zadzwonisz do Jonesa, bo wyszłaś przy nim na idiotkę. Będziesz tu siedzieć i pozwolisz, by oni weszli ci na głowę. To głupie.

Daisy miała już serdecznie dość.

- Och, pani oczywiście nigdy w życiu nie zrobiła nic niewłaściwego, prawda? Wyszła pani za przyzwoitego człowieka, ma rodzinę, jest szanowanym członkiem tutejszej społeczności. Nigdy ani przez chwilę nie zwątpiła pani w swoje możliwości. Moje gratulacje.

- To tylko dowód na to, jak niewiele wiesz. Chcę ci tylko powiedzieć, że w twojej sytuacji musisz walczyć o swoje.

- W mojej sytuacji? Nie wypalono mi na czole szkarłatnej litery. Poza granicami Stepfordwivesville* żyją ludzie, którzy samotnie wychowują dzieci i którzy nie znaleźli się w żadnej „sytuacji”, jak to pani określiła.

- Doskonale zdaję sobie sprawę...

* Prawdopodobnie aluzja do książki Iry'ego Levina *Żony ze Stepfordu* (lub jej ekranizacji), opowiadającej o idealnych mieszkankach pewnego miasteczka, w którym wszystko jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

- Ja tego nie wybierałam. Myślałam, że zakładam rodzinę. Nigdy nie przypuszczałam, że zostanę samotną matką. Sądzi pani, że w moich planach życiowych umieściłam zamieszkanie na placu budowy z maleńkim dzieckiem, którego ojciec nawet nie wie, jak ono teraz wygląda? W otoczeniu zwariowanych, wojowniczych bab? Uważa pani, że tego właśnie najbardziej pragnęłam?

Trevor i Aidan wymienili spojrzenia.

- Nie ma powodu wpadać w histerię.
- To proszę się mnie więcej nie czepiać.
- Nie bądź taka wrażliwa.

Na chwilę zapanowała cisza.

- Co miała pani na myśli, mówiąc, że zrobiłam z siebie idiotkę przy Jonesie?

Pani Bernard spojrzała na mężczyzn.

- Nie jestem pewna, czy powinnam o tym mówić.
- O czym?
- Proszę nie zwracać na nas uwagi. - Aidan oparł się wygodnie o blat, trzymając w dłoni kubek z herbatą.

Po raz pierwszy pani Bernard sprawiała wrażenie zbitej z tropu.

- No cóż. Pewnie myślałaś, że postępujesz właściwie... zaczynasz nowe życie...

- O czym pani mówi?
- O tobie i o nim. Tamtego ranka.

Daisy zmarszczyła brwi i czekała na dalszy ciąg.

Mężczyźni znieruchomieli.

- W dzisiejszych czasach młodzi ludzie są zupełnie inni... wszystko inaczej się układa...

- O Boże, pani myśli, że z nim spałam, tak? Nie, nie mogę w to uwierzyć. - Daisy roześmiała się gorzko.

Pani Bernard przeszła obok niej i zaczęła pokazywać Ellie coś za oknem.

- Powiem pani, choć w zasadzie nie powinno to pani wcale obchodzić, że z panem Jonesem nawet się nie dotknęliśmy. Został tutaj, bo pani zabrała mu kluczyki, chyba pani pamięta?

- To świetny facet - wtrąci! Trevor.
- Racja. Ja bym się z nim umówił. Gdybym był dziewczyną. - Aidan uśmiechnął się od ucha do ucha.

Pani Bernard odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

- Nigdy nic takiego nie powiedziałam. Pomyślałam tylko, że nie powinnaś się upijać w jego towarzystwie. Jest przecież twoim szefem. Ale nie będę już wyrażać swoich opinii, jeśli nie chcesz.

- Nie chcę. I szczerze mówiąc, wolałabym zostać sama.
- Nie ma sprawy. Weź dziecko. Muszę zrobić zakupy. - Przechodząc obok Daisy, wsunęła jej małą w ramiona i wyszła.

- Daisy? Wszystko w porządku?

- Nie. Tak. Nie wiem. Chciałam tylko usłyszeć przyjazny głos.

- Co się stało, kochanie?
- Och, wiesz dobrze. Przepychanki w domu. - Przesunęła palcem po słuchawce. - I Daniel napisał.
- Wielka szkoda. Miałam nadzieję, że nie żyje. I co takiego napisał?
- Że jest skołowany. Nieszczęśliwy.
- Biedaczyna. Co teraz zamierza zrobić?

Daisy uświadomiła sobie, że jednak nie powinna była dzwonić do Julii.

- Nic. Chce... dojść ze sobą do ładu.
- A gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla ciebie?
- Nie mówmy już o tym. Ellie czuje się świetnie. Je już stałe pokarmy i zaczyna sama siedzieć. Policzki ślicznie się jej zaróżowiły. Kiedy trochę się tu uspokoi i ociepli, pójdę z nią pobrodzić w morzu.

- Świetnie... Chcesz, żebyśmy przyjechała? Bardzo się stęskniłam za moimi cukiereczkami.

Co za irytujące określenie.

- Mam przed sobą trudny tydzień. Zadzwoń do ciebie.
- Możesz rzucić tę robotę, Daise. Możesz przyjechać do

nas. W każdej chwili. Don powiedział, że nie powinnam była pozwolić ci jechać tam samej.

- Nic mi nie jest.
- Ale się zastanów. Jeśli będziesz miała już dość, pamiętaj, że nie jesteś sama.
- Zastanowię się, Ju.
- Poza tym, Daise, to przecież Essex.

Dom Kultury imienia burmistrza Kennetha Elliotta odwołał cotygodniowy wieczór bingo, a emerytki, które zjawiały się, by zagrać, nie wyglądały na uszczęśliwione perspektywą mającego się odbyć zebrania. Część z nich stała na zewnątrz, wykrzykując coś znad torebek, jakby nie były pewne, czy zostać, czy wrócić do domu, a reszta siedziała w środku na składanych krzesłkach z kartami przygotowanymi na wszelki wypadek. Prowadzący grę były didżej, który miał nadzieję znaleźć pracę na jednym ze statków, stał wściekły przed budynkiem. Pałac papierosa, myślał o piętnastu funtach, które właśnie przeszły mu koło nosa. Wszystko to tłumaczyło ogólnie kiepski nastrój mieszkańców Merham, którzy, mimo padającego deszczu, zdecydowali się przyjść na zebranie.

Niski budynek wzniesiono pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, bez specjalnego ukłonu w stronę wartości estetycznych, zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Jednym słowem była to kiepsko ogrzewana bryła, w której o wolne miejsce walczyli członkowie Klubu o Pierwszej, uczestnicy wtorkowych spotkań towarzyskich, grający w bingo, oraz grupka matek z małymi dziećmi. Podczas tych spotkań podawano sok pomarańczowy, tanie herbatniki i herbatę z wiecznie psującego się automatu.

Na ścianach w holu wisiały ogłoszenia w formacie A4, informujące o autobusach do wynajęcia, telefonie zaufania dla narkomanów oraz spotkaniach integracyjnych dla dzieci opóźnionych w rozwoju. Znacznie mniejsze ogłoszenie, którego nie zauważył były didżej, informowało o mającym się odbyć tego wieczoru zebraniu. W oczy rzucał się jednak po-

wieszony niedawno duży plakat z hasłem „SOS - Ratujmy nasze wartości”, wypisanym liliowym tuszem. Wzywał mieszkańców Merham do powstrzymania przebudowy „domu aktorki”, by w ten sposób ochronić młodzież i tradycyjny styl życia miasteczka.

Daisy obejrzała plakat, obrzuciła uważnym spojrzeniem uczestników zebrania, głównie ludzi w średnim wieku, którzy teraz, szurając krzesłami i stopami, zajmowali miejsca, i zwalczyła przemożne pragnienie ucieczki. Marzyła, by ukryć się we względnie bezpiecznym wnętrzu Arcadii. Powstrzymała ją przed tym jedynie przerażająca świadomość, że być może Jones i pani Bernard mieli rację, sądząc, że jest słaba, pozbawiona kręgosłupa i rozchwiana emocjonalnie. Byli przekonani, że sobie nie poradzi. Wyjęła Ellie z wózka, zdjęła z niej warstwę ubrań włożonych przez panią Bernard i usiadła w tyle sali. Burmistrz, niski, krępy mężczyzna, bardzo dumny z zajmowanego stanowiska, przedstawił Sylwię Rowan.

- Panie i panowie, nie będę się długo rozwodzić, bo wiem, że wszyscy chcecie szybko wrócić do domu.

Pani Rowan, elegancka, w czerwonym żakiecie i plisowanej spódnicy, stanęła przed zebranymi z rękami splecionymi na brzuchu.

- Przede wszystkim chciałam wam podziękować za tak liczne przybycie. To tylko dowód na to, że w niektórych częściach naszego ukochanego kraju ludzie wiedzą jeszcze, co znaczy troszczyć się o wspólne dobro! - Uśmiechnęła się, jakby czekając na aplauz, ale usłyszawszy jedynie cichy szmer aprobaty, ciągnęła dalej. - Zwołałam to zebranie, bo, jak doskonale wiecie, od lat staram się chronić Merham przed losem, jaki przypadł w udziale Clacton i Southend. Pomimo sporej opozycji udało nam się powstrzymać sprzedaż alkoholu w miejscach publicznych. Niektórzy uważają nas za zacyfanych, lecz ja wolę myśleć, że nie pozwalając na otwarcie pubów i klubów nocnych, udało nam się zachować w Merham typowo rodzinną atmosferę i pewien poziom, do którego przez wszystkie te lata zdążyliśmy się przyzwyczaić.

Uśmiechnęła się, kiedy z tyłu sali dobiegły ją okrzyki „Słuchajcie! Słuchajcie!”. Daisy kołysała Ellie.

- Uważam, że Merham jest jednym z najprzyjemniejszych nadmorskich miasteczek w Anglii. Ci, którzy lubią wypić coś mocniejszego, mogą odwiedzić restaurację państwa Delfino, restaurację hinduską i nasz bar w Rivierze. Mieszkańcom miasta to zawsze wystarczało i trzymało od nas z daleka... jak to określić?... element, który zwykle odwiedza miasteczka nad morzem. Ale teraz... - rozejrzała się po sali - ...stajemy w obliczu prawdziwego zagrożenia.

W sali zapanowała cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu szuraniem stóp lub dźwiękiem komórki.

- Cieszymy się bardzo, że w jednym z najpiękniejszych budynków w naszym mieście trwają prace renowacyjne. Od architekta okręgowego dowiedziałam się, że wszystko odbywa się zgodnie z przepisami i ma na celu przywrócenie dawnego charakteru tego miejsca. Ci z nas, którzy znają historię domu, dziwią się na pewno niepomniernie, co to może oznaczać! - Zaśmiała się nerwowo, a kilka starszych osób odpowiedziało jej niczym echo. - Jak wiecie, dom nie będzie przeznaczony do użytku prywatnego. Dom aktorki, jak określamy go my, długoletni mieszkańcy Merham, ma się stać hotelem dla londyńczyków. A prowadzić go będzie nie kto inny jak tylko właściciel nocnego klubu w Soho, który szuka dla jego bywalców podobnego miejsca poza miastem. Niektórzy z nas na pewno zastanawiają się, czy rzeczywiście potrzeba nam tutaj typów z Soho, którzy będą traktować Merham jak prywatny plac zabaw. Jakby tego było mało, nowy właściciel zwrócił się o pozwolenie na... - Spojrzała na trzymaną w ręce kartkę - ...ładowisko dla helikopterów. Wyobraźcie sobie hałas, jaki tu zapanuje, gdy dzień i noc będą lądować helikoptery. Na dodatek w hotelu powstanie nie jeden, ale dwa bardzo długo otwarte bary. Nie uchronimy się więc przed pijakami snującymi się po ulicach, którzy być może przywiozą do naszego miasteczka narkotyki i kto wie, co jeszcze. Panie i panowie, ja nie zamierzam tego popierać. Uważam, że po-

winniśmy się zwrócić do członka parlamentu z naszego okręgu oraz do architekta z biura planowania i poprosić ich, by wycofali pozwolenie na otwarcie hotelu. Merham go nie potrzebuje i na pewno nie chce! - zakończyła mocnym akcentem, machając nad głową zgniecioną kartką papieru.

Daisy spojrzała na zebranych kiwających z aprobatą głowami i straciła cały zapach.

Burmistrz podniósł się z miejsca i dziękował pani Rowan za jej „pełne pasji słowa”. Zapytał, czy ktoś z obecnych ma coś do dodania. Kiedy rękę podniosła Daisy, zwróciło się ku niej dwieście par oczu.

- Eee... nazywam się Daisy Parsons i jestem projektantką, która...

- Głośniej! - zawołał jakiś mężczyzna na przedzie. - Nic nie słychać!

Daisy stanęła w przejściu między krzesłami i wzięła głęboki oddech. W sali było duszno od zapachu kilku rodzajów tanich perfum.

- Jestem projektantką nadzorującą remont Arcadii. Słuchałam uważnie wystąpienia pani Rowan. - Utkwiła wzrok nad głowami. Jeśli zobaczy wyraz ich twarzy, na pewno zabraknie jej odwagi. - Rozumiem, że bardzo wam zależy na tym domu, i jest to godne podziwu. To piękny dom i jeśli ktokolwiek ma ochotę tam zajrzeć...

- Głośniej! Nic nie słychać!

- Jeśli ktoś ma ochotę tam zajrzeć i zobaczyć, jak postępują prace, będzie bardzo mile widziany. Prawdę mówiąc, będę wdzięczna za wszelkie uwagi dotyczące historii domu lub jego dawnych mieszkańców, bo pragniemy, by w nowym wystroju znalazły się odniesienia do przeszłości. Choć dom nie figuruje na liście zabytków, zależy nam, by zachować jego dawny charakter.

Ellie poruszyła się na jej biodrze i spojrzała na salę okragłymi jak koraliki oczkami.

- Pani Rowan ma rację, rzeczywiście zwróciliśmy się z prośbą o pozwolenie na wybudowanie lądowiska dla heli-

kopterów. Ma być usytuowane na tyłach domu, niewidoczne z miasta, otwarte tylko w określonych godzinach. Nie sądzę jednak, by powstało. Jestem pewna, że większość gości będzie przyjeżdżać samochodami lub pociągiem. - Spojrzała na twarze, na których jej słowa nie wywarły najmniejszego wrażenia. - Tak, zwróciliśmy się też o pozwolenie na otwarcie dwóch barów, jeden wewnątrz, drugi na zewnątrz budynku. Ale ludzie, którzy będą odwiedzać Arcadię, nie są zgrają lumpów upijających się tanim winem. Nie może być mowy o żadnych burdach. To bogaci, kulturalni ludzie, którzy lubią wypić dżin z tonikiem lub butelkę wina do posiłku. Nawet nie zauważycie, że tu są.

- Hałas niesie się daleko - przerwała jej Sylvia Rowan. - Jeśli otworzycie bar na zewnątrz, będzie tam grać muzyka, a wiatr poniesie odgłosy do miasta i wszyscy będą musieli tego słuchać.

- Jestem pewna, że uda nam się dojść do porozumienia, jeśli przekażecie swoje uwagi właścicielowi hotelu.

- Panno Parsons, pani nic nie rozumie. W tym domu wiele lat temu odbywały się różnego rodzaju przyjęcia i bardzo nam się to nie podobało. - W sali rozległ się szmer aprobaty. - Nie mówiąc już o wpływie, jaki to wywrze na inne działające w mieście restauracje.

- Będą miały więcej klientów. Miasto też na tym zyska.

Ellie, nie wiadomo czemu, zaczęła płakać. Daisy przeniosła ją na drugie biodro i próbowała skoncentrować się na sporze.

- Zabierze im stałych gości.

- Nie sądzę, by do tego doszło. Tutejsi mieszkańcy są zupełnie inni.

Stojąc na środku sali, Daisy jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak samotna.

- Doprawdy? A jacy, pani zdaniem?

- Na miłość boską, Sylvio, wiesz doskonale, że ludzie, którzy przychodzą do twojego cennego hotelu na niedzielną herbatkę, nie będą grali na perkusji i basie, czy jak tam się to nazywa, w nowoczesnym barze.

Daisy spojrzała na lewo. Kilka rzędów dalej z miejsca podniosła się pani Bernard. Po jednej jej stronie siedział mąż, a po drugiej Camille z Halem. Starsza kobieta odwróciła się, spoglądając na twarze siedzących wokół niej osób.

- To miasto umiera - powiedziała z naciskiem. - Wydaje ostatnie tchnienie i wszyscy doskonale o tym wiemy. Szkoła jest zagrożona, wystawy połowy sklepów na głównej ulicy są zabite deskami, inne zajmują się działalnością charytatywną, a nasz targ co tydzień staje się coraz mniejszy, bo właściciele straganów nie mogą liczyć na zysk, który pozwoliłby im utrzymać interes. Nawet pensjonaty są zamykane jeden po drugim. Musimy przestać oglądać się za siebie i wpuścić tu trochę świeżego powietrza.

Spojrzała na Daisy, która wsunęła mały palec do ust Ellie i kołysała się na stopach.

- Może przyjmowanie w mieście nowych gości niesie z sobą jakieś niewygodę, ale musimy tu kogoś przyciągnąć, jeśli chcemy przetrwać i zapewnić przyszłość naszej młodzieży. Lepiej przyjmować bogatych gości z Londynu niż nikogo.

- Nie doszłoby do tego, gdyby nadal działało Zrzeszenie Właścielek Pensjonatów - powiedziała starsza kobieta w pierwszym rzędzie.

- A co się stało ze zrzeszeniem? Umarło śmiercią naturalną, bo nie było dość pensjonatów, by przedłużyć jego żywot. - Pani Bernard odwróciła się i spojrzała z pogardą na Sylwię Rowan. - Ilu z was w ciągu minionych pięciu lat udało się utrzymać dochody na dotychczasowym poziomie albo je zwiększyć?

W sali rozległy się pomruki. Zebrani kręcili głowami.

- No właśnie. A stało się tak dlatego, że jesteśmy zacofani i nie mamy do zaproponowania nic atrakcyjnego. Zapytajcie właścicielki pensjonatów - nie przyjeżdżają już do nas nawet rodziny z małymi dziećmi, które stanowiły podstawę naszych dochodów. Musimy otworzyć się na zmiany, a nie stale się im sprzeciwiać. Zastanówcie się nad tym spokojnie, zanim zaczniecie podcinać gałąź, na której wszyscy siedzimy.

Jej słowa nagrodzono brawami.

- I kto to mówi?

Pani Bernard spojrzała na Sylwię Rowan, która patrzyła jej prosto w oczy.

- Ten deweloper zapłacił ci sporo za dom. I wygląda na to, że nadal ci płaci. Trudno więc uznać twoją opinię za bezstronną.

- Jeśli nie zdążyłaś mnie dotąd poznać na tyle, Sylvio, by wiedzieć, że zawsze mówię to, co myślę, to jesteś jeszcze głupsza teraz niż w czasach, gdy byłaś małą dziewczynką. A to coś znaczy.

Na tyłach sali rozległ się zduszony śmiech.

- Drogie panie, wystarczy. - Burmistrz, jakby w obawie, że dojdzie do rękoczynów, stanął między kobietami. Daisy była wstrząśnięta, widząc wrogość malującą się na ich twarzach. - Dziękuję. Jestem pewien, że obie dałyście nam sporo do myślenia. Sądzę, że powinniśmy teraz zagłosować...

- Myślisz, że już nie pamiętamy? Nawet jeśli nikt o tym nie mówi, to nie znaczy, że zapomnieliśmy.

- Pani Rowan, bardzo proszę. Zagłosujemy i zobaczymy, na czym stoimy, zanim podejmiemy ewentualne kroki. Kto jest przeciwko lub nie do końca popiera remont Arcadii, proszę, niech podniesie rękę do góry.

- Musisz przestać żyć przeszłością, głupia kobieto - rzuciła scenicznym szeptem pani Bernard i zajęła miejsce obok męża. Szepnął coś do niej i poklepał ją po dłoni.

Daisy wstrzymała oddech i rozejrzała się po sali. W górę powędrowało trzy czwarte rąk.

- Kto jest za?

Podeszła do wózka i położyła w nim protestującą córeczkę. Zrobiła to, co obiecała. Teraz musi położyć Ellie spać, poza tym bardzo chciała znaleźć się w miejscu, które zaczęła, z braku innych, traktować jako swój dom.

- Chyba nie załamiesz się jeszcze bardziej, co? - Pani Bernard stanęła w drzwiach salonu, trzymając pod pachą kilka teczek.

Daisy leżała na kanapie z listem Daniela w ręce. Słuchała radia i rzeczywiście załamywała się jeszcze bardziej, jak określiła to pani Bernard. Usiadła i odsunęła się, by zrobić dla niej miejsce.

- Tylko trochę - powiedziała, uśmiechając się blado. - Nie wiedziałam, że mamy aż tak wielką opozycję.

- To Sylvia Rowan jest przeciwna.

- Ale w mieście pełno jest niechęci. Muszę przyznać, że to trochę denerwujące... - Odetchnęła głęboko.

- Zastanawiasz się, czy warto.

- Tak.

- Nie przejmuj się tą zgrają - dodała drwiącym tonem pani Bernard. - Nie zapominaj, że na zebranie przyszli tylko miejscowi krzykacze. I ci, którzy chcieli pograć w bingo. Tym, którzy zostali w domach, jest to zupełnie obojętne. A poza tym nie będzie im łatwo wywalczyć cofnięcia pozwolenia na remont, bez względu na to, co sobie myśli ta głupia kobieta. - Spojrzała pytająco na Daisy. Można by nawet powiedzieć, że w jej oczach malowała się troska.

Nagle spuściła głowę.

- Odezwałam się do członka tej rodziny po raz pierwszy od blisko czterdziestu lat. Zdziwiłabyś się, jak łatwe było to milczenie, nawet w tak małym miasteczku. Wszyscy oni rozmawiają rzecz jasna z Camille, ale ona wie, że mnie to nie interesuje, więc o niczym mi nie opowiada. Poza tym... - westchnęła - ...chciałam ci powiedzieć, żebyś nie machała na to wszystko ręką. Nie teraz.

Milczały przez chwilę. Na górze Ellie jęknęła przez sen, a na ekraniku dziecięcego monitora pojawiły się kolorowe fale.

- Może rzeczywiście nie powinnam. Dzięki... I dziękuję, że przyszła pani na zebranie i zabrała głos. To było... bardzo miłe z pani strony.

- Nie. Nie chciałam tylko, żeby ta żałosna baba pomyślała, że może sobie na wszystko pozwolić.

- Ale ma spore poparcie. Oni naprawdę nie chcą tu żadnych obcych.

Starsza kobieta zachichotała, a jej twarz przybrała znacznie łagodniejszy wyraz.

- Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają - powiedziała. - Nigdy.

Sięgnęła po jedną z teczek.

- Wiesz co? Idź, nalej mi kieliszek wina, a ja pokażę ci, jak ten dom wyglądał kiedyś. Zobaczysz wtedy, o co mi chodzi.

- Zdjęcia.

- Ale wino ma być przyzwoite. Francuskie. Jeśli masz tylko blue nun czy to, o którym wspominaliście z panem Jonesem tamtego wieczoru, to nie zavrcaj sobie głowy. I tak zaraz pójdę.

Daisy wstała. W drzwiach prowadzących do kuchni zatrzymała się i odwróciła.

- Mam nadzieję, że nie okażę się zbyt wścibska, ale muszę panią o to zapytać... Jak została pani właścicielką tego domu? Zastanawiam się, dlaczego nie miało to nic wspólnego z pani mężem. Niewiele kobiet posiada przecież architektoniczne arcydzieło jako swój prywatny azyl.

- Och, nie chcesz chyba zagłębiać się w to wszystko.

- Chcę. Inaczej bym nie pytała.

Pani Bernard przesunęła palcem po grzbiecie teczki.

- Zostawiono mi go.

- Zostawiono.

- Tak.

Zapadło milczenie.

- Tylko tyle mi pani powie?

- A co jeszcze musisz wiedzieć?

- Nic nie muszę wiedzieć... ale dlaczego jest pani aż tak skryta? No, proszę się trochę odsłonić. Wie pani o mnie o wiele więcej niż ja o pani. To przecież nie jest tajemnica państwowa. Wszystko zachowam dla siebie. I tak nie mam komu powiedzieć.

- Pokażę ci przecież zdjęcia.

- Ale nie swoje. Domu.

- Być może na jedno wyjdzie.

- Poddaję się. - Daisy zniknęła w kuchni. Wróciła po chwili i uśmiechając się, wzruszyła ramionami. - Potrafię przyznać się do porażki. Porozmawiajmy więc o materiałach.

Starsza kobieta oparła się wygodnie o kanapę i obrzuciła Daisy długim, uważnym spojrzeniem. Daisy pomyślała, że coś się w niej tego wieczoru przełamało. Może uznała, że skoro sprawy zaszły już tak daleko...

Czekała w milczeniu. Pani Bernard spuściła wzrok na teczkę i otworzyła jedną z nich.

- No dobrze. Skoro nie daje ci to spokoju - powiedziała. - Opowiem ci, jakim sposobem weszłam w posiadanie tego domu, pod warunkiem jednakże nie zaczniesz o tym chlapać na prawo i lewo. Ale najpierw muszę się napić. I skończmy już z tą panią Bernard. Jeśli mam ci zdradzić moje „tajemnice państwowe”, musisz mi mówić po imieniu: Lottie.

Rozdział czternasty

Drogi Joe!

Dziękuję Ci za list i Twoje zdjęcie z nowym samochodem. Jest bardzo elegancki, ma taki piękny czerwony kolor, a Ty wyglądasz na dumnego posiadacza. Postawiłam je na stoliku obok zdjęcia mamy. Nie mam zbyt wielu fotografii, więc sprawiłeś mi wielką przyjemność.

Tutaj niewiele się dzieje. Mam teraz krótki urlop od prac domowych i czytam książkę, którą pożyczyła mi Adeline. Najbardziej lubię książki o historii sztuki. Ona twierdzi, że robi ze mnie prawdziwą czytelniczkę. Namawia też, żebym ćwiczyła malowanie. Będę mogła zrobić niespodziankę Frances, gdy tutaj przyjedzie. Niestety, nie radzę sobie z tym najlepiej - farby na moich akwarelach zlewają się, a kiedy szkicuję coś węglem, więcej zostaje na palcach niż na papierze. Ale lubię to - nie przypomina w niczym naszych szkolnych zadań. Adeline stale mi powtarza, że muszę się nauczyć „wyrażać siebie”. Kiedy przyjeżdża Julian, mówi, że „robię postępy” i że kiedyś oprawi jedną z moich prac i sprzeda. Na pewno żartuje.

Poza tym nie dzieje się tu nic wesołego. W wiosce uważają cię za rozwiązłą, jeśli odważysz się przypiąć do sukni broszkę w jakikolwiek dzień tygodnia oprócz niedzieli. Tyl-

ko jedna kobieta, właścicielka piekarni (chleb ma tutaj kształt kija długiego jak Twoja noga!), jest wesoła i często z nami rozmawia. Ale madame Migot, która jest jakby miejscowym lekarzem, patrzy na nią surowo. Ale ona patrzy surowo na wszystkich. Zwłaszcza na mnie i Adeline.

Nie wiem, czy pisałam Ci, gdzie leży nasza wioska. Znajduje się w połowie zbocza Mont Far on, ale nie jest to taka góra jak w podręcznikach, z wierzchołkiem pokrytym śniegiem. Na tej panuje upał, a na samym szczycie zbudowano fort. Kiedy po raz pierwszy George zawiózł nas tam wąską dróżką, zrobiło mi się niedobrze ze strachu, a na szczycie przez cały czas trzymałam się drzewa. Wiedziałaś, że rosną tu sosny? Nie takie same jak u nas, ale dzięki nim czuję się lepiej. Adeline przesyła Ci ucałowania. Zbiera teraz zioła w ogrodzie. W tym upale pachną bardzo mocno, zupełnie inaczej niż w starym ogródku pani H.

Mam nadzieję, że dobrze się miewasz. Dziękuję, że stale do mnie piszesz. Prawdę mówiąc, czasami czuję się bardzo samotna, a Twoje listy są dla mnie prawdziwą pociechą.

Tvoja, etc.

Lottie położyła się na boku na zimnych kamieniach. Pod biodra i szyję wsunęła poduszki. Czekwała na chwilę, kiedy jej kości zaczną się skarżyć na twarde podłoże. Miała też problemy ze stawami: nawet na miękkim łóżku na górze zaraz zaczynały ją boleć, domagając się, by natychmiast zmieniła pozycję. Odpoczywała, czując początki mrowienia w lewym udzie, i poirytowana zamknęła oczy. Nie chciała się w ogóle ruszać, gdyż podłoga była zdecydowanie najchłodniejszym miejscem. A właściwie - jedynym chłodnym miejscem w rozpalonym upałem domu, pełnym wielkich latających owadów, które wpadały na meble i gniewnie buczały przy oknach.

Przed domem dostrzegła Adeline w ogromnym słomkowym kapeluszu, która zbierała zioła w pożółkłym ogrodzie. Zanim włożyła je do koszyczka, wachała każde z nich. Kie-

dy ruszyła w stronę domu, dziecko kopnęło Lottie z całych sił. Mruknęła coś ze złością i naciągnęła jedwabne kimono, by Adeline nie oglądała jej wielkiego brzucha.

- Chcesz coś do picia, moja droga? - Adeline przeszła nad nią i stanęła przy zlewie. Widok leżącej na podłodze Lottie wcale jej nie dziwił.

Przyzwyczała się też do widoku jej posępnej twarzy i braku humoru.

- Nie, dziękuję.

- Ojej, skończyła się nam grenadyna. Mam nadzieję, że ta okropna kobieta z wioski zjawi się niebawem. Zużyliśmy prawie wszystko. I musimy zrobić pranie. W tym tygodniu wraca Julian.

Lottie usiadła i miała zamiar przeprosić. Choć Adeline besztła ją za to nieraz, nadal czuła się winna, że w czasie ostatnich tygodni ciąży była taka gruba, powolna i bezużyteczna. W czasie kilku pierwszych miesięcy po swoim przyjeździe Lottie zajmowała się domem i gotowaniem („Przychodziła do nas kobieta z wioski, ale była beznadziejna”), stopniowo zaprowadzając ład i porządek. W swojej roli wzorowała się na pani Holden i Virginii i uważała, że w ten sposób może zapłacić Adeline za jej gościnność. Adeline oczywiście żadnej zapłaty nie chciała, ale dzięki temu Lottie czuła się bezpiecznie. Zarabiając na swoje utrzymanie, nie bała się, że mogą ją z dnia na dzień poprosić, by wyjechała.

Tymczasem Adeline uznała, że jej misją jest przekonanie Lottie, iż wyjazd z Merham może przynieść dużo dobrego. Stała się dla niej czymś na kształt nauczycielki, zachęcającej, by była „odważna” w życiu, które teraz próbowała zbudować na nowo. Początkowo nieśmiała i niechętna, Lottie ze zdziwieniem stwierdziła, że jak na osobę, która w zasadzie nigdzie nie istnieje, idzie jej całkiem nieźle. Pochwały Adeline napełniały ją dumą - do tej pory jedyną osobą, która chwaliła ją za cokolwiek, był doktor Holden - i poczuciem, że jej życie mimo wszystko ma jakiś cel. I powoli, stopniowo, musiała się przyznać do zainteresowania innymi światami-

mi, nawet jeśli oferowały jej tylko ucieczkę od tego, w którym była uwięziona. Ale teraz była ogromna i ciężka. I do niczego się nie nadawała. Jeśli zbyt długo stała, kręciło się jej w głowie i puchły kostki. Jeśli zbyt dużo się ruszała, spływała potem, a części ciała, które podczas ruchu ocierały się o siebie, czerwieniały i pierzchły. Dziecko poruszało się nieustannie, nadając jej brzuchowi najbardziej fantastyczne kształty i zmagając się z jego elastycznymi ograniczeniami. W nocy nie mogła spać, u w dzień była stale zmęczona. Siedziała więc lub leżała na podłodze, pogrążona w swoim nieszczęściu, czekając, aż ustąpi upał albo urodzi się dziecko.

Adeline na szczęście nie wspominała ani słowem o jej depresji i podłym nastroju. Pani Holden na pewno by się złościła i narzekała, że swoją ponurą miną psuje humor wszystkim dookoła. Ale Adeline nie przeszkadzało wcale, jeśli Lottie nie miała ochoty rozmawiać ani brać udziału w codziennych zajęciach. Była pochłonięta swoimi sprawami, pozornie obojętna, nuciła coś pod nosem. Bez cienia złości pytała Lottie, czy ma ochotę na coś do picia lub czy podać jej jeszcze jedną poduszkę. Czasami prosiła, by pomogła jej napisać kolejny list do Frances. Adeline pisała do niej mnóstwo listów.

Ale nie dostawała żadnych odpowiedzi.

Minęło już blisko sześć miesięcy od wyjazdu Lottie z Anglii, siedem od czasu, gdy opuściła Merham. Zważywszy na odległość od dawnego życia, równie dobrze mogło to być dziesięć lat. Wstrząśnięta swoją sytuacją, Lottie pojechała najpierw do matki, licząc nieco naiwnie, że znajdzie tam oparcie. Jednakże matka, ze spryskanymi na sztywno lakierem włosami i ustami pomalowanymi pomarańczową szminką, powiedziała jej, wymachując papierosem, by nawet nie myślała o powrocie z dzieckiem do domu. Nie mogła uwierzyć, że Lottie niczego się na jej przykładzie nie nauczyła. Zmarnowała wszystkie dane przez Boga szanse, o całe niebo większe, niż miała kiedykolwiek ona, i porzuciła Holdenów, przekonanych, że jest niewiele od niej lepsza.

Poza tym, powiedziała dziwnie nieśmiało, ułożyła już sobie życie i spotyka się z bardzo miłym wdowcem. To bardzo zasadniczy człowiek, nic by nie zrozumiał. Nie jest podobny do innych, stwierdziła, rzucając Lottie spojrzenie, którym niejako przyznawała się do winy. Przyzwoity. Zanim zdążyła dopić filiżankę herbaty, Lottie zrozumiała, że nie tylko matka nie zaprasza jej, by została, lecz że podobnie jak w Merham, także i tu przestała istnieć.

Matka nie powiedziała temu mężczyźnie, że ma córkę. Kiedy Lottie jeszcze mieszkała w domu, tu i tam stało kilka zdjęć. Teraz zniknęły. Na półce nad kominkiem miejsce jej fotografii z ciotką Jean, zmarłą siostrą matki, zajęło oprawione w ramki zdjęcie przedstawiające parę w średnim wieku, stojącą przed pubem na wsi. Łysina mężczyzny lśniła w słońcu.

- O nic cię nie proszę. Chciałam się tylko z tobą zobaczyć. - Lottie zebrała rzeczy. Nie była w stanie znaleźć w sobie dość energii, by poczuć urazę. W porównaniu z tym, co przeszła, odrzucenie przez matkę nie zrobiło na niej specjalnego wrażenia.

Matka patrzyła na nią ze ściągniętą twarzą, jakby powstrzymywała łzy. Przypudrowała lekko nos gąbeczką z puderniczki, po czym złapała Lottie za rękę.

- Daj mi znać, gdzie jesteś. Napisz koniecznie.

- Mam się podpisać „Lottie”? - Odwróciła się do drzwi. - A może wolisz „dobra przyjaciółka”?

Matka, zaciskając usta, wsunęła jej do ręki dziesięć szylingów. Lottie spojrzała na pieniądze i omal nie wybuchnęła śmiechem.

Lottie mimo największych wysiłków Adeline nie pokochała Francji. Nie smakowało jej jedzenie, a gęste gulasze mocno przyprawione czosnkiem i mięsa w zawiesistym sosie sprawiały, że tęskniła za prostym smakiem ryby z frytkami i kanapkami z ogórkiem. Zapach dojrzałego sera na rynku sprawił ją o tak silne mdłości, że musiała zwymiotować przy drodze. Smakowało jej tylko pieczywo. Nie mogła znieść upału, o wiele bardziej dokuczliwego niż w Merham, którego na

dodatek nie łagodziła morska bryza, i komarów bzyczących jak bombowce i bezlitośnie atakujących ją w nocy. Nie podobało się jej otoczenie, surowe i mało przyjazne, wyschnięta w upale ziemia i cykady, których szum stale pobrzmiwał w tle. I nienawidziła Francuzów - mężczyzn, którzy obrzucali ją uważnym, taksującym spojrzeniem. Kiedy rósł jej brzuch, kobiety czyniły to samo, lecz one z dezaprobatą, a niektóre z jawnym obrzydzeniem.

Madame Migot, lokalna akuszerka, na prośbę Adeline odwiedziła ją dwa razy. Lottie nienawidziła tego: najpierw ugniatała jej brzuch niczym ciasto, potem zmierzyła ciśnienie i ostrym głosem rzuciła Adeline jakieś wskazówki. Ta, o dziwo, była niespotykanie spokojna i wyciszona. Madame Migot nie odezwała się do Lottie ani słowem, nie spoglądała jej nawet w oczy. „To katoliczka - mruknęła Adeline po jej wyjściu. - Tego należało się spodziewać. Ty powinnaś doskonale wiedzieć, jacy są mieszkańcy małego miasteczka”. Pomimo wszystko Lottie tęskniła za swoim miasteczkiem. Brakowało jej zapachu Merham, mieszaniny soli i asfaltu, szumu sosen na wietrze, zadbanej zieleni parku miejskiego i brunatnej wody ciągnącej się aż po horyzont. Lubiła jego ograniczoną przestrzeń: tam wszyscy znali granice i wiedzieli, że nie należy ich przekraczać. Nigdy nie była podobna do Celi, nie miała jej pasji do podróży, szukania nowych wyzwań; była wdzięczna za życie w przyjemnym, uporządkowanym mieście może dlatego, że zdawała sobie podświadomie sprawę, iż to nie będzie trwać wiecznie.

Przede wszystkim jednak tęskniła za Guyem. Za dnia odpychała od siebie wszystkie myśli o nim, wznosiła w umyśle barierę, za którą ukrywała jego twarz, zupełnie jakby zaciągała zasłonę. Nocą jednak Guy nie zważał na błagania i nawiedzał jej sny. Uśmiech, szczupłe opalone dłonie i czułość przyzywały ją i dręczyły swoją nieobecnością. Parę razy budziła się z jego imieniem na ustach.

Czasami zastanawiała się, czy można znajdować się tak daleko od morza, a mimo to czuć, że się tonie.

Wiosna przeszła w lato, w domu pojawiali się goście, którzy siedzieli na tarasie w słomkowych kapeluszach, popijali czerwone wino i przesypiali największy upał. Często parami. Przyjechał też Julian. Wrodzone poczucie taktu nie pozwoliło mu na żadne uwagi dotyczące jej rosnącego brzucha, nie pytał też, jak do tego doszło. Był nieustannie radosny i niebezpiecznie ekstrawagancki. Najwyraźniej znów sporo zarabiał. Podarował Adeline dom w Merham i niesamowicie drogie popiersie kobiety, które zdaniem Lottie wyglądało, jakby dobrały się do niego mrówki. Dwa razy zjawił się Stephen. Odwiedził ich też poeta o imieniu Si i mocnym głosem, w którym dźwięczał akcent prywatnej szkoły, obwieścił, że jest „zakręcony”, zostanie tylko do czasu, aż coś sobie „namota”, i będzie wdzięczny Adeline za udostępnienie „wyrka”. George obdarzył go mianem „bitnika dla ubogich”.

George przyjechał na dłużej. Podczas jego pobytu Adeline wyraźnie się ożywiła i prowadziła z nim szeptem rozmowy, podczas gdy Lottie udawała, że jej tam wcale nie ma. Wiedziała, że rozmawiają o Frances.

Pewnego dnia mocno pijany George spojrzął na brzuch Lottie i rzucił jakiś żart na temat owoców i nasion. Słyszając to, Adeline wymierzyła mu siarczasty policzek.

- Wiesz, podziwiam cię, moja mała Lottie - powiedział, gdy Adeline nie mogła ich słyszeć. - Jesteś chyba najgroźniejszą istotą, jaka kiedykolwiek żyła w Merham.

Lottie posłała mu posępne spojrzenie spod ronda wielkiego kapelusza.

- Zawsze sądziłem, że to twoja siostra wpakuje się w kłopoty.

- Ona nie jest... nie była moją siostrą.

George udawał, że nie słyszy. Leżał na trawie, podjadając ulubione pleśniejące salami, które kupował na targu. Wokół nich cykady rozpoczęły swój koncert, przerywając go od czasu do czasu, gdy upał stawał się nie do zniesienia, jakby one były motorem napędzającym cały dzień.

- Ty, taka poważna. To niesprawiedliwe. Byłaś ciekawa? A może obiecał ci, że będzie twój na zawsze? Będzie twoim jabłuszkiem? Brzoskwinką? Wielkie nieba, Lottie, nie sądzę, by pani Holden słyszała kiedykolwiek z twoich ust takie słowa. Bardzo... dojrzały język, powiedziałbym. No dobrze już dobrze... Masz ochotę na te figi czy mogą je zjeść?

Nie wiadomo, czy stało się to za sprawą trudnego położenia, czy też całkowitego oderwania od dawnego życia, ale Lottie nie potrafiła się cieszyć ani oczekiwać z czułością narodzin dziecka. W ogóle było jej trudno myśleć o nim jako o dziecku. Czasami, szczególnie nocą, czuła ogromne wyrzuty sumienia, że pozbawione ojca, wyda je na świat, w którym wszystkie madame Migot będą na nie patrzeć z odrazą, a inni podejrzliwie. Czasami czuła rosnącą nienawiść: dziecko oznaczało, że nigdy nie będzie w stanie uwolnić się od obecności Guya w życiu i związanego z tym bólu. Nie wiedziała, co przeraża ją bardziej - perspektywa niekochania dziecka z tego powodu czy też kochania go z tej samej przyczyny.

Nie zastanawiała się wcale nad tym, jak sobie poradzi. Adeline powtarzała stale, żeby się tym nie przejmowała. „Kochanie, to samo jakoś się ułoży - mówiła, poklepując ją po dłoni. - Trzymaj się tylko z daleka od zakonnicy”.

Lottie, gruba i zmęczona niemal wszystkim, miała tylko nadzieję, że przyjaciółka ma rację. Nie płakała ani nie wpaadała we wściekłość. Od czasu tych pierwszych tygodni, kiedy zyskała pewność co do swojego stanu, nie zwracała sobie tym głowy. To przecież i tak niczego by nie zmieniło. Poza tym łatwiej było stłumić wszystkie emocje, niż pozwolić im wypłynąć na powierzchnię. Wraz z rozwojem ciąży stała się senna, zamknęła się w sobie, całymi godzinami siedziała w zarośniętym chwastami ogrodzie, obserwując ważki i osy, a kiedy robiło się zbyt gorąco, kładła się w domu na zimnej podłodze niczym odziany w kimono słoń morski wygrzewający się na skałach. Może umrę przy porodzie, myślała. I, o dziwo, myśl ta przynosiła jej ulgę.

* # #

Zdając sobie sprawę, że depresja Lottie pogłębia się w miarę zbliżania się daty porodu, Adeline zaczęła zmuszać ją do udziału w „przygodach”, jak określała ich wypadki, choć z prawdziwymi przygodami miały one niewiele wspólnego. Zazwyczaj zamawiały czerwone wino lub ciasteczka, kupowały szarlotkę albo oblaną słodkim sosem *tropezienne**. Omijając duszny, pełen samochodów Tulon, razem z George'em jeździli wzdłuż wybrzeża do Sanary. „Lottie tęskni za morzem - obwieszczała Adeline. - Pełne palm nadmorskie miasto, z zacienionymi, wykładanymi kamieniami uliczkami i jasnymi okiennicami na pewno poprawi jej humor. Uwielbiają je artyści”, tłumaczyła, siadając z Lottie w ulicznej kafejce, tuż obok miłośniczki fontanny. Mieszkał tu Aldous Huxley w czasie, gdy pisał *Nowy, wspaniały świat*. Całe południowe wybrzeże od lat stanowiło inspirację dla artystów. Razem z Frances pewnego roku podróżowały od St. Tropez po Marsylię i pod koniec tej wycieczki miały w bagażniku tyle płócien, że musiały trzymać bagaż na kolanach.

George powiedział, że umówił się z kimś w barze, po czym szepnął coś do Adeline i zostawił je same.

Lottie, nie zwracając uwagi na kobietę w czarnym fartuchu, która postawiła przed nią koszyczek z pieczywem, nie odezwała się ani słowem. Stało się tak po części dlatego, że zasnęła w samochodzie i sen, w połączeniu z upałem, sprawił, że jeszcze dłużej czuła się ociężała. Poza tym dziecko zaczynało absorbować ją coraz bardziej. Stopniowo całe jej życie sprowadziło się do kilku prostych objawów: opuchniętych stóp, wielkiego brzucha, swędzących nóg i ogólnego rozbicia. Dostrzeżenie czegokolwiek poza tym było dla niej wielkim wysiłkiem. Nie zwróciła więc uwagi, że siedząca naprzeciwko Adeline pograżyła się w lekturze listu i przez kilka długich chwil nie zmieniła pozycji.

Wypiła łyk wody i przyjrzała się twarzy przyjaciółki.

- Wszystko w porządku?

* Rodzaj tarty.

Adeline nie odpowiedziała.

Lottie wyprostowała się i spojrzała na siedzących w kafejce ludzi, zadowolonych, że przez kilka godzin mogą się oddawać błogiemu lenistwu.

Starła się nie siedzieć na słońcu - po pewnym czasie zaczynało się jej kręcić w głowie i czuła mdłości.

- Adeline?

Podniosła wzrok, jakby przypomniała sobie, że nie jest sama. Jej twarz jak zwykle była nieprzenikniona, oczy skrywały duże ciemne okulary. Czarne włosy opadły na wilgotny policzek.

- Prosi, żebyś do niej więcej nie pisała.

- Kto?

- Frances.

- Dlaczego?

Adeline spojrzała na wyłożone kamieniami podwórko. Dwa psy walczyły zawzięcie o coś, co znalazły w rynsztoku.

- Mówi... że nie mam jej nic nowego do powiedzenia.

- Zabrzmiało dość szorstko - odparła zrzędlwym tonem Lottie, poprawiając słomkowy kapelusz. - Trudno jest znaleźć coś nowego do opisanie. Tutaj przecież nic się nie dzieje.

- Frances nie jest szorstka. Nie sądzę, by... Och, Lottie...

Nigdy nie poruszały tematów osobistych. Kiedy Lottie przyjechała do Francji, zaczęła ze łzami opowiadać Adeline o dziecku, lecz ta tylko machnęła bladą dłonią i powiedziała, że zawsze jest tu mile widziana. Nigdy o nic nie wypytywała, być może wierząc, że Lottie jej o tym opowie, gdy poczuje taką potrzebę, i sama też niewiele o sobie mówiła. W efekcie Adeline prowadziła z nią przyjazne swobodne pogawędki i dbała, by przyjaciółka miała wszystko, czego jej potrzeba. Można było odnieść wrażenie, że są dalekimi krewnymi lub turystkami, które chcą miło spędzić razem czas.

- Co ja mam teraz zrobić? - Była taka smutna, zrezygnowana. - Nie powinna być sama. Nigdy nie radziła sobie dobrze z samotnością. Staje się zbyt... melancholijna. Potrzebuje mnie. Mimo wszystko bardzo mnie potrzebuje.

Lottie rozsiadła się wygodnie w wiklinowym fotelu, wiedząc doskonale, że po paru minutach będzie miała odciski na udach. Przystłoniła dłonią oczy i przyjrzała się twarzy Adeline, zastanawiając się, czy przyjaciółka wyciąga rozsądne wnioski.

- Dlaczego ona jest na ciebie taka zła?

Adeline spojrzała na nią, po czym spuściła wzrok na dłonie, w których wciąż ścisnęła list.

- Bo... bo nie potrafię jej kochać tak, jak ona tego pragnie.

Lottie zmarszczyła brwi.

- Uważa, że nie powinnam być z Julianem.

- Ale to przecież twój mąż. Kochasz go.

- Tak, kocham... ale jak przyjaciela.

Zapadła cisza.

- Przyjaciela? - spytała Lottie, wracając myślami do popołudnia, które spędziła z Guyem. - Wyłącznie? - Wpatrywała się w Adeline. - Ale... jak on to znosi?

Adeline zapaliła papierosa. Robiła to tylko we Francji. Zaciągnęła się dymem i odwróciła wzrok.

- Bo Julian też kocha mnie w ten sposób. Nie pociagam go fizycznie. Ale pasujemy do siebie. On potrzebuje bazy, pewnego... twórczego otoczenia, szacunku, a ja potrzebuję stabilizacji... muszę mieć wokół siebie ludzi, którzy potrafią mnie... zabawiać. Doskonale się rozumiemy.

- Ale ja nic nie rozumiem. Dlaczego wyszłaś za Juliana, skoro go nie kochałaś?

Adeline odłożyła list i nalała sobie wina.

- Nigdy nie prowadziłyśmy takich rozmów, ale teraz opowiem ci pewną historię. O dziewczynie, która zakochała się beznadziejnie w mężczyźnie, którego nie mogła mieć. Poznała go w czasie wojny, kiedy była... kiedy wiodła inne życie. On był najpiękniejszym człowiekiem, jakiego w życiu widziała - miał zielone, kocie oczy i smutną twarz, na której wypisane zostało wszystko, przez co przeszedł. Uwielbiali się i przysięgli, że jeśli jedno umrze, drugie nie będzie dłużej żyć, tak by mogli się połączyć w innym świecie. To była porażająca namiętność, Lottie, straszliwa.

Lottie siedziała nieruchomo, zapomniawszy o spuchniętych nogach i swędzącej skórze.

- Ale ten mężczyzna nie był Anglikiem. I z powodu wojny nie mógł dłużej zostać w Anglii. Odesłano go do Rosji i po dwóch listach dziewczyna nie dostała już od niego żadnych wiadomości. A to, moja najdroższa Lottie, doprowadziło ją do szaleństwa. Zachowywała się zupełnie jak obłąkana, wrywała sobie włosy z głowy, krzyczała, całymi godzinami snuła się po ulicach, nawet gdy dookoła spadały bomby.

W końcu, po długim czasie postanowiła, że musi nadal żyć, i aby tego dokonać, musiała przestać cierpieć, przestać czuć. Nie mogła umrzeć, choć bardzo tego pragnęła, bo przecież on mógł gdzieś nadal żyć. Wiedziała, że jeśli tylko los tak zechce, znów się spotkają.

- I spotkali się?

Adeline odwróciła wzrok i wypuściła z ust smużkę dymu, która zawisła w powietrzu jak szept.

- Jeszcze nie, Lottie. Jeszcze nie... Ale nie sądzę, by mieli spotkać się w tym życiu.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, słuchając leniwego brzęczenia pszczoł, szumu toczonych wokół nich rozmów i odgłosu kościelnego dzwonu dobiegającego gdzieś z oddali. Adeline napełniła szklankę Lottie winem rozcieńczonym wodą.

- Nadal nic nie rozumiem... - zaczęła Lottie, próbując nie okazywać zaskoczenia. - Dlaczego Frances przedstawiła cię na fresku jako tę Greczynkę?

- Laodamię? Oskarżała mnie, że czepiam się rozpaczliwie wyobrażenia miłości. Wiedziała, że wolę żyć w bezpiecznym związku z Julianem, niż znów ryzykować uczucie. Widok Juliana zawsze ją denerwował. Powiedziała kiedyś, że przypomina jej stale o mojej zdolności do okłamywania samej siebie.

Spojrzała na Lottie szeroko otwartymi, pełnymi łez oczami. Uśmiechnęła się lekko.

- Frances taka jest... Wierzy, że zabiłam w sobie zdolność kochania, że czuję się bezpieczniej z Julianem, kochając kogoś, kto nigdy nie będzie mój. Jest przekonana, że kochając mnie tak mocno, zdoła przywrócić mnie do życia. Samą siłą woli sprawi, że ja też ją pokocham. I wiesz doskonale, Lottie, że tak jest. Kocham Frances. Bardziej niż jakąkolwiek inną kobietę, bardziej niż kogokolwiek, z wyjątkiem jego... Kiedyś, gdy byłam załamana, próbowałam... okazywała mi tyle czułości... ale to jej nie wystarczyło. W niczym nie przypomina Juliana. Nie potrafi żyć namiastką miłości. Zarówno w sztuce, jak i w życiu domaga się absolutnej szczerości. A ja nie potrafię kochać nikogo, ani mężczyzny, ani kobiety, tak jak kochałam Konstantina...

Jesteś pewna, że jej nie kochasz? - chciała spytać Lottie, przypominając sobie listy, które Adeline pisała, i rozpacz przyjaciółki z powodu nieobecności Frances.

- Dlatego wiedziałam, Lottie - przerwała jej myśli Adeline. Wyciągnęła rękę i chwyciła ją mocno za nadgarstek. Pomimo upału Lottie zadrżała. - Kiedy zobaczyłam cię razem z Guyem, wiedziałam. - Wpatrywała się w Lottie przenikliwym wzrokiem. - Patrząc na was, widziałam siebie i Konstantina.

Drogi Joe!

Przepraszam, że ten list jest tak krótki, ale jestem bardzo zmęczona i mam niewiele do powiedzenia. Wczoraj urodziłam dziecko, to maleńka dziewczynka, bardzo piękna. Szczerze mówiąc, to najcudowniejsza istotka, jaką możesz sobie wyobrazić. Zrobię jej parę zdjęć i wyślę Ci, jeśli będziesz chciał. Może wtedy, gdy nie będziesz już na mnie taki zły.

Jest mi bardzo przykro, że dowiedziałeś się o moim stanie od Virginii. Chciałam Ci o tym sama powiedzieć, naprawdę, ale wszystko stało się zbyt skomplikowane. To nie jest dziecko doktora Holdena, bez względu na to, co mówi ta wstrętna krowa. Proszę, uwierz mi. Postaraj się,

aby wszyscy się o tym dowiedzieli. Jest mi obojętne, co im powiesz-

*Odezwę się niebawem,
Lottie*

Nie była to dobra noc na rodzenie dziecka. Lottie pomyślała później, że żadna nie byłaby dobra. Nie miała pojęcia, że można wytrzymać tak straszny ból. Czuła się rozdarta, zupełnie jakby istniały dwie Lottie: jedna niewinna i druga, która znała sekret tak straszliwy, że musiała zostać unicestwiona na zawsze.

Wieczór zaczął się normalnie, Lottie była jedynie nieco wybuchowa, jak łagodnie określiła to Adeline. Miała już serdecznie dość swojej ociążałości, upału, wyczerpania i faktu, że mogła nosić jedynie niezwykle szlafroki Adeline i stare koszule George'a. Z kolei Adeline przez ostatnie trzy dni była w znacznie lepszym nastroju. Wysłała George'a, by odnalazł Frances. Nie tylko po to, aby doręczyć jej list, ale żeby przywieźć ją do Francji. Wierzyła, że znalazła sposób na przywrócenie im Frances, sprawienie, by czuła się kochana, a jednocześnie nie zapominała o niezmiennej miłości do Konstantina. „Musisz ze mną porozmawiać - napisała. - Możesz potem wyjechać na zawsze, jeśli nadal będziesz uważała, że nie mam Ci nic do powiedzenia, ale najpierw musisz ze mną porozmawiać”.

- George na pewno nie ustąpi! - wykrzyknęła zadowolona. - Potrafi być bardzo przekonujący.

Lottie pomyślała o Celli.

- Wiem - mruknęła.

George nie chciał wracać do Anglii. Miał ochotę zostać na obchody rocznicy zburzenia Bastylli. Nie mógł jednak odmówić Adeline niczego i postanowił, że znajdzie sobie kogoś, kto zamiast niego weźmie udział w uroczystościach. Przez kilka minut przyglądał się Lottie, ale zniechęcił się, gdy pokazała mu język, i poprosił Si, poetę, by zrobił dla niego zdjęcia nowym aparatem Zeiss Ikon („Super”, oświadczył

Si). „Będzie warto”, powiedziała Adeline, całując George'a na pożegnanie. Lottie była zaskoczona, widząc, że pocałowała go w usta.

Siedemdziesiąt dwie godziny później doszła do wniosku, że już nigdy nic jej w życiu nie zaskoczy.

Teraz leżała w łóżku, ledwo zdając sobie sprawę z upału. W pokoju nadal fruwały komary przyciągnięte zapachem krwi i bólu. Lottie nie spuszczała wzroku z maleńkiej, idealnie ukształtowanej twarzyczki. Jej córeczka wyglądała jakby spała - miała zamknięte oczy - ale usteczka poruszały się, zdradzając nocy maleńkie sekrety.

Lottie jeszcze nigdy nie zaznała czegoś takiego: obezwładniającej radości, która wyłoniła się z trudnego do opisanie bólu; niedowierzania, że to ona, zwyczajna Lottie Swift, dziewczyna, która przestała istnieć, potrafiła stworzyć coś tak idealnego i pięknego. Powód o wiele ważniejszy od tych, które mogła sobie wyobrazić, by żyć nadal.

Malutka wyglądała zupełnie jak Guy.

Wyglądała zupełnie jak Guy.

Lottie pochyliła się nad córeczką i przemówiła do niej tak cicho, że tylko ona mogła ją usłyszeć: „Będę dla ciebie wszystkim. Niczego ci nie zabraknie. Obiecuję, że ja ci wystarczę”.

- Ma skórę koloru kamelii - powiedziała Adeline z oczami pełnymi łez. I Lottie, której nigdy nie podobały się imiona Jane czy Mary proponowane przez czasopisma, znalazła w ten sposób imię dla swojej córeczki.

Adeline nie poszła spać. Madame Migot wyszła tuż po północy. George miał przyjechać rano, być może z Frances, i dlatego nie mogła zmrużyć oka. Tę pierwszą długą noc spędziły razem. Lottie leżała w łóżku nadal zdumiona i oszołomiona, a Adeline drzemała w fotelu obok niej, budząc się od czasu do czasu, by pogłaskać malutką po nieprawdopodobnie miękkiej główce lub uścisnąć rękę Lottie.

O wschodzie słońca Adeline zerwała się z fotela i powiedziała, że zaparzy herbatę. Lottie, która wciąż trzymała córecz-

kę w ramionach i marzyła o gorącym, słodkim napoju, była jej głęboko wdzięczna - przy każdym ruchu bolało ją całe ciało i zaczynała krwawić, a każdy bolesny prąd, który ją przesywał, przypominał o straszliwych godzinach męki. Z zamglonymi jeszcze oczami, lecz mimo wszystko bardzo szczęśliwa, doszła do wniosku, że może pozostać w tym łóżku na zawsze.

Adeline otworzyła okiennice, wpuściła do pokoju błękitny blask wczesnego poranka i przeciągnęła się rozkosznie, wyciągając obie ręce, jakby oddawała salut. Po chwili pokój napełnił się światłem i dźwiękami otoczenia: muczeniem bydła wędrującego powoli na wzgórze, pianiem koguta i brzęczeniem cykad, które rozpoczęły już swój koncert niczym małeńkie pozytywki.

- Jest zdecydowanie chłodniej, Lottie. Czujesz wiatr?

Lottie zamknęła oczy i pozwoliła, by lekkie podmuchy pieściły jej twarz. Przez chwilę poczuła się jak w Merham.

- Od teraz wszystko ułoży się znacznie lepiej, zobaczysz.

Adeline odwróciła się do Lottie, a ona pomyślała, może dlatego że była tak zmęczona i wyczerpana porodem, że ma przed sobą najpiękniejszą istotę, jaką w życiu widziała. Jej twarz rozświetla! fosforyzujący blask, zielone oczy złagodniały, a to, czego była świadkiem w nocy, sprawiło, że wyglądała na dziwnie bezbronną. Do oczu Lottie napłynęły łzy. Nie potrafiąc wyrazić miłości, która ją w tej chwili przepełniała, mogła tylko wyciągnąć drżącą rękę.

Adeline ujęła jej dłoń, pocałowała i przyłożyła do swego chłodnego policzka.

- Masz szczęście, najdroższa Lottie. Nie musiałaś czekać przez całe życie.

Lottie spojrzała na śpiącą córeczkę i na bladoróżowy kocyk spłynęły ciężkie łzy smutku i wdzięczności.

Nagle usłyszały nadjeżdżający samochód. Uniosły głowy jak przestraszone zwierzęta. Kiedy trzasnęły drzwi, Adeline była już na nogach.

- Frances! - wykrzyknęła, zapominając chwilowo o Lottie. Wygładziła zmiętą jedwabną suknię i poprawiła włosy.

- O mój Boże, Lottie, nie mamy nic do jedzenia! Co damy im na śniadanie?

- Jestem pewna, że... na pewno chwilę poczeka... kiedy się dowie... - Śniadanie lub jego brak w tej chwili najmniej ją obchodziły. Córeczka poruszyła się, chwytając powietrze maleńką piąstką.

- Racja. Mamy kawę i trochę owoców od wczoraj. A nie długo otworzą *boulangerie**. Mogę tam pójść, kiedy się już rozgoszczą. Może będą chcieli trochę się zdrzemnąć, jeśli jechali przez całą noc...

Lottie patrzyła na biegającą po pokoju Adeline. Jej powagę zastąpiła dziecinnie niemal nerwowość. Nie potrafiła usiąść ani na niczym się skupić.

- Czy sądzisz, że postępuję właściwie, prosząc ją o to? - spytała nagle Adeline. - Nie sądzisz, że to zbyt egoistyczne kazać jej do mnie wrócić?

Oniemiała Lottie mogła tylko pokręcić głową.

- Adeline? - W ciszy panującej w domu głos George'a rozległ się jak wystrzał. Lottie wzdrygnęła się, pełna obawy, że obudzi dziecko.

- Jesteś tam?

Stanął w drzwiach, zmęczony i nieogolony, w pogniecionych płóciennych spodniach. Na jego widok Lottie ogarnęło złe przeczucie, jakby swoją obecnością zakłócił słodczy nowego poranka.

Adeline, nie zwracając na nic uwagi, podbiegła do niego.

- George, jak cudownie. Cudownie. Przywiozłeś ją? Jest z tobą? - Wspięła się na palce, by spojrzeć mu przez ramię, nasłuchując dźwięku kroków jeszcze jednej osoby. Po chwili cofnęła się i popatrzyła mu w twarz. - George?

Lottie spojrzała w ciemne oczy George'a i poczuła, że robi jej się zimno.

- George? - Głos Adeline był teraz znacznie cichszy, drżący.

- Nie przyjechała.

* Piekarnia.

- Ale pisała... powiedziałaś...

George, nie zwracając uwagi na **Lottie i noworodka**, objął Adeline w talii i wziął ją za rękę.

- Musisz usiąść, kochanie.

- Ale dlaczego? Powiedziałeś, że ją odnajdziesz... Wiedziałam, że po tym liście nie mogłaby...

- Nie przyjechała, Adeline.

George posadził ją na fotelu obok łóżka Lottie. Ukląkł. Ujął jej obie dłonie w swoje. Adeline przyjrzała mu się uważnie i dostrzegła to, co Lottie zauważyła już przed chwilą.

- Co się stało?

George przełknął ślinę.

- Doszło do wypadku, kochanie.

- Samochód? Ona fatalnie prowadzi, George. Nie powinieneś jej pozwolić siadać za kierownicą.

W głosie przyjaciółki Lottie usłyszała rosnące przerażenie i zaczęła drżeć na całym ciele. Oni jednak nie zwracali na nią najmniejszej uwagi.

- Czyj to samochód tym razem? Załatwisz wszystko, George, prawda? Zawsze załatwiasz. Poproszę Juliana, żeby oddał ci pieniądze. Czy jest ranna? Potrzebuje czegoś?

George położył głowę na kolanach Adeline.

- Nie powinieneś być tu przyjeżdżać! Nie powinieneś zostawiać jej samej. Wiesz, że ona nie może być sama... dlatego cię po nią posłałam.

- Ona nie żyje - powiedział złamanym, ochrypłym głosem.

- Nie - odparła zdecydowanie Adeline.

George ukrył twarz na jej kolanach. Ale ścisnął ją coraz mocniej, jakby w obawie, by się nie ruszyła.

- Nie - powtórzyła.

Lottie z trudem walczyła ze łzami, przyciskając dłoń do ust.

- Tak mi przykro - wychrypiął George w suknię Adeline.

- Nie - powiedziała raz jeszcze Adeline. - Nie. Nie. Nie. -

Wyrwała dłonie z uścisku George'a i ze ściągniętą bólem twarzą zaczęła bić go po głowie, powtarzając bez końca „Nie. Nie. Nie”. George płakał i mówił, jak bardzo mu przy-

kro, ściskając Adeline za kolana. Lottie z twarzą zalaną łzami znalazła w końcu dość siły, by zwlec się razem z dzieckiem z łóżka, nie zważając na ból, który był przecież tylko fizycznej natury. Zostawiając za sobą ślady łez i krwi, powoli przeszła przez pokój i zamknęła drzwi.

To nie był wypadek. Wiedział o tym członek straży przybrzeżnej, bo był wśród tych, którzy ją widzieli i krzyčeli do niej. Jakiś czas potem był jednym z trzech mężczyzn, którzy ją wyciągnęli. Zaalarmowała go jednak pani Colquhoun, która widziała wszystko od początku i jeszcze po tygodniu nawiedzały ją koszmary.

George opowiedział o tym Adeline kilka godzin po przyjeździe, kiedy oboje wzmocnili się nieco koniakiem. Adeline powiedziała, że chce poznać każdy najmniejszy szczegół. Poprosiła Lottie, by usiadła obok niej, i choć Lottie wolałaby ukryć się na górze razem z dzieckiem, siedziała ze zmartwiałą twarzą, podczas gdy Adeline ściskała ją za rękę, i co pewien czas gwałtownie drżała na całym ciele.

Śmierć Frances, w przeciwieństwie do jej życia, była dość uporządkowana. Zostawiła Arcadię w tak niezwykłym porządku, że Marnie, która ją zidentyfikowała, nie miała pojęcia, że Frances tam mieszkała. Włożyła długą wzorzystą spódnice w gałazki wierzby, związała włosy w ciasny kok i ze zrezygnowaną twarzą ruszyła ścieżką w stronę morza. „Bardzo mi przykro - napisała w ostatnim liście - ale czuję w sercu tak wielką pustkę, że nie potrafię tego dłużej znieść. Bardzo przepraszam”. Potem, z wysoko uniesioną głową, jakby patrzyła w daleki punkt na horyzoncie, weszła w ubraaniu do wody.

Kiedy pani Colquhoun zorientowała się, że nie chodzi tu o poranne pływanie, zaczęła krzyčec. Wiedziała, że Frances ją słyszy, gdyż obejrzała się, ale tylko przyspieszyła kroku, jakby spodziewała się, że ktoś zechce ją zatrzymać. Pani Colquhoun puściła się biegiem do domu zarządcy portu, starając się przez cały czas nie spuszczać Frances z oczu. Widziała,

jak woda zaczyna sięgać talii, potem piersi. Kiedy zrobiła jeszcze kilka kroków, fale stały się coraz większe. Jedna z nich omal nie zwała jej z nóg i rozplatała jej kok. Ale ona nadal szła przed siebie. Kiedy pani Colquhoun ze złamanym obcasem i głosem ochrypłym od krzyku waliła w drzwi domu zarządcy, ona nadal szła, a jej postać stawała się coraz mniejsza.

Krzyk zaniepokoił dwóch poławiaczy homarów, którzy natychmiast ruszyli na pomoc łódką. Na brzegu zebrał się już niewielki tłumek ludzi, którzy wołali Frances, próbując ją powstrzymać. Później zastanawiano się, że mogła pomyśleć, iż są na nią źli, i jeszcze bardziej przyspieszyła kroku, ale członek straży przybrzeżnej oświadczył, że była bardzo zde-terminowana. Widział już kiedyś coś takiego. Tak zdecydowane osoby można wyciągnąć z wody, lecz dwa dni później znajduje się je zwisające z belki pod sufitem.

W tym momencie George zaczął płakać, a Lottie patrzyła, jak Adeline ujmuje jego twarz w dłonie, jakby udzielała mu rozgrzeszenia.

Frances nawet nie drgnęła, gdy jej głowa znalazła się pod wodą. Szła dalej, aż nadpłynęła jedna fala, potem druga. Kiedy łódź wyruszyła z portu, Frances porwał już prąd. Znaleźli jej ciało dwa dni później u ujścia rzeki w Wrabness. Spódnica ze wzorem w gałązki wierzby zaplątała się w wodorosty.

- Umówiłem się z nią na kolację, ale musiałem zostać w Oksfordzie. Zadzwoiłem i powiedziałem, że zaprosił mnie jeden z wykładowców. Przekonywała mnie, że koniecznie muszę iść. - Oddychał ciężko, a łzy zalewały mu zaciśnięte w pięści dłonie. - Ale powinienem był tam pojechać, Adeline. Powinienem tam być.

- Nie - odparła Adeline słabym głosem. - To ja powinienam tam być. Och, George, co ja zrobiłam?

Dopiero wspominając tamtą rozmowę, Lottie uświadomiła sobie, że podczas opowieści George'a akcent Adeline się zmienił. Nie brzmiał już z francuska. Prawdę mówiąc, nie miała żadnego akcentu. Być może było to wynikiem szoku.

Pani Holden mówiła, że wielki wstrząs może tak wpływać na ludzi. Znała pewną kobietę, której brat zginął w czasie wojny. Kiedy się obudziła, była zupełnie siwa („I to nie tylko na głowie”, dodała, rumieniąc się z powodu własnej śmiałości).

Lottie ledwo odzyskała siły po porodzie, kiedy uświadomiła sobie, że ma teraz pod opieką dwójkę dzieci. W ciągu kilku pierwszych tygodni życia jej córeczki Adeline jakby zgasła. Początkowo nie chciała nic jeść, nie odpoczywała, chodziła po ogrodzie, płacząc całymi dniami i nocami. Pewnego dnia wspięła się drogą aż na szczyt wzgórza. Sprowadził ją, spaloną słońcem i oszołomioną, mężczyzna, który prowadził tam kiosk z napojami. Płakała przez sen, kiedy udało się jej zasnąć, i stała się przerażająco do siebie niepodobna. Czarne włosy były zmierzwiłone, a twarz ściągnięta i naznaczona smutkiem.

- Dlaczego jej nie zaufałam? - wołała. - Dlaczego nie posłuchałam? Ona zawsze rozumiała mnie lepiej niż ktokolwiek inny.

- To nie była twoja wina. Ty nie miałaś o niczym wiedzieć - szeptała Lottie, czując, że jej słowa nic nie pomogą, nawet nie dotrą do świadomości Adeline. Patrząc na rozpacz przyjaciółki, cierpiała podwójnie - zbyt mocno przypominała jej własną, otwierała świeżo zabliźnioną ranę.

- Ale dlaczego musiała mi to udowodnić w ten sposób? - jęczała Adeline. - Nie chciałam jej kochać. Nie chciałam kochać nikogo. Powinna wiedzieć, że nie należy mnie o to prosić.

Lottie czuła się zbyt wyczerpana emocjonalnie, by poświęcić się całkowicie opiece nad córką. Na szczęście Camille była, jak mawiają, „dobrym dzieckiem”. Ale też nie miała wyjścia. Trzymając w ramionach zrozpaczoną Adeline, Lottie nie zawsze zdążała na czas, by ukoić płaczące niemowlę. Jeśli chciała coś ugotować lub posprzątać, Camille musiała się dopasować do rozkładu jej zajęć, patrząc na świat szeroko otwartymi oczami z zaimprovizowanego no-

sidełka łub śpiąc mimo hałasu trzepanych dywanów i gwizdającego czajnika.

Mijały tygodnie, a Lottie była coraz bardziej zmęczona i zrozpaczona. Do Francji przyjechał Julian, ale on też nie potrafił sobie poradzić z tym emocjonalnym zamętem. Przepisał na żonę jeszcze więcej pieniędzy, wręczył Lottie kluczyki do swojego samochodu i pojechał na targi sztuki do Tuluzy, zabierając ze sobą bladego i milczącego Stephena. Inni goście też powoli znikali. George spędził z nimi dwa dni, upił się do nieprzytomności, a potem wyjechał, obiecując, że niebawem wróci. Obietnicy nie dotrzymał. „Opiekuj się nią, Lottie - powiedział, patrząc podbiegłymi krwią oczami. - Nie pozwól jej zrobić żadnego głupstwa”. Nie wiedziała, czy tak naprawdę boi się o Adeline, czy o siebie.

Pewnego dnia, kiedy Adeline płakała bez przerwy przez cały dzień i noc, Lottie przeszukała gorączkowo jej sypialnię, mając nadzieję, że znajdzie jakieś informacje o rodzinie przyjaciółki, o kimś, kto mógłby przyjechać i pomóc jej pokonać depresję. Przerzuciła całe stopy kolorowych ubrań, wdychając zapach olejku goździkowego, czując na skórze dotyk piór, jedwabi i atłasów. Ale Adeline, podobnie jak Lottie, prawie nie istniała. Z wyjątkiem jednego programu teatralnego, z którego dowiedziała się, że kilka lat temu Adeline zagrała niewielką rolę w teatrze w Harrogate, nie znalazła nic - żadnych zdjęć ani listów. Oprócz tych od Frances. Lottie wrzuciła je z powrotem do pudełka, drżąc na myśl, że dotykała jej ostatnich wyznań. W końcu w walizce w szafie znalazła paszport Adeline. Przerzuciła go, myśląc, że być może tam odkryje adres lub jakąkolwiek inną wskazówkę, skąd może nadejść pomoc. Zamiast tego natknęła się na zdjęcie Adeline.

Miała inną fryzurę, ale to bez wątpienia była ona. Tyle tylko że w paszporcie figurowało nazwisko Ada Clayton.

Żałoba trwała cztery tygodnie bez jednego dnia. Lottie obudziła się pewnego ranka i znalazła Adeline w kuchni. Wbiła ją jajka do miski. Lottie nie wspomniała ani słowem

o paszporcie; pewnych rzeczy niczym wilka nie należy wywoływać z lasu.

- Jadę do Rosji - oświadczyła Adeline, nie podnosząc wzroku.

- Och - odparła Lottie. Chciała zapytać: „Co ze mną?“, ale powiedziała tylko: - A bomba atomowa?

Drogi Joe!

Bardzo mi przykro, ale nie wrócę do domu. Przynajmniej nie do Merham. Wszystko trochę się skomplikowało, ale pojedę chyba do Londynu i spróbuję znaleźć tam pracę. Jak wiesz, prowadziłam dom Adeline, a ona ma kilku przyjaciół artystów, którzy szukają kogoś takiego jak ja i nie mają nic przeciwko dziecku. Mała Camille będzie dorastać z ich dziećmi i na pewno jej się to spodoba. Wbrew temu, co pisałeś, nie widzę powodu, dlaczego nie miałabym sama się utrzymywać. Dam Ci znać, kiedy się już urządzę, może przyjedziesz mnie odwiedzić.

Dziękuję bardzo za rzeczy dla dziecka. Bardzo miło ze strony pani Ansty, że pomogła Ci je wybrać. Maluję teraz portret Camille, która wygląda prześlicznie, zwłaszcza w kapelusiku od Ciebie.

Tvoja, etc.

Trzy dni przed wyjazdem Adeline i Lottie z Francji zjawiła się madame Migot, by wygnieść brzuch Lottie. Albo zająć jej bezwstydnie między nogi. Nigdy nie było wiadomo, co tym razem stanie się celem wizyty. Lottie, mimo że odnosiła się do swojego ciała znacznie mniej zaborczo teraz, gdy wydało na świat inną ludzką istotę, nadal traktowała zabiegi starszej kobiety jak swoistą inwazję. Czuła się trochę tak, jakby była obdartym ze skóry królikiem wystawionym na sprzedaż na targu. Kiedy madame Migot zjawiła się po raz ostatni, by sprawdzić, czy Camille prawidłowo przybiera na wadze, bezceremonialnie sięgnęła pod bluzkę Lottie i zanim ta zdążyła zaprotestować, ścisnęła jej pierś, aż trysnęła struż-

ka mleka. Najwyraźniej usatysfakcjonowana, mruknęła coś do Adeline i bez słowa wyjaśnienia zważyła malutką.

Tym razem jednak zbadała tylko pobieżnie brzuch Lottie, po czym zgrabnie chwyciła Camille. Trzymała ją przez chwilę w ramionach, szczebiocząc coś do niej po francusku, sprawdzając pępek, paluszki u rąk i nóg. Przemawiała do niej cały czas tonem o wiele łagodniejszym niż kiedykolwiek w rozmowach z Adeline czy Lottie.

- Wyjeżdżamy - powiedziała Lottie, pokazując pocztówkę z Anglii. - Zabieram ją do domu.

Nie zwracając na nią uwagi, madame Migot przemawiała coraz ciszej, aż w końcu zamilkła.

Po chwili podeszła do okna i zaczęła się uważnie przyglądać buzi Camille. Warknęła coś do Adeline, która weszła właśnie do pokoju, ściskając w dłoni mapę. Wciąż zaprzętnięta własnymi sprawami, zrozumiała słowa starej dopiero po paru sekundach i pokręciła głową.

- Co znowu? - spytała poirytowana Lottie, bojąc się, że zrobiła coś nie tak. Najwyraźniej kolor pieluszek budził we wsi zgorzenie, a sposób, w jaki je spinała, mógł się stać dla Francuzów źródłem niewybrednych żartów.

- Ona chce wiedzieć, czy byłaś chora - powiedziała Adeline, słuchając madame Migot ze zmarszczonymi brwiami. - Przyjaciół Juliana pracujący w ambasadzie mówi, że przed wyjazdem do Rosji muszę mieć wizę i że nie można jej zdobyć, nie mając układów w dyplomacji. Uważa, że powinnam wrócić do Anglii, żeby to załatwić. Jakież to wszystko irytujące.

- Jasne, że nie jestem chora. Wytłumacz jej, że też by źle wyglądała, gdyby przez pół nocy musiała zajmować się dzieckiem.

Adeline powiedziała coś po francusku, a po chwili znów pokręciła głową.

- Chce wiedzieć, czy masz wysypkę.

Lottie już miała odburknąć coś niegrzecznego, ale uciszył ją wyraz twarzy Francuzki.

- *Non, non* - mówiła, pokazując ręką na brzuch.
- Ona pyta, czy miałaś wysypkę, zanim urósł ci brzuch...
Na początku ciąży? - Adeline spojrzała w końcu z zainteresowaniem na akuszerkę.

- Potówki? - zastanowiła się Lottie. - Miałam całe mnóstwo. Upał nie bardzo mi służy.

Akuszerka nie była usatysfakcjonowana jej odpowiedzią. Zadała jeszcze kilka pytań nagłym tonem, a potem spojrzała wyczekująco na Lottie.

Adeline się odwróciła.

- Chce wiedzieć, czy czułaś się źle. Czy miałaś wysypkę na początku ciąży. Uważa... - Powiedziała coś po francusku do akuszerki, która skinęła głową w odpowiedzi. - Chce wiedzieć, czy to mogła być różyczka.

- Nic nie rozumiem. - Lottie walczyła z pragnieniem, by chwycić córeczkę w ramiona i przytulić do siebie obronnym gestem. - Miałam potówki. Kiedy tutaj przyjechałam. A przynajmniej myślałam, że to potówki.

Wyraz twarzy Francuzki po raz pierwszy złagodniał.

- *Votre bebe* - powiedziała. - *Ses yeux...** - Przesunęła dłonią przed buzią Camille, podniosła wzrok na Lottie i przesunęła jeszcze raz. I jeszcze raz.

- Och, Lottie - szepnęła Adeline, podnosząc dłoń do ust. - Co my teraz z tobą zrobimy?

Lottie stała nieruchomo, czując, jak ogarniają chłód. Małutka leżała spokojnie w ramionach Francuzki, a jasne włoski otaczały jej twarz niczym aureola. Na słodką buzię padały promienie słońca.

Ani razu nie zamrugała oczami.

- Wróciłam do Merham, gdy Camille miała dziesięć tygodni. Kiedy rodzina w Londynie dowiedziała się o dziecku, nie chciała już mnie zatrudnić. Napisałam wszystko Joemu, a kiedy tylko wysiadłam z pociągu, poprosił, żebym za niego wyszła.

* Pani dziecko... Jego oczy...

Lottie westchnęła i splótła ręce na kolanach.

- Powiedział wszystkim, że to on jest ojcem. Wywołał tym wielki skandal. Jego rodzice byli wściekli. Ale kiedy trzeba, potrafi być silny i postawić na swoim. Zagroził, że gorzko tego pożałują, jeśli każą mu wybierać między nimi a mną.

Już dawno wypiły całe wino. Daisy nie zwracała uwagi na późną porę, choć całe ciało domagało się snu.

- Jego matka chyba nigdy mi nie wybaczyła, że za niego wyszłam - uznała Lottie pogrążona we wspomnieniach. - Nigdy nie mogła mi darować, że urodziłam jej ukochanemu synowi niewidomą córkę. Nienawidziłam jej za to. Nienawidziłam jej, że nie kocha Camille tak mocno jak ja. Ale teraz, kiedy jestem już stara, chyba lepiej ją rozumiem.

- Próbowала go chronić.

- Tak, z pewnością.

- Czy Camille wie?

- Camille wie, że Joe jest jej ojcem - powiedziała Lottie wyzywającym tonem. - Zawsze byli mocno ze sobą związani. To ukochana córeczka tatusia.

Na chwilę zapanowała cisza.

- A co się stało z Adeline? - szepnęła Daisy. W jej głosie dźwięczała obawa, jakby przed tym, co może usłyszeć. Słuchając opowieści o samobójstwie Frances, płakała, przypominając sobie, co sama przeżywała po odejściu Daniela.

- Adeline zmarła blisko dwadzieścia lat temu. Nigdy tu nie wróciła. Sprzątałam ten dom, tak na wszelki wypadek, ale nigdy nie przyjechała. Nie sądzę, by mogła to znieść, bo każda rzecz tutaj przypominała jej Frances. Kochała ją. Wiedzieli o tym chyba wszyscy prócz niej. Zmarła w Rosji, niedaleko Sankt Petersburga. Była bardzo bogata, nawet bez tego, co podarował jej Julian. Lubię myśleć, że mieszkała właśnie tam, bo znalazła Konstantina. - Lottie uśmiechnęła się nieśmiało, jakby zawstydzona swoim romantyzmem. - Zapisała mi Arcadię w testamencie. Zawsze uważałam, że miała wyrzuty sumienia z powodu mojego małżeń-

stwa z Joem. - Lottie zaczęła zbierać swoje rzeczy. Postawiła kieliszek na podłodze przy krześle. - Myślała chyba, że wyjeżdżając na zawsze, zawiodła mnie.

- Dlaczego?

Lottie spojrzała na Daisy, jakby ta nic nie rozumiała.

- Gdybym wtedy miała dom i pieniądze, nie musiałabym wychodzić za męża...

Podczas miesiąca miodowego płakałam przez sześć dni. Mama powiedziała potem, że to dość dziwne u osoby, która tak bardzo pragnęła wyjść za męża i wyrwać się z domu. Nie wspominając już o pięknym statku i cudownej kajucie pierwszej klasy, którą opłacili Bancroftowie.

Cierpiałam straszliwie z powodu choroby morskiej, więc Guy musiał spacerować samotnie po pokładzie, podczas gdy ja leżałam w łóżku. Nadal zresztą robi mi się niedobrze, gdy pomyślę o tacie. I czułam się parszywie, opuszczając mamę i dzieci. Wiedziałam, że już nic nigdy nie będzie jak dawniej. I chociaż właśnie tego pragnęłam, przeraziła mnie straszliwa ostateczność tego, co się stało.

Nie zachowywaliśmy się zupełnie jak para w podróży poślubnej. Oczywiście nie powiedziałam o tym rodzicom ani nikomu. Nie, na wysyłanych im pocztówkach opisywałam cudowne widoki, wspaniałe kolacje z tańcami, delfiny i ploczki z kapitańskiego stołu. Opisałam im naszą kajutę, całą wykładaną drewnem orzechowym, i olbrzymią toaletkę z lampkami wokół lustra oraz szampony i balsamy w małych buteleczkach, które codziennie wymieniano.

Guy był, niestety, niepodobny do siebie. Powiedział mi, że od wody woli otwarte przestrzenie. Początkowo trochę się zdenerwowałam i odpartam, że zaoszczędziłby nam mnóstwo czasu, gdyby wspomniał o tym nieco wcześniej. Ale nie chciałam przypierać go do muru. Nigdy tego nie robiłam. I w końcu przyszedł do siebie. Pani Erhardt, ta z cudownymi perłami, powiedziała, że wszystkie pary kłócą się podczas podróży poślubnej'. Ale nigdy nikomu o tym nie

mówią. O innych rzeczach też nie, ale nie wyjaśniła, jakie rzeczy ma na myśli.

Czasami było nawet przyjemnie. Kiedy wyszło na jaw, że jesteśmy w podróży poślubnej, zawsze kiedy wchodziliśmy do jadalni, orkiestra grała piosenkę Guya Mitchella Look At That Girl. Bardzo mi się to podobało. Cieszyłam się, że wszyscy wiedzą, że Guy jest mój.

Jakiś czas potem dowiedziałam się od Sylvii o Joem. Mama potraktowała całą sprawę zadziwiająco spokojnie. Nie chciała nawet wiedzieć, czy to rzeczywiście jego dziecko, co mnie zdumiało. Myślałam, że odchodzi od zmysłów, żeby się dowiedzieć. Wściekła się okropnie, kiedy o tym wspomniałam. Myślę jednak, że miała wtedy dość problemów z tatą i jego piciem.

Nic nie powiedziałam Guyowi. „Babskie plotki”, uciął krótko pewnego dnia, kiedy zaczęłam opowiadać mu o Merham. Nigdy więcej nie wracałam do tego tematu.

Część trzecia

i

Rozdział piętnasty

Daisy zamartwiała się przez blisko dziesięć dni, jak najlepiej przeprosić Jonesa. Jak wytłumaczyć, że przerażenie malujące się na jej twarzy i płacz, którym wybuchnęła tamtego ranka, nie były reakcją na jego obecność, lecz na to, kim nie był. Zastanawiała się nawet, czy nie wysłać mu kwiatów, ale Jones nie wyglądał na faceta, który je lubi; nie wiedziała też, na jaki bukiet powinna się zdecydować. Przez jakiś czas rozważała również, czy po prostu do niego nie zadzwonić i nie powiedzieć prosto z mostu, jak on sam miał w zwyczaju: „Jones, jest mi bardzo przykro. Zachowałam się okropnie”. Wiedziała jednak, że nie uda się jej na tym zakończyć, że zacznie się jąkać, tłumaczyć coś beżładnie, a on będzie nią z tego powodu pogardzał jeszcze bardziej. Zastanawiała się, czy nie wysłać mu kartki, wiadomości, a nawet poprosić Lottie (bo odważyła się teraz do niej tak zwracać), żeby to za nią załatwiła. Jones bał się Lottie.

Alenie zrobiła nic.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności dopomógł fresk. Pewnego popołudnia, kiedy z długopisem w ustach przeglądała listę prac, podszedł do niej Aidan. Powiedział, że jeden z robotników zeszkroby wał mech ze ściany na tarasie i pod białą farbą odkrył coś kolorowego. Zaciekawieni robotnicy odku-

li delikatnie większy fragment tynku i znaleźli namalowane na ścianie dwie twarze.

- Nie chcieliśmy kuć dalej - wyjaśnił, prowadząc ją na taras - żeby nie zniszczyć farby.

Daisy wpatrywała się w namalowane na murze twarze. Widać było wyraźnie, że na ustach jednej z nich błąka się nieśmiały uśmiech. Malarz, młody mężczyzna z zachodnich Indii, o imieniu Dave, siedział na tarasie, paląc papierosa, i z wielkim zainteresowaniem wpatrywał się w ścianę.

- Trzeba będzie zatrudnić specjalistę - powiedział Aidan, cofając się o krok. - Kogoś, kto się na tym zna. To może być coś warte. - Mówił na malowidło „frysk”.

- To zależy, kto jest twórcą - odparła Daisy. - Ale jest bardzo ładny. Trochę w stylu Braque'a. Wiecie, jaki duży?

- Tam, w lewym rogu, widać ślad żółtej farby, a po prawej - niebieskiej, więc nie zdziwiłbym się wcale, gdyby był długi na dwa metry. Zapytaj tę swoją kobietę, co o tym sądzi. Może tu była, kiedy to malowali. Może coś wie.

- Nigdy o tym nie wspominała - stwierdziła Daisy.

- Też mi dziwota - prychnął Aidan, zeskrobując ze spodni zaschnięty gips. - Nie wspominała też nic o pieluszkach na budowie i zakazie wiercenia podczas drzemki dziecka. - Uśmiechnął się przebiegle i oparł o ścianę, kiedy Daisy odwróciła się, by wejść do domu. - Hej, masz zamiar wstać wodę?

Lottie poszła na spacer z Ellie, więc Daisy zadzwoniła do Jonesa. Początkowo chciała mu o wszystkim powiedzieć, że- by połączył ją nareszcie z czymś dobrym.

- Jakiś problem? - spytał poirytowany.

- Nie ma żadnego problemu - odparła Daisy. - Byłam tylko ciekawa, czy przyjedziesz we czwartek.

- Dlaczego akurat we czwartek? - W tle słyszała dzwonki dwóch telefonów i kobietę prowadzącą rozmowę. - Powiedz mu, że zaraz przyjdę! - wrzasnął. - Daj mu kieliszek wina.

- Chodzi o kontrolę higieny i bezpieczeństwa pracy. W pomieszczeniach kuchennych. Chciałeś przy niej być.

- No to daj mu kawy! Halo? Jezu, rzeczywiście -jęknął. Usłyszała, jak zasłania słuchawkę dłonią i mówi coś chyba do sekretarki. - O której mają tam być? - spytał po chwili.

- O wpół do dwunastej. - Wzięła głęboki oddech. - Jones, zostań potem na lunch. Chciałabym ci coś pokazać.

- Nie jadam lunchu - powiedział i odłożył słuchawkę.

Przypomniała sobie, że Hal ma coś wspólnego z renowacją, i zadzwoniła do Camille. Nie chciała dzwonić do niego bezpośrednio. To jedna z zasad, które trzeba mieć na uwadze, gdy jest się samotną kobietą. Ale Camille podeszła do sprawy z wielkim entuzjazmem i powiedziała Daisy, żeby natychmiast do niego zadzwoniła. Nie musi zatrudnić żadnego specjalisty, Hal świetnie sobie z tym poradzi. W szkole plastycznej uczył się renowacji nie tylko mebli, Camille była tego pewna. Hal wydawał się nieco mniej przekonany i nie był pewien, czy ma odpowiednią wiedzę, by się tego podjąć.

- Możesz przecież jeszcze coś poczytać o najnowszych technikach. To nie płótno, tylko fresk na zewnętrznej ścianie domu. - Z tonu Camille wywnioskowała, że ta praca może sporo dla nich znaczyć. - Poza tym to nie może być nic ważnego, skoro zdecydowali się zamalować fresk białą farbą.

Hal początkowo się wahał, potem powoli zapalał, jakby nie mógł uwierzyć, że ktoś rzuca mu koło ratunkowe, choćby nawet niewielkie.

- Mam przyjaciela w Ware, który nadal się czymś takim zajmuje. Mógłbym go wypytać. Oczywiście, jeśli ci nie przeszkadza, że nie jestem zawodowcem.

- Jeśli sobie z tym poradzisz, to dla mnie możesz być nawet zapaśnikiem tarzającym się w błocie. Ale muszę zacząć zaraz. Chciałabym odsłonić sporą część fresku do czwartku.

- Dobra - powiedział Hal, nie chcąc okazywać, jak bardzo jest zadowolony z jej propozycji. - Świetnie. Wykonam kilka telefonów, zbiorę sprzęt i przyjdę.

Wychodząc do ogrodu, Daisy pomyślała, że stoi przed wielką szansą. Pokaże Jonesowi, że stać ją nie tylko na odno-

wienie budynku, lecz także na porzucenie wizerunku Daisy, jakiego nienawidziła. Daniel powiedział kiedyś, że to jej rozpaczliwe pragnienie zadowolenia wszystkich jest bardzo śmieszną cechą, ale nie mogła się od niej uwolnić. Tamtego wieczoru, który spędziła z Jonesem, cieszyła się, że widział jej nowe, znacznie lepsze oblicze. Bo ona, co przyznawała w duchu, akceptowała tę nową osobę i nie miała już ochoty opłakiwać dawnej Daisy. Była teraz silniejsza, a wydarzenia ostatnich miesięcy już jej tak nie przytłaczały. „To wszystko zasługa dzieci – powiedziała Lottie, gdy spytała ją, jak sobie radziła sama. – Musisz być silna”.

Daisy, wracając myślami do Primrose Hill, niezupełnie się z nią zgadzała, ale doszła do wniosku, że powoli, jakby na zasadzie osmozy, przejmowała nieco siły Lottie. Zastanawiała się bez końca nad tym, jak młoda Lottie urodziła dziecko, niemal bez żadnej pomocy i tak daleko od domu, i nie dała się zastraszyć, kiedy zhańbiona i bez grosza przy duszy wróciła do Merham. Obserwowała, jak starsza już Lottie zмага się z życiem, budząc szacunek otoczenia dzięki pewności siebie i ostremu językowi. Oczekiwała, że ludzie oddadzą jej sprawiedliwość i że wszystko ułoży się tak, jak zaplanowała. A kimże ona była? Emerytowaną gospodynią domową, żoną właściciela warsztatu samochodowego w małym miasteczku, matką niewidomej córki. Nigdy nie pracowała, nie miała żadnych osiągnięć zawodowych, nic. Daisy nie odważyłaby się oczywiście powiedzieć tego wszystkiego w obecności Lottie. Tymczasem ona była nadal dawną Daisy (choć może nieco pulchniejszą): atrakcyjną, inteligentną, prawie wypłacalną i, jak to określił jej księgowy, była samodzielnym przedsiębiorcą. „Jestem samodzielnym przedsiębiorcą”, powiedziała na głos, gdy odłożyła słuchawkę. Brzmiało to o wiele lepiej niż „samotna matka”.

Oczywiście w dalszym ciągu za nim tęskniła. Czasem płakała. Nadal uważała za spore osiągnięcie, jeśli udało jej się przetrwać kilka godzin, nie poświęcając mu ani jednej myśli. Od czasu do czasu sprawdzała jego horoskop, jakby szu-

kala tam wskazówek, czy wróci. Ale niemal trzy miesiące po odejściu Daniela potrafiła wyobrazić sobie chwilę, może za rok, plus minus kilka miesięcy, kiedy przeboleje rozstanie na dobre.

Próbowała się nie zastanawiać, czy Ellie kiedyś pójdzie jej śladem.

Aidan wcale się nie dziwił, że Hal ma problemy z firmą. Poświęca „fryskowi” stanowczo za dużo czasu, a przecież nie można tak pracować za ustalone wynagrodzenie. Oświadczył to Daisy, kiedy siedzieli w kuchni i popijając herbatę, patrzyli przez okno na Hala. Pochylony nad ścianą pracowicie oczyszczał pędzelkiem fragment malowidła. Daisy powinna to wiedzieć. Drobni przedsiębiorcy nie mogą sobie pozwolić na perfekcjonizm.

- Drobni przedsiębiorcy nie będą mogli sobie na nic pozwolić, jeśli zgodnie z obietnicą nie skończą do wtorku korytarzy na piętrze - powiedziała z naciskiem Daisy, ale Aidan puścił jej słowa mimo uszu.

- Gdyby twój szef płacił mu za godzinę...

- Chyba sprawia mu to przyjemność - odparła Daisy, choć Hal na ogół wydawał się raczej przygnębiony.

- No jak, dobrze? - pytał ją parę razy dziennie, kiedy wychodziła na taras, by podziwiać coraz wyraźniejsze partie fresku. - Nie chcesz zatrudnić fachowca?

Nie przekonywały go zapewnienia Daisy, że nie.

Ale Camille, która przychodziła dwa razy dziennie, by między umówionymi wizytami przynieść mu herbatę i kanapki, opowiadała, że po powrocie do domu Hal jest zachwycony. „To bardzo ekscytujące - podniecała się i nie protestowała przeciw tak długim nieobecnościom męża w domu. - To intrygujące, że fresk tak długo był zakryty. Cieszę się, że Hal przywróci go do życia”. Kiedy im się wydawało, że nikt nie patrzy, trzymali się za ręce. Daisy z zazdrością obserwowowała kiedyś, jak Hal objaśnia żonie, co jest na fresku, a potem przyciągają do siebie i całuje.

Jedyną osobą, której nie cieszyła perspektywa odsłonięcia malowidła, była Lottie. Wyszła do miasta, by załatwić jedną ze swoich tajemniczych spraw (nigdy nikomu nie mówiła, dokąd się wybiera ani co robi. Pytana, przykładała palec do nosa i mówiła, żeby pilnować swojego). Kiedy po powrocie zauważyła Hala pracującego na tarasie, wybuchnęła złością i zaczęła się domagać, żeby natychmiast przestał.

- Kazałam go zamalować! Nie wolno tego oglądać! - krzyczała, wymachując gwałtownie rękami. - Zamaluj go z powrotem.

Daisy, która razem z robotnikami oglądała rury, odwróciła się raptownie, by sprawdzić, co oznaczają te krzyki.

- Nie wolno go oglądać!

- Ale to fresk - zaprotestował Hal.

- Powiedziałam! Nie powinieneś zmywać farby. Prze-
stań, słyszysz? Gdybym chciała go odsłonić, na pewno bym
was poinformowała.

- Co tam jest pod spodem? - mruknął Aidan do Dave'a. -
Plany, gdzie ukryła zwłoki?

- Nie mogę teraz przerwać prac - odparła zdumiona Dai-
sy. - Jones przyjeżdża specjalnie, żeby go zobaczyć.

- Nie jest twój, żebyś mogła go pokazywać - rzuciła Lot-
tie dziwnie, jak na nią, podekscytowana.

Camille, która właśnie przyniosła Halowi herbatę, stała
z wyrazem zdumienia na twarzy, trzymając w dłoni kubek.

- Mamo?

- Co się dzieje, mamo? Co cię tak bardzo zdenerwowało? -
Hal położył dłoń na ramieniu Lottie.

Strąciła ją gniewnym ruchem.

- Nic mnie nie zdenerwowało. A w zasadzie tak. Zdenerwo-
wało mnie, że marnujesz tyle czasu na odkrywanie jakiegoś
śmiecica. Powinieneś się skoncentrować na swojej firmie, a nie
bawić jakimś bezsensownym malunkiem. Dlaczego nie zaj-
miesz się czymś pożytecznym? Na przykład ratowaniem firmy?

- Bo to jest piękne, Lottie - powiedziała Daisy. - Musia-
łaś go przecież widzieć.

- To zwykły kicz - odparła Lottie. - I powiem to temu twojemu głupiemu szefowi. Jestem przecież konsultantem historycznym, czy jak tam to nazywacie. On na pewno się ze mną zgodzi. - Odwróciła się na pięcie i wyszła, pozostawiając ich zdumionych na tarasie.

Jones nie podzielał opinii Lottie.

Daisy ukradkiem wyprowadziła go na taras, kiedy jej nie było.

- Zamknij oczy - poleciła, gdy stanęli w progu. Uniósł wzrok do nieba, jakby zupełnie oszalała, a on na dodatek musiał spełniać jej polecenia. Ujęła go pod ramię i omijając wiadra z farbą, zaprowadziła na miejsce, gdzie Hal skończył pracę.

- Teraz otwórz.

Daisy nie spuszczała wzroku z jego twarzy. Najpierw zmarszczył brwi, a potem, zdumiony, gwałtownie zamrugał powiekami.

- To fresk - wyjaśniła Daisy. - Hal właśnie nad nim pracuje. Robotnicy odkryli go pod warstwą białej farby.

Jones spojrział na nią, najwyraźniej zapominając o tym, że powinien się zirytować, a potem zbliżył się i dokładnie przyjrzał malowidłu. Zauważyła, że ma na sobie okropne sztruksowe spodnie.

- Co to jest? - spytał po chwili. - Coś na kształt *Ostatniej Wieczery!*

- Nie wiem - odparła Daisy, oglądając się nerwowo za siebie. Bała się, że za chwilę usłyszy skrzypienie wózka Ellie. - Lottie, to znaczy pani Bernard, nie chce mi powiedzieć.

Jones przyglądał się dalej uważnie.

- Co powiedziałaś? - spytał nagle, odwracając się od ściany.

- Nie jest zachwycona, że postanowiliśmy go odkryć - wyjaśniła. - Nie chce zdradzić dlaczego, ale to ją wyraźnie denerwuje.

- Ale to jest bardzo piękne - zawyrokował. - Wspaniale tu wygląda. Nadaje tarasowi szczególny charakter. - Odwrócił

się i odszedł aż na koniec tarasu, by przyrzeć się freskowi z daleka. - Planujemy ustawienie tutaj krzesel, prawda?

Daisy skinęła głową.

- Czy jest stary?

- Zapewne z naszego wieku - powiedziała. - Hal sądzi, że powstał w latach czterdziestych albo pięćdziesiątych. Z pewnością nie wcześniej niż w trzydziestych. Być może kazała go zamalować podczas wojny.

- Nie mam pojęcia... - Jones mówił teraz do siebie, trzymając się ręką za tył głowy. - Czy mogę spytać, ile za to zapłacę? To znaczy - za odnowienie.

- Dużo mniej, niż jest wart.

Uśmiechnął się do niej i ona także odpowiedziała mu uśmiechem.

- Nie sądzę, byś znalazła tu jeszcze jakieś bezcenne antyki...

- Nie - potwierdził Dave, pojawiając się nagle za nimi i zapalając kolejnego papierosa. - Wyszła po mleko dla małej.

A więc to koniec. Hal siedział w samochodzie zaparkowanym przed Arcadią, przerzucając plik rachunków. Wiedział, że pieniądze, które dostanie za odnowienie fresku, nie pokryją nawet części z nich. Poczul dziwną ulgę na myśl, że ma to już z głowy, że coś, o czym wiedział od tygodni, od miesięcy, co wydawało się nieuniknione, stało się rzeczywistością. Ostatni rachunek, który otworzył dopiero podczas lunchu, był tak ogromny, że nie miał wyboru. Zwinie interes, a kiedy skończy odnawianie fresku, rozejrzy się za jakąś pracą.

Zamknął na chwilę oczy. Nadzieja i napięcie ostatnich tygodni odpłynęły w dal, pozostawiając po sobie jedynie szarą mgłę. To przecież tylko firma. Powtarzał te słowa w duchu jak mantrę. A jeśli sprzeda narzędzia, nie grozi mu bankructwo i cała rodzina będzie miała przed sobą jakąś przyszłość. A oni przecież mieli przyszłość, razem z Camille. Ostatnie tygodnie go w tym utwierdziły.

„Trzeba się skoncentrować na dobrych rzeczach - powiedziała pani psycholog podczas ostatniego spotkania. - Być

wdzięcznym za to, co się ma". Miał żonę i córkę. Był zdrowy. I miał przed sobą przyszłość. Ciszę przerwał dźwięk komórki. Poszukał jej w schowku, czując pieczenie pod powiekami. Czyżby łyzy? Zamrugał szybko kilka razy.

- To ja.

- Cześć. - Rozsiadł się wygodnie, zadowolony, że słyszy jej głos.

Nie miała żadnej pilnej sprawy. Chciała się tylko dowiedzieć, o której mniej więcej wróci do domu, zapytać, czy ma ochotę zjeść na kolację kurczaka, i powiedzieć, że Katie poszła popływać.

- Wszystko w porządku? Wydajesz się przygaszony.

- Nic mi nie jest - odparł. - Przyniosę wino na kolację, jeśli chcesz.

Nie była przekonana. Postarał się więc, by jego głos zabrzmiał weselej. Nie mówił jej tego, co powinna usłyszeć - to może poczekać - lecz to, czego zawsze lubiła słuchać: co się wydarzyło tego dnia „w pracy”. Co udało mu się odkryć. Najnowsze odzywki robotników. Powiedział, że jej matka prawie się do niego nie odzywa, kiedy pracuje nad freskiem, a gdy wychodzą z Arcadii, rozmawia jak gdyby nigdy nic.

- Może powinnaś ją o to zapytać. Dowiedzieć się, co ją tak niepokoi.

- Nie ma sensu, Hal. Wiesz, że nigdy nie należy jej o nic pytać. Nic mi nie powie - odparła Camille smutna i zmarzwiona. - Czasami nie mam pojęcia, co się z nią dzieje. Wiesz, że w przyszłym tygodniu mają rocznicę ślubu, a ona oświadczyła, że jest potrzebna w Arcadii? Tato jest taki rozczarowany. Zamówił już nawet stolik w restauracji.

- Mogą chyba iść w jakiś inny wieczór - odparł.

- Ale to nie to samo, prawda?

- Nie - powiedział. - To nie to samo.

- Muszę już lecieć - rzuciła wyraźnie pogodniejszym tonem. - Pani Halligan skarży się na szczypanie.

- Co takiego?

Przysunęła się do telefonu.

- Czasami jest tak po depilacji woskiem. Panią Halligan szczypie w bardzo niefortunnym miejscu i nie może włożyć rajstop.

Roześmiał się. Poczował się tak, jakby nie śmiał się od wielu miesięcy.

- Kocham cię - powiedział.
- Wiem. Ja też cię kocham.

Daisy oprowadziła Jonesa po pokojach, które kiedyś stworzył Apartament Morrella, choć na razie wśród robotników znane były jako Błękitne Bagno, od koloru, w jakim urządzono łazienkę. Ta najbardziej tradycyjna sypialnia w całym domu została już ukończona. Łóżko, jak zresztą wszystkie pozostałe, pochodziło z firmy w Indiach, specjalizującej się w starych kolonialnych meblach. Obok niego stała komoda z metalowymi zdobieniami. Lśniący mahoń odbijał od bladoszarych ścian. W rogu pokoju, który powstał z połączenia dwóch mniejszych, stały dwa wygodne fotele i niski rzeźbiony stolik. Daisy rozłożyła na nim obrus i postawiła talerze pełne kanapek z krabami, miskę owoców i butelkę wody.

- Wiem, że nie jadasz lunchu - powiedziała, gdy obrzucał wszystko uważnym spojrzeniem - ale pomyślałam, że jeśli nie będziesz głodny, zjem twoją część na kolację.

Miał na sobie bardzo dziwne skarpetki. Ich widok podzielał na nią nad wyraz kojąco.

Obszedł powoli pokój, podziwiając wystrój i umeblowanie. Potem zatrzymał się tuż przed nią.

- Właściwie to chciałam cię przeprosić - wyrzuciła z siebie, składając dłonie jak do modlitwy. - Za tamten ranek. To było głupie. No, więcej niż głupie. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Mogę cię tylko zapewnić, że to nie miało nic wspólnego z tobą.

Jones spojrział na swoje stopy i przestąpił z nogi na nogę.

- Och, daj spokój. Usiądź, proszę - powiedziała bezradnie - bo poczuję się jak głupia. Albo zacznę paplać. To chyba jeszcze gorsze od płaczu.

Jones pochylił się nad kanapkami.

- Wiesz, prawie w ogóle o tym nie myślałem. - Spojrzał na nią z ukosa i usiadł.

- W innych warunkach nie podałabym lunchu w sypialni, ale tylko tutaj jest cicho - wyjaśniła, kiedy zaczęli jeść. - Wolałabym nakryć na tarasie, obok fresku, ale pomyślałam, że jeszcze ochlapią nas farbą albo zaleją kanapki terpentyną. - Rzeczywiście zaczęła paplać, jakby nie panowała nad potokiem słów, który wypływał z jej ust. - Poza tym obok śpi Ellie.

Skinał głową, ale to była jego jedyna reakcja. Pomyślała jednak, że wygląda na odprężonego.

- Jestem zaskoczony, że postanowiłaś zrobić to bez konsultacji ze mną - odezwał się w końcu. - Chodzi mi o fresk.

- Wiedziałam, że gdy go zobaczysz, będziesz zachwycony. Gdybym cię zapytała, znalazłbyś tysiąc powodów, żeby wstrzymać prace.

Zatrzymał kanapkę w połowie drogi do ust, po czym opuścił rękę i obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Bardzo uważnym. A ona poczuła, że zaraz zacznie się rumienić.

- Jesteś dziwną osobą, Daisy Parsons - stwierdził. Ale nie zabrzmiało to wrogo.

Odrpężyła się nieco i zaczęła mu opowiadać historie związane z każdym meblem, tłumaczyła, co skłoniło ją do wyboru takiej, a nie innej farby czy materiału. Kiwał głową z pełnymi ustami, słuchając uważnie. Sam niewiele mówił. Daisy walczyła ze sobą, by nie spytać, co myśli, czy jest zadowolony. Doszła jednak do wniosku, że gdyby nie był, na pewno by jej o tym powiedział.

Stopniowo zaczęła ubarwiać część historii żartami. Postanowiła nieco go rozruszać. Dobrze było znów znaleźć się w towarzystwie osoby, która znała klub Gavroche przy Green Street. Która potrafiła rozmawiać o czymś innym, nie tylko o gamach kolorów farb czy zaopatrzeniu pobliskich sklepów z materiałami budowlanymi. Przed jego wizytą nałożyła nawet makijaż. Znalezienie kosmetyczki zajęło jej czterdzieści minut.

- ..dali nam ten duży po tak korzystnej cenie, bo był na składzie od trzech lat i za nic nie mogli go się pozbyć. - Roześmiała się i nalała sobie następną szklanekę wody.

- Czy Daniel kontaktował się z tobą? - spytał nagle.

Daisy zamarła.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie powinienem o to pytać. To nie moja sprawa.

Spojrzała na niego i odstawiła butelkę.

- Tak - potwierdziła. - Kontaktował się. Ale to niczego nie zmienia.

Przez minutę siedzieli w milczeniu. Jones wpatrywał się w róg stolika.

- Dlaczego pytasz? - Na kilka sekund powietrze w pokoju stało się próżnią, którą mogła wypełnić tylko odpowiedź Jonesa.

- Spotkałem jego dawnego przyjaciela, który chciał o czymś z nim porozmawiać... - Podniósł wzrok. - Pomyślałem, że może masz jego numer.

- Nie - odparła Daisy, czując, jak ogarniają niewytłumaczalna złość. - Nie mam.

- No to mamy problem z głowy. Będą musieli sami się odszukać.

- Tak.

Daisy siedziała nieruchomo, nie wiedząc, dlaczego jego pytanie aż tak bardzo wytrąciło ją z równowagi. Nagle usłyszała, jak ktoś ją woła przez okno. Głos Aidana. Pewnie chce zapytać o jakąś farbę.

- Sprawdzę, czego chce - powiedziała, niemal wdzięczna za ten przerwany. - Zaraz wrócę. Częstuj się owocami. Proszę.

Kiedy wróciła po kilku minutach, stanęła w drzwiach jak wryta na widok Jonesa trzymającego w ramionach Ellie. Zarumieniona od snu, opierała się o niego, mrugając oczkami. Kiedy Jones dostrzegł Daisy, zmieszał się i zrobił ruch, jakby chciał rzucić jej małą.

- Obudziła się, gdy wysłaś - wyjaśnił nieśmiało. - Nie chciałem, żeby zaczęła płakać.

- Och. - Nie spuszczała z niego wzroku. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby mężczyzna trzymał jej dziecko, i bardzo ją to poruszyło. - Dzięki.

- Jest bardzo miła. Nie boi się. - Jones podszedł do Daisy i podał jej Ellie. Udało mu się przy tym zaplątać ręce w rączki i nóżki malej. - A ja przecież nie jestem do nich przyzwyczajony. Mam na myśli dzieci.

- Nie wiem, dlaczego jest taka spokojna - odparła szczerze Daisy. - Tylko pani Bernard i ja bierzemy ją na ręce.

- Nigdy przedtem nie trzymałem dziecka.

- Ja też nie. To znaczy, dopóki jej nie urodziłam.

Patrzył na Ellie, jakby nigdy przedtem nie widział małego dziecka. Nagle uświadomił sobie, że Daisy go obserwuje, pogłaskała Ellie delikatnie po główce i cofnął się.

- No to pa - powiedział do malej. - Chyba powinienem się zbierać. - Spojrzał na drzwi. - W biurze będą się dziwić, gdzie zniknąłem. Dziękuję za lunch.

- Bardzo proszę - odparła Daisy, poprawiając Ellie na biodrze.

Ruszył w stronę drzwi.

- Wszystko wygląda świetnie - dodał, odwracając się. - Doskonała robota. - Zmusił się do uśmiechu, lecz nie wygląda! na szczęśliwego. Paznokcie u kciuków ma takie same jak Daniel, zauważyła Daisy. - Posłuchaj. W przyszłym tygodniu - zaczął nagle - powinnaś przyjechać do Londynu. Muszę z tobą porozmawiać o otwarciu lokalu, na który mam wszystkie papiery. Pomyślałem, że przy okazji wybierzemy się do tego składu. Tego nowego, o którym mówiłaś. Po meble do ogrodu.

Przechylił głowę na bok.

- To znaczy, chciałem zapytać, czy masz czas, żeby przyjechać do Londynu. Postawię ci lunch. Albo kolację. W moim klubie. Będziesz mogła go zobaczyć.

- Wiem, jaki jest - odparła Daisy. - Kiedyś tam byłam. - Uśmiechnęła się tak jak dawniej. - Zgoda. Brzmi wspaniale. Powiedz tylko kiedy.

* * *

Pete Sheraton miał na sobie stylową koszulę, taką, jakie w latach osiemdziesiątych nosili pracujący na giełdzie maklerzy: w szerokie paski, z białym kołnierzykiem i sztywno wykrochmalonymi rękawami. Za taką koszulą kryły się pieniądze i transakcje przeprowadzane w zadymionych salach. Na jej widok Hal zawsze się zastanawiał, czy Pete jest rzeczywiście zadowolony z posady dyrektora prowincjonalnego banku (personel: trzech kasjerów, jeden kierownik stażysta i pani Mills, która sprząta we wtorki i czwartki).

W mankietach, które wskazały Halowi tego popołudnia drogę do gabinetu, widniały spinki przedstawiające małe nagie kobiety.

- To pomysł mojej żony - wyjaśnił, spoglądając na nie, gdy Hal zajął miejsce przed jego biurkiem. - Twierdzi, że dzięki nim nie będę aż tak bardzo... dyrektorski.

Hal uśmiechnął się i spróbował przełknąć ślinę.

Znali się z Pete'em od lat, od czasu, gdy Veronica Sheraton zamówiła u Hala ramę do portretu, którym obdarowała męża na czterdzieste urodziny. Portret był naprawdę okropny: przedstawiał Veronicę w sukni balowej z bufiastymi rękawami i stojącego za nią Pete'a, o kilkadziesiąt centymetrów wyższego niż w rzeczywistości, z twarzą koloru spalonego karmelu. Podczas „odsłonięcia” obrazu oczy obu panów spotkały się i w jednej chwili połączyła ich nie prawdziwej męskiej przyjaźni.

- Rozumiem, że nie przyszedłeś umówić się na partyjkę squasha?

Hal wziął głęboki oddech.

- Niestety, tym razem nie. Przyszedłem porozmawiać o... zamknięciu mojej firmy.

Pete zmartwił.

- O Boże, stary, tak mi przykro. To ci dopiero pech.

Hal żałował, że Pete nie potrafi podejść do całej sprawy bardziej obiektywnie. Teraz wolałby widzieć przed sobą starodawnego, sztywnego, surowego dyrektora banku.

- Jesteś absolutnie pewny? Rozmawiałeś z księgowym? Dobrze się zastanowiłeś?

Hal przełknął ślinę.

- Nie poinformowałem go jeszcze, że to ostateczna decyzja, ale można powiedzieć, że nie będzie zaskoczeniem dla nikogo, kto miał wgląd w moje księgi.

- Wiedziałem oczywiście, że ostatnio nie idzie ci najlepiej... ale mimo wszystko... - Pete sięgnął do szuflady. - Masz ochotę na drinka?

- Nie, dziękuję. Mam do wykonania sporo telefonów po południu i muszę trzeźwo myśleć.

- Posłuchaj, z naszej strony możesz liczyć na pomoc we wszystkich czynnościach. Daj mi tylko znać, co mogę dla ciebie zrobić. To znaczy, gdybyś chciał zastanowić się nad kredytem. Na pewno uda mi się załatwić korzystne oprocentowanie.

- Chyba już wyczerpaliśmy wszystkie możliwości.

- To wielka szkoda, kiedy pomyśli się o tych pieniądzach...

Hal zmarszczył brwi.

Na chwilę zapanowała cisza.

- No cóż, ty najlepiej znasz sytuację. - Pete wstał i wyszedł z biurka. - Ale posłuchaj, Hal, nie podejmuj dziś żadnych decyzji. Zwłaszcza jeśli nie rozmawiałeś jeszcze z księgowym. Zastanów się dobrze i przyjdź do mnie jutro, dobrze? Nigdy nie wiadomo...

- Nic się nie zmieni przez noc, Pete.

- Ale się zastanów. Camille w porządku? To świetnie... A mała Katie? To jest najważniejsze, prawda? - Pete położył rękę na ramieniu Hala, a potem odwrócił się w stronę biurka. - Och, byłbym zapomniiał. Wiem, że pora jest nie najlepsza, ale czy mógłbyś to dać swojej żonie? Już tyle czasu leży u mnie w szufladzie... ciągle zapominam zabrać na naszą partyjkę squasha. Wiem, że to niezupełnie zgodne z przepisami, ale przecież chodzi o ciebie...

Hal wziął do ręki sztywną kopertę.

- Co to jest?

- Szablon brajlowski do nowej książeczki czekowej Camille.

- Ona już taki ma.
- Ale nie do nowego konta.
- Jakiego konta?

Pete spojrzał na niego.

- Tego z... Przypuszczałem, że to jakaś polisa ubezpieczeniowa, którą spieniężyliście. Dlatego byłem trochę zdziwiony, kiedy powiedziałeś mi o firmie...

Hal stał na środku pokoju, kręcąc głową.

- Ona ma pieniądze?
- Myślałem, że wiesz.

Hal poczuł, że nagle zaschło mu w ustach, a w głowie usłyszał brzęczyk alarmowy, będący echem wydarzeń sprzed roku.

- Ile?

Pete się zaniepokoił.

- Posłuchaj, Hal, już i tak powiedziałem za dużo. Uważałem, że w sytuacji Camille... głównie ty zajmujesz się jej finansami.

Hal patrzył na kopertę. Czuł się tak, jakby ktoś nagle wypuścił mu powietrze z płuc.

- Osobne konto? Ile?
- Nie mogę ci powiedzieć.
- To przecież ja.

- A to moja praca. Wróć do domu i porozmawiaj z żoną. Na pewno istnieje jakieś rozsądne wytłumaczenie. - Zaczął lekko popychać Hala w stronę drzwi.

- Pete?

Pete wyjrzał przez drzwi do głównej sali, a potem spojrzał na przyjaciela. Wyjął kartkę papieru, napisał na niej jakąś liczbę i pokazał ją Halowi.

- Niewiele mniej, rozumiesz? Teraz wracaj do domu. Nie mogę ci nic więcej powiedzieć.

Rozdział szesnasty

Nietrudno było się domyślić, skąd pochodziły pieniądze - wszyscy się przecież zastanawiali, co Lottie zrobi z sumą, którą dostała za Arcadię. Jednak myśl, że Camille zatrzymała to w tajemnicy, widząc, że jego warsztat upada, przyprawiła Hala o skurcz żołądka i pozbawiała jedzenie smaku. Pocieszała go nawet, podczas gdy miała do dyspozycji środki, które mogły poprawić kondycję firmy. Oboje wiedzieli przecież doskonale, że tylko to potrafi robić. Gdyby miał trochę więcej czasu. I szczęścia. Zrobiło mu się niedobrze na myśl, że znowu go okłamała. Było to gorsze niż tamta niewierność - teraz kiedy postanowił znów jej zaufać. Zmusił się, by pokonać strach, i cały złożył się w ręce Camille. Tym razem nie można tego przypisać jej poczuciu odrzucenia i niepewności. Teraz chodziło o to, co ona o nim myśli.

Gdyby chciała, żeby się o tym dowiedział, na pewno sama by mu powiedziała. Był to niezaprzeczalny fakt, do którego Hal stale powracał, godzina po godzinie. To on powstrzymywał go przed konfrontacją i domaganiem się wyjaśnień. Gdyby chciała, żeby wiedział, wspomniaby o tym choć słowem. Boże, jakim był głupcem.

W ciągu paru ostatnich dni odnosiła się do niego z rezerwą, a na jej twarzy malowała się nieufność. Nie mogąc oglą-

dać twarzy innych ludzi, nigdy nie nauczyła się ukrywać wyrazu swojej. Obserwował ją, z trudem panując nad frustracją i złością.

- Wszystko w porządku? - pytała. Czyżby chodziło o to, czy dobrze sobie radzi ze zwijaniem interesu? Czy potrzebuje uścisku? Pocałunku? Dowodów, które miały potwierdzić, że wszystko jest w porządku. Patrzył na niepewny wyraz jej twarzy, na cień winy, który skrywał, i zastanawiał się, jak ona w ogóle może z nim rozmawiać.

- Tak - odpowiadał, a ona odwracała się i wyprowadzała Katie z kuchni lub zabierała się do przygotowywania kolacji.

Najgorsze było jednak uświadomienie sobie, co to wszystko oznaczało. Bo pieniądze i jej decyzja, by ukryć przed nim fakt ich posiadania, mogły oznaczać tylko jedno. Wiedział, że nie mają za sobą najłatwiejszego roku, że nadal zachowują się nieco sztucznie. Wiedział, że odtrącał ją w chwilach, kiedy nie powinien tego robić, że jakaś drobna, okrutna jego cząstka nadal pragnęła ją ukarać. Ale pomyślał, że mogła go przynajmniej delikatnie ostrzec, że dojdzie aż do tego...

Ale szczerze mówiąc, jakiej wskazówki się spodziewał? Ta kobieta zdradziła go, gdy znalazł się na kolanach, gdy jego firma padała, kiedy on sam też powoli zaczynał się rozsypanywać. Wyznanie Camille tamtego ranka było tak nieoczekiwane. Słyszając jej słowa, poczuł okropny ból w piersi i myślał, że umiera. Wtedy też go nie ostrzegła.

A jednak nadal ją kochał. W ciągu ostatnich kilku tygodni czuł się coraz pewniej, miał świadomość, że odzyskali coś bardzo cennego. Nawet jeśli jej nie wybaczył bez reszty, to zaczął widzieć przed sobą taką możliwość. Stosując wyświechtane frazesy psychologów, można było stwierdzić, że ich małżeństwo stało się jeszcze silniejsze.

Oczywiście pod warunkiem że będą uczciwi i szczerzy.

Słyszając te słowa podczas ich ostatniej sesji w poradni, skinęła głową. Ujęła jego dłoń i mocno ją ścisnęła.

Hal przesunął się na brzeg łóżka, przypominając sobie ukryty w kieszeni marynarki szablon brajlowski. Budzący

się dzień powoli zalewał pokój światłem, zapowiadając koniec następnej bezsennej nocy i początek kolejnego dnia pełnego najgorszych przeżyć i trudnych do podjęcia decyzji.

Ręka śpiącej Camille zsunęła się z jego boku i opadła na pościel.

Rozlegający się w głośnikach głos oznajmił, że pociąg zatrzyma się już tylko przy Liverpool Street i dla pewności powtórzył to kilka razy. Daisy spojrzała w okno, za którym przesuwały się płaskie mokradła doliny Lee, przechodząc powoli w ponure przedmieścia wschodniego Londynu. Po dwóch miesiącach spędzonych w małym świątku Arcadii i Merham poczuła, że stała się dziwnie prowincjonalna, i obawiała się powrotu. Dla niej Londyn nierozzerwalnie łączył się z Danielem. A więc także i z bólem. W Merham była bezpieczna, wolna od przeszłości i jakichkolwiek z nią związków. Dopiero kiedy pociąg zbliżał się do miasta, uświadomiła sobie, że ten dom zapewnił jej większy spokój ducha, niż myślała.

Lottie powiedziałyby, że jest głupia.

- Spędzisz tam uroczy dzień - zapewniła, wsuwając łyżkę słodzonej owsianki do buzi Ellie. - Dobrze ci zrobi, jeśli się stąd na trochę wyrwiesz. Może nawet znajdziesz wolną chwilę, żeby spotkać się z przyjaciółkami.

Daisy pomyślała, że nie ma prawie żadnych przyjaciółek. Zawsze lepiej czuła się w towarzystwie mężczyzn i wiedziała, że kobiety traktują ją nieufnie, jak zresztą wszystkie dziewczęta, które podobają się ich partnerom. Może powinna bardziej się starać; miała tylko siostrę („Dzwoniłaś już do tej agencji?”), Camille („Nie wyczuwam żadnych rozstępów. Twoja skóra jest w idealnym stanie”) i teraz Lottie, która od chwili, gdy opowiedziała o swojej przeszłości, czuła się w jej towarzystwie o wiele swobodniej, a zgryźliwe komentarze często przyprawiała humorem.

- Mam nadzieję, że włożysz coś eleganckiego - powiedziała, gdy Daisy szła na górę, by się przebrać. - Nie chcesz

chyba wyglądać jak jakaś łajza. Może zabierze cię do eleganckiej restauracji.

- To nie jest randka - odparła Daisy.

- Ale na nic lepszego na razie nie możesz liczyć - odpaliła Lottie. - Na twoim miejscu wykorzystałabym nadarżającą się okazję. Poza tym, co z nim nie tak? Nie jest żonaty, nie wygląda najgorzej. I najwyraźniej ma sporo pieniędzy. No, włóż tę prześwitującą bluzkę.

- Dopiero co zerwałam bardzo ważny związek. I nie potrzebuję kolejnego mężczyzny. - Zatrzymała się na schodach, próbując ukryć rumieniec.

- Dlaczego?

- Wszyscy wiedzą dlaczego. Nie powinno się przeskakiwać z jednego kwiatka na drugi.

- Czemu nie?

- Bo... no wiesz... może nie jestem jeszcze gotowa.

- A jak się dowiesz, że jesteś?

- Nie wiem... W każdym razie trzeba trochę odczekać. Rok albo dłużej. Po pewnym czasie bagaż emocjonalny staje się lżejszy.

- Bagaż emocjonalny?

- Trzeba po prostu być w odpowiednim stanie ducha, by poznać kogoś innego. Kiedy zamkniesz ostatni związek na dobre.

- Zamkniesz? Kto tak twierdzi?

- Nie wiem. Wszyscy. Magazyny. Telewizja. Psychologowie.

- Chyba nie chcesz ich słuchać. Nie umiesz sama myśleć?

- Umiem, ale doszłam do wniosku, że lepiej będzie trochę poczekać. Nie jestem jeszcze gotowa na to, by w moim życiu pojawił się ktoś nowy.

Lottie wzniosła ręce do nieba.

- Wy, młode dziewczęta, jesteście takie wybredne. Pora musi być odpowiednia. Musi być to, musi być tamto. Nic dziwnego, że tyle z was wiedzie samotne życie.

- Ale mnie to nie dotyczy.

- Nie?

Daisy spojrzała Lottie prosto w oczy.

- Z powodu Ellie. I Daniela... ze względu na nią muszę mu dać trochę czasu. Żeby ona miała szansę dorastać w pełnej rodzinie, z ojcem.

- Tak? A ile czasu zamierzasz mu dać?

Daisy wzruszyła ramionami.

- I ilu porządnych facetów zamierzasz odrzucić w tym czasie?

- Och, dobrze, dobrze, pani Ber... Lottie. Minęło dopiero kilka miesięcy. A oni też nie stoją w kolejce przed moimi drzwiami.

- Musisz zacząć nowe życie - stwierdziła stanowczo Lottie. - Nie ma sensu oglądać się za siebie, z dzieckiem czy bez. Musisz pomyśleć o sobie.

- On jest ojcem Ellie.

- Ale go tu nie ma - prychnęła Lottie. - A skoro go tu nie ma, rezygnuje z prawa do czegokolwiek.

Daisy uświadomiła sobie, że Lottie nie powiedziała jej, kim był ojciec Camille.

- Jesteś o wiele twardsza, niż myślałam.

- Nie jestem twarda - odparła Lottie, zwracając się w stronę kuchni. - Jestem tylko realistką.

Daisy odwróciła się od okna, pochyliła i potarła stopą w sandału o łydkę drugiej nogi. Nie chciała innego mężczyzny. Nadal czuła się zraniona, a myśl o tym, że ktoś mógłby zobaczyć ją nagą po urodzeniu dziecka, napełniała przerażeniem. Perspektywa ponownego porzucenia była zbyt straszna, by w ogóle coś takiego brać pod uwagę. No i jeszcze Daniel. Dla dobra Ellie musiała zostawić dla niego uchylone drzwi.

Jeśli kiedykolwiek zdecyduje się je otworzyć.

- Camille?

- O, cześć, mamo.

- Wybieram się w południe do supermarketu. Jestem z małą Ellie. Potrzebujesz czegoś?

- Nie. Wszystko mamy... Czy Hal jest tutaj?

- Tak, przed domem. Pije herbatę. Mam go zawołać?
 - Nie, nie. Mamo, jak ci się wydaje, czy wszystko z nim jest w porządku?
 - W porządku? Dlaczego pytasz? Co się dzieje?
 - Nic. Chyba nic. Ale... ostatnio zachowuje się trochę dziwnie.
 - Co masz na myśli, mówiąc „dziwnie“?
- Camille milczała.
- Jest taki daleki - powiedziała po chwili. - Zupełnie... zamknął się w sobie. Nie chce ze mną rozmawiać.
 - Dopiero co zamknął firmę. Na pewno jest mu przykro.
 - Wiem... Wiem... Tylko...
 - Co?
 - Wiedzieliśmy, że nie idzie mu najlepiej, że będzie musiał ją zamknąć. Ale wszystko układało się między nami dobrze. Już dawno tak dobrze nie było.
- Matka na chwilę zamilkła.
- Ja nic nie zauważyłam... Nie chodzi chyba... Nie chcesz mi nic powiedzieć, prawda?
 - Co masz na myśli?
 - To, co kiedyś się wydarzyło. Między wami. Nie było... powtórek.
 - Ależ skąd, mamo. Nie zrobiłabym nic... To już przeszłość. Martwiłam się, bo Hal... nie jest sobą. Ale nieważne. Zapomnij, że o tym wspominałam.
 - Nie rozmawiałaś z nim na ten temat?
 - Zapomnij, mamo. Masz rację, pewnie mu przykro z powodu firmy. Dam mu trochę czasu. No, muszę już lecieć. Muszę zmyć Lyndzie Potter okład z alg.
- Lottie spojrzała na swoją torebkę i utwierdziła się w przekonaniu, że postąpiła właściwie. Nie powie Camille o pieniądzach, jeszcze nie. Poczekaj, aż będzie ich naprawdę potrzebowała i zwierzy się jej jeszcze raz. Prawdopodobnie dojdzie do tego szybciej, niż się spodziewała.
- Wiesz, czego on potrzebuje?
 - Czego?

- Musi to definitywnie zamknąć. Wtedy na pewno poczuje się lepiej.

Na podłodze samochodu Jonesa leżało osiemnaście opakowań po miętówkach. Nie było łatwo je policzyć, gdyż część z nich zasłaniały przedmioty, jakie zazwyczaj znajdowały się w samochodzie: mapy, kartki z napisanymi naprędce wskazówkami i stare paragony za benzynę. Daisy miała jednak mnóstwo czasu, by zlokalizować każde z nich, gdyż przez pierwsze siedemnaście minut ich wspólnej podróży przez zatłoczone niemiłosiernie ulice Jones krzyczał wściekle do swojej komórki.

- Powiedz mu, że może przysłać, kogo tylko dusza zapagnie! Gówno mnie to obchodzi! Cały personel kuchni został specjalnie przeszkolony. Mamy wykazy temperatur dostaw, przechowywania, jakości produktów, wszystko, co jest związane z tym cholernym przyjęciem. Jeśli chce nam przysłać jakąś cholerną inspekcję sanitarną, to powiedz mu, że mamy w zamrażarkach kontrolne porcje z każdego dania, które podaliśmy. Możemy przesłać do analizy... - Gestem wskazała Daisy, by otworzyła schowek. - Tak, mamy. W podręczniku szkolenia z zakresu higieny nie ma paragrafu, którego mój personel nie znałby na pamięć. Posłuchaj, on mówi, że jadł kaczkę. Kaczkę, zgadza się?

Kiedy otworzyła schowek, wypadło kilka taśm, portfel, paczka miętówek i kilka niezidentyfikowanych kabli elektrycznych. Daisy wsunęła rękę do środka i zaczęła wyjmować po kolei pozostałe przedmioty i pokazywać je Jonesowi.

- Nie. Nieprawda. Dwóch członków personelu potwierdza, że jadł ostrygi. Chwileczkę. - Urwał i machnął w stronę schowka. - Proszki od bólu głowy - szepnął. - Jesteś tam? Tak. Nie słuchasz mnie. Słuchaj uważnie. Jadł ostrygi, a jeśli spojrzysz na rachunek z baru, zobaczysz, że wypił trzy różne gatunki alkoholu. Tak. Zgadza się. Mam wydruki z kasy. - Wyrwał Daisy z ręki opakowanie, wydusił z folii dwie

pigułki i wsunął do ust. - Zatrucie, ani chybi. Nie przyszło mu do głowy, żeby nie mieszać alkoholu z ostrygami. Cholerny dureń.

Daisy patrzyła przez okno na wzmagający się ruch, próbując walczyć z irytacją, którą wzbudziło w niej obojętne powitanie Jonesa. Pogłębiała się z każdą minutą trzech rozmów telefonicznych, które prowadził od chwili, gdy wsiadła do samochodu.

- Przepraszam. Zaraz się tobą zajmę - powiedział na początku, ale nie dotrzymał słowa.

- Mam to w dupie! - wrzasnął, a Daisy zamknęła oczy. Jones był potężnym mężczyzną, a kiedy zaczynał wykrzykiwać przekleństwa w ograniczonej przestrzeni samochodu, stawał się jeszcze bardziej groźny. - Powiedz mu, żeby przysłał swoich pieprzonych... - Odwrócił się i dostrzegł zbolowały wyraz twarzy Daisy. - Powiedz mu, żeby przysłał swoich prawników, inspekcję sanitarną i kogo tam jeszcze chce. Pozwę go zaraz do sądu za narażanie na szwank reputacji mojego baru. Tak. Zgadza się. Jeśli będą chcieli obejrzyć dokumenty, wiedzą, gdzie mnie szukać. - Przycisnął guzik na tablicy rozdzielczej i zerwał z twarzy zestaw słuchawkowy.

- Pieprzony dupek. Jakiś cholerny przedstawiciel handlowy chce od nas wyciągnąć odszkodowanie. Nażarł się ostryg, popił je alkoholem, a potem dziwi się, że następnego dnia rozbolał go brzuch. To na pewno moja wina. Przyśle inspekcję sanitarną, która zamknie klub, dopóki wszystkiego nie zbada. Nie wiadomo, jak długo to potrwa. Boże, naprawdę rzucili mi się do gardła.

- Na to wygląda - odparła Daisy.

W ogóle jej nie zauważał. Był, co prawda, bardziej ożywiony niż podczas ich wcześniejszych spotkań, ale to nie ona stała się obiektem jego zainteresowania. Jeszcze nigdy od czasu urodzenia Ellie nie prezentowała się tak dobrze, włożyła nową bluzkę i spódnicę, jej twarz promieniała po zabiegach Camille, a nogi miała gładziutkie po bolesnej depilacji woskiem. Nie wyglądała może jak dawna Daisy, ale z pew-

nością jak Daisy odnowiona. A co on zauważył, kiedy patrzył na jej długie, opalone nogi? Że trzyma je na kartce ze wskazówkami, jak dojechać do składu!

- To wszystko sprawka jego dziewczyny - powiedział Jones, włączając prawy kierunkowskaz i pochylając się nad kierownicą. - To ona go do tego namówiła. Już wcześniej próbowała. Ostatnio twierdziła, że skręciła sobie nogę w toalecie. Oczywiście nie miała żadnych badań. Gdyby należała do klubu, zablokowałbym jej kartę. Ale nawet nie było mnie na miejscu tamtego wieczoru.

- Och.

- To wszystko wina Amerykanów. Co za paskudna kultura. Nic tylko roszczenia i roszczenia. Każdy chce uzyskać coś za nic. Winę za każdy wypadek ponoszą inni. Boże! - Walnął pięścią w kierownicę tak mocno, że Daisy aż podskoczyła. - Jeśli odwiedzi nas jeszcze raz, postaram się, żeby porządnie się zatruł. Która godzina?

- Słucham?

- Eldridge Street, Minerva Street... to musi być gdzieś tutaj. Która godzina?

Daisy spojrzała na zegarek.

- Dwadzieścia pięć po jedenastej.

- O, tutaj. Cholernie mało miejsca... No i gdzie mam zaparkować?

Dobry nastrój Daisy sprzed godziny rozpląnął się szybciej niż proszki Jonesa. Wreszcie straciła cierpliwość i wysiadła z saaba. Weszła na teren składu. W części przykrytej dachem pracowała klimatyzacja, ale nie dawała sobie rady z panującym w mieście upałem.

Daisy nie była przyzwyczajona, by ją ignorowano. Daniel zawsze mówił jej, że pięknie wygląda, sugerował, co powinna włożyć, dotykał włosów, trzymał za rękę. Kiedy wychodzili, zawsze o nią dbał, pytając, czy jest jej ciepło, czy nie jest głodna lub spragniona i czy jest zadowolona. Ale teraz nie była przecież na randce. A Daniela nie było przy niej, kiedy najbardziej tego potrzebowała.

Mężczyźni. Daisy zakłęta pod nosem, niemal dorównując w tej materii Jonesowi, a potem skarciła się w duchu za to, że zachowuje się jak zgorzkniała baba nienawidząca facetów. A zawsze pogardzała takimi kobietami.

Skład był ogromny. Na olbrzymich półkach piętrzyły się deski, ogromne kamienie poukładano w wielkie stopy, rzeźby i pomniki z cmentarzy patrzyły na nią niewidzącymi oczami. Za żelazną bramą wejściową szumiał londyński ruch uliczny, wypełniając powietrze spalinami i wściekłym wyciem klaksonów. W normalnych okolicznościach, na myśl o buszowaniu w nowo otwartym składzie budowlanym, czułaby radosne drżenie niczym początkująca gwiazdka filmowa mająca po raz pierwszy w życiu przejść po czerwonym dywanie. Lecz dziś jej radość zmaćił fatalny humor Jonesa. Nigdy nie potrafiła przejść nad tym do porządku dziennego. Kiedy jeszcze była z Danielem, zawsze próbowała go rozbawić, a gdy jej się nie udawało, nienawidziła siebie za tę porażkę i wpadała w równie paskudny nastrój. On, o dziwo, nigdy tego nie robił.

- Nie mogłem znaleźć cholernego licznika parkingowego. Stoi przy podwójnej linii.

Jones przeszedł przez bramę, poklepując się po kieszeniach. Widać było wyraźnie, że nadal jest w nie najlepszym humorze. Nie będę z nim rozmawiać, pomyślała Daisy, dopóki nie zacznie mnie traktować jak należy. Odwróciła się na pięcie i ze spuszczoną głową ruszyła w stronę działu z oknami i lustrami. Po przejściu kilku metrów usłyszała dzwonek jego komórki, a po nim kolejny stek przekleństw. Jedyne oprócz nich klient, starszy mężczyzna w okularach i tweedowej marynarce, odwrócił się, by zlokalizować źródło hałasu, a ona rzuciła mu gniewne spojrzenie, jakby nie miała z tym nic wspólnego.

Szła prosto przed siebie, aż dotarła do części przykrytej dachem. Starła się odejść jak najdalej, by nie słyszeć kipiącego ze złości Jonesa. Po drodze niemal nie dostrzegła wyposażenia łazienek z epoki wiktoriańskiej, luster w rzeźbionych ramach, wściekła, że pozwala, by zachowanie Jonesa miało na nią aż tak wielki wpływ. Poczuła, że z typową dla jej siostry

wyższością, zaczyna go powoli skreślać jako niewychowanego ignoranta. Dla Julii fortuna nie miała żadnego znaczenia, jeśli ktoś nie potrafił zachowywać się odpowiednio w towarzystwie. „Spójrz tylko na Arystotelesa Onassisa - mawiała. - Czy nie bekał i nie prukał jak marynarz?”. Może wszyscy bogaci mężczyźni są niewychowani, pomyślała Daisy, nieprzyzwyczajona, by dostosowywać swoje zachowanie do innych. Nie potrafiła jednak stwierdzić tego z absolutną pewnością: Jones był jedyną naprawdę bogatą osobą, jaką знаła.

Zatrzymała się przed małym oknem z witrażem przedstawiającym uśmiechniętego aniołka. Uwielbiała witraże: rzadko spotykane, zawsze dodawały pomieszczeniu smaku. Na chwilę zapomniała o złym nastroju i zastanawiała się, gdzie mogłaby je umieścić, przebiegając w myślach pomieszczenia, do których by pasowało. Dopiero po kilku minutach uświadomiła sobie, że nie chce go do Arcadii, lecz dla siebie. Od miesiący, poza artykułami toaletowymi i jedzeniem, nic sobie nie kupiła. A przecież tak niedawno zakupy były jej potrzebne do życia jak powietrze.

Wyciągnęła rękę i dotknęła okna, przyglądając mu się uważnie w przyćmionym świetle. Żaden element nie był pęknięty, nie brakowało ani kawałka ołowiu, co było niezwykle w tak dużym witrażu. Uklękła, by sprawdzić cenę. Kiedy ją znalazła, wstała i oparła okno o podtrzymującą je ramę.

- Przepraszam - usłyszała za sobą głos.

Odwróciła się. Jones stał w wejściu, wciąż trzymając w ręce telefon.

- Mam paskudny ranek.

- Widzę - odparła.

- Co to jest?

- Co?

- To, co oglądasz.

- Och, to tylko witraż. Nie bardzo pasuje do Arcadii.

Obejrzał okno z zainteresowaniem.

- Która godzina? - spytał w końcu.

Daisy westchnęła i spojrzała na zegarek.

- Pięć po dwunastej. Dlaczego pytasz?
- Nic takiego. Nie chcę się spóźnić na lunch. Zarezerwo*
wałem stolik. i
- Ale to przecież twój klub.
- Tak... - Przez kilka chwil wpatrywał się w podłogę,
a potem rozejrzał się dookoła. - Przepraszam. Za tę jazdę tu-
taj. I wszystko. Nie powinnaś była tego wysłuchiwać.
- Nie - zgodziła się. Ruszyła do wyjścia.
- Po chwili Jones uświadomił sobie, że nie zamierza na nie-
go czekać.
- Jesteś zła? - Dogonił ją i chwycił za łokieć.
- Daisy się zatrzymała.
- Nie. Dlaczego miałabym być zła?
- Och, daj spokój. Przestań się zachowywać jak typowa
kobieta. Nie mam czasu, żeby grać w dwadzieścia pytań,
próbując się domyślić, o co ci chodzi.
- Daisy poczuła, że rumieni się ze złości. Co gorsza, zaczę-
ła podejrzewać, że jej odczucia mogą wydać się śmieszne.
- Zapomnij o tym. - Ruszyła przed siebie, czując ucisk
w gardle.
- O czym?
- Uświadomiła sobie, że sama nie bardzo wie.
- Daisy, daj spokój...
- Odwrociła się do niego wściekła jak furia.
- Posłuchaj, Jones, wcale nie musiałam tu dziś przyjeź-
dzać, prawda? Mogłam zostać w domu i spokojnie popraco-
wać, a potem pobawić się na słońcu z córeczką. Przecież to
ty stale powtarzasz, że gonia nas terminy. Myślałam jednak,
że uda nam się zrobić zakupy i zjeść spokojnie lunch. Sądzi-
łam, że okaże się to... korzystne dla nas obojga. Nie przyszło
mi jednak do głowy, że spędzę cały dzień w dusznym skła-
dzie, słuchając przekleństw wykrzykiwanych przez ograni-
czonego dupka, cierpiącego na zespół Tourette'a*.

* Choroba tików. Objawia się mimowolnymi skurczami mięśni i (lub) niekontrolowanym wydawaniem dźwięków.

Trzeba uczciwie przyznać, że nie chciała, by zabrzmiało to aż tak ostro.

Zapadła cisza.

Daisy przebiegła przez głowę myśl, że on mimo wszystko jest jej szefem.

- Rozumiem. Daisy... - Stał przed nią nieruchomo. - Nadal próbujesz oszczędzać moje uczucia, co?

Spojrzała na niego.

- Rozejm? Jeśli wyłączę komórkę?

Nie należała do osób, które chowają urazę. A przynajmniej zdarzało jej się to bardzo rzadko.

- Nie schowałeś drugiej w kieszeni marynarki?

- Za kogo ty mnie uważasz? - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął drugą komórkę, którą zaraz wyłączył.

- Cholerny Walijczyk - stwierdziła, patrząc mu prosto w oczy.

- Cholerne kobiety - powiedział i podał jej ramię.

Po tej ostrej wymianie słów nastrój Jonesa poprawił się nieco, a wraz z nim rozchmurzyła się także Daisy. Wyraźnie odprężony, słuchał uważnie wszystkich jej sugestii, nie sprzeciwiając się nawet najśmielszym decyzjom, i bez zmruczenia oka podawał sprzedawcy kartę kredytową.

- Na pewno nie masz nic przeciwko tym wydatkom? - spytała, gdy zgodził się kupić o wiele za drogą szafkę do jednej z łazienek. - To nie jest najtańszy skład.

- Powiedzmy, że bawię się dzisiaj lepiej, niż oczekiwałem - odparł. Nie pytał już więcej o godzinę.

Tuż przed wyjściem, być może pod wpływem rozrzutności Jonesa, Daisy podjęła decyzję w sprawie okna z witrażem. Było za drogie. Nie miała nawet domu, w którym mogłaby je zainstalować. Ale bardzo chciała je mieć. Wiedziała, że jeśli go nie kupi, nie da jej to spokoju przez całe miesiące. Gdy jej przyjaciółki wspominały utraconych chłopaków, ona wracała myślami do weneckiego kandelabru, który przegrała na licytacji.

Podeszła do Jonesa, który dokonywał ostatnich płatności w kasie i organizował transport.

- Zajmie mi to tylko pięć minut - powiedziała, wskazując gestem zadaszoną część składu. - Chcę kupić coś dla siebie.

Omali nie wybuchnęła płaczem, gdy okazało się, że okno zostało sprzedane. Wiedziała, że powinna je była kupić od razu. Każdą dobrą okazję należy wykorzystywać natychmiast. Jeśli nie masz na tyle bystrego oka, by dostrzec wartość przedmiotu i momentalnie podjąć decyzję, to na niego nie zasługujesz. Wpatrywała się w aniołka, pragnąc go jeszcze bardziej teraz, gdy wiedziała, że nie może do niej należeć.

Pewnego razu zdobyła w ten sposób sofę. Udało się namierzyć handlarza, który sprzątnął jej mebel sprzed nosa, kiedy buszowała po sklepie. Zaproponowała, że ją od niego odkupi. Zażądał niemal dwukrotnie więcej i choć bardzo chciała ją mieć, po upływie kilku miesięcy przekonała się, że wygórowana cena wszystko zniszczyła. Kiedy patrzyła na wymarzoną sofę, nie widziała już zdobytego tak wielkim nakładem sił antyku, lecz tylko cenę, którą była zmuszona za nią zapłacić.

- Wszystko w porządku? - spytał Jones, stając obok niej. - Masz, co chciałaś?

- Nie - odparła Daisy, opierając się lekko o stojące obok oszklone drzwi. Postanowiła, że nie będzie jęczeć. Teraz potrafiła patrzeć na wszystko z odpowiedniej perspektywy. - Nie zdążyłam - wyjaśniła, po czym krzyknęła i upadła, gdy szklana tafla, o którą się opierała, rozpadła się na tysiące kawałeczków.

Dwie godziny i czterdzieści minut spędzili w ambulatorium, gdzie założono jej dwanaście szwów i temblak z gazy i gdzie wypijała kilka kubków paskudnie słodkiej herbaty z automatu.

- Chyba nie zdążymy już na lunch - powiedział Jones, pomagając Daisy wsiąść do samochodu. - Ale coś mocniejszego z pewnością dobrze nam zrobi. - Wsunął jej do zdro-

wej ręki pakiecik ze środkami przeciwbólowymi. - Można je popijać alkoholem. Sprawdziłem.

Daisy siedziała w milczeniu na fotelu dla pasażera, w nowym stroju poplamionym krwią. Była przestraszona i wstrząśnięta, choć nie chciała się do tego przyznać nawet przed samą sobą. Jones zachował się zdumiewająco przyzwyczajenie: siedział z nią cierpliwie w kilku poczekalniach, kiedy najpierw pielęgniarki, a potem lekarze zajmowali się jej ręką, która po ich zabiegach wyglądała, jakby należała do lalki z gałganków. Wyszedł tylko dwa razy, żeby zadzwonić. Już w samochodzie powiedział, że dzwonił między innymi do Lottie, by ją uprzedzić, że Daisy wróci do domu później, niż zapowiadała.

- Jest na mnie zła? - spytała Daisy, spoglądając z przerażeniem na plamy krwi zasychające na siedzeniu z jasnej skóry.

- Ależ skąd. Malutka miewa się świetnie. Lottie powiedziała, że zabierze ją do siebie, bo obiecała mężowi, że zje z nim dziś kolację.

- Pan Bernard będzie zachwycony.

- Posłuchaj, to był wypadek. A wypadki zdarzają się ludziom. Nie przejmuj się.

Zachowywał się tak przez całe popołudnie: był miły, stale ją uspokajał, jakby sam nie miał żadnych problemów i mógł jej poświęcić mnóstwo czasu. Cała sytuacja wydawała się dziwnie intymna, kiedy jeszcze w składzie musiała się o niego oprzeć, patrzyła, jak owija jej rękę, a potem siedzi obok na plastikowym krześle w poczekalni szpitala. Kiedy do niej mówił, zniżał głos, jakby była nie tylko ranna, ale i chora. Od czasu do czasu zastanawiała się, czy jest tą samą osobą, która dziś rano odebrała ją z dworca Liverpool.

- Popsułam ci cały dzień, prawda?

Roześmiał się, nie spuszczając wzroku z drogi, i pokręcił głową.

Daisy, próbując nie zwracać uwagi na bolesne pulsowanie w ręce, zamilkła.

Kiedy dotarli do Red Rooms, Jonesowi popsuł się nastrój, głównie dlatego, że kiedy weszli do środka, w recepcji nie było nikogo.

- To niewybaczalne - wyjaśnił jej, kiedy spytała, dlaczego to aż tak ważne. - Każdy, kto wchodzi do środka, powinien zostać przywitany jak stary przyjaciel. Płacę im za to, żeby znali twarze i nazwiska naszych gości, a nie za to, żeby jedli późny lunch.

Kiedy szli na górę po drewnianych schodach, trzymał ją pod rękę. Mijali po drodze bary z szumiącymi pod sufitem wiatrakami. Na wysokich stołkach siedzieli ludzie, którzy wyciągali szyje, by sprawdzić, czy nowo przybyli nie są przypadkiem ważniejsi od nich. Machali do Jonesa lub wykrzykiwali pod jego adresem przesadnie serdeczne słowa pozdrowienia. Kiedyś uznałaby to nawet za zabawne. Ale gdy powiedział, że kazał przygotować stół na tarasie przy swoim gabinecie, poczuła ulgę. Bała się, że jej poplamione krwią ubranie i temblak zostaną poddane surowej ocenie stałych bywalców.

Bo raptownie poczuła, że boi się powrotu. Szum ruchu ulicznego w Soho ogłuszał ją, krzyki ludzi przerażały. Czowała się przytłoczona wysokością budynków, zapomniała, jak chodzi się wśród tłumu, i stale na kogoś wpadała. Nagle straszliwie zatęskniła za córeczką. Poczuła niemal fizyczny ból na myśl, że dzieli je aż taka odległość. Co gorsza, stale dostrzegała mężczyzn bardzo podobnych do Daniela, na których widok w żołądku pojawiał się bolesny ucisk.

Jones poprosił, by dała mu pięć minut, gdyż musi się „zająć interesami”. Dziewczyna, która przyniosła drinka, piękność z Amazonki z długimi włosami splecionymi w miasterny węzeł, przyjrzała się jej badawczo.

- Zderzyłam się z drzwiami - wyjaśniła Daisy, zmuszając się do uśmiechu.

- Och - rzuciła bez większego zainteresowania dziewczyna i odeszła. Daisy zrobiło się głupio i doszła do wniosku, że niepotrzebnie się odzywała.

- Jones, jest mi naprawdę przykro, ale chyba powinnam wrócić do domu - powiedziała, kiedy wreszcie pojawił się na tarasie. - Możesz mnie podrzucić na Liverpool Street?

Zmarszczył brwi i usiadł naprzeciwko niej.

- Źle się czujesz?

- Trochę kręci mi się w głowie. Chyba poczuję się lepiej w... - Urwała, kiedy uświadomiła sobie, jak chciała określić hotel.

- Najpierw musisz coś zjeść. Nie jadłaś przecież nic przez cały dzień. Pewnie dlatego jest ci słabo - zabrzmiało to jak polecenie.

Uśmiechnęła się, osłaniając dłonią oczy przed blaskiem słońca.

- Cokolwiek.

Zamówiła stek i siedziała zakłopotana, gdy wziął jej talerz i zaczął kroić mięso na kawałki, żeby mogła je zjeść jedną ręką.

- Czuję się jak idiotka - powtarzała od czasu do czasu.

- Zjedz coś - powiedział. - Zaraz zrobi ci się lepiej.

On nic nie jadł. Mruknął coś pod nosem na temat bezskutecznych prób zrzucenia kilku kilogramów.

- Całe życie spędzam na przyjęciach - wyjaśnił, spoglądając na swój brzuch. - A nie spalam już tak szybko jak dawniej.

- To kwestia wieku - dołożyła mu Daisy, wychylając drugiego drinka.

- No, widzę, że czujesz się znacznie lepiej.

Rozmawiali o fresku, o twarzach, którym Hal z tak wielkim trudem przywracał dawny blask. Daisy powiedziała mu, że Lottie nie jest zachwycona pracami. Ale kiedy pogodziła się z faktem, że tym razem nie postawi na swoim, zaczęła niechętnie identyfikować niektóre osoby. Jeden z uwiecznionych na fresku mężczyzn, Stephen Meeker, mieszkał na wybrzeżu kilka kilometrów od Merham (nie przyjaźnili się, powiedziała, ale był dla niej bardzo miły, kiedy urodziła się Camille). Dzień wcześniej pokazała jej Adeline i Daisy przez długą chwilę wpatrywała się w wizerunek kobiety, która wy-

glądała jak lalka. Trudno było uwolnić się od myśli, że skandale tamtych czasów dziś stały się normą. Lottie rozpoznała też Frances. Niestety, twarz była częściowo zdrapana. Daisy zastanawiała się, czy uda im się gdzieś znaleźć jej zdjęcie, może w archiwum jakiegoś artysty, by przywrócić jej miejsce wśród przyjaciół.

- To niesprawiedliwe, że właśnie Frances tu brakuje - powiedziała.

- Może ona chciała być nieobecna - zauważył w odpowiedzi.

Daisy postanowiła nie opowiadać jednak Jonesowi o wydarzeniach minionego wieczoru, kiedy wyjrzała przez okno i dostrzegła pogrążoną w rozmyślaniach Lottie. Nie wspominała też, że w pewnej chwili Lottie wyciągnęła rękę, jakby chciała czegoś dotknąć, a potem odwróciła się i szybko odeszła.

On opowiedział jej za to o swoich planach dotyczących otwarcia hotelu i pokazał kilka teczek ze zdjęciami z poprzednich podobnych imprez (zauważyła, że niemal na wszystkich u jego boku pojawiała się jakaś długonoga piękność).

- Teraz chciałbym zrobić coś innego, coś, co odzwierciedlałoby charakter tego obiektu. Ale nic nie przychodzi mi do głowy - przyznał.

- Czy to będzie impreza dla sław? - spytała Daisy, czując się dziwnie na myśl, że ktoś zakłóci spokój Arcadii.

- Pojawi się kilka znanych twarzy - odparł - ale nie chciałbym, żeby to było coś pospolitego. Cały urok tego hotelu ma polegać na tym, że jest inny od wszystkich. Lepszy - dokończył nieco niepewnie.

- Ciekawe, czy jeszcze żyją - powiedziała Daisy, wpatrując się w folder.

- Kto?

- Ludzie z fresku Frances. Wiemy, że Frances i Adeline już nie. Ale jeśli namalowano go w latach pięćdziesiątych, to jest spora szansa, że część z nich jeszcze chodzi po świecie.

- I co w związku z tym?

- Odnajdziemy ich i zaprosimy na otwarcie hotelu. Nie sądzisz, że to będzie fantastyczna reklama? Jeśli ci ludzie, jak twierdzi Lottie, byli *enfants terribles* swoich czasów, to prasa podejdzie do tego ze zrozumiałym entuzjazmem. Masz tutaj zdjęcie fresku... Sądzę, że to będzie wspaniale.

- Jeśli żyją.

- Jeśli nie, raczej ich nie zaproszę. Może uspokoiłoby to też trochę mieszkańców Merham. To przecież nawiązanie do historii miasta.

- Rzeczywiście, to mogłoby być ciekawe. Powiem Carol. Daisy podniosła wzrok znad drinka.

- Jakiej Carol?

- Planuje dla mnie przyjęcia. Prowadzi agencję public relations i organizuje wszystkie moje imprezy. - Spojrzał na Daisy i zmarszczył brwi. - Jakiś problem?

Daisy wzięła szklankę i wypła spory łyk.

- Chyba... Chyba sama chciałabym się tym zająć.

- Ty?

- Przecież to był mój pomysł. I to ja... my odkryliśmy fresk. Czuję się z nim w jakiś sposób związana.

- Ale jak znajdziesz czas?

- To tylko kwestia kilku telefonów. Posłuchaj, Jones. - Nieświadomie wyciągnęła rękę i położyła ją na stole. - Uwagam, że ten fresk jest naprawdę wyjątkowy. Nie sądzisz, że przynajmniej na razie trzeba zachować całą rzecz w sekrecie? Zrobisz większe wrażenie, jeśli nie będzie żadnych przecieków. A wiesz, jacy są ci ludzie od PR, nie potrafią niczego utrzymać w tajemnicy. Twoja Carol jest na pewno świetna, ale jeśli zatrzymamy informacje o fresku tylko dla siebie, dopóki nie skończą się prace... wrażenie na pewno będzie piorunujące.

Do tej pory myślała, że ma czarne oczy. Teraz zauważyła, że tak naprawdę są ciemnoniebieskie.

- Jeśli nie przysporzy ci to dodatkowej pracy - odparł - to nie ma sprawy. Powiedz im, że wszystko odbędzie się na mój koszt. Opłacę im podróż i tak dalej. Ale nie rób sobie

zbyt wielkich nadziei. Niektórzy z nich mogą być zbyt słabi lub chorzy, by przyjechać. Albo za starzy.

- Są niewiele starsi od Lottie.

- Racja.

Uśmiechnęli się do siebie. Bezpośrednim, ciepłym uśmiechem. Daisy odkryła, że czuje się znacznie lepiej, i wpadła w panikę, bo wydawało jej się, że nie powinna.

Powiedział, że odwiezie ją do Merham.

- Żadnych dyskusji - oświadczył. Zabierze mu to godzinę lub dwie, bo nie ma przecież ruchu. Poza tym chciał obejrzeć fresk.

- Ale będzie już ciemno - zaprotestowała Daisy, która wypijała tyle alkoholu, że ręka przestała ją boleć. - Niewiele zobaczysz.

- Zapalimy światła - odparł, znikając w biurze. - Daj mi dwie minuty.

Daisy siedziała na oświetlonym tarasie, otuliwszy się ciasno swetrem. Nasłuchiwała odgłosów zabawy i szumu ruchu ulicznego. Już nie napawały ją strachem. W towarzystwie Jonesa także czuła się swobodniej, jakby nie musiała mu niczego udowadniać i przekonywać, że jeszcze nie poznał jej z najlepszej strony. Tutaj było zupełnie inaczej. Obserwowała go w jego własnym otoczeniu, jak poruszał się bez trudu w tłumie pełnych szacunku twarzy. To straszne, że władza czyni ludzi bardziej atrakcyjnymi, zauważyła w duchu, walcząc jednocześnie z bardzo przyjemnym drżeniem, które ogarniało ją na myśl, że znów znajdą się sami w Arcadii.

Wyjęła z torebki komórkę, by sprawdzić, jak się miewa Ellie, i zaklęła cicho, gdy zauważyła, że wyładowała się bateria. Bardzo rzadko korzystała z telefonu w Merham. Bateria jest pewnie w takim stanie od tygodni.

- Skończyła pani? - Kelnerka zaczęła zbierać puste szklanki ze stołu.

- Tak, dziękuję. - Może stało się tak za sprawą alkoholu

lub uwagi, którą poświęcał jej Jones, ale przestała się bać tej dziewczyny.

- Jones prosił, żebym pani powiedziała, że wróci za pięć minut. Ktoś go dopadł i rozmawia przez telefon. - Daisy kiwnęła ze zrozumieniem głową, zastanawiając się, czy kiedy skończy, będzie go mogła poprosić o pożyczenie komórki, by zadzwonić do Lottie.

- Smakowało pani?

- Było pyszne, dziękuję. - Daisy pochyliła się i zjadła ostatni kawałek tortu czekoladowego.

- Jones wygląda o wiele lepiej. Boże, ależ był dziś w paskudnym nastroju. - Dziewczyna układała talerze szybkimi, zgrabnymi ruchami osoby, dla której stało się to drugą naturą. Wsunęła brudne serwetki do szklanek i ustawiła je na samej górze. - Dobrze, że znalazł sobie jakieś zajęcie.

- Dlaczego?

- Chodzi o jego żonę. Przepraszam, była żoną. Dziś w południe wyszła za męża. Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić.

Daisy poczuła, że kawałek tortu utknął jej w gardle.

- Och, przepraszam. Pani nie jest jego dziewczyną, prawda?

Daisy przełknęła tort i patrząc na skonsternowaną twarz kelnerki, uśmiechnęła się.

- Ależ skąd. Zajmuję się tylko wystrojem jego nowego hotelu.

- Tego nad morzem? Podobno uroczy. Nie mogę się już doczekać, żeby go zobaczyć. - Dziewczyna pochyliła się i spojrzała ukradkiem w stronę drzwi. - Wszyscy go tutaj uwielbiamy i kochamy nad życie, ale niezły z niego numer. Spał chyba z połową dziewczyn z klubu.

Jones dał sobie spokój z rozmową, kiedy minęli Colchester. Zapytał, czy jest zmęczona, a gdy odpowiedziała twierdząco, powiedział, że może się spokojnie przespać, jeśli tylko ma ochotę. Daisy odwróciła się od niego i patrzyła na migające za szybą sodowe światła, zastanawiając się, jak to

możliwe, że w jej niedużym, zmęczonym i w dodatku pokiereszowanym ciele mieści się aż tyle sprzecznych uczuć.

Podobał jej się. Uświadomiła sobie, że wiedziała o tym od chwili, kiedy odebrał ją z dworca, i dlatego tak strasznie się wściekła, gdy nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Zaczęła to sobie powoli uzmysławiać, kiedy po wypadku z szybą był dla niej niezwykle delikatny i dobry. Zbladł jak ściana na widok aż tak wielkiej ilości krwi, a gwałtowność, z jaką zaczął krzyżeć na personel składu, i szybkość, z jaką wiozł ją do szpitala, sprawiły, że czuła się chroniona w sposób, jakiego nie zaznała od czasu odejścia Daniela (a choć nie przyznawała się do tego nawet sama przed sobą, nadal bardzo tego potrzebowała). Uwaga kelnerki na temat ponownego małżeństwa jego byłej żony uderzyła ją niczym młot pneumatyczny. Bo była zazdrosna. Zazdrosna o byłą żonę, że za niego kiedyś wyszła, zazdrosna o każdą kobietę, która nadal mogła go zdobyć. A potem kelnerka wspomniała o tych dziewczynach.

Daisy usadowiła się wygodniej w fotelu, czując jednocześnie wściekłość i rozpacz. Nie miało sensu zawracanie sobie głowy kimś, kto zdaniem tamtej kelnerki był „niezłym numerem”. Daisy spojrzała na niego ukradkiem. Znała ten typ. Julia nazywała takich mężczyzn „katastrofą samochodową”. „Są dziwnie pociągający, ale w gruncie rzeczy nie chcesz mieć z nimi nic wspólnego. Tylko przejechać obok i dziękować Bogu, że nie tobie się to przytrafiło”. Nawet jeśli chciała, żeby jej się to przytrafiło (ale oczywiście nie chciała), Jones okazałby się zupełnie nieodpowiednim kandydatem, również na krótkie pocieszenie po nieudanym związku. Jego styl życia, dotychczasowe związki - wszystko wskazywało na Seryjną Niewierność i Unikanie Zobowiązań.

Daisy zadrzała, jakby obawiając się, że on może usłyszeć jej myśli. Bo wszystko to opierało się na założeniu, że ona mu się podoba, czego szczerze mówiąc, wcale nie mogła być pewna. Lubił jej towarzystwo, podobały mu się jej pomysły, ale wiedziała doskonale, że nie może się nawet równać z tamtą kelnerką czy całym zastępem szczupłych, opalonych

dziewcząt, które zaludniały jego świat. Wydawały się jej stworzeniami zupełnie innego gatunku.

- Ciepło ci? Na tylnym siedzeniu leży moja marynarka.

- Jest w porządku - odparła krótko Daisy. Pomimo późnej pory i pulsującego bólu w ręce, który znów się pojawił, żałowała, że nie zdecydowała się na podróż pociągiem. Nie mogąc tego zrobić, pomyślała, przygryzając wargę. Nie mogąc pozwalać sobie na uczucia. To zbyt bolesne i zbyt skomplikowane. Nim raz i drugi spotkała się z Jonesem, jej rany zaczęły się powoli zablizniać. Teraz czuła, że znów się otwierają.

- Miętówkę? - spytał. Pokręciła głową, a on nareszcie zostawił ją w spokoju.

Zajechali przed Arcadię za kwadrans dziesiąta. Pod oponami zazgrzytał żwir, a kiedy samochód stanął, cisza wydała się jeszcze bardziej nieprzenikniona. Na niebie nie było żadnych chmur, a Daisy z radością wciągnęła w płuca rześkie słone powietrze, nasłuchując szumiącego w dole morza.

Bardziej poczuła, niż zauważyła, że Jones na nią patrzy. Po chwili doszedł jednak do wniosku, że nie powinien nic mówić, i wysiadł z samochodu.

Daisy próbowała otworzyć drzwi od swojej strony. Z unieruchomioną ręką nie było to wcale takie łatwe. Uświadomiła sobie nagle, że znajduje się niemal na granicy łez. Ale nie, nie będzie dziś przy nim płakać. Jeszcze tylko tego jej brakowało na zakończenie dnia.

Pani Bernard zostawiła część świateł zapalonych, by dom wyglądał przytulnie. Tworzyły teraz na podjeździe małe plamy żółtego blasku. Daisy spojrzała na okna i uświadomiła sobie, że spędzi samotnie kolejną noc.

- Wszystko w porządku? - spytał Jones, stając obok niej. Pogodny nastrój zniknął. Pomyślała, że wygląda tak, jakby miał powiedzieć coś bardzo ważnego.

- Tak - odparła, wysuwając nogi z samochodu. Rękę na temblaku przytuliła obronnym gestem do piersi. - Poradzę sobie.

- Kiedy pani Bernard przyniesie małą?
- Wcześniej rano.
- Chcesz, żebym po nią pojechał? To potrwa pięć minut.
- Nie. Wracaj już. Na pewno potrzebują cię w Londynie.

Spojrzał na nią z wyrzutem, a ona zarumieniła się z powodu tonu swego głosu. Cieszyła się, że na słabo oświetlonym dziedzińcu nie może dostrzec jej twarzy.

- Dziękuję bardzo - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. - Przepraszam za wszystko.

- To była dla mnie przyjemność. Naprawdę.

Stał przed nią zbyt potężny, by go tak po prostu ominąć. Wpatrywała się w swoje buty, marząc o tym, by wreszcie pojechał. Ale on nie bardzo chciał się ruszyć.

- Zdenerwowałem cię - stwierdził.
- Nie - odparła zbyt szybko Daisy. - Wcale nie.
- Na pewno?
- Jestem tylko zmęczona. I ręka znów zaczyna mnie boleć.
- Dasz sobie sama radę?

Podniosła wzrok.

- Tak.

Stali o parę metrów od siebie. Jones nerwowym gestem przerzucał kluczyki z jednej ręki do drugiej. Dlaczego wreszcie nie pojedziesz? - miała ochotę wrzasnąć na cały głos.

- Zostawiłaś coś w bagażniku - powiedział nagle.

- Co?

- Tutaj. - Obszedł samochód i pilotem otworzył bagażnik.

Daisy ruszyła za nim. Temblak zaczął ocierać jej szyję, więc sięgnęła zdrową ręką, by go poprawić. Kiedy skończyła, Jones nadal wpatrywał się w bagażnik. Spuściła wzrok. Na wielkim szarym kocu leżało okno z witrażem, ledwo widoczne w cieniu pokrywy.

Daisy znieruchomiała.

- Widziałem, jak na nie patrzyłaś. - Jones wyglądał na bardzo zawstydzonego. Przystąpił z nogi na nogę. - Kupiłem je dla ciebie. Pomyślałem... że ten aniołek jest trochę podobny do twojej córki.

Daisy usłyszała szumiące na wietrze sosny i szept trawy na wydmach. Dźwięki te z trudem przebijały się przez dzwonienie, które rozległo się w jej uszach.

- To podziękowanie - powiedział niepewnie, nie odrywając wzroku od bagażnika. - Za to, co zrobiłaś. Za dom i wszystko.

Potem podniósł głowę i spojrzał na nią. A Daisy przestała słuchać. Widziała tylko ciemne smutne oczy i twarz, której ostre rysy łagodził ciepły wyraz.

- Jest cudowne - szepnęła. Nie odrywając wzroku od jego oczu, zrobiła krok w przód, unosząc zabandażowaną rękę, by położyć ją na jego ramieniu. Ręka zawisła jednak w powietrzu w chwili, gdy otworzyły się frontowe drzwi, zalewając ich oboje światłem z holu.

Daisy odwróciła się i mrugając powiekami w nagłym blasku, próbowała rozpoznać sylwetkę, której nie powinno tu wcale być i która z pewnością nie należała do Lottie Bernard. Zamknęła oczy, by zaraz je otworzyć.

- Witaj, Daise - powiedział Daniel.

Rozdział siedemnasty

- Tym razem naprawdę poszła na całość.

Lottie budowała dla Ellie wieżę z klocków, spoglądając od czasu do czasu na dwie postacie stojące na tarasie. Odwróciła się do Aidana i wstała.

- Kto?

Zapomniała już, ile razy podczas zabawy z dziećmi trzeba siadać na podłodze i wstawać. Ale pamiętała, że kiedy Camille była mała, nic ją przy tym nie bolało. Przy Katie też nie.

- Ta pani kobieta, Kolorowe Getry czy jak jej tam. Widziała pani to?

Podszedł do kocyka i podał jej lokalną gazetę, wskazując na kolumnę listów od czytelników.

- Chce, żeby wszyscy rozsądni mieszkańcy miasta wzięli udział w pikiecie przy hotelu. Żeby powstrzymać starego Jonesa przed sprzedażą alkoholu.

- Co takiego? - Spojrzała na gazetę, bezładnie podrzucając Ellie kolorowe klocki. - Głupia baba - rzuciła. - Tak jakby kilku rozsypujących się emerytów mogło cokolwiek zdziałać. Chyba trzeba zbadać jej głowę.

Aidan wziął z szafki kubek z gorącą herbatą, który najwyraźniej nie parzył go w poplamione gipsem ręce.

- Nie będzie to jednak dobra reklama dla pana Jonesa.

Nie chciałyby chyba, żeby widziano, jak przedziera się przez tłum staruszek z transparentami.

- To śmieszne - powiedziała Lottie, oddając mu gazetę. - Tak jakby kogoś obchodziło kilka drinków.

Aidan oparł się o ścianę i spojrzał na Daisy stojącą na tarasie z obcym mężczyzną.

- No, no - zaczął. - Nasza Daisy ma nowego faceta na nocną zmianę?

- Nie masz nic lepszego do roboty? - rzuciła ostro Lottie.

- To zależy, jak na to patrzeć. - Zwlekał jeszcze chwilę, by zdenerwować Lottie, po czym zniknął.

To ojciec dziecka. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Wiedziała od razu, jeszcze minionego wieczoru, kiedy stanął w drzwiach. Jego ciemne włosy i głęboko osadzone brązowe oczy stanowiły wierne odbicie Ellie.

- Tak? - spytała, wiedząc doskonale, o co zapyta.

- Czy tu mieszka Daisy Parsons? - Trzymał w ręce niewielką torbę.

Trochę na wyrost, pomyślała Lottie.

- Jestem Daniel.

Z rozmysłem udawała zakłopotaną.

- Daniel Wiener. Jestem... ojcem Ellie. Powiedziano mi, że tutaj ją znajdę.

- Wyszła - powiedziała Lottie, obrzucając uważnym spojrzeniem jego zmęczone oczy i eleganckie ubranie.

- Mogę wejść? Przyjechałem właśnie pociągiem z Londynu. Nie sądzę, żeby był tu jakiś pub, w którym mógłbym poczekać.

Bez słowa wprowadziła go do środka.

To oczywiście nie jej sprawa. Nie może powiedzieć Daisy, co ma robić. Ale gdyby to od niej zależało, kazałyby mu zmywać się jak najszybciej. Lottie zacisnęła dłonie w pięści, świadoma, że ze względu na Daisy jest na niego straszliwie zła. Za to, że zostawił ją samą z dzieckiem, że kazał jej uporać się z tym wszystkim, a potem nagle wrócił jak gdyby nigdy nic. Daisy świetnie sobie radzi, nikt nie może

mieć co do tego żadnych wątpliwości. Spojrzała na malutką, która w zamyśleniu gryzła róg drewnianego klocka, a potem na taras. Stali sztywno kilka kroków od siebie - ona zaparzona w horyzont, on w swoje buty.

Chciałabym tylko, żebyś miała ojca, Ellie, powiedziała w duchu. A ja na pewno coś o tym wiem.

Daisy siedziała na ławeczce pod freskiem pomiędzy pędzlami różnych rozmiarów, a Daniel stał plecami do morza i oglądał dom. Spoglądała na niego ukradkiem.

- Świetnie sobie poradziłaś - pochwalił. - Dom jest nie do poznania.

- Ciężko pracowaliśmy - odparła. - Ja, ekipa, Lottie, Jones...

- Miło z jego strony, że przywiózł cię tu z Londynu.

- Tak. - Daisy wypła łyk herbaty.

- Co ci się stało w rękę? Chciałem zapytać wczoraj wieczór, ale...

- Rozcięłam sobie.

Zbladł.

Dopiero po chwili zorientowała się, co mógł pomyśleć.

- Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Zderzyłam się z oszklonymi drzwiami. - Rozgniewała ją myśl, że nadal sądził, iż jego obecność jest jej niezbędną do życia.

- Boli?

- Trochę, ale dali mi środki przeciwbólowe.

- To dobrze. Świetnie. Nie chodzi mi oczywiście o rękę, ale o środki.

Wczoraj nie było tak sztywno. Kiedy zobaczyła go w proggu minionego wieczoru, myślała, że zemdleje. Gdy Jones dyskretnie wyjął z bagażnika witraż i szybko odjechał, weszła do domu i chwytając mocno barierkę schodów, wybuchnęła niepohamowanym płaczem. Otoczył ją ramionami i zaczął przeproszać. Po jego twarzy też płynęły łzy. Płakała coraz bardziej, wstrząśnięta, że dotyk Daniela może jednocześnie być tak znajomy i obcy.

Ten przyjazd był zaskoczeniem, nie miała czasu przygotować się na to, co powinna odczuwać. Wieczór spędzony z Jonesem odmienił wszystko, a gdy dobiegł końca, stanęła twarzą w twarz z Danielem, którego nieobecność znaczyła niemal każdą minutę kilku minionych miesięcy, a jego nagłe pojawienie się wzbudziło w niej tyle sprzecznych uczuć, że teraz mogła tylko na niego patrzeć i płakać.

- Tak mi przykro, Daise - powiedział, ściskając jej dłoń. - Tak bardzo mi przykro.

Po długiej chwili udało się jej opanować i jedną ręką nalała im obojgu po dużym kieliszku wina. Zapaliła papierosa, dostrzegając zaskoczenie na jego twarzy i wysiłki, by je ukryć. Potem usiadła, nie wiedząc, co ma powiedzieć, o co może zapytać.

Na pierwszy rzut oka wyglądał zupełnie tak samo: nie zmienił fryzury, miał na sobie te same spodnie i adidas, które nosił podczas ich ostatniego wspólnego weekendu. Wykonywał te same dobrze znane gesty, przesuwał dłonią po czubku głowy, jakby chciał się upewnić, że ona nadal tam jest. Kiedy jednak przyjrzała mu się uważniej, stwierdziła, że wygląda trochę inaczej, jakby trochę się postarzał. A już na pewno był zmęczony. Ciekawe, czy ona też sprawia takie wrażenie.

- Lepiej się czujesz? - spytała. Pytanie wydawało się bezpieczne.

- Nie jestem już tak skołowany, jeśli o to ci chodzi.

Daisy wypijała spory łyk wina. Skrzywiła się lekko, czując w ustach kwaśny smak. Tego wieczoru wypijała już chyba za dużo.

- Gdzie mieszkasz?

- U mojego brata, Paula.

Skinęła głową.

Nie spuszczał wzroku z jej twarzy. W jego oczach czaił się niepokój, a w półmroku widać było wyraźnie rysujące się pod nimi zmarszczki.

- Nie wiedziałem, że tutaj mieszkasz. Mama odniosła wrażenie, że zatrzymałaś się u kogoś w miasteczku.

- A niby u kogo? - spytała zaczepnie. Z trudem powstrzymywała złość. - Musiałam opuścić mieszkanie.

- Pojechałem tam, ale wynajął je już ktoś inny.

- Nie było mnie stać na czynsz.

- Na koncie były pieniądze, Daise.

- Nie wystarczyłoby ich na długo. A już na pewno nie na czynsz i utrzymanie, jeśli weźmie się pod uwagę podwyżkę, jaką uraczył mnie pan Springfield.

Daniel spuścił głowę.

- Dobrze wyglądasz - rzucił pogodnym tonem.

Wyciągnęła nogi i zdrapała plamkę zaschniętej krwi z lewego kolana.

- Podejrzewam, że lepiej niż wtedy, gdy odszedłeś. Ale nie zapominaj, że z mojego ciała wyszedł zupełnie nowy człowiek.

Spojrzała na jego gęste włosy i przypomniała sobie, ile razy budziła się z płaczem, bo ich przy niej nie było. Ile razy leżała w łóżku, wspominając, jak wplatała w nie palce. Nie miała ochoty teraz ich dotknąć. Czuła tylko gniew. A zarazem strach, że on znów odejdzie.

- Tak mi przykro, Daise. Nie wiem, co się ze mną stało. - Poprawił się na krześle, jakby przygotowywał się do wygłoszenia mowy. - Zażywałem środki antydepresyjne. Trochę mi pomogły. Nie wydaje mi się już, że wszystko jest tak totalnie beznadziejne. Nie mogę ich jednak brać zbyt długo. Nie chciałbym się uzależnić. - Wypił łyk wina. - Spotkałem się też kilka razy z lekarką psychiatrą. Była trochę burakowata. - Spojrzał na nią, jakby chciał sprawdzić, czy rozbawiło ją to stare, dobrze znane określenie.

- I co powiedziała? O tobie.

- To nie było tak. Zadała mi mnóstwo pytań i oczekiwała, że sam znajdę na nie odpowiedzi.

- Całkiem niezły sposób zarabiania na życie. I znalazłeś?

- Na niektóre chyba tak. - Nie rozwinął tematu, a Daisy była zbyt zmęczona, by go dalej drażyć.

- Zostajesz na noc?

- Jeśli mi pozwolisz.

Zaciągnęła się głęboko papierosem i zgasiła go.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć, Dan. Jestem bardzo zmęczona, to wszystko wydarzyło się tak nagle, aż maści mi się w głowie... Porozmawiamy rano.

Skinął głową, nie spuszczać z niej wzroku.

- Możesz spać w Apartamencie Woolfa. Kołdra jest jeszcze nierozpakowana, ale możesz z niej skorzystać.

Myśl, że mógłby spać gdzie indziej, jakoś nie przyszła żadnemu z nich do głowy.

- Gdzie ona jest? - spytał, gdy wychodziła z pokoju.

Och, w końcu się zainteresowałaś, pomyślała.

- Wróci wcześniej rano.

Nie zmrużyła oka. Jakże by mogła, wiedząc, że on leży za ścianą i pewnie też nie może zasnąć? W pewnej chwili zaczęła sobie wyrzucać, że tak go potraktowała, że zepsuła jego szczęśliwy powrót. Nie powinna była w ogóle się odzywać, tylko mocno się przytulić, kochać go, sprawić, by poczuł się jak w domu. Ale zaraz zaczęła się zastanawiać, dlaczego w ogóle pozwoliła mu zostać. Gniew tkwił w niej głęboko niczym lodowata kula, od czasu do czasu bombardując ją pytaniami: Gdzie on był przez ten czas? Dlaczego nie zadzwonił? Dlaczego dopiero po godzinie zapytał, gdzie jest jego córka?

Wstała o szóstej z zaczerwienionymi oczami i bólem głowy. Spryskała twarz zimną wodą. Żałowała, że nie ma z nią Ellie - miałyby się czym zająć, skupiłyby się na przyziemnych czynnościach. Tymczasem poruszała się cicho po domu, ciesząc się poczuciem bezpieczeństwa, jakim ją otaczał. Aż do teraz. W tej chwili nie była w stanie myśleć o nim bez Daniela. Pozostawił swój ślad w miejscach, których nigdy z nim nie łączyła. Dopiero po kilkunastu minutach zrozumiała, że jego pojawienie się tak bardzo wytrąciło ją z równowagi, bo spodziewała się, że znów ją porzuci.

Obudził się już po przyjściu Lottie i Ellie, na której tak niezwykły wieczór nie wywarł najmniejszego wrażenia. Podając jej córeczkę, Lottie spytała Daisy, czy dobrze się czuje.

- Świetnie - odparła, przytulając twarz do szyi córeczki. Pachniała zupełnie inaczej. - Dziękuję, że się nią zajęłaś.

- Nie sprawiła mi żadnego kłopotu. - Lottie przyglądała się jej przez chwilę, unosząc brwi na widok zabandażowanej ręki. - Zrobię herbatę - powiedziała i wyszła do kuchni.

Po kilku minutach na dół zszedł Daniel, a jego zaczerwienione oczy i poszarzała twarz mówiły wyraźnie, że on też spędził bezsenną noc. Zatrzymał się, kiedy zobaczył Daisy i Ellie w holu. Stopę wciąż opierał na stopniu schodów.

Poczuła, że na jego widok serce zabiło jej szybciej. Zastanawiała się już kilka razy, czy poprzednia noc nie była tylko snem.

- Jaka... duża - szepnął. Daisy powstrzymała się od rzućenia kąśliwej uwagi, która sama cisnęła się na usta.

Podszedł do nich, nie spuszczać wzroku z córeczki.

- Witaj, kochanie - powiedział łamiącym się głosem.

Ellie, z typową dla dzieci zdolnością do rozładowywania napięcia, obdarzyła go przelotnym spojrzeniem i kilka razy uderzyła Daisy w nos, gruchając przy tym zawzięcie.

- Czy mogę ją potrzymać?

Daisy, próbując uwolnić się z uścisku Ellie, zerknęła na pełne łez oczy Daniela, na tęsknotę malującą się na jego twarzy i zastanawiała się, dlaczego w tej chwili, w chwili, o której marzyła od wielu miesięcy, instynkt podpowiada jej, by mocno przytuliła malutką do siebie i nie wypuszczała jej z rąk.

- Proszę.

- Witaj, Ellie - szepnął, przyciągając ją powoli do siebie jak ktoś nieprzywykły do trzymania dzieci.

Walczyła ze sobą, by nie powiedzieć mu, że trzyma Ellie tak, jak ona nie lubi, i próbowała nie patrzeć na wyciągające się w jej stronę małe rączki.

- Tęskniłem za tobą - mówił słodkim tonem. - Och, kochanie, tatuś tak bardzo za tobą tęsknił.

Przyłoczona masą sprzecznych uczuć Daisy wyszła do kuchni, nie chcąc, by Daniel cokolwiek zauważył.

* * *

- Herbaty? - spytała Lottie, nie podnosząc wzroku.
- Bardzo proszę.
- A... on?

Daisy spojrzała na plecy Lottie, która sztywno wyprostowana poruszała się w kuchni, przygotowując kubki i torebki z herbatą.

- Daniel. Tak, na pewno chętnie się napije. Z mlekiem, bez cukru.

Z mlekiem, bez cukru, pomyślała, chwytając blat dłońmi, by ukryć ich drżenie. Znam jego upodobania lepiej niż własne.

- Chcesz, żebym mu ją zaniósła? Kiedy skończy bawić się z małą?

W głosie Lottie zabrzmiał ostry ton. Daisy znała ją już na tyle dobrze, by go usłyszeć. Ale nie miała nic przeciwko niemu.

- Dzięki. Ja wypiję na tarasie.

Pojawił się jedenaście minut później. Daisy nie była w stanie powstrzymać się od dokładnego wyliczenia czasu, jaki spędził z córką, zanim okrzyki frustracji lub płacz zdenerwowały go i oddał ją Lottie. Wytrzymał dłużej, niż się spodziewała.

- Twoja przyjaciółka zabrała Ellie na górę. Powiedziała, że malutka musi się chwilę przespać.

Przyniósł swój kubek z herbatą i stanął obok niej, spoglądając na szumiące w dole morze.

- Lottie opiekuje się nią, kiedy ja pracuję.

- To bardzo wygodny układ.

- Nie, Danielu, konieczny. Mojemu szefowi nie podobało się, że będę odbywać narady z architektami i robotnikami z dzieckiem na rękach.

Gniew czaił się tuż pod powierzchnią, gotów wybuchnąć w każdej minucie z całą tłumioną dotąd siłą. Daisy potarła czoło, wiedząc, że po bezsennej nocy jest wyjątkowo poirytowana i skołowana.

Daniel stał przez chwilę w milczeniu, popijając herbatę. Zapach kwitnącego jaśminu był niemal nie do zniesienia.

- Nie spodziewałem się, że przywitasz mnie z otwartymi ramionami - zaczął. - Wiem doskonale, co zrobiłem.

Nie masz bladego pojęcia, co zrobięś, chciała krzyknąć mu prosto w twarz. Ale powiedziała tylko:

- Nie chcę o tym rozmawiać teraz, kiedy powinnam zabrać się do pracy. Jeśli możesz zostać jeszcze dziś na noc, porozmawiamy wieczorem.

- Nigdzie się nie wybieram - odparł z przeproszającym uśmiechem.

Uśmiechnęła się do niego. Ale jego ostatnie słowa wcale jej nie uspokoiły.

Dzień mijał powoli.

Daisy była rada, że może zająć się pracą - źle zamocowanymi gałkami przy drzwiach i oknami, które się nie domykały. Irytująca przyziemność tych czynności wносиła z powrotem do życia poczucie normalności i równowagi. Daniel poszedł do miasta niby po gazetę, ale Daisy podejrzewała, że ta sytuacja jest dla niego równie trudna jak dla niej. Aidan i Trevor przyglądali się jej z zainteresowaniem: na ich oczach rozgrywał się dramat rodzinny o wymiarze epickim i byli nim tak zafascynowani, że zapomnieli nawet o transmisji radiowej z meczu piłkarskiego, otwierającego jakiś ważny turniej.

Lottie tylko patrzyła i nie odzywała się ani słowem.

Rankiem zaproponowała, że przekaże Danielowi opiekę nad Ellie, „dopóki tu zostanie”. Zaoferowała się, że pokaże mu, jak przygotowywać jej jedzenie, jak zapinać ją w wysokim krzesełku, jak wsuwać przed snem kocyk pod bródkę, bo tak najbardziej lubi. „Nie znosi zamieszania”, powiedziała. Wyraz twarzy Lottie, kiedy mówiła te słowa, przekonał Daisy, że raczej nie powinna pozwolić na to szkolenie, jeśli traktowała powrót Daniela poważnie.

W czasie lunchu zjawiła się Camille i po krótkiej rozmowie z matką zapytała Daisy, czy wszystko w porządku.

- Wpadnij wieczorem na masaż głowy albo na jakiś inny

zabieg, jeśli masz ochotę. Mama zajmie się Ellie. Taki masaż wspaniale rozładowuje stres.

Gdyby chodziło o kogoś innego, Daisy z radością powiedziałaby tej osobie, żeby się odczepiła. Dorastając z wrodzonym londyńczykom poczuciem anonimowości, nie mogła się pogodzić z myślą, że życie w małym miasteczku przypomina akwarium. Wszyscy czuli, że muszą jakoś skomentować ponowne pojawienie się Daniela w jej życiu. Ale Camille nie interesowała się plotkami. W swojej pracy słyszała z pewnością tak wiele sensacyjnych opowieści, że stała się na nie nieczuła. Daisy była przekonana, że chciała jej tylko pomóc. A może pragnęła towarzystwa.

- Nie zapomnij. Zajrzyj koniecznie - powtórzyła Camille, wychodząc razem z Roiłem. - Kiedy Katie znika z koleżankami, mam ochotę z kimś porozmawiać. Ostatnimi czasy Hal woli towarzystwo swoich pań z fresku od mojego - powiedziała wesołym tonem, ale na jej twarzy malował się smutek.

Hal był jedyną osobą, której nie interesowała nowa sytuacja Daisy. Pewnie dlatego, że niemal całkowicie pochłaniał go widoczny teraz w trzech czwartych fresku. Na pytania odpowiadał monosylabami. Nie robił przerwy na lunch, a kanapki od żony brał bez żadnych romantycznych gestów. Najczęściej zapominał je zjeść.

Jones nie zadzwonił.

Ona też do niego nie dzwoniła. Nie wiedziałyby, co ma powiedzieć.

Daniel został. Drugiego wieczoru nie mieli jednak okazji porozmawiać. Przez cały dzień oboje nie myśleli o niczym innym i kiedy mieli już dom tylko dla siebie, byli tak zmęczeni, że nie wystarczyło im siły na roztrząsanie wszystkich aspektów sytuacji, w jakiej się znaleźli. Zjedli kolację, posłuchali radia i położyli się spać w osobnych łózkach.

Trzeciego wieczoru Ellie płakała niemal bez przerwy. Dokuczała jej kolka albo wyrzynający się ząbek. Daisy nosiła

małą na rękach, spacerując na piętrze. W przeciwieństwie do Primrose Hill, gdzie płacz Ellie niemal zawsze doprowadzał ją do granic wytrzymałości, tutaj nie budził w niej obaw, że zakłóca spokój sąsiadom na górze i na dole, ludziom na ulicy, Danielowi. Przyzwyczała się już do ogromnych przeszczeni i izolacji.

- W Arcadii - powiedziała czule do córeczki - nikt nie usłyszy twoich krzyków.

Spacerowała po korytarzach, a płacz Ellie cichł, gdy wchodziła do poszczególnych pokoi. Próbowła się nie zastanawiać, jak na to wszystko reaguje siedzący na dole Daniel. To przecież było powodem jego odejścia: hałas, chaos, nieprzewidywalność życia. Spodziewała się niemal, że kiedy zejdzie na dół, już go tam nie zastanie.

On jednak czytał gazetę.

- Wszystko z nią w porządku? - spytał i odetchnął z ulgą, gdy skinęła głową. - Nie chciałem... przeszkadzać.

- Musi się trochę nakręcić - wyjaśniła, sięgając po kieliszek wina i siadając ciężko obok niego. - Lubi się wykrzyzczyć, zanim znów zaśnie.

- Tyle mi uniknęło. Tak mało wiem o jej upodobaniach i zwyczajach.

- To raczej nie jest fizyka jądrowa - odparła.

- Dla mnie jest. Ale nauczę się, Daise.

Zaraz potem poszła spać. Kiedy wychodziła z pokoju, zwalczyła w sobie pragnienie, by pocałować go w policzek.

- Julia?

- Witaj, kochanie. Jak leci? Jak się miewają moje cukiereczki?

- Daniel wrócił.

W słuchawce zapanowała cisza.

- Julio?

- Rozumiem. Kiedy wydarzył się ten cud?

- Dwa dni temu. Po prostu zjawił się na progu.

- I wpuściłaś go?

- Raczej nie mogłam mu powiedzieć, żeby wsiadał do pociągu i wracał do domu. Była prawie dziesiąta wieczór.

Prychnięcie siostry oznajmiło Daisy, co ona by zrobiła.

- Mam nadzieję, że wy nie...

- Tu jest osiem apartamentów.

- To dobrze. Poczekaj chwileczkę. - Daisy usłyszała, jak zasłania dłonią słuchawkę i woła: - „Don? Możesz przykręcić ziemniaki? Rozmawiam przez telefon”.

- Nie chcę cię odrywać od pracy. Chciałam tylko, żebyś wiedziała.

- Wrócił na dobre?

- Kto? Daniel? Nie wiem. Nic nie powiedział.

- Jasne, że nie. To głupie oczekiwać, że wyjawi ci swoje plany.

- To nie tak, Ju. Jeszcze... nie mówiliśmy o tym. Właściwie o niczym nie zdążyliśmy porozmawiać.

- To dla niego bardzo wygodne.

- Nie wszystko sprowadza się do niego.

- Kiedy przestaniesz go bronić, Daisy?

- Wcale go nie bronię. Chcę tylko sprawdzić, jak to... jest, kiedy spędzamy ze sobą cały dzień. Czy w ogóle coś z tego wyjdzie. Dopiero potem zaczniemy rozmawiać poważnie.

- Czy zaproponował ci pieniądze?

- Słucham?

- Na swoje utrzymanie. O ile wiem, **nie bardzo ma teraz** gdzie mieszkać.

- On nie...

- Mieszka w luksusowym hotelu. W apartamencie. Za darmo.

- Och, Julio, zrozum go choć trochę.

- Nie, Daisy. Nawet nie będę próbowała go zrozumieć. Po tym, co ci zrobił? Tobie i swojemu dziecku. Dla mnie jest bezwartościowym draniem i tyle.

Daisy nie mogła się powstrzymać i prychnęła cicho.

- Nie pozwól mu wrócić i znów przejąć nad wszystkim

kontrolę. Świetnie sobie bez niego radziłaś, pamiętasz? Wbij to sobie do głowy. Przetrwiałaś i to jest najważniejsze.

Czy na pewno? - spytała Daisy samą siebie po odłożeniu słuchawki. Bez wątplenia była mniej bezradna. Udało się jej dopasować rytm życia Ellie do swojego, a nie na odwrót. Odkryła siebie na nowo i znalazła lepsze cechy niż te, które posiadała dawna Daisy. Kierując remontem Arcadii, osiągnęła coś bardzo ważnego, coś, czego się nie spodziewała. Ale była samotna. Nie należała do dziewcząt, które czują się świetnie tylko we własnym towarzystwie.

- Zmieniłaś się - powiedział Daniel zupełnie nieoczekiwanie, obserwując ją przy pracy.

- Na lepsze czy na gorsze? - spytała obojętnie. Dla Daniela wszystkie zmiany, które w niej zaszły, mogły być tylko zmianami na gorsze.

- Nie jesteś już taka krucha. I bezbronna. Lepiej sobie radzisz ze wszystkim.

Daisy wyjrzała przez okno. Lottie dmuchała w papierowy wiatraczek, wywołując u Ellie okrzyki zachwytu.

- Jestem matką - powiedziała.

Czwartego dnia zjawiła się Carol, specjalistka od public relations. Od razu zaczęła zachwycać się Arcadią, robiąc polaroidem zdjęcia każdego pokoju. Daisy była na granicy wytrzymałości, a Lottie obserwowała wszystko rozszerzonymi ze zdumienia i niepokoju oczami.

- Jones powiedział mi o twoim pomysle. Wspaniały. Naprawdę wspaniały - powiedziała konspiracyjnym szeptem. - Będzie z tego doskonały artykuł do jednego z kolorowych magazynów. Mam na myśli „Interiors”. A może nawet „Homes and Gardens”.

Irytację Daisy wywołała faktem, że Jones opowiedział o wszystkim tej kobiecie, złądziła nieco myśl, że jej talent zostanie właściwie doceniony.

- Do tego czasu musimy jednak milczeć jak grób. - Te-

atralnym gestem położyła palec na ustach. - Najważniejszy jest czynnik zaskoczenia.

Carol doszła do wniosku, że może nawet złamać jedną z swoich żelaznych zasad i zorganizować przyjęcie tematyczne: dzień rodem z lat pięćdziesiątych nad morzem. Mogliby nawet pójść na całość i zamówić osiołki, lody i zwariowane widokówki. Nie zwróciła uwagi na Daisy, gdy ta sprostowała, że Arcadii nie zbudowano w latach pięćdziesiątych.

- Czy Jones przyjedzie? Przed otwarciem? - spytała Daisy, gdy Carol wsiadała do swojego niziutkiego samochodu. Nie mogła się nadziwić, że kobieta po pięćdziesiątce ma ochotę jeździć dwuosobowym japończykiem.

- Chciał tu przyjechać dziś po południu, żeby się spotkać z nami obiema - odparła Carol, sprawdzając w komórce listę wiadomości - ale wiesz, jaki on jest. - Przewróciła oczami w sposób, który Daisy zdążyła już uznać za typowy dla kobiet otaczających Jonesa. - Tak się cieszę, że cię poznałam, Daisy. I bardzo się cieszę, że będziemy razem pracować. To będzie cudowne przyjęcie.

- Na pewno - zgodziła się Daisy. - Do zobaczenia wkrótce.

W Arcadii zaczęli się pojawiać coraz to inni ludzie. Na przykład poważny młody fotograf, który oświadczył, że opracowywał dla Jonesa wszystkie foldery, a potem doprowadzał robotników do szału. Wyrzucał ich po kolei z każdego pokoju i korzystał z ich kabli do podłączenia reflektorów. Zjawił się też szef kuchni z londyńskiego klubu Jonesa, by sprawdzić wyposażenie, i zjadł na lunch trzy paczki chrupek bekoniowych. Następnie przybył niezidentyfikowany specjalista od planowania, który przyjechał niezapowiedziany i wyjechał, niczego właściwie nie sprawdzając. Wieczorem zaś przyszedł pan Bernard, który chciał zaprosić Halę na drinka. Zapukał do frontowych drzwi i czekał, mimo że były otwarte i wszyscy wchodzili do środka, nawet się nie zatrzymując.

- Lottie wyszła - powiedziała Daisy, gdy go zauważyła. - Zabrała Ellie do miasta. Chce pan wejść?

- Wiem, moja droga. Nie chciałem ci przeszkadzać. Chciałem tylko sprawdzić, czy jest gdzieś tutaj mój zięć.

- Jest na tarasie. Proszę wejść.

- Jeśli nie będę nikomu przeszkadzał. To bardzo miło z twojej strony.

Idąc przez dom, sprawiał wrażenie zakłopotanego i partrył prosto przed siebie, jakby nie chciał okazać się zbyt wścibski.

- Wszystko idzie dobrze? - spytał tylko i zadowolony skinął głową, gdy Daisy odpowiedziała twierdząco. - Wygląda na to, że świetnie się spisałaś. Nawet ja to widzę, choć nie bardzo się na tym znam.

- Dziękuję - odparła Daisy. - Cieszę się bardzo, że efekt końcowy podoba się paru osobom.

- Chyba nie chcesz sobie zawracać głowy Sylwią Rowan - powiedziała, gdy prowadziła go na taras. - Członkowie tej rodziny nigdy nie pałali zbyt dużą sympatią do Lottie. I pewnie o nią tu przede wszystkim chodzi. Tutejsi mieszkańcy, niestety, długo chowają urazy.

Poklepał ją po ramieniu i ruszył w stronę Hala, który mył na tarasie pędzle. Daisy obserwowała go, przypominając sobie wieczór, kiedy Lottie opowiedziała jej o narodzinach Camille. Joe, lekko pochylony, w koszuli i krawacie nawet w tym upale, nie przypominał w niczym rycerza w lśniacej zbroi. Kilka minut później, kiedy przewieszała z miejsca na miejsce stare fotografie w holu, pan Bernard stanął w drzwiach.

- Dziś wieczór jest zajęty. Może innym razem - powiedział. - Nie chciałbym opóźniać prac.

Wyglądał na człowieka, który w ciągu tych wszystkich lat przeżył wiele rozczarowań i zdążył się już z tym pogodzić.

- Nie musi pracować do późna, jeśli zaplanowaliście wspólne wyjście.

- Nie. Szczerze mówiąc, to Lottie chciała, żebym z nim porozmawiał.

Daisy czekała.

- Och, to nic takiego, naprawdę - dodał, idąc w stronę samochodu. - Bardzo przeżył zamknięcie firmy. Chciałem się tylko upewnić, że wszystko z nim w porządku. No, będę już jechał. Do zobaczenia, Daisy.

Pomachała mu na pożegnanie, gdy ruszał z podjazdu.

W końcu poszła do Camille. Powiedziała Danielowi, że ma umówioną wizytę, co po części było zgodne z prawdą, i oznajmiła, że będzie musiał zająć się Ellie. Słyszając jej słowa, Lottie wyraźnie zbladła. Kiedy szła zalanymi słońcem ulicami Merham, mijając po drodze udręczonych rodziców i dzieci jadące na trójkołowych rowerkach, uświadomiła sobie, że poza jednym wypadem do Londynu od wielu tygodni nie opuszczała domu i jego otoczenia. Daniel nie wyglądał na tak przerażonego, jak się spodziewała. Był raczej zadowolony, jakby szansa opieki nad dzieckiem okazała się szczególną nagrodą za dobre sprawowanie. Postanowiła zadzwonić dopiero o dziewiątej - o tej porze na pewno będzie ją błagał, żeby wróciła.

Dom Camille i Hala był bardzo duży, z ogromnymi oknami i werandą z lat trzydziestych, na której dostrzegła radośnie poszczekującego Roiła. Najpierw usłyszała, a potem zobaczyła Camille, zaskakująco szybko idącą przez hol.

- To ja, Daisy! - zawołała, by oszczędzić jej przykrej konieczności pytania, kto przyszedł.

- Masz doskonałe wycucie czasu - powiedziała Camille. - Właśnie otworzyłam butelkę wina. Przyszłaś na całą głowę?

- Słucham?

- Chodzi mi o masaż.

Zamknęła drzwi za Daisy i ruszyła korytarzem, przesuważąc rękę po ścianie.

- Jeśli możesz - odparła Daisy, która tak naprawdę przyszła tu w celach przede wszystkim towarzyskich.

Dom był o wiele ładniejszy, niż się spodziewała. Choć szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziała, czego ma się spo-

dziewać - z pewnością nie przestrzeni i światła. I obrazów na ścianach. A już na pewno nie setek fotografii, które stały wszędzie, większość z nich oprawiona w ozdobne srebrne ramki. Hal i Camille na rowerze wodnym, na wycieczce w górach, Katie na kucyku, cała trójka w eleganckich ubraniach na jakimś przyjęciu. Na półce nad kominkiem stało ślubne zdjęcie Hala i Camille. Hal patrzył na żonę z taką dumą i czułością, że Daisy na moment zrobiło się smutno.

- Piękne zdjęcia - powiedziała.

- Ta mała akwarelka to ja. Nie uwierzysz, ale to mama ją namalowała, kiedy byłam malutka. Wielka szkoda, że to zarzuciła. Jakieś hobby dobrze by jej zrobiło.

- Jest śliczna. Zdjęcia też.

- Patrzysz na fotografię z naszego ślubu? - Camille potrafiła określić miejsce, w którym stoi Daisy, bo stamtąd dobiegał jej głos. Podeszła płynnie do kominka i wzięła zdjęcie do ręki. - To moje ulubione - powiedziała miękko. - To był naprawdę piękny dzień.

Daisy nie mogła się powstrzymać.

- Skąd wiesz? - spytała. - Co jest na zdjęciu.

Camille ostrożnie odstawiła fotografię.

- Głównie dzięki Katie. Uwielbia zdjęcia i wie, co jest na każdym z nich. Potrafiłabym snuć opowieści o wszystkich, które mamy w albumach... - Urwała z uśmiechem na ustach. - Ale nie bój się, nie zamierzam. Chodź do kuchni. Mam tam stary fotel z gabinetu. Katie bardzo lubi na nim siedzieć.

Prawie nie znała Camille, a przynajmniej nie tak, jak znają się przyjaciółki, które od lat dzielą się szczegółami ze swojego życia, opowiadają sobie o upodobaniach i o tym, czego nie znoszą. Dla Daisy Camille była zbyt opanowana. Czuła się znacznie lepiej w towarzystwie osób, które zawsze okazywały swoje emocje, jak Daniel. Ale w Camille było coś, co ją uspokoiło. Przy niej nie odczuwała potrzeby współzawodnictwa, jak to często bywało w obecności innych atrakcyjnych kobiet. I to nie z powodu kalectwa Camille. Miała w sobie coś niezwykle kojącego, rodzaj wewnętrznej dobro-

ci, która nie przyprawiała o mdłości ani nie sprawiała, że Daisy czuła się gorsza, gdyż brakowało jej takiej cechy.

A może odprężenie przyniósł jej masaż? Lekki ucisk palców na mięśnie głowy i szyi rozluźnił napięcie zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Tutaj nie musiała myśleć o Danielu. Nie musiała myśleć o niczym.

- Jesteś w tym bardzo dobra - powiedziała sennym głosem. - Chyba mogłabym zasnąć.

- Nie byłabyś pierwsza. - Camille wypita łyk wina. - Ale musiałam przestać robić takie masaże mężczyznom. Czasami dawały odwrotny, niezamierzony skutek.

- Och. Ach tak. Psuły ci reputację jako masażystki.

- Myślę, że skoro nie widzę, o niczym nie wiem. Ale jest inaczej. Wystarczy posłuchać. - Przyłożyła dłoń do piersi i zaczęła naśladować przyspieszony pożądaniem oddech.

- Naprawdę? O mój Boże. I co robiłaś w takich wypadkach?

- Wołałam leżącego pod stołem Rolla. Wielki śmierdzący pies szybko załatwił sprawę.

Roześmiały się obie.

- Twój tato był dziś w Arcadii.

- Tato? Po co przyszedł?

- Zaprosił Hala na drinka. - Dłonie Camille znieruchomiały. - Ale Hal nie chciał odrywać się od fresku. Jest bardzo dokładny.

- Tato zaprosił Hala na drinka?

- Tak przynajmniej twierdził. O Boże, czy okazałam się niedyskretna?

- Nie, nie przejmuj się. - W głosie Camille zabrzmiała ostrzejsza nuta. - Nie chodzi o tatę. To mama znów zaczyna się do wszystkiego wtrącać.

Rozmarzenie, które wypełniało kilka ostatnich minut, ulotniło się.

- Może rzeczywiście chodziło tylko o drinka.

- Nie, Daisy, z mamą nigdy nie chodzi tylko o drinka. Chce się dowiedzieć, co dzieje się z Halem, dlaczego tak bardzo martwi się zamknięciem firmy.

- Och.

- Najpierw namawiała go, żeby zwinął interes, a teraz znów nie daje mu spokoju, bo przeżywa to bardziej niż jej zdaniem powinien.

- Na pewno chce dobrze - powiedziała słabo Daisy.

- Wiem. Ale nigdy nie zostawia nas w spokoju. Nic nie możemy zrobić sami. - Westchnęła ciężko.

- Jesteś jedynaczką?

- Tak. I dlatego jest jeszcze gorzej. Tato chciał chyba mieć więcej dzieci, ale mama przy porodzie bardzo cierpiała i to ją odstraszyło. W tamtych czasach nie było żadnych znieczuleń.

- Ojej - szepnęła Daisy, myśląc o własnym znieczuleniu. - Przepraszam, jeśli powiedziałam coś nie tak. Chyba nie powinnam była w ogóle poruszać tego tematu.

- Och, nie przejmuj się. To nie pierwszy raz. I na pewno nie ostatni. Dzieje się tak chyba zawsze, gdy mieszka się blisko rodziców. Może powinniśmy się z Halem przeprowadzić zaraz po ślubie, ale potem, kiedy urodziła się Katie... Potrzebowałam pomocy.

- Znam to uczucie. Nie wiem, co bym zrobiła bez twojej mamy.

Ręce Camille znów zaczęły się poruszać, delikatnie naciskając skórę Daisy.

- Jesteś bardzo spięta. Ale to nic dziwnego. Otwarcie hotelu tuż-tuż. Nie mam pojęcia, jak tego dokonałaś.

- Jeszcze nie dokonałam...

- Jest ci łatwiej, gdy wrócił ojciec Ellie?

Zrobiła to tak subtelnie. Daisy pomyślała przelotnie, że może Lottie namówiła Camille, by wypytała ją o jej związek.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo. Lottie na pewno powiedziała ci, że opuścił nas, kiedy Ellie miała kilka miesięcy. Jeszcze nie zdażyłam się przyzwyczaić, że jest z nami.

- Więc znów jesteście razem?

- Nie wiem. Na razie przyjechał i to wszystko.

- Nie jesteś zbyt przekonana.

- Bo chyba rzeczywiście nie jestem. Właściwie nie wiem, co mam czuć.

Ceniła sobie u Camille, że nie podsuwa jej żadnych gotowych rozwiązań. Julii nigdy nie mogła się zwierzyć z żadnego problemu, by nie usłyszeć natychmiast, jak powinna postąpić. Siostra zazwyczaj czuła się trochę urażona, że nie korzysta z jej rad i nie wprowadza ich od razu w życie.

- Gdyby Hal potraktował cię kiedyś obrzydliwie, gdyby na przykład od ciebie odszedł, potrafiłabyś go przyjąć z powrotem? Z otwartymi ramionami?

Dłonie Camille znieruchomiały na czole Daisy.

- Hal nigdy nie postępuje obrzydliwie - powiedziała sucho. - Ale podejrzewam, że gdyby do tego doszło, trzeba by było wziąć pod uwagę fakt, że mamy dziecko i tak dalej... to chyba zależy od tego, co wyda się najlepszym rozwiązaniem... co przyniesie największe szczęście. Jeśli bycie razem sprawi, że będziecie szczęśliwi, to nawet jeśli okaże się to trudne, chyba warto powalczyć.

Camille poprawiła się na stołku.

- Sama nie wiem - ciągnęła. - Kiedy jesteś młoda, powtarzasz sobie, że nie będziesz niczego znosić na siłę. Jeśli w twoim małżeństwie zabraknie namiętności albo twój mąż nie spełni pokładanych w nim oczekiwań, odejdziesz i znajdziesz sobie kogoś innego. A potem zaczynasz się starzeć i sama myśl o zaczynaniu wszystkiego od początku... to przecież straszne. Wydaje mi się, że byłabym w stanie znieść wiele, zanim zdecydowałabym się na rozstanie i rozpad rodziny. Może trzeba po prostu przywyknąć do myśli, że czasami konieczny jest kompromis. - Wydawało się, że mówi do siebie.

Zamilkła na chwilę. Kiedy znów się odezwała, w jej głosie pojawił się zupełnie nowy ton.

- To tyle. A jeśli bez względu na to, co zrobisz, nie potrafisz tej drugiej osoby uszczęśliwić, to w końcu trzeba się chyba przyznać do porażki.

* * *

i

Lottie położyła torebkę na krześle w holu. Wpadła w irytację, gdy zauważyła, że na wieszaku wisi płaszcz Joego.

- Myślałam, że wyszedłeś na drinka! - zawołała, słysząc grające w salonie radio.

Joe wyszedł do holu i pocałował żonę w policzek.

- Nie chciał iść.

- Dlaczego? Nie może przecież przez cały czas pracować przy tym fresku.

Joe odebrał płaszcz od żony.

- Nie mogłem go zmusić, kochanie. Wiesz przecież: możesz doprowadzić konia do wody... i tak dalej.

- Wiem. Ale coś z nim jest nie tak. Od kilku dni zachowuje się bardzo dziwnie. A ten chłopak Daisy kręci się po domu przez cały dzień. Panoszy się, jakby Arcadia należała do niego.

Joe przytrzymał drzwi salonu. Zauważyła, że ma ochotę objąć ją ramieniem. Kilka miesięcy temu powiedziała mu jednak, że bardzo tego nie lubi.

- Kochanie, on jest ojcem dziecka.

- Trochę późno zdał sobie z tego sprawę.

- Decyzja w tej sprawie należy do Daisy. Ale zostawmy to na chwilę, dobrze?

Lottie spojrzała na niego z ukosa. Joe spuścił głowę, lecz po chwili znów podniósł wzrok.

- Ten dom... nie podoba mi się to, Lottie. Wszystko zaczyna się od nowa. Denerwuje cię.

- Nie.

- Pokłóciłaś się z Sylvią Rowan, a Bóg jeden wie, ile lat udawało ci się trzymać z daleka od tej rodziny.

- Nie prosiłam jej, żeby rozpętała całe to zamieszanie.

- I ten fresk. Wiesz, kochanie, że nie mam nic przeciwko temu. Nigdy ci nie mówiłem, żebyś tam nie chodziła. Ale przez ostatnie kilka tygodni nie jesteś sobą. Nie chcę, żebyś się tak denerwowała.

- Wcale się nie denerwuję. To ty mnie drażnisz, stale o tym mówiąc. Poza tym nic mi nie jest.

- No dobrze. Ale mimo wszystko chciałbym z tobą porozmawiać. O tym, co będzie potem.

Lottie usiadła.

- Kiedy? - spytała podejrzliwie.

- Po otwarciu hotelu. Bo Daisy wróci do Londynu, prawda? Ze swoim przyjacielem lub bez niego. A ty nie będziesz tam już więcej potrzebna.

Lottie spojrzała na niego pustym wzrokiem. Nie zastanawiała się nad tym, co będzie, kiedy Arcadia znów otworzy swoje podwoje. Zrobiło się jej zimno. Nigdy nie myślała o tym, co zrobi bez Arcadii.

- Lottie?

- Słucham.

Zobaczyła nagle, jak będzie wyglądać jej życie: kolacje z tańcami w Round Table, pogaduszki z sąsiadkami, niekończące się wieczory spędzane w tym domu...

- Wziąłem kilka folderów.

- Co powiedziałeś?

- Mam kilka folderów. Pomyślałem, że moglibyśmy skorzystać z okazji i zrobić coś zupełnie innego.

- Co na przykład?

- Wybrać się w rejs albo...

- Nienawidzę rejsów.

- Nigdy na żadnym nie byłaś. Posłuchaj, pomyślałem, że moglibyśmy nawet wybrać się w podróż dookoła świata. Zatrzymywać się w wielu miejscach. Zobaczyć coś nowego. Nigdy nie podróżowaliśmy zbyt daleko, a teraz nie mamy żadnych obowiązków, prawda?

Nie wypowiedział słów „druga podróż poślubna”, ale Lottie czuła, że zawisły w powietrzu, i strasznie ją to zirykowało.

- No, to bardzo do ciebie podobne, Joe.

- Słucham?

- Żadnych obowiązków, też mi coś. Kto będzie opiekował się Katie, kiedy Camille pójdzie do pracy? I kto będzie pomagał Camille?

- Ha!

Lottie prychnęła cicho.

- U nich naprawdę wszystko jest w jak największym porządku, kochanie. Widziałas, jak gruchali razem przy fresku. Jak dwa gołąbki. Sama mi mówiłaś.

- Widać wyraźnie, jak mało wiesz. Bo u nich nic nie jest w porządku. Jeśli chcesz znać moją opinię, to on jest o krok od porzucenia jej na dobre. I dlatego właśnie chciałam, żebyś go zabrał dziś wieczór na drinka i wybadał, co mu chodzi po tej głupiej głowie. Ale nie, ty byłeś zbyt zajęty myśleniem o rejsach i podróżach dookoła świata.

- Lottie...

- Idę wziąć kąpiel, Joe. I nie mam ochoty dłużej o tym rozmawiać.

Weszła ciężko po schodach, zastanawiając się, dlaczego łzy tak szybko napłynęły jej do oczu. I to już drugi raz w tym tygodniu.

Szum wody płynącej do wanny zagłuszył kroki Joego na schodach. Wzdrygnęła się, kiedy nagle stanął w drzwiach łazienki.

- Nie skradaj się tak i nie strasz mnie! - wrzasnęła, podnosząc rękę do piersi. Była wściekła, że zastał ją w takim stanie.

Joe znieruchomiał na widok zalanej łzami twarzy Lottie.

- Rzadko się z tobą nie zgadzam, Lottie, ale teraz powiem jedno.

Lottie wpatrywała się w męża. Stał bardziej prosto niż zazwyczaj, a w jego głosie dźwięczało zdecydowanie.

- Wybiore się na tę wycieczkę. Po otwarciu hotelu. Zarezerwuję bilet i pojedę w podróż dookoła świata. Nie chcę się zestarzeć, mając poczucie, że niczego nie zrobiłem, nic nie widziałem. - Zawiesił głos. - Bez względu na to, czy pojedziesz ze mną, czy nie. Wolałbym oczywiście, żebyś pojechała, ale ten jeden raz zrobię to, na co mam ochotę.

Wypuścił głośno powietrze, jakby ta krótka przemowa była efektem wielkiego wewnętrznego wysiłku.

- To wszystko, co miałem do powiedzenia. - Odwrócił się

w stronę drzwi, a jego słowa wprawiły żonę w osłupienie. - Zawołaj, kiedy będziesz chciała, żebym wrzucił kotlety na grill.

Piątego wieczoru Daisy i Daniel nareszcie porozmawiali. Zabrali Ellie na spacer po plaży, otuliwszy ją szczerlnie w wózku bawełnianym kocykiem, mimo że wieczór był ciepły. Daisy powiedziała, że w domu nie potrafi spokojnie myśleć. W ciągu ostatnich paru dni traktowała to miejsce nie jak dom czy nawet hotel, ale jak listę problemów, które wymagały rozwiązania: źle przykręcona klamka w oknie, rozchwiana deska w podłodze, krzywo zamontowane gniazdko elektryczne, zbliżający się coraz szybciej termin otwarcia. Na świeżym powietrzu przekonała się, że powoli te dokuczliwe drobniaczki przestają ją dręczyć.

Tego właśnie pragnęłam, pomyślała, przyglądając się im jakby z oddali, przystojna młoda para i ich piękne dziecko. Mocno związana ze sobą rodzina. Zawahała się, a potem ujęła Daniela pod ramię. Przycisnęła jej rękę do siebie.

A potem zaczął mówić.

Przekonał się, że coś jest nie tak, kiedy jeden z kolegów z dumą pokazał mu zdjęcie swojego dziecka. Daniel uświadomił sobie wówczas, że nie tylko nie ma zdjęcia Ellie, ale również nie odczuwa jednej dziesiątej tych emocji, które przepełniały kolegę.

Z bólem przyznał przed samym sobą, że poczuł się osaczony. Jego piękna dziewczyna zniknęła, a jej miejsce zajęło stale zapłakane babsko - nie użył tego słowa, ale Daisy wiedziała, że właśnie to miał na myśli - i wrzeszczące dziecko. Życie przestało być piękne i uporządkowane. A piękno i porządek były dla niego niezwykle ważne. Przecież nie mógł kiedyś zasnąć, bo obrazek na ścianie wisiał odrobinę krzywo. Daisy obudziła się o czwartej nad ranem i zobaczyła, jak go poprawia za pomocą poziomicy i dwóch kawałków sznurka. Ale dzieci nie dbały o porządek. Nie obchodziło ich, że płacz i smród brudnych pieluszek zanieczyszczają azyl Daniela. Nie dbały o to, że ich żądania wyrwywają matki

z o wiele silniejszych ramion, które potrzebują ich równie mocno. Nie obchodziło ich, o której godzinie cię budzą ani też to, że potrzebujesz przynajmniej czterech godzin nieprzerwanego snu, by móc zarabiać na życie.

- A najważniejsze jest to, Daise, że nie wolno nam narzekać, prawda? Musisz to zaakceptować i wierzyć wszystkim tym, którzy powtarzają, że „z czasem będzie łatwiej”, nawet jeśli czujesz, że jest coraz gorzej, że będziesz je kochał ślepa miłością, kiedy patrzysz na te dość brzydkie wrzeszczące trolle i nie możesz uwierzyć, że masz z nimi coś wspólnego. Gdybym powiedział, o czym myślałem w ciągu tych pierwszych kilku tygodni, chyba poszedłbym siedzieć.

Czarę goryczy przepełnił kaftanik. Pewnego ranka wszedł chwiejnym krokiem do salonu, oszołomiony z braku snu, i nastąpił na wilgotny, upaprany jedzeniem kaftanik. Usiadł na kanapie, oparł brudną stopę na ich niegdyś nieskazitelnym dywanie i poczuł, że już dłużej nie może.

- Ale dlaczego nic nie powiedziałeś? Dlaczego dusiłeś wszystko w sobie?

- Bo nie wyglądało, że byłabyś w stanie to znieść. Sama z trudem dawałaś sobie radę. Jak mogłabyś żyć ze świadomością, że ojciec twojego dziecka uważa je za wielki błąd?

- Na pewno znacznie lepiej niż ze świadomością, że ojciec mojego dziecka mnie opuścił.

Usiedli na wydmie. Ellie zasnęła w wózekczku. Daniel pochylił się i wsunął jej kocyk pod brodę.

- Teraz już wiem. Teraz już wszystko wiem.

W tej chwili poczuł, że znów jest jej bliski, że brzydka prawda, którą wyznał, obudziła w niej czułość i zrozumienie. Bo teraz kochał Ellie, widać to było we wszystkim, co robił.

- Muszę wiedzieć, czy spróbujemy jeszcze raz - powiedział, biorąc ją za rękę. - Muszę wiedzieć, czy pozwolisz mi wrócić. Czy możemy o wszystkim zapomnieć. Bardzo za tobą tęskniłem, Daise. I za malutką.

Na plaży wielki kudłaty pies biegał podekscytowany tam i z powrotem, wyskakując raz po raz w powietrze, by złapać

kawałki drewna, które rzucał mu jego pan. Zostawiał za sobą na piasku długi kręty ślad. Daisy oparta się o Daniela, a on objął ją ramieniem.

- Nadal tu pasujesz - szepnął jej do ucha.

Daisy oparła się o niego mocniej, próbując się skoncentrować na odzyskanym poczuciu wzajemnej bliskości, a nie na komplikacjach, jakie za sobą pociągało.

- Wracajmy do domu, Daisy - powiedział.

Jones obserwował parę z wózkiem spacerującą nadmorską ścieżką. Mężczyzna obejmował dziewczynę opiekuńczym gestem, a od kół wózka odbijały się promienie zachodzącego słońca.

Siedział tak przez kilka minut, patrząc za znikającą parą, a potem zawrócił samochód. Czekala go dwugodzinna jazda do Londynu. Można by powiedzieć, że to szaleństwo odbywać tak długą podróż, nawet nie rozprostowawszy nóg. Spóźnił się jednak na spotkanie z Carol. Minał więc podjazd do Arcadii i ruszył w stronę dworca, koncentrując się na rozciągającej się przed nim drodze. Nie ma sensu kręcić się tutaj. Przyjechał przecież tylko na to spotkanie.

- Po narodzinach dziecka to często bywa trudne.

- Chyba potrzebujemy trochę czasu, żeby znów się do siebie przyzwyczaić.

- Tak.

Leżeli obok siebie, wpatrując się w ciemność.

- Jesteśmy prawdopodobnie trochę spięci. Mamy za sobą kilka bardzo dziwnych dni. - Daniel przytulił ją do siebie, a ona oparła mu głowę na piersi.

- Wiesz co, Dan? Nie powinniśmy chyba zbyt dużo o tym mówić. Robi się z tego wielka sprawa...

- Dobra.

- Ale masz rację. Chyba rzeczywiście jestem trochę spięta.

Sięgnął po jej dłoń. Leżeli przez chwilę ze splecionymi palcami, a Daisy próbowała nie wracać myślami do minio-

nej półgodziny. Miała wielką ochotę na drinka, ale wiedziała, że on jej teraz potrzebuje, że każda próba wstania z łóżka zostanie źle zinterpretowana.

- Daise?

- Tak.

- Muszę z tobą o czymś porozmawiać. Teraz, kiedy jesteśmy ze sobą absolutnie szczerzy.

Z jakiegoś powodu stanął jej przed oczami obraz Jonesa, delikatny i zamglony jak witraż.

- Dobrze - odparła, starając się, by w jej głosie nie zabrzmiała rezerwa, którą czuła.

- Uważam, że musimy sobie wszystko wyjaśnić, zanim zdecydujemy się zapomnieć o przeszłości.

Nie odezwała się, słysząc, że Daniel stara się bardzo, by zabrzmiało to obojętnie. Ogarnęło ją jednak złe przeczucie, niczym rozlegający się w oddali gwizd nadjeżdżającego pociągu.

- Chodzi mi o to, co się wydarzyło po naszym rozstaniu.

- Nic się nie wydarzyło - odparła zbyt szybko Daisy.

Przełknął głośno ślinę.

- Chcesz w to wierzyć. Ale wydarzyło się.

- I kto to mówi?

Jakby słyszała Lottie. Wiedziała, że zdaniem Lottie nie powinni do siebie wracać.

- To był tylko pocałunek - wyznał. - Nic ważnego. Kiedy sięgnąłem dna, kiedy nie wiedziałem, czy zamierzam wrócić.

Daisy puściła jego rękę i oparła się na łokciu.

- Co powiedziałeś?

- To był tylko pocałunek, Daise, ale pomyślałem, że muszę być z tobą zupełnie szczerzy.

- Pocałowałaś inną kobietę?

- Kiedy się rozstaliśmy.

- Chwileczkę. Miałeś podobno cierpieć na załamanie nerwowe z powodu narodzin dziecka, a nie szlając się po Londynie.

- To nie było tak, Daise...

- Jak nie było? Twoja matka opowiada mi, że o mało co nie rzuciłeś się pod autobus, że nie czujesz się nawet na tyle dobrze, by ze mną porozmawiać, a ty całujesz się z jakimiś dziewczynami? Kim ona była, Dan?

- Nie przesadzasz trochę? To był tylko jeden pocałunek.

- Nie, wcale nie przesadzam.

Owinęła się kołdrą i wstała z łóżka, nie chcąc przyznać nawet przed samą sobą, że ta gwałtowna reakcja może mieć coś wspólnego z poczuciem winy.

- Idę spać do innego pokoju. Nie chodź za mną i nie włącz się po korytarzach - syknęła. - Obudzisz małą.

Rozdział osiemnasty

Mały, pomalowany na biało domek stał w niewielkim ogródku pełnym rdzewiejących rzeźb. Od sąsiednich domów dzieliło go kilkadziesiąt metrów.

- Podoba mi się tu - powiedział Stephen Meeker, kiedy podziwiali przez okno niezakłócony niczym widok morza. - Ludzie nie mają żadnego pretekstu, żeby wpadać. Nienawidzę, gdy czują, że mogą to robić w każdej chwili. Tak jakby emeryt powinien być wdzięczny za każde odstępstwo od nudnej rutyny.

Siedzieli, popijając herbatę, w przestronnym salonie, którego ściany były zawieszane cennymi obrazami, zupełnie niepasującymi do starych mebli ze zniszczonymi obiciami. Plaża nad lśniącem w sierpniowym słońcu morzem była pusta. Wczasowicze woleli wypoczywać na znacznie ładniejszych plażach w Merham i okolicy. Daisy już drugi raz w tym tygodniu zakłóciła nudną rutynę Stephena, ale była tu mile widziana, po części dlatego, że przywiozła mu w prezencie ilustrowane magazyny, a po części dlatego, że chciała z nim rozmawiać o jednym z niewielu okresów w jego życiu, kiedy czuł się naprawdę szczęśliwy.

- Julian był bardzo zabawny - powiedział. - Straszliwie nieroztropny, zwłaszcza jeśli chodzi o finanse, ale miał talent

do kolekcjonowania ludzi, tak samo jak dzieł sztuki. Podobnie zresztą jak jego żona. Przypominali parę srok.

Kochał Juliana od zawsze. Wypowiedział te słowa z uniesieniem dziwnie niepasującym do sztywnego, starszego człowieka. W latach sześćdziesiątych, kiedy Julian i Adeline się rozwiedli, zamieszkali razem w tym niewielkim domku w Bayswater.

- Mówiliśmy wszystkim, że jesteśmy braćmi. Nigdy mi to nie przeszkadzało. Julian zawsze o wiele bardziej przejmował się tymi sprawami niż ja.

Kilka wiszących na ścianach obrazów dostał w prezencie właśnie od Juliana. Przynajmniej jeden z nich był dziełem Frances, której twórczość już po śmierci odkryła przejęta ideami feminizmu historyczka sztuki.

Daisy, która na widok podpisów na niektórych obrazach dosłownie oniemiała, zauważyła z niesmakiem poplamione rogi i zwijający się w słonym powietrzu papier.

- Czy nie powinny się... znaleźć w jakimś bezpieczniejszym miejscu? - spytała delikatnie.

- Kto by je tam oglądał? Nie, moja droga, zostaną w mojej małej chatce, póki nie odejdę. Frances była urocza. Wielka szkoda, że tak się stało.

Ożywił się bardzo, gdy pokazała mu zrobione polaroidem zdjęcia prawie gotowego fresku. Podziwiał ze smutkiem swoją urodę sprzed lat i wymieniał nazwiska ludzi, których zapamiętał. Powiedział, że Julian, niestety, nie będzie mógł przyjechać na otwarcie.

- Nie ma sensu się z nim kontaktować, moja droga. Mieszka w domu opieki. Zupełnie mu się pomieszało w głowie.

Minette mieszkała ostatnio w komunie w Wiltshire; George jest „jakaś szycha” od ekonomii w Oksfordzie.

- Ożenił się z wicehrabiną. Straszny się z niego zrobił snob. O, a tutaj jest ten chłopak Lottie. A może jej siostry... zapomniałem. George nazywał go „księciem ananasów”. Chwileczkę, zaraz na pewno przypomnę sobie jego nazwisko.

Daisy była wstrząśnięta, gdy się dowiedziała, że egzotyczna długowłosa bogini z fresku to Lottie.

- W tamtych czasach była bardzo piękna, choć jej urodę trudno było uznać za klasyczną. Miała też niezły charakter, ale niektórym mężczyznom nawet się to podobało. Tak między nami, nie sądzę, by kogokolwiek zdziwiła wieść, że wpakowała się w kłopoty.

Odstawił filiżankę na stolik i zaśmiał się cicho.

- Julian zawsze mawiał: *Elle pet plus haut que sa cul...* Wiesz, co to znaczy? - Pochylił się konspiracyjnie. - Wyżej sra, niż dupę ma.

Daisy szła powoli plażą w stronę Arcadii. Gołą głowę palił jej żar południowego słońca, a zmęczone stopy raz po raz zbaczały z wytyczonej ścieżki. Spacer okazał się bardzo sympatyczną odskocznią od napiętej atmosfery panującej w domu. Remont hotelu dobiegał powoli końca, pokojom przywrócono surowe dostojne piękno, meble przestawiano tam i z powrotem, aż wreszcie dla każdego znaleziono właściwe miejsce. Wydawało się, że budynek cicho pomrukuje, czekając na nowe życie.

Można było przypuszczać, że wśród osób zaangażowanych w całe przedsięwzięcie panuje atmosfera podniecenia i radosnego oczekiwania, lecz Daisy czuła się nieszczęśliwa. Od czterdziestu ośmiu godzin Daniel prawie z nią nie rozmawiał. Hal skończył fresk i zniknął bez słowa. Lottie była stale poirytowana i spięta niczym pies czujący nadciągającą burzę. Przez cały czas dochodziły ich też głosy protestu z miasteczka. Lokalna gazeta donosiła o sporze w sprawie Hotelu Red Rooms, jak go teraz nazywano, na pierwszej stronie. Konfliktem zainteresowało się też kilka gazet ogólnokrajowych, które opisywały spór jako typową walkę mieszkańców małego miasteczka z nadciągającymi zmianami. Artykuły ilustrowano zdjęciami skapo ubranych członkiń Red Rooms. Daisy wykonała kilka telefonów do biura Jonesa, żałując, że nie ma na tyle odwagi, by porozmawiać z nim osobiście.

Klienci londyńskiego klubu Jonesa nie przyczynili się wcale do załagodzenia sporu. Kilku jego najbliższych kumpi od kieliszka, w tym dwóch aktorów, zjechało do Merham, by „okazać mu wsparcie”. Kiedy przekonali się, że hotel nie tylko nie jest gotowy, ale bar nie został jeszcze wyposażony, któryś z robotników wskazał im Rivierę, skąd kilka godzin później zostali wyrzuceni przez Sylwię Rowan. Ich zachowanie w stosunku do jednej z kelnerek opisała potem w gazetach jako „lubieżne i skandaliczne”. Kelnerka, która podeszła do całej sprawy znacznie spokojniej niż jej szefowa, sprzedała później swoją historię do brukowca i szybko złożyła wymówienie, twierdząc, że dzięki temu zarobiła znacznie więcej, niż Rowanowie płacili jej przez cały rok. Ta sama gazeta wydrukowała zdjęcie Jonesa zrobione na otwarciu jakiegoś baru w Londynie. Stojąca obok niego kobieta obejmowała go czule.

Daisy zatrzymała się, by złapać oddech, i spojrzała na błękitne morze. Z bólem serca pomyślała, że już niedługo nie będzie oglądać takich widoków. Będzie musiała wrócić ze swoim pięknym, wesołym dzieckiem do brudnego, pełnego hałasu miasta. Nie tęskniłam za nim, przyznała w duchu. A przynajmniej nie tak bardzo, jak sądziłam.

Londyn był dla niej nadal źródłem bólu i smutku, od których tutaj prawie udało się jej uwolnić. Ale zamieszkać w Merham? Już teraz potrafiła sobie wyobrazić chwilę, kiedy małomiasteczkowe ograniczenia zaczynają dusić, a czysto sąsiedzkie zainteresowanie jej sprawami będzie traktować jak inwazję na swoją prywatność. Merham wciąż tkwiło mocno w przeszłości, a ona musiała ruszyć do przodu.

Pomyślała nagle o Lottie i skierowała się w stronę domu. Zacznie się zastanawiać nad wyjazdem, kiedy już załatwi wszystkie sprawy związane z otwarciem. Był to całkiem niezły sposób, by nie myśleć o tym, do czego będzie wracać.

Znalazła Daniela w jednej z łazienek. Trzymał przy ścianie płytkę, a za nią kawałek ciemnego papieru. Pracujący

tam Nev, miody człowiek z tycjanowskimi lokami, wpatrywał się w wiaderko z rozrobioną białą fugą. Daisy zatrzymała się w progu.

- Co ty tu robisz? - spytała najbardziej neutralnym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć.

Daniel podniósł wzrok.

- O, cześć. Przygotowali do tych płytek białą fugę. Powiedziałem im, że powinna być czarna.

- Dlaczego to zrobiłeś? - Daisy stała nieruchomo, podczas gdy Nev patrzył to na jedno, to na drugie. Daniel wyprostował się i ostrożnie położył płytkę za sobą.

- Tak było w planach. Płytki o tym kształcie miały mieć czarne fugi. Jeśli pamiętasz, zgodziliśmy się, że tak będzie lepiej.

Daisy zacisnęła zęby. Nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy, by się z nim nie zgadzać, zawsze rezygnowała ze swoich pomysłów na rzecz jego wizji.

- Te plany zostały dawno zmienione. Uważam, że będzie najlepiej dla wszystkich, jeśli przestaniesz się mieszać do spraw, które już od dawna nie powinny cię obchodzić.

- Próbowałem pomóc, Daise - powiedział, spoglądając na Neva. - Czuję się głupio, siedząc beczynn timer przez cały dzień. Pomyślałem, że mogę się na coś przydać.

- Nie możesz - rzuciła zniecierpliwiona Daisy.

- Myślałem, że łączy nas partnerstwo.

- Wielkie nieba, ja też tak myślałam.

Daniel spojrział na nią zdumiony. To już drugi bunt Daisy w ciągu ostatnich paru dni.

- Nie mogę stale cię przeproszać. Jeśli mamy ciągnąć to dalej, koniecznie musimy oddzielić sprawy osobiste od zawodowych.

- To nie jest takie proste.

- Och, daj spokój, Daise...

Wzięła głęboki oddech.

- Firma, której byłeś częścią, **już nie istnieje**.

Daniel zmarszczył brwi.

- Co takiego?

- Wiener i Parsons. Rozwiązałam ją, kiedy zdecydowałam się wziąć tę pracę. Moja firma jest teraz jednoosobowa, Danielu.

Zapadło milczenie. Nev zaczął nerwowo pogwizdywać, przyglądając się zaschniętej farbie na rękach. Na zewnątrz robotnicy rozbierali rusztowanie i raz po raz na ziemię spadały z hukiem długie rury.

Daniel pokręcił głową, a potem spojrzał na Daisy, zaciskając usta. Wytarł ręce o dżinsy.

- Wiesz co, Daisy? Nie mogłaś tego ująć jaśniej.

Camille siedziała na przednim fotelu starego forda, słuchając odgłosów Merham wpadających przez uchylone okno. Mieszały się z głosem paplającej na tylnym siedzeniu Katie i zapachem spalin oraz rozgrzanego asfaltu. Rollo wcisnął się między jej kolana. To było jego ulubione miejsce podczas podróży samochodem. Milczenie siedzącego obok niej nieruchomo Hala mroziło jej krew w żyłach. Musi powiedzieć mu o pracy. Kay postanowiła, że będą pracować jeszcze trzy tygodnie, a potem może liczyć na odprawę mniejszą niż miesięczna pensja. Nikt nie złożył oferty na kupno salonu, a choć Kay było przykro, to nie na tyle, by kontynuować jego działalność.

Świadomość tego, co ich czeka, ciążyła Camille jak wielki głaz. Poradziłaby sobie bez trudu z myślą, że będą musieli walczyć. Ona przecież znajdzie w końcu pracę, podobnie jak Hal. Ich skromne oszczędności w połączeniu z pieniędzmi za odnowienie fresku pozwolą im jakoś przetrwać najgorsze. Ale Hal był ostatnio tak trudny, tak bardzo zamknięty w sobie. Każde niewinne pytanie z jej strony spotykało się z gwałtownym zaprzeczeniem lub jakąś ostrą kąśliwą uwagą, co sprawiało, że w efekcie czuła się głupia i niepotrzebna.

Nie mogła zrozumieć, co się dzieje. Wiedziała, czym jest dla niego firma i że będzie mu bardzo ciężko pogodzić się

z jej utratą. Ale miała nadzieję, że jej zaufa, że będzie szukał u niej wsparcia i przejdą przez to razem. Jego zachowanie sprawiło jednak, że poczuła się zbędna. A nie znosiła tego uczucia od lat, począwszy od czasów szkoły, kiedy siedziała na boisku, naszywając numery na koszulki, bo Lottie nalegała, by brała udział we wszystkich zajęciach, po chwilę obecną, kiedy musiała pytać sprzedawczynię, czy ubrania, które wybrała dla siebie Katie, są odpowiednie dla dziewczynki w jej wieku, a nie -jak czasami bywało - dla panienki dzieśięć lat starszej.

Samochód się zatrzymał. Usłyszała, jak Katie otwiera drzwi, a potem poczuła chłodny, szybki pocałunek.

- Pa, mamó.

Pochyliła się, dotykając policzka, lecz jej córka już biegła ścieżką na spotkanie z przyjaciółką.

- Witaj, Katie. Wejdz, proszę. Jest w swoim pokoju - usłyszała głos Michelle przy drzwiach, a potem niecierpliwe dzwonienie kluczyków w dłoni Hala, gdy przyjaciółka podeszła do samochodu.

- Dzień dobry, Camille. Chciałam się tylko przywitać. Żałuję, że nie spotkałyśmy się w szkole w zeszłym tygodniu, ale musiałam pojechać na szkolenie.

Poczuła dotyk dłoni na ramieniu. Głos Michelle rozlegał się tuż przy jej uchu. Musiała przykucnąć przy drzwiach samochodu. Pachniała delikatnie wanilią.

- Gdzie byłaś?

- W Krainie Jezior. Ale codziennie lało. Nie mogłam uwierzyć, że tam podobno jest pięknie. Tak przynajmniej twierdzi Dave.

Camille uśmiechnęła się, boleśnie świadoma, że Hal nie odezwał się ani słowem. W milczeniu Michelle kryło się pytanie, więc postanowiła przerwać niezręczną ciszę.

- Wybieramy się na zakupy.

- A co chcesz kupić?

- Nową sukienkę na otwarcie hotelu. Hal tam pracował, zresztą razem z mamą...

- Nie mogę się już doczekać, żeby go zobaczyć. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak się tym podniecają. Przecież i tak połowa z nich nigdy nie przestąpi jego progu - prychnęła Michelle. - Mama Dave'a jest temu bardzo przeciwna. Twierdzi, że jeśli wpuścimy tu londyńczyków, to w ślad za nimi napłyną uchodźcy szukający azylu... Głupia baba.

- W końcu wszyscy się do tego przyzwyczają.

- Masz rację. No, ruszajcie. Ty to masz szczęście. Mnie nigdy nie udaje się namówić Dave'a na wspólne zakupy... - Urwała zawstydzona, gdy przypomniała sobie, dlaczego Hal jej towarzyszy.

- Och, musiałam go przekupić - zażartowała Camille. - Postawię mu potem lunch. A on przez cały czas będzie straszliwie zrzedził.

Ustały, że Katie może zostać do szóstej, i obiecały sobie, że w tygodniu umówią się na kawę. Głos Michelle dobiegał jakby z oddali. Kiedy jej kroki zachrzęściły na ścieżce, a Hal przekreślił kluczyk w stacyjce, wyciągnęła rękę, by go powstrzymać.

- Dobra - rzuciła. - Dłużej już tego nie wytrzymam. Chcesz mnie porzucić? ^

Poczuła, że się do niej odwraca. Zatrzeszczało siedzenie.

- Ja chcę cię porzucić?

- Nie mogę już obchodzić się z tobą jak ze śmierdzącym jajkiem, Hal. Nie wiem, co robię nie tak, i nie mam pojęcia, co się z tobą dzieje. Ale nie mogę stale wszystkiego naprawiać i udawać, że się nic nie dzieje.

- Ty stale wszystko naprawiasz?

- No, najwyraźniej nie idzie mi najlepiej. Na miłość boską, musisz ze mną porozmawiać. Bez względu na to, o co chodzi. Obiecaliśmy sobie przecież, że będziemy całkowicie szczerzy, prawda?

- Więc będziesz całkowicie szczerza, tak?

Camille cofnęła rękę.

- Oczywiście.

- Nawet w sprawie konta bankowego?

- Jakiego konta?
- Tego nowego.
- Nie mam żadnego nowego konta. I co to ma do rzeczy? -
Czekała, by jakoś zareagował. - Na miłość boską, Hal, nie
mam pojęcia, o czym mówisz. Oglądasz przecież wszystkie
moje wyciągi. Znasz wszystkie moje konta. Dowiedziałbyś się
pierwszy, gdybym otworzyła jakieś nowe.

Jego milczenie kryło w sobie inny ton.

- Boże - powiedział w końcu.
- Hal, co się stało?
- Lottie. Twoja matka.
- O co chodzi?
- Otworzyła dla ciebie konto. Podarowała ci dwieście ty-
sięcy funtów.

Camille odwróciła się tak gwałtownie, że Rollo zaskow-
czał z bólu.

- Co takiego?
- Ze sprzedaży Arcadii. Założyła dla ciebie konto, a ja my-
ślałem... Boże, Camille, ja pomyślałem... - Wybuchnął
śmiechem. Trząśł się cały, wprawiając powietrze w samocho-
dzie w drzenie. Wyglądało to zupełnie tak, jakby płakał.

- Dwieście tysięcy funtów? Ale dlaczego nic mi nie po-
wiedziała?

- To przecież jasne. Sądzi, że nasz związek się rozpadnie,
i chciała cię zabezpieczyć, tym bardziej że ja musiałem zwi-
nać interes. Po co komu bezużyteczny mąż, który nie potrafi
zadbać nawet o własną firmę... Jak ktoś taki może się opie-
kować jej małą dziewczynką?

Jego słowa brzmiały gorzko. Ale tkwiło w nich ziarno
prawdy. Pokręciła ukrytą w dłoniach głową, starając się nie
dopuścić do siebie myśli, przez co musiał przejść, jak bliscy
byli...

- Ale ona... te pieniądze... Boże, Hal, tak mi przykro...

Siedzący u jej stóp Rollo zapiszczał, prosząc, by go wypu-
ścić. Hal pochylił się i mocno ją do siebie przytulił. Poczują
na uchu jego oddech.

- Nie, kochanie, to ja przepraszam. Tak bardzo mi przykro. Powinienem być z tobą porozmawiać. Zachowałem się jak ostatni idiota...

Siedzieli przytuleni przez długi czas, nieświadomi zaciękawionych spojrzeń przechodniów i badawczego wzroku Katie, która razem ze swoją przyjaciółką Jennifer obserwowała ich z okna na górze. Obie dziewczynki znużyły się w końcu i zniknęły w pokoju.

Camille powoli i bardzo niechętnie wysunęła się w końcu z objęć męża. Czuła, że w miejscach, gdzie ich ciała stykały się ze sobą, pojawiły się kropelki potu.

- Nadal masz ochotę na zakupy? - Hal ścisnął ją za rękę, jakby nie chciał jej nigdy puścić.

Camille odgarnęła pasemko włosów z twarzy i założyła je za ucho.

- Nie. Zawieź mnie do Arcadii. Mam już tego wszystkiego dość.

Daisy sprawdziła ściany i podłogi w głównym holu, w barze, apartamentach i kuchniach. Potem skontrolowała, czy zasłony zostały starannie powieszona, czy nie ma na nich żadnych załamań. Następnie przyszła kolej na oświetlenie: czy wszędzie wkręcono żarówki i czy wszystkie świecą jak należy. Kiedy miała to już za sobą, sporządziła listę prac, które nie zostały jeszcze ukończone i które wykonano nie tak jak należy, oraz spis rzeczy, które dostarczono, i tych, które należało odesłać. Pracowała spokojnie i metodycznie w chłodnym powietrzu poruszonym wiatrakami - nie zdecydowali się na klimatyzację - i łagodnym wietrzyku, który wpadał przez otwarte okna. Porządek i rutyna wprowadzają w życie spokój, pomyślała. Teraz już lepiej rozumiała gwałtowną potrzebę Daniela, by w życiu panowały ład i równowaga.

Zrobił jej herbatę. Zachowywali się wobec siebie bardzo uprzejmie, omawiając między innymi upodobania Ellie dotyczące pieczywa i sposób, w jaki należy obierać jej wino-

grona ze skórki. Nie wspominali ani słowem o wcześniejszym starciu. Daniel zabrał potem córkę do miasta. Nie musiała mu przypominać o torbie z pieluchami, butelce z wodą i sucharkach ani o tym, że należy posmarować jej buzię kremem. Ellie piszczała radośnie na jego widok, a potem zaczęła pracowicie gryźć drewniany patyczek z dzwoneczkami, podczas gdy on cały czas przemawiał do niej czule i zapinał w wózek.

Tworzy się między nimi więź, pomyślała Daisy, obserwując ich z progu, i zastanawiała się, dlaczego jej radość z tego faktu wydaje się tak bardzo skomplikowana.

- Dokąd on ją zabiera? - Lottie ze znacznie większym trudem rozstawała się ze swoją podopieczną.

- Tylko do miasta.

- Niech przypadkiem nie idzie do parku. Pełno tam psów.

- Daniel świetnie się nią opiekuje.

- Że też ci ludzie pozwalają im biegać bez smyczy, gdy dookoła jest tyle dzieci. To głupie. I po co w ogóle zabierają je ze sobą na wakacje?

Od kilku dni Lottie wyraźnie nie była sobą. Odburknęła coś Daisy ze złością, kiedy ta zapytała ją o fresk. Chciała się dowiedzieć, czy stroje postaci i trzymane w dłoniach przedmioty mają znaczenie symboliczne. Daisy nie powiedziała jej, czego dowiedziała się od Stephena Meekera o kuszeniu i Starym Testamencie. Ani o tym, że uznał symbole za bardzo adekwatne do sytuacji, jeśli zważyć, że Lottie próbowała uwieść ojca rodziny, która po ewakuacji przyjęła ją pod swój dach. Nie wspomniała też słowem o starej fotografii, na której młoda Lottie w mocno zaawansowanej ciąży spała półnaga na kamiennej podłodze.

- Chciałaś oprawić te stare zdjęcia. - Lottie podała jej pudełko, które trzymała pod pachą.

- Tylko te, z którymi możesz się rozstać. Nie chcę brać żadnych, które mają dla ciebie wartość uczuciową.

Lottie wzruszyła ramionami, jakby nie miała pojęcia, o co chodzi.

- Posortuję je na górze. Tam jest cicho.

Wsunęła pudełko pod pachę. Daisy nasłuchiwała jej kroków oddalających się w korytarzu i odwróciła się, gdy zawołał ją Aidan.

- Ktoś do ciebie.

W kąciку ust trzymał dwa gwoździe, ręce wsunął głęboko w kieszenie skórzanego fartucha. Kiedy go mijała, uniósł brew, a Daisy poczuła nagły ucisk w sercu na myśl, że być może zaraz zobaczy Jonesa.

Bezwiednie podniosła rękę, by przygładzić włosy.

Ale to nie był Jones.

Na progu stała Sylvia Rowan. W oczy rzucały się przede wszystkim jej kolorowy zakiet i getry. U jej stóp, śliniąc się paskudnie, siedział pies.

- Powiedziałam temu twojemu człowiekowi, że może przerwać prace - oświadczyła, rzucając Daisy uśmiech księżnej machającej do tłumu.

- Słucham?

- Twoi robotnicy muszą przerwać prace.

- To chyba ja powinnam... - Urwała, gdy Sylvia podsunęła jej pod nos jakiś papier. Trochę za blisko.

- To pismo z biura ochrony zabytków. Twój hotel został w trybie przyspieszonym wpisany na listę budynków chronionych. A to oznacza, że przez najbliższe sześć miesięcy nie wolno tu prowadzić żadnych prac.

- Co takiego?

- Ma to zapobiec dalszemu rujnowaniu budynku. Decyzja ma moc prawną.

- Ale prace są prawie zakończone.

- No to będziesz musiała uzyskać zezwolenie działające wstecz. I zmienić wszystko, czego nie zaaprobują upoważnieni do tego urzędnicy. Na przykład tę ścianę. I niektóre okna.

Daisy pomyślała z przerażeniem o gościach, którzy już zdążyli zarezerwować pokoje. O tym, jak będą wnosić bagaże przy akompaniamencie młotków i wiertarek.

- Ale ja nie zwracałam się z prośbą o wpisanie budynku na listę zabytków. Jones też nie.

- Każdy może się o to zwrócić, moja droga. Prawdę mówiąc, to ty podsunęłaś mi ten pomysł, kiedy opowiadałaś na zebraniu o remoncie i wprowadzanych zmianach. Przecież w naszym interesie leży ochrona architektonicznego dziedzictwa, czyż nie? Proszę, tu są wszystkie dokumenty. Powinnaś zadzwonić do swojego szefa i powiedzieć mu, że trzeba przesunąć termin otwarcia. - Spojrzała na zabandażowaną rękę Daisy. - Chyba powinnam również zadzwonić do inspekcji pracy.

- Mściwa krowa - skomentował Aidan. - Dziwię się, że nie pożarła twojego dziecka.

- O, cholera - zakląła Daisy, przedzierając się przez zawile klauzule dokumentu. - Aidan, zrobisz coś dla mnie?

- Co?

- Zadzwoń do Jonesa. Powiedz mu, że wyszłam, albo wymyśl coś innego. Ale poinformuj go o tym zamiast mnie.

- Och, daj spokój, Daisy, to nie moja działka.

- Proszę. - Spróbowała przywołać na twarz błagalny wyraz. Aidan uniósł brew.

- Kłótnia kochanków, co?

Za bardzo go potrzebowała, by dosadnie powiedzieć, co o nim myśli.

Nie oglądała ich od czasu śmierci Adeline. Wpatrywała się w przykrywkę pudełka już prawie dziesięć minut, to znaczy, że i teraz nie miała na to zbytniej ochoty. Budzić to wszystko raz jeszcze, to, co Joe nazywał pamięcią Arcadii; spędzone tu letnie dni, świetliste iskry, krążące wokół słońca z pawich piór. Łatwiej byłoby tam nie zaglądać, pomyślała Lottie, wdychając, a jej ręka nadal spoczywała na pudełku. Łatwiej nie budzić dawnych uczuć, niech zostaną pogrzebane na zawsze. Dotąd udawało jej się to doskonale. Ale teraz Daisy chciała to odkryć, jak odkryła fresk. A Lottie w chwili słabości, kiedy martwiła się o Camille i Hala

i zastanawiała, jak uniknąć rejsu z mężem, powiedziała, że pokaże jej swoje przekleństwo. Daisy chciała oprawić fotografie i szkice i powiesić je na ścianie w barze. Miały przypominać, że tutejsi goście są jakąś częścią wielkiej tradycji artystycznej.

Artyści, pomyślała Lottie z goryczą, otwierając pudełko. Frances była chyba jedyną spośród ich grona, która zasługiwała na to miano. Nie, skarciła się w duchu, przypominając sobie Adę Clayton. Artyzm krył się w sposobie, w jaki kreowali siebie. W kamuflażu, sprycie i wymyślaniu ludzi, którymi nie byli.

Zdumiała ją, że prosta czynność zdjęcia przykrywką z pudełka przypawiła ją o tak silny zawrót głowy, jakby stała nad przepaścią. Śmieszna staruszka, pomyślała. To przecież tylko zdjęcia.

Ale kiedy sięgała do środka, jej ręka drżała.

Na samym wierzchu, lekko poźótkłe ze starości, leżało zdjęcie Adeline przebranej za radzę Radżastanu. Jej oczy lśniły pod kolorowym turbanem, a chłopięcą figurę okrywała męska marynarka. Obok niej siedziała Frances, spokojna, lecz w spojrzeniu czaił się strach, jakby już wtedy przewidywała swój straszny koniec. Lottie położyła zdjęcie na świeżo wywoskowanej podłodze. Następne przedstawiało roześmianych Adeline i Juliana, a inne Stephena z jakimś mężczyzną, którego nie rozpoznała. Szkic węglem - łódź przewrócona do góry dnem - prawdopodobnie autorstwa Frances. Kolejny, poźótkły i popękany w miejscach złożenia - George, śpiący na trawie. Układała jeden po drugim na podłodze. Namalowany przez nią obrazek przedstawiający dom we Francji. Była wtedy w tak zaawansowanej ciąży, że mogła trzymać pudełko z farbami na brzuchu.

Zdjęcie młodej Lottie. Patrzyła ukradkiem spod fali ciemnych włosów, przysypanych niczym lukrem pączkami różyczek.

Wpatrywała się w swoją młodszą wersję ze smutkiem tak przemożnym, że zalał ją jak fala. Podniosła głowę i spojrze-

ła w okno, mrugając szybko powiekami, by powstrzymać łzy. Po chwili znów schyliła się nad pudełkiem.

I szybko je zamknęła. Za późno, by tęsknić za szczupłą postacią, zbyt długimi włosami barwy kasztanowej, rozświetlonymi blaskiem słońca.

Oparła dłonie na przykrywcę, słuchając nieregularnego bicia swego serca. Odwróciła wzrok, jakby samo patrzenie przywoływało wizję, przed którą pragnęła uciec.

W jej głowie pojawiały się tylko obrazy, migały bezładnie jak zdjęcia, które właśnie poukładała na podłodze.

Przez długą chwilę siedziała nieruchomo. Potem, jak ktoś budzący się z głębokiego snu, postawiła pudełko na podłodze i spojrzała na rozłożone obok fotografie. Daje wszystkie Daisy. Niech zrobi z nimi, co chce. Przecież po ceremonii otwarcia, która odbędzie się za tydzień, nie będzie tu nigdy przychodzić.

Lottie zdążyła się już przyzwyczać do całej procesji robotników i dekoratorów, którzy pojawiali się znienacka w różnych częściach domu, więc kiedy usłyszała trzask otwieranych drzwi, nie podniosła nawet głowy. Ukłękła tylko, by pozbierać zdjęcia i schować je z powrotem do pudełka.

- Mamo?

Lottie spojrzała i tuż przed sobą zobaczyła uradowany pysk Rolla.

- Witaj, kochanie. - Szybko wytarła twarz. - Tylko wstań, dobrze. - Pochyliła się, by oprzeć rękę na krześle.

- Jak mogłaś to zrobić, mamo?

Lottie już miała się podnieść, lecz słysząc te słowa, przysiadła na piętach. Twarz jej córki była surowa, ściągnięta jak przy wielkim wysiłku.

- Camille?

- Chodzi o pieniądze, mamo. Co ty sobie wyobrażałaś? - Camille zrobiła krok do przodu, stając na dwóch fotografiach. Lottie chciała zaprotestować, ale głos u wiazał jej w gardle. Trzymająca koniec smyczy Rolla dłoń Camille mocno drżała.

- Nigdy się z tobą nie kłóciłam, mamó. Wiesz, że zawsze byłam ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Za pomoc przy Katie i tak dalej. Ale teraz posunęłaś się za daleko. Te pieniądze...

- Miałam zamiar ci o tym powiedzieć.

- Ale nie powiedziałaś - odparła Camille lodowato. - Znow próbowałaś zorganizować mi życie. Jak zawsze.

- To nie jest...

- Uczciwe? Zgodne z prawdą? Chcesz porozmawiać o prawdzie? Przez całe życie powtarzałaś mi, że dam sobie radę sama, że mogę robić wszystko to, co robią osoby widzące. Ale nigdy w to nie wierzyłaś. Przez cały czas szykowałaś mi siatki ochronne.

- To nie ma nic wspólnego z twoim wzrokiem.

- Ależ oczywiście.

- Każda matka na moim miejscu postąpiłaby tak samo.

- Nie, mamó. - Camille znow zrobiła kilka kroków, pozostawiając Rolla, który patrzył z niepokojem na zdjęcia. - Każda inna matka pomyślałaby o zapisaniu pieniędzy w testamencie. Albo porozmawiałaby z rodziną. Nie przelewałaby tak wielkiej sumy w sekrecie, ponieważ uważa, że jest jedną osobą, która może się mną opiekować.

- A jeśli tylko chciałam mieć pewność, że będziesz miała z czego żyć, kiedy Hala nie będzie przy tobie?

- Ale jest! - wybuchnęła Camille.

- Na razie.

- Między nami jest dobrze jak dawniej. Ciężko nad tym pracujemy, ale nam się udaje. A przynajmniej udawało się, dopóki ty się nie wtrąciłaś. Jak myślisz, jak on się z tym czuje? Był przekonany, że znow chcę go opuścić, i niewiele brakowało, by odszedł pierwszy. - Wypuściła gwałtownie powietrze. - Boże, gdybyś połowę uwagi, którą poświęcasz innym związkom, poświęciła swojemu, może ta rodzina byłaby znacznie szczęśliwsza. Dlaczego dla odmiany nie zajmiesz się tatą? Zamiast zachowywać się tak, jakby w ogóle nie istniał?

Lottie ukryła twarz w dłoniach. Po chwili odezwała się zduszonym głosem.

- Bardzo przepraszam - powiedziała cicho. - Chciałam tylko mieć pewność, że będziesz miała środki do życia. Że będziesz niezależna.

- Jeśli Hal mnie porzuci. No właśnie. Bo choć to ja miałam romans, ja zagroziłam naszemu małżeństwu, ty nadal nie wierzysz, że ze mną zostanie.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo gdzieś w głębi duszy uważasz, że nie jestem tego warta.

- Nie. - Lottie gwałtownie podniosła głowę.

- Nie możesz uwierzyć, że ktoś chciałby przeżyć życie u boku niewidomej partnerki. Że w końcu Hal będzie miał tego dość.

- Nie.

- Więc jak to jest, mamo?

- Camille, kochanie, chciałam tylko, żebyś mogła się poczuć niezależna.

- Jakim cudem mają to sprawić te pieniądze?

- Dają ci wolność.

- A jeśli ja nie chcę wolności? Co takiego złego kryje się w małżeństwie, mamo?

Lottie spojrzała na córkę.

- Nic. W małżeństwie nie kryje się nic złego. Jeśli... Jeśli... - szukała najwłaściwszych słów - zawarłaś je z miłości.

Daisy siedziała przy telefonie, wiedząc, że na górze urzęduje Daniel. Nie zszedł na dół, by coś zjeść, ale został w swoim pokoju i słuchał radia. Wyjaśnił Daisy uprzejmie, że chce przez jakiś czas pobyć sam. Podejrzewała, że musi się na chwilę oderwać od tego wszystkiego, od przytłaczającej atmosfery wielkiego domu, od płątaniny emocji, którą przyniosło ze sobą ich ponowne spotkanie. Nie miała nic przeciwko temu - jej też przyda się trochę wytchnienia.

Nigdy nie uważała siebie za osobę, która będzie szukać ucieczki w pracy, ale teraz przeglądała listę nazwisk, którą wręczył jej Stephen, wdzięczna, że ma się czym zająć. Lista nie była zbyt długa. Dwie osoby nie żyły, jedna przebywała w domu opieki, do kilku nie można było dotrzeć. Nie będzie to więc tak wielkie spotkanie, jak początkowo planowała.

George Bern przesłał przez sekretarkę przeprosiny z wyjaśnieniem, że razem z żoną mają już ten weekend zajęty. Malarka Minette Charlerois, rozwódka Irenę Darling i Stephen zgodzili się przyjechać, a dzięki kontaktom Minette zjawi się też kilka osób, które, co prawda, nie pojawiły się na fresku, ale odwiedzały Arcadię w latach pięćdziesiątych. Lottie poinformowała ją, że nie znosi przyjęć, więc nie zwierzyła się jej ze swoich planów. Na fresku pozostała jeszcze jedna osoba.

Daisy zapaliła papierosa, przysięgając sobie w duchu, że rzuci palenie po otwarciu, po czym zakrztusiła się lekko, gdy po drugiej stronie, mimo że wybrała numer w Hiszpanii, ktoś podniósł słuchawkę szybciej, niż się spodziewała.

- *Hola?* - powiedziała i odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała angielski akcent. Upewniła się, że rozmawia z właściwą osobą, po czym wygłosiła dobrze przećwiczoną mowę o wielkim przyjęciu, mającym uświetnić otwarcie nowego hotelu.

Starszy pan był bardzo uprzejmy. Czekał, aż skończy, i dopiero wtedy powiedział, że jest zaszczycony i wzruszony pamięcią, ale chyba nie będzie mógł przyjechać.

- To... był tylko niewielki epizod w moim życiu.

- Ale ożenił się pan z mieszkanką Merham, prawda? - nie dawała za wygraną Daisy, sprawdzając notatki. - I dzięki temu jest pan dla nas bardzo ważną osobą... Odkryliśmy na tarasie fresk, na którym jest również pan.

- Słucham?

- Fresk. Namalowany przez Frances Delahaye. Znał ją pan?

Zawahał się przez chwilę.

- Tak. Pamiętam Frances.

Daisy przycisnęła słuchawkę do ucha i zaczęła wymachiwać ręką w powietrzu.

- Musi pan zobaczyć ten fresk. Został odnowiony i zapewne stanie się gwoździem programu. Czy nie będzie cudownie znów zobaczyć przedstawione na nim osoby? Bardzo pana proszę. Załatwimy transport i wszystko co trzeba. Może pan zabrać żonę i dzieci. Będą na pewno zachwyceni. Pokryjemy koszty podróży. - Jakoś się dogadam z Jonesem, pomyślała, krzywiąc się. - Proszę, panie Bancroft. To tylko jeden dzień.

W słuchawce zapadła cisza.

- Zastanowię się. Ale przyjadę sam, panno Parsons. Moja żona, Celia, zmarła jakiś czas temu. - Zawiesił głos i ciicho odchrząknął. - Nie mieliśmy dzieci.

Rozdział dziewiętnasty

Siedem dni przed otwarciem Arcadii Camille i Hal podjęli decyzję o sprzedaży domu. Doszli zgodnie do wniosku, że jest za duży dla trzyosobowej rodziny, a raczej nie planowali więcej dzieci („Choć nie byłoby to tragedią”, powiedział Hal, przytulając żonę). Zaczęli szukać czegoś mniejszego w pobliżu szkoły Katie, być może z warsztatem lub podwójnym garażem, by Hal po znalezieniu pracy mógł nadal poświęcać się swojej pasji, dopóki sytuacja ekonomiczna nie ulegnie zmianie i znów będzie mógł zacząć działać na własny rachunek. Umówili się na spotkanie z agentem handlu nieruchomościami, taktownie unikając biura, w którym pracował Michael Bryant. Powiedzieli Katie, że może sama wybrać nowe meble do swojego pokoju i że oczywiście w domu będzie nadal dość miejsca dla Rolla. Potem pozostawili w banku dyspozycję, by zlikwidowano nowe konto, a pieniądze zwrócono Lottie.

Lottie dzwoniła dwa razy, ale Camille czekała, aż zgłosi się automatyczna sekretarka.

Sześć dni przed otwarciem w Arcadii zjawili się przedstawiciele Urzędu Dziedzictwa Narodowego, by sprawdzić, czy budynek zasługuje na wpisanie go w nadzwyczajnym trybie na listę zabytków. Jones, którego wcześniej ostrzeżono, przy-

jechał ze swoim prawnikiem i podaniem o wydanie certyfikatu wyłączającego budynek z listy, które zostało wysłane do ministerstwa przy zawieraniu transakcji kupna. Dzięki informacjom z najlepszych źródeł wiedział, że wniosek przejdzie bez trudu, chroniąc go tym samym przed skutkami finansowymi, wynikającymi z wpisania na listę w nadzwyczajnym trybie. Prawnik oświadczył jednak, że bardzo się cieszą, iż pracownicy Urzędu Dziedzictwa Narodowego mieli okazję przyrzeć się pracom, wyznaczyć termin ewentualnych przeróbek i porozmawiać z Daisy, która posiada wszelkie niezbędne informacje oraz dokumenty, dotyczące zarówno przeprowadzonego remontu, jak i stanu budynku przed jego rozpoczęciem.

Daisy niewiele z tego słyszała, a jeszcze mniej rozumiała, gdyż przez cały czas wpatrywała się w Jonesa. Odezwał się do niej tylko dwa razy - na powitanie i na pożegnanie. Ale ani razu nie spojrzął jej w oczy.

Pięć dni przed otwarciem Camille wybrała się do domu rodziców, wiedząc, że nie będzie matki, i zastała ojca, jak przeglądał foldery biur podróży. Szła tam bardzo zdenerwowana, bojąc się, że matka powtórzyła mu te okropne słowa, które powiedziała o ich małżeństwie, ale znalazła ojca w doskonałym humorze. Zastanawiał się właśnie, czy nie wybrać się do Kota Kinabalu, i przeczytał jej opis miasta z przewodnika. Nie miał pojęcia, gdzie ono się znajduje, poza tym, że gdzieś na wschodzie. Bardzo podobała mu się nazwa i myśl, że kiedy wróci do domu, rzuci od niechcienia: „Właśnie wróciłem z Kota Kinabalu”.

- Kiedy usłyszą coś takiego w klubie golfowym, na pewno odbierze im mowę - powiedział. - To o wiele bardziej ekscytujące od Romney Marsh.

Zaskoczona Camille spytała, czy matka też się wybiera.

- Wciąż nad nią pracuję, kochanie - odparł. - Wiesz, jaka ona jest.

Pod wpływem impulsu przytuliła go mocno, a on pogłaskał ją po włosach i spytał, co się stało.

- Nic - odpowiedziała. - Po prostu bardzo cię kocham, tato.
- Im szybciej otworzą ten hotel, tym lepiej. Wydaje mi się, że ostatnio wszyscy bez powodu strasznie się denerwują.

Cztery dni przed otwarciem na białym progu Arcadii stanął Stephen Meeker i wachlując się słomkowym kapeluszem, oświadczył, że pozwolił sobie porozmawiać ze swoim przyjacielem z Cork Street, który bardzo zainteresował się freskiem. Był ciekaw, czy może przyjechać na otwarcie i przywieźć ze sobą kolegę z „Daily Telegraph”, który pisze artykuły o sztuce. Daisy oczywiście wyraziła zgodę i zaprosiła go, by spokojnie obejrzał malowidło. Stephen wpatrywał się przez długą chwilę w swoją młodszą wersję i w postać Juliana. Zauważył, że fresk wygląda zupełnie inaczej, niż go zapamiętał. Kiedy wychodził, położył kościstą dłoń na ramieniu Daisy i powiedział, żeby nigdy nie robiła tego, co uważa za stosowne.

- Rób to, na co masz ochotę. Nie będziesz potem niczego żałować. Bo kiedy będziesz w moim wieku, świadomość zmarnowanych szans przytłoczy cię jak głaz.

Trzy dni przed otwarciem przyjechała Carol z Jonesem, by sprawdzić listę sławnych gości, zobaczyć, jak wyglądają kuchnie, parking i scena dla muzyków. Zachwycała się wszystkim w tak uroczy sposób, że Daisy myślała tylko o tym, by jeszcze bardziej ją zadowolić. Jones powiedział, że jest usatysfakcjonowany, ale zrobił to w taki sposób, że nie była pewna, czy to prawda. Zebrał personel pracujący w barze i kuchni i wygłosił do wszystkich krótką, mało entuzjastyczną mowę, przeprowadził rozmowy z trzema kandydatkami na sprzątaczkę, po czym szybko wyjechał, a Carol oświadczyła, że jest żalonym, ale uroczym gnojkiem. Jakiś czas potem zadzwoniła Julia, by potwierdzić, że przyjadą na otwarcie oboje z Donem, i spytać, czy nie przywieźć jej czegoś do ubrania. W tym małym miasteczku na pewno nie ma wielkiego wyboru. Takiego jak w Essex, pomyślała Daisy, wyobrażając sobie, z jakim naciśkiem siostra wypowiedziałyby to słowo. Podziękowała jej jednak i zapewniła, że da sobie radę.

- Czy on przyjedzie na otwarcie? - spytała na koniec Julia.
- On nigdzie nie wyjechał - wyjaśniła bliska rozpacz
Daisy.

- Jeszcze nie.

Dwa dni przed otwarciem w lokalnej gazecie pojawił się artykuł o fresku, zilustrowany zdjęciem, które, jak podejrzewała Daisy, zrobił jeden z robotników. Lottie, zdenerwowana i napastliwa przez cały tydzień, obarczyła winą za wszystko Sylwię Rowan. Z trudem udało się jej wyperswadować, by nie poszła do niej i nie powiedziała, co o tym wszystkim myśli.

- Jakie to ma znaczenie? - spytała Daisy, sadzając ją w fotelu na tarasie i podsuwając filiżankę herbaty. Starła się, by zabrzmiało to spokojnie, choć wcale spokojna nie była. - To tylko miejscowy szmatławiec.

- Nie o to chodzi - rzuciła krótko Lottie. - Nie chcę, żeby wszyscy go oglądali. A już na pewno nie powinni oglądać go ludzie, którzy wiedzą, że to ja.

Daisy postanowiła nie wspominać ani słowem o dziennikarzu z „Daily Telegraph”.

Poczta pantoflowa doniosła, że członkowie Towarzystwa na rzecz Abstynencji w połączeniu ze Stowarzyszeniem Pań i kilkunastoma pozostałymi jeszcze członkami Kościoła Adventystów Dnia Siódmego przygotowują pikietę przed hotelem, w czym wspomagać ich będzie kilku reporterów oraz kamerzysta lokalnej telewizji. Daisy próbowała się dodzwonić do Jonesa, by go ostrzec, lecz sekretarka przełączyła ją do Carol.

- Nie przejmuj się nimi - skwitowała lekceważąco. - Zaprośmy ich na drinka i pozwolimy zrobić sobie zdjęcie z jakąś sławą. To zawsze działa. Trzeba ich zauroczyć. A jeśli się nie uda, wciśniemy ich za żywoptot.

Kiedy tego samego dnia po południu Daisy wybrała się do miasta na spacer z Ellie, grupka starszych pań przestała rozmawiać i patrzyła, jak przechodzi, jakby do butów przykleiło jej się coś bardzo brzydkiego. Za to kiedy weszła do kiosku, właściciel wyszedł zza lady, by ucisnąć jej dłoń.

- Dobra robota - powiedział, rozglądając się dookoła, jakby ktoś ich podsłuchiwał. - Biznes rodzi biznes. Tego właśnie ci wszyscy ludzie nie mogą zrozumieć. Myślą, że wystarczy, kiedy raz się go rozkręci. Protestowali przez tyle lat, że nie potrafią już robić nic innego.

Dzień przed otwarciem, kiedy wyszli już robotnicy i personel kuchni, Jones odjechał z Carol w jej śmiesznym sportowym samochodzie, a Daisy zabrała Ellie, żeby ją wykąpać, Lottie została. Gdy w domu zapadła cisza, zaczęła wędrować po wszystkich pokojach po kolei. Bardziej sentymentalna osoba mogłaby powiedzieć, że Lottie żegna się z Arcadią. Ona jednak powtarzała sobie w duchu, że tylko sprawdza, czy wszystko jest jak należy. Daisy miała dość pracy z dzieckiem, otwarciem i tym bezużytecznym facetem. Jones w zasadzie też do niczego się nie nadawał, więc ktoś musiał mieć na wszystko oko. Powtórzyła to sobie dwa razy Jakby dzięki temu mogło zabrzmieć bardziej przekonująco.

Wchodziła do każdego pokoju, przypominając sobie, jak wyglądał dawniej. Do wspomnień prowokowały jeszcze bardziej grupowe zdjęcia wiszące teraz na ścianach. Twarze spoglądały na nią ze szklanymi uśmiechami nieznajomych. To przecież nie są już prawdziwi ludzie, przekonywała samą siebie. To tylko część wystroju wnętrza, która ma za zadanie dodać autentyzmu nadmorskiemu placykowi zabaw jakiegoś bogacza.

Na koniec zostawiła sobie salon. Usiadła na kanapie w pozycji, w jakiej przed blisko półwiekiem po raz pierwszy zobaczyła Adeline. Dom: surowy, biały i dostojny, nie przypominał już dawnej Arcadii, pokoje nie były już niemymi świadkami jej sekretów. Zapach wosku do podłóg i świeżych kwiatów w wazonach stłumił dawną woń soli unoszącą się w powietrzu. Nowoczesne wyposażenie kuchni i nowiutkie obicia mebli zupełnie tu nie pasowały, kłóciły się z atmosferą tego miejsca.

Ale kimże ja jestem, żeby to oceniać? - pomyślała Lottie, rozglądając się dookoła. Tu zawsze było zbyt wiele bólu. Zbyt wiele sekretów. Przyszłość tego domu spoczywa teraz

w rękach innych ludzi. Rozejrzała się raz jeszcze, zatrzymując wzrok na zdjęciu Celi w ognistoczerwonej spódnicy, która doskonale pasowała do obicia mebli. Przypomniała sobie jej oczy spoglądające na nią figlarnie ze stojącego naprzeciw krzesła, szczupłe stopy zawsze ułożone jakby do ucieczki. To moja historia, podobnie jak te zdjęcia, pomyślała Lottie. Także i ona stanowi teraz część wystroju.

Kilkanaście minut później z łazienki wyszła Daisy z owiniętą w ręcznik Ellie; skierowała się w stronę kuchni, by podgrzać dla niej mleko. Zatrzymała się jednak w połowie schodów, zajrzała do salonu, po czym odwróciła się i weszła z powrotem na górę, uciszając protestującą córeczkę.

W salonie siedziała pogrążona w rozmyślaniach Lottie, wpatrując się pustym wzrokiem w przestrzeń. Wyglądała tak delikatnie, niemal krucho i bardzo samotnie.

Wieczorem przed wielkim otwarciem Jones odsunął stopy papierów leżące na biurku, zamknął drzwi swojego gabinetu, by nie wpadał do niego gwar i śmiech z barów Red Rooms, i dopił resztkę kawy. Potem wybrał numer biura swojej byłej żony. Jego głos w słuchawce zaskoczył Alex, która prawdopodobnie uznała, że teraz, kiedy ponownie wyszła za męża, intymny charakter przyjaźni łączącej ją z byłym mężem ulegnie zmianie.

Wysłuchał opowieści o podróży poślubnej, którą taktownie sprowadziła do piękna wyspy, swojej opalenizny i niewyobrażalnego koloru morza. Podała mu swoje nowe numery, wiedząc, że na pewno nie będzie dzwonił do niej do domu. A potem zapytała, czy u niego wszystko w porządku.

- Tak... Świetnie. Nie, w zasadzie nie.
- Mogę ci w czymś pomóc?
- To trochę... skomplikowane.

Czekała.

- Nie wiem, czy właśnie z tobą powinienem o **tym** rozmawiać.

Jej „Och” zabrzmiało bardzo ostrożnie.

- Znasz mnie, Alex. Nigdy nie potrafiłem wyrazić tego, co czuję...

- To wiem.

- Och... nie... zapomnij, że coś mówiłem.

- Daj spokój, Jones. Skoro już zacząłeś.

Westchnął ciężko.

- Wydaje mi się, że pewna osoba stała mi się bardzo bliska. Osoba, która była wolna, ale teraz nie jest.

W słuchawce po drugiej stronie zapadło milczenie.

- Nie powiedziałem nic... kiedy powinienem był to zrobić. A teraz nie mam pojęcia, co z tym wszystkim począć.

- Była wolna?

- Tak. I nie. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, co do niej czuję, ale nie wydaje mi się, żebym mógł wykonać jakiś ruch. Jest już za późno.

- Za późno?

- Sam nie wiem. Sądzisz, że tak? Uważasz, że można coś zrobić? W zaistniałych okolicznościach?

I znów zapadła cisza.

- Alex?

- Jones... nie wiem, co powiedzieć.

- Przepraszam. Niepotrzebnie do ciebie dzwoniłem.

- Nie, nie. Dobrze, że możemy rozmawiać o tych sprawach. Ale... jestem teraz mężatką.

- Wiem.

- I sądzę, że twoje uczucia do mnie są... raczej nie na miejscu. Wiesz, co Nigel o tym myśli...

- Co ty mówisz?

- To mi pochlebia. Naprawdę. Ale...

- Nie, nie, Alex. Nie myślałem o tobie. Wielkie nieba, co ja powiedziałem?

Tym razem cisza okazała się bardzo niezręczna.

- Al, przepraszam. Nie wyrażam się zbyt jasno. Jak zwykle.

Roześmiała się nerwowo.

- Och, nie przejmuj się. Ulżyło mi. Źle cię zrozumiałam - mówiła zupełnie jak nauczycielka ze szkoły podstawowej: wyraźnie i dobitnie. - Kim więc jest twoja ostatnia dziewczyna?

- Na tym właśnie polega cały problem. Nie jest zupełnie podobna do poprzednich.

- Pod jakim względem? Blondynka dla odmiany? A może pochodzi z jakiegoś egzotycznego kraju? Ma więcej niż dwadzieścia lat?

- Nie. To ktoś, z kim pracowałem. Jest projektantką.

- To wielka odmiana po kelnerkach.

- I myślę, że mnie lubi.

- Myślisz? To znaczy, że jeszcze z nią nie spałeś?

- Chodzi o to, że na scenę wkroczył ojciec dziecka.

- Jej dziecka? - spytała po chwili.

- Tak. Ona ma dziecko.

- Ma dziecko? Zakochałeś się w dziewczynie z dzieckiem?

- Wcale nie powiedziałem, że się zakochałem. I nie musisz od razu przybierać takiego tonu.

- Po tym wszystkim, co wygadywałeś o dzieciach? Jak twoim zdaniem ma brzmieć mój ton?

Oparł się o fotel.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Głos po drugiej stronie słuchawki był ostry, nieprzyjemny.

- Alex, przepraszam. Nie chciałem cię zdenerwować.

- Wcale mnie nie zdenerwowałeś. Jestem teraz mężatką. A ty nie możesz mnie już wyprowadzić z równowagi.

- Chciałem tylko zwrócić się do kogoś o radę, a ty jesteś jedyną osobą, jaką znam, która...

- Nie, Jones, chciałeś tylko, żeby ktoś cię pocieszył. Bo zakochałeś się po raz pierwszy w życiu, i to na dodatek w niewłaściwej osobie. Ale trafiłeś pod zły adres. Nie powinieneś mnie o to prosić. No, muszę już kończyć. Mam spotkanie.

W dzień wielkiego otwarcia Daisy obudziła się godzinę wcześniej niż zwykle i leżała w łóżku, obserwując, jak pierwsze promienie słońca przebijają się przez ręcznie tkane

firanki. O siódmej wstała, poszła do łazienki i płakała przez dziesięć minut, wtulając głowę w gruby ręcznik z egipskiej bawełny, by nie obudzić dziecka. Potem spryskała twarz zimną wodą, włożyła szlafrok, wzięła dziecięcy monitor i poszła do pokoju Daniela.

W środku było cicho i ciemno. Daniel spał skulony pod kołdrą.

- Dan? - szepnęła. - Daniel?

Zerwał się przestraszony i odwrócił się do niej z na wpół przymkniętymi oczami. Uniósł się na łokciu i być może siłą dawnego przyzwyczajenia odkrył kołdrę, by mogła się pod nią wsunąć. Na widok tego nieświadomego gestu Daisy poczuła ucisk w gardle.

- Musimy porozmawiać - powiedziała.

Potarł oczy.

- Teraz?

- To najlepsza pora. Muszę się dzisiaj spakować. Oboje musimy.

Przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń.

- Czy mogę najpierw napić się kawy? - spytał zaspianym głosem.

Skinęła głową. Nieśmiało się odwróciła, gdy wstawał z łóżka i wkładał bokserki. Jego widok i zapach były jednocześnie tak znajome i tak obce, jak część własnego ciała oglądana pod dziwnym kątem.

Zrobił kawę także i dla niej i podał jej kubek, gdy usiadła na kanapie. Włosy sterczały mu we wszystkie strony jak u małego chłopca. Daisy obserwowała go z ciężkim sercem, a słowa, które miała wypowiedzieć, więzły jej w gardle.

Nareszcie usiadł.

Spojrzał na nią.

- To się nie uda, Dan - stwierdziła. Jakiś czas potem przypomniała sobie, że ją objął, a ona pomyślała, że to bardzo dziwne. Pocieszają w chwili, kiedy ona mówi mu, że już go nie kocha. Pocałował ją też w czubek głowy, a jego zapach i dotyk nadal, o dziwo, przynosiły jej ukojenie.

- Przepraszam - szepnęła mu prosto w pierś.
 - Chodzi o to, że pocałowałem tę dziewczynę, tak?
 - Nie.
 - Tak. Wiedziałem, że nie powinienem ci o tym mówić. Ale starałem się być uczciwy.
 - Nie chodzi o tę dziewczynę. Naprawdę.
 - Nadal cię kocham, Daise.
- Podniosła wzrok.
- Wiem. Ja ciebie też kocham. Ale nie jestem już w tobie zakochana.
 - Nie powinniśmy jeszcze podejmować takich decyzji.
 - Nie, Dan. Podjęłam ją, jeszcze zanim wróciłeś. Próbo-
wałam przekonać samą siebie, że warto coś ratować... ze
względu na Ellie. Ale nie warto. To się skończyło.
- Puścił dłonie Daisy i odsunął się, słysząc w jej głosie zde-
cydowanie i pewną nieodwracalność.
- Byliśmy ze sobą tak długo. Mamy dziecko. Nie możesz
tego wszystkiego przekreślić. - Jego głos brzmiał niemal
błagalnie.
- Daisy pokręciła głową.
- Niczego nie przekreślam. Ale nie ma już dla nas powro-
tu. Jestem inną osobą...
 - Ale ja kocham tę osobę.
 - Nie chcę już tego, Danielu. - Głos Daisy brzmiał bardziej
zdecydowanie. - Nie zamierzam wracać do dawnego życia, do
dawnej Daisy. Porwałam się na coś, o co nigdy bym siebie nie
podejrzała. Jestem silniejsza. Potrzebuję kogoś...
 - Silniejszego?
 - Kogoś, na kogo mogłabym liczyć. Kogoś, kto nie znik-
nie, kiedy sytuacja znów zacznie nas przerastać. To znaczy,
jeśli w ogóle kogoś potrzebuję.
- Daniel ukrył twarz w dłoniach.
- Daisy, powiedziałem ci, że jest mi bardzo przykro. To
był jeden błąd. Tylko jeden. I robię wszystko, co w mojej
mocy, żeby go naprawić.
 - Wiem. Ale nie mogę nic poradzić na to, że tak właśnie

czuję. Poza tym przez cały czas obserwowałabym cię, próbując zgadnąć, czy znów nie zamierzasz mnie opuścić.

- To niesprawiedliwe.

- Ale tak właśnie czuję. Może i bez tego stalibyśmy się innymi ludźmi. Nie wiem. Ale sądzę, że nadeszła pora, by każde z nas ruszyło swoją drogą.

Zapadła cisza. Trzaskające przed domem drzwi samochodu i energiczne kroki na podjeździe obwieściły początek nowego dnia. W głośniczku dziecięcego monitora rozległo się ciche jęknięcie, znak, że Ellie zaczyna się powoli budzić.

- Nie porzucę jej raz jeszcze. - Daniel spojrzał na Daisy, a jego głos zabrzmiał nieco wyzywająco.

- Wcale tego nie chcę.

- Chcę nadal być jej ojcem.

Perspektywa życia spędzanego na przekazywaniu dziecka ojcu na czas weekendu nawiedzała Daisy w koszmarnych snach, a na samą myśl o tym łzy napływały jej do oczu.

- Wiem, Dan. Coś wymyślimy.

Ranek był bardzo gorący, a upału nie łagodził nawet najłżejszy wiaterek. Duszne powietrze tłumiło odgłosy przygotowań w kuchni i na dole, gdzie sprzątaczkę odkurzały i woskowały podłogi. Daisy biegała tam i z powrotem pod szumiącymi u sufitu wiatrakami, nadzorując ostatnie przebiegowania, czyszczenie gałek u drzwi i kurków. Mokra koszulka i szorty były widoczną oznaką, że upał wcale nie zamierza ustąpić, a wręcz przeciwnie - nasili się jeszcze bardziej. Wydając ostatnie polecenia, próbowała skoncentrować się wyłącznie na pracy i nie myśleć o niczym innym.

Przed dom zajęchały furgonetki, które, po rozładowaniu, zniknęły z chrzęstem kół. Na podjeździe zostały bukiety świeżych kwiatów, jedzenie i skrzynki alkoholu, które w palącym słońcu zaczęto wnosić do środka. Całą operacją dowodziła Carol, której wieczorowa suknia wisiała w gotowości w Apartamencie Bella. Jej gardłowy głos wykrzykujący polecenia i podziękowania rozbrzmiewał echem w całym domu.

O dziewiątej zjawiła się Lottie, by zabrać Ellie. Nie wybierała się na otwarcie („Nie cierpię przyjęć”) i zaproponowała, że weźmie małą do siebie.

- Ale przyjdzie przecież Camille z Halem i Katie. I pan Bernard - zaprotestowała Daisy. - Ellie może zostać z tobą tutaj. Proszę. Tyle zrobiłaś. To także twoje dzieło.

Lottie pokręciła głową bez słowa. Była blada i wyglądała, jakby toczyła jakąś wewnętrzną walkę.

- Powodzenia, Daisy - powiedziała i spojrzała jej prosto w oczy, jakby chodziło o coś więcej niż tylko o rozstanie na kilka godzin.

- Dobry drink będzie tu na ciebie czekał... Zawsze możesz zmienić zdanie! - zawołała za nią Daisy. Jednakże postać popychająca przed sobą wózek nie odwróciła się.

Patrzyła za nimi, osłaniając dłonią oczy, aż zniknęły na końcu podjazdu. Próbowwała przekonać samą siebie, że zważywszy na zdecydowanie ambiwalentną reakcję Lottie na fresk i jej ostre wypowiedzi, może dobrze się stanie, jeśli nie pojawi się na otwarciu Arcadii.

Daniel poszedł na górę, pragnąc uciec od hałasu i ogólnego zamieszania, które sprawiały, że czuł się jeszcze bardziej niepotrzebny. Wszedł do pokoju, w którym były jego rzeczy. Postanowił nie zostawać na przyjęciu. Nawet jeśli uda mu spędzić tego dnia trochę czasu z Daisy, tłumaczenie osobom, z którymi kiedyś miał nadzieję nawiązać współpracę, dlaczego się tu znalazł, będzie zbyt skomplikowane i upokarzające. Musiał zostać sam, żeby spokojnie oddać się rozpacz, przemyśleć to, co się wydarzyło, i zastanowić, co ma ze sobą począć dalej. A nawet upić się do nieprzytomności po powrocie do domu.

Szedł korytarzem, wystukując na komórce numer brata. Zostawił mu w poczcie głosowej wiadomość, by spodziewał się go dziś wieczorem. Urywając w połowie zdania, zatrzymał się w drzwiach. Na środku pokoju na drabinie stał Aidan, naprawiając coś przy wiszącym pod sufitem wiatraku.

- Cześć - powiedział, sięgając jedną ręką do przyczepionego do pasa śrubokrętu.

Daniel skinął głową. Zdażył się już przyzwyczać do braku prywatności, który był wynikiem mieszkania na placu budowy, ale akurat w tej chwili z trudem przyszło mu znieść obecność Aidana. Wziął do ręki torbę i zaczął wrzucać do niej ubrania.

- Mógłbyś coś dla mnie zrobić? Przekręcić tamten wyłącznik? Jeszcze nie teraz, dopiero kiedy ci powiem. - Aidan balansowała na drabinie, nie odrywając rąk od wiatraka. - Teraz.

Daniel zacisnął zęby, przeszedł przez pokój i przekręcił wyłącznik. Wiatrak zaczął się obracać, napełniając pokój przyjemnym chłodem.

- Ta twoja kobieta mówiła, że za bardzo hałasuje. Ale dla mnie jest w porządku.

- Ona nie jest moją kobietą. - Nie zabrał ze sobą zbyt wiele rzeczy. Czas, którego potrzebował na ich spakowanie, wydał mu się niemal żałosny.

- Pokłóciliście się?

- Nie - odparł Daniel spokojnie, choć wcale nie był spokojny. - Rozstaliśmy się. Wyjeżdżam.

Aidan potarł dłonie i szedł z drabiny.

- Bardzo mi przykro. Jesteś przecież ojcem malutkiej i tak dalej.

Daniel wzruszył ramionami.

- A dopiero niedawno wróciliście do siebie, prawda?

Daniel już zaczynał żałować, że w ogóle się odezwał. Pochylił się i zajrzał pod łóżko w poszukiwaniu skarpetek.

- A jednak - usłyszał nad sobą głos Aidana - nie mogę powiedzieć, żebym cię za to winił.

- Co mówisz? - Spod łóżka źle go słyszał.

- Żaden mężczyzna nie życzy sobie, by inny zostawał na noc, prawda? Nawet jeśli ten drugi jest szefem. Wiesz oczywiście, co mam na myśli. Tak, wydaje mi się, że postąpiłeś słusznie.

Daniel się nie poruszył. Zamrugał kilka razy, a potem wstał.

- Przepraszam - zaczął zdradliwie uprzejmym tonem. -
Mógłbyś powtórzyć to, co przed chwilą powiedziałaś?

Aidan spojrział na Daniela, a potem rozejrzał się na boki.

- Chodzi o szefa. Został tutaj kiedyś z Daisy. Założyłem,
że ty... że dlatego... A, niech to diabli. Zapomnij, że cokol-
wiek mówiłem.

- Jones? Jones został z Daisy? Tutaj?

- Pewnie źle to wszystko zrozumiałem.

Daniel spojrział na niewyraźną minę Aidana i uśmiechnął
się ze zrozumieniem.

- Bez wątpienia - powiedział, odrzucając torbę. - A teraz
przepraszam...

Choćby okazja była najuroczystsza, Camille ubierała się
zawsze w kilka minut. Przesuwała dłońmi po zawartości szafy,
dotykając identyfikując materiał ubrania, i wybierała to,
które akurat chciała włożyć. Potem szybko szczotkowała
włosy, przeciągała szminką po ustach i była gotowa. Kay
mawiała, że to nieprzyzwoite, by tak świetna kosmetyczka
jak ona poświęcała sobie tak niewiele czasu. Psuje im
wszystkim reputację.

Dzisiaj jednak trwało to już blisko czterdzieści minut i by-
li tak bardzo spóźnieni, że Hal zaczął chodzić nerwowo po
sypialni.

- Pozwól mi coś zrobić - mówił od czasu do czasu.

- Nie - rzucała krótko, a Hal z ciężkim westchnieniem
znów zaczął swój spacer.

Po części była to wina Katie, która bardzo chciała pomóc
mamie i wyrzuciła na podwójne łóżko tak wielki stos ubrań,
że Camille, z trudem ukrywając irytację, nie mogła się zo-
rientować, co jest co. Kiedy wisały w szafie w niemal woj-
skowym porządku, nie miała z tym najmniejszych proble-
mów. Długo walczyła z włosami, których za nic nie mogła
przygładzić. Jednak prawdziwym powodem opóźnienia była
świadomość, że na przyjęciu pojawi się też jej matka. Ca-
mille nie wiedziała, czy chce się z nią zobaczyć, i zde-

nerwowana nie mogła podjąć żadnej, nawet najprostszej decyzji.

- Wyjąć ci buty, mamo? - spytała Katie, a Camille usłyszała, jak na podłogę sypią się pudełka starannie opisane brajlem.

- Nie, kochanie. Dopiero wtedy, gdy będę wiedziała, co włożyć.

- Kochanie, pozwól, że ci pomogę.

- Nie, tatusiu, mama chciała, żebym to ja jej pomogła.

- Och, dajcie mi wszyscy spokój! - krzyknęła Camille. - W ogóle nie chcę iść na to głupie otwarcie.

Hal usiadł obok niej na łóżku i mocno ją przytulił. Myśl, że nawet po tym wszystkim mąż potrafi nie tylko ją zrozumieć, ale i wybaczyć, sprawiła, że Camille poczuła się trochę lepiej.

Wyszli kilka minut po drugiej. Camille podejrzewała, że córka nieprzyzwoicie ją wystroiła, ale ufała, że Hal nie pozwoliłby jej wyjść z domu w nieodpowiednim stroju. Postanowili, że pójdą piechotą. Hal przewidywał bowiem, że podjazd i tak będzie zablokowany przez samochody gości, a poza tym trzeba korzystać z każdego dnia, nawet jeśli jest upalny. Camille nie była wcale taka pewna. Kiedy poczuła, jak dłoń Katie poci się w jej uścisku, zacisnęła drugą rękę na smyczy Rolla. Z nim łatwiej przepcha się przez tłum.

- Powinna być posmarować buzię Katie kremem - powiedziała.

- Posmarowałem - odparł Hal.

- Nie pamiętam, czy zamknęłam tylne drzwi - oświadczyła chwilę później.

- Katie zamknęła.

W połowie drogi przez park Camille się zatrzymała.

- Hal, chyba nie jestem w odpowiednim nastroju. Tam będą tłumy ludzi rozmawiających o niczym, a na tym upale na pewno rozboli mnie głowa. A biedny Rollo chyba się tam ugotuje.

Hal objął ją ramieniem.

- Ona pewnie nawet nie przyjdzie - zapewnił po cichu, by Katie nie mogła ich usłyszeć. - Twój ojciec powiedział mi, że postanowiła nie zawracać sobie tym głowy. Znasz ją jak nikt. Poza tym Daisy na pewno wyjedzie zaraz po przyjęciu i będzie chciała się z nią pożegnać.

- To, co mówiła o tacie... - Głos Camille drżał od tłumionych emocji. - Wiedziałam, że nie są idealnym małżeństwem, ale jak mogła powiedzieć, że nigdy go nie kochała? Jak mogła mu to zrobić?

Hal uściśnął jej dłoń, pragnąc dodać otuchy. Ruszyli dalej, a Katie wesoło podskakiwała przed nimi.

Daisy stała przed wejściem do kuchni pośród grupy starszych pań i panów, zmuszając się do uśmiechu, gdy czwarty z rzędu fotograf ustawiał ich do wspólnego zdjęcia. Pytała szeptem najślabszych, czy dobrze się czują, czy nie chcą czegoś do picia lub czegoś, na czym mogliby się oprzeć. Wokół nich ubrani na biało pomocnicy szefa kuchni zwijali się jak w ukropie, brzęcząc talerzami i patelniami, i układali na ogromnych półmiskach najwymyślniejsze dania. Nad tłumem gości Daisy dostrzegła nagle spojrzenie siostry, która pomachała do niej wesoło. Odpowiedziała uśmiechem, pragnąc, by nie musiały się do niego zmuszać. Wszystko szło dobrze, bardzo dobrze. Redaktorka z magazynu „Interiors” przeznaczyła już dla Arcadii całe cztery strony rozkładówki z Daisy jako projektantką w roli głównej. Kilka osób poprosiło ją o numer telefonu. Żałowała, że zapomniała o wydrukowaniu wizytówek. Była tak zajęta, że nie miała nawet czasu pomyśleć o Danielu. Poczuła tylko coś na kształt wdzięczności, że mimo wszystko nie zdecydował się zostać. Od czasu do czasu dostrzegała w tłumie Jonesa - zawsze zajętego rozmową - gospodarza domu, którego prawie nie znał.

Daisy czuła się nieszczęśliwa. To zawsze była najtrudniejsza część jej pracy. Wizja, którą z takim trudem tworzyła i nad której realizacją pracowała z pyłem we włosach i ze zniszczonymi od farby paznokciami, nareszcie stała się rze-

czywistością, pomalowana bólem i udrapowana zmęczeniem. I kiedy wszystko wyglądało już idealnie, musiała ją porzucić. Ale tym razem było jeszcze ciężiej. Teraz miejsce pracy stało się dla niej jednocześnie domem, ażylem w pierwszych miesiącach życia jej córki. Byli tu ludzie, z którymi się zaprzyjaźniła i których, mimo najszczęśliwszych obietnic, pewnie już nigdy w życiu nie zobaczy.

A dokąd stąd pojedzie? Do Weybridge.

Po drugiej stronie tarasu Julia uśmiechnęła się do niej promiennie pod wylakierowaną na sztywno fryzurą; dumna, pragnąca tylko jej dobra, lecz niepotrafiąca zrozumieć, kim stała się jej młodszą siostrą. Myślałam, że mi się udało, ale w gruncie rzeczy przecież nie mam nic. Kiedy zjawiła się w Merham, miała dom, pracę i córkę. Teraz straciła to wszystko - na szczęście ostatnie tylko częściowo.

- Rozchmurz się, kochanie. - U jej boku pojawiła się Carol z butelką szampana w ręce. Pozowała do zdjęć, wykrzykiwała, że wszystko jest absolutnie cudowne, śmiała się z protestujących na podjeździe mieszkańców Merham. Przesłała im tacę z drinkami i upewniła się, czy zauważyli to dziennikarze. - Może pójdziesz na chwilę do toalety? Odśwież się, a ja się tutaj wszystkim zajmę. - Jej uśmiech był miły, ale ton nie znosił sprzeciwu.

Daisy skinęła głową i zaczęła się przeciskać przez tłum w stronę toalet. Po drodze minęła Jonesa - przeszła tak blisko, że poczuła silny zapach miętopek. Miała spuszczoną głowę, więc nie była pewna, ale pomyślała, że nawet jej nie zauważył.

Hal nie oczekiwał wcale, że będzie się dobrze bawił, ale teraz raz po raz powtarza! Camille, że jest zachwycony. Mnóstwo osób gratulowało mu fresku, w tym także Stephen Meeker, który zaprosił go do siebie pod koniec tygodnia. Powiedział, że ma kilka krzeseł w stylu arts and crafts, które wymagają odnowienia. Jones zapowiedział, że może się spodziewać sporej premii.

- Fresk wszystko tu zmienił - oznajmił z poważnym wyrazem ciemnych oczu. - Porozmawiamy później o innych zleceniach, które będę miał dla ciebie.

Poznał też kilku lokalnych biznesmenów, sprytnie zaproszonych przez Carol, których fresk, co prawda, niewiele obchodził, ale uznali, że w hotelu zrobiono „kawał dobrej roboty”. Z pewnością przyciągnie do miasteczka „odpowiednich ludzi”. Przypominając sobie komentarze Sylvii Rowan, Hal z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Powiedział Camille, że pięknie wygląda. Obserwował, jak rozmawia z różnymi ludźmi, patrzył na jej lśniące w słońcu włosy, na odprężoną, szczęśliwą twarz i jego serce ścisnęło być może głupie i sentymentalne poczucie wdzięczności za to, że mimo wszystko udało im się przetrwać. Mała Katie biegała z innymi dziećmi. Wpadały do domu i wypadały z niego niczym stadko wróbli, które siadały na gałązkach żywopłotu i za chwilę z nich sfruwały.

- Dziękuję - powiedział do Daisy, gdy wyszła z toalety. - Za pracę. I za wszystko. - Skinęła głową, jakby niezupełnie go rozpoznając - przebiegała wzrokiem po sali w poszukiwaniu czegoś lub kogoś.

To dla niej wielki dzień, pomyślał, odwracając się. W taki dzień nie wolno się na nikogo obrażać. Jeśli ostatnio zdołał czegokolwiek się nauczyć, to z pewnością tego, że nie należy szukać ukrytych znaczeń tam, gdzie ich nie ma.

Wziął od kelnera dwa kieliszki szampana i wyszedł na zalany słońcem taras. Serce zabiło mu mocniej, gdy usłyszał dźwięki kwartetu jazzowego, i po raz pierwszy od kilku miesięcy poczuł się naprawdę spokojny. Katie przebiegła obok niego z piskiem i pociągnęła go lekko za nogawkę spodni. Hal szedł dalej, próbując odnaleźć żonę, gdy nagle poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia.

- Hal.

Odwrócił się i zobaczył teściową, stojącą nieruchomo z wózkami, w którym siedziała Ellie. Miała na sobie elegancką jedwabną bluzkę, jedyne ustępstwo na rzecz przyjęcia. Jej oczy,

szeroko otwarte i niezwykle ostrożne, wpatrywały się w niego, jakby zaraz miała go o coś oskarżyć.

- Lottie - powiedział neutralnym tonem, ale jego dobry nastrój natychmiast się ulotnił.

- Nie zostanę.

Czekał.

- Przyszłam tylko, żeby cię przeprosić.

Była zupełnie niepodobna do siebie, jakby nagle zdjęła zbroję.

- Nie powinnam cię tak traktować. I powinnam ci powiedzieć o pieniądzach.

- Zapomnij o tym - odparł. - To nie ma znaczenia.

- Ma. Popełniłam błąd. Chciałam dobrze, ale się myliłam. Chcę, żebyś o tym wiedział - mówiła zduszonym głosem. - Ty i Camille.

Hal, który nie pałał zbytnią sympatią do swojej teściowej, zwłaszcza ostatnio, zapragnął nagle, by rzuciła jakąś kąśliwą uwagę, by przerwała ciszę ciętą ripostą. Ale milczała, czekając na reakcję z jego strony.

- Chodź - zaproponował, wyciągając do niej rękę. - Poszukamy jej.

Lottie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Powiedziałam jej okropne rzeczy.

- Każdemu się to zdarza, kiedy jedno i drugie cierpi.

Spojrzała na niego i nagle po raz pierwszy pojawiła się między nimi nić porozumienia. Potem Lottie ujęła Hala pod rękę i razem ruszyli przez taras.

Był tak zajęty, że nawet jej nie zauważał. Carol rzuciła mu przebiegłe, wszystkowiedzące spojrzenie spod ostrej jak brzytwa grzywki i patrząc na morze ludzi rozciągające się przed nimi, uśmiechnęła się tym swoim uśmiechem specjalistki od public relations.

- Nie mam pojęcia, co cię powstrzymuje - mruknęła.

Jones oderwał wzrok od tarasu i szybko zamrugał powiekami.

- Słucham?
- Wyglądacie oboje jak kupka nieszczęścia. To bystra i miła dziewczyna. W czym więc tkwi problem?

Jones westchnął ciężko i spuścił wzrok na pusty kieliszek.

- Nie chcę rozbijać rodziny.

- A jest jakaś rodzina?

Barman próbował zwrócić na siebie uwagę Jonesa, by zapytać, czy mają już zacząć ustawiać w piramidę kieliszki do szampana przed jego przemówieniem. Jones otarł czoło, kiwnął głową w stronę barmana, a potem odwrócił się do stojącej obok niego kobiety.

- Nie zrobię tego, Carol. Zawsze wchodziłem jak taran i zostawiałem po sobie tylko pobojowisko, które miał posprzątać ktoś inny. Ale tym razem tak nie będzie.

- Straciłeś odwagę?

- Odzyskałem sumienie.

- Jones jako rycerz w lśniącej zbroi. Teraz wiem, że już po tobie.

Wziął kieliszek z tacy i odstawił pusty.

- Tak. Chyba tak.

Odwrócił się do gości i dał znak zespołowi, by grał trochę ciszej.

- Przynajmniej na to wygląda - mruknął tak cicho, że nawet Carol z trudnością go usłyszała.

Daniel siedział na schodach przy kuchni, zasłonięty do połowy stosem skrzynek. Postawił pusty kieliszek na wyschniętej trawie. Nad jego głową słońce zaczęło już swoją powolną wędrówkę ku zachodowi, lecz za nim, w kuchni, panował szum i gwar, który zagłuszał muzykę. Od czasu do czasu rozlegało się jakieś przekleństwo, świadczące o panującej tutaj napiętej atmosferze.

Wiedział, że uważają go za dziwaka, kiedy siedzi tak sam przez całe popołudnie, ale nikt nie miał dość odwagi, by powiedzieć mu to prosto w twarz. Nic go to nie obchodziło.

Siedział, od czasu do czasu patrząc na Jonesa, który krążył po tarasie z przyklejonym do twarzy fałszywym uśmiechem. Siedział, czekając, aż nadejdzie kelner z kolejnym drinkiem, i zastanawiał się.

Joe stał na zewnątrz z Camille i Katie. Powiedział Jonesowi, Daisy, Camille i paru innym osobom, że wszystko „udało się wspaniale”, a ten dom jeszcze nigdy nie wyglądał tak pięknie. Najwyraźniej zmienił swój stosunek do Arcadii, wiedząc, że przestanie wywierać wpływ na życie jego rodziny.

- Powiedz to ekpie Sylvii Rowan - zaproponowała Camille, którą nadal bardzo denerwowały śpiewy po drugiej stronie muru.

- Niektórzy ludzie po prostu nie wiedzą, kiedy dać sobie spokój, prawda, kochanie? - stwierdził Joe, a Camille bardzo wrażliwa na wszystkie niuanse pomyślała, że w jego głosie pojawił się jakiś nowy ton. Jej podejrzenia potwierdziły się, kiedy wrócił Hal i ujmując ją delikatnie za łokieć, poinformował łagodnie, że przyszła jej matka.

- Nic mi nie powiedziałaś - zwróciła się do ojca z wyrzutem Camille.

- Twoja matka wyjaśniła mi, co zrobiła z pieniędzmi - odparł Joe. - Oboje uznaliśmy, że popełniła błąd. Ale musisz zrozumieć, że chciała dobrze.

- Ale to nie wszystko, tato - powiedziała Camille, zdając sobie natychmiast sprawę, że nie chce, by ojciec dowiedział się reszty.

- Proszę cię, Camille. Przeprosiłam już Hala i chciałabym przeprosić również ciebie. - Camille wyczula ból w głosie matki i jak w czasach dzieciństwa gorąco zapragnęła, by mogła zapomnieć słowa, które usłyszała. - Czy przynajmniej porozmawiasz ze mną?

- Kochanie? - Głos Hala brzmiał łagodnie, ale stanowczo. - Lottie naprawdę jest bardzo przykro. Z powodu wszystkiego.

- No, Camille - powiedział jej ojciec tonem, który pamiętała z dzieciństwa. - Twoja matka zdobyła się na przeprosiny. A ty powinnaś zdobyć się na to, by jej wysłuchać.

Camille podejrzewała, że została w to wszystko wmanewrowana. W głowie kręciło się jej od śpiewów za murem i odgłosów przyjęcia.

- Zaprowadź mnie do środka. Znajdziemy jakieś spokojne miejsce. Ale najpierw muszę znaleźć dla Rolla miskę wody.

Matka, o dziwo, nie ujęła jej pod łokieć, lecz wzięła za rękę, jakby sama szukała oparcia. Zasmucona tym niezwykłym gestem, Camille ścisnęła jej dłoń.

Rollo ruszył przodem, próbując znaleźć jak najmniej zatłoczone przejście. Camille wyczuła jego niepokój i zawołała go cicho po imieniu, by nie czuł się tak zagubiony. Podobnie jak Lottie bardzo nie lubił przyjęć. Camille zacisnęła obie dłonie, świadoma, że pod pewnym względem musi teraz być oparciem dla obojga.

- Chodźmy w stronę kuchni - zaproponowała.

Mniej więcej w połowie tarasu ktoś zatrzymał Camille, kładąc jej dłoń na ramieniu. Kwiatowy zapach: Daisy.

- Jest mi tak gorąco, że chyba zaraz się roztopię. Musiałam poprosić obsługę baru, żeby zabrała Ellie do środka.

- Zaraz ją odbiorę - powiedziała Lottie. - Chciałam tylko porozmawiać chwilę z Camille.

- Jasne - odparła Daisy, która zdawała się wcale jej nie słuchać. - Lottie, mogę cię porwać na pięć minut? Bardzo chciałabym, żebyś się z kimś spotkała. - Camille poczuła, że ruszają do przodu. Daisy ściszyła głos, musiała się więc wysilić, by dosłyszeć jej słowa. - Jest wdowcem i nie ma dzieci. Chyba czuje się trochę samotny.

- Dlaczego sądzisz, że to ja powinnam z nim porozmawiać?

Camille wiedziała, że matka chce zostać z nią sama.

- Macie kieliszki? - spytała kobieta o niskim głosie, którego Camille nie rozpoznała. - Jones zaraz wygłosi mowę.

- On jest na fresku - powiedziała Daisy. - Pomyślałam, że może się znacie.

Camille, która już miała zaprotestować, że Rollo naprawdę musi napić się wody, poczuła, że matka zatrzymuje się gwałtownie. Z jej ust wydobył się cichy, ledwie słyszalny dźwięk. Dłoń, którą trzymała Camille, zaczęła drżeć, najpierw nieznacznie, potem coraz mocniej, więc Camille puściła Rolla, by ująć obie dłonie matki w swoje.

- Mamo?

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi. Ale dłoń matki drżała już niekontrolowanie. Camille wpadała w coraz większą panikę.

- Mamo? Mamo?... Daisy?... Co się dzieje?

Poczuła, że Daisy przechyla się przez nią i gorączkowo pyta Lottie, czy się dobrze czuje.

Żadnej reakcji.

Camille usłyszała zbliżające się powoli kroki. Dłoń matki nie przestawała drżeć.

- Mamo?

- Lottie? - odezwał się nagle głos starszego mężczyzny.

- Guy? - szepnęła oszołomiona.

Katie oblała sokiem pomarańczowym całą sukienkę. Hal pochylił się nad nią i próbował ratować sytuację papierową serwetką, powtarzając jej, jak robił to już tysiące razy, że powinna się trochę uspokoić, bo znajduje się przecież w towarzystwie. Nagle poczuł, że jego uwagę przykuwa coś, co dzieje się po drugiej stronie tarasu. I nie chodziło wcale o małą szarą chmurę, która niespodziewanie przesłoniła słońce i zalała taras cieniem. Ani o cichnący szum rozmów, kiedy Jones wstał i zaczął się przygotowywać do wygłoszenia mowy. W pobliżu fresku, z zaniepokojoną Camille u boku, stała Lottie ze starszym mężczyzną. Wpatrywali się w siebie bez słów, a na ich twarzach malowały się targające nimi uczucia. Hal, zdumiony, patrzył na nieznanego mężczyznę, a obok niego Camille, która nieświadomie przyjęła

tę samą pozycję smukłych nóg. Potem, jakby po raz pierwszy w życiu, spojrzął na kręłą sylwetkę teścia, który w milczeniu, z poszarzałą twarzą obserwował tę scenę, stojąc w drzwiach salonu z dwoma kieliszkami w rękach.

I wtedy zrozumiał.

Po raz pierwszy w życiu Hal dziękował Bogu, że jego żona nie widzi. I uświadomił sobie, że wbrew zaleceniom psychologów i pracowników wszystkich poradni małżeńskich na świecie bywają takie chwile w życiu, kiedy trzeba zachować swoje tajemnice dla siebie.

Daisy obserwowała dwoje starszych ludzi schodzących po schodach na plażę. Prawie się nie dotykali, szli wyprostowani, jakby czekali na chwilę, w której padnie cios. Schodzili ramie w ramie niczym żołnierze weterani, którzy spotkali się po latach. A kiedy się odwróciła, by powiedzieć Camille o dziwnym wyrazie ich twarzy, Hal odciągnął ją na bok, a Carol wcisnęła do ręki kieliszek.

- Nie ruszaj się stąd, kochanie - powiedziała nieznoszącym sprzeciwu tonem. - Jones na pewno wymieni twoje nazwisko.

Daisy zapomniała o nich na chwilę, gdyż całą uwagę skierowała na niego: na ogorzałą twarz i potężną sylwetkę, która zawsze przypominała jej rosyjskiego niedźwiedzia zmuszanego wbrew swojej woli do zabawiania publiczności. Słuchając jego władczego głosu, którego surowość łagodził od czasu do czasu melodyjny akcent, Daisy poczuła nagle, że ogarniają strach. Bała się, że za późno przekonała się, czego tak naprawdę pragnie. Że nie może już dłużej się przed tym bronić. Że bez względu na to, jak to jest niewłaściwe i niebezpieczne, woli, żeby to ona popełniła błąd, a nie jakaś inna kobieta.

Patrzyła, jak wskazuje na dom, usłyszała uprzejmy śmiech, czuła, że otaczający ją ludzie są pełni podziwu. Spoglądała na Arcadię, którą znała lepiej od siebie samej, i na rozciągający się za nią cudowny łuk błękitu. Usłyszała, jak

Jones wymienia jej nazwisko i uprzejme brawa nagradzające jej wysiłki. W końcu ich oczy spotkały się i w ułamku sekundy, kiedy taras znów zalał blask słońca, jednym spojrzeniem próbowała przekazać mu wszystko, co czuła.

Kiedy Jones skończył przemawiać, goście wrócili do swoich drinków i przerwanych rozmów. Patrzyła, jak schodzi po kamiennych stopniach i rusza powoli w jej stronę, nie spuszczać z niej wzroku, jakby wiedział doskonale, co chciała mu powiedzieć. Zatrzymał się nagle przerażony, gdy zza żywopłotu z ligustru wyskoczył Daniel i bez ostrzeżenia, z groźnym okrzykiem, wymierzył mu cios prosto w twarz.

Rozdział dwudziesty

Dźwięk grającego radia przenikał przez drzwi sypialni i spływał na dół, gdzie siedziała Camille z Halem. Patrzyli na siebie niezdecydowani, nie wiadomo który już raz w ciągu trzech godzin, które tu spędzili.

Ojciec siedział na górze przez cały wieczór od czasu, gdy milczący i zamyślony wrócił do domu. Towarzyszyły mu ich delikatne, nieśmiałe pytania o to, jak się czuje, i o wiele trudniejsze, lecz niewyrażone w słowach, o to, co widzieli na przyjęciu. Podziękował za herbatę. Nie pragnął też towarzystwa. Chciał iść na górę posłuchać radia. Było mu przykro, że okazał się tak niegościnnie, ale nic nie mógł na to poradzić. Jeśli chcą, mogą zostać na dole. I wziąć sobie do jedzenia lub picia wszystko, na co mają ochotę.

Tak spędzili blisko trzy godziny, w czasie których prowadzili przyciszone rozmowy, odpowiadali na nieskończone pytania Katie, która zmęczona leżała przed telewizorem z Roilem i raz po raz bez powodzenia próbowali odnaleźć Lottie.

- Czy ona go porzuci, Hal? Myślisz, że o to chodzi? Czy ona zostawi tatę?

Na twarzy Camille malował się niepokój. A gdzieś pod nim gniew. Hal odgarnął jej włosy ze spoconego czoła i spojrział na schody.

- Nie wiem, kochanie.

Trzymając ją za ręce, jakby przekazywał złe wiadomości, opowiedział, co zobaczył na przyjęciu. Ten mężczyzna wyglądał jak starsza wersja postaci z fresku i nikt, kto widział, jak na siebie patrzy, nie mógł mieć żadnych wątpliwości co do natury ich uczuć. Próbował w pełni oddać sposób, w jaki nieznajomy wyciągnął rękę i dotknął twarzy Lottie, a ona nie cofnęła się, lecz stała nieruchomo jak ktoś, kto czeka na błogosławieństwo. Camille słuchała i płakała, prosiła, by jeszcze raz opisał jej fresk, analizując jego symbolikę. Powoli udzielali sobie odpowiedzi na pytanie, dlaczego dawno mogli, a nawet powinni zrozumieć zachowanie matki, które nie było przecież niewytłumaczalne.

Hal przeklinał w duchu rolę, jaką nieświadomie przyszło mu odegrać w wyjawieniu przeszłości Lottie.

- Powinienem być zostawić ten fresk w spokoju - powiedział. - Gdybyśmy go nie odsłoniли, może teraz by nie odeszła.

- Ona odeszła już wiele lat temu - odparła Camille z rezygnacją.

O wpół do dziesiątej, kiedy niebo zalała atramentowa czerń, a Katie zasnęła na kanapie, kiedy zadzwonili już do wszystkich znajomych, nie wiadomo który już raz wybierali numer komórki Daisy i rozważali możliwość zawiadomienia policji, Camille odwróciła się do męża z ogniem płonącym w niewidzących oczach.

- Idź jej poszukać, Hal. Zrobiła mu już wszystko, co najgorsze. On zasługuje przynajmniej na to, by dowiedzieć się z jej ust.

Daisy czekała, aż maszyna wypłuje resztę, a potem świadoma znudzonych spojrzeń, jakimi obrzucają ją siedzący dookoła ludzie, w końcu poddała się i podeszła do Jonesa z dwoma plastikowymi kubkami.

Siedzieli w ambulatorium już od blisko trzech godzin. Kiedy dyżurna pielęgniarka szybko załatwiła formalności,

pomyśleli z nadzieją, że zaraz przyjmie ich lekarz i będą mogli wrócić do domu.

- Nie - oświadczyła stanowczo pielęgniarka, kierując ich na prześwietlenie. Najpierw muszą zrobić zdjęcie, a potem poczekać, żeby obejrzał je specjalista. - Pozwolilibyśmy panu wrócić do domu, ale to kiepsko wygląda - wyjaśniła, okładając zakrwawiony nos Jonesa gazą. - Nie chce pan chyba, żeby zostały tam jakieś odłamki kości, prawda?

- Przepraszam - powiedziała Daisy piętnasty raz od czasu przyjazdu do szpitala, kiedy szli powoli do skrzydła mieszczącego pracownię rentgenowską. Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

Na początku było dużo łatwiej, kiedy wstrząśnięta atakiem Daniela, pomagała Jonesowi podnieść się z ziemi i próbowała zatamować krew płynącą z nosa. Potem przejęła dowodzenie: chwyciła zapas waty Ellie, zawołała, by ktoś przestawił samochody i odsunął protestujących, żeby mogła go zawieźć do szpitala. Walczyła jak lwica z Sylvią Rowan, która natychmiast pojawiła się u ich boku i zaczęła krakać, że już doszło do pierwszej bójki wywołanej przez alkohol.

- Nic z tego nie będzie! - wykrzyknęła z triumfem. - Zawiadomię urzędników i cofną wam licencję. Mam świadków.

- Spadaj, stara krowo! - wrzasnęła Daisy i zaciągnęła Jonesa do swojego samochodu. Był nieco oszołomiony, gdyż padając na ziemię, uderzył głową o kamienną posadzkę, i szedł potulnie za Daisy, spełniając wszystkie jej polecenia: usiądź, trzymaj, nie zasypiaj. Tylko nie zasypiaj! Teraz, po tej ilości kawy, wcale nie było mu do spania. Jego oczy nad opatrunkiem lśniły bólem, a poplamiona krwią koszula była smutnym przypomnieniem roli Daisy w wydarzeniach tego dnia.

- Tak mi przykro - powtórzyła, podając mu kawę. Kiedy do niego wróciła, wyglądał jeszcze gorzej.

- Przestań mnie ciągle przepraszać - powiedział znużonym głosem.

- Ona nie może tego zrobić, prawda? Cofnąć ci licencji?

- Sylvia Rowan? To najmniejszy z moich problemów. - Wypił łyk kawy i skrzywił się.

Co to mogło znaczyć? Daisy miała wielką ochotę zapytać, ale jego zachowanie i fakt, że mówienie przychodziło mu z wielkim trudem, ostatecznie ją powstrzymały.

Kiedy siedzieli na plastikowych krzesłach w świetle jarzeńówek, czas, zdawało się, stanął w miejscu, a potem zupełnie stracił znaczenie.

Mężczyźni z ranami, które były wynikiem bójek alkoholowych, jak napisano w karcie, z pewnością nie mogli liczyć na specjalne traktowanie. Siedzieli więc w gronie innych ofiar sobotniego wieczoru, spoglądając od czasu do czasu na kolejnych poszkodowanych, przechodzących przez rozsuwane elektronicznie drzwi. W taki wieczór mniej było ofiar wypadków w ogrodach i domowych oparzeń, a więcej zakrwawionych głów. Około ósmej do szpitala przyjechał jeden z barmanów z Ellie. Przeprosił i wyjaśnił, że nigdzie nie mogą znaleźć Lottie, a nikt nie może zostać, żeby zająć się matką. Daisy wzięła od niego zaspaną, marudzącą córeczkę, nie mając odwagi spojrzeć Jonesowi w oczy. Zaniepokojona niezwykłą sytuacją Ellie zaczęła płakać i walczyć ze snem. Daisy musiała długo z nią spacerować tam i z powrotem po korytarzach ambulatorium, by wreszcie zasnęła w wózku.

- Wracaj do domu - powiedział Jones, pocierając guza na czole.

- Nie - odparła stanowczo. Nie mogła. Przecież w końcu to była jej wina.

Kwadrans po jedenastej, kiedy na ekranie w ambulatorium pojawiła się informacja, że Jones powinien zostać przyjęty przed półgodziną, w oddali rozległ się grzmot zwiastujący nadciągającą burzę. Nagły hałas wyrwał poszkodowanych z odrętwienia, blask błyskawicy przecinającej niebo wzbudził szmer niepokoju, a po chwili czarne niebo otworzyło się i spłynęły z niego strugi wody. Szum deszczu słychać było przez oszklone drzwi, woda kapała z butów kolej-

nych wchodzących do środka pacjentów, a na lśniącym linoleum pojawiły się plamy błota. Daisy, która była już tak zmęczona, że prawie zasnęła na krześle, obserwowała nawałnicę oniemiała ze zdumienia. Wydawało jej się, że to wszystko jest tylko koszmarnym snem.

Koszmarny znalazł potwierdzenie dwadzieścia minut później, kiedy na korytarzu pojawił się pielęgniarz i powiedział Jonesowi, że będzie musiał jeszcze czekać. Na Colchester Road doszło bowiem do wypadku i lekarz będzie tam zajęty przez jakiś czas.

- Mogę więc iść do domu? - spytał Jones najwyraźniej jak potrafił.

Pielęgniarz, młody mężczyzna, wyglądający na człowieka, który musiał się gwałtownie pożegnać z idealizmem i niewinnością, spojrzał na Daisy i dziecko.

- Radziłbym poczekać. Jeśli nastawimy nos jeszcze dzisiaj, nie zostanie trwale zniekształcony.

- On już jest trwale zniekształcony - odparł Jones, ale postanowił zostać. - Ty wracaj do domu - powiedział do Daisy, gdy zostali sami.

- Nie.

- Och, na miłość boską, Daisy, to przecież głupota. Nie ma sensu, żebyś siedziała tu z dzieckiem przez całą noc. Zabierz ją do domu, a jeśli naprawdę się o mnie martwisz, to później do ciebie zadzwonię, dobrze?

Nie zapytał, dlaczego Daniel go zaatakował. Ale najwyraźniej wiedział, że to ona była powodem. Wielkie otwarcie hotelu zamieniło się w farsę. Dzięki niej Sylvia Rowan zyskała dodatkową amunicję. Wszystkie wysiłki i ciężka praca minionych miesięcy spęłżyły na niczym z powodu jednego głupiego nieporozumienia.

Daisy była zbyt wykończona. Spojrzała na równie zmęczoną twarz Jonesa, która w niekorzystnym świetle jarzeniówek wyglądała chyba jeszcze gorzej, i poczuła pieczenie pod powiekami. Schyliła się po torbę, a potem podniosła stopą hamulec wózka.

- Myślałam, że już pojechał - zaczęła, nie bardzo zdając sobie sprawę, z tego, co mówi.
- Słucham?
- Daniel. Powiedział, że wyjeżdża.
- Dokąd?
- Do domu. - Jej nieco podniesiony głos drżał i słysząc w nim było frustrację i smutek. Zanim zdążył zobaczyć, jak traci panowanie nad sobą, zanim znów stanie się dziewczyną, którą tak bardzo nie chciała być, odwróciła się i popychając przed sobą wózek, wyszła z poczekalni.

Mieszka! w Hiszpanii. Wyjechał tam przed kilkunastoma laty. Wcześniej pozwolił, by spłacił go zarząd firmy należącej niegdyś do jego ojca. I zrobił to w bardzo odpowiedniej chwili. Rynek importu owoców stopniowo przejmowały wielkie międzynarodowe korporacje. Nie było już na nim miejsca dla tak niewielkich firm jak jego. Ale za nią nie tęsknił.

Mieszkał w wielkim białym domu, prawdopodobnie zbyt dużym dla niego. W jego prowadzeniu pomagała mu sympatyczna dziewczyna, która przychodziła dwa razy w tygodniu, przyprowadzając od czasu do czasu na jego prośbę swoich dwóch małych synów, by popływali w basenie. Nie planował powrotu do Anglii. Za bardzo przyzwyczyił się do słońca.

Zniżając głos, powiedział, że jego matka zmarła na raka w dość młodym wieku. Ojciec nigdy nie doszedł do siebie i kilka lat później zginął w pożarze, do którego doszło po śpięciu we frytkownicy. To straszne i głupie zarazem, że tak niezwykle człowiek odszedł w tak prozaiczny sposób, ale ojciec nie należał do osób, które potrafią żyć samotnie. Jak na przykład on. Zdążył się już do tego przyzwyczyać. Czasami wydawało mu się, że nawet to lubi.

Nie miał żadnych planów, ale za to mnóstwo pieniędzy. I kilku dobrych przyjaciół. Całkiem nieźle jak na człowieka w jego wieku.

Lottie słuchała tych szczegółów, ale niewiele do niej docierało. Nie mogła przestać na niego patrzeć, w tym starszym

mężczyźnie tak szybko odnalazła chłopca, którego znała, że już z trudem przywoływała w pamięci jego dawną postać. W tonie jego głosu wyczuła nieznaną melancholię i podejrzewała, że jest odbiciem jej melancholii.

Nie przyszło jej nawet do głowy, by zamartwiać się swoim wyglądem, siwymi włosami, znacznie grubszą talią, pomarszczoną skórą na dłoniach. Przecież to nigdy nie było najważniejsze.

Machnął ręką w stronę domu, gdzie przestała już grać muzyka. Zamiast niej rozlegało się szuranie przesuwanych krzesel i odgłosy sprzątanania.

- A więc to jest twoja córka.
- Tak. To jest Camille - odparła Lottie po chwili wahania.
- Joe jest dobrym człowiekiem.

Lottie przygryzła wargę.

- Tak.

- Sylvia pisała do nas. Stąd wiem, że za niego wyszłaś.
- Pewnie dodała, że zasłużył na coś lepszego.

Uśmiechnęli się zgodnie.

Lottie odwróciła wzrok.

- I rzeczywiście zasłużył - powiedziała.

Na twarzy Guya pojawił się pytający wyraz. Zamilkła, zdziwiona, że sposób, w jaki unosi brew, nadal wydaje się jej tak bardzo znajomy, że jego oczy wciąż mają tak młody wyraz. Poczowała się bezbronna.

- Nienawidziłam go przez wszystkie te lata.

- Joego?

- Za to, że nie jest tobą - dodała lekko schrypniętym głosem.

- Wiem. Celia nic nie mogła na to poradzić, ale... - Urwał, może nie chcąc okazać się nieojalnym.

Nadal miał pasemka bardzo jasnych włosów. Trudno byłoby je zauważyć w masie szpakowatych, ale Lottie dostrzegła je bez trudu.

- Napisała do ciebie. Kilka razy. Kiedy wyjechałaś. Ale nigdy tych listów nie wysłała. Chyba było to dla niej... trud-

niejsze, niż się wydawało... Ja raczej nie wykazałem się wielkim zrozumieniem. - Odwrócił się do niej. - Nadal mam te listy w domu. Nigdy ich nie otworzyłem. Jeśli chcesz, mogę ci je przysłać.

Nie wiedziała, czy chce. Nie była pewna, czy jest gotowa usłyszeć głos Celi. Gdziekolwiek się teraz znajdowała.

- Ty nigdy nie napisałeś.

- Myślałem, że mnie nie chcesz, że zmieniłaś zdanie.

- Jak mogłeś tak pomyśleć? - Znow była młodą dziewczyną, a jej twarz zapłonęła rozpaczliwą, niesprawiedliwą miłością.

Spuścił wzrok. Na horyzoncie pojawiły się ciężkie burzowe chmury.

- No cóż, potem wszystko zrozumiałem. Potem zrozumiałem mnóstwo rzeczy. - Znow na nią spojrzał. - Ale wtedy dowiedziałem się, że wyszłaś za męża za Joego.

Obok nich przeszło kilka osób, których opalone na różowo ręce i nogi stanowiły żywy dowód na to, że upał i angielska plaża idą czasem w parze. Guy i Lottie siedzieli obok siebie, obserwując mijających ich plażowiczów w milczeniu i słuchając szumu fal. Na horyzoncie błysnął jeden z ostatnich promieni słońca.

- Ale się porobiło, Guy.

Wyciągnął rękę i położył na jej dłoni. Czując jego dotyk, wstrzymała oddech. Kiedy znow się odezwał, w jego głosie nie było słyhać wahania.

- Nigdy nie jest za późno, Lottie.

Patrzyli na morze i zachodzące słońce, czując chłód wypełniający powietrze. Uświadomili sobie, że istnieje zbyt wiele pytań i za mało właściwych odpowiedzi. Przeżyli wystarczająco dużo, by wiedzieć, że nie wszystko musi być powiedziane. W końcu Lottie odwróciła się do niego i spojrzała na twarz, którą tak bardzo kochała. Rysujące się na niej zmarszczki powiedziały jej niemal wszystko, co chciała wiedzieć o miłości i stracie.

- Czy to prawda - szepnęła - że nie mieliście dzieci?

Jakiś czas potem kilku wczasowiczów idących nadmorską ścieżką ze zdumieniem patrzyło na starszą kobietę, która z twarzą ukrytą w dłoniach zanosila się płaczem jak młoda dziewczyna porzucona ze złamanym sercem.

Daisy jechała w ciemnościach rozjaśnianych tylko nieznacznie przez sodowe lampy przy dwupasmowej szosie, a potem, gdy skręciła już w kręte wiejskie drogi - przez reflektory jej małego samochodu. Jechała, nie myśląc o niczym, i tylko od czasu do czasu spoglądała w lusterko wsteczne, by sprawdzić, czy z Ellie wszystko w porządku. Ulewa męczyła ją, utrudniając widoczność, ale zatrzymała się tylko raz, by zatankować i wypić filiżankę gorzkiej, paskudnej kawy, która paliła w język i bardziej ją rozstroiła, niż odświeżyła.

Nie chciała wracać do Arcadii. Dom należał już do innych, zamieszkali w nim pierwsi goście, rozbrzmiewał echem ich rozmów i kroków. Nie chciała tam wracać ze śpiącym dzieckiem i wyjaśniać, co zaszło między Jonesem a Danielem i jaką rolę odegrała w tej historii.

Trochę płakała, ale głównie ze zmęczenia. W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin niewiele spała. Płakała też, przeświadczona, że coś się skończyło, że znów straciła mężczyznę, który znaczył dla niej najwięcej. Widziała przed sobą jego zakrwawioną, nieszczęśliwą twarz i wiedziała, że niszcząc bezwiednie tak ważny dla niego dzień, zaprzepaściła wszelkie szanse wyznania, co do niego czuje.

Zaparkowała samochód na poboczu i słuchała deszczu bębniącego o dach. Wycieraczki z piskiem przesuwały się po przedniej szybie. W dole, w kobaltowej ciemności, widziała zarys linii wybrzeża, a daleko na horyzoncie pierwsze oznaki brzasku.

Oparła dłonie na kierownicy i złożyła na nich głowę, jakby przygniatał ją wielki ciężar. Siedzieli razem przez tyle godzin, a prawie w ogóle nie rozmawiali. Była tak blisko niego,

że czuła, jak poprawia się na krześle. Tak blisko, że ich dłonie mogły się bez trudu dotknąć, a ona mogła bezwiednie oprzeć mu głowę na ramieniu, gdy o mało co nie zasnęła. A jednak nie rozmawiali, wyjąwszy uwagi dotyczące kawy z automatu i jego polecenie, by wróciła do domu.

Byłam tak blisko, pomyślała. Mogłam go dotknąć. Słyszałam, jak oddycha. Już nigdy nie znajdę się tak blisko niego.

Tkwiała nieruchomo. Nagle przypomniała sobie coś, co powiedziała jej Camille, i podniosła głowę.

Siedziała tak blisko niego, że słyszała, jak oddycha. Coraz szybciej. Czuła, jak bije mu serce, napędzane tęsknotą i pożądaniem.

Daisy jęknęła cicho. Potem, wyrwana nagle z otępienia, przekreśliła kluczyk w stacyjce, obejrzała się, zawróciła samochód i z piskiem opon ruszyła z powrotem.

Przed ambulatorium stały trzy karetki, wokół których kręcili się ludzie w odblaskowych kamizelkach. Ostrożnie sadzali swoich podopiecznych na wózkach, kładli na noszach lub wprowadzali do środka. W jednej z karetek pozostawiono włączoną syrenę i hałas stał się niemal nie do zniesienia. Nie był go w stanie stłumić padający nadal deszcz ani szum silnika jej samochodu.

Manewrowała na parking, próbując znaleźć wolne miejsce i co chwila spoglądając w lusterko, by sprawdzić, czy Ellie się nie poruszyła. Malutka spała jednak głęboko, zmęczona wydarzeniami burzliwego dnia.

Kiedy siedziała w migającym błękitnym świetle, zastanawiając się, po co tu przyjechała, spojrzała przez przednią szybę i zobaczyła go: wysoką, lekko pochyloną postać, zmierzającą w strugach deszczu w stronę postoju taksówek. Czekwała ułamek sekundy, pragnąc zyskać absolutną pewność. Potem otworzyła szybko drzwi i nie zważając na deszcz ani ogłuszający ryk syren, zaczęła biec przez parking, potykając się, aż stanęła tuż przed nim.

- Stój!

Jones się zatrzymał. Zmrużył oczy, jakby chciał się upewnić, że to naprawdę ona. Jedną rękę uniósł bezwiednie do wielkiego opatrunku zasłaniającego mu twarz.

- Nie jesteś już moim szefem, Jones! - krzyknęła, chcąc przebić wycie syren. W wieczorowej sukience, drżała z zimna. - Nie możesz mi więc mówić, co mam robić. Nie możesz mi kazać wracać do domu - zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzała.

Zmaltretowany i przybity, wyglądał okropnie.

- Przepraszam - odparł zduszonym głosem. - Powinienem był... Nie tak chciałem... Nie chciałem, żebyś mnie oglądała w takiej sytuacji. Leżącego na ziemi z rozbitą twarzą...

- Ciii. Zamilknij na chwilę. Nie chcę o tym rozmawiać. Wróciłam tutaj, bo muszę ci coś powiedzieć, ale jeśli nie powiem tego teraz, to nie powiem już nigdy.

W głowie kręciło się jej ze zmęczenia, a na twarzy zimny deszcz mieszał się ze łzami.

- Wiem, że mnie lubisz! - krzyczała. - Nie wiem, czy o tym wiesz, ale tak jest. Bo mimo że stale się ranimy i często kłócimy, że być może przeze mnie straciłeś licencję, i jest mi naprawdę bardzo przykro z tego powodu, jesteśmy dla siebie stworzeni. Tworzymy zgrany duet. - Chciał coś powiedzieć, lecz uciszyła go gestem ręki. Serce podeszło jej do gardła i nie martwiła się już, jak wygląda. Przetarła zalane łzami oczy, próbując zebrać myśli. - Wiem, że mam bagaż. Wiem, że ktoś taki jak ja pewnie nie mieści się w twoich planach, bo mam przecież dziecko i tak dalej, ale ty też nie jesteś ideałem. Masz byłą żonę, na której prawdopodobnie nadal ci zależy, i mnóstwo kobiet, z którymi spałeś, a które nadal dla ciebie pracują. Szczerze mówiąc, to niemało. I jesteś trochę mizoginem, co też nie bardzo mi się podoba.

Zmarszczył brwi, próbując zrozumieć, co do niego mówi. Jedną ręką osłaniał oczy, by móc ją widzieć w padającym deszczu.

- Jestem okropnie zmęczona. Nie potrafię tego powie-

dzieć tak, jak bym chciała. Ale wszystko już wiem. Tak, ła-będzie wiążą się w pary na całe życie. Ale to tylko jeden ga-tunek, prawda? Skąd mogą wiedzieć, jeśli wszystkie wyglą-dają tak samo?

Syrena umilkła. A może karetka po prostu odjechała. Na-gle zostali tylko we dwoje, na środku parkingu, w zimnym blasku świtu, otoczeni szumem deszczu. Stała tuż przed nim, widziała więc jego zmęczone oczy. Pojawił się w nich jed-nak błysk zrozumienia.

- Nie mogę już tak dalej, Jones - powiedziała łamiącym się głosem. - Mam w samochodzie dziecko i jestem zbyt zmęczo-na, by dalej mówić. Nie potrafię ci wytłumaczyć, co czuję.

I nagle, zanim zdążyła zmienić zdanie, ujęła jego twarz w mokre dłonie i przytuliła usta do jego warg.

Spuścił głowę i z radością poczuła, jak oddaje jej pocału-nek, obejmując ją mocno. Opuściło ją całe napięcie i z ulgą pomyślała, że zrobiła to, co powinna. Wdychała zapach szpi-tala na jego skórze i zapragnęła go chronić, przytulić jeszcze mocniej. Nagle odsunął się od niej gwałtownie.

- Co się stało? - spytała. Nie zniosę tego, pomyślała. Nie teraz. Nie po tym wszystkim.

Jones westchnął i wzniosł oczy do nieba, po czym ujął jej rękę w swoje dłonie. Były bardziej miękkie, niż myślała.

- Przepraszam - szepnął z nieśmiałym uśmiechem. - Na-wet nie wiesz, jak bardzo mi przykro, Daisy. Ale nie mogę jednocześnie całować się i oddychać.

Wielki biały dom był cichy i uśpiony jak w dzień jej przy-jazdu. Nieliczny jeszcze personel spał w pokojach nad garażami, samochody stały na żwirowanym podjeździe, a przez okna kuchni widać było lśniące blaty, których spokoju nie mącił szcęk naczyń. Poza chrzęstem ich kroków w powie-trzu unosił się jedynie śpiew ptaków, delikatny szum sosen na wietrze i daleko w dole szum fal na piasku.

Jones podał Daisy klucze do tylnych drzwi. Zmęczona i oszołomiona brakiem snu, walczyła z nimi przez chwilę,

próbując odnaleźć właściwy. Pomógł jej, spoglądając niepokojnie na dziecko śpiące w jego ramionach, i po krótkiej walce z zamkiem dom wpuścił ich do środka.

- Do twojego pokoju - szepnął i ruszyli powoli korytarzem. Weszli na schody, objając się o siebie niczym para pijaków wracających do domu z długiej imprezy.

Rzeczy Daisy leżały spakowane w torbach i pudełkach. Na wierzchu pozostało jedynie łóżeczko i zmiana ubrań, świadczące o tym, że był to kiedyś dom, a nie tylko hotelowy pokój. Dwadzieścia cztery godziny temu widok spakowanych bagaży sprawiał, że Daisy wpadała w panikę i czuła się bardzo samotna. Teraz wzbudził w niej coś na kształt podniecenia, gdyż był obietnicą nowego życia i możliwości, które ze sobą niosło.

Zamknęła cicho drzwi i spojrzała na stojącego przed nią mężczyznę. Jones wolnym krokiem przeszedł przez pokój, szepcząc coś do leżącej w jego ramionach Ellie. Położył ją delikatnie w łóżeczku, starając się jej nie obudzić. Daisy przykryła córeczkę cienkim kocykiem. Malutka nawet nie drgnęła.

- Tylko tyle potrzebuje? - szepnął.

Daisy skinęła głową. Stali przez kilka sekund, patrząc na śpiące dziecko. Wreszcie Daisy ujęła go za rękę i pociągnęła w stronę niepościelonego po poprzedniej nocy łóżka.

Jones usiadł, zdjął marynarkę, odsłaniając mokrą, poplamioną krwią koszulę i zsunął buty. Daisy jednym ruchem zdjęła przez głowę sukienkę, nie myśląc nawet o tym, że w świetle poranka będzie widać rozstępy na brzuchu. Włożyła stary podkoszulek i wsunęła się pod kołdrę.

Przez otwarte okno wpadał zapach słonego poranka, a firanki powiewały lekko na wietrze. Jones położył się obok i spojrzał na Daisy zmęczonym wzrokiem. Na brodzie widać było szary cień zarostu, lecz z twarzy zniknęło napięcie. Kiedy na nią patrzył, wyraz jego oczu złagodniał jeszcze bardziej. Przesunął palcem po jej nagiej skórze.

- Pięknie wyglądasz - powiedział spod opatrunku z gazy.

- Ty za to nie.

Uśmiechnęli się do siebie zaspanym uśmiechem.

Położył jej palec na ustach. Nie spuszczała z niego wzroku. Uniosła swoją zabandażowaną rękę i pogładziła go delikatnie po twarzy, rozkoszując się dotykiem, którego pragnęła od tak dawna. Bardzo delikatnie położyła palec na jego nosie.

- Boli? - spytała szeptem.

- Nic mnie nie boli. Absolutnie nic.

Z głębokim westchnieniem zadowolenia przyciągnął ją do siebie i ukrył głowę w chłodnym ramieniu. Poczwała na twarzy dotyk jego miękkich włosów, wyczuła delikatny zapach środków dezynfekujących na skórze. Na ułamek sekundy ogarnęło ją pożądanie, lecz zaraz zastąpiło je znacznie przyjemniejsze uczucie oczekiwania i bezpieczeństwa. Przytuliła się mocno do niego, czując na swoim ciele ciężar jego ramienia i nogi. Słuchając rytmicznego bicia jego serca, nareszcie zasnęła.

Nad Merham przeszła burza. Pozostawiła po sobie lśniące w porannym słońcu chodniki. Gdy Hal razem ze swoją podopieczną podchodził do furtki, spod stóp pryskała mu woda.

Pierwszy wyczuł ich Rollo. Hal zobaczy! przez okno, jak wyskakuje spod stołu w kuchni i pędzi z głośnym szczeraniem do drzwi. Camille, wyrwana z lekkiego snu, wstała z kanapy, by wypuścić psa. Szukając swojej laski, próbowała sobie przypomnieć, gdzie ją zostawiła. Jednak to nie Rollo okazał się najczujniejszy. Kiedy Hal stanął przy furtce, teś schodził już po schodach. Wyszedł z domu i ruszył ścieżką szybkim krokiem, zupełnie jakby był o połowę młodszy. Minął Hala, który odsunął się, by zrobić mu miejsce, i podszedł do swojej zmęczonej żony. Zapanowała cisza. Hal wszedł na werandę i objął Camille, wdzięczny, że po długiej wyczerpującej nocy mógł wreszcie poczuć ją tuż przy sobie. Skinieniem głowy odpowiedział na jej ciche pytanie. Stał tak blisko, że mogła to wyczuć.

Camille cofnęła się i mocno ścisnęła jego rękę.

- Pójdziemy już, tato! - zawołała. - Chyba że wolisz, żebyśmy zostali.

- Jak chcesz, kochanie - odparł Joe zduszonym głosem.

Camille chciała iść, lecz Hal ją zatrzymał. Stali w drzwiach, nasłuchując. Joe patrzył na żonę jak stary zawodowy bokser. Hal zauważył, że jego ukryte za plecami dłonie mocno drżą.

- Na pewno chcesz się napić herbaty - powiedział.

- Nie - odparła Lottie, odgarniając włosy z twarzy. - Wypiłam filiżankę w kawiarni. Z Halem. - Spojrzała mu przez ramię i dostrzegła dwie walizki stojące w holu. - Co to? - spytała.

Na ułamek sekundy Joe zamknął oczy. Odetchnął głęboko. Jakby to był wielki wysiłek.

- Nigdy tak na mnie nie patrzyłaś. Ani razu w czasie czterdziestu lat naszego małżeństwa.

- Ale teraz patrzę, prawda?

Przez długą chwilę nie odrywali od siebie wzroku. Potem Lottie zrobiła dwa kroki do przodu i wzięła męża za rękę.

- Pomyślałam, że znów zacznę malować. Tak, chyba sprawi mi to przyjemność.

Joe zmarszczył brwi i spojrzał na nią, jakby postradała zmysły.

Lottie spuściła wzrok na ich dłonie.

- Ten twój głupi rejs. Nie każesz mi grać w brydża, prawda? Nie znoszę brydża. Ale mogę malować.

Joe spojrzał na nią zdziwionymi oczami.

- Wiesz, że ja nigdy... - Głos odmówił mu posłuszeństwa. Odwrócił się na chwilę, chowając głowę w ramiona. Hal poczuł się nagle jak intruz i spuścił wzrok.

Joe szybko się opanował. Zawahał się przez chwilę, spojrzał na żonę, a potem podszedł i objął ją ramieniem. Przytuliła się do niego i powoli ruszyli w stronę domu.

- Najwyższy czas, żeby on zaznał trochę szczęścia - powiedziała Halowi, gdy znalazł ją o świcie siedzącą samotnie

przy domkach na plaży. Wystarczyła jej świadomość, że Guy ją kochał, że mogli być razem.

- Nie rozumiem - powiedział Hal. - On był przecież miłością twojego życia. Nawet ja to zauważyłem.

- Tak. Ale teraz mogę pozwolić mu odejść.

Choć zwykle potrafi! opisać wszystko swojej niewidomej żonie, miał problemy ze znalezieniem właściwych słów, by oddać wyraz twarzy Lottie, z której zniknęło napięcie tych wszystkich lat, smutek i rozczarowanie.

- Kiedy z nim rozmawiałam, uświadomiłam sobie, że zmarnowałam tyle czasu, tęskniąc za kimś, kogo nie ma, kiedy powinnam była kochać Joego. To dobry człowiek.

Na plaży dwóch poławiaczy homarów rozładowywało swoje kutry. Ciągnęli sieci z wprawą wynikającą z wielu lat praktyki. Pojawili się też pierwsi właściciele psów.

- On wiedział. Od zawsze. Ale nigdy mnie z tego powodu nie znienawidził.

Spojrzała na zięcia i odgarniając siwiejące włosy z twarzy, uśmiechnęła się do niego niepewnym, dziewczęcym uśmiechem.

- Chyba już czas, by Joe odzyskał żonę, nie sądzisz?

Epilog

Przez jakiś czas musiałam zostać w szpitalu. Nie pamiętam już jak długo. Kiedy próbowali mnie przekonać do wyjazdu, oczywiście nie nazywali tego miejsca szpitalem. Powiedzieli tylko, że wrócę do domu, do Anglii, i będę mogła spędzić trochę czasu z mamą.

Ten „krótki pobyt” miał sprawić, że poczuję się lepiej. Mnóstwo dziewcząt cierpi z powodu tych samych problemów, choć nikt o tym nie wspomina. Nawet w tamtych czasach nie była to rzecz, o której należało opowiadać. Wszyscy wiedzieli, że nie przepadam za życiem w tropikach i że gdyby nie Guy, na pewno wróciłabym do domu.

Pragnęłam tego dziecka. Bardzo. Śniło mi się, że noszę je w sobie. Czasami przykładałam dłoń do nagiego brzucha i czułam, jak się porusza. Przemawiałam do niego cichutko, pragnąc dać mu życie. Lecz nigdy nikomu o tym nie opowiadałam. Wiedziałam, jak zareagują.

Z Guyem nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Mama stwierdziła, że to dobrze. Czasami lepiej nie poświęcać pewnym sprawom zbyt wiele uwagi. Ale mama zawsze udawała, że niczego nie widzi. Ona też nigdy o tym nie wspominała. Jakby ją to zawstydzало.

Kiedy wyszłam, wszyscy udawali, że wcale tam nie byłam. Zajęli się swoimi sprawami, pozostawiając mnie moim snom. Nic im nie mówiłam. Wyraz ich twarzy świadczył, że nie wierzą w żadne moje słowo. Dlaczego miałiby wierzyć'?

Ale nie można uciec przed przeszłością. Tak jak nie można uciec przed przeznaczeniem. Po tym wszystkim nie byliśmy już z Guyem tacy sami. Jakby on nosił to w sobie, ten rozkład, i nie mógł na mnie spojrzeć, nie czując jego zapachu, skażenia, które naznaczało jego reakcje. Był tak pełny, jak ja byłam pusta.

Tego dnia, kiedy Ci to powiedziałam, obrałam osiemnaście jabłek. Osiemnaście.

I wszystkie skórki ułożyły się tak samo.